

SZPON
SREBRNEGO
JASTRZĘBIA



RAYMOND E.
FEIST

RAYMOND E. FEIST

SZPON SREBRNEGO

JASTRZĘBIA

(Talon of the Silver Hawk)

Przełożyła: Justyna Niderla



Wydawnictwo: ISA 2004

Spis treści

Karta tytułowa

Dedykacja

CZEŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ PIERWSZY ZMIANY

ROZDZIAŁ DRUGI ZAJAZD KENDRIKA

ROZDZIAŁ TRZECI SŁUGA

ROZDZIAŁ CZWARTY GRY

ROZDZIAŁ PIĄTY PODRÓŻ

ROZDZIAŁ SZÓSTY LATAGORE

ROZDZIAŁ SIÓDMY NAUKA

ROZDZIAŁ ÓSMY MAGIA

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY WYBÓR

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY DECYZJA

ROZDZIAŁ JEDENASTY CEL

ROZDZIAŁ DWUNASTY MIŁOŚĆ

ROZDZIAŁ TRZYNASTY REKONWALESCENCJA

CZEŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ CZTERNASTY AKADEMIA MISTRZÓW

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY TAJEMNICA

ROZDZIAŁ SZESNASTY TURNIEJ

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY ATAK

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY DECYZJE

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY OBRONA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY BITWA

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY POLOWANIE

EPILOG

Dla Jamie Ann

*za nauczenie mnie rzeczy,
o których nie wiedziałem,
że muszę się nauczyć.*

CZEŚĆ PIERWSZA

Sierota

Śmierć stoi nade mną, szepcząc cicho

Nie wiem co wprost do mego ucha...

Walter Savage Landor

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZMIANY

Czekał.

Chłopiec drżał i kulił się, przysuwając się jak najbliżej gasnącego żaru skromnego ogniska. Jego niebieskie oczy zapadły się i pociemniały od braku snu. Poruszał wolno ustami, powtarzając sobie słowa pieśni, której nauczył go ojciec. Święta melodia kaleczyła mu suche usta i paliła w gardle. Na ciemnych, prawie czarnych włosach chłopca osiadł kurz. Mimo chęci pozostania przytomnym w oczekiwaniu na wizję, trzy razy poddał się zmęczeniu i zasnął z głową w pyle. Wyraźne kości policzkowe w jego szczupłej twarzy wydawały się teraz jeszcze ostrzejsze. Stracił mocno na wadze, zmizerniał i zbladł. Nosił na sobie tylko przepaskę biodrową, ubiór charakterystyczny dla poszukiwaczy wizji. Już po pierwszej nocy zatęsknił bardzo za swą skórzaną tuniką i spodniami, mocnymi butami i ciemnozielonym płaszczem.

Ponad nim ciemne niebo powoli stawało się jaśniejsze. Nadchodził świt i gwiazdy zaczęły znikać z nieboskłonu. Powietrze wydawało się nieruchome, tak jakby czekało na pierwsze westchnienie, na pierwszy ruch nowego dnia. Taka cisza była dość niezwykła, jednocześnie fascynowała i wytrącała z równowagi. Chłopiec wstrzymał na chwilę oddech, wsłuchując się w otaczający go świat. A potem dotknął go lekki podmuch, najdelikatniejszy powiew nocnego westchnienia i on sam odetchnął pełną piersią.

Kiedy zobaczył jaśniejszą smugę na wschodnim niebie, wyciągnął rękę i wziął tykwę. Pociągnął niewielki łyk wody, oszczędzając tak wiele płynu na później, jak to tylko było możliwe. Nie wolno mu było pić więcej, dopóki nie doświadczy wizji. Wtedy mógł ruszyć dalej i napić się do woli ze strumienia, który kilkaset metrów niżej przecinał szlak prowadzący do domu chłopca.

Przez dwa dni siedział pod szczytem Shatana Higo, w miejscu, gdzie miał stać się mężczyzną, i czekał na wizję. Tuż przed oczekiwaniem brał udział w przygotowaniach. Pił tylko napary z ziół i wodę, jadł tradycyjne potrawy wojowników, czyli suszone mięso, suchary i popijał płynem z gorzkich ziół. A potem przez pół dnia wspinał się pylistą ścieżynką, wijącą się na wschodnim stoku świętej góry, aż do małego zagłębienia położonego zaledwie kilka metrów poniżej wierzchołka Shatana Higo. W miejscu tym nie zmieściłoby się więcej niż pół tuzina mężczyzn, ale chłopcu wydało się rozległe i puste, kiedy je po raz pierwszy ujrzał w trzecim dniu ceremonii. Dzieciństwo, które spędził w ogromnym domu, w otoczeniu wielu krewnych, nie przygotowało go na taką izolację. Po raz pierwszy w całym swoim życiu pozostał sam, bez towarzyszy, na dłużej niż kilka godzin.

Tak jak to było w zwyczaju pomiędzy Orosinimi, chłopiec rozpoczął swój rytuał wejścia w wiek męski na trzeci dzień przed Świętem Przesilenia Letniego, które mieszkańcy nizin nazywali Banapis. Chłopiec miał powitać nowy rok i spędzić koniec swego dziecięcego życia na rozważaniu tradycji swojej rodziny, plemienia i narodu oraz na poszukiwaniu mądrości swoich przodków. Miał czas na drugie medytacje i wejrzenie w siebie, aby odnaleźć właściwe miejsce we wszechświecie i odgadnąć, jakie zadanie wyznaczyli mu bogowie. Gdyby wszystko działało się tak, jak zwykle, powinien połączyć się ze swoją rodziną i całym klanem w wieczór Święta Przesilenia Letniego.

Jako dziecko chłopca nazywano Kieli. Było to zdrobnienie od Kielianapuna, nazwy rudej wiewiórki, sprytnego i zwinnego zwierzątka zamieszkującego lasy jego rodzinnych stron. Kiedy jednemu z Orosinich udało się dostrzec wiewiórkę, zwykle doskonale ukrytą w gąszczu, uznawał to za szczęśliwy omen. A Kieli był uznawany za szczęśliwe dziecko.

Chłopiec trząsł się teraz niekontrolowanie, gdyż mizerne zasoby tkanki tłuszczowej nie chroniły go wcale przed nocnym chłodem. Nawet w środku lata na szczytach gór Orosinich po zachodzie słońca robiło się bardzo chłodno.

Kieli czekał na wizję. Zobaczył, jak na wschodzie rozjaśnia się niebo; wolno zmieniało barwę z szarej na bladobłękitną, a potem na lekko różową. Zbliżał się wschód słońca. Chłopiec ujrzał, jak szczyty odległych gór oblewa złota poświata i tarcza słoneczna wyłania się zza horyzontu, przynosząc mu kolejny dzień samotności. Odwrócił oczy, kiedy słońce wyszło zza gór, gdyż światło oślepiło go. Powoli przestawał drzeć. Słońce nareszcie podniosło się na tyle wysoko, że ogrzało chłodne powietrze. Czekał, na początku w gotowości, a potem bez nadziei, zmęczony i głodny.

Każdy chłopiec Orosini przystępował do tego rytuału w dzień przesilenia letniego, w czasie bliskim rocznicy swoich urodzin, w jednym z wielu świętych miejsc rozsianych po kraju. Przez lata nieprzeliczone rzesze chłopców wspinały się na niedostępne szczyty i wracały jako mężczyźni.

Poczuł chwilową zazdrość, kiedy pomyślał, że dziewczęta w jego wieku pozostały w wiosce, w okrągłym domu z kobietami, jedząc i plotkując, śpiewając i modląc się. Dziewczynki jakoś zdobywały swe dorosłe imiona bez głodowania i trudów będących udziałem chłopców. Kieli pozwolił, aby to uczucie przeminęło. Rozważanie spraw, nad którymi nie mamy kontroli, jest stratą czasu, tak powiedziałaby jego dziadek.

Pomyślał o swoim dziadku, Śmiechu W Jego Oczach, który jako ostatni przemówił do niego, kiedy chłopiec wyruszał na samotny szlak z doliny, gdzie mieszkali ludzie jego plemienia, na wysokie górskie szczyty. Stary człowiek uśmiechał się jak zawsze. Kieli z trudem przypominał sobie chwilę, kiedy na twarzy jego dziadka nie gościł uśmiech. Twarz starca przypominała brązową skórę, ogorzałą po osiemdziesięciu latach wystawiania na górskie wiatry. Tatuaz klanu na lewym policzku ciągle jednak pozostał czarny, mimo czasu spędzonego na słońcu. Mądre oczy dziadka i wyraźne kości policzkowe komponowały się doskonale ze stalowoszarymi, prostymi włosami, opadającymi mu na ramiona. Kieli przypominał swego dziadka nawet bardziej niż ojca. Obaj mieli oliwkową skórę, która w lecie stawała się brązowa i nigdy nie czerwieniała na słońcu. W młodości włosy starca także były koloru kruczego skrzydła. Wszyscy mówili, że pokolenia temu w rodzinie Kieliego musiał pojawić się jakiś cudzoziemiec, gdyż Orosini posiadali raczej jasną karnację i nawet brązowe włosy były czymś niezwykłym.

Dziadek Kieliego wyszeptał do niego: – Kiedy tykwa jest pusta, w dzień Przesilenia Letniego, pamiętaj o jednym: jeżeli bogowie nie nadali ci jeszcze imienia, to oznacza, że możesz wybrać je sobie sam.

A potem przywódca klanu uścisnął go, jakby w zabawie, ale jednak mocno, i pchnął na ścieżkę. Inni mężczyźni z wioski Kulaam patrzyli, jak idzie, uśmiechając się albo śmiejąc otwarcie, gdyż oczekiwali już święta, a czas nadawania imion był czasem radości.

Kieli zapamiętał słowa swego dziadka i zastanawiał się, czy właściwie którykolwiek chłopiec posiada imię nadane mu przez bogów. Sprawdził, ile jeszcze płynu pozostało w tykwie i ocenił, że skończy się około południa. Wiedział, że znajdzie wodę w strumyku w połowie drogi do wioski. To

oznaczało, że musi opuścić miejsce na górze, kiedy słońce będzie w zenicie.

Siedział cicho przez chwilę, myśli o rodzinnej wiosce przemykały mu przez głowę niczym rozbryzgi piany z wodospadu na rzece płynącej za długim domem. Może gdy uwolni umysł, może jeżeli nie będzie starał się tak mocno doświadczyć wizji, wtedy ona przyjdzie do niego. Chciał już wracać do wioski; tęsknił za rodziną. Jego ojciec, Wołanie O Świcie, był dla chłopca wzorem – silny, przyjacielski, dobry, wesoły; nie znał lęku w bitwie i darzył swe dzieci łagodnym uczuciem. Chłopiec tęsknił za matką, Szeptem Nocnego Wiatru, i za młodszą siostrą, Milianą, ale najbardziej za starszym bratem, Dłonią Słońca, który powrócił ze swojej wyprawy po wizję zaledwie dwa lata wcześniej. Chłopak skórę miał spaloną na czerwono promieniami słońca i tylko na klatce piersiowej biało odcinał się kształt ręki, która spoczywała tam przez cały dzień. Ich dziadek żartował sobie, że Dłoń nie był pierwszym chłopcem, który doświadczył wizji podczas snu. Dłoń zawsze dobrze traktował swego młodszego braciszka i siostrzyczkę. Zajmował się nimi, kiedy matka musiała wyjść w pole, pokazywał im miejsca, gdzie najszybciej dojrzewają jagody. Wspomnienia owoców rozgniecionych z miodem i podawanych z ciepłym chlebem sprawiły, że chłopcu pociekła ślina.

Święto będzie bardzo radosne, a myśli o jedzeniu, które czekało na niego w wiosce, skręciły głodem żołądek Kieliego. Będzie mógł siedzieć w długim domu wraz z mężczyznami, a nie jak do tej pory w domu okrągłym z matką i innymi kobietami i dziećmi. Poczul lekki ból straty, kiedy o tym pomyślał. Śpiew kobiet podczas codziennych obowiązków, ich śmiech, przekomarzania i ploteczki były częścią jego życia, odkąd pamiętał. Ale także patrzył z dumą w przyszłość, w której będzie mógł zasiąść z mężczyznami klanu przy jednym stole.

Przez jego ciało przebiegł silny dreszcz, a potem Kieli westchnął i rozluźnił się, czując na skórze ciepłe promienie słońca. Pozwolił napiętym mięśniom nieco odpocząć i uklęknął, aby zająć się ogniskiem. Położył kilka nowych polan na żarzących się węglach i podmuchał na nie lekko. W kilka minut ogień rozpalił się na nowo. Niedługo, kiedy już górskie powietrze ogrzeje się dostatecznie, pozwoli płomieniom opaść. Teraz jednakże był wdzięczny za ciepło, jakie dawał mu ogień.

Usiadł, opierając się plecami o kamienie, które powoli rozgrzewały się w promieniach wschodzącego słońca, pomimo utrzymującego się w powietrzu chłodu, i upił kolejny łyk wody. Westchnął ciężko i spojrzał na niebo. Dlaczego nie miał żadnej wizji? Dlaczego nie otrzymał żadnej wiadomości od bogów, którzy nadają imiona mężczyznom?

Jego imię będzie kluczem do na 'ha 'tah, sekretnej natury istnienia, tej części jego osobowości, którą zna tylko on i bogowie. Inni ludzie poznają jego imię, gdyż wyjawi im je z dumą, ale nikomu nie wyjawi sekretnej natury wizji ani tego, co imię oznacza naprawdę. Nie zdradzi, jakie miejsce bogowie przeznaczili mu we wszechświecie, jakie otrzymał od nich zadanie i jakie jest jego przeznaczenie. Jego dziadek powiedział mu raz, że niewielu mężczyzn właściwie rozumie swoje na 'ha 'tah, chociaż wielu tak się właśnie wydaje. Czasami, mówił starzec, przesłanie jest proste: bądź dobrym mężem i ojcem, czyń dobro w swojej wiosce, wspomagaj kraj i plemię, bądź wzorem do naśladowania, gdyż z twego nasienia narodzi się wybraniec, na 'rif, który dokona wielkich czynów po twojej śmierci.

Kieli wiedział, co jego dziadek powiedziałby w tej właśnie chwili. Stwierdziłby, że chłopiec zanadto się martwi i po prostu powinien odłożyć troski na bok i pozwolić bogom przekazać swoją wolę. Kieli wiedział, że ojciec powiedziałby dokładnie to samo, dodając od siebie parę słów o tym,

że ten, który pragnie polować i zasiadać w długim domu albo być dobrym mężem, najpierw musi się nauczyć cierpliwości i uważnego słuchania.

Zamknął oczy i wsłuchał się w poszum wiatru przemykającego górskimi szczytami. Słyszał lekki szum, kiedy wicher poruszał delikatnie gałązkami cedrów i sosen. Czasami wiatr był okrutnym towarzyszem; przedostawał się przez najgrubsze futra i kaleczył ciało jak zimne, bezlitosne szpony. Ale potrafił także przynieść ze sobą ukojenie, chłodząc nieznośnie gorące letnie powietrze. Jego ojciec opowiedział chłopcu o głosach wiatru i o tym, jak nauczyć się je rozumieć, tak jak orły i sokoły budujące gniazda pomiędzy niedostępnymi krawędziami szczytów. Kieli podniósł gwałtownie głowę, słysząc, jak poranne powietrze przecina głośny pisk. Zobaczył srebrnego jastrzębia, który właśnie upolował królika nie dalej niż dwanaście metrów od ogniska chłopca. Ptak należał do najrzadszego gatunku, występującego tylko w wysokich górach. Miał szare pióra, cętkowane czarno w okolicy szyi i barków, ale połyskliwe upierzenie sprawiało, że jastrząb wyglądał jak srebrny, kiedy unosił się na tle czystego nieba. Ptak spadł na przerażonego królika i jednym uderzeniem skrzydeł porwał swoją ofiarę w powietrze. Jak kotek niesiony przez matkę, królik zwisał bezwładnie ze szponów jastrzębia, niejako poddając się losowi. Kieli wiedział, że zwierzątko jest w szoku. Natura oszczędziła mu bólu i strachu, przytępiając jego zmysły. Chłopiec widział kiedyś jelenia leżącego bez ruchu na ziemi w oczekiwaniu na myśliwego, który nożem skróci jego cierpienia spowodowane niecelnie wypuszczoną strzałą.

Daleko zobaczył inne ptaki, leniwie unoszące się w porannym blasku; łapały unoszące się z nagranych przez słońce kamieni ciepłe powietrze, które pozwalało im szybować w poszukiwaniu zdobyczy. Wiedział, że to myszołowy. Ich potężne skrzydła pozwalały im na szybowanie na prądach ciepłego powietrza, podczas gdy oczy ptaków wypatrywały w dole

umierających i martwych zwierząt. Na ziemi były brzydkie i niezgrabne, wyrywając sobie nawzajem strzępy padliny, ale w locie wyglądały pięknie i majestatycznie.

Na południu zobaczył balansującą kanię o czarnym ogonie. Ogon kierowała w dół i uderzała kilkakrotnie skrzydłami, a potem pozwałała ciało opaść kilka metrów. Opadała i unosiła się nad miejscem, gdzie znajdowała się jej potencjalna ofiara. Nagle z zadziwiającą zwinnością rzuciła się w dół szponami naprzód i z precyzją graniczącą z nadnaturalnymi zdolnościami uderzyła w ziemię ciasnym łukiem. Wzniosła się z powrotem w powietrze w ułamku sekundy, ściskając w pazurach piszczącą mysz.

Z daleka dotarły do niego odgłosy lasu. Dźwięki dnia i nocy różniły się od siebie. Teraz dzienni mieszkańcy puszczy zaczęli podkreślać swoją obecność, podczas gdy ich nocni sąsiedzi szukali kryjówek, aby przespać słoneczne godziny. Dziecioł hałaśliwie poszukiwał robaków w korze sąsiedniego drzewa. Kieli poznawał po sekwencjach następujących po sobie stuknięć, że szukający śniadania ptak należy do gatunku dużych dzięciołów noszących na główkach charakterystyczne czerwone czapeczki. Ptak uderzał w drzewo wolno, głośno i nieprzerwanie, inaczej niż jego mniejszy, niebieskoskrzydły kuzyn.

Słońce wzniosło się wyżej na porannym niebie. Ognisko zgasło, gdyż Kieli nie potrzebował już jego ciepła. Górskie szczyty nagrzewały się szybko. Kieli walczył z pokusą wypicia do końca wody pozostałej w tykwie, gdyż wiedział, że musi mu ona wystarczyć aż do chwili, kiedy będzie gotów, aby podjąć wędrówkę w kierunku wioski. Napije się do woli ze strumienia na szlaku, ale najpierw musi tam dotrzeć. Jeżeli zmarnuje wodę teraz, później może nie starczyć mu sił na dojście do strumyka.

Zdarzało się, chociaż bardzo rzadko, że chłopcy ginęli na szczycie góry. Plemię przygotowywało ich najlepiej, jak to było możliwe, ale ci, którzy nie zdołali przetrwać ceremonii nadawania imienia uznawani byli za odrzuconych przez bogów, a lamentsy ich rodzin napełniały gorczą radość Święta Przesilenia Letniego.

Robiło się coraz goręcej i powietrze wyschło. Nagle Kieli zorientował się, że zaczął wiać sa tata. Wiatry z północy przy nosiły chłód niezależnie od pory roku, ale letnie zachodnie bryzy stawały się w tym okresie suche i gorące. Chłopiec widział jak trawa brązowieje i kruszy się na wietrze w niecałe trzy dni a owoce schną na gałęziach. Mężczyźni byli niespokojni, a kobiety łatwo wpadały w gniew, kiedy sa tata wiał dłużej niż kilka dni skora wysychała i piekła. W takie dni Kieli jego brat pływali w jeziorach i rzekach, ale zanim docierali do wioski ich skora była już sucha i nie czuli na sobie długo chłodnego dotyku wody.

Kieli wiedział także, że jest w niebezpieczeństwie, gdyż jeżeli tu zostanie, sa tata wysysie z jego ciała każdą kroplę wilgo ci. Spojrzał na niebo i doszedł do wniosku, że do południa zostały mu już tylko dwie godziny. Popatrzył na słońce, znajdujące się teraz w połowie wysokości zenitu, i zamrugał, kiedy poczuł, jak w oczach zbierają mu się łzy.

Kich pozwolił swemu umysłowi wędrować swobodnie przez chwilę, zastanawiając się, kogo wybiorą na jego towarzyszkę przy stole. Chłopiec zapragnął przez moment, aby jego ojciec spotkał się z rodzicami jednej z młodych dziewcząt mieszkających w wiosce. Wśród rodaków Kieli mógł wybrać jedną z trzech Rapanuanę, córkę Dymu W Lesie, Janatę, córkę Wielu Złamanych Włóczni i Oko Niebieskoskrzydłej Cyraneczki, córkę Śpiewającego Dla Wiatru. Oko Niebieskoskrzydłej Cyraneczki była od niego starsza o rok i otrzymała swe kobiece imię zeszłego lata, ale w wiosce nie było żadnego chłopca w odpowiednim wieku, aby mogła się z

nim wtedy połączyć. Tego roku, razem z Kielim, w dorosłość miało wejść sześciu chłopców. Dziewczyna posiadała dziwaczne poczucie humoru i Kieli zawsze się zastanawiał, co ją tak bardzo śmieszy w danym momencie. Często wydawało mu się że jest mm zainteresowana i w jej obecności czuł się niezręcznie. Chociaż starannie to ukrywał, bał się dziewczyny trochę bardziej niż innych. Ale Rapanuana była gruba i miała zły charakter, a Janatua zawsze chodziła ze ściągniętą twarzą i z nieśmiałości nie odzywała się do chłopców. Oko Niebieskoskrzydłej Cyraneczki była wysoka i silna, a jej miodowobrazowe oczy o surowym wyrazie zwęzły się w szparki, gdy się śmiała. Miała skórę jaśniejszą niż inne dziewczęta, pokrytą mrowiem piegów. Twarz w kształcie serca okalała grzywa włosów o barwie letniego zboża. Kieli modlił się do bogów, aby jego ojciec spotkał się z rodzicami tej właśnie dziewczyny w noc przed Przesileniem Letnim, a nie z innymi. Nagle poczuł przypływ strachu. Zdał sobie sprawę, że jego ojciec mógł spotkać się z rodzicami dziewcząt spoza jego wioski, mieszkających w pobliskich siołach, z ojcem tępej Pialui, albo ładnej, ale wiecznie narzekającej Nandu.

Westchnął. I tak nie mógł nic na to poradzić. Słyszał historie o mężczyznach i kobietach, którzy się kochali, sagi opowiadane przez bazarzy przy ogniskach, opowieści zaczerpnięte od bardów z nizin i zawleczone na wyżyny Orosinich. Jednak wśród jego ludzi to ojciec wybierał narzeczoną dla syna albo przyszłego męża dla córki. Czasem zdarzało się, że chłopiec, nie, już mężczyzna, wracający z wyprawy po wizje od bogów nie zastawał w wiosce narzeczonej, która miała mu towarzyszyć w święcie dojrzałości i musiał czekać kolejny rok na inną dziewczynę. Czasami, choć rzadko, mężczyzna odkrywał, że żaden ojciec nie chce oddać mu swej córki i wyruszał do innej wioski w poszukiwaniu żony albo rezygnował z małżeństwa i pozostawał sam. Słyszał raz o wdowie, której ojciec umarł,

zanim zdążył znaleźć dla niej nowego męża. Kobieta ta zamieszkała z jednym z samotnych mężczyzn, ale nikt w wiosce nie uważał tego za właściwe.

Westchnął ponownie. Chciał, żeby już było po wszystkim. Był głodny i marzył o odpoczynku we własnym łóżku. I pragnął Oka Niebieskoskrzydłej Cyraneczki, chociaż dziewczyna sprawiała, że czuł się przy niej niezręcznie.

Wraz z wiatrem dotarł do niego dźwięk, który, jak się domyślał, wydała z siebie niedźwiedzica prowadząca młode. Zwierzę wydawało się zaniepokojone i Kieli domyślił się, że młode niedźwiedziątka właśnie wdrapują się na drzewo na rozkaz matki. Chłopiec usiadł. Co mogło aż tak zaniepokoić czarnego niedźwiedzia tutaj, w wysokich górach? Może duży drapieżnik, leopard albo kuguar? Na tej wysokości nie spotykało się raczej ogromnych skalnych lwów. Kieli pomyślał, że to może polujący wywern i poczuł się nagle mały, słaby i doskonale widoczny na tle skał.

Wywern, młodszy brat smoka, radził sobie z półtuzinem, a nawet większą liczbą doświadczonych wojów, więc chłopiec, uzbrojony jedynie w ceremonialny sztylet i tykwę z wodą stanowił bardzo łakomy kąsek dla głodnego potwora.

Polujące wilki także mogły wystraszyć niedźwiedzicę. Dzikie psy i wilczarze na ogół omijały niedźwiedzie szerokim łukiem, ale młode były łatwą zdobyczą, o ile sforze udało się odciągnąć matkę od jednego z nich.

Albo byli to ludzie.

W pewnej odległości w powietrzu utworzył się krąg myszołowów i chłopiec poderwał się z ziemi, aby mieć lepszy widok. Zakręciło mu się nagle w głowie, gdyż wstał zbyt szybko. Opierając się ręką o skałę dla podtrzymania równowagi, wpatrzył się w przeciwległy stok. Słońce było

teraz wystarczająco wysoko na niebie, aby przegonić poranne mgły i chłopiec wyraźnie widział myszołowy i kanie, krążące nad jakimś odległym miejscem. Kieli był znany w wiosce z doskonałego wzroku. Niewielu z jego plemienia widziało tak dobrze jak on, a w historii jego klanu żaden człowiek nie miał lepszego wzroku. Jego dziadek żartował sobie, że czegokolwiek by chłopcu brakowało, nie są to oczy jastrzębia.

Przez chwilę Kieli patrzył, nie rozumiejąc tego, co widzi, a potem zdał sobie sprawę, że ptaki krążą nad wioską Kapoma! Niepokój przemknął przez jego umysł niczym iskra i chłopiec bez wahania pomknął na szlak. Kapoma było wioską położoną najbliżej jego własnej.

Było tylko jedno możliwe wytłumaczenie, dlaczego tak wielu padlinożerców krążyło nad wioską: odbyła się tam bitwa. Poczuł, jak panika zaczyna przyćmiewać mu umysł. Najwyraźniej nikt nie zadbał o grzebanie zabitych. Jeżeli maruderzy rozeszli się po dolinach, następną zaatakowaną wioską będzie Kulaam!

Serce ścisnęło mu się na myśl o rodzinie walczącej z wrogiem bez niego. Dwukrotnie już podczas swego dziecięcego życia zostawał w okrągłym domu z kobietami, podczas gdy mężczyźni bronili wioski przed napastnikami. Raz walki miały charakter klanowy. Mężczyźni walczyli z wojownikami z wioski Kahanama. Drugi raz banda goblinów szukała w wiosce dzieci na ofiarę swoich ciemnych praktyk religijnych, ale solidna palisada okazała się wystarczającą obroną przed napastnikami. Któż mógł atakować wioski tym razem, zastanawiał się, zbiegając ścieżką w kierunku drzew rosnących poniżej.

Moredhelowie, nazywani przez ludzi z nizin Bractwem Mrocznego Szlaku, nie byli widziani w tych stronach od czasu dzieciństwa jego dziadka, a trolle zazwyczaj omijały wioski Orosinich z daleka. Nie wiedział nic o żadnych waśniach klanowych toczących się w pobliżu. Ludzie, którzy

mieszkali w Dorzeczu na północnym wschodzie, byli raczej pokojowo nastawieni, a Księstwo Farinda na południu nie miało żadnych zatargów z Orosinimi.

A więc zbójcy. Łowcy niewolników z Miasta Inaska albo z Przylądka Wartownika w Miskalon czasem zapuszczali się aż w góry. Wysocy, silni Orosini o jasnych albo rudych włosach osiągnęli wysokie ceny na targowiskach w Imperium Wielkiego Keshu. Kieli poczuł strach, który natychmiast sparaliżował jego umysł.

Wypił resztkę wody z ziołami, jaka mu jeszcze została, owiął sobie sznur z tykwą wokół pasa i podbiegł kilka kroków w dół zbocza. Stracił nagle równowagę. Chcąc się podeprzeć, wyciągnął w bok prawą dłoń, ale zamiar się nie powiódł i chłopiec upadł, uderzając ciężko w twarde skały. Poczuł nagły ból, aż zakręciło mu się w głowie. Lewe ramię bardzo go bolało. Nie wydawało się złamane, ale od barku aż do łokcia biegła brzydka, czerwona pręga, która zapewne wkrótce zmieni się w ogromnego siniaka. Zabolało, kiedy spróbował poruszyć ręką. Spróbował wstać, ale ból sprawił, że poczuł się słabo. Usiadł i zwymiotował na ziemię.

Nagle przestał dobrze widzieć. Cały krajobraz przybrał jaskrawożółty kolor. Chłopiec upadł na plecy na pylistą drogę. Niebo ponad nim zajaśniało brylantową bielą, żar zalał mu twarz. Oczy Kieliego zamgliły się. Ziemia pod nim wirowała i wirowała, aż wszystko uciekło spod niego i poczuł, jak zanurza się w ciemny tunel.



Obudził go ból. Otworzył oczy, kiedy poczuł to na lewej dłoni. Zmrużył powieki, skupiając wzrok w jednym punkcie, próbując zogniskować spojrzenie zmęczone zawrotami głowy. A potem zobaczył to dokładnie.

Na jego ramieniu, lekko wygięte, spoczywało coś, co wyglądało jak rozczapierzone pazury. Kieli nie poruszył głową, tylko powiódł oczyma w bok. Zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od jego nosa stał srebrny jastrząb. Ptak jedną łapą opierał się na ramieniu chłopca, szponami znacząc skórę, ale nie uszkodzając jej. Tak jakby chciał zbudzić nieprzytomnego chłopca, jastrząb ponownie zagiął szpony, wbijając je odrobinę głębiej.

Kieli złapał się na tym, że patrzy w czarne oczy ptaka. Pazury jastrzębia zacisnęły się po raz kolejny i Kieli poczuł ból w ramieniu. Chłopiec nie oderwał jednak wzroku od oczu ptaka. A potem usłyszał słowa: Wstań, mały bracie. Wstań i bądź szponem swojego ludu. Tak jak czujesz moje pazury na swoim ramieniu, pamiętaj, tak masz strzec i bronić, walczyć i mścić się. Kieli poderwał się z ziemi i stanął, ciągle z jastrzębiem na ramieniu. Ptak załopotał skrzydłami, aby utrzymać równowagę.

Kieli na chwilę zapomniał o bólu, kiedy tak stał, patrząc na jastrzębia. Ptak także spoglądał na chłopca. Potem kiwnął głową, tak jakby zgadzał się z Kielim. Ich oczy spotkały się ponownie i ptak ze skrzekiem poderwał się do góry. Chłopiec poczuł na uchu muśnięcie skrzydeł. Prawe ramię Kieliego zabolowało go i chłopiec podniósł dłoń, aby je zbadać. Zobaczył na skórze ślady po ukłuciu ptasich szponów.

Czy to była moja wizja? – zastanawiał się po cichu. Żaden jastrząb nie zachowywał się podobnie w całej historii jego ludu. Nagle, zaszokowany swoją głupotą, przypomniał sobie powód, dla którego tak pędził w dół na złamanie karku.

Skały wokół niego ciągle kapały się w upale południa. Kieli poczuł się słaby. Lewe ramię bolało go mocno, ale umysł miał jasny i wiedział, że zdoła dotrzeć do strumienia. Szedł uważnie, patrząc pod nogi i wybierając oparcie na kamieniach, aby ustrzec się przed ponownym upadkiem i bólem. Jeżeli członków jego klanu czekała walka, on też, ze zranionym ramieniem

czy ze zdrowym, musi stanąć jako mężczyzna, którym jest od tej chwili, u boku swego ojca, wujów i dziadka i bronić swej wioski. Kieli szedł w dół szlaku, potykając się na pylistej dróżce. Jego lewe przedramię wysyłało sygnały bólu, silniejsze z każdym krokiem. Odgrzebał w pamięci piosenkę, litanię otępiającą umysł, która stłumi cierpienie, i zaczął cicho śpiewać. Szybko poczuł ulgę, chociaż pieśń nie działała tak skutecznie, jak zapewniał go dziadek. Ramię ciągle go bolało, ale przynajmniej ból nie ogłupiał go i nie zaćmiewał umysłu.

Chłopiec dotarł do strumienia i wskoczył do niego. Ból w ramieniu eksplodował, podsycony tak nierozważnym postępkim. Kieli zaczerpnął gwałtownie powietrze i spora ilość wody wdarła mu się do otwartych ust. Odwrócił się na plecy i wypluł wodą. Parskając, usunął płyn z nosa i usiadł na dnies rzeczki, pokaszując. W końcu przeturlał się na kolana i napił się. Napełnił szybko tykwę, znów przymocował ją do pasa i podjął przerwany marsz.

Umierał z głodu, ale woda na chwilę uspokoiła jego pusty żołądek. Do wioski musiał iść jeszcze dwie godziny. Gdyby biegł stałym, regularnym tempem, dotarłby na miejsce pół godziny wcześniej. Ale ze zranionym ramieniem i osłabiony głodem nie miał sił na bieg. Poniżej strumienia szlak zanurzał się w potężny las, gdzie upał dnia nie dawał się tak bardzo we znaki. Chłopiec ruszył szybkim marszem, biegnąc na odcinkach, gdzie ścieżka była równa i gładka. Poruszał się tak cicho, jak tylko potrafił, skupiając się na czekającej go walce.



Zbliżywszy się do wioski, Kieli usłyszał odgłosy bitwy. Poczł dym. Kobięcy krzyk przebił jego serce niczym ostrze miecza. Czy to krzyczała

jego matka? Nieważne, wiedział, że ktokolwiek to był, znał tę kobietę przez całe swoje życie.

Wyjął zza pasa ceremonialny sztylet i ujął go mocno prawą dłonią. Tak bardzo chciałby mieć teraz dwie sprawne ręce i miecz albo włócznię. W upale dnia nie odczuwał potrzeby noszenia kompletnego ubrania, chociaż w nocy brakowało mu płaszcza i tuniki, ale teraz poczuł się szczególnie pozbawiony ochrony. Mimo tego jednak, pospieszył w kierunku wioski, a podniecenie odczuwane w związku z oczekiwaną walką odsunęło ból ramienia i zmęczenie na dalszy plan.

Duszące chmury dymu, pomiędzy którymi ukazywały się języki ognia, ukryły przed nim zniszczenia, ale i tak chwilę później został przywitany przez ruiny. Dobiegł do miejsca, w którym szlak opuszczał las i zanurzał się pomiędzy warzywne ogrody wioski, zanim dotarł do palisady. Brama była otwarta, tak jak w czasie pokoju. Nikt nigdy nie zaatakował wioski podczas Przesilenia Letniego. Święto to było nieoficjalnym dniem zawieszenia broni, nawet podczas wojen. Stan drewnianych ostrokołów i towarzyszących im ziemnych umocnień powiedział chłopcu, że wrogowie wpadli do wioski przez bramę, zanim sygnał alarmu zdołał ostrzec jej mieszkańców. Większość ludzi powinna znajdować się na głównym placu, przygotowując się do święta.

Dym i płomienie były wszędzie. Widział zarysy sylwetek ludzkich, wiele na końskich grzbietach. Na ziemi leżały ciała. Kieli zatrzymał się. Dalsze podążanie szlakiem uczyniłoby z niego łatwy cel. Lepiej, żeby okrążył wioskę, trzymając się skraju lasu, i dotarł do punktu, gdzie zarośla podchodzą aż pod samą palisadę za domem Wielu Wspaniałych Koni.

Kiedy chłopiec ruszył w prawo, zobaczył, że dym odsuwa się od niego. Mógł teraz widzieć dokładnie. Wielu jego przyjaciół spoczywało bez ruchu

na ziemi. Nie mógł pogodzić się z obrazem, jaki przekazywały mu jego oczy. Nie rozumiał, co się dzieje.

Ludzie na koniach, noszący bardzo różne ubrania i odmienne w stylu i wykonaniu zbroje, hasali po wiosce. Kilku trzymało w dłoniach pochodnie, którymi podpalali domy. Najemnicy albo łowcy niewolników, pomyślał Kieli. Potem ujrzał pieszych noszących tabardy z symbolem księcia Olasko, władcy potężnego księstwa na południowym wschodzie. Ale dlaczego mieliby oni pomagać zbójcom napadającym na wioski Orosinich?

Kiedy dotarł na tyły domu Wielu Wspaniałych Koni, zaczął się czołgać. Zobaczył olaskańskiego żołnierza leżącego bez ruchu tuż pod ścianą budynku. Chłopiec odrzucił sztylet i zdecydował się na zabranie trupowi miecza. Jeżeli nikt by nie zauważył, spróbowałby także zabrać okrągłą tarczę zamocowaną na lewym ramieniu wojownika. Z pewnością lewa ręka będzie go bolała od ciężaru tarczy, ale dodatkowa osłona mogła zdecydować o życiu i śmierci.

W ciemnym dymie z trudnością odróżniał od siebie sylwetki poruszających się w oddali ludzi. Docierały do niego okrzyki wściekłości i bólu. Wiedział, że jego towarzysze walczą z najeźdźcami o życie.

Oczy piekły go od gryzącego dymu i musiał mrugać, aby łzy nie zasłaniały mu widoku, kiedy zbliżył się do zabitego żołnierza. Odwrócił ciało, aby zabrać miecz. Kiedy dłoń chłopca opadła na głownię broni, żołnierz nagle otworzył oczy. Kieli zamarł i, gdy rzucił się w tył, ciągnąc za miecz, poczuł, jak wojownik uderza go w twarz kantem tarczy.

Kieli upadł na plecy, częściowo tracąc przytomność. Ziemia zdawała się falować pod jego stopami, gdy się poderwał. Tylko wrodzona szybkość uratowała chłopca przed śmiercią, gdyż, jak tylko żołnierz wstał z ziemi, wznosząc w dłoni sztylet, Kieli natychmiast zrobił unik.

Przez chwilę chłopiec myślał, że udało mu się uniknąć ostrza, a potem klatka piersiowa zapłonęła bólem i poczuł, jak krew zalewa jego ciało. Rana była płytka, ale długa. Biegła od lewego obojczyka do prawego sutka, a potem w dół do granicy żeber.

Kieli ciął trzymanym w dłoni mieczem i poczuł, jak ostrze uderza w tarczę, którą żołnierz zablokował cios.

Chłopiec wiedział, że jeszcze jeden atak i zostanie pokonany. O włos zaledwie uniknął śmierci od uderzenia sztyletem w brzuch. Kieli zdawał sobie sprawę, że gdyby żołnierz uderzył go mieczem, zamiast tym sztylecikiem, leżałby teraz na ziemi w kałuży wnętrzości.

Strach nie pozwalał mu wstać, ale myśl o rodzinie walczącej o życie zaledwie metry od niego w ciemnym dymie dała mu siłę.

Widząc wahanie chłopca, żołnierz uśmiechnął się okrutnie i podszedł bliżej. Kieli wiedział, że jego jedyna przewaga nad wrogiem to długość ostrza, dlatego odsłonił swą poranioną klatkę piersiową jako przynętę i niezdarnie uniósł oburącz miecz do góry, jakby zamierzał z zamachem rozplatać czaszkę przeciwnika. Tak jak Kieli się spodziewał, żołnierz momentalnie uniósł tarczę, aby zasłonić się przed ciosem, a drugą ręką wyprowadził pchnięcie w nieosłonięty brzuch chłopca.

Kieli, jednakże, upadł szybko na kolana, półobrotem opuszczając miecz i zamachnął się, szerokim łukiem uderzając w nogi przeciwnika. Ostrze przecięło ścięgna i żołnierz upadł na plecy, krzycząc. Krew trysnęła z arterii rozprutych tuż pod kolanem. Kieli skoczył na równe nogi i nadepnął na dłoń, w której żołnierz trzymał sztylet. A potem wbił ostrze w gardło leżącego, kończąc jego przedśmiertelne męki.

Chłopiec próbował wytrzeć do sucha głównię miecza, ale spostrzegł, że z rany na piersi krew leje się obfitym strumieniem i wiedział, że niedługo

sam opadnie z sił, jeżeli nie zatamuje krwawienia. I tak zresztą rana nie wyglądała tak źle, jak się tego spodziewał.

Kiedy podążał w kierunku odgłosów walki, podmuch wiatru rozwiał na chwilę dym i chłopiec mógł wreszcie wyraźnie zobaczyć, co dzieje się na głównym placu wioski. Stoły, suto zastawione jedzeniem i napitkami, zostały przewrócone. Wokoło, wdeptane w ziemię, poniewierały się resztki uczty naszykowanej na dzień święta. Girlandy kwiatów leżały w błocie zmieszonym z winem i krwią. Przez chwilę Kieli zwątpił i poddał się panice, strach zalał jego duszę i umysł. Zamrugnął, powstrzymując łzy, chociaż nie był pewien, co je wywołało – dym czy gniew. Niedaleko leżały trzy małe ciała; najwyraźniej dzieci zginęły od ciosu miecza w plecy podczas ucieczki w poszukiwaniu schronienia. Za nimi zobaczył mężczyzn z wioski, którzy murem bronili okrągłego domu. Kieli wiedział, że kobiety i pozostałe przy życiu dzieci chowają się w środku. Kobiety z pewnością ścisnęły w dłoniach noże i sztylety, którymi będą bronić swoich maleństw, kiedy ostatni mężczyzna zginie z ręki wroga.

Mężczyźni, których znał, zostali zabici, chociaż walczyli z desperacją, broniąc swoich rodzin. Żołnierze skryli się za murem tarcz i napierali na garstkę obrońców z nastawionymi na sztorc włóczniami. Za nimi podążali konni, spokojnie naciągający kusze i posyłający mrowie bełtów w kierunku mieszkańców wioski.

Łucznicy Orosinich strzelali w odpowiedzi, ale wynik bitwy był jasny dla każdego, nawet dla tak niedoświadczonego chłopca jak Kieli. Młodzieniec zdawał sobie sprawę, że nie przeżyje tego dnia, ale nawet mimo to, nie mógł stać obojętny za szeregami najeźdźców i poddać się, chociaż sam nie mógł wiele zdziałać.

Na miękkich nogach ruszył do przodu, biorąc sobie za cel człowieka siedzącego na czarnym koniu, wyglądającego na przywódcę bandy

morderców. Obok niego stał kolejny jeździec, ubrany w czarne spodnie i czarną tunikę. Włosy miał równie ciemne jak ubranie; spadały mu na plecy czarną falą, a pojedyncze kosmyki pozakładał sobie za uszy.

Człowiek w jakiś sposób wyczuł zagrożenie czające się za jego plecami, gdyż odwrócił się, kiedy tylko Kieli zaczął biec. Chłopiec ujrzał twarz mężczyzny bardzo wyraźnie. Czarna broda zakrywała jego twarz aż do linii szczęk, długi nos nadawał jego twarzy surowy wygląd. Mężczyzna zaciskał usta, jakby czymś się trapił, zanim usłyszał atakującego chłopca. Oczy jeźdźca otworzyły się odrobinę szerzej, kiedy zobaczył uzbrojonego i zalanego krwią napastnika szarżującego pomiędzy domów. Potem powiedział coś cicho i spokojnie do oficera siedzącego na koniu obok, który także się odwrócił. Człowiek, ubrany na czarno, podniósł ramię zdecydowanym ruchem. W dłoni trzymał małą kuszę. Spokojnie wycelował.

Kieli wiedział, że musi uderzyć, zanim palec najeźdźcy zwolni spust. Ale dwa kroki przed jeźdźcem nogi odmówiły chłopcu posłuszeństwa. Nowo zdobyty miecz ciążył Kieliemu, jakby był zrobiony z ołowiu i kamienia. Ramię chłopca nie posłuchało rozkazu i cios wymierzony w głowę wroga nigdy nie dotarł do celu.

Chłopiec był o krok od jeźdźców, kiedy człowiek w czerni wystrzelił. Potem kolana chłopca ugięły się. Bełt ugodził go prosto w pierś i zagłębił się w mięśniu, tuż ponad cięciem zadany przez sztylet żołnierza.

Uderzenie zważyło go z nóg, a krew tryskająca z rany pobrudziła obu mężczyzn. Miecz wysunął mu się z palców, które nie miały siły, aby dalej go utrzymać. Kolana uderzyły w ziemię i chłopiec upadł na plecy. Jego oczy zasły mgłą, kiedy ból i szok zapanowały nad zranionym ciałem.

Usłyszał krzyzących ludzi, ale dźwięki były stłumione i nie mógł zrozumieć, co znaczą wypowiedane słowa. Przez chwilę zobaczył: wysoko

na niebie ponad nim krążył srebrny jastrząb i chłopcu wydawało się, że ptak patrzy się wprost na niego. W umyśle ponownie usłyszał słowa. Wytwaj, mały braciszku. Twój czas jeszcze nie nadszedł. Bądź moim szponem i pokonaj naszych wrogów.

Z obrazem ptaka pod powiekami, Kieli stracił przytomność.

ROZDZIAŁ DRUGI

ZAJAZD KENDRIKA

Kieli poczuł, jak jego ciało przeszywa ostry ból. Nie potrafił się zmusić do otwarcia oczu, ale wiedział, że żyje. Poczuł na sobie dotyk rąk i usłyszał głos mamroczący coś jakby z wielkiej odległości.

– Ten ciągle żyje.

– Wrzucmy go na wóz. Stracił mnóstwo krwi – powiedział ktoś inny.

Część umysłu Kieliego zarejestrowała, że słowa, które właśnie usłyszał, wypowiedziano w języku kupców, nazywanym wspólnym językiem, a nie w języku Orosinich.

Poczuł na sobie kolejną parę rąk. Kiedy zaczęli go podnosić, jęknął i ponownie stracił świadomość.



Kieli budził się powoli, czując ból w całym ciele. Zmusił się do otwarcia oczu i spróbował podnieść głowę. Wysilek wywołał kolejną falę cierpienia i żołądek chłopca skurczył się, chociaż nie zawierał w sobie nic, co można by wymiotować. Obezwładniające uczucie bólu, które przemknęło przez jego ciało, sprawiło, że chłopiec głośno westchnął i jęknął.

Nie mógł zogniskować wzroku, więc nie zobaczył właściciela delikatnych dłoni, które pchnęły go z powrotem na posłanie.

– Leż spokojnie, kolego. Oddychaj powoli – powiedział do niego mężczyzna.

Kieli widział przed sobą kształty: zarysy głowy w cieniu, błyski na niebie ponad nim. Mrugnął i spróbował przetrzeć oczy.

– Masz, pij – powiedział ktoś inny gdzieś ponad nim i tykwa, wypełniona wodą, dotknęła ust chłopca.

– Pij powoli – dodał pierwszy z mężczyzn. – Straciłeś wiele krwi. Myśleliśmy, że nie uda ci się z tego wylizać.

Pierwszy łyk wywołał spazmy i Kieli zwymiotował tę odrobinę wody na posłanie.

– Pij mniejszymi łyżkami.

Zrobił, jak mu kazano, i część wody pozostała w żołądku. Nagle poczuł pragnienie tak wielkie jak nigdy w życiu. Próbował połykać wodę, ale tykwa odsunęła się od jego ust. Spróbował podnieść rękę, aby złapać oddalające się naczynie, ale ramię nie chciało się ruszyć.

– Małymi łyżkami, mówię – powtórzył mężczyzna. Tykwa znów dotknęła jego ust i zaczął sączyć wodę. Czuł, jak zimny płyn spływa w dół gardła do żołądka.

Skoncentrował całe swe słabe siły na tym, aby woda spływała do żołądka i tam już została. A potem podniósł oczy ponad krawędź tykwy i spróbował dojrzeć twarze swoich dobroczyńców. Ale mógł tylko zobaczyć niewyraźne zarysy, zamazane we wszechobecnej szarości. Ponownie stracił przytomność.



Na pewnym etapie podróży zatrzymali się na dłuższy popas. Chłopiec przyglądał się ciekawie otoczeniu; leżał w jakiejś stodole czy szałasie, nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością. Czuł, że przez długi czas padało. Powietrze było ciężkie i wypełnione zapachem wilgotnej ziemi, a nasiąknięte drewno wydzielalo zbutwiałą woń.

Potem obrazy zamazywały się w pamięci chłopca. Jechał na wozie. Przez chwilę poczuł, że jest południe i jadą przez lasy, ale drzewa były odmienne od tych, które otaczały jego rodzinną wioskę. Wiedział, że to nie jego strony – sylwetki drzew nie pasowały do zapamiętanych kształtów, charakterystycznych dla cedrów, sosen i świerków rosnących w jego lesie. Widział zamiast tego dęby, jesiony i inne drzewa, których nie znał. Z powrotem zanurzył się w niespokojny sen.

Pamiętał jedzenie, które wpychano mu między wargi, i to, jak je połykał, z palącym gardłem i bólem w przełyku. Pamiętał gorączkowe sny i przebudzenia, kiedy cały zlany potem czuł, jak jego serce tłucze się w klatce piersiowej. Pamiętał, jak przez sen wołał imię swego ojca.

Jednej nocy śnił, że jest znów w swojej wiosce, w ciepłym okrągłym domu z matką i innymi kobietami. Czuł, jak spływa na niego fala ich miłości. A potem obudził się na twardej ziemi z nozdrzami pełnymi zapachu mokrej gleby; dym z ogniska, przed momentem zalanego wodą, snuł się nisko przy ziemi. Zobaczył dwóch mężczyzn śpiących po obu jego stronach i z powrotem opadł na posłanie, zastanawiając się, w jaki sposób i z kim przybył w to miejsce. Nagle pamięć podsunęła mu zapomniane obrazy i przypomniał sobie atak na wioskę. Poczuł nieproszone łzy w kącikach oczu i zapłakał, czując, jak cała radość i nadzieja umiera w jego sercu.

Nie potrafił policzyć dni. Nie wiedział, ile już trwa ta podróż. Niosło go dwóch mężczyzn, ale nie mógł sobie przypomnieć, czy zdradzili mu oni swoje imiona. Pamiętał, jak zadawali mu pytania i że na nie odpowiadał, ale nie mógł sobie przypomnieć tematu tych rozmów.

A potem, pewnego poranka, umysł nagle mu się rozjaśnił.

Kieli otworzył oczy i, chociaż był słaby, odkrył, że poznaje otoczenie, w którym przebywa. Znajdował się w ogromnej stodole, z drzwiami na obu

końcach. Słyszał, jak w zagrodzie obok konie żują powoli swój pokarm. Leżał na snopku siana przykrytym podwójnie złożonym kocem. Kolejne dwa pledy okrywały ciało chłopca. Powietrze było sine od dymu wydobywającego się z małego obozowego piecyka, który był niczym więcej niż tylko metalową beczką z płonącymi w środku węglami. Piecyk był bezpieczniejszy od ogniska, przynajmniej w stodole pełnej siana Kieli oparł się na łokciu i rozejrzał dookoła. Dym podrażniał mu trochę oczy, ale na szczęście większość oparu uciekała przez otwarte drzwi. Było cicho, więc Kieli doszedł do wniosku, że na dworze nie pada.

Bolało go całe ciało i czuł się zeszywniały, ale ostrożne ruchy nie wywoływały już fal obezwładniającego bólu, jak to działo się wcześniej.

Naprzeciw chłopca, na drewnianym stołku siedział człowiek, wpatrując się w niego ciemnymi oczyma. Włosy mężczyzny były prawie całkowicie siwe, chociaż tu i ówdzie chłopiec dostrzegał jeszcze czarne pasma. Długie wąsy opadały po obu stronach ust, mocno zaciśniętych, jakby ich właściciel mocno się nad czymś zastanawiał. Masa włosów opadała mu na czoło, zakrywając je prawie w pełni. Kosmyki sięgały aż do ramion.

Mrugając, Kieli usunął resztki ropy z kącików oczu.

– Gdzie ja jestem? – wychrypiał do obcego.

Człowiek wpatrywał się w chłopca z zaciekawieniem.

– A więc powróciłeś między żywych? – zapytał, nie oczekując odpowiedzi. Na chwilę zapadła cisza. – Robercie! – zawołał przez ramię w kierunku drzwi stodoły.

Chwilę później drzwi się otworzyły i kolejny mężczyzna wszedł do stodoły. Nowo przybyły klęknął obok posłania Kieliego.

Ten mężczyzna był starszy. Jego siwych włosów nie ożywiał żaden kolor, ale oczy starca świadczyły o jego potędze. Spojrzał w oczy chłopca.

– Cóż, Szponie, jak się czujesz? – zapytał łagodnie.

– Szponie?

– Powiedziałeś nam, że twoje imię brzmi Szpon Srebrnego Jastrzębia – wyjaśnił starszy mężczyzna.

Chłopiec zamrugał i spróbował zebrać myśli, zastanawiając się, dlaczego miałby się przedstawiać tym obcym ludziom w podobny sposób. W końcu przypomniał sobie wizję i zdał sobie sprawę, że, w rzeczy samej, te obrazy miały nadać mu imię. Odległy głos odbił się echem w jego umyśle. Powstań i bądź szponem swojego ludu.

– Co sobie przypominasz?

– Pamiętam bitwę... – Czarna otchłań otworzyła się w jego duszy i poczuł, jak w oczach zbierają mu się łzy. Odpychając smutek na bok, powiedział: – Wszyscy nie żyją, prawda?

– Tak – odpowiedział człowiek o imieniu Robert. – A czy pamiętasz, co wydarzyło się po bitwie?

– Pamiętam wóz... – Kieli, który teraz myślał o sobie jako o „Szponie”, zamknął na chwilę oczy. – Zabraliście mnie stamtąd – dodał.

– Tak – zgodził się Robert. – Nie mogliśmy cię tak po prostu zostawić, żebyś tam umarł z upływu krwi. Poza tym jest parę rzeczy, których chcielibyśmy się dowiedzieć o tobie i o bitwie – dodał łagodnie – Jakich rzeczy? – zapytał Szpon.

– To może jeszcze poczekać.

– Gdzie ja jestem? – ponownie zapytał Szpon.

– Jesteś w Zajeździe Kendrika.

Chłopiec próbował sobie przypomnieć. Słyszał już o tym miejscu, ale nie mógł przywołać z pamięci żadnych szczegółów. – Dlaczego mnie tu zabraliście?

Człowiek z długimi wąsami zaśmiał się.

– Uratowaliśmy twą nędzną powłokę cielesną, bo się do tego poczuwaliśmy.

– I poza tym – kontynuował Robert – to miejsce doskonale się nadaje na odpoczynek i powrót do zdrowia. – Wstał i ruszył w kierunku drzwi ze schyloną głową, żeby nie uderzyć się w niski sufit. – Ta chata należy do myśliwego i nie jest używana od lat. Kendrik pozwala nam tu przebywać bez żadnych opłat. Co prawda w jego zajeździe jest cieplej, mają czystsze posłania i lepsze jedzenie...

– ...ale także zbyt wiele tam niepożądanych oczu i uszu dokończył drugi.

Robert rzucił mu spojrzenie i lekko potrząsnął głową.

– Nosisz imię mężczyzny, ale na twojej twarzy nie widać żadnych tatuaży – powiedział człowiek z wąsami.

– Bo w dniu nadania imienia wybuchła ta bitwa – odpowiedział słabo Szpon.

Drugi mężczyzna, ten o imieniu Robert, spojrział na swego towarzysza, a potem ponownie odwrócił się do chłopca.

– To było ponad dwa tygodnie temu. Podróżujesz z nami od tego czasu, od kiedy Pasko znalazł cię w twojej wiosce.

– Czy ktokolwiek jeszcze przeżył? – zapytał Szpon głosem drżącym z emocji.

Robert ponownie podszedł do chłopca, uklęknął przy jego posłaniu i położył delikatnie ręce na jego ramionach. – Nie. Wszyscy odeszli – powiedział.

– Łotry były bardzo dokładne, to trzeba im przyznać – dodał Pasko.

– Ale kto? – zapytał Szpon.

Dłoń Roberta delikatnie popchnęła chłopca na posłanie.

– Odpoczywaj. Pasko nakarmi cię niebawem odrobiną gorącej zupy. Cudem uniknąłeś śmierci. Przez długi czas sądziliśmy, że nie przeżyjesz.

Żywiliśmy cię jedynie wodą i zimnym rosołem. Teraz musisz jeść, aby odzyskać siły. – Przerwał na chwilę. – Musimy pomówić o bardzo wielu rzeczach, ale mamy na to jeszcze dużo czasu. Bardzo dużo czasu, Szponie Srebrnego Jastrzębia.

Szpon nie chciał odpoczywać. Chciał usłyszeć odpowiedzi na pytania, ale jego osłabione ciało odmówiło posłuszeństwa. Położył się i zasnął ponownie.



Ptasie trele powitały go następnego dnia, kiedy się obudził wygłodniały jak wilk. Pasko przyniósł mu wielki gliniany kubek gorącego rosołu i zmusił do spokojnego wypicia płynu. Ten drugi mężczyzna, Robert, gdzieś zniknął.

Szpon poparzył sobie usta gorącą zupą.

– Co to za miejsce? – zapytał.

– Zajazd Kendrika? To, hm... gospoda, ukryta gdzieś w lasach Latagore.

– Dlaczego?

– Co dlaczego? Dlaczego tu jesteśmy, czy dlaczego ty właśnie przeżyłeś?

– Chcę obu odpowiedzi, tak mi się wydaje – odparł Szpon.

– Najpierw odpowiem na drugie – powiedział Pasko, siadając na niskim stołeczku i biorąc w dłonie swój własny kubek rosołu. – Znaleźliśmy cię pośród takiego mrowia trupów, jakiego nie widziałem od czasów mojej młodości, kiedy byłem żołnierzem w służbie księcia Dungarren, w Far Loren. Zostawilibyśmy cię krukowi na żer, tak jak pozostałych, ale na szczęście usłyszałem, jak jęczysz... cóż, to nawet nie był jęk, bardziej brzmiał jak głośniejsze westchnienie. Przeżyłeś tylko dzięki sprzyjającemu losowi. Byłeś cały zalany krwią, a twoją klatkę piersiową przecinała

naprawdę paskudna rana, więc obaj na początku myśleliśmy, że jesteś martwy. W każdym razie oddychałeś i mój pan rozkazał mi zabrać cię z pobojuwiska. On ma miękkie serce, mówię ci.

– Muszę mu podziękować – powiedział Szpon, mimo tego, że czuł się bardzo nieszczęśliwy. On jeden przeżył, a myśl o członkach rodziny, którzy odeszli, nie nastrojała go do wdzięczności.

– Podejrzewam, że on już znajdzie sposób, abyś spłacił mu zaciągnięty dług – odparł Pasko. Mężczyzna wstał. – Masz ochotę rozprostować trochę nogi?

Szpon skinął potakująco głową. Zaczął się podnosić, ale zakręciło mu się w głowie, a całe ciało ogarnął ból. Nie miał siły, żeby wstać.

– Spokojnie, kolego! – zawołał Pasko, podbiegając, aby podać chłopcu pomocną dłoń. – Jesteś słabszy od jednodniowego kociaka. Potrzebujesz więcej odpoczynku i więcej jedzenia, aby dojść do siebie, ale teraz najlepiej ci zrobi mała przechadzka.

Pasko pomógł Szponowi podejść do drzwi stodoły i wyszli razem na zewnątrz. Poranek był bardzo rześki. Szpon czuł, że znajdują się w dolinie na nizinach. Powietrze pachniało inaczej niż na wysokogórskich łąkach, gdzie się wychował. Nogi Szpona drżały z wysiłku i jego towarzysz zmusił go, aby szedł małymi kroczkami. Pasko zatrzymał się i pozwolił chłopcu rozejrzeć się dookoła.

Znajdowali się na ogromnym dziedzińcu, otoczonym wysokim murem z dopasowanych kamieni. Chłopiec rzucił okiem na ich konstrukcję i natychmiast uznał mury za fortyfikacje; kamienne stopnie przyklejone do ścian prowadziły na szczyt wału z kilku miejsc leżących blisko dużego budynku, który wyglądał jak zajazd. Wierzchołek muru ukształtowany był w blanki i załomy i tak szeroki, że dwóch mężczyzn mogło się po nim swobodnie przechadzać, pilnując albo broniąc zabudowań.

Zajazd był największym budynkiem, jaki Szpon widział w swoim dotychczasowym życiu. Długie i okrągłe domy w jego rodzinnej wiosce wyglądały przy nim jak karły. Zajazd wznosił się do góry na trzy piętra, a jego dach pokrywały kamienne dachówki, zamiast zwyczajowej słomy czy drewna. Pomalowany był na biało, okienne i drzwiowe otwory obłożono drewnem. Framugi i drzwi miały wesoły, zielony kolor. W niebo wznosił się dym z kilku kominów, wysoko sterczących nad dachem.

Przy ścianie stodoły stał wóz i Szpon domyślił się, że to właśnie tym pojazdem go tu przywieziono. W oddali widział wierzchołki drzew, co pozwoliło mu mniemać, że las wokół zabudowań zajazdu został starannie wykarczowany.

– I co zobaczyłeś? – zapytał nieoczekiwanie Pasko.

Szpon spojrzał na mężczyznę, który przypatrywał mu się z uwagą. Zaczął mówić, a potem, przypominając sobie radę dziadka, żeby widzieć także to, co nie jest oczywiste, zamilkł i kiwnął na Pasko, aby tamten pomógł mu przejść jeszcze kilka kroków w kierunku stopni prowadzących na szczyt muru. Powoli wdrapali się na nie i stanęli na górze, spoglądając na świat poza ścianą.

Zajazd umiejscowiono w środku naturalnej polany, ale pnie ściętych drzew wskazywały na to, że kilka lat temu obszar został sztucznie powiększony. Karczce pokrywały trawy i skłębione zarośla jeżyn, ale zagłębiająca się w lesie droga utrzymana była w nienagannym porządku.

– I co widzisz? – powtórnie zapytał Pasko.

Szpon ciągle nie odpowiadał, ale ruszył w kierunku zajazdu. Kiedy się odwrócił w kierunku zabudowań, ich kształt uwolnił wreszcie w jego umyśle odpowiednie skojarzenia. Zawahał się. Posługiwał się wspólnym językiem ze sprawnością podobną jak każdy inny chłopiec z jego wioski. Nie mówił wiele w tym języku, wyłączając dni, kiedy do wioski

przyjeżdżali kupcy... Myśl o domu sprawiła, że do serca chłopca powróciło lodowate uczucie beznadziei. Odepchnął ból i zastanowił się nad słowem, którego zamierzał użyć.

– To jest twierdza, a nie żaden zajazd – powiedział w końcu.

Pasko uśmiechnął się szeroko.

– Właściwie twierdza i zajazd. Kendrik nie ma zbyt wielkiego zaufania do niektórych swoich sąsiadów.

Szpon skinął głową. Mury wyglądały solidnie, a las ze wszystkich stron został wycięty, aby dać łucznikom na blankach dobre pole do ostrzału. Droga, wyłaniająca się z lasu, skręcała gwałtownie w kierunku zajazdu i opasywała zabudowania, kończąc się w bramie, która zdawała się być umieszczona po drugiej stronie domostwa. Żaden taran ani płonący wóz nie mógł być skutecznie wymierzony w bramę, a zniszczenie jej wymagało raczej sporego trudu.

Przyjrzał się rozmieszczeniu budynków. Łucznicy w oknach na górnych piętrach zajazdu mogli wspomagać obrońców na murach jako druga linia. Zwrócił oczy w kierunku drzwi i zobaczył, że zostały wzmocnione pasami metalu. Wyobraził sobie, że można je także zabarykadować od środka. Jedynie bardzo silni mężczyźni z ciężkimi toporami mogliby przebić się przez te wrota. Podniósł wzrok wyżej i zobaczył prześwity nad każdymi drzwiami. Przez te otwory obrońcy mogli razić napastnika napierającego na zajazd gorącym olejem, wodą, a nawet strzałami.

– Ci jego sąsiedzi muszą być bardzo uciążliwi – odezwał się w końcu chłopiec.

Pasko zachichotał.

– W rzeczy samej.

Kiedy stali tak na szczycie muru, drzwi do zajazdu otworzyły się i wyszła przez nie młoda dziewczyna, niosąca wielkie wiadro. Spojrzała do

góry, zobaczyła ich i machnęła kilkakroć ręką.

– Witaj, Pasko!

– Witaj, Lela!

– A kimże jest twój przyjaciel? – zapytała zaczepnie.

Wyglądała na kilka lat starszą od Szpona, ale, inaczej niż dziewczęta, które znał ze swojej rodzinnej wioski, miała ciemną skórę. Jej cera była ciemnooliwkowa, a włosy czarne jak noc. W dużych brązowych oczach migotały iskierki, kiedy się śmiała.

– Chłopak, którego zabraliśmy po drodze. Zostaw go w spokoju. Masz już chyba wystarczająco wielu adoratorów.

– Nigdy za wielu! – zawołała wesoło i zawirowała tanecznym krokiem, kołysząc mocno kubłem, a potem ruszyła dalej. – Przydałaby mi się pomoc. Muszę przynieść wody – powiedziała z zalotnym uśmiechem.

– Jesteś zdrową i wystarczająco silną dziewczyną, a chłopiec jest ranny.

– Pasko przerwał na chwilę, a potem dokończył. – Gdzie są Lars i Gibbs?

– Kendrik wysłał ich na zewnątrz – powiedziała Lela, znikając za przeciwległą ścianą stodoły.

Szpon stał cicho przez chwilę po tym, jak dziewczyna zniknęła im z oczu, a potem zapytał: – Co mam teraz robić? – W sercu czuł głęboką rezygnację i zwątpienie. Był bezwolny, po raz pierwszy w swoim młodzieńczym życiu poczuł się bezradny. Bez rodziny... Wspomnienia rodzinnej wioski spowodowały, że łzy napłynęły mu do oczu. Orosini byli ludem bardzo emocjonalnym. Głośno świętowali w czasie radości i otwarcie płakali, gdy dławił ich żal. Ale w obecności obcych powściągali zawsze uczucia. W tej jednakże chwili wszystko wydawało się bez znaczenia i chłopiec pozwolił łzom płynąć po policzkach.

– Musisz o to zapytać Roberta, kiedy wróci – odparł Pasko, nie zwracając uwagi na płacz chłopca. – Ja robię tylko to, o co mnie

poproszono. Zawdzięczasz mu życie, więc musisz jakoś spłacić ten dług. Teraz przejdźmy się jeszcze trochę, a potem musisz wracać do środka, żeby odpocząć.

Szpon czuł chęć, aby poznać to miejsce lepiej, wejść do zajazdu i zbadać jego cudowne tajemnice. Tak wielki budynek musiał posiadać ich całe mnóstwo, myślał chłopiec. Ale Pasko zaprowadził go z powrotem do stodoły i kiedy dotarli do posłania, chłopiec był z tego więcej niż zadowolony, gdyż czuł wielkie zmęczenie w całym ciele. Rany na jego piersi bolały i ciągnęły niemile i wiedział, że nawet ten mały wysiłek z pewnością rozerwał świeże blizny i będzie potrzebował jeszcze wiele czasu, aby skóra na powrót w pełni się zagoiła. Pamiętał, że gdy Stojący Niedźwiedź został poraniony przez odyńca, kulał przez prawie pół roku, zanim odzyskał pełną władzę w nodze.

Szpon położył się na posłaniu i zamknął oczy, podczas gdy Pasko kręcił się po szopie, rozkładając jakieś rzeczy, które przyniósł z wozu. Mimo tego, że zaledwie pół godziny temu, kiedy się obudził, chłopiec czuł się w pełni przytomny i wypoczęty, teraz momentalnie zapadł w sen.



Cierpliwy z natury, Szpon pozwalał, aby dni mijały i nie domagał się odpowiedzi od Paska. Było dla niego oczywiste, że sługa jest raczej małomówny i jego pan nie zezwolił mu na wyjaśnienia. Chłopiec mógł liczyć tylko i wyłącznie na swoje zmysły, więc wiedzę czerpał z obserwacji.

Ból, jaki czuł po utracie bliskich, nigdy nie opuszczał jego duszy. Płakał nocami przez tydzień, ale potem, w miarę jak upływały dni, żal przeminął, zastąpiony przez zimny gniew. Wiedział, że gdzieś tam, poza murami zajazdu, żyją ludzie odpowiedzialni za masakrę w wiosce. Postanowił sobie, że będzie ich ścigał, a kiedy ich dopadnie, zemści się. Tak

postępowali Orosini. Ale chłopiec był także realistą i rozumiał, że jeden młody człowiek nie ma szans sam wymierzyć sprawiedliwość. Będzie musiał nabrać sił, nauczyć się władać bronią różnego typu, posiłkować wiedzę o obcych krainach i wiele jeszcze innych rzeczy. Wiedział, że jego przodkowie będą go prowadzić. Srebrny Jastrząb stanie się jego totemem. Chłopiec znany kiedyś jako Kielianapuna zostanie szponem swego ludu.

Dni upodobiły się jeden do drugiego. Każdego ranka chłopiec budził się i jadł śniadanie. Potem szli razem z Paskiem na spacer. Na początku chodzili wokół ogromnego budynku zajazdu, w obrębie zabudowań, potem zapuszczali się nawet w okoliczne lasy. Szpon powoli odzyskiwał siły i zaczął pomagać Paskowi w jego obowiązkach. Przynosił wodę, rąbał drewno, naprawiał uprzęże, siodła i kantary dla koni. Był sprytny i inteligentny i szybko się uczył. Wystarczyło, że raz zobaczył, jak wykonać zadaną pracę. We wszystkim, co robił, z zaciekleścią dążył do doskonałości.

Czasami Szpon widział Roberta przebiegającego w pośpiechu przez zajazd i kręcącego się po zabudowaniach, często w towarzystwie dwóch albo trzech mężczyzn. Szpon nie pytał Paska o ich imiona, ale dobrze sobie zapamiętał ich twarze. Pierwszy z nich, jak się wydawało chłopcu, był Kendrikiem. Poruszał się po terenie zabudowań w taki sposób, w jaki zachowuje się ich właściciel. Był wysoki, miał siwe włosy i krzaczastą brodę. Nosił bardzo piękną tunikę i pierścień z ciemnym kamieniem oprawionym w złoto, ale buty i spodnie miał zwyczajne, nadające się do pracy. Często zatrzymywał się, aby wydać rozkazy służbie – dziewczynie o imieniu Lela i dwóm młodym mężczyznom, Larsowi i Gibbsowi. Lars i Gibbs często bywali w stodole, szczególnie gdy w zajęzdzie nocowali ludzie, gdyż młodzieńcy zajmowali się końmi.

Drugi człowiek, którego widział Szpon, miał włosy białe jak śnieg, więc chłopiec w myślach nazywał go Ośnieżonym. Mimo siwych włosów mężczyzna nie wyglądał na starszego niż trzydzieści lat. Nie był tak wysoki jak Kendrik czy Robert, ale w jakiś sposób zdawał się patrzeć na tych dwóch z góry. Nosił się jak jakiś wódz albo szaman, myślał sobie Szpon. Ośnieżonego otaczała aura władzy i siły. Oczy miał bladobłękitne, a twarz spaloną słońcem. Nosił ciemnozieloną suknię z intrygującym wzorem wyszytym na rękawach i na obrzeżu, spod którego wystawały bardzo starannie wykonane buty. Czasami miał ze sobą drewnianą laskę, a czasem na głowie siedział mu smętnie zwisający kapelusz, w kolorze pasującym do sukni.

Ostatni człowiek był nieco podobny do drugiego, tak jakby należeli do jednej rodziny, ale miał włosy ciemnobrązowe, prawie takiego koloru jak włosy Szpona. Podobnie jego oczy były barwy ciemnego brązu, a ruchy przywodziły na myśl myśliwego albo wojownika. Szpon nazywał go w swoich myślach Ostrze, gdyż lewa ręka tego człowieka wydawała się zawsze spoczywać blisko główki miecza, którego ostrze, wąskie i smukłe, nie przypominało chłopcu żadnej widzianej do tej pory broni. Nosił niebieskie nogawice wpuszczone w buty, sięgające do kolan, i ciemnozieloną bluzę, a na niej sznurowaną kamizelę. Zawsze, kiedy Szpon go widział, miał na głowie kapelusz, identyczny krojem do kapelusza Ośnieżonego, ale czarnego koloru. Raz Szpon widział go o wschodzie słońca, wyruszającego gdzieś z długim łukiem. Mężczyzna powrócił w nocy z wypatroszonym jeleniem na ramieniu. Natychmiast chłopiec poczuł do niego sympatię i podziw. Myśliwi byli uważani za ludzi o doskonałych umiejętnościach pomiędzy Orosinimi.

Robert, Pasko i Szpon byli traktowani jak część nieożywiona otoczenia zajazdu. Tylko Lela zawsze znalazła chwilką, aby zawołać kilka słów

powitania do Paska i Szpona, albo tylko skinąć głową i zamachać ręką. Lars, mocno zbudowany rudowłosy chłopak, i Gibbs, szczupły i nieco starszy, rozmawiali z nimi rzadko, pytając o rzeczy związane z pracą, o pożyczenie hacli, albo o potrzymanie konia, który miał być siodłany. Obaj unikali jednakże przyjacielskich pogawędek na codzienne tematy. Przez większość czasu Szpon czuł się, jakby on i Pasko nie istnieli w umysłach ludzi, którzy znajdowali się w środku zajazdu.

Kiedy minął miesiąc, Szpon obudził się rano i zobaczył Roberta pogrążonego w cichej rozmowie z Paskiem. Młody człowiek wstał cicho i ubrał się, a potem podszedł do rozmawiających.

– Ach, młody Szpon – powiedział Robert, uśmiechając się do niego. – Pasko mówił mi, że szybko wracasz do zdrowia.

Szpon przytaknął.

– Moje rany już się zabiły i nie czuję bólu. Odzyskałem też pełną sprawność.

– Czy czujesz się na siłach, aby wybrać się na polowanie?

– Tak – odpowiedział bez wahania.

– Dobrze. Więc chodź ze mną.

Wyszedł ze stodoły, ze Szponem krocącym u jego boku.

– Panie, jestem twoim dłużnikiem, nieprawdaż? – zapytał Szpon, kiedy weszli do gospody.

– Zgadza się – odpowiedział Robert.

– Jak więc mam spłacić mój dług?

Robert zatrzymał się.

– Ocaliłem twoje życie, prawda?

– Tak – powiedział chłopiec.

– Jeżeli dobrze rozumiem obyczaje twojego ludu, jesteś mi winien życie, mam rację?

– Tak – Szpon odpowiedział spokojnie. Życiowy dług był nieco skomplikowanym zobowiązaniem. Obejmował służbę trwającą całe lata, bezpośrednio, bądź to poprzez wykonywane zadania. Kiedy człowiek pochodzący z ludu Orosini uratował życie swojemu ziomkowi, dłużnik oddawał się na usługi swego wybawiciela. Tak jakby stawał się członkiem jego rodziny, ale bez przywilejów danych innym. Pętały go więzy honorowych zobowiązań. Rodzina wybawcy jadła, a on chodził głodny. Spłacał dług, pracując na polach tego, który go uratował od śmierci, zaniedbując swe własne uprawy. Uratowany spłacał dług w każdym aspekcie codziennego życia. I Robert tego właśnie oczekiwał od Szpona: chłopiec miał mu służyć jak swemu panu i nie mógł odejść od niego, aż jego pan zwolni go z obowiązku.

– Ten dług bardzo ciężko jest spłacić, nieprawdaż?

– Tak – odrzekł Szpon spokojnie.

Lekki wietrzyk poruszał liśćmi odległych drzew. Robert nie odzywał się, ważąc coś w myślach.

– Muszę poddać cię próbie, młody Szponie. Ocenię twoje starania i wtedy zdecyduję, czy się nadajesz – odezwał się w końcu.

– Do czego się nadaję, panie?

– Do wielu rzeczy. Przez pół roku mógłbym o nich mówić i nie opowiedziałbym nawet o połowie. Jeżeli okażesz się nieprzydatny, oddam cię na służbę Kendrikowi na wiele lat, żebyś się nauczył dbać o siebie w świecie innym niż góry zamieszkiwane przez Orosinich, gdyż życie wśród rodaków zostało ci na zawsze zabrane.

Szpon usłyszał te słowa i poczuł się, jakby otrzymał cios w głowę, ale zdołał utrzymać beznamiętny wyraz twarzy. To, co powiedział Robert, było prawdą. Był teraz ostatnim z Orosinich, chyba że ktoś jeszcze przetrwał

rzeź i ukrył się w niedostępnych lasach, a samotne życie w tych górach było po prostu niemożliwością.

– A jeżeli się okaże, że się nadaję? – zapytał w końcu Szpon.

– Wtedy zobaczysz i poznasz takie rzeczy, o których nawet się śniło Orosinim, mój młody przyjacielu. – Odwrócił się, widząc nadchodzącego mężczyznę. Chłopiec rozpoznał Ostrze, który miał dwa łuki, jeden przerzucony przez ramię, a drugi w dłoni, oraz kołczan do zawieszenia przy pasie, pełen strzał, – Ach, więc jesteś. – I zwrócił się ponownie do Szpona. – Tego człowieka zapewne już widziałeś, jestem pewien, gdyż doskonale sobie radzisz z obserwowaniem otoczenia. To zauważyłem już dawno. Szponie, to jest Kaleb. On i jego brat Magnus są moimi towarzyszami.

Szpon skinął głową nowo przybyłemu, który nie odezwał się, tylko przypatrywał się chłopcu z uwagą. Widząc go z bliska, Szpon doszedł do wniosku, że Kaleb jest młodszy, niż mu się z początku wydawało. Może nawet nie dziesięć lat starszy od niego, ale postawa mężczyzny znamionowała pewnego siebie i dojrzałego wojownika.

Kaleb podał hak i kołczan Szponowi, który zapiął pas wokół bioder i przyjrzał się dokładnie broni. Łuk był dłuższy niż ten, z którym chłopiec miał do czynienia. Kiedy próbował naciąg, kątem oka widział, że Kaleb uważnie obserwuje każdy jego ruch. Na jednym końcu cięciwa była nieco przetarta, ale Szpon zdecydował, że uszkodzenie nie stanowi jeszcze problemu. Mimo tego, zapytał: – Czy mamy zapasowe cięciwy?

Kaleb skinął głową.

Szpon przerzucił sobie łuk przez plecy.

– Więc chodźmy na polowanie – powiedział.

Kaleb odwrócił się i poprowadził chłopca. Wkrótce szybkim krokiem podążali ścieżką w głąb lasu.



Poruszali się cicho pomiędzy drzewami. Kaleb nie wymówił jeszcze do Szpona ani jednego słowa. Po pół godzinie zeszli ze ścieżki i zanurzyli się w las. Polowanie się zaczęło. Chłopiec przypatrywał się dokładnie trasie, jaką przebyli, aby punkty orientacyjne pozwoliły mu znaleźć drogę powrotną, gdyby zaszła taka potrzeba.

Kaleb prowadził Szpona, utrzymując stałe, dosyć szybkie tempo, które dla chłopca nie stanowiłoby problemu, gdyby był w pełni sił. Ale rany osłabiły Szpona i po godzinie dotrzymywanie Kalebowi kroku stało się trudne. Młodzieniec rozważał właśnie prośbę o krótki popas, kiedy mężczyzna zwolnił. Na lewym biodrze zwiślał mu skórzany bukłak z wodą, w miejscu, gdzie zwykle znajdował się miecz. Kaleb odwiązał bukłak i podał go chłopcu. Szpon podziękował skinieniem i napił się odrobinę, tak, aby tylko zwilżyć wargi i gardło. Czując się znacznie lepiej, podał bukłak z powrotem Kalebowi. Milczący człowiek zrobił ruch dłonią, jakby pytał chłopca, czy ma ochotę na jeszcze jeden łyk wody, ale Szpon odmówił, przecząco kręcąc głową. Patrząc na wilgotne lasy wokół siebie, Szpon doszedł do wniosku, że w pobliżu musi być wiele miejsc, z których można czerpać wodę. Potoki, źródła i jeziora z pewnością gęsto pojawiały się wśród drzew, ale wychowany w wysokich górach, gdzie o wodę nie było łatwo, chłopiec był przyzwyczajony do oszczędzania jej podczas polowań.

Podjęli przerwane polowanie, ale teraz Kaleb szedł znacznie wolniej. Nie biegł już, wypatrując uważnie tropów na leśnym mchu. Po kilku minutach znaleźli się na łące i Szpon zatrzymał się. Trawa sięgała mu prawie do pasa. Żdźbła były blade, żółtozielone od letniego słońca i panującej suszy.

Szybko nałożył cięciwę i klepnął Kaleba hakiem lekko w ramię. Pokazał lewą ręką i mężczyzna spojrzął w kierunku, który wskazywały palce. Weszli na łąkę, zwracając uwagę na trawy, które zostały jakby rozdzielone i podeptane. Szpon ukląkł i zaczął szukać śladów. W zagłębieniu, w wilgotnej ziemi, dostrzegł jeden odcisk.

– Niedźwiedź – odezwał się cicho. Wyciągnął dłoń i zbadał połamane źdźbła traw. Ciągle były wilgotne w miejscu zagięcia. – Jest blisko.

Kaleb przytaknął.

– Masz dobre oczy – powiedział łagodnie.

Poczęli iść śladem niedźwiedzia, aż pokonali prawie połowę łąki. Kaleb uniósł nagle dłoń i zatrzymali się. A potem Szpon usłyszał go. Z pewnej odległości dobiegały odgłosy węszenia i sapania oraz głucho dudnienie.

Podkradali się dalej, aż dotarli do małego źródła. Po drugiej jego stronie stał wielki brązowy niedźwiedź, pracowicie walący w spróchniały pień. Zwierzę darło korę pazurami, próbując dostać się do gniazda leśnych pszczoł, które wściekle latały wokół głowy misia. Niedźwiedź w końcu rozerwał pień i wygrzebał gruby plaster miodu, podczas gdy pszczoły bezskutecznie próbowały żądlić jego grubą skórę. W końcu jednak jeden z rozeźlonych owadów znalazł czuły punkt zwierza, jego wrażliwy, niczym nie osłonięty nos. Ugryziony niedźwiedź zawył z bólu i wściekłości, ale chwilę później powrócił do wyjadania miodu z gniazda.

Szpon klepnął Kaleba w ramię i ruszył w kierunku niedźwiedzia, ale starszy mężczyzna pokiwał przecząco głową i nakazał odwrót.

Cicho oddalili się od miejsca przy źródle i po przebyciu krótkiego dystansu Kaleb znów narzucił szybkie tempo. Powrócili na drogę.



Dwaj myśliwi powrócili do zajazdu o zapadnięciu zmroku. Kaleb niósł przerzuconego przez ramię jelenia, a Szpon dźwigał związane razem za nóżki dwa dzikie indyki.

Robert czekał przy bramie. Kiedy do niego podeszli, pojawił się Gibbs i wziął indyki od Szpona. Robert spojrział na Kaleba.

– Chłopiec potrafi polować – powiedział myśliwy.

Szpon obserwował twarz Roberta i zauważył błysk zadowolenia w jego oczach. Nie był pewien, co miały oznaczać te słowa, ale nie miał wątpliwości, że kryło się za nimi coś więcej niż tylko zwykła pochwała umiejętności myśliwskich.

Kaleb poszedł za Gibbsem do gospody i zniknął za rogiem budowli, gdzie znajdowały się kuchenne drzwi.

Robert położył ręce na ramionach Szpona.

– A więc, zaczyna się.

ROZDZIAŁ TRZECI

SŁUGA

Szpon walczył.

Podążał za Lelą na szczyt wzgórza, w górę strumienia płynącego przez okoliczne lasy, niosąc ogromny kosz z mokrą, kapiącą wodą bielizną. Przez ostatni tydzień został oddany dziewczynie do pomocy, stając się dla niej dodatkową parą rąk i nóg do pracy.

Jedyną dziwną rzeczą w całej tej sprawie był fakt, że Robert kazał dziewczynie rozmawiać ze Szponem w języku roldem, Lela odpowiadała na pytania chłopca tylko wtedy, kiedy zadał je prawidłowo. Zaledwie kilka słów tego języka używano także we wspólnej mowie, ale ta ostatnia była w większości mieszanką keshiańskiego i języka królewskiego, i rozwijała się przez stulecia handlu wzdłuż granicy pomiędzy tymi ogromnymi narodami.

Na szczęście Szpon odkrył, że ma talent do języków i szybko robił postępy, ucząc się od wiecznie radosnej i rozgadanej dziewczyny.

Była od niego pięć lat starsza i trafiła do Kendrika bardzo okreźną drogą, jeżeli można było wierzyć w jej opowieści. Twierdziła, że była służką księżniczki Roldem, która podróżowała w celu zawarcia dawno ustalonego małżeństwa z arystokratą przebywającym na dworze księcia Aranoru. W zależności od stopnia zrozumienia języka i częstotliwości, z jaką zmieniała się historia dziewczyny, Szpon rozumiał, że została ona porwana przez piratów czy bandytów i sprzedana w niewolę, skąd uwolnił ją jakiś dobry człowiek albo skąd sama uciekła. W każdym razie dziewczyna z dalekiej

wyspy, leżącej na Morzu Królestwa, znalazła drogę do Zajazdu Kendrika i pracowała tutaj jako pokojówka już od dwóch lat.

Była wiecznie szczęśliwa, często żartowała i uśmiechała się. I miała śliczną buzię. Szpon szybko się w niej zadurzył.

Chłopiec ciągle cierpiał na wspomnienie o Oku Niebieskoskrzydłej Cyraneczki, która spoczywała gdzieś martwa wraz z całą rodziną. Jej ciało dawno już rozdziobały padlinożerne ptaki. Odepchnął ten okropny widok na dno umysłu i skoncentrował się na dźwiganiu ciężkiego kosza, który niemalże łamał mu kręgosłup.

Lela wydawała się myśleć, że skoro oddano jej chłopca do pomocy, nie musi już wielokrotnie odbywać podróży w dół strumienia, aby wyprać wszystkie brudne rzeczy. Tak więc wyszperała gdzieś ogromny kosz, wysoki na ponad metr i przymocowała do niego coś na kształt upręży, aby dało się zarzucić go na plecy i nieść w górę zbocza. Noszenie ubrań w dół biegu rzeczki było przyjemną częścią porannej pracy, za to wnoszenie namokniętych tkanin z powrotem do zajazdu jawiło się niczym najgorszy koszmar.

– Kaleb mówi, że jesteś dobrym myśliwym.

Szpon zawahał się przez chwilę. Musiał się zastanowić na słowami, zanim sklecił z nich zdanie.

– Polowałem przez całość życie.

Poprawiła jego wypowiedź i chłopiec powtórzył za nią poprawną formę zdania.

– Polowałem przez całe życie.

Szpon poczuł się sfrustrowany, kiedy Lela podjęła bieg w górę strumienia. Połowa tego, co mówiła, umykała chłopcu, chociaż słuchał uważnie. Drugą połowę informacji czerpał głównie z kuchennych plotek, od ludzi, których widział jedynie przez moment i w przelocie.

Czuł się zagubiony pod wieloma względami. Spał ciągle w stodole, ale teraz był sam, gdyż Pasko zniknął, wysłany z jakąś misją z rozkazu Roberta. Roberta z kolei widział bardzo rzadko. Czasem spostrzegł jego sylwetkę przez okno zajazdu, albo jak przechodził przez salę jadalną w kierunku pomieszczeń prywatnych, niedostępnych dla gości. Czasami człowiek, który uratował mu życie, podchodził do chłopca i wymieniał z nim kilka grzecznościowych zwrotów, przemawiając we wspólnym języku albo w roldemskim. Kiedy mówił tym drugim, odpowiadał na słowa chłopca tylko wtedy, gdy Szpon także używał roldemskiego.

Szpon ciągle nie miał pozwolenia na wejście do gospody. Nie wydawało mu się to dziwne. Obcy nie mógłby oczekiwać, że zostanie wprowadzony do domu Orosinich, a ci ludzie nie pochodzili przecież z jego plemienia. Od kiedy został sługą, zakładał, że spanie z stodole to naturalne warunki, w jakich żyją słudzy. Nie rozumiał postępowania ludzi z zajazdu pod wieloma względami, więc także w tym jednym aspekcie przeszedł nad tym do porządku dziennego.

Był wiecznie zmęczony i wyczerpany. Nie rozumiał dlaczego. Młody, zawsze energiczny i wesoły, od czasu przybycia do Kendrika chłopiec walczył nieustannie z czarnymi myślami i wszechogarniającym smutkiem. Każdego dnia czuł ból. Kiedy Pasko albo Robert wyznaczali mu jakieś zadanie do wykonania, albo w towarzystwie Kaleba lub Leli, Szpon odrywał się na chwilę od czarnych myśli, ale kiedy zostawał sam, beznadzieja i żal atakowały go ze zdwojoną siłą. Chciałby być tak mądrym jak jego dziadek, aby sobie z tym poradzić, ale myślenie o rodzinie wpychało go coraz głębiej w mroczne wspomnienia, które sprawiały, że czuł się uwięziony w jakimś czarnym miejscu, z którego nie było ucieczki.

Orosini byli otwarci w kontaktach pomiędzy sobą. Rozmawiali o swoich uczuciach i myślach z łatwością, nawet z ludźmi nie ze swojej rodziny, ale

obcym wydawali się powściągliwi, a nawet skryci. Szpon był bardzo towarzyski, nawet według standardów swojego ludu, ale teraz stał się cichy, tak że można było pomyśleć, że jest głuchoniemy. W głębi serca czuł ból i tęsknotę za otworzeniem się i wylaniem swoich najskrytszych myśli, tak jak to czynił w latach dzieciństwa, i chociaż koniec tego dzieciństwa nastąpił zaledwie kilka tygodni temu, chłopcu wydawało się, że fakt ten miał miejsce w odległej przeszłości.

Pasko i Lela odpowiadali bez problemu, kiedy Szpon zadawał im pytania. Ale dziewczyna często mówiła nieprecyzyjnie i dawała mylne informacje, a Pasko miał zwyczaj zbywać pytania, uważając je za nieistotne, czegokolwiek by nie dotyczyły. Do czarnych myśli i ponurego nastroju chłopca dołączyła rosnąca frustracja. Jedyną odskocznią od tych niewesołych rozważań były polowania z Kalebem. Ten młody człowiek był bardziej jeszcze małomówny niż Szpon i często przez cały dzień polowania nie wymieniali między sobą więcej niż tuzin słów.

Wchodzili właśnie na dziedziniec.

– Och, spójrz! – wykrzyknęła Lela. – Mamy gości.

Kareta, ozdobiona lśniąco zawijaszami na czarnym, lakierowanym drewnie i błyszcząca wszystkimi metalowymi okuciami wypolerowanymi na wysoki połysk, stała obok stodoły, a Gibbs i Lars szybko odpinali uprząż z dwóch doskonale pasujących do całości, czarnych i zadbanych ogierów, najpiękniejszych, jakie Szpon widział w całym swoim życiu. Konie nie były wykorzystywane zbyt często przez górskie plemiona Orosinich, jak to miało miejsce u innych ludów tego regionu, ale chłopiec znał się na zwierzętach i bez trudu poznał, że zaprzęg jest doskonały. Woźnica przyglądał się pracy dwóch stajennych, aby się upewnić, że konie jego pana są traktowane z należnym im respektem.

– Wygląda na to, że hrabia DeBarges znów nas odwiedza – powiedziała Lela.

Szpon zastanawiał się, kto to jest ten hrabia, ale nie zapytał się dziewczyny.

– Połóż kosz na ganku z tyłu – rozkazała Lela.

Szpon wykonał polecenie i dziewczyna uśmiechnęła się, znikając w tylnych drzwiach prowadzących do kuchni.

Począł przez chwilę, niepewny, co ma robić, a potem odwrócił się i poszedł do stodoły. W środku znalazł Paska szykującego się do kolejnej, jednej z wielu nieustannych napraw, jakich wymagał stary wóz, podśpiewującego sobie pod nosem jakąś piosenkę bez słów. Mężczyzna natychmiast podniósł głowę, a potem powrócił do pracy.

– Podaj mi szydło – powiedział wreszcie, po kilku chwilach ciszy. – Tam leży, chłopcze.

Szpon podał mu narzędzie i patrzył, jak Pasko pracuje nad nową uprzężą do wozu.

– Gdy mieszkasz w dużym mieście, chłopcze – mówił dalej Pasko – możesz znaleźć wielu rzemieślników, ale gdy znajdziesz się na szlaku, setki mil od cywilizacji, i porwie ci się uprzęż, musisz wiedzieć, jak ją naprawić własnymi siłami. – Przerwał na chwilę, a potem podał chłopcu szydło z powrotem. – Pokaż mi, czy potrafisz sam wykłuć odpowiednie dziurki.

Chłopiec obserwował już od kilku dni, jak Pasko pracuje nad tą nową uprzężą i dawno już się zorientował, na czym ta praca polega. Zaczął wykrawać otwory i żłobienia w miejscach, gdzie miały wchodzić jęczyczki sprzączek. Gdy nie był pewien odległości, zerkał na Paska, który kiwał głową z aprobatą albo potrząsał nią przecząco, wskazując na błąd.

W końcu zapięcie było gotowe.

– Czy kiedykolwiek zszywałeś skórę? – zapytał Pasko.

– Pomagałem szyć mojej matce... – Pozwolił, aby słowa rozmyły się w powietrzu. Jakakolwiek rozmowa o rodzinie wpychała go głębiej w rozpacz.

– Całkiem nieźle – podsumował Pasko, podając mu pasek skóry z wykłutymi dziurkami. – Weź tę sprzączkę. – Pokazał na dużą żelazną klamrę, która służyła do przypinania koni do dyszla. – I przyszyj ją do końca tego pasa.

Szpon przyglądał się kawałkowi skóry przez chwilę i zobaczył, że pasek był wykonany z dwóch fragmentów zszytych razem w celu nadania im większej wytrzymałości. Zauważył, że na środku pasa, w poprzek skóry, biegło przewężenie. Wziął sprzączkę i wsunął ją na pas skóry. Metalowa poprzeczka, na której wspierał się języczek sprzączki, opierała się na cieńszej części skózanego pasa. Spojrzał na Paska.

Mężczyzna skinął głową i uśmiechnął się lekko. Szpon wziął do ręki grubą igłę do szycia skóry i zaczął przyszywać sprzączkę we właściwym miejscu.

– Całkiem nieźle, kolego – powiedział Pasko, kiedy chłopiec skończył – ale zrobiłeś jeden mały błąd.

Oczy Szpona otworzyły się szerzej.

– Spójrz tutaj, w tym miejscu – zaczął tłumaczyć Pasko, pokazując na inny, już wykończony pasek. Szpon spojrział na przedmiot i zobaczył, że na końcu zszytego miejsca zrobił za krótką pętelkę. Pasek, który pokazywał mu Pasko, miał potrójny szew poniżej sprzączki, i tym samym był mocniejszy.

Szpon skinął potakująco głową, wziął ciężki nóż i zaczął rozcinać dratwę. Odcinał nici starannie i ostrożnie, aby nie uszkodzić skóry, a potem dokładnie dopasował kawałki skóry, tak aby dziurki z jednej strony wypadały w miejscu, gdzie wykluje otwory na drugiej warstwie, a dziurki z

drugiej strony będą pasowały do trzeciego rzędu, który zrobi na pierwszej warstwie. Wziął dłuto i równo wykłuł brakujące otworki, a potem dołożył jeszcze trzecią linię dziurek pomiędzy dwoma już istniejącymi.

– Teraz dobrze – powiedział Pasko, kiedy Szpon już skończył. – Jeżeli musisz zrobić coś po raz pierwszy, a masz w zasięgu wzroku rzecz podobną, już gotową, zawsze poświęć trochę czasu i przyjrzyj się dokładnie przedmiotowi już wykonanemu. Wtedy popełnisz mniej błędów, a dobrze wiesz, że pomyłki mogą kosztować cię życie.

Szpon kiwnął głową, chociaż pomyślał sobie, że uwaga Paska jest dosyć dziwna.

– Pasko, czy mogę z tobą porozmawiać? – zapytał mężczyznę po chwili.

– A o czym?

– O moim życiu.

– O tym musisz porozmawiać z Robertem – odparł sługa. – On może ci powiedzieć, czego do ciebie oczekuje i co cię czeka w przyszłości. Jestem tego pewien.

– Wśród ludzi mojego plemienia, kiedy dziecko staje się mężczyzną, zawsze znajduje się dorosły, który jest gotów go poprowadzić i służyć mu radą, kiedy tamten musi podjąć ważne decyzje. – Szpon zamilkł i wpatrzył się niewidzącymi oczyma w jakiś daleki punkt, jakby widział coś poprzez grube ściany stodoły. – Ja miałem...

Pasko nie odzywał się, tylko patrzył na chłopca z uwagą.

Szpon nic nie mówił przez dłuższy czas, a potem powrócił do pracy przy skórzanej uprzęży. Gdy upłynęło jeszcze trochę czasu, odezwał się wreszcie.

– Miałem pojąć dziewczynę za żonę. Miałem zasiąść z mężczyznami w długim domu. Miałem towarzyszyć im w polowaniach, w uprawie roli. Miałem spłodzić dzieci. Wiedziałem, dlaczego się urodziłem i czego się po

mnie oczekuje, Pasko. – Przerwał i spojrział na służącego. – Jeden z moich rodaków miał mi pomóc i prowadzić mnie przez życie. Ale żadna z tych rzeczy się teraz nie liczy. Jestem tutaj, w tej stodole, z tobą, i nie wiem, co mam dalej robić. Co się ze mną stanie? Kim mam teraz być?

Pasko westchnął i odłożył na bok skórę, którą trzymał w dłoniach. Spojrzął Szponowi w oczy i położył rękę na ramieniu chłopca.

– Czasem wszystko się zmienia w mgnieniu oka, chłopcze. Nic nie trwa wiecznie. Pamiętaj o tym. Z jakiejś przyczyny bogowie uratowali ci życie jako jedynemu spośród twego plemienia. Ten dar życia nie został ci dany bez powodu. Nie twierdzę, że znam ten powód. – Przerwał, jakby się zastanawiał nad tym, co teraz powiedzieć i jakich słów użyć, a potem dokończył: – Może być, że twoim pierwszym zadaniem jest ustalenie przyczyny, dla której żyjesz. Myślę, że dzisiaj w nocy powinieneś poważnie porozmawiać z Robertem. – Odłożył uprząż, wstał i podszedł do drzwi stodoły. Przy wyjściu dorzucił przez ramię: – Szepnę mu słówko i zorientuję się, czy jest w nastroju, aby z tobą pomówić.

Szpon został sam w stodole. Spojrzął na płataninę pasków przed sobą i przypomniał sobie, co powiedział raz jego dziadek: zabierz się do pracy, którą masz wykonać teraz i przestań się martwić przyszłymi obowiązkami. Tak więc chłopiec skupił się na skórze, którą trzymał w dłoniach i zaczął starannie nakłuwać pasek, robiąc dziurki tak gęsto i dokładnie, jak tylko potrafił.



Mijały tygodnie i lato zamieniło się w jesień. Szpon wyczuwał zmianę w powietrzu, podobnie jak każda inna dzika istota, która całe życie spędziła w górach. Nizinne łąki wokół Zajazdu Kendrika różniły się pod wieloma względami od wzgórz, gdzie chłopiec spędził dzieciństwo, ale

podobieństwa pomiędzy tymi środowiskami wystarczały, aby Szpon poczuł się jednością z naturą i wpadł w rytm sezonowych zmian.

Gdy polował z Kalebem, zauważył, że futerka zajęcy, a także innych stworzeń, stają się coraz grubsze, w przewidywaniu nadejścia chłódów. Wiele drzew traciło już liście. Wkrótce nagły przymrozek sprawi, że zmienią szatę z zielonej na czerwoną, złotą i bladożółtą.

Ptaki odlatywały na południe, a stworzenia, które na jesieni składały jaja, weszły w okres godowy. Jednego popołudnia usłyszał ryk samca wywerna, wywrzaskującego wyzwanie swemu rywalowi, jakimkolwiek innemu samcowi, który śmiałyby wkroczyć na jego terytorium. Wraz z nadejściem krótkich dni w sercu Szpona zagościła melancholia. Jesień oznaczała także czas zbiorów i pracy nad zapasami na zimę: soleniem mięsa i ryb, zbieraniem orzechów i naprawianiem ciepłych ubrań, płaszczy, koców. Wszyscy przygotowywali się na nadejście srogiej zimy.

Zima przyniesie ze sobą wielkie poczucie straty. W rodzinnej wiosce Szpona, gdy zima nakryła śniegiem dachy domów i ścisnęła mrozem, mieszkańcy byli odizolowani od świata aż do wiosny i odwilży. Wtedy ludzie zbliżali się do siebie, spotykali się w długim domu, opowiadając ciekawe historie. Rodziny umawiały się po dwie, trzy a nawet cztery w jednym domu, ciesząc się z bliskości i czerpiąc otuchę z rozmów. Powtarzano stare opowieści po raz kolejny, a słuchacze cieszyli się nimi, bez względu na to, jak dobrze je już poznali.

Szpon przypominał sobie pieśni kobiet, kiedy czesały włosy swoich córek albo przygotowywały posiłki. W nozdrzach czuł jeszcze zapach jedzenia, w uszach dzwonił głos mężczyzn, którzy ściszonego tonem opowiadali sobie wesołe żarciki. Szpon zdawał sobie sprawę, że ta zima będzie dla niego najcięższą z dotychczasowych.

Pewnego dnia, kiedy wrócili z polowania, karetą hrabiego Raniona DeBarges stała znowu na dziedzińcu. Kaleb przytrzymał kilka tłustych królików, które złapali w sidła, podczas gdy Szpon kładł tuszę świeżo upolowanego jelenia na tylnym ganku, przy drzwiach prowadzących do kuchni.

Kaleb przerwał na chwilę i powiedział: – Dobre polowanie, Szponie.

Szpon pokiwał głową. Jak zwykle przez cały dzień prawie się do siebie nie odzywali, porozumiewając się ruchami dłoni, zasłuchani w odgłosy natury i jakby w niej zjednoczeni. Kaleb był doskonałym myśliwym, nawet jak na standardy ludzi z plemienia chłopca, chociaż w jego wiosce było tuzin albo więcej mężczyzn, którzy przewyższali... nie, którzy dorównywali mu w umiejętnościach.

Kaleb odezwał się ponownie: – Zanieś jelenia do kuchni.

Szpon zawahał się. Nigdy jeszcze nie postawił stopy na terenie gospody i nie był pewien, czy powinien to robić. Ale przecież Kaleb nie kazałby mu robić czegoś, co było zakazane, więc chłopiec wzruszył ramionami i wskoczył na szerokie stopnie prowadzące do drzwi. Wrota wykonano w solidnego, dębowego drewna, wzmocnionego dodatkowo żelaznymi taśmami. Takie drzwi pasowałyby bardziej do jakiejś warowni, a nie do zwykłego zajazdu. Szpon był pewien, że Kendrik kazał je takimi uczynić bardziej ze względów obronnych niż dla własnej wygody.

Ujął w dłoń ciężką, żelazną klamkę i nacisnął ją. Drzwi stanęły otworem. Przeszedł przez nie i znalazł się w kuchni, w świetle, który nie przypominał niczego, co do tej pory widział.

Orosini gotowali nad otwartym ogniem albo na dużych piecach, które były własnością całej wioski, ale nigdy nie znajdowały się one w bezpośredniej bliskości domostw. Na pierwszy rzut oka Szpon ocenił, że w pomieszczeniu panuje zupełny chaos, ale kiedy się na chwilę zatrzymał,

wpatrując się zachłannie w scenę przed jego oczyma, począł odnajdować ślady uporządkowania.

Lela podniosła głowę znad garnka i zobaczyła go. Pozdrowiła chłopca szybkim uśmiechem, zanim odwróciła się z powrotem do ogromnego kotła wiszącego nad jednym z trzech ogromnych palenisk. Kobieta o surowym wyglądzie dostrzegła spojrzenie Leli i przeniosła wzrok na zmarzniętego chłopca, trzymającego na ramieniu tuszę jelenia.

– Czy jest wypatroszony? – zapytała surowo.

Szpon przytaknął.

– Ale nie zdjąłem skóry – dodał.

Kobieta pokazała na wielki hak do wieszania mięsa w rogu pomieszczenia, pod którym stała duża metalowa misa, służąca prawdopodobnie do łapania spuszczonej krwi i podrobów. Chłopiec podniósł jelenia i zamocował go na haku za sznur, który opasywał tylne nogi zwierzęcia. Kiedy już jeleni wisiał na haku, Szpon odwrócił się do kucharki i czekał.

Po kilku minutach starsza kobieta spojrzała na niego i zobaczyła, że nic nie robi, czekając na jej polecenie.

– Czy potrafisz zdjąć skórę z jelenia, chłopcze? – zapytała głośno.

Szpon przytaknął.

– Więc bierz się do roboty!

Szpon, nie wahając się, zaczął zdejmować skórę z tuszy w ekonomiczny sposób, znamionujący długoletnie doświadczenie. Nie zastanawiał się nawet przez chwilę, kim jest stara kobieta i dlaczego wydaje mu polecenia. Pośród jego ludzi kobiety miały pierwsze słowo w temacie pożywienia i mężczyźni zawsze robili, co im kazano, gdy znajdowali się w kręgu palenisk, ognisk i pieców kuchennych.

Skończył szybko i kiedy odwrócił się, rozglądając w poszukiwaniu szmatki, którą mógłby otrzeć swój nóż, ktoś rzucił mu kawałek płótna. Złapał je w locie. Uśmiechnięty szeroko Gibbs stał za ogromnym stołem, na którym leżała cała góra warzyw, czekających, aż posieka je nożem.

Za Gibbsem Szpon mógł widzieć innych służących, doglądających gotującego się nad paleniskiem mięsa, podczas gdy inni zajmowali się wypiekaniem świeżego chleba w piecach. Nagle Szpon poczuł wszystkie aromaty kuchenne, napierające na niego z ogromną siłą i ostry głód ścisnął niczym pięść żołądek chłopca. Przez chwilę ciepłe zapachy przywiodły mu na myśl matkę i inne kobiety gotujące posiłki w rodzinnej wiosce.

Walcząc z łzami napływającymi do oczu, Szpon zobaczył, jak ogromne drzwi otwierają się i do kuchni wpada jakiś mężczyzna. Nowo przybyły na oko wydawał się być w średnim wieku. Ogromny brzuch wylewał się zza pasa zapiętego na biodrach. Chłopiec stwierdził, że pas ten przypomina raczej koński popręg niż zwykły przedmiot służący do przytrzymywania spodni. Mężczyzna nosił także nogawice wpuszczone w buty sięgające do połowy łydki oraz ogromną białą koszulę, poplamioną winem i resztkami sosu. Twarz obcego przypominała kształtem księżyc w pełni, włosy miał czarne, przetykane gdzieniegdzie nitkami siwizny, związane z tyłu w koński ogon. Długie baczki sięgały mu prawie do podbródka. Mężczyzna rozejrzał się dookoła z niezadowolonym wyrazem twarzy, nie znajdując nic, do czego mógłby mieć jakiegokolwiek zastrzeżenia, dopóki jego spojrzenie nie padło na Szpona.

– Hej ty tam, chłopcze – powiedział, wyciągając oskarży cielsko palec w kierunku Szpona, chociaż w jego oczach czaiły się iskierki uśmiechu, a na ustach błędził lekki półuśmieszek – Co ty sobie wyobrazasz, że tam robisz?

– Obdzieram ze skóry tego jelenia, panie – powiedział Szpon niepewnie, gdyż mężczyzna zadał mu pytanie w języku roldem. Głos przybysza

wyrwał go ze szponów smutnych myśli.

Mężczyzna podszedł szybko do chłopca.

– Widzę. To już zrobiłeś – powiedział bardzo głośno. – Ale co robisz w tym momencie?

Szpon zastanowił się chwilę.

– Czekam, aż ktoś mi powie, co mam robić dalej – odpowiedział.

Na twarzy mężczyzny pojawił się szeroki uśmiech.

– Dobrze powiedziane, kolego. Ty jesteś tym chłopcem ze stodoły. Masz na imię... Szpon. Zgadza się?

– Tak, panie.

– Ja jestem Leo, a to jest moje królestwo – powiedział mężczyzna, rozkładając ręce i obejmując ramionami całe pomieszczenie. – Służyłem jako kucharz arystokracji i zwykłym ludziom, zamieszkującym ziemię od Królestwa Roldem aż do Krondoru, i żaden z żyjących nie powiedział nawet jednego słowa skargi na przygotowane przeze mnie posiłki.

Ktoś w tętniącej życiem kuchni wymamrotał pod nosem: – Bo wszyscy umarli, zanim mieli okazję cokolwiek powiedzieć.

Słowa te wywołały salwę śmiechu, zanim pracujący w kuchni zdążyli się uspokoić. Leo odwrócił się z nieoczekiwaną zwinnością. Na jego twarzy pojawił się cień niezadowolenia.

– Ty tam, Gibbs! Poznają po tobie, że to ty wypowiedziałeś te dowcipne słowa. Pilnuj lepiej pomyj.

Gibbs stanął na baczność i powiedział: – Ale to ten nowy chłopiec powinien zająć się pomyjami. Ja przecież podaję dzisiaj do stołu.

– Och nie, nie dzisiejszej nocy, mój wygadany Gibbsie. Dzisiaj chłopiec będzie podawał, a ty pójdiesz nakarmić świnię!

Kiedy Gibbs, wyglądający na przygnębionego, wyszedł z kuchni, Leo mrugnął do Szpona.

– To da mu trochę do myślenia. – Popatrzył na chłopca, oceniając jego nieco nieporządny wygląd. – Chodź ze mną.

Nie oglądając się, czy Szpon za nim idzie, Leo odwrócił się i popchnął w bok wielkie drzwi, przez które wszedł zaledwie chwilę temu. Szpon szedł o krok za nim.

Pokój za drzwiami wyglądał jak jakieś pomieszczenie dla służby. Na przeciwległej jego ścianie znajdowały się kolejne drzwi. Ogromne stoły biegły wzdłuż prawej i lewej ściany. Na stołach stały wszelkiego rodzaju talerze, misy, kielichy i inne naczynia.

– Tutaj trzymamy naczynia i nakrycia – powiedział Leo, tłumacząc Szponowi rzecz dla chłopca oczywistą. – Przy jakiejś okazji pokażemy ci, jak nakrywa się stoły dla naszych gości. – Pokazał na drugi stół, który był pusty. – Tutaj stawia się gorące talerze, podgrzewane w czasie kolacji. Lela i Meggie będą podawały do stołu.

Przeszedł przez drugie drzwi, a Szpon podążył za nim. Znaleźli się w długim korytarzu. Na ścianie naprzeciwko wisiały rzędy półek, na których stały różnorakie przedmioty: lampy, świece, kubki, czarki i inne rzeczy, tak potrzebne w pełnej gości karczmie.

– Tutaj Kendrik trzyma wszystkie te bibeloty, których możemy potrzebować – powiedział Leo. A potem wskazał na drzwi znajdujące się na lewej ścianie korytarza. – A to jest wspólna sala. Kiedy zatrzymuje się u nas karawana albo oddziałek z jakiegoś pobliskiego zamku, izba aż kipi od hałaśliwych, pijanych głupców. – Pokazał na drzwi po prawej stronie korytarza. – A to jest jadalnia – powiedział – gdzie posilają się nobliwi i ważni goście. Dzisiaj w nocy ty będziesz ich obsługiwał. – Przerwał na chwilę i zaczął szukać czegoś na półkach, aż znalazł długą, białą tunikę. – Włóż to na siebie – rozkazał Szponowi.

Chłopiec uczynił, co mu kazano i spostrzegł, że tunika sięga mu zaledwie do połowy długości uda. Przez mankiety bufiastych rękawów przeciągnięto tasiemki; kiedy je zawiązał, tkanina wybrzuszyła się malowniczo.

– Niech no spojrzę na twoje dłonie, chłopcze – zażądał Leo.

Szpon wyciągnął przed siebie ręce.

– Nie jestem aż takim fanatykiem na punkcie higieny jak niektórzy, ale nie możesz obsługiwać szlachty z zaschniętą za paznokciami krwią zabitego jelenia – powiedział Leo. Pokazał na drzwi do kuchni. – Wróć tam i się umyj. I użyj szczotki, żeby dokładnie usunąć brud.

Szpon przeszedł z powrotem przez drzwi do kuchni, gdzie zauważył duże wiadro, pełne wody z mydlinami, której używano do mycia brudnych garnków i talerzy. Zobaczył Lelę, stojącą przy drewnianym stole porzuconym przez Gibbsa, kończącą siekanie warzyw. Zaczął myć dłonie, a dziewczyna spojrzała na niego z uśmiechem.

– Podajesz dzisiaj do stołu?

– Tak mi się wydaje – odparł Szpon. – Nikt mi nic nie mówi.

– Nosisz przecież tunikę obsługującego – poinformowała go.

– A więc najwyraźniej będziesz dziś podawał.

– A na czym to polega? – zapytał Szpon, próbując stłumić nagły ból w brzuchu, wywołany zdenerwowaniem.

– Leo wszystko ci powie – zapewniła go z uśmiechem Lela.

– To całkiem łatwe.

Szpon przyjrzał się z uwagą swoim dłoniom i zobaczył, że paznokcie są już czyste i nie ma pod nimi krwi. Powrócił więc do korytarza, gdzie czekał na niego Leo.

– Długo ci to zajęło – powiedział kucharz, podnosząc do góry brwi. Szpon pomyślał, że kucharz pod wieloma względami przypomina mu

dziadka, zawsze rugającego go z uśmiechem, ale nigdy nie traktującego poważnie, wypowiedzianych przez siebie słów nagany.

– Chodź ze mną – rzekł Leo.

Szpon podążył za nim do pokoju jadalnego. Pomieszczenie to było podłużne, a na jego środku stał ogromny stół, największy, jaki chłopiec widział do tej pory. Na przeciwległych końcach stołu stały dwa krzesła z wysokimi oparciami. Kolejne szesnaście biegło w dwóch rzędach po osiem sztuk wzdłuż dłuższych krawędzi stołu. Stół wykonano z dębu, wyglądał na bardzo stary. Wypolerowały go lata używania, czyszczenia i brudzenia. Lśnił ciemnozłotym blaskiem, a tysiące rozlanych pucharów z winem i kufla z piwem znaczyło jego blat od jednego, do drugiego końca.

– Ten stół należy do Kendrika – poinformował chłopca Leo, zauważywszy jego wyraz twarzy. – Krążą o nim legendy. Podobno wycięto go jako jeden kawałek z pnia ogromnego dębu. Dziesiątki mężczyzn i dwa muły ciągnęły go tutaj na górę. – j. Spojrzał na sufit i zatoczył koło ręką. – Kendrik wybudował i ten pokój dookoła stołu. – Uśmiechnął się. – Nie mam pojęcia, co zrobimy, kiedy będziemy musieli zastąpić ten mebel innym. Tego starocia możemy pociąć siekierami i spalić w kominku, ale jak u licha wniesiemy tu nowy stół?

Szpon przeciągnął dłonią po powierzchni drewna i ze zdziwieniem stwierdził, że jest niesamowicie gładka.

– Tysiące szmatek w dłoniach tysięcy chłopców, podobnych I do ciebie, nadało mu tę gładkość. Ty też niewątpliwie się do niej przyłożysz. Niebawem. – Leo obrócił się i obejrzał pomieszczenie krytycznym wzrokiem. – Dobrze, teraz powiem ci, co masz zrobić. – Pokazał na dłuższą krawędź stołu. – Za parę minut przyniosą tutaj kilka dzbanów ciemnego piwa, jak również parę karafek z winem, a potem ty weźmiesz się do roboty. Widzisz te puchary? – Pokazał na naczynia stojące na stole.

Szpon skinął twierdząco głową.

– Niektóre z nich zostaną napełnione piwem. Do innych nalejemy wina. Czy wiesz, jaka jest między nimi różnica?

Szpon nagle poczuł ochotę do śmiechu. Zdołał jednak utajnić poważny wyraz twarzy, kiedy odpowiadał.

– Próbowałem i jednego, i drugiego.

Leo zmarszczył czoło w udawanym ataku gniewu.

– W obecności gości będziesz się do mnie zwracał „panie kucharzu”, czy to jasne?

– Tak, panie kucharzu.

– Dobrze, o czym to ja mówiłem? – Przez chwilę wyglądał na zagubionego. – Och tak, twoim zadaniem będzie stanie po tej stronie stołu. Tylko po tej stronie, czy to jasne?

Szpon przytaknął.

– Obserwuj gości siedzących przed tobą. Po tej stronie będzie ich siedziąco siedmiu, po drugiej sześciu, i jeszcze dwóch u szczytu stołu. – Pokazał na parę krzeseł na końcu stołu, po prawej stronie Szpona. – Na przeciwległym końcu nikt nie będzie siedział.

– Sześciu po tej stronie, panie kucharzu – powtórzył Szpon.

– Ty będziesz pilnował, żeby puchary gości były zawsze pełne. Jeżeli goście będą się dopominać o więcej wina czy piwa, honor Kendrika dozna uszczerbku, a ja sam odczuję to jako osobisty afront. I z pewnością poproszę Roberta d’Lyis, aby rozkazał Paskowi cię obić.

– Tak, panie kucharzu.

– Upewnij się, że nalewasz piwo do czarek zawierających uprzednio piwo i wino do pucharów, w których było wino. Słyszałem, że niektóre barbarzyńskie ludy z Imperium Wielkiego Keshu mieszają te dwa trunki, ale trudno mi jest w to uwierzyć. W każdym razie, spróbuj je tylko

pomieszać, a z pewnością poproszę Roberta d'Lyis, aby rozkazał Paskowi cię obić.

– Tak, panie kucharzu.

Leo uderzył chłopca lekko w tył głowy.

– Mogę poprosić Roberta d'Lyis, aby rozkazał Paskowi cię obić, gdyż po prostu jesteś chłopcem, a chłopcy potrafią być denerwujący. Zostań tutaj.

Kończąc tymi słowami, kucharz wyszedł, zostawiając Szpona samego w pomieszczeniu.

Szpon pozwolił oczom swobodnie wędrować po pokoju. Na ścianie za nim wisiły tkaniny, a w prawym rogu pomieszczenia, gdy stał przodem do stołu, widział mały piecyk. Kolejny stał w lewym, odległym kącie naprzeciw chłopca. Pomiedzy tymi dwoma piecami goście, siedzący przy stole, będą mieli wystarczająco ciepło, nawet w najzimniejsze, zimowe wieczory.

Pod przeciwległą, oddaloną ścianą stał mały podręczny stolik. Chwilę później do jadalni wszedł Lars, niosąc w dłoniach wielki talerz z zimną baraniną, udekorowaną warzywami. W pośpiechu wyglądającym na pewien rodzaj kontrolowanego szaleństwa do pokoju wpadły Lela i Meggie wraz z kilkoma innymi sługami, których Szpon widział w kuchni, ale nie poznał dotychczas ich imion. Wszyscy trzymali w rękach talerze pełne parających warzyw, gorącego chleba, dzbanki z sosami i miodem, osetki ze świeżo ubitym masłem i tace, na których spoczywała pieczona kaczka, królik i kurczak. Biegali w tę i z powrotem, przynosząc coraz to nowe talerze, aż podręczny stolik uginał się pod ciężarem jedzenia oraz wielu innych przedmiotów, których przeznaczenia Szpon nie był w stanie ustalić. Obok znajomo wyglądających jabłek, gruszek i śliwek leżały zagraniczne owoce o dziwnym kolorze i fakturze.

Następnie przyniesiono wino i piwo, a Lars ustawił się po drugiej stronie stołu, naprzeciwko Szpona. Na lewym końcu stołu stanęła Meggie, a Lela zajęła miejsce po prawej stronie, tuż przy podręcznym stoliku z jedzeniem.

Na chwilę wszyscy wydawali się zastygać w bezruchu, dając sobie czas na złapanie oddechu i doprowadzenie ubioru do ładu, a potem drzwi otworzyły się z impetem, wpuszczając do środka korowód dobrze ubranych mężczyzn i kobiet. Przybyli zajmowali miejsca przy stole wedle schematu opartego na randze i stanowisku, tak przynajmniej wywnioskował Szpon. Kobieta i mężczyzna stanęli za dwoma krzesłami znajdującymi się u szczytu stołu, natomiast inni, którzy wchodzili po nich, ustawiali się przy krzesłach z bocznych stron. Szponowi wydawało się, że ten ceremoniał przypominać musi zachowanie mężczyzn zasiadających w długim domu, w jego rodzinnej wiosce. Wioskowy wódz siada zawsze u szczytu stołu na krześle z wysokim oparciem, najokazalszym w całym pomieszczeniu, a jego zastępca siada po jego prawej stronie. Trzeci co do ważności zajmuje siedzisko po lewej stronie wodza i tak dalej, aż wszyscy mężczyźni z wioski zajmą należne im miejsca. Zmiana w porządku zasiadania miała miejsce tylko i wyłącznie w przypadku czyjejś śmierci, więc mężczyźni z wioski siedzieli na tych samych krzesłach przez długie lata.

Kendrik przeszedł przez drzwi ostatni. Ubrany był tak samo jak wtedy, kiedy Szpon widział go po raz pierwszy. Jego broda i włosy wyglądały na świeżo umyte i uczesane, ale nosił ciągle tą samą tunikę oraz spodnie i buty wyglądające na rzeczy do codziennej pracy. Podeszedł do krzesła u szczytu stołu, za którym stał mężczyzna uważany przez Szpona za najważniejszego, i odsunął je.

Szpon zobaczył, jak Lars rusza w kierunku krzesła stojącego tuż obok, przy dłuższej krawędzi stołu i odsuwa je. Chłopiec wahał się tylko przez moment i podeszedł do siedziska umiejscowionego po prawej stronie przy

krótkiej krawędzi stołu i odsunął je delikatnym ruchem. Stała przy nim kobieta w średnim wieku o uderzającej powierzchowności, z bogatym, szmaragdowym naszyjnikiem, spływającym na dekolt. Kiedy usiadła, Szpon lekko dosunął krzesło i poczekał, aż kobieta usadowi się wygodnie. Chłopiec nigdy nie usługiwał innym w ten sposób, ale wywiązał się z zadania doskonale.

Szpon wywnioskował z zachowania innych, że powinien teraz pomóc następnej w kolejności osobie. Ruszył więc w kierunku kolejnego krzesła i powtórzył uprzednią czynność. Wszyscy goście szybko zostali usadowieni na swoich miejscach. Kiedy Szpon powrócił na swoje stanowisko przy podręcznym stolczku, zobaczył, że Kendrik obserwuje jego i Larsa, jak zajmują poprzednie pozycje.

Dziewczęta zaczęły podawać do stołu, a potem Lars ujął w dłonie dzban z piwem i karafkę wina i podszedł do szczytu stołu. Szpon zawahał się i spojrzał poprzez pokój na Kendrika. Mężczyzna spojrzał na chłopca, a potem znacząco przeniósł wzrok na podręczny stół. Potem jego oczy znów spoczęły na Szponie.

Szpon zaczął naśladować Larsa. Podszedł do mężczyzny siedzącego na głównym miejscu, u szczytu stołu, i zaproponował mu do wyboru wino albo piwo. Mężczyzna przemówił, silnie akcentując słowa, ale używał języka roldem i chłopiec nie miał wątpliwość, że pod natłokiem dowcipnych powiedzonek i złośliwych uwag mężczyzna ukrywa prośbę o kielich wina. Szpon nalał mu czerwonego płynu, uważając, aby nie uронić ani kropli na stół czy na ubranie gościa.

Potem poszedł dalej, wzdłuż szeregu innych gości, szybko napełniając puchary zgodnie z ich życzeniami.

Kiedy już chłopiec zapoznał się ze swoimi obowiązkami i poznał oczekiwania innych względem siebie, reszta wieczoru upłynęła bez

żadnych nieoczekiwanych wydarzeń. Przez cały czas trwania posiłku napełniał puchar za pucharem, a kiedy dzban i karafka, które trzymał w dłoniach, robiły się puste, jedna z dziewcząt zabierała je do kuchni i w okamgnieniu przynosiła pełne.

Patrząc niewprawnym okiem, Szpon doszedł do wniosku, że kolacja mija bez zarzutu. Kiedy posiłek dobiegał już końca, chłopiec chciał napełnić kielich mężczyzny siedzącego u szczytu stołu, ale ten odmówił, nakrywając szybko puchar otwartą dłonią. Szpon nie wiedział, co powiedzieć, więc skłonił się tylko lekko i odszedł na bok.

Kiedy kolacja się skończyła, goście dali znak, że chcą odejść. Szpon pospieszył w kierunku pierwszego gościa, któremu na początku pomagał usiąść i zobaczył, że Lars i Kendrik robią podobnie. Był tylko lekko spóźniony w stosunku do nich; odsunął lekko krzesło tak, by kobieta mogła swobodnie i bez przeszkód wstać.

Kiedy z pokoju wyszedł ostatni z gości, Kendrik poszedł za nimi. Drzwi do hallu zatrzasnęły się za nim i natychmiast po tym otworzono wejście do pokoju służących. Przez drzwi wpadł Leo, krzycząc od progu: – No dobra! Na co jeszcze czekacie? Sprzątnąć mi zaraz ten bałagan!

Nagle Meggie, Lela i Lars rzucili się w kierunku stołu i zaczęli zbierać talerze, półmiski i puchary. Szpon podążył za nimi. Biegali w tę i z powrotem pomiędzy jadalnią i kuchnią. Zaczęło się zmywanie.

Szpon szybko złapał rytm tej pracy, wiążąc określone działania z odpowiednią osobą i z łatwością przewidywał, co musi wykonać jako następną czynność. Pod koniec tej nocnej pracy czuł się pewnie i bez problemu wykonywał wydawane mu polecenia. Wiedział, że następnym razem będzie w stanie poradzić sobie jeszcze lepiej podczas usługiwania przy kolacji, kiedy znów mu rozkażą to robić.

Kiedy pracownicy kuchni zaczęli przygotowywać poranny posiłek, a kilku z nich zabrało się do wypieku chleba, do Szpona podeszła Lela.

– Zanim położysz się spać, Kendrik chce się z tobą widzieć – powiedziała.

Rozejrzał się dookoła.

– Gdzie?

– We wspólnej sali jadalnej – odparła.

Chłopiec znalazł Kendrika siedzącego przy jednym z długich stołów przy szynkwacie z Robertem d’Lysis. Obaj rozkoszowali się kufkami ciemnego piwa.

Pierwszy odezwał się Kendrik.

– Chłopcze, czy to ciebie nazywają Szpon?

– Tak, panie – przytaknął chłopiec.

– Szpon Srebrnego Jastrzębia – uzupełnił Robert.

– To imię należące do człowieka z ludu Orosinich – stwierdził Kendrik.

– Tak, panie.

– Przez kilka ostatnich lat widzieliśmy tutaj nielicznych z twojego plemienia, ale wy jesteście znani z tego, że raczej nie wystawiacie nosa z tych swoich gór.

Szpon przytaknął, niepewny, czy powinien coś odpowiedzieć na to stwierdzenie. Kendrik przyglądał mu się przez chwilę z uwagą.

– Nie jesteś zbyt rozmowny – rzekł w końcu. – To dobra cecha charakteru. – Wstał i podszedł bliżej do chłopca, wpatrując się w jego twarz, jakby szukał tam czegoś, czego nie mógł zobaczyć z odległości. – Co Leo kazał ci robić podczas kolacji? – zapytał po chwili uważnej inspekcji.

– Miałem nalewać wino do pucharów z winem i piwo do kufli z piwem.

– I to wszystko?

– Tak, panie.

Kendrik uśmiechnął się.

– Leo myśli sobie, że to bardzo interesujące kazać chłopcu podawać do stołu bez uprzedniego przeszkolenia. Będę z nim musiał znowu porozmawiać. Dobrze się spisałeś i żaden z gości nie zorientował się, że jesteś nowicjuszem. – Odwrócił się do Roberta. – Zostawiam go tobie. Dobrej nocy.

Robert wstał i skinął mu głową na pożegnanie, a potem gestem kazał Szponowi zająć miejsce obok przy stole.

Szpon usiadł i Robert przez chwilę przyglądał mu się uważnie. W końcu się odezwał.

– Czy wiesz, jak się nazywał mężczyzna, który przy kolacji siedział na głównym miejscu przy stole?

– Tak – odpowiedział Szpon.

– Więc kim on jest?

– To hrabia Ramon DeBarges.

– A skąd to wiesz?

– Widziałem go ostatnim razem, kiedy odwiedził zajazd. Lela powiedziała mi, jak się nazywa.

– Ile pierścieni nosił na palcach prawej dłoni?

Szpon zdziwił się, słysząc to pytanie, ale nic nie powiedział, próbując sobie przypomnieć liczbę pierścieni. Kiedy już przed oczyma jego duszy stał wyimaginowany hrabia, wyciągający upierścienioną dłoń z pucharem, oczekując na dolewkę wina, chłopiec powiedział: – Trzy. Jeden z dużym czerwonym kamieniem oprawionym w srebro na małym palcu. Drugi z ornamentowanego złota na palcu serdecznym i złotą obrączkę z dwoma zielonymi kamykami na palcu wskazującym.

– Dobrze – powiedział Robert. – Te zielone kamienie to szmaragdy. Czerwony nazywa się rubin.

Szpon zastanawiał się, w jakim celu Robert zadaje mu takie pytania, ale nie odezwał się.

– Jak wiele szmaragdów tkwiło w naszyjniku, który nosiła dama zasiadająca po lewej stronie hrabiego?

Szpon zastanawiał się chwilę i odpowiedział: – Wydaje mi się, że siedem.

– Wydaje ci się, czy jesteś pewien?

Szpon zawahał się.

– Wydaje mi się – powiedział.

– Dziewięć. – Robert przypatrywał się twarzy młodzieńca, tak jakby oczekiwał, że ten powie coś na swoje wytłumaczenie, ale Szpon nie odzywał się.

– Czy pamiętasz – zapytał Robert po dłuższej chwili milczenia – o czym rozmawiali hrabia i człowiek siedzący dwa krzesła od niego po prawej stronie, kiedy ty obsługiwałaś damę znajdującą się pomiędzy nimi?

Szpon przez chwilę nic nie mówił, gorączkowo przeszukując pamięć.

– To było coś o psach. Tak mi się wydaje.

– Wydaje ci się, czy wiesz?

– Wiem – odparł Szpon. – Rozmawiali o psach.

– o jakich psach, co mówili?

– Mówili coś o psach myśliwskich. – Przerwał na chwilę, a potem dodał:

– Ciągle jeszcze nie mówię dobrze w języku roldem, Robercie.

D'Lyis siedział bez ruchu przez pewien czas, a potem skinął głową.

– Nie szkodzi. Radzisz sobie dobrze. – A potem zaczął zadawać całe serie pytań, poczynając od tego, co kto jadł, a kończąc na tematach dyskutowanych przez ludzi jedzących przy stole, detalach ich strojów i ozdobach noszonych przez panie, ile kto wypił, kto wypił za dużo i czego

za dużo, aż w końcu Szpon doszedł do wniosku, że spędzą w tej karczmie całą noc, a i tak nie opowie Robertowi wszystkich szczegółów.

Nagle Robert zmienił temat.

– To wystarczy. Wracaj do stodoły i połóż się spać. Wezwę cię, kiedy zajdzie taka potrzeba. Potem przeniesiesz się do pokoi dla służby. Zamieszkasz razem z Larsem i Gibbsem w jednej izbie.

– A więc będę od teraz służącym w Zajeździe Kendrika?

Robert uśmiechnął się lekko.

– Przez pewien czas, młody Szponie. Tylko przez pewien czas. Szpon wstał i ruszył w kierunku kuchni, gdzie bochenki chleba rosły w ciepłe bijącym od palenisk, w oczekiwaniu na wypiek, który miał być pierwszą rzeczą następnego ranka, do jakiej zabiorą się kucharze. Chłopiec zdał sobie nagle sprawę, że nie jadł nic od wielu godzin i zatrzymał się przy wielkiej misie, skąd wziął sobie jabłko i ugryzł je łapczywie. Pomyślał sobie, że owoce są z pewnością przeznaczone do ciasta, ale był pewien, że zjedzenie jednego nie narazi Lea na niepowetowane straty.

Wychodząc na zewnątrz, zobaczył, że niebo na wschodzie powoli nabiera jaśniejszego koloru. Niebawem nadejdzie chwila przed świtem, którą ludzie jego plemienia nazywali Ogon Wilka, ten szary czas, podczas którego człowiek może ukraść kilka cennych minut, wyruszając jeszcze przed świtem na polowanie czy w długą podróż.

Szpon wszedł do stodoły i podszedł do swojego posłania. Padł na koce, czując, jak ogarnia go wielkie zmęczenie. Do połowy zjedzone jabłko wypadło mu z ręki. Zastanawiając się jaki czeka go los i co kryje się za pytaniami zadawanymi mu przez Roberta, które na oko nie miały żadnego sensu ani znaczenia, Szpon zapadł szybko w twardy sen bez snów.

ROZDZIAŁ CZWARTY

GRY

Szpon zmarszczył brwi.

Spojrzał na karty rozłożone na stole i zastanowił się nad jakimkolwiek rozwiązaniem, które mogłoby zmienić ich rozkład we właściwy sposób. Po przeanalizowaniu pozycji czterech kart, które właśnie odwrócił, zdał sobie sprawę, że nie ma żadnego sposobu, aby dalej mógł kontynuować tę grę.

Wzdychając, połowicznie z irytacji, a częściowo ze znudzenia, chłopiec zebrał karty i zaczął je tasować. Powstrzymał się od pokusy odwrócenia i spojrzenia na dwóch mężczyzn stojących za nim i przyglądających się grze. Ciekawiło go, czy okazują jakąkolwiek reakcję.

Białowłosa mężczyzna, którego w myślach nazywał Ośnieżonym, ale który miał w rzeczywistości na imię Magnus, stał za Robertem. Robert siedział na krześle przyniesionym do jadalni ze wspólnego pokoju. Wytłumaczył chłopcu pomysł i przyczynę zabawy kartami jakiś tydzień wcześniej.

Talia składała się z pięćdziesięciu dwóch kart podzielonych na cztery grupy: różdżki, miecze, puchary i diamenty, każde w innych kolorach. Puchary były niebieskie, różdżki zielone, miecze czarne, a diamenty żółte. Kart tych używano z reguły do gier hazardowych, takich jak paszawa czy poker, albo pokir, jak nazywano tę grę w Imperium Wielkiego Keshu. Robert pokazał Szponowi Mika gier i nauczył go w nie grać. Kilkakrotnie grali razem, żeby chłopiec oswoił się z porządkiem kolorów i figur, które zaczynały się od karty nazywanej as, a kończyły na królu. Nazwa as, jak

wyjaśnił mu Robert, pochodzi z języka Bas–Tyran, gdzie oznacza jednostkę. Niższe karty posiadały numery od dwóch do dziesięciu, ale Szpon nie widział żadnej logiki w fakcie, że as, czyli jedynka, jak myślał o tej karcie, jest najwyższą z figur i przebija nawet króla, królową i kapitana.

Szpon uśmiechnął się lekko pod nosem. Nie wiedział dlaczego, ten nieistotny fakt, że najniższy numer w talii, zwykła jednostka, jest najbardziej wartościową kartą, irytował go niepomiernie. Mimo to radził sobie bardzo dobrze w grach, których nauczył go Robert. A potem Robert pokazał mu, jak się układa pasjansa, używając talii kart dla zwykłej rozrywki, kiedy nie ma możliwości zorganizowania innych graczy. Wszystkie pasjansa bazowały na jednym schemacie, a różniły się tylko rozkładem, jak nazywał to Robert. Karty można było rozkładać i zbierać w dowolny sposób. Niektóre gry wymagały, żeby gracz układał karty w rzędy uporządkowane pod względem rangi albo w zmieniających się sekwencjach kolorów; w porządku wzrastających lub malejących numerów lub w kombinacji wszystkich powyższych schematów.

Wcześniej tego dnia Robert zabrał Szpona z kuchni do pokoju jadalnego. Chłopiec nie miał wiele zajęć, gdyż w zajeździe nie nocowali akurat żadni goście. W jadalnej sali Robert pokazał chłopcu grę, która nazywała się „Czterej królowie”.

Gra wprowadziła Szpona w zakłopotanie. Na stole leżało czterech królów, od prawej do lewej strony, a na nich cztery odkryte karty. Zadaniem gracza było takie układanie kart, aby kolorem pasowały do króla. Nie wolno było tylko kłaść kart o różnych kolorach i figurach obok siebie – wszystkie musiały pasować pod tymi względami. Następnym zadaniem było utworzenie kupek czterech identycznych pod względem figur kart, ułożonych w kwadrat. Te czynności należało powtarzać, aż wszystkie cztery asy spotykały się na kupkach, co powodowało automatyczne

wyłączenie ich z gry. Potem zbierano dwójki, trójki i tak dalej, aż na stole pozostały same króle.

Szpon szybko się zorientował, że gra nie jest łatwa i trudno ją wygrać. Polegała zbytnio na przypadkowym szczęśliwym ułożeniu kart, podejmowanych z talii w określonym porządku, a nie na umiejętnościach czy dobrej pamięci. Ale jednak pewne umiejętności były potrzebne, aby przewidzieć sytuacje, w jakich karty powinny zostać wycofane z gry po ułożeniu w odpowiedniej sekwencji.

Przez pół dnia Szpon gorliwie grał w tę grę, postanowiwszy sobie zostać w niej mistrzem. Potem zdał sobie sprawę, jak wiele szczęścia potrzeba, aby wygrać i zniechęcił się. Jednak Robert ciągle nalegał, że powinien grać i usiadł za chłopcem, obserwując grę w ciszy.

Podczas gdy Szpon rozkładał karty, rozpoczynając kolejną grę, zastanawiał się, nie po raz pierwszy zresztą, po co Robert każe mu to robić.



– Robercie, dlaczego to robisz? – zapytał szeptem Magnus.

– Ludzie z plemienia chłopca nie mają raczej zastosowania dla abstrakcyjnej logiki w życiu codziennym – odparł cicho Robert. – Są myśliwymi, farmerami, poetami i wojownikami, ale posługują się jedynie podstawami matematyki i nie radzą sobie dobrze w żadnej z dyscyplin związanych z wyższą arytmetyką. Oczywiście mają budowniczych, ale brakuje pomiędzy nimi inżynierów. Także magów posiadają mniej niż jakiegokolwiek inne ludy. Wiem zaledwie o dwóch, którzy zamieszkiwali kiedykolwiek obszary Orosinich.

Rozmawiali w języku królów, pochodzącym z Królestwa Wysp, aby Szpon nie mógł zrozumieć ich dysputy. Robert zdawał sobie sprawę, że chłopiec ma doskonały słuch.

– A więc gra w karty, aby nauczyć się logiki?

Robert przytaknął.

– To dopiero początek. Taka gra to nauka podstawowych problemów w rozwiązaniach.

Bładoniebieskie oczy Magnusa wpatrywały się, niczym zahipnotyzowane, w karty rozłożone na stole.

– Grałem w czterech królów, Robercie. Ty mnie nauczyłeś tej gry, pamiętasz? To bardzo trudny pasjans. Nie uda mu się ułożyć poprawnie zbyt wielu rozdań.

Robert uśmiechnął się.

– Tu nie chodzi o to, żeby wygrał. Musi się nauczyć rozpoznawać sytuacje, w których wygrać się nie da. Zobacz, zauważył, że w układzie tych czterech kart jest niemożliwością wygrać rozdanie. – Patrzyli, jak Szpon zbiera karty, pozostawiając króle na swoich miejscach i rozdaje ponownie, rozpoczynając nową grę. – Na początku rozkładał całą talię, zanim spostrzegł, że rozdanie nie ma szans powodzenia i nie może wygrać. A teraz, mniej niż dwa dni później, rozpoznaje bardziej subtelne kombinacje i układy kart, które wskazują na porażkę.

– Bardzo dobrze. A więc ma pewien potencjał, może nawet talent. Ale to nie jest odpowiedzią na moje pytanie. Co zamierzasz dalej zrobić z tym chłopcem?

– Cierpliwości, mój narwany przyjacielu. – Spojrzał na Magnusa, który w skupieniu patrzył na Szpona. – Byłoby znacznie lepiej, gdybyś miał więcej z charakteru swego ojca niż z porywczowości matki.

Białowłosa mężczyzna nie oderwał wzroku od chłopca, tylko uśmiechnął się lekko.

– Słyszałem te słowa od ciebie więcej niż raz, mój przyjacielu. – Spojrzał na Roberta. – Znacznie lepiej już sobie radzę z powściągnięciem

temperamentu, nieprawdaż?

– Nie zniszczyłeś żadnego miasta w przeciągu kilku ostatnich tygodni, czyż nie?

Magnus uśmiechnął się.

– Nie, chyba że niechcący. – Na jego twarz powrócił twardy wyraz. – Irytują mnie te twoje gierki w grach.

– Ach – rzekł Robert. – Znów mówisz jak syn swojej matki. Twój ojciec nauczył mnie, powtarzając przez całe moje dorosłe życie, że możemy walczyć ze swoimi wrogami tylko wtedy, gdy się oni ujawnią. Przez ostatnie trzydzieści lat byliśmy świadkami tak wielu różnorodnych napaści na nasze kruche żywoty, że trudno jest nawet jakoś ujednoczyć i podsumować doświadczenia. Ale jedno jest pewne i niezmienne.

– A co takiego? – Magnus znowu przeniósł spojrzenie na grę Szpona.

– Że wróg nigdy nie stosuje dwukrotnie tej samej sztuczki. Słudzy Bezimiennego są sprytni i uczą się na własnych błędach. Gdy nie skutkuje zwykła, prosta siła, próbują osiągnąć swoje cele po kryjomu. My także musimy zatem odpowiedzieć im tym samym.

– Ale ten chłopiec...?

– Los uratował mu życie nie bez powodu, przynajmniej tak uważam – powiedział Robert. – Próbuję wykorzystać wszelkie możliwości, jakie daje mi ta nieoczekiwana sposobność. On ma... coś w sobie. Myślę, że gdyby ta tragedia nigdy nie wydarzyła się w jego wiosce, chłopiec wyrósłby na zwyczajnego młodzieńca z ludu Orosinich. Zostałby mężem i ojcem, wojownikiem w czasie zagrożenia, farmerem, myśliwym i rybakiem w czasach pokoju. Nauczyłby swoich synów, tak jak i jego nauczali przodkowie, i umarłby w podeszłym wieku, zadowolony z życia i pogodzony z losem. Ale pomyśl sobie, że ten sam dzieciak przeżywa tak potworny cios, który łamie mu serce, i wtedy, kto wie, co się wydarzy w

jego duszy. Hartowane żelazo może stać się kruche i pęknąć przy pierwszym uderzeniu, ale także może zmienić się w najwytrzymalsze ostrze.

Magnus nie odzywał się. Szpon rozpoczął kolejną grę.

– Sztylet, nieważne jak dobrze wykuty, posiada dwa ostrza, Robercie. Może cię zranić na dwa sposoby.

– Nie ucz babci lepić pierogów, Magnusie.

Magnus uśmiechnął się, pokazując zęby.

– Mój ojciec nigdy nie poznał swojej matki, a obawiam się, że ta moja jedna jedyna babcia, jaką znam, odwaliła niezłą robotę, podbijając połowę znanego świata. Nie śmiałybym nawet uczyć jej czegokolwiek.

– To okropne poczucie humoru masz także po matce. – Przeszedł na język roldem. – Szponie, wystarczy już – powiedział. – Czas, abyś powrócił do kuchni. Leo ci powie, co masz robić.

Szpon odłożył karty do małego pudełeczka i podał je Robertowi, a potem popędził szybko do kuchni.

– Ciągle nie jestem do końca przekonany, w jaki sposób ten chłopiec, według ciebie, może być przydatny w naszej potrzebie – powiedział Magnus.

Robert wzruszył ramionami.

– Twój ojciec pokazał mi wiele rzeczy, kiedy byłem młody, ale najważniejszą lekcją ze wszystkich było po prostu studiowanie natury twego rodzinnego kraju. Twoja wyspa zapewniała schronienie i wykształcenie dla wszystkich istot, jakie tylko mogłem sobie wyobrazić w swoich dziecińczych snach. – Pokazał w kierunku kuchni. – Ten chłopiec może okazać się nikim więcej niż tylko cennym sługą, albo może będzie dobrze wykonanym narzędziem. – Oczy Roberta zwięziły się. – Ale może

on także stać się kimś znacznie ważniejszym: niezależnym umysłem, oddanym w pełni naszej sprawie.

Magnus nie odzywał się przez dłuższą chwilę. A potem powiedział: – Raczej w to wątpię.

Robert uśmiechnął się ciepło.

– My też wątpiliśmy w ciebie, kiedy byłeś młody. Pamiętam jedno wydarzenie, kiedy zostałeś zamknięty w swoim pokoju na... hm... ile to było? Siedem dni?

Na usta Magnusa powrócił lekki uśmiech.

– To nie była moja wina, przypominasz sobie?

Robert skinął pobłaźliwie głową.

– To nigdy nie była twoja wina.

Magnus rzucił spojrzenie w kierunku kuchni.

– Ale ten chłopiec?

– Musi się jeszcze nauczyć bardzo wielu rzeczy – odpowiedział Robert.
– Logika to tylko początek. Musi zdać sobie sprawę, że nawet najbardziej skomplikowane zadania w życiu często mogą być postrzegane przez pryzmat gier, z całym ich sensem wygranej, przegranej i oceny ryzyka. Musi się nauczyć, kiedy odejść, zrezygnować z walki w konflikcie, a kiedy skorzystać ze szczęścia i złapać byka za rogi. Wiele z jego natury, z tego, czego się nauczył jako dziecko wśród swoich rodaków, musi zostać z niego wykorzenione. Musi się nauczyć gry, w jaką grają mężczyźni i kobiety. Czy wiedziałeś, że jego żona została dla niego wybrana, podczas gdy on siedział na szczycie świętej góry, czekając na wizje, które miały go wprowadzić w wiek męski?

– Niezbyt wiele wiem o zwyczajach Orosinich – wyznał Magnus.

– On nie ma bladego pojęcia o podstawowych sprawach, oczywistych dla mieszkańców miast. Nie zna dwulicowości ani zepsucia, więc zupełnie

nie potrafi ocenić, czy jego rozmówca mówi prawdę, czy kłamie w żywe oczy. Jednakże posiada ogromne wyczucie natury, które mogłoby uczynić z niego rywala nawet dla Strażników Natalu.

– Kaleb opowiadał mi, że dzieciak poluje jak żaden człowiek urodzony w mieście – zgodził się Magnus.

– Twój brat spędził lata całe w towarzystwie elfów, więc powinien się na tym znać.

– Zgadzam się.

– Nie, nasz młody przyjaciel Szpon posiada w sobie naprawdę wielki potencjał. Jest, może nawet, niezwykły i jedyny w swoim rodzaju. I jest na tyle młody, że będziemy w stanie go wykształcić, aby stał się kimś, kim jedynie nieliczni z nas mogą zostać.

– Wydaje się, że chłopak jest pilnym studentem – stwierdził Magnus.

– I ma takie poczucie honoru, że mógłby nim obdzielić nawet potomka kapitana Tsuranich z LaMut.

Magnus podniósł brwi. Ludzie z krwi Tsuranich byli tak zasadniczy w sprawach, w których chodziło o honor, jak żadni inni mężczyźni na ziemi. Gotowi byli umrzeć, aby spłacić dług zaciągnięty w kwestii honoru. Patrzył przez chwilę, obserwując, czy Robert nie przesadza aby odrobinę, i zdał sobie sprawę, że nie.

– Czasami poczucie honoru może być bardzo przydatne.

– Ma już misję do wykonania, nawet jeżeli ta myśl nie sprecyzowała się do końca w jego umyśle.

– Misję?

– On należy do ludu Orosinich. Musi ścigać i zabić ludzi odpowiedzialnych za masakrę jego wioski.

Magnus pozwolił sobie na długie westchnienie.

– Raven i ta jego banda morderców. Nie będzie mu łatwo – Chłopiec już jest doskonałym myśliwym. Kiedy będzie gotowy, znajdzie ich. I chciałbym, żeby dysponował wtedy nieco lepszą bronią niż gołe ręce i przyrodzony spryt. Więc musimy go jeszcze wiele nauczyć, musimy to zrobić razem.

– On nie ma żadnych talentów do magii, a przynajmniej tak sobie wyobrażam, w przeciwnym bowiem razie wysłałbyś go raczej do mojego ojca, zamiast trzymać go tutaj.

– Prawda, ale ty, Magnusie, oprócz magii posiadasz jeszcze inne umiejętności. Wcale sobie nie żartuję. Chłopak ma otwarty umysł i znam o wiele więcej bardziej skomplikowanych ćwiczeń, które potrafią dyscyplinować myślenie dużo lepiej niż gra w karty. Jeżeli chłopak ma się na coś przydać, musi być tak twardy duchowo i urny słowo, jak już jest wytrzymały na ciele. Może i nie ma żadnych magicznych talentów, ale z pewnością będzie musiał kiedyś stawić czoła zaklęciom. I będzie musiał radzić sobie z umysłami bardziej uczonymi w podwójnej grze i obłudzie, niż jest w stanie sobie wyobrazić w tej chwili.

– Jeżeli obawiasz się tylko obłudy, powinieneś przywołać tutaj Nakora, aby uczył chłopca.

– Może tak zrobię, ale jeszcze nie teraz. Poza tym twój ojciec trzyma Nakora w Keshu z jakichś niewyjaśnionych do końca przyczyn.

Magnus wstał.

– Ach, więc długo zapowiadająca się wojna pomiędzy Królestwem Wysp i Imperium Wielkiego Keshu ma szansę wybuchnąć właśnie teraz.

Robert roześmiał się.

– Nakor wcale nie wywołuje zamętu w każdym miejscu, które odwiedza.

– Nie, tylko w większości tych miejsc. Cóż, jeżeli naprawdę uważasz, że chłopiec jest w stanie wyśledzić Ravena i zabić go, życzę ci powodzenia.

– Och, wcale nie martwię się Ravenem i jego kompanami. Ściganie ich jest tylko częścią treningu Szpona, aczkolwiek bardzo istotną w jego edukacji. Jeżeli mu się nie uda, będzie to dowodem, że chłopiec nie posiadał jeszcze w pełni pożądaných umiejętności.

– Jestem naprawdę zaintrygowany. Co się pod tym kryje?

– Szpon zemści się za swoich rodaków, kiedy zabije wszystkich odpowiedzialnych za masakrę Orosinich. Co oznacza, że chłopiec nie spocznie, zanim nie dopadnie i nie zniszczy człowieka, który stoi za tym wszystkim.

Magnus zmrużył oczy, ich bladoniebieskość przybrała barwę lodu.

– Masz zamiar zmienić tego chłopca w broń?

Robert przytaknął.

– Będzie chciał i będzie musiał zabić najbardziej niebezpiecznego człowieka, jaki obecnie żyje na świecie.

Magnus usiadł z powrotem na krześle i skrzyżował ramiona na piersi. Popatrzył w kierunku kuchni, próbując jakby przejrzeć na wylot przez ściany.

– Wysyłasz mysz na pojedynek ze smokiem.

– Może. Jeżeli tak, upewnijmy się, że ta myszka ma ząbki.

Magnus pokiwał wolno głową i nie odezwał się już więcej.



Szpon dźwigał cebrzyk z wodą, wspinając się pod górę, kiedy zobaczył Meggie, która ze zmarszczonymi brwiami czekała u bram zajazdu. Dziewczyna stanowiła całkowite przeciwieństwo Leli. Lela była zmysłowa, Meggie drobna i sucha, Lela miała ciemną karnację, a Meggie jasną, prawie bladą. Lela sprawiała wrażenie egzotycznego stworzenia, Meggie była nijaka. Lela wprost tryskała energią, Meggie wiecznie się krzywiła. Krótco

mówiąc, Meggie nie miała jeszcze nawet dwudziestu lat, a zachowywała się jak zręczliwa kobiecina będąca co najmniej w średnim wieku.

– Coś długo ci to zajęło – powiedziała.

– Nie wiedziałem, że muszę się śpieszyć – odparł Szpon, który czuł się już zupełnie pewnie, używając języka roldem płynnie i gramatycznie. Teraz posługiwał się niemal wyłącznie tamowi – Zawsze trzeba szybko pracować – warknęła dziewczyna.

– Dlaczego czekałaś tu na mnie na dole? – zapytał Szpon, idąc za nią pod górę w kierunku zajazdu.

– Kendrik powiedział, że muszę cię znaleźć i ci powiedzieć, że dzisiejszego wieczora znowu masz obsługiwać przy stole w jadalni.

Meggie szczerze okryła ramiona ponurą, szarozieloną chustą. Widział przed sobą jej przygarbioną sylwetkę. Dni robiły się teraz chłodne, a w nocy łapał przymrozek. Jesień powoli przechodziła w zimę, niebawem będzie padał śnieg.

– W zajeździe zatrzymała się karawana idąca z kraju Orodonów do Farindy i wygląda na to, że podróżuje z nimi ktoś ważny. Więc ja i Lela mamy wraz z Larsem obsługiwać wspólną salę, a ty i Gibbs zostaliście przydzieleni do jadalni.

– Mogłaś przecież zaczekać z tą informacją, aż wrócę do kuchni – zauważył Szpon.

– Kiedy otrzymuję jakieś polecenie, wykonuję je natychmiast – odparła sucho. Przyspieszyła kroku i wyprzedziła chłopca o kilka metrów. Szpon patrzył na jej wyprostowane plecy, kiedy szła przed nim. Przez chwilę miał wrażenie, że coś czuje i nie wiedział co. Potem zorientował się, o co chodzi. Podobało mu się, w jaki sposób dziewczyna poruszała biodrami, wspinając się na wzgórze. Czuł bardzo często to samo dziwne mrowienie w brzuchu, kiedy zostawał sam na sam z Lelą, więc bardzo się zdziwił. Nie lubił

zbyttnio Meggie, ale nagle złapał się na tym, że myśli o lekko zadartym nosie dziewczyny i o uśmiechu pojawiającym się na jej twarzy przy niewielu okazjach. Wtedy w kącikach jej oczu pojawiały się małe linie. Lela nazywała je zmarszczkami.

Wiedział, że przez pewien czas Meggie i Lars byli ze sobą blisko, ale dla jakiejś niewiadomej przyczyny teraz nie rozmawiali ze sobą prawie wcale, podczas gdy z Lelą rozmawiali wszyscy. Odepchnął od siebie to nieprzyjemne uczucie. Wiedział, jakie sprawy wiążą ze sobą mężczyźni i kobiety. Ludzie z jego wioski byli otwarci w sprawach seksu i już jako dziecko widział mężczyzn i kobiety nagich, kąpiących się w małym jeziorze. Jednak rzeczywistość przebywania w obecności młodych kobiet przyprawiała go o zakłopotanie. A poza tym ci ludzie nie byli Orosinami. Pochodzili z obcego kraju, chociaż po krótkiej chwili zastanowienia Szpon doszedł do wniosku, że on także jest teraz cudzoziemcem. Nie znał ich zwyczajów, ale najwyraźniej nie przykładali oni zbyt wielkiej wagi do czystości ciała i wierności przed ślubem. A potem zdał sobie sprawę, że nie wie nawet, czy oni składają sobie takie przysięgi jak Orosini. Może wcale nie mają instytucji małżeństwa i nie przysięgają wierności aż po grób.

O ile Szpon był zorientowany, Kendrik nie miał żony. Leo poślubił w przeszłości wielką kobietę o imieniu Marta, która zajmowała się w kuchni wypiekami wszelkiego rodzaju, ale ci dwoje pochodzili z jakiegoś odległego kraju nazywanego Ylith. Może tutaj w Langadore mężczyźni i kobiety żyli osobno, tylko... potrząsnął głową, kiedy dotarli do bramy i weszli na dziedziniec. Nie wiedział, co ma o tym wszystkim myśleć. Postanowił porozmawiać o tych sprawach z Robertem, kiedy tylko nadarzy się po temu okazja.

Zauważył, że Meggie stoi na ganku, czekając na niego.

– Napełnij te baryłki – rozkazała mu.

– Wiem, co mam robić – odpowiedział jej łagodnie.

– Ach, ale czy na pewno? – spytała obraźliwym tonem.

Kiedy się odwróciła, aby przytrzymać mu drzwi, chłopiec czekał w bezruchu, a potem wszedł do sieni. Zamknęła za nim. Szpon postawił na posadzce wielkie cebry z wodą.

– Meggie? – zapytał nieśmiało.

– Słucham? – powiedziała, odwracając się do niego, lekko unosząc brwi w wyrazie zaciekawienia.

– Dlaczego mnie tak nie lubisz?

Otwartość tego pytania bardzo ją zaskoczyła. Przez chwilę stała, nie wiedząc, co powiedzieć, a potem przecisnęła się obok niego w korytarzu.

– Kto powiedział, że cię nie lubię? – spytała miękkim tonem.

Zanim zdołał odpowiedzieć, zniknęła w kuchni. Szpon ponownie złapał za uchwyty wiader i zaniósł je do baryłek na wodę.

Naprawdę nie był w stanie zrozumieć tych ludzi.



Tej nocy, po obiedzie, Szpon odszukał Roberta, który nocował w pokoju na tyłach zajazdu, na pierwszym piętrze. Wiedział, że jest temu człowiekowi winien życie. I dopóki nie zostanie zwolniony ze służby, będzie musiał spłacać dług Robertowi d'Lyis przez resztę swoich dni, albo do czasu, aż on sam uratuje dłużnikowi życie. Ale chłopiec nie miał pojęcia, jakie są plany Roberta względem jego osoby. Ogłuszony i znieczulony przez żalobę, przytłoczony zmianami w życiu, jakie zaszły od święta Przesilenia Letniego, chłopiec z niepokojeni czekał na zimę i zaczął teraz myśleć o przyszłości i zastanawiać się, jaki spotka go los, kiedy nadejdzie wiosna i kolejne lato.

Zawahał się przed drzwiami. Nigdy nie był w prywatnym pokoju Roberta i nie miał pojęcia, czy taka wizyta jest czymś dozwolonym. Wziął głęboki oddech i zapukał lekko.

– Proszę wejść.

Otworzył powoli drzwi i zajrzał przez próg.

– Panie, czy mogę z tobą pomówić?

W pokoju Roberta znajdowało się mało mebli. Stało tam tylko łóżko, skrzynia na ubrania, stół i krzesło. Mężczyzna siedział przy stole, patrząc na jakiś duży obiekt, który dla Szpona wyglądał jak kilka pergaminów zszytych razem. Obok niego stała świeca, jedyne źródło światła w całym pokoju. Misa i dzban na wodę wskazywały, że stół służył nie tylko jako miejsce pracy i, kiedy był wolny, Robert używał go także jako umywalni.

– Wejź do środka i zamknij drzwi.

Szpon zrobił, jak mu polecono i stanął niezdecydowanie przed Robertem.

– Czy mogę coś zrobić?

– Czy co możesz zrobić?

– Czy mogę zadać jedno pytanie?

Robert uśmiechnął się.

– No nareszcie. Nie tyle możesz, co nawet powinienes. Co cię gryzie, chłopcze?

– Wiele rzeczy, panie.

Robert podniósł brwi.

– Panie?

– Nie wiem, jak inaczej mam się do ciebie zwracać, a wszyscy mówią, że jesteś moim panem. Robert machnął rękaw kierunku łóżka.

– Siądź tam.

Szpon usiadł z wahaniem.

– Na początek właściwym będzie, jeżeli będziesz zwracać się do mnie „panie” w obecności osób trzecich i tych, których znamy, ale kiedy jesteśmy sam na sam albo z Paskiem, możesz mówić do mnie po prostu „Robercie”. Zrozumiałeś?

– Rozumiem, co mam robić, ale nie rozumiem, dlaczego mam tak robić.

Robert uśmiechnął się.

– Masz tak szybki język jak bystry wzrok, Szponie Srebrnego Jastrzębia. A teraz, powiedz mi, z jakiego powodu postanowiłeś mnie odwiedzić?

Szpon zastanawiał się chwilę, zbierając myśli i szukając odpowiednich słów.

– Jakie masz plany względem mojej osoby? – zapytał w końcu.

– Względem twojej osoby?

Szpon na chwilę opuścił wzrok, a potem przypomniał sobie słowa swojego ojca, który mówił mu, że zawsze powinien patrzeć rozmówcy w oczy i jasno wyrażać swoje problemy.

– Względem mojej osoby.

– Jednak czekałeś wiele miesięcy, żeby mnie zapytać.

Szpon ponownie zamilkł.

– Musiałem przemyśleć sobie wiele rzeczy – powiedział po chwili. – Zostałem zupełnie sam. Całe życie, które znałem, odeszło w zapomnienie. Nie wiem już, kim naprawdę jestem.

Robert odchylił się na oparcie krzesła. Lekko bębnił palcami po blacie stołu.

– Czy wiesz, co to jest? – zapytał, wskazując na duży plik pergaminowych kart.

– To pismo, tak sędzę.

– Ta rzecz nazywana jest książką. Zawiera w sobie wiedzę. Na świecie istnieje wiele książek, które zawierają różnego rodzaju informacje, tak jak

istnieje wiele różnych osób. Niektórzy przeżywają swoje życie, Szponie, bez potrzeby podejmowania wielu decyzji. Rodzą się w jednym miejscu, tam dorastają, pobierają się i wychowują dzieci, starzeją się i umierają tam, gdzie się narodzili. I podobny los miał także spotkać ciebie, nieprawdaż?

Szpon przytaknął.

– Inni ludzie są miotani kapryсами losu tam i siam i muszą sami wybrać, jaką drogą zamierzają przejść przez życie. I podobnie stało się z tobą teraz.

– Ale przecież ja jestem twoim dłużnikiem i w pełni od ciebie zależę.

– Tak, i będziesz musiał spłacić ten dług. A potem co?

– Nie mam pojęcia.

– A więc mamy przed sobą jasny cel, gdyż odkrywając jak najlepiej spłacisz mi dług, poznamy także twoje przeznaczenie i co los ci szykuje.

– Nie rozumiem. Robert uśmiechnął się.

– Na razie nie musisz rozumieć. Nadejdzie czas, gdy to pojmiesz. Teraz, pozwól, że pokażę ci parę rzeczy, które powinieneś poznać. Przyszły rok spędzisz także tutaj, u Kendrika. Będziesz robił wiele rzeczy – podawał do stołu, pracował w kuchni, jak do tej pory, i w stajni, i wykonywał inne czynności, do których wyznaczy cię Kendrik. Będziesz także, od czasu do czasu, usługiwał Kalebowi albo Magnusowi, gdy będą cię potrzebować podczas swego tutaj pobytu. A okazjonalnie będziesz podróżował ze mną. – Odwrócił się, kładąc dłoń na otwartej książce. – A od jutra powinniśmy zacząć lekcje czytania.

– Czytania, Robercie?

– Masz bystry umysł, Szponie Srebrnego Jastrzębia, ale nie jest on wyszkolony. Uczono cię wedle zwyczajów twojego ludu, abyś stał się prawym i dobrym członkiem plemienia Orosinich. Ale teraz musisz się nauczyć wszystkiego innego, aby stać się mieszkańcem świata.

– Ciągle tego nie rozumiem, Robercie.

Robert gestem kazał chłopcu wstać. Kiedy Szpon podniósł się z łóżka, mężczyzna popatrzył na niego.

– Idź już sobie i połóż się spać – powiedział. – Za jakiś czas wszystko zrozumiesz. Wyczuwam w tobie zadatki na wielkiego człowieka, Szponie. Mogę się oczywiście mylić, ale jeżeli nie uda ci się osiągnąć wielkości, na pewno nie będzie to spowodowane marnymi wysiłkami.

Nie wiedząc, co powiedzieć, Szpon skinął lekko głową, odwrócił się i wyszedł. Za drzwiami pokoju Roberta zatrzymał się i pomyślał sobie: Zadatki na co?



Szpon czekał z podniesionym mieczem. Magnus stał w pewnej odległości, przyglądając się chłopcu. Szpon był cały mokry od potu. Na jego ramionach i plecach widniały liczne czerwone pręgi od uderzeń, które dosięgły celu.

Kendrik stał przed nim, trzymając w dłoni drewniany, treningowy miecz, ręką zachęcając chłopca, aby ten zaatakował po raz kolejny. Pozwolił Szponowi używać prawdziwego ostrza, twierdząc, że jeżeli chłopiec go uderzy, najwyraźniej będzie to mu się należało. Do tej pory mężczyzna doskonale udowodnił, że z łatwością potrafi unikać ciosów. Ale Szpon był szybki i uczył się z łatwością, a jego uderzenia trafiały coraz bliżej i bliżej ciała Kendrika.

Magnus przez cały czas trwania walki nie odezwał się nawet słowem, ale z uwagą przyglądał się każdemu ciosowi i unikowi.

Szpon zaatakował, tym razem trzymając miecz lekko z tyłu i nisko, tak jakby szykował się do zadania ciosu od dołu. Nagle odwrócił się szybko od prawego boku Kendrika, od strony, po której mężczyzna trzymał miecz, i uderzył w dół i w bok, wyprowadzając silne pchnięcie w lewy, nieosłonięty

bok przeciwnika. Kendrik wyczuł ten ruch w ostatniej chwili i z trudem zdołał zablokować cios własną bronią, ale Szpon równie nagle obrócił się z powrotem w kierunku prawego boku mężczyzny, który był teraz niczym nie chroniony, gdyż miecz przeciwnika właśnie zataczał szeroki, zbyt szeroki łuk, zasłaniając się przed poprzednim pchnięciem.

Z zadowolającym, głuchym odgłosem płaz miecza chłopca uderzył w plecy właściciela zajazdu. Z gardła Kendrika wydobył się skowyt bólu.

– Wystarczy!

Szpon odwrócił się, ciężko oddychając. Z trudem łapał oddech, mierząc Kendrika wzrokiem.

– Kto cię nauczył tego ciosu, chłopcze?

– Nikt, panie. Ja po prostu... no... wymyśliłem go przed chwilą.

Kendrik sięgnął dłonią do tyłu i zaczął masować sobie plecy w miejscu, gdzie uderzył go miecz przeciwnika.

– Niezły cios. Zapewne żaden człowiek władający mieczem nie spodziewałby się, że taki ruch wyjdzie ci za pierwszym razem. Żaden posiadający jakiegokolwiek umiejętności.

Szpon nie wiedział, co ma odpowiedzieć. Nie był pewien, czy słowa, które właśnie usłyszał, są pochwałą, czy nie. Mówił coraz lepiej w języku roldem, ale pewne językowe niuanse i idiomy ciągle jeszcze mu umykały.

Kendrik wręczył chłopcu drewniany miecz.

– Na dzisiaj wystarczy – powiedział. – Odłóż to na miejsce i zobacz, czy Leo nie ma dla ciebie jakiejś roboty w kuchni.

Szpon otarł czoło z potu rękawem tuniki, wziął broń i pospieszył w kierunku kuchni. Gdy znalazł się poza zasięgiem słuchu, odezwał się Magnus.

– No i co, co o tym myślisz?

– Ten dzieciak porusza się jak kot – odparł Kendrik. – Postawiłbym worek złota, że chłopak nie dotknie mnie nawet czubkiem miecza jeszcze co najmniej przez dwie lekcje. Na początku robiłem z nim, co chciałem. Ale potem zaczął przewidywać moje ruchy. Najpierw tylko się bronił, zresztą dosyć instynktownie, jakby wiedział, że aby zwyciężyć, trzeba najpierw przetrwać. Jest bardzo sprytny, tak samo jak szybki.

– Czy sądzisz, że może być w tym dobry.

Kendrik wzruszył ramionami.

– Jeżeli chcesz z niego zrobić rzeźnika, mogę go nauczyć w miesiąc, jak przebijać się przez ściany zbudowane z ludzi. Jeżeli chcesz, żeby został mistrzem miecza, będzie potrzebował lepszego nauczyciela niż ja.

– A gdzie mogę takiego znaleźć?

– Daj mi go na rok, a potem chłopak będzie gotowy na podróż do gildii szermierzy w Królestwie Roldem. Spędzi tam rok albo dwa i stanie się jednym z najlepszych szermierzy, jakich kiedykolwiek widziałem.

– Jest aż tak dobry?

Kendrik skinął twierdząco głową.

– Nawet więcej. Może stać się najlepszym z szermierzy, jeżeli nic nie przeszkodzi mu w tej karierze.

Magnus oparł się na okutej żelazem lasce, którą trzymał w dłoni, i wpatrywał się w punkt, gdzie Szpon zniknął mu przed momentem z oczu, jakby ciągle widząc zmęczonego chłopca, skąpanego we własnym pocie, z mokrymi włosami przylepionymi do czaszki, biegnącego co sił w nogach do kuchni.

– A co mogłoby mu przeszkodzić?

– Picie. Używki. Hazard. Kobiety. To, co zwykle.

Kendrik popatrzył na Magnusa.

– Albo te wszystkie intrygi i pułapki, w które zamierza go wplątać twój ojciec.

Magnus kiwnął głową.

– Ojciec pozostawił los tego chłopca w rękach Roberta. Szpon nie jest częścią naszych planów... jeszcze nie, ale ojciec usłyszał od Roberta wiele interesujących rzeczy o tym chłopcu i zaczął liczyć go jako asa w rękawie, darowanego mu przez los.

– Niby komu darowanego i po co? – zapytał Kendrik. – Chodź, muszę się wykapać. Ten dzieciak zmęczył mnie bardziej, niż się spodziewałem.

– Gdyby Robert i Pasko go nie znaleźli, Szpon byłby martwy jak reszta jego plemienia – mówił dalej Magnus. – To Robert powiedział, że od tamtej chwili każda sekunda życia chłopca jest mu jakby podarowana przez los. Chłopak dostał drugą szansę.

– Ach, ale kto zamierza tę szansę wykorzystać? – zapytał Kendrik. – To jest właściwe pytanie, nie sądzisz?

– My wszyscy na tym skorzystamy, w jakiś sposób – odparł Magnus. – Czy zastanawiałeś się choć przez chwilę, że moje życie mogłoby wyglądać inaczej?

– Nie. Twoje przeznaczenie dosięgło cię poprzez bardzo prosty fakt, fakt pochodzenia twoich rodziców. Jednak twój brat miał wybór.

– Ale też nie tak wielki – zaprzeczył Magnus. – Kaleb nie miał magicznego daru, ale mógł zostać kimś więcej niż tylko zwykłym żołnierzem.

– Przecież twój brat jest kimś więcej niż zwykłym żołnierzem – powiedział Kendrik. – Jest myśliwym kształconym przez elfy, znawcą języków w ilości przekraczającej pojmowanie takiego kmiotka jak ja, i zna się na ludziach jak nikt, kto do tej pory stąpał po ziemi. Żałuję, że nie miałem go u swego boku, gdy tłumiliśmy bunt w Przyczółku Bardaka.

Próba wydobycia informacji ze zdrajców w Zatoce Zdrajcy nie była rozmową na pikniku, mówię ci. Kaleb potrafi powiedzieć, czy ktoś kłamie, wystarczy, że na niego spojrzy. – Kendrik potrząsnął głową. – Nie, nie ma nic w żadnym z członków twojej rodziny, co można byłoby uznać za słabość. I myślę, że podobnie jest z tym chłopcem. Uważam, że w przyszłości zostanie on tym, kim naprawdę będzie chciał. – Klepnął Magnusa lekko po ramieniu. – Po prostu nie rujnij mu życia, próbując nauczyć go zbyt wielu rzeczy i wymagając w każdej z nich doskonałości, mój przyjacielu.

Magnus nie odezwał się. Odsunął się na bok, chcąc przepuścić Kendrika. Potem odwrócił się i popatrzył na niebo, jakby chciał wyczytać coś z obojętnego błękitu. Wsłuchał się w poszum lasów i wyzwolił swoje zmysły, badając świat wokół zajazdu. Wszystko było takie, jakie powinno być. Odwrócił się i spojrzał za siebie. Co go tak przed chwilą zaniepokoiło? Może to Kendrik i te jego ostrzeżenia dotyczące chłopca. Nie można wykuć miecza, nie rozgrzewając stali, a jeżeli w metalu jest jakaś skaza, tylko w ogniu można ją zobaczyć i usunąć. A każde ostrze przyda się w nadchodzącej wojnie, jeżeli zawiedzie plan ułożony przez jego ojca.



Szpon rzucił ostami z worków z mąką na stos, który właśnie skonstruował. Z Latagore przybył wóz z zapasami i chłopiec spędził całe popołudnie, rozładowując go, nosząc ciężkie paczki w dół po schodach i układając je w piwnicy pod kuchnią. Poza mąką, mającą wystarczyć na całą zimę, na wozie przyjechały także kosze z importowanymi z dalekich krain warzywami i owocami, zakonserwowanymi za pomocą jakichś magicznych sztuczek, których Szpon nie rozumiał, chociaż usłyszał kiedyś w kuchni, że taka magiczna konserwacja była tak droga, że przechodziło to wszelkie

pojęcie, dlatego pozwolić na nią mogli sobie tylko bardzo zamożni i szlachtetnie urodzeni.

Leo i Marta przejęli kontrolę na chmarą różnych, małych skrzynek, zawierających przyprawy, zioła i dodatki, które każdy kucharz ceni sobie wyżej niż złoto i diamenty. Wszystkie te zapasy na zimę, wraz z uzyskanymi na jesieni zbiorami z ogrodu oraz z mięsem, jakie przynosili z lasu Kaleb i Szpon, wskazywały na to, że w zimne dni raczej nie zabraknie wszystkim dobrego jedzenia, znacznie lepszego niż to, do którego chłopiec był przyzwyczajony.

– Szponie! – usłyszał głos Leli z góry. Pospieszył po szerokich, drewnianych stopniach i zobaczył ją, stojącą obok wozu z radosnym wyrazem twarzy. – Popatrz! – Pokazała na niebo.

Padał śnieg. Malutkie płatki wirowały, popychane lekkim, stałym wiatrem. Większość topiła się po zetknięciu z ziemią.

– To tylko śnieg – powiedział Szpon.

Lela wyduła wargi, przyjmując jedną z tych min, które sprawiały, że żołądek chłopca zaczynał podrygiwać.

– To cudowne – westchnęła. – Czy nie uważasz, że śnieg jest piękny?

Szpon patrzył na lecące płatki przez dłuższą chwilę, zanim się odezwał.

– Nigdy nie myślałem o tym w ten sposób. W mojej wiosce śnieg oznaczał tylko długie miesiące spędzone w ciepłym domu albo polowanie w zaspach sięgających ci aż do piersi, tak były wielkie. – Dla jakiejś przyczyny, wymawiając słowo „piersi”. chłopiec opuścił wzrok i zatrzymał go na okazałym biuście Leli, ale po chwili speszony odwrócił oczy. – Po polowaniu zawsze bolały mnie palce u stóp.

– Och! – zawołała tonem dezaprobaty. – Nie masz za grosz poczucia piękna. Ja pochodzę z kraju, gdzie nigdy nie pada śnieg. To jest wprost śliczne!

Szpon uśmiechnął się.

– Skoro tak mówisz. – Zajrzał na tył wozu i zobaczył, że jest pusty. – Muszę iść i odszukać woźnicę, żeby mu powiedzieć że skończyłem. – Zamknął wielkie drewniane drzwi prowadzące do piwnicy, a potem podszedł do kuchennego wyjścia. Kiedy znalazł się w środku, zdał sobie sprawę, jak zimno jest na dworze. Kuchnia wydawała mu się ciepła i przytulna.

Woźnica i jego pomocnik siedzieli przy małym stole w kącie pomieszczenia, jedząc posiłek przygotowany im przez Martę. Podnieśli głowy znad talerzy, kiedy Szpon do nich podszedł.

– Rozładowałem już wóz – powiedział.

Pomocnik woźnicy, wymizerowany człowieczek z nosem, który przypominał dziób sępa, uśmiechnął się, ukazując pustkę w miejscu, gdzie powinien mieć dwa przednie zęby.

– Bądź dobrym chłopcem i wyprzęgnij konie, dobrze? Jeszcze nie skończyliśmy jeść, a nie powinniśmy ich tak zostawiać na dworze. Jest zimno i zmarzną. Zostajemy tutaj na noc. Wyruszymy na północ jutro z samego rana.

Szpon skinął głową i odwrócił się, ruszając w kierunku drzwi. Lars zastąpił mu drogę.

– Nie powinienes wyřęcać go w jego obowiązkach. Wyprzęganie koni to jego praca.

Szpon wzruszył ramionami.

– Mnie to nie przeszkadza. Nie ma żadnych gości, którymi się trzeba zająć, a do wyboru mam skrobanie garnków tutaj albo dogłądanie koni na zewnątrz. Nie ma żadnej różnicy.

– Rób, co chcesz – odparł Lars i wrócił do swoich zajęć.

Szpon wyszedł z powrotem na dwór. Te kilka chwil w kuchni sprawiło, że powietrze na zewnątrz z chłodnego zrobiło się po prostu nieprzyjemnie zimne. Pospieszył do wozu i poprowadził konie w kierunku drzwi do stajni. Przez ostatnie miesiące nauczył się doskonale sobie radzić z wszelkimi marudnymi stworzeniami i, podczas gdy kilka prób nauki jazdy konnej nie było zbyt miłe, chłopiec doszedł do wniosku, że praca w stajni jest całkiem prosta, łatwa i nawet przyjemna. Ciężki wóz ciągnął zaprzęg złożony z czterech koni i Szpon spędził dobrą chwilę, przekonując te uparte stworzenia, aby cofnęły się o kilka kroków, zanim ustawił wóz w takim miejscu, żeby nikomu nie przeszkadzał. Szybko wyprzągnął zwierzęta, wprowadził je do stajni i poumieszczał w boksach. Potem zaczął szczotkować je po kolei. Nawet stojąc bez ruchu przez pół godziny, podczas rozładowywania wozu, konie nie wyschły jeszcze z potu, który pokrył ich boki podczas długiej jazdy tego popołudnia. Kiedy je szczotkował, para unosiła się z grzbietów zwierząt, gdyż powietrze stawało się coraz zimniejsze.

Kiedy już chłopiec przyniósł zwierzętom wodę i paszę, zorientował się, że pogoda robi się naprawdę poważnie zimowa.

Wyszedł na zewnątrz na placyk przed stajnią i spojrzał w górę, w niebo. Zachodziło słońce, ale widział, że chmury stawały się coraz ciemniejsze i grubsze, a śnieg padał coraz większymi płatkami. Szpon pomyślał sobie, że woźnica i jego pomocnik muszą się śpieszyć w drodze do Latagore, w przeciwnym bowiem razie nie dojadą tam wcale, tylko spędzą parę dni zasypani w zajeździe. O ile będą mieli szczęście. Jeżeli nadchodził naprawdę potężny front opadów, możliwe, że utkną u Kendrika na całą zimę.

Kolacja minęła bez żadnych wydarzeń. Po tym, jak uprzątnięto już kuchnię i przygotowano ciasto na chleb na jutrzejszy poranek. Szpon miał

właśnie zamiar udać się do pokoju, który zajmował wraz z Larsem i Gibbem, kiedy podeszła do niego Lela.

– Nie idź jeszcze do swojego pokoju – poprosiła go szeptem Położyła mu dłoń na ramieniu i zaprowadziła go do znajdującej się pomiędzy wspólną salą i jadalnią spiżarni. Popchnęła lekko drzwi do wspólnej sali i zostawiła je uchylone.

Przed kominkiem siedział cicho Gibbs, trzymając w dłoniach kufel ciemnego piwa i wpatrując się w dogasające polana. Leli zamknęła drzwi i uśmiechnęła się psotnie.

– Lars potrzebuje pokoju na chwilę.

– Ale po co? – zapytał Szpon.

Otworzyła szerzej oczy i zachichotała.

– Po co? Nie wiesz?

Zmarszczył brwi.

– Przecież gdybym wiedział, to bym się nie pytał.

Rozbawiona położyła mu dłoń na brzuchu i pchnęła go lekko.

– On i Meggie są tam razem.

– Dlaczego? – zapytał Szpon. A potem, zanim dziewczyna zdołała odpowiedzieć, pojął wreszcie. – Chcą być przez chwilę sami?

– Oczywiście, ty głupku! – zawołała ze śmiechem.

– Moi ludzie robili to w inny sposób – wyjaśnił. – Mieszkaliśmy razem we wspólnych domach przez całą zimę i często mężczyzna z kobietą leżał razem pod naręczem niedźwiedzich skór. Wszyscy inni udawali, że tego nie widzą.

– Ale my tutaj zauważamy takie rzeczy – odparła dziewczyna, patrząc na niego roziskrzonym wzrokiem. – Wyglądasz na zmartwionego – stwierdziła raczej, niż zapytała. – Co się stało?

Myśli Szpon? powróciły do dziwnego uśmiechu i zadartego noska Meggie. Przypomniał sobie, jak poruszają się jej dziewczęce, szczupłe biodra, kiedy wspina się pod górę.

– Nie wiem, co się dzieje – odezwał się w końcu.

Nagle Lela otworzyła szerzej oczy.

– Jesteś po prostu zazdrosny!

– Nie znam tego słowa – odparł Szpon.

– Chcesz Meggie dla siebie! – zawołała z wesołym śmiechem.

Nagle na twarz Szpona uderzył rumieniec i chłopiec pożałował, że nie znajduje się akurat w innym miejscu.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – wymamrotał.

Lela przyglądała się chłopcu aprobującym wzrokiem przez dłuższą chwilę.

– Zmieniasz się w przystojnego, młodego mężczyznę, Szponie – odezwała się w końcu. Oparła dłonie na jego biodrach i przycisnęła się do niego, przysuwając twarz do jego twarzy. – Czy miałeś już kiedyś kobietę?

Szpon poczuł, jak jego puls zaczyna galopować i zabrakło mu słów. W końcu potrząsnął przecząco głową. Lela zaśmiała się i odepchnęła go od siebie.

– Jesteś jeszcze takim dzieckiem.

Nagle Szpon poczuł, że ogarnia go złość. Dla jakiejś przyczyny ta uwaga zaboląła go.

– Nie, jestem mężczyzną z ludu Orosinich! – prawie zawołał. – Poszedłem na rytuał wizji i... – przerwał na chwilę – miałbym na twarzy tatuaże dowodzące mej dorosłości, gdyby cała moja rodzina nie została zabita.

Twarcz Leli złagodniała i dziewczyna podeszła znów blisko do niego.

– Przepraszam cię. Zapomniałam.

Jego gniew szybko się ulotnił, gdy przytuliła się do jego ciała i pocałowała go. Dotyk jej miękkich, ciepłych ust wytrącił go z równowagi. Szpon stracił głowę. Przycisnął ją mocno do siebie, co wywołało pisk protestu. Odepchnęła go lekko, mocno rozzłoszczona.

– Delikatnie – upomniała chłopca.

Szpon zamrugał oczami, zawstydzony. Jego umysł tonął w myślach, których nie potrafił nazwać. Pragnął znów dotknąć jej ciała i przywrzeć do jej ust.

– Nie masz pojęcia o grze, jaka toczy się pomiędzy mężczyzną i kobietą.
– Uśmiechnęła się.

– O jakiej grze? Wzięła go za rękę.

– Widziałam, jakich gier uczą cię Robert i Magnus. Teraz myślę, że nadszedł czas, abyś nauczył się najlepszej z nich.

Czując strach i dygocząc z niecierpliwości, Szpon ścisnął dłoń Leli, podczas gdy dziewczyna prowadziła go przez wspólną salę do pokoju, który dzieliła z Meggie.

Widząc, co się dzieje, Gibbs uśmiechnął się szeroko i uniósł swój kubek z piwem w geście pozdrowienia. Kiedy wdrapywali się na schody do pustego teraz pokoju dla gości, Gibbs skrzywił się.

– Muszą zatrudnić tutaj jeszcze jedną dziewczynę. To tylko muszą zrobić.

Nie znajdując innego pocieszenia, Gibbs wybrał się po kolejny kufel piwa, zanim udał się na poszukiwania miejsca, w którym będzie mógł spędzić dzisiejszą noc.

ROZDZIAŁ PIĄTY

PODRÓŻ

Szpon kichnął.

– Za dużo pieprzu – powiedział Leo.

Szpon otarł łzy z oczu rąbkiem fartucha i skinął potakująco głową. Pracował w kuchni już od roku i przez ostatnie cztery miesiące czuł się tutaj jak w domu. Ciągłe jeszcze usługiwał przy innych pracach na prośbę Kendrika, ale większość czasu w ostatnich dniach spędzał w towarzystwie kucharza.

Cztery miesiące wcześniej Leo wszedł pewnego dnia do kuchni i przywołał Szpona do siebie. Pokazał mu, jak się przygotowuje formy do pieczenia ciast. Była to prosta czynność, wymagająca użycia jedynie tłuszczu i mąki. Potem przeszli do mycia i przygotowywania warzyw i owoców. Następnie chłopiec zaczął uczyć się gotowania prostych posiłków i potraw. W ciągu kilku ostatnich tygodni Szpon nauczył się podstaw pieczenia, gotowania mięs, a teraz poddawał się szkoleniu w zakresie sporządzania sosów.

Szpon uśmiechnął się.

– Co cię tak bawi, młody człowieku? – zapytał Leo.

– Myślałem po prostu, jak wiele czasu i wysiłku trzeba włożyć w przygotowanie posiłku. Zupełnie inaczej niż w mojej rodzinnej wiosce. Mój ojciec i inni mężczyźni z mojego ludu siedzieli po prostu przed dużym rożnem, na którym obracał się jeleń i rozmawiali o polowaniu albo o zbiorach, albo który z nich jest najszybszym biegaczem, a kobiety piekły

chleb albo robiły gulasz, albo zupę. Moja matka zaniemówiłaby z zachwytu, widząc twoją szafkę z przyprawami, Leo.

– Proste dania także mogą być wyzwaniem, Szponie. Kawał wołowiny trzeba najpierw oprószyć pieprzem i solą we właściwym momencie, a potem dodać musisz odrobinę czosnku, tuż przed podaniem.

Szpon uśmiechnął się.

– Moja matka nigdy by nie zrozumiała sensu podawania potraw.

– Ty chłopcze także jeszcze nie rozumiałeś tego do końca – powiedział Leo. – To, co robimy tutaj, nie jest raczej doceniane przez te hordy zwyczajnych podróżnych, a wysoko urodzeni panowie i panie, którzy zatrzymują się u nas, będąc przejazdem, uważają nasze potrawy za prymitywne w porównaniu z ich wykwintną kuchnią i przepysznyymi stołami ubieranymi przez największych kucharzy w dużych miastach. Stoły arystokracji z Rillanon i Roldem są noc w noc zastawiane wysoko daniami, które są owocem pracy tuzinów kucharzy i setek kuchcików takich jak ty. Każdy talerz jest przyozdobiony odrobiną pyszności, strzępkim delikatności, okruczem doskonałości. W tym jest cała sztuka i artyzm, mój chłopcze.

– Skoro tak mówisz, Leo – powiedział chłopiec. – Chociaż nie jestem do końca pewien, co rozumiesz przez słowo „sztuka”. My nie mamy takiego wyrażenia w naszym języku.

Leo przestał mieszać sos własnego pomysłu.

– Nie macie słowa „sztuka”? – zapytał niebotycznie zdumiony.

Szpon mówił płynnie w języku roldem. Teraz tylko okazjonalnie poprawiano go ze względu na wymowę i czasami zwracano mu uwagę na nieco dosadne określenia, które wydawały się zajmować bardzo Lea, irytować Roberta i doprowadzać Martę do wściekłości. Orosini nie wstydzili się mówić o seksie i innych naturalnych odruchach ciała, więc

Szpon bardzo się zdziwił, że wspomnianie o załatwianiu potrzeby czy o stosunku płciowym w towarzystwie było u Kendrika postrzegane jako coś niewłaściwego, a nawet złego.

– Nie – odparł Szpon. – Najbliższe temu określenie w słowniku Orosinich to „piękno” albo „wdzięk”, ale idea robienia czegoś tylko po to, żeby to robić... nie, nie znam tego, tak jak nie znali tego moi rodacy. – Szpon pogodził się przez ostatni rok z utratą swojej rodziny i mógł mówić o tym bez łez. Teraz wspomnienie to odsunęło się na dalszy plan i, zamiast jak kiedyś wywoływać w jego sercu potworny ból, nawiedzało go jako czarny koszmar w nieliczne noce. Bezgraniczne cierpienie opuściło jego duszę, a przynajmniej jej większą część. Nauka nowych rzeczy i nowe środowisko pomogły chłopcu pogodzić się ze stratą. Podobnie jak Lela.

– Cóż – powiedział Leo. – Codziennie uczymy się nowych rzeczy.

Szpon zgodził się z tym.

– Mamy oczywiście... – poprawił się szybko – mieliśmy rzemiosło i przedmioty wykonywane przez kobiety, które mógłbyś nazwać sztuką. Moja babcia tkła piękne, wzorzyste koce, które podobały się wszystkim w wiosce. Nasz szaman i jego akolici modląc się... nie macie na to słowa w waszym języku, robili koła i wzory z kolorowego piasku. Śpiewali i modlili się podczas pracy, czasem zajmowało im to kilka dni. Pracowali w specjalnym namiocie, którzy sami budowali. Kiedy kończyli swoje dzieło, cała wioska zbierała się, aby je podziwiać i ze śpiewem obserwować, jak wiatr zabiera dzieło szamana do boga. Niektóre z tych wzorów były naprawdę piękne. – Szpon przerwał na chwilę. – Te obrazy, które Kendrik powiesił w jadalni...

– Tak? – spytał Leo.

– Chciałbym, żeby koce mojej babki albo wzory na piasku zostały w ten sam sposób uwiecznione dla potomności. Ludzie mogliby wtedy podziwiać

je, wiszące na ścianach. Były bardzo piękne.

– Oko, które docenia piękno, mój chłopcze, to wielki dar – powiedział Leo.

W tym momencie do kuchni weszła Lela.

– Ach, jeżeli już mowa o pięknie... – wymamrotał Leo z uśmiechem.

Szpon zerknął na dziewczynę i uśmiechnął się lekko. Jego rodacy potrafili maskować swoje uczucia w obecności obcych, ale chłopiec czuł się teraz jak członek jednej wielkiej, kuchennej rodziny, gdzie i tak wszyscy doskonale wiedzieli, co łączy go z Lelą. Spał w jej łóżku prawie każdej nocy przez lepszą część zeszłego roku. Zbliżały się jego szesnaste urodziny, wedle standardów jego ludu był już mężczyzną, posiadałby żonę i prawdopodobnie dzieci, gdyby jego wioska nie została zrównana z ziemią.

Lela machnęła mu ręką z uśmiechem.

– Czemu zawdzięczamy te odwiedziny? – zapytał Leo. – Czyżbyś skończyła już pranie?

– Tak – odparła zawadiacko. – Meggie i Marta składają jeszcze ostatnie z farbowanych płócien, a ja przyszłam tutaj, żeby zobaczyć, czy nie trzeba wam pomocy.

– Oczywiście, że tak właśnie zrobiłaś – zachichotał kucharz. Odepchnął Szpona lekko na bok, zanurzył łyżkę w sosie, który właśnie mieszał chłopiec i spróbował go. Zapatrzył się przez chwilę w zamyśleniu na ścianę, smakując potrawę. – Proste, ale... bez smaku – powiedział w końcu. Jego palce zatańczyły na pokrywkach małych słoiczków z przyprawami, stojących przed nim. Brał szczyptę to jednego, to drugiego proszku, dodając je do sosu. – Ta jest do kurczaka, chłopcze, do duszonego kurczaka. Białe mięso ma daleko mniej smaku niż urocze, kruchutkie perliczki i indyki, przynieszone przez ciebie z lasu. Wymaga prostego sosu, który podkreśli, a

raczej wydobędzie jego smak. Ten sos musi nadać smak kurczakowi. Masz!
– Przytknął łyżkę do ust chłopca. – Spróbuj teraz!

Szpon siorbnął trochę płynu i kiwnął głową. Taki właśnie sos usiłował bezskutecznie zrobić.

– A więc powinienem dodawać więcej przypraw, prawda Leo?

– Dwa razy więcej, mój chłopcze, dwa razy. – Kucharz odłożył łyżkę i wytarł ręce w fartuch. – A teraz bądź dobrym chłopcem i pomóż Leli umyć warzywa.

Szpon kiwnął głową i podszedł do dużego, drewnianego zbiornika, ustawionego pod jedną ze ścian w pomieszczeniu kuchennym. Beczka miała rurę odpływową, która w bardzo sprytny sposób pozwalała na odprowadzenie wody do małego ścieku biegnącego pod fundamentami budynku, uchodzącego do rury wkopanej w ziemię, kończącej bieg w szambie wykopanym na polecenie Kendrika poza zewnętrznymi murami zajazdu. Młodzieniec podniósł wiadro z zimną wodą i stał przy zbiorniku, płucząc warzywa, które zostały świeżo wykopane i oczyszczone przez Lelę. Był to pierwszy wiosenny zbiór i Szpon poczuł, jak do ust napływa mu ślina na myśl o świeżych, młodych marchewkach, rzodkiewkach i rzepie.

– Po co robiliście sos? – spytała Lela. – Przecież nie mamy dzisiaj żadnych gości.

– Leo stwierdził, że skoro nie mamy dzisiaj na kolacji nikogo, kto mógłby narzekać na kiepską kuchnię, pozwoli mi zrobić sos samemu – odparł Szpon.

– Najwyraźniej musisz robić postępy – stwierdziła Lela. – Nie rzucił tym sosem przez całą kuchnię.

– Prawda – zgodził się Szpon. – Ludzie z twojego plemienia są czasem nieco dziwni.

– My jesteśmy dziwni? – zawołała Lela, pryskając na niego wodą z palców, kiedy odstawiał na ziemię puste wiadro. – Z tego co mówisz o swoich rodakach, to wy jesteście dziwni.

Szpon nachmurzył się.

– Teraz to i tak nie ma znaczenia. Tylko ja zostałem.

Spróbowała nie wyglądać na rozbawioną.

– Ach, uraziłam twoje uczucia. – Pocałowała go zalotnie w policzek. – Będę musiała ci to jakoś wynagrodzić.

Natychmiast poprawił mu się nastrój.

– A jak?

Wywinęła się z jego objęć.

– Umyj za mnie ten zlew, a kiedy przyjdiesz dzisiaj w nocy do mojego pokoju, wtedy ci pokażę, jak.

Do kuchni wszedł Lars, dźwigając wielką ćwiartkę wołowiny.

– To ostatnie zimowe zapasy – oznajmił. – Chłodnia jest już pusta. – Chłodnią nazywano podziemny magazyn, który kazał wybudować Kendrik. Podczas zimy zamarzał na kość, jak wszystko inne na zewnątrz, a także wszelkie zapasy w nim zgromadzone. Ale na wiosnę rozmarzał bardzo powoli, a produkty, które zamarzły w zimie, pozostawały w takim stanie nawet aż do lata. Chłodnia trzymała niską temperaturę przez jesień aż do zimy i można tam było trzymać zapasy wrażliwe na ciepło.

– Będziemy musieli zaplanować wyprawę do Latagore – powiedział Leo. – Musimy kupić mięso, jak też inne zapasy.

– A czyja mogę pojechać? – zapytał z nadzieją Szpon.

Leo podrapał się po brodzie.

– Nie wiem, chłopcze. Wydaje mi się, że ta decyzja należy do Roberta. Cieszyłbym się z twojego towarzystwa, ale zwykle jeżdżę z Kendrikiem albo z jednym z jego parobków.

Lars zawiesił mięso na haku, wyciągnął wielki nóż i zaczął je kroić.

– Dlaczego chcesz tam jechać, Szponie? – zapytał.

– Nigdy nie byłem w mieście – odparł chłopiec. – Chciałbym zobaczyć, jak ono wygląda.

– No to dobrze – odezwał się Leo. – Zapytam Roberta, co o tym myśli.

Kiedy Szpon skończył już sprzątać warzywne resztki, które zostały w zbiorniku po pracy Leli, nie mógł się zdecydować, na co czeka z większą niecierpliwością; na wieczorną wizytę u dziewczyny w pokoju, czy na wycieczkę do miasta.



Szpon patrzył, jak zza wzgórza wyłania się jezioro, jakby powstawało z pomocą jakiejś magii. Zeszli już z wyższych szczytów, gęsto porośniętych dziewiczym lasem Latagore, znanym także pod nazwą Wielkiej Puszczy, i znaleźli się wśród niskich pagórków i małych dolinek. Teraz wchodzili w głęboki wąwóz, wyżłobiony przez małą, ale szybko płynącą rzeczkę. Krajobraz po lewej stronie zasłaniała wznosząca się poszarpana ściana wąwozu; na przekroju widzieli kamienne bloki i ciasno uprasowaną ziemię. Ze ściany wyrastały uparte krzaki, trzymające się mocno korzonkami i szukające oparcia w najmniejszych szczelinach. Na prawo ziemia opadała gwałtownie w dół, odsłaniając przepaść, w której płynęła rzeka, a w dużej odległości zobaczyć było można migoczący błękit, który był niczym więcej niż tylko Wielkim Jeziorem Latagore.

Szpon z zafascynowaniem przyglądał się wszystkiemu wokoło i z zadowoleniem przyjmował fakt, że podróżowali w ciszy. Rozmowa zepsułaby jego nastrój, ale na szczęście Kendrik wybrał na przywódcę wyprawy do Latagore Kaleba, chociaż Szpon nie miał pojęcia, dlaczego tak uczynił.

Szpon mieszkał już wystarczająco długo u Kendrika, aby dostrzec i dziwić się niektórym zależnościom i stosunkom pomiędzy pracującymi w zajezdzie, a niektórymi jego stałymi gośćmi. Kendrik był właścicielem i zarządcą gospody, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Robert cieszył się pewnym autorytetem u Kendrika, ale Szpon nie miał pojęcia, jakie były tego przyczyny. Robert i Pasko często wyjeżdżali z zajazdu, czasami na tydzień, raz nawet na dwa miesiące, a potem wracali i zostawali na miejscu przez pewien czas. W tej chwili właśnie szykowali się do nowej podróży i Szpon, kiedy wróci z Latagore, raczej nie zastanie ich u Kendrika.

Szpon próbował zrozumieć zależności pomiędzy osobami mieszkającymi w zajezdzie i przetłumaczyć je sobie na język zwyczajów swojego ludu, aż w końcu dał za wygraną, zdecydowawszy, że dalsze próby tylko utrudnią mu pojęcie tej sprawy. Wiedział, że gdzieś tam żyje syn Kendrika, o którym wspomiano nader rzadko. Wiedział, że Leo i Marta są małżeństwem, ale nie mają swoich dzieci. Wiedział także, że Lars i Meggie okazjonalnie kochali się ze sobą, ale te okresy miłości przedzielone były długimi tygodniami, kiedy ci dwoje prawie się do siebie nie odzywali. I wiedział, że chociaż wszyscy uważali, że jest kochankiem Leli, on sam nie był do końca pewny, co dziewczyna o tym myśli. Odkrył już większość z tego, co kryło się w innych związkach, pomiędzy służącymi w gospodzie, tymi, którzy mieszkali na terenie zajazdu, jak również innymi z pobliskich farm, będących własnością Kendrika i dostarczających zapasy warzyw i owoców do kuchni. Mnóstwo jednak ciągle pozostawało zagadką. Mimo tego, że czuł się jakoś związany z ludźmi pracującymi w kuchni, miał poczucie odosobnienia, pozbawiony tradycyjnych więzów z rodziną i klanem.

Zmusił się, żeby o tym nie myśleć. Opłakiwanie utraconej przeszłości wiązało się tylko i wyłącznie z wpadaniem w depresję i chłopiec wiedział,

że musi teraz żyć od nowa i czerpać ze świata to, co najlepsze. Patrzył, jak jezioro rośnie, w miarę jak się do niego zbliżali. Potem, kiedy wdrapali się na kolejne wzgórze, Szpon ujrzał miasto Latagore.

Słońce, stojące w zenicie, wyostrzyło wszystkie krawędzie i nadało obrazowi kontrast. Oczy Szpona w pierwszym odruchu odmówiły przekazywania obrazu tak totalnego chaosu. Potem jednak młodzieniec zaczął dostrzegać w nim porządek. Zajazd Kendrika był największą ludzką budowlą, jaką widział do tej pory, więc ogrom miasta prawie go przytłoczył i zaatakował jego zmysły. Miasto leżało na brzegu zatoczki, nie bardzo szerokiej, o kształcie, który przywodził na myśl dłoń olbrzyma zaginającą linię wybrzeża.

Kaleb zerknął na Szpona i zauważył jego minę.

– Co tam widzisz?

Szpon znał dobrze to pytanie. Robert zadawał je za każdym razem, podobnie jak Magnus, kiedy uczył chłopca. Nie chodziło mu o wrażenie ani o uczucia, ale o opis detali, które widział. Przedstawiaj fakty, tak mówił mu zawsze Robert.

Szpon natychmiast skoncentrował umysł.

– Miasto jest otoczone murem wchodzącym do wody... Wydaje mi się, że zagłębia się nawet na sto metrów. – Zmrużył oczy. – Widzę duży budynek w środku miasta, który wznosi się tak wysoko, że można z niego zobaczyć całą okolicę. Nie mam pojęcia, jak się nazywa.

– Nazywa się cytadela. Kiedyś był to zamek wzniesiony do obrony wybrzeża. Miasto wyrosło później wokół niego.

– Widzę też pięć potężnych... rzeczy, które wcinają się w wodę.

– To doki.

Oczy chłopca przez chwilę wędrowały po krajobrazie. Szpon był zaskoczony wielkością jeziora. To nie mogło być jezioro. To musiało być

morze.

Głos Kaleba wyrwał go z zamyślenia.

– Co jeszcze?

Szpon zaczął wymieniać szczegóły, które mógł dostrzec swoim niemalże nadprzyrodzenie ostrym wzrokiem. Za każdym razem, kiedy zobaczył coś dziwnego i obcego, opisywał to z trudem, ale Kaleb podpowiadał mu potrzebne słowo i chłopiec gładko przechodził do następnego opisu.

Kiedy zeszli drogą trochę niżej, kierując się w stronę niziny, na której leżało miasto, Szpon stracił Latagore z oczu i musiał teraz polegać tylko i wyłącznie na swojej pamięci. Wreszcie dotarli do granicy lasu, gdzie chłopiec nie widział już nawet fragmentu miasta.

– Dobrze sobie poradziłeś – podsumował Kaleb. – Oczywiście pominąłeś parę rzeczy, ale dopiero zaczynasz uczyć się zwracać na wszystko uwagę.

– Zwracać uwagę na co? – zapytał Szpon.

Kaleb uśmiechnął się, co nie zdarzało się często.

– Oczywiście na wszystko – odparł. – Musisz przyglądać się uważnie i rejestrować każdy szczegół.

– Dlaczego?

Jechali powoli drogą, przez lasy i łąki, a Szpon dalej czekał na odpowiedź.

– Kiedy polujesz – odezwał się Kaleb w końcu – na co zwracasz uwagę?

– Na wszystko – odparł Szpon. – Na kierunek wiatru, na zapachy w powietrzu, na odgłosy lasu, na tropy, jakie zostawia zwierzyna.

Kaleb skinął głową.

– Zawsze myśl o sobie, kiedy jesteś na polowaniu.

– Zawsze? – spytał Szpon.

– Zawsze.

– Dlaczego?

– Ponieważ dzięki temu pozostaniesz przy życiu – odpowiedział Kaleb.

Jechali w milczeniu przez kolejną godzinę, aż dotarli do rozstajów, gdzie stała gospoda. Minęło już południe.

– Damy odpocząć koniom i zjemy tutaj co nieco – zarządził Kaleb. – A w mieście będziemy akurat na kolacji.

Szpon nie spierał się z towarzyszem. Spędzili w podróży dwa dni i pomimo że spanie pod wozem nie stanowiło dla niego wielkiej niedogodności, Szpon z zachwytem powitał pomysł zjedzenia ciepłego posiłku.

Gospoda była bardzo mała. Zatrzymywali się tutaj jedynie podróżni, którzy zbyt późno wyruszyli do miasta i nie mieli szans dotrzeć tam przed zmrokiem, albo, jak Kaleb i Szpon, postanowili zjeść wczesny obiad. Nad drzwiami wisiał szyld, przedstawiający mężczyznę trzymającego w jednej ręce widły, a w drugiej wielki kufel z piwem. Farba na obrazku była wyblakła, ale Szpon mógł zobaczyć na twarzy wieśniaka niezaprzeczalny wyraz kompletnego zadowolenia.

– Co to za miejsce? – zapytał Kaleba cicho, kiedy wóz podjeżdżał pod karczmę.

– Nazywa się Gospoda Pod Wesołym Wieśniakiem.

Słyszając nadjeżdżający wóz, z tyły budynku nadbiegł chłopiec i z uwagą wysłuchał polecenia Kaleba, który kazał mu zająć się ich dwoma końmi. Wóz był ciągle jeszcze pusty, a konie w dobrej formie, więc nie potrzebowały niczego więcej jak tylko odrobiny siana i wody. Odpoczynek i ciepły owies będzie dla nich wytchnieniem dopiero po podróży powrotnej, gdy, ciągnąc załadowany wóz, wspinać się będą pod strome góry.

Kaleb poprowadził Szpona do gospody i przeszedł przez salę w kierunku pustego stołu w rogu. Zdjął swój czarny, oklapnięty kapelusz i poprawił

miecz u boku, tak by było mu wygodnie siedzieć. Gestem nakazał Szponowi usiąść naprzeciw siebie.

Podeszła do nich kobieta w średnim wieku, kłaniając się unizenie, i zapytała, czego sobie życzą. Kaleb zamówił jedzenie i piwo dla nich obydwu, a potem usiadł i zaczął przyglądać się innym gościom.

Sala jadalna była cicha i spokojna, jedynie czterech mężczyzn siedziało przy innym stole, rozmawiając cicho podczas popołudniowej sjeisty. Dwóch z nich najwyraźniej należało do kupieckiego fachu. Ich korpulentne osoby odziane były w mocne, ale doskonale uszyte ubrania. Dwaj następni siedzieli przy stole obok, przysunięci do siebie bardzo blisko i rozmawiali szeptem. Wydawali się być wojownikami albo żołnierzami wyższej rangi. Obaj nosili proste ubrania: tuniki, nogawice i kamizele, ale Szpon nie zauważył żadnych ozdób. Jednakże ich buty i broń były bardzo zadbane, co, jak uważał chłopiec, znaczyło, że ci dwaj spędzili wiele czasu na wędrówkach i walce.

Przyniesiono jedzenie i Kaleb wraz ze Szponem zabrali się w milczeniu do posiłku. Jedzenie nie było tak smaczne jak to podawane w gospodzie u Kendrika, ale dawało się zjeść, a piwo bardzo chłopcu smakowało.

Zanim skończyli jeść, Szpon zobaczył, jak pozostali czterej mężczyźni wstają od stołów i wychodzą razem.

– Jak myślisz, kim oni byli? – spytał chłopca Kaleb, kiedy mężczyźni już wyszli.

– Dwaj kupcy w drodze do Latagore i dwaj ochroniarze, którzy im towarzyszą.

– Słuszne przypuszczenie. Chociaż czuję, że kryje się za tym coś więcej.

– Co masz na myśli?

– Czy nie wydaje ci się dziwne, że ochroniarze jedzą w towarzystwie swoich pracodawców? Siedzieli przy oddzielnym stole, ci dwaj, ale

wydawali się pogrążeni w konwersacji najwyraźniej nie przeznaczonej dla uszu kupców. Przez cały posiłek coś tam sobie szeptali.

Szpon wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co by to mogło oznaczać – powiedział.

– To nic nie znaczy, prócz tego, że ten interes z ochroną kupców nie jest podobny do zwyczajnych prac strażników. Jeden z nich nawet nie tknął posiłku. – Wyciągnął rękę w kierunku stołu, gdzie siedzieli dwaj ochroniarze i Szpon zobaczył, że jeden talerz w rzeczy samej nie został napoczęty.

Szpon usługiwał wielu ochroniarzom i najemnikom przez ostatni rok i wiedział, że większość z nich jadła z zapalem wszystko, co przed nimi postawiono, tak jakby był to ich ostatni posiłek w życiu.

– No dobrze, Kaleb. A ty jak myślisz, co to może znaczyć?

– Wchodząc tutaj, nie widzieliśmy żadnego wozu, ani na podwórzu przed stajniami za głównym budynkiem gospody, ani pod ścianą, ale za to stały tam cztery konie, pilnowane przez chłopca, który zabrał nasz zaprzęg.

Szpon zastanowił się nad tym, co widział i co wiedział na temat podróżujących kupców.

– Więc mogłoby to oznaczać, że ci dwaj kupcy udają się do Latagore z zamiarem nabycia jakichś towarów?

– Albo żeby zorganizować sobie transport do jakiegoś innego miasta, ale z pewnością nie będą nic w Latagore sprzedawać.

– Co oznacza, że mają przy sobie złoto.

– Prawdopodobnie, a ci dwaj najemnicy, których wynajęli do ochrony, najwyraźniej doszli do podobnych wniosków, co my.

Szpon w pośpiechu dokończył posiłek.

– Co ty robisz? – spytał Kaleb.

– Przecież musimy się śpieszyć, żeby ich dogonić i im pomóc, nieprawdaż?

– Nie, nie będziemy się śpieszyć – odparł Kaleb. – Znajdziesz wystarczająco dużo kłopotów na szlaku bez ochotniczego pomagania komukolwiek innemu.

– Ale ci dwaj strażnicy z pewnością zabiją tych kupców – powiedział Szpon, osuszając kufel i wstając z miejsca. – Możemy zapobiec tej zdradzie.

Kaleb potrząsnął głową.

– Bardziej prawdopodobne jest, że najemnicy zabiorą całe złoto, jakie posiadają kupcy, oraz ich konie i pozwolą im odejść wolno do Latagore. Do czasu, aż tamci dotrą do miasta, dwaj rabusie z pewnością będą już siedzieli w łodzi, która czeka na nich na wybrzeżu, i wiosłowali w kierunku Dorzecza albo Przybrzeżnej Warty.

– Albo po prostu poderzną im gardła i zamelinują się w Latagore. Ten nerwowy może stracić głowę i zacząć zachowywać się pochopnie.

Kaleb wstał i dał znak kobiecie, która ich obsługiwała.

– Powiedz chłopcu, żeby szykował nasz wóz. Będziemy musieli popędzać konie – dodał, patrząc na Szpona. – Tak łatwo ich nie dogonimy.

– To nie będzie konieczne – odparł chłopiec. – Najemnicy nie wyglądali na takich, co podróżują w pośpiechu. Będą się starali utrzymać swoich pracodawców w przeświadczeniu, że są oddanymi sługami, żeby atak był dla nich zaskoczeniem. Jechałeś już kiedyś tą drogą. Gdzie, twoim zdaniem, jest miejsce, które najlepiej nadaje się na zabicie kupców?

– Kilka kilometrów stąd jest głęboki wąwóz, który przecina drogę. Jeżeli miałbym kogoś atakować, zrobiłbym to właśnie tam, gdyż byłoby łatwo pozbyć się ciała. Można je po prostu zanieść kilometr albo dwa w górę

wąwozu, a potem wrócić na drogę, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi. Minęłyby miesiące, zanim ktoś natknąłby się na trupy.

– A więc musimy się śpieszyć – powiedział Szpon. – Kupcy zapewne wyprzedzają nas o kilometr, a nawet dwa.

Kaleb spojrział na Szpona z zaciekawieniem.

– A więc chodźmy – zakomenderował.

Musieli czekać kilka minut, aż stajenny przyprowadzi wóz z dziedzińca na tyłach karczmy. Chłopiec wyczyścił konie, kiedy odpoczywali, więc Kaleb dał mu miedziaka za tę dodatkową pracę.

Kaleb popędził konie do szybszego biegu, co wywołało parsknięcia pełne dezaprobaty.

– O ile masz rację, dogonimy kupców i ich strażników tuż przed przełomem wąwozu. – Obejrzał się i zobaczył, że na twarzy Szpona maluje się determinacja. – Dlaczego tak bardzo zależy ci na tym, żeby im pomóc, mój młody przyjacielu? Twarz Szpona zasępiła się.

– Nie pochwalam mordowania.

Kaleb skinął potakująco głową.

– Jeżeli masz zamiar zgrywać bohatera, dobrze by było, gdybyś się uzbroił.

Szpon kiwnął głową. Odwrócił się i wyjął spod ławki, na której siedzieli, miecz i nóż myśliwski. Nie widział potrzeby, aby nosić je ze sobą, aż do tej chwili.

Kaleb poganiał konie.

– Jak byli uzbrojeni ci dwaj najemnicy? – zapytał po kilku chwilach milczenia.

– Ten wyższy, spokojniejszy, miał długi miecz, przypasany na prawym biodrze – odparł Szpon bez wahania. – Jest leworęczny. Z lewej strony nosił duży sztylet. Dostrzegłem też błysk noża do rzucania, który schował

w prawym bucie, w cholewce. Ten nerwowy miał krótki miecz na lewym biodrze i dwa sztylety przy pasku po przeciwnej stronie. Ukrył kilka noży w fałdach kamizeli bez rękawów, którą miał na sobie. I małe ostrze w podszewce oklapniętego kapelusza, po stronie, gdzie przypiął sobie czarne pióro kruka.

Kaleb zaśmiał się. Zdarzało się to bardzo rzadko, rzadziej nawet niż uśmiech.

– Ten ostatni przeoczyłem.

– W tym miejscu kapelusz był lekko zdeformowany.

– Dobrze przyłożyłeś się do lekcji, jakie dawałem ci u Kendrika. Opuściłeś tylko nóż, który nerwowy najemnik miał włożony za pasek. Zauważyłem go, gdyż człowiek wstawał bardzo ostrożnie i włożył na chwilę kciuk za pasek, jakby upewniając się, że się nie skaleczy.

– Wygląda na to, że pasek to nie najlepsze miejsce na chowanie noża.

– Jeżeli dobrze go zamocujesz, to naprawdę doskonałe miejsce – odparł Kaleb. – Ale jeżeli zrobisz to źle... – Wzruszył ramionami.

Ujechali spory kawałek drogi, w milczeniu obserwując podróż słońca na nieboskłonie.

– Tutaj – powiedział w końcu Kaleb, gdy dojeżdżali do wierzchołka wzniesienia.

W pewnej odległości Szpon widział, jak droga wznosi się ponownie na lewo od niego, a potem opada w dół. Miasto było teraz doskonale widoczne. Z łatwością dotarliby tam przed zapadnięciem zmroku, gdyby sprawy poszły wedle pierwotnego planu.

Na drodze w oddali Szpon dostrzegł jakiś ruch.

– Czterech jeźdźców.

Kaleb potrząsnął lejcami i zmusił konie do szybszego kłusa.

– Dotrą do wąwozu szybciej, niż myślałem!

Wóz rozpędzał się powoli i Szpon musiał trzymać się ławeczki obiema rękami, gdyż ciężkie osie nie amortyzowały uderzeń; czuł każdy podskok kół. Ten wóz był przeznaczony do przewozu ciężkich ładunków, ale nie zapewniał swoim pasażerom ani odrobiny komfortu.

Odgłos wozu, pędzącego drogą z górki, powinien zaalarmować jeźdźców, ale kiedy Kaleb i Szpon zbliżyli się do nich, zobaczyli, że gromadka rozpadła się na dwie pary. Kupcy spierali się o coś z najemnikami. Strażnik, o którym Szpon myślał jako o nerwowym, wyciągnął miecz w tym samym momencie, kiedy jego towarzysz obejrzał się, słysząc nadjeżdżający wóz. Wrzasnął coś i drugi najemnik także się obejrzał, aby zobaczyć, co się dzieje.

Dwaj kupcy zawrócili konie i próbowali odjechać, co sprawiło, że nerwowy najemnik zaczął wymachiwać mieczem w kierunku bliższego i zranił go w lewe ramię. Mężczyzna krzyknął i spadł ze swojego wierzchowca.

Kaleb powoził galopującymi końmi, kierując je na lewo od trójki jeźdźców, którzy teraz kłębili się na drodze. Kupiec, który spadł, czołgał się w pyłe niczym krab, usiłując oddalić się od jeźdźców. Drugi kupiec umykał drogą w dół, machając ramionami, jakby chciał odlecieć wraz z koniem.

Szpon wstał i wychylił się z wozu. Mijając nerwowego najemnika, w przelocie zrzucił go z konia, posyłając jego miecz w powietrze. Kaleb starał się, jak mógł, aby uchronić wóz przed przewróceniem, kiedy konie wytracały prędkość. Drugi najemnik szybko ocenił sytuację i pchnął swego własnego konia do galopu, wracając drogą w kierunku miejsca, z którego przybyli.

Szpon wylądował na grzbiecie nerwowego strażnika, który chrząkał, próbując odzyskać utracony oddech, a potem drgnął, kiedy chłopiec z niego

zszedł. Szpon stanął mocno na nogach, trzymając miecz w dłoni, sądząc, że mężczyzna zamierza wstać.

Najemnik leżał na ziemi, trzymając się za brzuch. Spomiędzy jego palców płynęła struga krwi. Spojrzał na Szpona.

– Zobacz, co mi zrobiłeś! Zabiłeś mnie!

Szpon ścisnął mocniej miecz w dłoni i podszedł do mężczyzny. Klęknął obok najemnika.

– To ostrze, które miałeś za paskiem? – zapytał.

– Ta cholerna rzecz nigdy nie siedziała na właściwym miejscu – odparł ranny. – A teraz krwawię jak zarzynane prosię.

Kaleb zawrócił wóz i podjechał do miejsca, gdzie czekał na niego Szpon i dwaj inni mężczyźni. Chłopiec odepchnął na bok dłońe rannego i rozpiął klamrę od paska. Wyciągnął nóż, prawie dziesięciocentymetrowe ostrze z rękojeścią w kształcie litery T. Zaprojektowano je tak, aby lekko wysuwało się zza paska i mieściło się pomiędzy dwoma środkowymi palcami dłoni, opierając rękojeść na nadgarstku. Była to naprawdę niebezpieczna broń, przeznaczona do zadawania ciosów z ukrycia.

– Czy jesteś ranny? – zapytał Kaleb kupca.

Mężczyzna trzymał się za skaleczone, krwawiące ramię.

– Jakoś przeżyję, ale nie dzięki temu oprychowi. – Kupiec był dosyć krępy, na głowie miał łysinę otoczoną wianuszkami siwiejących włosów. Jego oczy były ciemne, a na podbródku rosła mu rzadka broda.

Kaleb zszedł z wozu i podszedł do Szpona. Spojrzał w dół na leżącego na ziemi najemnika, na nóż i na ranę.

– Dożyjesz do egzekucji – powiedział. – Tak małe ostrze nie mogło cię zabić zbyt głęboko.

Wziął od Szpona mały nóż, odciął kawałek materiału od koszuli najemnika i owinął nim ranę.

– Przyciskaj opatrunek mocno do rany, obiema rękami. Pomóż mi załadować go na wóz – dodał do Szpona.

Wzięli między siebie rannego niedoszęłego rabusia i położyli go na tyle wozu. Potem Kaleb obejrzał ramię kupca.

– Będzie w porządku – powiedział po chwili.

– Dlaczego nam pomagacie? – zapytał kupiec. – To znaczy, bardzo wam dziękuję za uratowanie życia, ale dlaczego to zrobiliście?

Kaleb kiwnął głową w kierunku Szpona, który usiadł z tyłu na wozie, obok rannego mężczyzny.

– Mój młody przyjaciel, który tam siedzi, ma w sobie odrobinę poczucia przyzwoitości, jak się obawiam. Nie pochwała morderstwa, na to przynajmniej wygląda.

– Cóż, niech będą dzięki bogom, że akurat tędy przejeżdżaliście.

– Jedziemy dalej do Latagore – powiedział Kaleb. – Możesz pojechać ze mną na ławce z przodu.

– Nazywam się Dustin Webanks, jestem kupcem z Olasko. Podróżowałem do Latagore z moim współnikiem, aby nabyć tarcicę.

– A ci dwaj, których wynajęliście, chcieli okraść was ze złota.

– Niestety tak. Głupio, prawda? Nie mamy ze sobą żadnego złota, tylko listy kredytowe od królewskiego kvestora z Opardum. Mieliśmy kupować na zaliczkę.

– Ach tak, więc reprezentujecie księcia?

Kupiec wdrapywał się ostrożnie na wóz.

– Tak. Książę Kaspar buduje nową łowiecką posiadłość i chce w niej mieć drewniane ozdoby, podobne do tych, które widział tam czy gdzie indziej. Potrzebuje specjalnego rodzaju drewna, które najwyraźniej jest ścinane tylko tutaj, w lasach Latagore. I stąd ta wyprawa.

Kaleb wzruszył ramionami, jakby dla niego nie miało to znaczenia.

– Twój przyjaciel najprawdopodobniej wyśle po ciebie strażników miejskich, tak mi się wydaje.

– Najprawdopodobniej – powiedział Dustin.

– Tak więc mogą oni eskortować nas do miasta, mój przyjacielu, kupcze.

Ucichli na chwilę, każdy w duchu rozmyślał nad wydarzeniami minionych kilku minut. Szpon patrzył na więźnia, który najwyraźniej pogrążył się w jakichś czarnych myślach o nieudanej kradzieży, i zastanawiał się, co popchnęło tego człowieka do napaści na kupca. Potem doszedł do wniosku, że powinien się raczej zastanowić, co jego skłoniło, aby w tak gwałtowny sposób pomóc napadniętemu, który w końcu był dla niego kimś obcym.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

LATAGORE

Szpon gapił się z otwartymi ustami. Nie odzywał się ani słowem, kiedy zbliżali się do miasta; wjechali do środka przez jedną z zachodnich bram na godzinę przed zapadnięciem zmroku. Zdumiewał go ogrom Latagore, które ukazywało się jego oczom w miarę zbliżania się, a kiedy wjechali na podgrodzie, chłopiec po prostu oniemiał.

Nic w całym jego życiu nie przygotowało go ani odrobinę na widok tak wielu ludzi żyjących w jednym miejscu bardzo blisko siebie. Hałas i gwar na początku wprawiły go w przerażenie, ale szybko się przyzwyczaił do nowych dźwięków i chłonął obraz miasta wszystkimi zmysłami.

Niedaleko bram miasta uwijali się handlarze, oferując nowo przybyłym całą gamę towarów i zachwalając je każdemu, kto tylko znalazł się w zasięgu ich głosu. Sprzedawali różne ozdoby, talizmany na szczęście oraz wiele innych przedmiotów, których przeznaczenia Szpon nijak nie mógł się domyślić. Natychmiast obiegła ich gromada obdartych żebraków, ofiarowujących błogosławieństwo w zamian za monetę i przekleństwo dla obojętnych i nieczułych na błagania.

Kaleb spojrzął na oniemiałego chłopca.

– Lepiej zamknij usta, zanim jakiś ptak uwije sobie tam gniazdo – zażartował.

– Ale tu dużo ludzi – sapnął Szpon.

Dustin Webanks obejrzał się przez ramię na chłopca.

– Nigdy przedtem nie byłeś w mieście?

– Nie, panie.

Więzień, który do tej pory jechał w ponurym milczeniu, za wyjątkiem okazjonalnych pomruków wywołanych bólem, kiedy wóz mocniej podskakiwał na kamieniach, wydał z siebie pogardliwe parsknięcie.

– To jeszcze nic, chłopcze. Jeżeli kiedykolwiek pojedziesz do Oparum albo do Katesh'kaar, wtedy dopiero zobaczysz, co to znaczy miasto. Latagore z trudem zasługuje na to miano. Przypomina bardziej przerośniętą wiochę.

– Jest wystarczająco duże, aby mieć strażników i mnóstwo stryczka – ponuro odparł Kaleb. – Ta brama jest najlepsza, kiedy chcesz wjechać do miasta – zwrócił się do Szpona. – Używa jej większość miejscowych, gdyż przez inne przechodzą wędrowcy i karawany z dalszych stron, więc przebicie się do miasta tamtą drogą jest długotrwałe i uciążliwe. Dlatego tę bramę nazywają lokalną.

– Jak dużo bram prowadzi do miasta? – spytał Szpon, przypominając sobie zwyczajną palisadę z jednym wejściem, która otaczała jego wioskę.

– Zaraz, wydaje mi się, że to miasto ma dwadzieścia... hm, cztery? Tak, dwadzieścia cztery bramy.

Ustawili się w kolejce oczekujących na wpuszczenie do miasta. Podróżni chcieli wjechać do środka, zanim zapadnie zmrok i bramy zostaną zamknięte. Przed nimi stały tylko dwa wozy i gromadka jeźdźców, więc szybko dotarli do wejścia.

– Hej, Roderiku! – zawołał Kaleb, ściągając wodze przed strażnikami.

– Kaleb! – krzyknął żołnierz ubrany w uniform o barwie ciemnej, leśnej zieleni. – Przyjechałeś do miasta, żeby coś kupić czy sprzedać?

– Zakupy – odparł zwięźle Kaleb. – Wjeżdżamy z pustym wozem.

Żołnierz machnął ręką, nakazując im jechać.

– A czy możemy pozbyć się bandyty? – zapytał Kaleb.

Szybka rozmowa z żołnierzem zaowocowała pozbyciem się więźnia. Strażnicy prędko go zabrali. Dustin Webanks opuścił ich również, chcąc pozłatwiać różne sprawy w magistracie. Obiecał swoim wybawicielom nagrodę i zaprosił ich następnego dnia do Gospody Pod Pędzącym Lokajem.

Kaleb powoli przebijał się przez miasto w kierunku zajazdu, gdzie zazwyczaj zatrzymywali się ludzie od Kendrika, gdy robili zakupy. Kiedy już zapadł zmrok, dotarli do przyjaźnie wyglądającego budynku, przylegającego z lewej strony do dużego podwórza. Nad wejściem wisiał szyld przedstawiający mężczyznę z zawiązanymi oczyma, który rzucał w powietrze jakieś kulki. Młody człowiek, mniej więcej w wieku Szpona, wybiegł z zajazdu na dźwięk zbliżającego się wozu.

– Hej, Kaleb! – zawołał, widząc, kto powozi nadjeżdżającym zaprzęgiem.

– Jakub! – odkrzyknął Kaleb.

Młodzieniec miał włosy barwy żółtego piasku i żylastą, chudą sylwetkę. Nosił prostą, bawełnianą koszulę i spodnie ze skóry, a na nogi włożył ciężkie buty do pracy. Wziął konie za uzdę i popatrzył na przyjezdnych.

– Kim jest twój przyjaciel? – zapytał.

– Szponie, poznaj Jakuba.

Szpon skinął głową i zeskoczył z wozu.

– Ojciec będzie bardzo zadowolony z twoich odwiedzin – powiedział Jakub. – Ma dla ciebie nowe myśliwskie historyjki.

– To on ma czas, żeby chodzić na polowanie? – zdziwił się Kaleb.

– Nie, oczywiście że nie – odparł Jakub, szczerząc radośnie zęby. – Ale ma nowe historyjki.

– Jak zwykle – uśmiechnął się Kaleb.

Zostawili zaprzęg pod opieką Jakuba i weszli do zajazdu. W środku zobaczyli pulchną kobietę, która rozpromieniła się na widok Kaleba. Wybiegła zza długiego szynkwasu i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Kaleb, ty łajdaku! Gdzie się podziewałeś od ostatniej wizyty! Nie widzieliśmy cię od zeszłego lata!

Nawet jeżeli zwykle małowówny myśliwy był zakłopotany taką wylewnością i uściskami, nie dał tego po sobie poznać.

– Witaj, Andzeliko – powiedział, kiedy kobieta wypuściła go wreszcie z objęć. – Pokazał na chłopca stojącego nieśmiało za nim. – To jest Szpon. Pomaga mi w tej wyprawie.

Nagle chłopiec znalazł się w pachnącym, niedźwiedzim uścisku.

– Witaj w Zajeździe Pod Ślepym Żonglerem, Szponie. – Odwróciła się do Kaleba i mrugnęła figlarnie. – Ella jest w kuchni.

Kaleb nic nie powiedział, tylko lekko się uśmiechnął.

– Będziemy potrzebować pokoju na dwa, może na trzy dni.

– Dobrze, dostaniecie go – odparła kobieta. – A teraz zajmijcie sobie wygodny stół przy kominku. Tragarze i robotnicy zwałą się tutaj całą hałastrą, jak tylko się ściemni i wtedy nie będę już miała dla was czasu.

Kaleb pokazał na mały stolik w rogu obok kominka. Szpon podszedł do stołu i usiadł.

– Będziemy się myć pojedynczo, po kolei – zdecydował Kaleb. – Ona ma rację. Za kilka minut nie będzie tu miejsca nawet na to, żeby się odwrócić.

Andzelika pojawiła się kilka chwil później, niosąc dwa duże kufle ciemnego piwa. Podała Kalebowi klucz.

– Pierwszy pokój, na samej górze przy schodach. Jest najlepszy.

– Dzięki – odparł Kaleb.

Szpon pociągnął łyk napoju i poczuł, że piwo jest mocne i aromatyczne.

– Uważaj, ile pijesz, Szponie. To zdradziecki trunek, jeżeli się dobrze nie pilnujesz. – Kaleb pochylił się do przodu. – Naucz się pić małymi łyckami, tak by wyglądało, że pijesz więcej, niż w rzeczywistości jest.

– A jak mam to zrobić?

Kaleb pokazał mu. Ujął kufel w dłonie i wziął ogromny łyk, a przynajmniej tak to wyglądało. Ale kiedy podstawił kubek pod nos Szpona, aby ten mógł zbadać poziom płynu, chłopiec zobaczył, że ubyła zaledwie odrobinka.

– Kiedy jesteś w towarzystwie nieokrzesanych pijaków, udawaj, że wylało ci się na podłogę albo pozwól, aby piwo ściekało ci po brodzie. Jeżeli biesiadujesz w kulturalnym towarzystwie, przywołuj raz na jakiś czas sługę, aby ten podał ci nową czarę. Nikt, z wyjątkiem usługującego, nie zauważy, że oddajesz do połowy wypełnione naczynie. Sługa nikomu o tym nie powie, najprawdopodobniej sam osuszy kielich, zanim odniesie go do kredensu.

– Dlaczego?

– Dlaczego sam go wypije?

Szpon potrząsnął głową i uśmiechnął się. – Nie, to zrozumiałem. Nie, pytam się, dlaczego powinienem udawać, że piję więcej, niż to ma miejsce w rzeczywistości?

– Niech to się stanie twoim nawykiem. Podchmieleni mężczyźni są z reguły głupi i nieostrożni. A czasem opłaca się wyglądać na głupiego i nieostrożnego. – Kaleb wstał. – A teraz idę się umyć.

Szpon kiwnął głową i usiadł wygodnie. Kaleb wyszedł przez sąsiadujące z szynkwasem drzwi, które, wedle oceny Szpona, prowadziły do kuchni. Jak większość ludzi z jego plemienia, Szpon pływał w jeziorach i rzekach płynących przez góry, we wszystkich porach roku, z wyłączeniem jedynie najzimniejszych miesięcy. Oczyszczał swoją skórę w parowym domku w

wiosce. Siedział z mężczyznami i kobietami, zdrapując całodzienny brud za pomocą drewnianych, pięknie wyciętych patyczków. Potem polewano się chłodną wodą z cebrzyków stojących obok nagrzanego kamienia, dzięki którym w pomieszczeniu kłębiła się para. Używanie mydła i wody, zazwyczaj zimnej, wydawało się dziwnym rytuałem, ale dla Szpona szybko stało się nawykiem. Większość ludzi, jak zauważył, włączając szlachtę, myło sobie twarz i ręce, kiedy byli już do tego zmuszeni, jednak mieszkańcy zajazdu Kendrika poświęcali mnóstwo czasu na pluskanie się i kąpiele. Szpon pytał o to Lelę, a ona odparła, że kiedy przybyła do Kendrika, taki już panował tutaj zwyczaj. Jej to nie przeszkadzało.

Szpon pomyślał o Leli i jego żołądek zwinął się w kulkę. Bardzo za nią tęsknił, mimo wielkiej ekscytacji podróżą. Przed nią nie znał żadnej kobiety. Wedle zwyczajów jego ludu, miał pozostać czysty aż do nocy swoich zaślubin. Oczywiście nie zawsze tak było, szczególnie pomiędzy tymi, dla których nie znaleziono żony czy męża w dniu ich wkroczenia w dorosłość. Ale tradycja była tradycją, a Orosini traktowali swoje zwyczaje bardzo poważnie. Szpon czasami myślał o Oku Niebieskoskrzydłej Cyraneczki i o innych dziewczętach ze swojej wioski. Zastanawiał się, czy one też byłyby tak radosne podczas uprawiania miłości jak Lela, która zazwyczaj śmiała się i dokazywała. Odepchnął od siebie myśli o wiosce i dziewczętach, z którymi dorastał, gdyż ciągle rozpamiętywanie na ten temat sprawiało mu ból. Robert nauczył go, aby skupiał swe myśli na teraźniejszości albo na bliskiej przyszłości. „Życie w przeszłości, to życie w rozpacz”, powiedział mu Robert pewnego razu.

Szpon zaczął uważnie przyglądać się otoczeniu, co niemalże weszło mu już w nawyk. W pomieszczeniu stało tuzin stołów, tak więc mogło się tu zmieścić pięćdziesięciu gości, tak by sobie nawzajem nie przeszkadzać, a więcej jeżeli zdecydowaliby się na stanie przy szynkwasio. Szpon

przypomniał sobie wygląd zewnętrzny budynku, porównał go z Zajazdem Kendrika i doszedł do wniosku, że na górze musi być sześć albo siedem pokoi. Tak jak w większości zajazdów w tej okolicy, podróżni mogli spać we wspólnej sali pod stołami za kilka miedziaków. Może podłoga nie wyglądała zachęcająco, ale po podścieleniu płaszcz taka sypialna była o niebo lepsza od spędzania nocy na dworze. Ogień płonący w kominku zapewniał ciepło przez całą noc, a rano na podróżnego czekał ciepły posiłek.

Po chwili ciszy i spokoju Szpon usłyszał, jak otwierają się frontowe drzwi i wchodzi przez nie pół tuzina krzepkich mężczyzn. Wszyscy byli mocno zakurzeni i nosili zgrzebne odzienie. Patrząc na ich ciężkie buty, dodatkowo wzmocnione na palcach, i potężne sylwetki, Szpon doszedł do wniosku, że przybysze muszą być tragarzami rozładowującymi wozy z towarami i roznoszącymi skrzynie do sklepów i magazynów w całym mieście. Wszyscy podeszli szybko do szynkwasu.

– Andżelika! – zawołał jeden z nich. – Ella! Ktokolwiek! Umieramy z pragnienia!

Kilku mężczyzn zachichotało, ale wszyscy stali spokojnie przez chwilę, aż w kuchennych drzwiach pojawiła się Andżelika. Kobieta pozdrowiła tragarzy ich imionami i podała im napoje, nawet nie pytając, czego sobie życzą. Najwyraźniej byli stałymi klientami.

Po kilku minutach do gospody weszła kolejna grupa mężczyzn. Wszyscy wyglądali na ciężko pracujących robotników albo na tragarzy, jak pierwsi goście, albo na woźniców czy zaprzęgowych.

Wrócił Kaleb i usiadł przy stole.

– I czego się dowiedziałeś?

Szpon spojrzał na swojego towarzysza. Przez chwilę nie rozumiał pytania, przecież siedział sam, a potem zdał sobie sprawę, że Kaleb pyta go,

jakie wnioski wyciągnął ze swoich obserwacji. Opowiedział mu więc o swoich domniemaniach na temat wielkości zajazdu.

– Podwórze na tyłach musi być raczej duże – dodał na koniec. – Nasz wóz zmieścił się tam bez problemu, a przecież zajmujemy tylko jeden pokój. Wydaje mi się, że w stajni zmieścić się może co najmniej dwanaście koni, może nawet więcej.

– Więcej – powiedział Kaleb, kiedy przy stoliku pojawiła się ładna dziewczyna, która przyniosła z kuchni tacę zapełnioną jedzeniem. – Szponie, poznaj Ellę.

Szpon spojrział na dziewczynę, która była szczupła jak trzcina. Jednak dostrzegął w niej podobieństwo do Andżeliki. Wydawała się być kilka lat starsza od Szpona. Miała niebieskie oczy i bardzo ciemne włosy, podkreślone jeszcze przez bardzo białą skórę i czerwone wypieki na policzkach. Nosila prostą suknię z niebieskiego lnu i biały fartuch, ale pasek, zapięty wokół talii, podkreślał jej figurę i ukazywał miłe oku proporcje i pokaźne zaokrąglenia, pomimo szczupłej sylwetki dziewczęcia.

– Witaj – powiedział Szpon.

Uśmiechnęła się i Szpon oniemiał, ogłuszony jej urodą. Postawiła tacę na stole i ciepło spojrzała na Kaleba.. – Zawołajcie mnie, jeżeli będziecie czegoś potrzebować.

Kiedy pędziła z powrotem do kuchni, kolejna grupa robotników weszła do gospody.

– Ella! – zawołał jeden z tragarzy, kiedy dziewczyna zniknęła za szynkwasem.

Zatrzymała się na chwilę. Jej twarz spochmurniała.

– Cześć, Forney – odpowiedziała, a potem bez słowa szybko wymaszerowała do kuchni.

Szpon przyjrzał się nowo przybyłemu. Mężczyzna był młody, prawdopodobnie w wieku Kaleba, mocno zbudowany, na głowie miał ogromną strzechę czarnych włosów. Nosił proste i szorstkie ubranie, które, zaskakująco, było raczej czyste. Podeszedł do szynkwasu wraz ze swoimi towarzyszami.

Z kuchni wyszedł Jakub, pozdrowił kilku stałych bywalców karczmy i podeszedł do stołu, gdzie siedział Szpon. Kaleb podsunął chłopakowi krzesło i młodzieniec usiadł.

– Twoje konie są już w stajni. Dostały paszę. Gniada klacz kulała lekko na prawą przednią nogę, więc obejrzałem jej kopyta. Utkwił tam mały kamyk. Może wdać się zapalenie i ropień.

Szpon oglądał kopyta każdej nocy i podczas popołudniowych popasów, więc zwierzak musiał zranić sobie nogę podczas ostatniego odcinka podróży.

– Będę oglądał jej nogi – kontynuował Jakub. Pochylił się do przodu i zniżył głos. Uśmiechnął się złośliwie. – Więc, czy Forney już widział, jak rozmawiasz z Ellą? – Kaleb nie wyglądał na zainteresowanego pytaniem. Jakub zwrócił się więc do Szpona. – Moja siostra zagięła parol na tego tu szanownego kawalera, ale Forney postanowił sobie, że to on właśnie zostanie jej mężem.

Szpon ciągle jeszcze nie do końca rozumiał związane z małżeństwem zwyczaje tych ludzi, ale czuł podświadomie, że te sprawy nigdzie nie były tak nieformalne jak w dużym mieście. Zupełnie inaczej niż w domu, u ludzi z plemienia Orosinich. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, Szpon nie odezwał się.

Kaleb spojrzał na Forneya.

– Powiedziałem już twojej siostrze – rzekł do Jakuba – że ją lubię, ale zdajesz sobie sprawę równie dobrze jak ja, że nie spieszno mi do żeniaczki.

– Zapatrzył się w przestrzeń. – O ile w ogóle się kiedykolwiek ożenię – dodał miękko. – Poza tym – uśmiechnął się lekko – o ile dobrze odczytuję znaki, Forney i tak nie miałby szans, nawet gdybym nigdy nie postawił stopy w Latagore.

Jakub zaśmiał się.

– Działa Elli na nerwy bardziej niż ktokolwiek inny, z jakiejś niewiadomej przyczyny. Ale zawsze tak jest, nieprawdaż? Zawsze chcesz tego, czego nie możesz mieć.

Szpon wyglądał na zdziwionego. Jakub to zauważył.

– Ella chce, żeby Kaleb tu zamieszkał – zaczął wyjaśniać chłopcu – ale tak się nie stanie, a Forney pragnie Elli, ale jej nie dostanie. To prawie to samo, widzisz?

Szpon nie widział podobieństwa, ale skinął potakująco głową, jakby się zgadzał z Jakubem.

– Kim on jest? – zapytał po chwili.

– Forney? – upewnił się Jakub, wzruszając ramionami. – To poczciwe chłopisko, ale nic specjalnego.

Kaleb podniósł brew i uśmiechnął się do Jakuba sardonicznie.

– Poczciwe chłopisko? Jego ojciec jest najbogatszym spedytorem w okolicy.

Szpon nie znał się zbyt dobrze na bogatych ludziach, z wyjątkiem tych, którzy odwiedzali Kendrika.

– Ale on się ubiera jak większość ludzi – stwierdził ze zdziwieniem.

– To decyzja jego ojca. Stary chce, żeby jego syn nauczył się pracy w tym interesie, poczynając od tragarza. Tak jak już powiedziałem, facet jest w porządku. Oczywiście nie przypomina w niczym naszego tajemniczego podróżnika, który tutaj siedzi – dodał, klepiąc Kaleba po ramieniu. – Wpadł Elli w oko, kiedy dziewczyna miała zaledwie... hm...? Piętnaście lat?

– To było cztery lata temu, Jakubie.

Jakub kiwną potakująco głową.

– Ciągłe jej powtarzam, że gdy bliżej cię pozna, natychmiast zmieni o tobie zdanie, ale wiesz, jakie są siostry.

– Nie bardzo – odparł Kaleb. – Ja mam brata, pamiętasz? Przez twarz Jakuba przemknął dziwny wyraz. Grymas gościł na niej tylko przez moment, ale Szpon to zauważył.

– Trudno jest zapomnieć Magnusa – przemówił w końcu Jakub, zmuszając się do lekkiego tonu. Odsunął z hałasem krzesło i wstał. – Cóż, mam dużo pracy. Jeżeli będziecie czegoś potrzebować, nie krępujcie się poprosić.

– Nic nam nie trzeba – zapewnił Kaleb.

Szpon nie odzywał się przez chwilę, czekając, aż Jakub się oddali.

– Jest tak wiele rzeczy, których nie rozumiem wśród ludzi twojego plemienia – powiedział do Kaleba.

– Mojego plemienia? – powtórzył pytająco Kaleb.

– Ciebie i Jakuba, i tych ludzi u Kendrika. – Z trudem dobierał słowa. – Ludzi, którzy nie są z plemienia Orosinich.

Kaleb rozejrzał się po sali.

– Lepiej, żebyś zapomniał, że należysz do Orosinich. A przynajmniej wtedy, kiedy jesteś w zasięgu słuchu obcych ludzi.

– Dlaczego?

– Ktoś zadał sobie wiele trudu, żeby wybić Orosinich co do nogi, Szponie. Podczas gdy ty, jako jednostka, nie stanowisz dla tych morderców żadnego zagrożenia, twoje istnienie jako świadka tego ludobójstwa mogłoby być nieco... kłopotliwe. – Podniósł głos. – A teraz wróćmy do tego, co powiedziałaś. Czego znowu nie rozumiesz?

Szpon odwrócił wzrok, jakby nie chciał patrzeć Kalebowi w oczy. Kiedy odezwał się ponownie, jego głos był cichy i spokojny.

– Tych... żartów, chyba to jest odpowiednie słowo. Tego... przekomarzania, ale nie wesołym tonem, tylko na poważnie.

– Uwodzenia.

– Tak, to dobre słowo. Lela robi mi to czasem, a ja nie wiem, czy ona naprawdę poważnie myśli to, co akurat mówi w danym momencie.

Kaleb wzruszył ramionami.

– To nie czyni cię wyjątkowym pośród młodych mężczyzn, Szponie.

– Może, ale ty jesteś ode mnie starszy i myślałem, że... Kaleb przerwał mu, wybuchając rzadkim u niego śmiechem.

– Obawiam się, że nie mogę ci pomóc, mój młody przyjacielu. – Pochylił się do przodu i zajrzał do swojego kufła z piwem. – Pewnego dnia może spotkasz resztę mojej rodziny i poznasz warunki, w jakich dorastałem. Ale nawet jeżeli to się nigdy nie stanie, musisz wiedzieć, że moje dzieciństwo nie było normalne. – Spojrzał na chłopca i uśmiechnął się. – Dorastałem jako ślepiec wśród doskonale widzących.

– Co masz na myśli?

– Pewnego dnia ci wyjaśnię, ale na razie przyjmijmy, że nie byłem szczęśliwym dzieckiem. Moi rodzice są bardzo niezwykli, utalentowani poza wszelkimi wyobrażeniami, ale nie potrafili wyleczyć tego, co uważałem za skazę na mojej osobie.

Szpon odchylił się na oparcie krzesła z wyrazem zdumienia na twarzy.

– Kaleb, ale ty nie masz żadnej skazy. Uważam cię za najlepszego myśliwego, jakiego znam, a moi ludzie są doskonałymi łowcami. Ćwiczyłem wystarczająco długo z Kendrikiem, żeby wiedzieć, że jesteś świetnym szermierzem, tak jak łucznikiem. Mówisz zawsze uczenie, ale z

sensem. Jesteś cierpliwy i dokładnie przyglądasz się wszystkiemu. Co zatem jest z tobą nie tak?

Kaleb uśmiechnął się i usiadł wygodnie.

– Stajesz się znawcą natury ludzkiej, nieprawdaż? Robert potrafi czynić cuda, trzeba mu tylko dać trochę czasu. To jeden z jego darów. A to czego mi brakuje – powiedział miękko – to magia. Mój brat nie jest jedynym praktykiem tej nauki w rodzinie, to raczej ja jestem jedynym, któremu brakuje tego daru. Dorastałem na wyspie, gdzie tylko ja nie byłem magiem.

– Tak więc Robert i twój brat są obaj magami? – zapytał Szpon. Starał się teraz mówić cicho.

– Nie wiedziałeś o tym?

– Nigdy nie widziałem, aby którykolwiek z nich używał swoich umiejętności, chociaż... – przerwał. – Te wszystkie lekcje, które daje mi twój brat, traktują o wykorzystaniu umysłu albo...

– Przez chwilę szukał odpowiednich słów. – Są nawet dziwniejsze niż lekcje logiki, jakie daje mi Robert. Magnus mi pokazuje, jak robić pewne rzeczy – poklepał się po czole – tutaj, w głowie. Nie wiedziałem nawet, że coś takiego jest możliwe. Ale niestety ja nie posiadam talentu magicznego.

– Jesteś tego najzupełniej pewien? – spytał Kaleb, jakby bagatelizując sprawę.

– Pomędzy ludźmi mojego plemienia jest bardzo niewielu, którzy są nazywani... szamanami, kapłanami obdarzonymi mocą. Każde niemowlę jest badane, i ci, którzy przejawiają talent, opuszczają swoje wioski jako dzieci i uczą się sztuki od szamanów. Wśród moich rodaków jest zaledwie garstka, i oni...

– Szpon nagle poczuł przypływ żalu. – To i tak nie ma znaczenia. Wszyscy nie żyją. – Poczuł, jak wilgotnieją mu kąciki oczu i zamrugał. – Bardzo dawno już nie czułem się tak smutno.

Kaleb pokiwał głową.

– To uczucie nigdy cię nie opuści, aż do końca. Ale przecież odkryjesz jeszcze wiele radości w życiu. – Twarz mu się rozjaśniła. – Chciałem ci tylko powiedzieć, że chociaż już dawno wyleczyłem się z wyimaginowanych ran, jakie zadało mi dzieciństwo i dorastanie, jednej rzeczy nie nauczyłem się aż do tej pory i prawdopodobnie nigdy się nie nauczę: postępowania z kobietami. Podobnie jak ty, ja też byłem wyrzutkiem, kiedy przybyłem do tej części świata. Nowe życie nie miało żadnego związku z poprzednim. – Upił łyk piwa i dokończył. – Z drugiej jednak strony, nauka może być czasami bardzo przyjemna.

Szpon wyszczerzył radośnie zęby.

– Masz rację. Lela jest...

– Lela – przerwał mu Kaleb. – To cudowne stworzenie, możesz być tego pewien.

– Ale jak mam...

– Co jak masz?

Szpon spróbował jakoś wyrazić swoje myśli. Zapadła długa chwila milczenia, podczas której dwaj młodzi mężczyźni siedzieli i patrzyli na siebie, w tle słysząc gwar czyniony przez głośno dyskutujących tragarzy.

– Pomiędzy Orosinimi – odezwał się w końcu Szpon, pochylając się do przodu – przyszli małżonkowie są wybierani przez rodziców. Ja nie mam rodziców i nie wiem nic o rodzicach Leli...

Kaleb przerwał mu.

– Czy ty myślisz o małżeństwie?

Szpon zamrugnął, zdziwiony faktem, że jego rozterki zostały ujęte właśnie w ten sposób, ale w końcu przytaknął ruchem głowy.

– Nie wiem, co mam robić.

– Porozmawiaj z Robertem – podpowiedział mu miękko Kaleb.

Szpon skinął głową.

– Ale muszę cię ostrzec – dodał Kaleb. – Nie sądzę, że to się stanie, nawet jeżeli Lela będzie cię chciała za męża, co nie wydaje mi się prawdopodobne.

– Ale przecież ona mnie kocha! – zawołał Szpon wystarczająco głośno, żeby przyciągnąć uwagę dwóch tragarzy siedzących przy stole obok. Mężczyźni zaśmiali się, jeden zrobił niegrzeczną uwagę, a potem powrócili do picia i własnej rozmowy.

– Jak już powiedziałem, nie jestem ekspertem w sprawach sercowych, Szponie. Ale jedno musisz wiedzieć. Nie jesteś pierwszym mężczyzną, który śpi w łóżku Leli.

– Wiem o tym – odparł Szpon.

Kaleb oparł się wygodnie, jakby zastanawiając się, jakich słów użyć.

– To, co dzieje się pomiędzy mężczyzną i kobietą – odezwał się wreszcie – to tylko i wyłącznie ich sprawa. Ale powiem ci jedno. Znasz tych mężczyzn, którzy przedtem spali w jej objęciach.

Szpon zamrugał, jakby nigdy wcześniej nie rozważał tego problemu pod tym kątem. – Gibbs?

Kaleb skinął potakująco głową. – Lars? I znów Kaleb przytaknął.

– Ale Lars jest teraz z Meggie – zdziwił się Szpon.

– Teraz tak, ale oni często się ze sobą kłócą. Meggie nie jest łatwa i pod żadnym względem nie przypomina Leli. Ma swoje zalety, ale może także być uciążliwa.

– Ale to przecież nie jest w porządku – zaprotestował Szpon.

– Szponie, to nie jest zagadnienie, które możesz oceniać w kategoriach dobra i zła. Po prostu jest, jak jest. Pomiedzy twoimi rodakami to rodzice wybierają dla ciebie żonę i możesz przejść przez życie u boku jednej

kobiety, wcale nie znając innych. Ale tutaj... – Westchnął. – Tutaj jest inaczej.

Szpon wyglądał na cierpiącego.

– Powinieneś wiedzieć, że ja także byłem kiedyś z Lelą wyznał Kaleb.

– Ty?! – Szpon zaniemówił ze zdumienia.

– Podczas ostatniego Święta Przesilenia Letniego, w dniu, kiedy Robert i Pasko cię znaleźli, ona i ja wypiliśmy zbyt dużo i skończyliśmy razem w łóżku. I wiem, że postąpiła podobnie z kilkoma innymi przystojnymi podróżnikami.

Szpon miał taką minę, jakby cały świat nagle się na niego zawalił.

– Ale czy ona... och, nie pamiętam tego słowa.

– Jakiego słowa?

– Kobieta, która kładzie się z mężczyznami dla pieniędzy.

– Kurtyzana – odpowiedział Kaleb. – Nie, mój młody przyjacielu, ona nie jest dziwką. Po prostu jest zdrową dziewczyną, która lubi mężczyzn i pochodzi z kraju, gdzie ludzie nie zastanawiają się dwa razy, jeżeli mają okazję przespać się ze sobą dla czystej przyjemności.

Szpon poczuł, jakby nagle jego żołądek wypełniła zimna pustka.

– To nie jest właściwe – wymamrotał.

– Idź i umyj ręce – zmienił temat Kaleb, machając dłonią w kierunku kuchennych drzwi. – Zaraz przyniosą jedzenie. Pamiętaj tylko, że w przypadku większości rzeczy przypinanie etykiety dobre czy złe zależy bezpośrednio od miejsca, z którego się im przyglądasz. Rodacy mojego ojca uznaliby wasz zwyczaj wybierania małżonka przez rodziców za... hm... barbarzyński. – Twarz Szpona spochmurniała. – Nie miałem zamiaru cię obrazić – dodał szybko Kaleb – ale chcę ci pokazać, że różne sprawy wyglądają inaczej z odmiennych punktów widzenia. Ciebie uczono od małego, że świat jest stworzony w taki, a nie inny sposób, ale okazuje się,

że reszta tego świata różni się od twojej wioski tak bardzo, że trudno to sobie wyobrazić. A teraz idź i się umyj.

Szpon wstał i poszedł w kierunku kuchennych drzwi umieszczonych za szynkwasem. W pomieszczeniu dojrzał wiele znajomo wyglądających przedmiotów. Andżelika i Ella pracowały w towarzystwie dwóch mężczyzn. Jeden z nich musiał być ojcem Jakuba, gdyż bardzo go przypominał, a drugi najwyraźniej pełnił obowiązki kucharza. Szpon znalazł wiadro i mydło i umył dłonie. Kiedy podniósł głowę znad cebrzyka, ujrzał, jak Ella spogląda na niego aprobującym wzrokiem.

Odważył się na niepewny uśmiech i wytarł ręce w ręcznik, który wisiał obok wiadra. Chociaż dziewczyna była zadurzona w Kalebie, najwyraźniej patrzyła na Szpona w raczej niepokojący sposób. Chłopiec wyszedł z kuchni i podszedł do stolika, gdzie czekał jego towarzysz. Usiadł i popatrzył na człowieka, którego do tej pory uważał za przyjaciela. A teraz dowiedział się, że ten mężczyzna był z kobietą, którą kocha! Jak miał się teraz niby czuć?

Szpon westchnął ciężko.

– Nigdy nie zrozumieję kobiet – powiedział z rezygnacją.

Kaleb zaśmiał się.

– Witaj wśród swoich, mój przyjacielu.



Wcześniej następnego dnia Kaleb zaczął zakupy w mieście. Pięć albo sześć razy do roku Kendrik kupował w mieście zapasy, których nie mógł wyprodukować na miejscu. Do zajazdu sprowadzano białą mąkę, ryż, cukier, miód oraz sezonowe warzywa i owoce. Ale dwa razy do roku właściciel gospody sporządzał specjalną listę sprawunków i ktoś od

Kendrika musiał po nie jechać do Latagore. Najczęściej jeździł po nie sam Kendrik, ale tym razem wysłano Kaleba.

Po tym jak odwiedzili trzeci sklep, Szpon zaczął rozumieć, dlaczego wysłano Kaleba. Mężczyzna miał smykałkę do negocjacji. Potrafił wyczuć, czy kupiec jest skłonny zgodzić się na niższą cenę, a kiedy targowanie nie dałoby żadnych rezultatów, po prostu ustępował.

– Skąd to wiesz? – zapytał Szpon, kiedy wędrowali w dół ulicą w kierunku następnego magazynu.

– Skąd co wiem?

– Skąd wiesz, kiedy przestać się targować i przyjąć podaną cenę?

Kaleb uskoczył na bok, żeby przepuścić bandę urwisów uciekających ulicą w ich kierunku, za którymi biegł rozzłoszczony kupiec.

– Są pewne znaki, które musisz obserwować. Podobnie jak podczas gry w karty na pieniądze albo kiedy starasz się ocenić, czy twój rozmówca kłamie.

– Jakie znaki?

– Jest ich bardzo wiele – odparł Kaleb. – Ale na początek poznaj najbardziej oczywiste. Wyraz twarzy. Na przykład, ten handlarz przyprawami, u którego byliśmy rano, był zadowolony, widząc u siebie klienta. Jego twarz wprost promieniała radością na nasz widok.

– A skąd to wiesz?

– W chwili, kiedy wchodzisz do sklepu, obserwuj twarz sprzedawcy. Większość kupców oderwie się od pracy na krótką chwilę, żeby zobaczyć, kto wchodzi. W tym momencie zobaczysz prawdę. Nauczenie się poznawania wyrazu twarzy zajmuje trochę czasu, ale szybko zauważysz różnicę pomiędzy mężczyzną, który jest prawdziwie zadowolony na widok klienta, a kupcem, który jedynie udaje radość. Ten pierwszy potrzebuje sprzedać ci jakiś swój towar, podczas gdy drugi może ci go sprzedać, ale

nie musi. Pod fałszywym uśmiechem leży jeszcze wiele innych prawd. Może on wskazywać, że kupiec uważa cenę za niską albo za wysoką. Następnym razem przypatruj się uważnie twarzy sprzedawcy, a nie mojej, i zapamiętaj, co widzisz.

Szpon obserwował kupców przez cały dzień i po każdej transakcji zamęczał Kaleba pytaniami. Powoli zaczynał choć trochę rozumieć, co Kaleb miał na myśli. Na każdej twarzy były małe znaki i człowiek cierpliwy mógł wyciągnąć z nich daleko idące wnioski.



Po południu dotarli do małego targu, przyklejonego do wschodnich murów miasta i zaczęli przechadzać się pomiędzy straganami kupców, którzy oferowali jedzenie, ubiory, żywy drób, ozdoby, narzędzie, broń, a nawet był tam pośrednik zajmujący się zatrudnianiem najemnych strażników. Kupcy znacznie się odróżniali od pozostałych mieszkańców Latagore i Szpon przez chwilę poczuł ukłucie ekscytacji. Przez moment myślał, że ci ludzie to jego rodacy! Mężczyźni mieli na twarzach tatuaże, chociaż chłopiec nie rozpoznawał znaków. Nosili futrzane kamizele, nieco odmienne od strojów Orosinich, i podróżowali w grupach, wspólnie z dziećmi i starszymi osobami.

Usłyszał mowę, która brzmiała łudzaco podobnie do jego własnej. Rozumiał nawet pojedyncze słowa. Wyciągnął rękę i złapał Kaleba za ramię. Mężczyzna odwrócił się, żeby zobaczyć, o co chodzi. Zauważywszy wyraz koncentracji na twarzy Szpona, Kaleb nie odezwał się ani słowem, czekając, aż chłopiec ochłonie na tyle, aby zacząć analizować otaczające go środowisko.

Po kilku chwilach nasłuchiwania rozmowy mężczyzny z kobietą, która, jak sądził Szpon, była jego żoną, okazało się, że rozumie ich mowę, mimo

tego, że rozmówcy akcentowali ciężko każde słowo i niekiedy używali obcych wyrażen. Nachylił się blisko do Kaleba, aby nikt go nie usłyszał.

– Kim są ci ludzie? – zapytał cicho.

Kaleb ruchem nakazał chłopcu, aby poszedł za nim.

– To są Orodoni – odpowiedział, kiedy oddalili się już od gromadki obcych. – Żyją po drugiej stronie masywu górskiego na pomocy. Są dalekimi kuzynami Orosinich, chociaż żyją na nizinach i łowią ryby w morzu, a nie zamieszkują gór. Mają wioski, ale nie miasta, tak więc każdej zimy wielu z nich podróżuje na południe, a wczesną wiosną zjeżdżają do Latagore w celach handlowych. Istnieją także kupcy, którzy regularnie odwiedzają nadbrzeżne wioski Ordonów.

– Dlaczego ja nigdy o nich nie słyszałem?

Kaleb wzruszył ramionami.

– Musiałbyś zapytać kogoś, kto jest teraz martwy – twojego ojca lub dziadka. Kiedyś te wszystkie ziemie należały do twoich przodków, Szponie. Ludzie z południa, ludzie z miast przenieśli się na północ i zepchnęli twój lud w wysokie góry, a Ordonów na daleką północ. Wszystkie narody południa są spokrewnione z ludem Roldem, dlatego w tym języku mówi się we wszystkich tych królestwach.

Szpon obejrzał się przez ramię, kiedy opuszczali targowisko na wolnym powietrzu i wchodzili w wylot kolejnej uliczki.

– Chciałbym się więcej dowiedzieć o tych ludziach.

– Magnus będzie zachwycony – odparł Kaleb. – Ma niewielkiego bzika na punkcie historii i z pewnością będzie cię uczył z wielkim zadowoleniem. Mnie historia nudzi, obawiam się.

Dotarli do gospody. Szylid przedstawiał mężczyznę w liberii lokaja, który pędził za odjeżdżającą karocą.

– Pędzący Lokaj – powiedział Kaleb. – Tutaj mieliśmy się spotkać z naszym przyjacielem Dustinem Webanksem.

Weszli do nieco ciemnego wnętrza wspólnej sali w gospodzie i stali przez moment, przyzwyczajając oczy do ciemności. A potem Szpon, z nieartykułowanym okrzykiem wściekłości, wyjął miecz i zaatakował mężczyznę stojącego przy szynkwasio.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

NAUKA

Kaleb ruszył do przodu.

Zobaczył, jak Szpon wyciąga miecz, krzyczy z gniewu i atakuje mężczyznę stojącego przy szynkwasio. Obcy wyglądał na najemnika, sądząc po jego ubiorze i uzbrojeniu, i był najwyraźniej doświadczonym weteranem, który zaledwie przez chwilę się wahał przed tym, jak rozpoznał zagrożenie. Ale zanim jego ręka zdążyła ująć głownię miecza, Kaleb wyciągnął lewą nogę i uderzył Szpona w prawą kostkę, przewracając go na ziemię.

Sekundę później Kaleb z mieczem w dłoni stanął pomiędzy Szponem, który gramolił się na nogi, a nieznanym przy szynkwasio. Podniósł miecz, kierując go w stronę najemnika, a lewą ręką pchnął próbującego wstać chłopca z powrotem na kolana.

– Przestań! – zawołał Kaleb. – Poczekaj chwilę!

Najemnik przyjął obronną pozycję, rezygnując z ataku na któregokolwiek ze stojących przed nim mężczyzn.

– Czekam. Ale nie będę tak długo stał.

Szpon ponownie próbował wstać i Kaleb złapał go za materiał tuniki na ramieniu, aby go powstrzymać. Zamiast zamierzonego efektu ten ruch do góry pomógł Szponowi i chłopiec podniósł się na nogi, stając na czubkach palców. Kaleb przytrzymał go w górze przez chwilę, a potem puścił. Szpon upadł z hukiem na podłogę, lądując na plecach.

– Czekaj, do diaska! – wrzasnął Kaleb.

Szpon znieruchomiał.

– O co wam chodzi?! – zawył najemnik.

– To morderca! – zawołał Szpon, próbując wstać po raz kolejny. Na jego twarzy malowała się wściekłość. Powrócił do swojego ojczystego języka, tak był zdenerwowany.

Kaleb pozwolił mu tym razem wstać, a potem kopnął go w lewą piętę, posyłając go z powrotem na podłogę. On także przeszedł na język Orosinich.

– Nikt oprócz mnie w tej gospodzie nie rozumie języka, którym teraz rozmawiamy – powiedział Kaleb. – Kim ci się wydaje, że jest ten mężczyzna.

– To jeden z tych, którzy zabili moich rodaków!

Kaleb ani przez moment nie zdejmował oczu z najemnika.

– Jak się nazywasz? – zapytał nieznajomego w języku roldem.

– A kto chce się tego dowiedzieć?

– Ktoś, kto chce ograniczyć rozlew krwi do minimum – odparł Kaleb.

– Nazywam się Jan Creed, pochodzę z Miasta Inaska.

– Czy kiedykolwiek służyłeś pod Ravenem? – spytał Kaleb, rzucając spojrzenia na Szpona, aby się upewnić, że chłopiec spokojnie leży na ziemi.

Creed niemalże splunął.

– Nie naszczałbym na Ravena nawet wtedy, kiedy jego dupa płonęłaby żywym ogniem. Jestem najemnikiem, a nie mordercą dzieci.

– Powoli – powiedział Kaleb do Szpona i pozwolił mu wstać.

– A kim jest twój w gorącej wodzie kąpany przyjaciel? – zapytał mężczyzna, wyczuwając, że kryzys powoli przemija.

– To jest Szpon, a ja nazywam się Kaleb.

– Jeżeli chłopak szuka tej hałustry Ravena – powiedział najemnik, odkładając miecz – a najwyraźniej tak jest, upewnij się, że ma przy sobie

wystarczającą ilość srebra, żeby zapłacić za swój pogrzeb. Przerobią go na psie mięso, nie uroniwszy nawet kropelki piwa z kufli i nie przerywając zabawy.

– Co ty sobie myślałeś? – zapytał Kaleb, zwracając się do Szpona.

Szpon powoli odłożył miecz, nie spuszczać wzroku z Creeda.

– On wygląda jak...

– On wyglądał jak ktoś inny, więc wpadłeś w szal i zapomniałeś wszystkiego, czego cię nauczono, czy tak było?

Szpon z uwagą przyglądał się obcemu, próbując go jakoś dopasować do obrazów, które ciągle żyły w jego pamięci, i powoli przekonywał się, że postąpił bardzo głupio. Creed był krzepkim mężczyzną, z czarnymi włosami, które opadały mu aż na ramiona. Jego nos najwyraźniej został wielokrotnie złamany i teraz wystawał jak pognieciona grudka ze środka twarzy. Usta Jana otaczały zwisające wąsiska. Oblicze najemnika nie posiadało żadnych innych charakterystycznych znaków, z wyjątkiem oczu, które, zwężone w szparki, dokładnie lustrowały postać niedoszłego przeciwnika. Szpon rozpoznał te oczy. Były podobne do oczu Kaleba, ciemnych i głębokich. Nie dawały umknąć żadnemu detalowi obrazu, który się przed nimi roztaczał. Ten człowiek przypominał jednego z napastników, którzy napadli na wioskę Szpona, tego zaskoczonego napaścią chłopca, na chwilę przed strzałem z kuszy, ale z pewnością nim nie był.

– Strasznie mi przykro – powiedział Szpon do Kaleba.

– Nie mów tego mnie. Powiedz to jemu.

Szpon przeszedł obok Kaleba i stanął przed Janem Creedem.

– Pomyliłem się. Bardzo przepraszam. – Spojrzał najemnikowi prosto w oczy.

Creed nie odzywał się przez chwilę, a potem lewy kącik jego ust podjechał do góry, owocując krzywym uśmiechem.

– Nic się nie stało, chłopcze – odparł. – Gorący temperament jest przywilejem młodości. Wyrośniesz z tego... o ile będziesz miał szczęście dożyć średniego wieku.

– Zachowałem się zbyt gwałtownie – przytaknął Szpon.

Creed zaczął uspokajać chłopca.

– Ludzie Ravena musieli zaleźć ci za skórę – powiedział w końcu. – Zachowujesz się jak ktoś, kto zupełnie stracił głowę.

– Tak było – odpowiedział krótko Szpon.

– Cóż, jeżeli szukasz Ravena i jego kompanów, fama głosi, że przez ostatni rok pracowali dla księcia Olasko. Młody Kaspar zatrudnił ich przy jakiejś robocie na Spornych Ziemiach. Brali się za łby z ludźmi księcia Maladon i Semrick. Tak więc jesteś po złej stronie świata, tutaj nie znajdziesz Ravena.

– Pozwolisz, że w ramach zadośćuczynienia kupimy ci coś do picia? – zaproponował Kaleb.

– Dzięki – odparł Creed.

Kaleb rozejrzał się po zatłoczonej gospodzie. Gwar rozmów powoli wracał do normy, kiedy stali bywalcy stwierdzili, że potencjalne zajście nie rozwinie się w kierunku bijatyki i nie będzie krwi. Kaleb poprosił oberżystę, aby podał Creedowi kufel z piwem, a potem złapał Szpona za łokieć i poprowadził go przez tłum. Przy stole w kącie popchnął chłopca na krzesło. Przez dłuższą chwilę przyglądał się Szponowi z uwagą.

– Jak na kogoś, kto jest zwykle spokojny i opanowany – powiedział Kaleb po chwili milczenia – dzisiaj zareagowałeś tak gwałtownie, jak to tylko możliwe.

Walcząc z frustracją i gniewem, które popychały go na skraj łez, Szpon skinął głową.

– Zobaczyłem tego człowieka... i coś w środku mnie urosło i zawładnęło moim jestestwem. Byłem pewien, że on jest... jednym z tych ludzi, z którymi walczyłem, kiedy mordowano moich rodaków.

Kaleb skinął na usługującą dziewczynę i polecił jej przynieść coś do picia i do jedzenia. Potem zdjął rękawice i rzucił je na stół.

– Jesteś młody. Tak jak powiedział Creed, wyrośniesz z tej zapalczywości, o ile dożyjesz do odpowiedniego wieku.

Szpon nie odzywał się. Przyniesiono jedzenie i picie. Zaczęli jeść w milczeniu. Chłopiec rozmyślał nad tym, co się właśnie wydarzyło.

– Kaleb, dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytał, kiedy skończyli jeść.

– O czym? – zdziwił się Kaleb.

– O tym, że wiesz, kto napadł na moją wioskę.

Kaleb na chwilę odwrócił wzrok, tylko na chwilę, ale Szpon wiedział, że trafił w sedno.

– Opowiadałeś mi o tej rzezi wiele razy – odparł.

– Ale nigdy mi nie powiedziałaś, że ich przywódca nazywał się Raven. Wiedziałaś, kto ich wszystkich zabił!

Kaleb westchnął ciężko.

– No dobrze, Raven i jego towarzysze są bardzo dobrze znani. Wydawało mi się, że nie potrzebujesz, abym wyjawiał ci jego imię.

– Jest coś więcej. O co ci naprawdę chodziło?

– O nic – odparł Kaleb spokojnie, ale w jego oczach czaiła się groźba i Szpon zrozumiał, że dalsze pytania mogą wywołać niebezpieczną reakcję.

– Wiedziałaś. Powiedz mi – naciskał mimo tego chłopiec.

– Nie dzisiaj – odparł Kaleb, mierząc go wzrokiem.

– A kiedy?

– Kiedy będziesz na tyle dorosły, że zrozumiesz.

– Pomiedzy moimi rodakami byłbym już dorosłym mężczyzną od dwóch lat, Kalebie. Jeżeli... moja wioska ciągle by istniała, z pewnością miałbym już dzieci. Dlaczego więc uważasz, że nie rozumiem tego, co masz mi do powiedzenia?

Kaleb sącył powoli swoje piwo.

– Jest znacznie więcej powodów, dla których nie mogę ci tego wyjawić – odparł z wahaniem. – Uważam, że jesteś w stanie zrobić i zrozumieć wiele rzeczy. Więcej, niż można by się spodziewać po chłopcu w twoim wieku, ale decyzja nie zależy tylko i wyłącznie do mnie.

– A więc do kogo? Do Roberta?

Kaleb skinął głową.

– On jest odpowiedzialny za twoje szkolenie.

Szpon lekko przechylił głowę, wpatrując się uporczywie w Kaleba.

– Szkolenie w jakim celu?

– Jest ich wiele, Szponie – odparł Kaleb. – Bardzo wiele.

– Na przykład?

– Ten temat powinieneś z pewnością poruszyć z Robertem. Ale jedno ci powiem, Szponie Srebrnego Jastrzębia. Jeżeli będziesz pilnie się uczył wszystkiego, co każe ci twój pan, zostaniesz naprawdę niebezpiecznym i niezwykłym człowiekiem. I powinieneś być taki, aby, jak zamierzasz, pomścić swój lud.

– Nie mam wyboru w tej materii – powiedział Szpon tępym głosem. – Kiedy spłacę mój dług Robertowi, muszę znaleźć ludzi, którzy zniszczyli moją wioskę.

Kaleb zdawał sobie sprawę, co uczyni chłopiec, kiedy już odnajdzie tych ludzi.

– Bądź więc sumienny w swojej pracy i ucz się pilnie, Szponie – powiedział do chłopca – gdyż ci, których zamierzasz ścigać, są potężni i

śmiertelnie niebezpieczni, i mają możnych panów i przyjaciół.

Szpon siedział cicho, rozmyślając nad słowami Kaleba. Wokół nich gwar wzrastał się w miarę, jak w gospodzie przybywało gości. Spośród nich wyróżnił się Dustin Webanks i jego towarzysz z dnia poprzedniego.

– Witajcie! – zawołał Dustin, kiedy zauważył ich siedzących w rogu. – Obawiałem się, że nie przyjdziecie, ale cieszę się bardzo na wasz widok, gdyż zaciągnąłem wobec was dług wdzięczności.

Przeszedł przez salę w ich kierunku i Kaleb pokazał mu gestem, żeby przysunął sobie i swemu towarzyszowi krzesła. Webanks jednak odmówił.

– Mamy wiele rzeczy do załatwienia, więc nie będziemy siadać. – Odpiął od paska sakiewkę z monetami. – Moje życie nie ma wymiernej wartości, ale proszę, przyjmijcie to złoto jako nagrodę za obronę mojej osoby.

Jego towarzysz odwrócił wzrok, jakby zawstydzony, że uciekł wtedy, zostawiając przyjaciela w niebezpieczeństwie. Sakiewka uderzyła w drewniany stół z brzęczącym dźwiękiem i Kaleb spojrzał na Szpona. Chłopiec nie ruszył się.

– To był twój pomysł, żeby im pomóc – powiedział Kaleb. – To ty skoczyłeś z wozu i zrzuciłeś zbójcę z konia. Nagroda należy się tobie.

Szpon spojrzał na sakiewkę. Dość długo już usługiwał w karczmie i miał niejaki pojęcie, ile monet mieści się w woreczku tej wielkości i ocenił, że taka ilość złota to znacznie więcej, niż mógłby zarobić przez dziesięć lat ciężkiej pracy. Ale ciągle się wahał. W końcu wyciągnął rękę i pchnął sakiewkę z powrotem w kierunku Webanksa.

– Nie chcesz jej przyjąć? – zapytał kupiec ze zdumieniem.

– Tak jak powiedziałaś, twoje życie jest bezcenne – odparł Szpon. – Jednakże zamiast złota prosiłbym cię o przysługę.

– Poproś, o co chcesz.

– Jeżeli w przyszłości zawitam do Oparum, wtedy cię o coś poproszę. Webanks wyglądał na zmieszanego tą propozycją.

– Więc dobrze – powiedział. – Jestem twoim dłużnikiem. – Wziął złoto i spojrzał na swojego towarzysza, który również wyglądał na zdziwionego tym, że młodzieniec odmówił przyjęcia pieniędzy. Wymienili zaskoczone spojrzenia i, kłaniając się lekko, opuścili karczmę.

– Dlaczego? – zapytał Kaleb, po tym jak mężczyźni wyszli.

– Złotem mogę zapłacić za przedmioty, których nie potrzebuję – odparł Szpon. – Mam co jeść, mam ubrania i przyjaciół u Kendrika. Ale jeżeli to, co mówisz, jest prawdą, to, że moi wrogowie mają potężnych przyjaciół i niebezpiecznych panów, ja również będę potrzebował sprzymierzeńców. Kupiec Webanks może okazać się takim właśnie człowiekiem w przyszłości.

Kaleb usiadł wygodnie i zaczął się zastanawiać nad słowami Szpona. Po chwili uśmiechnął się.

– Szybko się uczysz, mój młody przyjacielu.

Zamiast zadowolenia z powodu komplementu, twarz Szpona zbladła, a jego dłoń powędrowała w kierunku głowni miecza. Ale tym razem nie skoczył na równe nogi, tylko siedział przy stole napięty jak struna. Kaleb odwrócił się powoli, aby zobaczyć, na co patrzy chłopiec.

– Co się dzieje?

– Ten człowiek – odparł Szpon.

Kaleb widział, jak wcześniej ten mężczyzna wchodzi do karczmy, a teraz stoi przy szynkwasiu i rozmawia z Webanksem i jego towarzyszem. Ręka Kaleba również opadła na rękojeść broni. Odwrócił się i popatrzył na Szpona.

– Co to za człowiek?

– To jeden z tych, którzy zniszczyli moją wioskę.

– Jesteś tego pewien?

– Tak – zasyczał Szpon jak rozwścieczony gad. – Nosił tabard w barwach księcia Olasko i siedział na czarnym koniu, wydając rozkazy mordercom, którzy zabijali moich rodaków.

Kaleb obejrzał się ponownie i dostrzegł, że obok mężczyzny stali teraz czterej kolejni. Przyglądali się uważnie otoczeniu, jakby szukając oznak znamionujących kłopoty.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytał Kaleb, zwracając się znów do Szpona.

– Obserwować.

– Dobrze – pochwalił myśliwy. – Uczysz się naprawdę szybko.

Siedzieli spokojnie przez piętnaście minut, sącząc piwo z na wpół opróżnionych kufli, aż pięciu mężczyzn wyszło z gospody. Szpon natychmiast wstał i podszedł do Webanksa.

– Panie Webanks – powiedział cichym głosem. – Czy mogę zadać panu pytanie?

– Oczywiście, młody Szponie.

Dołączył do nich Kaleb.

– Zauważyłem chwilę temu – kontynuował Szpon – że rozmawialiście z mężczyzną, który wydał mi się odrobinę znajomy. Wydaje mi się, że mógł być gościem w zajeździe, gdzie pracujemy razem z Kalebem. Ale nie mogę sobie przypomnieć jego imienia. Webanks wyglądał na zaniepokojonego.

– To tylko strażnik, wynająłem go do ochrony w drodze powrotnej do Oparum. On i jego czterej kompani czekają na nas, aż skończymy załatwiać nasze sprawy na polecenie księcia, a potem wyruszamy. Sam nie mogę sobie przypomnieć jego imienia w tej chwili – dodał z nerwowym śmiechem. – Ach... chyba Stark. Tak, prawie na pewno nazywa się Stark.

– Dziękuję ci – odparł Szpon. – Musiałem się najwidoczniej pomylić.

Następnie Szpon wybiegł z karczmy tak szybko, że Kaleb z ledwością za nim nadązał. Na zewnątrz rozejrzał się na prawo i lewo i dostrzegł pięciu mężczyzn, którzy właśnie skręcali za róg uliczki.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Kaleb.

– Śledzę ich.

Kaleb kiwnął głową i poszli za mężczyznami. Nadnaturalnie bystry wzrok Szpona pozwalał im śledzić najemników z dużej odległości, nawet gdy poruszali się oni szybko, przeciskając się przez zatłoczony rynek i ulice zapchane wozami, karetami i podróżnymi. W końcu zobaczyli, że mężczyźni zatrzymują się i rozglądają w poszukiwaniu potencjalnych szpiegów. Gdy najwyraźniej doszli do wniosku, że nie są śledzeni, weszli do niczym się nie wyróżniającego budynku.

– I co teraz? – zapytał Kaleb.

– Czekamy.

– Na co?

– Zobaczymy, co się teraz stanie – wyjaśnił Szpon, opierając się plecami o ścianę, tak że wyglądał jak wiejski parobek, odpoczywający podczas wędrowki po mieście.

– Jesteś pewien, że rozpoznałeś dobrze tego człowieka? – nalegał Kaleb.

– Tak, to on, mężczyzna o imieniu Stark.

Kaleb także oparł się o mur i zawiesił spojrzenie na drzwiach kamienicy. Czas płynął wolno. Nagle do budynku weszło dwóch mężczyzn, otwierając drzwi bez pukania.

– No dobrze – odezwał się Kaleb.

– Co dobrze?

– Wracajmy do naszego pokoju – powiedział.

– Chcę zobaczyć, co się dalej wydarzy.

Kaleb wyciągnął dłoń i chwycił Szpona za ramię, podnosząc go z pozycji kucającej do góry.

– Mój młody przyjacielu, dalej wydarzy się wojna.

– Co?

Bez marnowania czasu na wyjaśnienia, Kaleb odwrócił się i pomknął w kierunku gospody Pod Ślepym Żonglerem.

– Powiem ci, o co chodzi, kiedy wyjedziemy z miasta.

Szpon poszedł za nim bez słowa.



Wóz wyjechał przez bramę i Szpon obejrzał się za siebie przez ramię. Zwykle wozy z towarami nie opuszczały miasta w tak późnych popołudniowych godzinach, więc nie było przed nimi żadnego pojazdu do sprawdzenia i zdołali przejechać przez bramę bez żadnych przeszkód i szybko. Mieli zamiar spędzić noc w zajeździe Pod Wesołym Wieśniakiem i wyruszyć stamtąd do Kendrika o pierwszym brzasku.

Kaleb dokończył zakupy z nienaturalnym u niego pośpiechem i zaaranżował dostawę wielu towarów do Kendrika, nie chcąc tracić czasu na ich przygotowanie i załadunek. Kosztowało to nieco więcej, ale Kaleb nie wydawał się przejmować dodatkowymi wydatkami.

Kiedy już nikt nie mógłby podsłuchać ich rozmowy, Szpon zwrócił się do Kendrika: – Powiedz mi.

– Ten człowiek, którego Webanks nazwał Starkiem, nie jest żadnym najemnikiem.

– Tego się domyśliłem, gdyż nosił na sobie tabard księcia Olasko, kiedy napadł na naszą wioskę.

– Nazywa się Quentin Havrevulen i jest czwartym synem drobnego szlachetki z Roldem. Teraz służy jako kapitan drużyny do zadań

specjalnych na dworze Kaspara, księcia Olasko. Nazywają go kapitan Quint i jest to naprawdę twardy gość, a ponadto niezrównany żołnierz. Wykonuje wszystkie trudne zadania, jakie powierza mu książę Kaspar.

– A co niby robi jeden z kapitanów księcia Olasko w Latagore, zatrudniwszy się jako zwykła ochrona zwykłego kupca?

– Spotyka się z dwoma oficerami armii Latagore.

– Z tymi dwoma, których widzieliśmy, jak wchodzą do budynku?

– Tymi samymi. Jednego z nich znam z widzenia, ale poznałem imię drugiego i nawet z nim kiedyś zamieniłem parę słów. Nazywa się kapitan Janoish, a jego rozmowa z Quintem świadczy o tym, że Latagore zostało sprzedane.

– Dlaczego?

Kaleb popędził konie, zmuszając je do szybkiego biegu.

– Ponieważ Janoish jest głównodowodzącym wojsk miasta – odparł myśliwy. – I jego rozmowa z oficerem armii innego księstwa to zdrada.

– A więc zbliża się wojna?

– Już tu jest, mój młody przyjacielu. Postawiłbym każdy grosz, jaki oferował ci Webanks, że armia Olasko już jest w drodze.

– A dlaczego książę Olasko miałby atakować Latagore? – zapytał Szpon.

– Zapytaj Roberta – odpowiedział Kaleb.

Szpon spojrzał na swojego towarzysza i z zaciętej linii jego ust odczytał, że na dalsze pytania i tak nie doczeka się odpowiedzi.

Podróż powrotna zajęła im więcej czasu, gdyż teraz wóz był wyładowany różnymi towarami i konie wymagały częstszych odpoczynków. Jechali jak najszybciej się da, poganiani przez groźne wieści.

W końcu zobaczyli w oddali zarysy gospody i jak tylko wjechali na dziedziniec, Kaleb rozkazał Szponowi zająć się końmi i zawołać Larsa i Gibbsa, żeby rozładowali zapasy, a sam pobiegł prosto do Kendrika. Szpon

zrobił, co mu kazano, a kiedy już konie i wóz zostały rozmieszczone na swoich miejscach, pospieszył do gospody.

Przebiegł przez kuchnię, pozdrawiając w biegu Lea, Martę i Meggie. Leo chciał coś powiedzieć do chłopca, ale ten nie dosłyszał słów, wpadając z impetem przez ciężkie drzwi do wspólnej sali.

Zobaczył tam Roberta i Paska, siedzących z Kendrikiem. Wydawało się, że w rozmowie zapadła właśnie chwila ciszy, gdyż, kiedy w drzwiach pojawił się Szpon, żaden z mężczyzn sienie odzywał. Robert gestem nakazał Szponowi usiąść. A potem zwrócił się do Kaleba: – Wyślę natychmiast posłańca do twojego ojca i poproszę, żeby twój brat wrócił do nas, jak najszybciej się da.

– Co oznacza, że Magnus będzie tutaj minutę po tym, jak wiadomość dotrze na wyspę – odparł Kaleb z lekko drwiącym uśmiechem.

Robert odwrócił się do Szpona.

– Z opowieści Kaleba jasno wynika, że otarłeś się o sprawy, które dla twojego własnego dobra powinny zostać przed tobą zatajone.

Szpon wzruszył ramionami.

– Nie mogę z całą pewnością powiedzieć, że to prawda albo nie. Wiem tylko, że ukrywasz przede mną różne rzeczy i że wiesz więcej o zagładzie mojego ludu, niż przyznawałeś do tej pory. Wiem także, że niektórzy ludzie odpowiedzialni za masakrę są obecnie w Latagore, spiskując, jak obalić Dominar i jego radę.

Kendrik spojrzał na Roberta, jakby pytając, czy może mówić. Robert potrząsnął lekko głową i popatrzył na Szpona.

– Wiemy to wszystko i dużo więcej. – Wpatrywał się w chłopca przez dłuższą chwilę. – A co ty myślisz o tym wszystkim? – zapytał wreszcie.

Szpon był rozdarty pomiędzy obezwładniającym go uczuciem złości, wywołanym bezsensownymi pytaniami Roberta, a podejrzeniem, że te

właśnie pytania nigdy nie staną się sensowne. Nie odzywał się, myśląc nad tym, co powiedzieć.

– Na tę sytuację można patrzeć z kilku punktów widzenia, Robercie – odezwał się w końcu. – Po pierwsze, z punktu widzenia polityki. Wiem, że w Latagore mają miejsce pewne przegrupowania rojalistów. Podśledzałem rozmowę księcia DeBarges.

Kaleb uśmiechnął się lekko.

– Więc możliwe jest, że księżę Olasko planuje wykorzystać sytuację i pomóc rojalistom pokonać Dominar i przywrócić na tron starego wnuka króla. Ale nasuwa się pytanie, dlaczego Kaspar, księżę Olasko, przejmuje się tym, kto zasiada na czele Rady Latagore?

– Czy odważysz się odpowiedzieć na to pytanie? – spytał Robert.

– Mogę zgadywać, jakie są tego przyczyny, ale nie wiem na pewno. – Szpon pochylił się mocno do przodu. – Chyba że przyczyna jest militarnej natury.

– I w tym przypadku...? – nalegał Kendrik.

– Tak. Wygnał Orosinich z gór i ma zamiar posadzić na tronie Latagore zaprzyjaźnionego władcę. Jest tylko jeden wniosek, jaki z tego wyciągam. Chce pozbyć się zagrożenia ze strony Latagore, żeby zaatakować Księstwo Farinda.

– Gdzie ty się uczyłeś strategii militarnych? – zdziwił się Kendrik.

Szpon wyglądał na zakłopotanego.

– Nie uczyłem się. Ale wy mówicie tak wiele o tych waszych bitwach i fakt obrony flanki wydaje mi się bardzo istotny.

– Bystry z niego chłopiec, nieprawdaż? – stwierdził Kendrik, zerkając na Roberta.

Robert uśmiechnął się.

– Twoje wnioski są logiczne – zwrócił się do Szpona – ale całkowicie błędne.

– Naprawdę? – zdziwił się Szpon.

– Tak. W tę sprawę zaangażowanych jest więcej czynników, niż jesteś w stanie pojąć, ale twoja umiejętność dedukcji naprawdę mnie zaskakuje. Książę Olasko chce mieć sprzymierzone siły w Latagore i możliwe, że planuje atak na Farinę, ale prawdopodobnie nie wcześniej niż za kilka lat. Dobrze się spisałeś, odkrywając nawet tylko kilka elementów układanki.

Szpon zatroskał się lekko.

– A więc co ma się stać?

Kendrik wstał.

– Ma się stać to, że wkrótce hordy żołnierzy z Olasko będą się włóczyły po naszych lasach, więc lepiej się upewnię, że jesteśmy przygotowani na ich wizyty.

– Czy oni nas zaatakują? – zapytał Szpon, kiedy Kendrik opuścił pomieszczenie.

– Prawdopodobnie nie – uspokoił go Kaleb. – Nie uważają nas za wystarczająco dużych i potężnych, abyśmy mogli zagrażać ich tyłom, a wykurzenie nas z tej warowni zajęłoby im wiele cennego czasu.

– Jest powszechnie wiadome – dodał Robert – że posiadamy wiele możliwości i umiejętności, które są niewidoczne dla zwyczajnego obserwatora. Podejrzewam, że Kaspar zostawi nas w spokoju i zajmie się masakrowaniem jakichś mniej niebezpiecznych przeciwników.

– A co my zamierzamy zrobić? – zapytał Szpon.

– Dlaczego mielibyśmy robić cokolwiek? Będziemy tutaj siedzieć i nie wychylimy nosa – odparł Robert. – Latagore może bronić się samo. Nam jest wszystko jedno, czy na tronie zasiądzie pionek Kaspara, czy Dominar utrzyma się przy władzy. Najważniejsze jest, że my zajmiemy się naszymi

własnymi... – Przerwał w samą porę i zwrócił się do Szpona: – Możesz nas teraz zostawić. Idź i zobacz, czy Leo nie potrzebuje twojej pomocy.

Szpon zawahał się, a potem wstał i poszedł do kuchni.

– O co to całe zamieszanie? – spytała go Meggie, kiedy ponownie znalazł się w kuchni.

Czując przynależność do jakiejś odrębnej grupy i nie chcąc dzielić się informacjami, Szpon odpowiedział jej z niechęcią.

– Nie mogę ci powiedzieć. – Oczekiwał jakiejś reakcji od drobnej dziewczyny, ale ona wzruszyła tylko ramionami, jakby miała w pogardzie wszelkie sekrety. – Co mogę zrobić, żeby ci pomóc? – zapytał ją więc.

– Wszystko już zrobiłam – odparła. – Możesz wynieść ten kubek na zewnątrz i wysypać śmieci.

Szpon wziął wiadro, na które pokazywała.

– Nie widziałem Leli – powiedział. – Gdzie ona jest?

Meggie wyraźnie się zmieszała.

– Właśnie o tym chciałam ci powiedzieć, kiedy przemknąłeś przez kuchnię kilka chwil temu. Leli już tu nie ma.

– A gdzie jest?

Meggie wbiła wzrok w podłogę, nie chcąc patrzeć mu w oczy.

– Wyjechała. Wczoraj z księciem Ramonem DeBarges'em. Jego karetą. Przyjechał dwa dni temu i kiedy udawał się z powrotem na południe, ona pojechała z nim.

Szpon nie wiedział, co powiedzieć. Wyniósł śmieci na dwór i wyrzucił je na kupę pod murem obejścia. Zatrzymał się na chwilę, nasłuchując poszumu okolicznych lasów, które rozbrzmiewały dźwiękami charakterystycznymi dla zapadającego zmierzchu. Rozpoznawał głosy nocnych stworzeń, które budziły się ze snu. Dźwięki były dla niego tak znajome i tak inne od tych, które słyszał w mieście. Pozwolił, żeby

przyjazna atmosfera lasów zalała jego duszę, a potem skierował się do kuchni.

– A gdzie Lars i Gibbs? – zapytał, kiedy już znalazł się w środku.

– Oni także z nim pojechali. – Uśmiechnęła się wstydliwie. – Myślę, że na pewien czas zostaliśmy tutaj tylko we dwoje, Szponie.

Szpon spojrział na jej szczupłą sylwetkę i poczuł nagły ucisk w żołądku. Flirtowała z nim, podobnie jak z Larsem, kiedy pozostawali akurat w przyjacielskich stosunkach. Ale Lela odeszła! Myślał, że ją kocha, do chwili, kiedy Kaleb wyznał mu, że spędził z nią noc, podobnie jak Lars i Gibbs. A teraz dziewczyna, którą uważał za kochankę Larsa, zwróciła na niego uwagę.

Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Napięcie spowodowane podróżą, nagły gniew wywołany widokiem mężczyzny, który zabił jego rodaków i zranił jego samego, to, że wracali oni na północ, wszystko spadło na niego nagle. I te dziwne gry, w jakie byli zamieszani Robert i inni mieszkańcy zajazdu.

W tym momencie z zewnątrz dotarł do nich pykający dźwięk, za którym podążało głośnie syknięcie, jakby błyskawica uderzyła właśnie w daleką łąkę.

– Magnus jest tutaj! – zawołała Meggie.

Zanim Szpon zdążył zapytać, skąd to wie, drzwi do kuchni otworzyły się szeroko i wszedł białowłosa mężczyzna. Rozejrzał się po kuchni, a potem bez słowa poszedł w kierunku wspólnej sali.

– Wydawało mi się, że on wyjechał, aby spotkać się za swoją rodziną – powiedział Szpon.

Meggie aż pochyliła się ze zdumienia do przodu.

– Jeszcze tego nie zrozumiałeś? Magnus i Robert potrafią robić czary! Mogą przybywać tutaj i odchodzić w czasie krótszym niż mrugnięcie

powieką, kiedy tylko zapragną.

Szpon przypomniał sobie rozmowę z Kalebem, która potwierdziła jego podejrzenia. To sprawiło, że poczuł się źle. Magia była kolejną rzeczą, o której Robert nie chciał mu powiedzieć i którą musi odkrywać na własną rękę.

Leo i Marta przygotowali mały posiłek dla ich czwórki. Potem Leo zaniósł jedzenie do wspólnej sali dla pozostałych. Jedli w milczeniu, tylko Leo i Marta pytali czasem Szpona, co takiego widział w mieście. Bardzo często pytania dotyczyły takich odsłon miasta, o których chłopiec wolałby nie pamiętać. W połowie posiłku rozmowa umarła śmiercią naturalną i zapanowało niezręczne milczenie.

Po tym, jak posprzątano w kuchni i przygotowano zaczątki porannego posiłku, wszyscy wyszli i Szpon został sam w dużym pomieszczeniu. Odważył się zajrzeć do wspólnej sali i zobaczył tam Roberta, Kaleba, Paska i Magnusa, pogrążonych w głębokiej rozmowie. Robert podniósł głowę i zobaczył, że chłopiec stoi w drzwiach.

– Dobranoc, Szponie – powiedział.

Szpon zamknął drzwi i stał za nimi przez chwilę, niepewny, co ma robić. Nie miał swojego pokoju, gdzie mógłby się udać, gdyż przeniósł się ze stodoły do pomieszczenia, które zajmowała Lela. Po chwili zastanowienia doszedł do wniosku, że skoro dziewczyna odeszła, może równie dobrze sam używać jej pokoju.

Wspiął się po tylnych schodach i otworzył drzwi. Pokój był pusty. Prosta skrzynia miała odrzucone wieko, a łóżko zostało posłane, ale w pomieszczeniu nie został nawet jeden z drobiazgów Leli. Z małego stoliczka zniknęła jej szczotka do włosów, podobnie jak małe szkatułki, w których trzymała skarby zdobyte w czasie krótkiego życia.

Rzucił się z rozmachem na wypchany sianem materac, wywołując jęk drewnianej ramy przeplatanej sznurem. Leżał zamyślony. Co się z nim stanie? Natknął się na kilka wskazówek, ale wiedział, że czeka go znacznie więcej, niż był w stanie sobie wyobrazić. Robert najwyraźniej zaangażował się w grę z ludźmi znacznie potężniejszymi od Kendrika. Kilka razy Kaleb wspominał o swoim ojcu, ale Szpon nie miał pojęcia, jak się on nazywa ani jaka jest w tym wszystkim jego rola.

Rozmowa na dole z pewnością byłaby znacznie bardziej szczerą, gdyby chodziło tylko i wyłącznie o spekulacje na temat nadchodzącej wojny czy zagadnienia związane z obroną zajazdu.

Nie, pod tym wszystkim kryło się coś więcej, niż Szpon pojmował. To, że nie obejmował myślą całego obrazu, drażniło go niepomrotnie.

Był tak zagubiony w myślach, że ledwie usłyszał, jak otwierają się drzwi do pokoju. Przeturlał się na łóżku i zobaczył Meggie, wślizgującą się do środka. Dziewczyna uśmiechnęła się do niego.

– Tak sobie pomyślałam, że cię tu znajdę – wyszeptała.

Właśnie miał ją zapytać, czego sobie życzy, kiedy zobaczył, jak wyciąga rękę i rozwiązuje tasiemki u swojej koszuli. Prosta suknia zsunęła się z jej ramion i dziewczyna podeszła do materaca, klękając na jego skraju.

– Posuń się – warknęła, jakby niezadowolona, że tak długo zajmuje mu zrozumienie oczywistych rzeczy. Kiedy się ruszył, weszła pod koc.

Chłopiec był tak zaskoczony, że nawet się nie odezwał.

– Jest zimno, a ty nie kwapiłeś się, aby okryć mnie kocem – usprawiedliwiła się. Szpon dalej sennie odzywał. – No, nie bądź dzieckiem. Chodź pod koc!

Uwalniając się od chwilowego zmieszania, Szpon posłuchał rozkazu dziewczyny. Kiedy wszedł pod koc, Meggie natychmiast wypchnęła go z łóżka i upadł na podłogę.

– Co robisz?

Zachichotała.

– Będzie łatwiej, jeżeli się rozbierzesz, zanim wejdiesz do łóżka, głupku.

Szybko zrobił, jak mu kazała i położył się obok niej. Objęła go ramionami za szyję.

– Najwyraźniej Lela nie była zbyt dobrą nauczycielką – wyszeptała. – Musimy coś z tym zrobić.

A potem go pocałowała i wszystkie jego myśli związane z radą we wspólnej sali szybko uleciały mu z głowy.

ROZDZIAŁ ÓSMY

MAGIA

Szpon usiadł.

Jego serce zabiło szybciej na głos stóp uderzających w deski schodów. Przez chwilę nie wiedział, gdzie jest. Meggie poruszyła się obok niego. Spojrzał na dziewczynę, czując się jeszcze bardziej zagubiony, tym razem raczej z powodu miotających nim sprzecznych uczuć. Jak szybko i łatwo obraz Leli stał się jedynie mglistym wspomnieniem, kiedy spoczywał w ramionach Meggie.

Drzwi się otworzyły i stanął w nich Magnus. Na głowie miał swój opadający kapelusz, a w dłoni trzymał laskę. Przez ramię przerzucił wielki, czarny pas, podtrzymujący skórzaną torbę wiszącą na jego biodrze.

Meggie odwróciła się i otworzyła oczy. Jej powieki rozszerzyły się, kiedy zobaczyła maga. Pisnęła i podciągnęła koc aż pod samą brodę.

Magnus zignorował ją.

– Szponie, ubierz się i zbierz wszystkie swoje osobiste rzeczy. Wyruszamy natychmiast.

– Co?

Ale drzwi już zamknęły się z hukiem za odchodzącym magiem.

Szpon wygramolił się z łóżka i rozejrzał się dookoła. Nie posiadał zbyt wielu osobistych drobiazgów. Miał dwie czyste tuniki i zapasową parę nogawic. Pod łóżkiem trzymał buty. Ponadto w małej sakiewce chował niewielkie oszczędności, zarobione podczas pracy w zajezdzie. Nawet miecz i sztylet, których używał, nie należały do niego, a do Kaleba.

Spojrzał w dół na Meggie, która uśmiechała się do niego wstydliwie.

– Muszę iść – powiedział, nie wiedząc, jakich słów powinien użyć.

Skinęła głową. Ubrał się, zebrał swoje rzeczy i pospieszył w dół po schodach do wspólnej sali, gdzie czekali na niego Magnus i Robert.

– Szponie, musisz jechać z Magnusem – odezwał się Robert. – Rób, co on ci rozkaże, jakbym to ja wydawał polecenia. Zobaczymy się jeszcze, ale stanie się to nieprędko.

– Dokąd się wybieramy? – zapytał Szpon, odganiając z oczu ostatnie resztki snu.

– Magnus wyjaśni ci wszystko, kiedy przybędziecie na miejsce – odparł Robert w sposób wykluczający zadawanie dalszych pytań.

– Chodź ze mną – powiedział Magnus, podążając w kierunku kuchennych drzwi.

Szpon zrobił, jak mu kazano. Przeszli przez kuchnię, gdzie Marta i Leo przygotowywali poranny posiłek. Poszedł za Magnusem do ogrodu.

– Stań obok mnie i połóż dłoń na mojej lasce – rozkazał mu mag.

Szpon podszedł do Magnusa, wygodnie układając swoje zapasowe ubrania i sakiewkę w zagięciu lewej ręki, tak, że miał wolną prawą dłoń, aby złapać się laski.

Mag bez słowa wyjął jakieś urządzenie spomiędzy fałd swojej szaty. Była to kula zrobiona z metalu, który lśnił jak brąz, a może nawet był złotem. Szpon zobaczył, jak Magnus naciska kciukiem na bok kuli i natychmiast otoczył ich dźwięk przypominający brzęczenie stada rozwścieczonych pszczół.

Szpon poczuł, jak ziemia usuwa mu się spod stóp. Serce podskoczyło mu do gardła. Przez chwilę myślał, że stracił wzrok, ale zamiast czerni widział raczej głęboką szarość, opar absolutnej nicości. A potem z powrotem poczuł twardy grunt pod nogami, jednakże ziemia zdawała się

falować. Złapał mocno za laskę Magnusa, aby nie upaść. Nagle wydało mu się, że znalazł się bardzo daleko od ogrodu zajazdu. Ciągłe była noc. I mógł wyczuć dziwny, bardzo intensywny zapach w powietrzu, woń, której nigdy przedtem nie czuł, a w pewnym oddaleniu odzywały się dziwne dźwięki, jakby grzmoty, ale niskie i dudniące, powtarzające się w jednakowych odstępach.

Mag przyglądał mu się przez chwilę.

– To, co słyszysz, to fala przyboju – wyjaśnił chłopcu.

Szpon spojrział na niego w ciemności. Rysy Magnusa skrywał cień padający z runda jego oklapniętego kapelusza. Jedyne światło pochodziło od małego księżyca, który właśnie zachodził.

– Fala przyboju?

– To fale łamiące się na przybrzeżnych skałach.

– Jesteśmy nad morzem? – zapytał Szpon. W momencie wypowiedzenia tych słów zdał sobie sprawę, że pytanie jest dosyć głupie.

Ale Magnus nie zbeształ go za brak orientacji.

– Chodź – rozkazał chłopcu.

Poszli w dół ścieżką, a potem wdrapali się na mały pagórek, na którym stała mała chatka. Dla jakiejś przyczyny odgłos fal bijących w skały był w tym miejscu silniejszy.

– O wschodzie słońca będziesz mógł zobaczyć stąd północne wybrzeże wyspy – powiedział Magnus i wszedł do chaty.

Szpon poszedł za nim i znalazł się w małym pokoju, którego ściany wykonano z błota i wikliny, a dach przykryto zwykłą strzechą. Podłogę stanowiła ziemia, ale była ona bardzo mocno ubita. Kiedy wszedł głębiej, ujrzał lekki poblask światła, odbity od niewielkiego ognia zapalonego w kamiennym palenisku. Ukląkł i dotknął go.

Magnus odstawił laskę do kąta, zdjął kapelusz i zsunął z ramienia podróżną sakwę. Spojrzał na Szpona i uśmiechnął się.

– Przyjrzyj się podłodze – powiedział do chłopca.

– Co z nią?

– To kamień. Kiedyś było tu błoto, ale jeden sprytny czar zmienił je w kamień. Próbowałem zrobić z tego coś w rodzaju marmuru, ale gdzieś tam w zakłęciu musiałem przestawić słowa. – Wzruszył ramionami. – Jestem z tego domku naprawdę dumny. – Zatoczył łuk ręką, obejmując ściany i dach. – Te ściany nigdy nie będą wymagały naprawy, a strzecha wymiany.

W pomieszczeniu znajdowały się cztery meble: wielka skrzynia, stół z dwoma krzesłami i leżący na podłodze materac.

– Ten materac to moje łóżko – powiedział Magnus. – Ty będziesz spał przed paleniskiem.

Szpon przytaknął skinieniem głowy. Wyciągnął przed siebie swoje rzeczy.

– A gdzie mam położyć te ubrania?

Mag podniósł brew, jakby oceniał ubogie skarby należące do chłopca.

– Użyj ubrań jako poduszki. A sakiewkę połóż gdziekolwiek, byle mi nie przeszkadzała.

Szpon skinął ponownie głową i rozejrzał się dookoła. W kącie obok paleniska stały szczypce, czajniczek i miotła. Drugi kącik był pusty. Położył niewielkie zawiniątko z zapasowymi ubraniami w wolnym kącie.

– Wyjdźmy na zewnątrz – rozkazał Magnus.

Kiedy stali pod nocnym niebem, pierwszy odezwał się mag.

– Nie jesteś głupim chłopcem. Spójrz na gwiazdy i powiedz mi, jak myślisz, gdzie jesteśmy.

Szpon popatrzył do góry i porównał niebo z tym, które znał jako dziecko, gdy mieszkał w rodzinnych górach. Zaczął od małego księżyca,

który właśnie zachodził, i powiódł wzrokiem na wschód, gdzie poblask wskazywał na rychłe pojawienie się dużego księżyca.

– Do świtu pozostały jeszcze cztery godziny – stwierdził. – U Kendrika właśnie świtało, kiedy mnie obudziłeś. – Nie wiedział zbyt wiele o geografii. Widział zaledwie kilka map u Kendrika, kiedy Robert je przeglądał. Ale starał się wykorzystać nawet tę minimalną wiedzę, którą posiadał. – Jesteśmy na wyspie na Morzu Gorzkim – powiedział w końcu.

– Dobrze. A jak doszedłeś do takiego wniosku?

– Znajdujemy się na zachód od Kendrika, w przeciwnym bowiem razie byłby już dzień. Jeżeli bylibyśmy dalej na wschód, mielibyśmy południe albo wczesny wieczór i mały księżyc dopiero wschodziłby na niebo, a nie jak teraz opuszczał się na zachodni horyzont. Ale nie jesteśmy aż tak daleko na zachód, za Mrocznymi Cieśninami, na Bezkresnym Morzu. Jesteśmy na... południe od Kendrika.

– Dobrze – powtórzył Magnus.

– Czy mogę wiedzieć, dlaczego tutaj jestem? – zapytał Szpon.

– Złap znów za laskę i nie puszczaj jej, cokolwiek by się działo – rozkazał Magnus.

Szpon dotknął wygładzonego drewna i nagle poczuł się, jakby leciał w powietrzu, uniesiony ręką giganta. Ziemia oddaliła się z zaskakującą szybkością i razem pomknęli w górę, aż do chmur.

Gdy się zatrzymali, kostki dłoni Szpona zbieleły, tak mocno trzymał się laski. Wiedział, że są białe, nawet na nie nie patrząc.

– Przyjrzyj się światu, Szponie Srebrnego Jastrzębia.

Na wschodzie pokazał się Duży Księżyc. Jego blask skąpał odległy krajobraz w srebrnym świetle. Wiał lekki, chłodny wietrzyk, ale Szpon drżał na całym ciele z innego powodu. Był przerażony.

Jednak zdołał utrzymać wyprostowaną postawę i rozejrzał się wokół. Wyspa pod nimi zasłonięta była chmurami i mrokiem, ale wyczuwał jej wielkość z tej odległości. Chata stała na północnym wybrzeżu wyspy, a teren obniżał się w kierunku południowym, tworząc prawdopodobnie dolinę. Szpon nie znał się zbyt dobrze na morzach i wyspach, z wyjątkiem tego, co podejrzwał na mapach Roberta, ale wydało mu się, że ten kawałek lądu jest całkiem spory, większy nawet od lasów otaczających zajazd Kendrika. O ile mógł ocenić tak obce dla niego rzeczy.

Po chwili opuścił go strach i chłopiec rozglądał się we wszystkich kierunkach. Wschodzący księżyc oświetlał płynące pod nimi chmury, a migotanie morza na północy podkreślało kulisty kształt planety.

– Jakie to duże – odezwał się w końcu.

– Dobrze – odparł Magnus, kiedy zaczęli się obniżyć. – Uczysz się perspektywy. – Kiedy już bezpiecznie stanęli na ziemi, Magnus kontynuował. – Jesteś tu po to, Szponie Srebrnego Jastrzębia, żeby się uczyć.

– Czego się uczyć, Magnusie? – zapytał chłopiec.

Mag położył dłoń na ramieniu Szpona i uściśnął je lekko.

– Tak wiele, jak tylko jestem ci w stanie przekazać. – A potem bez słowa odwrócił się i wszedł do chaty. Po chwili wahania Szpon podążył za nim do wnętrza domu, który najwyraźniej miał być jego nowym schronieniem przez dłuższy czas.



Szpon czytał fragment tekstu na głos po raz piąty, a Magnus słuchał uważnie.

– Wystarczy, dobrze – powiedział, kiedy Szpon skończył.

Przez pierwszy miesiąc od czasu przybycia na wyspę Szpon został zmuszony do czytania na głos, a Magnus korygował jego gramatykę, wymowę, słownictwo i ton. Szpon przysłuchiwał się dobrze mowie hrabiego Ramona z Roldem, więc wiedział, że działania Magnusa mają na celu nauczenie go posługiwania się językiem szlachetnie urodzonych Roldemczyków najlepiej, jak się da.

– To jest coś zupełnie nowego – powiedział Magnus, wręczając chłopcu księgę. Sposób zapisu słów nie przypominał Szponowi niczego, co do tej pory widział.

– Co to jest?

– To raczej nudnawa książka traktująca o życiu pomniejszego króla Wysp, Henryka III. Ale jest napisana prostym językiem i powinna doskonale posłużyć jako wprowadzenie do nauki pisania i czytania w królewskim.

– Magnus, czyja mogę sobie zrobić małą przerwę?

– Przerwę?

– Mój umysł przybrał konsystencję galarety, a słowa na stronie księgi zamazują mi się przed oczyma. Siedzę w tej chacie już od tygodnia. Kiedy ostatnio wychodziłem na spacer, było to zdaje się po południu, poszedłem na plażę; wtedy, kiedy cię nie było.

W głosie Szpona dawało się wyczuć rozdrażnienie, co zdarzało się w jego przypadku nieczęsto. Mag uśmiechnął się lekko.

– Jesteś strasznie niecierpliwy.

– Tak. Może moglibyśmy pójść na polowanie? – Zamyślił się. – Gdybyś miał łuk...

– Ale nie mam. – Odparł Magnus. – Ale czy umiesz łowić ryby?

Szpon usiadł wyprostowany, a jego twarz przybrała entuzjastyczny wyraz.

– Łowiłem ryby w jeziorach i rzekach mojej ojczyzny od chwili, kiedy tylko nauczyłem się chodzić.

Magnus przyglądał mu się w milczeniu przez parę chwil.

– No dobrze. Pokażę ci więc, jak się łowi ryby w oceanie.

Wykonał ruch dłonią i w powietrzu pojawiła się plama, a raczej sfera czarnej pustki. Sięgnął ręką do środka i zaczął czegoś tam szukać, a przynajmniej tak to wyglądało.

– Ach! – wykrzyknął z zadowoleniem.

Kiedy wyjął rękę z pustki, trzymał w niej długą tyczkę. Wyciągnął ją całą i podał Szponowi.

Chłopiec spostrzegł, że była to wędka, ale zupełnie niepodobna do wszystkich, jakie widział do tej pory. Wędzisko było długie, o trzydzieści centymetrów dłuższe niż jego własna, prawie dwumetrowa wędka. Na dole miało jakieś urządzenie, przymocowane na stałe. Wyglądało jak cylinder z mechanizmem zapadkowym i korbką; wokół cylindra nawinięto kolosalną ilość cienkiej linki. Linka biegła wzdłuż wędziska, przechodząc przez rząd małych pętelek, zrobionych najwyraźniej z bambusa albo trzciny. Ostatnia pętelka na samym czubku wykonana była z metalu. Na wierzchu cylindra ułożono metalową sztabkę.

Magnus wyjął z nicości jeszcze jedną wędkę, a potem wiklinowy koszyk na pasku, który Szpon natychmiast rozpoznał jako pojemnik na złowione ryby.

– A więc chodźmy łowić ryby, ale podczas łowów powinniśmy także się uczyć.

Z ciężkim westchnieniem Szpon wziął do ręki wiklinowy kosz i dwie wędki i poszedł za magiem. Nawet jeżeli jego lekcje miały trwać także podczas łowienia ryb, przynajmniej będzie się to odbywało na świeżym powietrzu, a nie w dusznej chacie.

Szedł z magiem w dół kamienistą ścieżyną, prowadzącą z urwiska na plażę poniżej. Wiatr smagał małe białe kwiatki rosnące na skałach i zwiewał kłaczki piany ze wzburzonych fal. Szpon z czasem przyzwyczał się do huku fal na przybrzeżnych skałach i uważał ten dźwięk za kojący, a zapach morskiej wody był dla niego tak samo ożywczy jak aromat górskich sosen i świerków w rodzinnych stronach.

Kiedy dotarli na plażę, Magnus podkasał suknię i wetknął sobie skraj szaty za pasek. U innego człowieka ruch ten mógłby się wydać zabawny, ale Magnus zawsze i wszędzie emanował powagą. Szpon zauważył silne nogi mężczyzny i doszedł do wniosku, że mimo używania magii zamiast bycia wojownikiem czy myśliwym Magnus jest dobrze zbudowany, podobnie jak jego młodszy brat.

Mag pokazał chłopcu, jak trzymać wędkę. Pokazał mu po kolei wszystkie elementy kołowrotka, jak nazywał urządzenie zamocowane na pręcie, i wyjaśnił, że metalowa sztabka służy za hamulec, który spowolni odwijanie linki, jeżeli weźmie duża ryba i postanowi uciec wraz z haczykiem. Kołowrotek pozwalał skracać linkę, nie pozwalając uciec rybie, chyba że łowiący zwolniłby hamulec.

Szpon był oczarowany urządzeniem. Całe jego doświadczenie z łowieniem obejmowało użycie sieci i linki przywiązanej do długiego kija. Patrzył, jak Magnus wyjmuje trochę suszonego mięsa z kosza i nadziewa je na wielki, metalowy hak. Następnie mag wykonał krótki rozbieg, dwa kroki, a potem pół skok, pół krok i machnął wędką w kierunku fal, wyrzucając hak z przynętą daleko poza linię przyboju.

– Upewnij się, że wiesz, gdzie się znajduje hak, zanim machniesz wędką – ostrzegł Szpona. – To wcale nie jest zabawne, złapać się na własną wędkę. Musisz przepchnąć to cholerstwo na wylot, a potem przeciąć skórę, żeby wyjąć haczyk z mięśni. Sądząc po goryczy w głosie, Szpon wyczuł, że

mówiący ma już w tym względzie niejaki doświadczenie. Odsuwając się kilkanaście kroków od Magnusa, chłopiec zamocował suszoną wołowinę na haczyku. Potem ułożył linkę na piasku, postąpił naprzód kilka kroków, wziął niewielki rozbieg i rzucił przynętę znacznie dalej, niż to zrobił Magnus.

– Bardzo dobrze – pochwalił go mag.

Stali w ciszy przez prawie pół godziny. Żaden z nich nie bał się milczenia. Pierwszy odezwał się Magnus.

– Co twoi ludzie sądzą o tym świecie?

– Nie jestem pewien, czy dobrze rozumiem twoje pytanie – odparł Szpon.

– No, jakie mają legendy wyjaśniające naturę i powstanie świata?

Szpon przypomniał sobie historie opowiadane przez starych ludzi przy ogniu podczas letnich wieczorów, kiedy szaman mówił o historii ich ludu.

– Orosini wierzą, że świat jest tylko snem, śnionym przez bogów, którzy żyją w umyśle Śpiącego.

– A co z ludźmi?

– My jesteśmy częścią tego snu – wyjaśnił Szpon. – Ale dla nas wszystko wygląda jak prawdziwe, gdyż kto może wiedzieć, co jest realne dla boga?

Magnus nie odzywał się przez chwilę.

– Twoi ludzie mogą mieć rację – powiedział wreszcie – gdyż nic w tej koncepcji świata nie stoi w opozycji z naszą wiedzą dotyczącą natury istnienia. Ale na chwilę odsuń na bok wierzenia swojego ludu i posłuchaj mnie. Powiem ci, co jest prawdziwe. Świat jest wielką kulą ziemi, błota, skały i wody, otoczoną powietrzem. Jest ogromny, ale stanowi tylko niewielką część wszechświata, którego nie da się ogarnąć umysłem, tak

wielkie ma rozmiary. Składa się z wielu światów, na których także jest życie. Tych światów są miliardy.

– Miliardy?

– Czy Robert nauczył cię liczyć? – zapytał Magnus.

– Potrafię dodawać, odejmować, dzielić i mnożyć, o ile robię to uważnie.

– To i tak lepiej niż większość ludzi. Jak wielkimi liczbami potrafisz operować?

– Potrafię mnożyć cztery cyfry przez cztery cyfry.

– A więc wiesz, ile to jest tysięcy?

– Dziesięć setek – odparł Szpon.

– A dziesięć tysięcy pomnożyć przez dziesięć daje nam sto tysięcy?

– Tak, rozumiem.

– I razy dziesięć, daje nam milion.

– Hm – mruknął Szpon, niepewnym głosem.

Magnus rzucił mu długie spojrzenie i zobaczył, że chłopiec zagubił się w liczbach.

– Posłuchaj, pozwól, że wytłumaczę ci to w następujący sposób. Jeżeli będę ci dawał garście piasku, jedną w jednej sekundzie przez minutę, będziesz ich miał sześćdziesiąt.

– A jeżeli będziesz to robił przez tysiąc sekund, dasz mi tysiąc garści. Tak, teraz rozumiem – powiedział Szpon, domyślając się, w jakim kierunku podąża ta nauka.

– Wręczenie ci miliona garści zajmie mi więcej niż trzynaście dni, jeżeli nie przerwę ani na moment i będę ci dawał jedną garść na sekundę.

– Tak długo? – Szpon wyglądał na zdumionego.

– Miliard zajmie mi więcej niż trzydzieści lat.

Szpon popatrzył na Magnusa niedowierzającym wzrokiem.

– Czy może istnieć aż tak wielka liczba?

– Są i większe – odparł Magnus. – Dwa miliardy – dodał z lekkim uśmiechem.

Szpon mógł się tylko roześmiać.

– A potem trzy miliardy i cztery. Tak, rozumiem.

– We wszechświecie jest wiele miliardów światów, Szponie. Może nawet zbyt wiele, aby znali je wszyscy nasi bogowie.

Szpon nie pokazał nic po sobie, ale mag widział doskonale, że idea ta zafascynowała chłopca. Magnus mówił dalej, opisując wszechświat jako nieskończone możliwości i niezliczone różnorodności. – A jakie jest życie na tych innych światach? – zapytał Szpon.

– Czy słyszałeś opowieści o Wojnie Światów?

– Tak, opowiadał mi o niej dziadek. Powiedział mi, że to działo się na zachodzie... – Szpon przerwał, a potem spojrzął na morze. – Na zachód od naszej ojczyzny. Wydaje mi się, że to może być na wschód od miejsca, gdzie się znajdujemy.

– Nie, to jeszcze dalej na zachód, na Dalekim Wybrzeżu. Mów dalej.

– Powiedział mi, że za pomocą magii przybyli tam ludzie z innego świata i chcieli podbić naszą planetę. Ale Królestwo odparło ich atak.

– To jedna z wersji – powiedział Magnus z krzywym uśmiechem. – Powiem ci, co się wtedy wydarzyło, ale innym razem.

– Czy ci ludzie byli podobni do nas?

– Tak jak ludzie z plemienia Orosinich są podobni do Roldemczyków.

– A więc nie tak bardzo – stwierdził Szpon.

– W każdym razie byli na tyle podobni do nas, że znaleźliśmy wspólny język i zakończyliśmy tę wojnę. Może któregoś dnia spotkasz ich potomków.

– A gdzie oni żyją?

– W prowincji Yabon, w Królestwie Wysp. Większość z nich osiadła w mieście LaMut.

– Ach – mruknął Szpon, jakby chciał pokazać, że rozumie, o co chodzi.

Stali na plaży w milczeniu przez kolejne pół godziny. – Nie idzie nam zbyt dobrze, nieprawdaż – zauważył Szpon.

– W łapaniu ryb?

– Tak.

– To dlatego, że używamy złej przynęty.

Szpon spojrział ze zdziwieniem na swojego nauczyciela.

– Złej przynęty?

– Na suszone mięso moglibyśmy złowić małego rekina albo jakiegoś przydennego drapieżcę, ale jeżeli chcemy czegoś naprawdę smacznego, musimy zaczepić na haku świeżą makrelę.

– A więc po co tutaj siedzimy?

– Ponieważ łowienie ryb nie jest po to, żeby złowić rybą. – Mag popatrzył na powierzchnię wody i Szpon poczuł, jak stroszą mu się włoski na ramionach, co oznaczało, że Magnus zamierza użyć magii. – Tam – powiedział, pokazując palcem. Machnął do góry prawą ręką i coś wielkiego wyskoczyło z wody. Było wielkości małego konia, pokrywały je czerwone łuski, a w paszczy lśnił imponujący rząd śmiercionośnych zębów. Wyniesione ponad powierzchnię wody, rzucało się w powietrzu, kłapiąc szczęką, jakby chciało ugryźć wroga, który trzymał je w niewidocznej dłoni.

Niewielkim ruchem nadgarstka Magnus pozwolił rybie opaść do wody.

– Jeżeli mam ochotę na rybę, po prostu ją sobie biorę.

– A więc po co sterczymy tutaj z tymi wędkami?

– Dla samej przyjemności łowienia – odparł Magnus. – To sposób na odprężenie, czas na rozmyślanie i podejmowanie decyzji.

Pomimo poczucia bezsensu wystawiania na plaży z wędką, Szpon złapał się na tym, że powtarza sobie w myślach zasady prowadzenia przynęty przez morskie fale, czego nauczył się kilka godzin wcześniej.

Dzień chylił się ku końcowi.

– Magnus, czy mogę cię o coś zapytać? – odezwał się Szpon.

– A jak mam cię niby uczyć, gdybyś mi nie zadawał pytań?

– Cóż...

– Wyrzucić to z siebie – zachęcił go Magnus, po raz kolejny rzucając przynętę w morskie odmęty. Wzmagający się wiatr rozwiewał białe włosy maga i odrzucał je na plecy.

– Nie wiem, co mam myśleć o jednej sprawie. – O jakiej?

– O kobietach.

Magnus odwrócił się i spojrzał na Szpona.

– Czy to coś konkretnego o kobietach, czy po prostu o kobietach w ogólności?

– W ogólności, tak mi się wydaje.

– Nie jesteś jedynym, który nie rozumie tych stworzeń.

– Tak, to już zauważyłem – stwierdził Szpon. – Po prostu pomiędzy ludźmi mojego plemienia te sprawy pomiędzy mężczyzną i kobietą by ty... z góry zaplanowane i do przewidzenia. Kiedy wracałeś z wizji, twoja narzeczona już na ciebie czekała. Pobieraliście się zaraz po tym. Przez całe życie byłeś z jedną kobietą... – Zniżył głos. – Ja już spałem z dwiema kobietami, a żadna z nich nie była moją żoną.

– Czy to cię martwi?

– Tak... Nie... Nie wiem.

Magnus wbił końcówkę wędkę w piach i podszedł do Szpona.

– No cóż, mój młody przyjacielu. Moje doświadczenie w tych sprawach jest bardzo małe.

Szpon popatrzył na maga.

– Nie lubisz kobiet?

Magnus uśmiechnął się.

– Nie, to nie to... Miałem pewne doświadczenia, kiedy byłem młody... w twoim wieku. Po prostu niektórzy z nas, którzy praktykują magię, wolą żyć samotnie. Sprawy sercowe tylko nam przeszkadzają. – Popatrzył na morze.

– Lubię myśleć, że mam czysty umysł, jeżeli unikam takich rzeczy. – Zwrócił wzrok z powrotem na Szpona. – Ale ty i ja podążamy różnymi ścieżkami. O co chcesz zapytać?

– Ja byłem... z Lelą, przez pewien czas. Myślałem, że może my... – Szpon wbił spojrzenie w piach, czując się bardzo niepewnie. – Myślałem, że może nawet się pobierzemy.

Rzucił spojrzenie na maga i zobaczył na jego twarzy przebłysk zdumienia. Szybko jednak oblicze Magnusa przyoblekło zwyczajowy beznamiętny wyraz.

– Ale kiedy wróciłem z Latagore z Kalebem – kontynuował Szpon – ona odeszła. Nie miałem nawet czasu, aby pomyśleć o tym, że jej nie ma i nigdy jej nie zobaczę, kiedy Meggie...

– Ach – powiedział Magnus. – Przecież byłeś z nią w łóżku, kiedy cię obudziłem tamtego ranka.

– Więc jak mogłem żywić tak silne uczucia do Leli i tak łatwo znaleźć się w objęciach Meggie? I nawet nie pomyślałem ani przez chwilę o Leli, kiedy byliśmy razem z Meggie.

Magnus skinął głową.

– Zapytam cię więc, którą z dziewcząt chciałbyś tutaj zobaczyć, gdybym ci zaproponował sprowadzenie którejkolwiek w jednej chwili?

Szpon stał w milczeniu, ściskając w dłoni swoją wędkę.

– Nie wiem – odparł w końcu. – Myślałem, że Kocham Lelę... Kocham ją. Ale jest coś w Meggie, coś w sposobie jej... poruszania. Ona jest... taka żywa. To chyba to słowo, nieprawdaż?

Magnus nie odzywał się przez dłuższą chwilę.

– Uczucia i miłość to są sprawy bardzo skomplikowane – powiedział w końcu, patrząc na ocean. – Fale uderzają w skały i łamią się na nich, Szponie. I tak samo jest z ludzkimi uczuciami. Namiętność może być zgubna dla człowieka. W parze z namiętnością musi iść mądrość, w przeciwnym bowiem razie twoi wrogowie będą mieli gotową broń przeciwko tobie.

– Nie rozumiem.

– Większość ludzi czymś się pasjonuje, w różnych okresach swojego życia. To może być kobieta, w której się Kochają, albo jakaś umiejętność, powołanie albo też ideał.

– Ideał?

Magnus przytaknął.

– Są ludzie, którzy chętnie oddadzą swoje życie za ideały. Ludzie, którzy stawiają dobro ogółu ponad swój własny, osobisty zysk. – Popatrzył na Szpona. – Ale są też ciemne, zgubne namiętności: ambicja, chciwość, pożądanie, żądza władzy. To, co czujesz do Leli i do Meggie, pasuje się gdzieś pomiędzy tymi ekstremami, pomiędzy ideałem a ciemnością. W najgorszym razie to, co czujesz, to ślepe pożądanie, bez szacunku i miłości do kobiet, których pragniesz. W najlepszym razie, zakochujesz się łatwo w kobietach, zbyt łatwo, uważając, że każda z nich jest warta nieustannej adoracji. Każde ekstremum jest pomyłką.

Szpon skinął głową, pokazując, że rozumie, o co chodzi.

– Jesteś młody. W twoim życiu będzie jeszcze wiele kobiet, jeżeli tylko tego zechcesz. Ale okoliczności mogą postawić cię przed trudnym i

szybkim wyborem. Będziesz musiał zdecydować, czy to, co czujesz, to tylko zwykłe pożądanie, czy kryje się pod tym głębokie uczucie. Obie kobiety, które już znasz, są dobrymi osobami, przynajmniej w generalnym ujęciu charakteru. A przynajmniej nie mają żadnych złych zamiarów względem twojej osoby. Dbały o ciebie na swój sposób, tak jak ty dbałeś o nie. Ale pamiętam także, kiedy byłem w twoim wieku i patrzyłem w pewne zielone oczy, obezwładniało mnie uczucie tak intensywne, że serce zatrzymywało mi się w piersi. A kilka dni po tym doznawałem podobnych sensacji, patrząc w oczy brązowe. Takie jest serce młodego człowieka, Szponie. Musi zostać spętane i opanowane, jak rozbrykane źrebię. Musi się nauczyć podążać za umysłem. Przekonasz się, że miłość to nie jest łatwa rzecz.

– Nie jestem pewien, czy odpowiedziałeś na moje pytanie.

– Nie jestem pewien, czy zrozumiałeś, o co pytasz. – Magnus podniósł wędkę, zwinął linkę i ponownie zarzucił przynętę. – Niebawem porozmawiamy o tym znowu. A niedługo poznasz innych ludzi, których będziesz mógł zapytać o to samo. Innych, którzy są bardziej predysponowani, aby odpowiadać na takie pytania.

– Dziękuję ci, Magnusie.

– Nie myśl już o tym. Będziesz miał do mnie o wiele więcej innych pytań, kiedy już czas pobytu na tej wyspie dobiegnie końca.

– Jak długo jeszcze tutaj zostaniemy?

– Tak długo, jak będzie trzeba.

– Tak długo, jak będzie trzeba?

– Aż osiągniemy to, po co tutaj przybyliśmy – odparł Magnus. Szpon chciał zadać kolejne pytanie, ale po namyśle zrezygnował.

Czas upływał nieubłaganie i Szpon poczuł się głodny.

– Czy mamy jakieś szansę, aby złapać coś na obiad?

– Jesteś głodny?

– Tak, właściwie tak.

– Czy wiesz, jak przyrządza się rybę?

Szpon przygotowywał kilka rybnych dań z Leem.

– Tak, umiem, ale ty masz tylko czajnik i rożen do gotowania. Wydaje mi się, że mógłbym ugotować zupę rybną...

– Nie – powiedział Magnus. – Myślałem o czymś bardziej wytwornym. Jemy zupy i potrawy już od miesiąca albo i więcej. Zjedzmy wreszcie coś porządnego dziś wieczorem.

– Ale jak mam przygotować taki posiłek?

– Nie martw się – uspokoił chłopca Magnus. – Najpierw musimy ci znaleźć jakieś odpowiednie główne danie. – Zamknął oczy i otworzył je z powrotem. Szponowi wydawało się, że zauważył w nich lekki poblask światła. Magnus wyciągnął rękę przed siebie, dłonią do góry, a potem powoli podniósł ramię. Z morza wyłoniła się ryba, która miała ponad metr długości. Magnus machnął ręką i ryba popłynęła w powietrzu, lądując łagodnie u stóp Szpona. Zwierzę rzuciło się i wilo na piasku.

– Bądź ostrożny. Te płetwy rozetną ci skórę, jeżeli złapiesz za nie za mocno.

Szpon spojrzał na Magnusa.

– Mam ją zanieść do chaty?

– A jak inaczej się tam dostanie? – zdziwił się mag.

Szpon spróbował podnieść miotające się stworzenie, ale ryba była nie dość, że ciężka, to jeszcze śliska.

– Czy jest tu coś, czym mógłbym ją uderzyć, żeby ją ogłuszyć? – zapytał po kilku nieudanych próbach pochwycenia zdobyczy.

– Och – westchnął Magnus. Zrobił niewielki ruch dłonią i ryba znieruchomiała. – Jest ciągle żywa, więc będzie świeża, kiedy ją oprawisz.

To stworzenie nazywa się tuńczyk. Możesz go delikatnie upiec, przyprawiając różnymi ziołami. Lekko ugotowany ryż i blanszowane warzywa będą do niego doskonale pasowały. I może trochę schłodzonego wina... może wytrawne z Ravensburga.

Szpon podniósł wielką rybę i spojrzał w górę, na wijącą się pośród skał ścieżkę.

– I coś jeszcze?

– Jeżeli coś mi wpadnie do głowy, natychmiast dam ci znać.

Szpon powlókł się powoli w górę ścieżki. Kiedy dotarł do chaty, bolały go wszystkie mięśnie. Ramiona i barki paliły go żywym ogniem, a kolana trzęsły się jak galareta. Ryba musiała ważyć prawie tyle, co on sam, był tego pewien. Zastanawiał się, co ma z nią zrobić. Mógł oczyścić ją na stole, ale robi wtedy straszny bałagan. Może wypatroszy ją na ziemi na zewnątrz, a potem umyje mięso w wodzie ze studni. To powinno usunąć z ryby wszelki brud. A jeżeli filety będą wystarczająco duże, nadzieje je na rożen i upiecze nad ogniem.

Ale skąd weźmie ryż i przyprawy? Jedzenie w chacie u Magnusa było proste, oględnie mówiąc.

Położył rybę na ziemi, czując ulgę w kościach i stał przez chwilę bez ruchu, czując, jak plecy przenikają fale bólu, jakby chciały mu przypomnieć, aby nie robił podobnych głupot nigdy więcej. Zaczął rozcierać palcami prawej dłoni bolące mięśnie, gdy lewą pchnął drzwi do chatki.

Wszedł do środka i prawie się przewrócił ze zdumienia. Zamiast małego pokoiku, który poznał już tak dobrze, znalazł się w ogromnej kuchni. Dużo większej niż chata. Popatrzył przez ramię, za drzwi, i zobaczył znajomy widok, jaki się rozpościerał przed chatą. Ale w środku domostwo ciągle było zupełnie inne.

Podszedł do wielkiego stołu z pompą, gdzie mógł oczyścić rybę. Za stołem znajdował się kamienny piec. Obok pieca stał metalowy ruszt; w palenisku płonęły drewniane szczapki. Z tyłu pomieszczenia widział półki, gdzie bez wątpienia stały słoiczki z przyprawami i woreczki z ryżem. I był pewien, że małe drzwiczki prowadzą do piwniczki z winem, gdzie znajdzie akuratnie schłodzone białe wino, które doskonale będzie pasowało do kolacji.

– Jak on to zrobił? – Szpon wymamrotał do siebie cicho.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

WYBÓR

Szpon zamrugął oczyma.

Czytał kolejną książkę w języku królestwa. Była to kronika życia pewnego kupca z Krondoru o imieniu Rupert Avery, na tle ówczesnych wydarzeń historycznych. Kupiec popełnił to dzieło tuż przed śmiercią i zdołał je nawet wydać. Z punktu widzenia Szpona książka była niczym więcej niż tylko peanem na cześć próżności autora. Historia była źle napisana i dosyć nieprawdopodobna, oględnie mówiąc. Według przedstawionych faktów, Rupert Avery odcisnął trwały ślad na historii Królestwa, jedną ręką pokonując siły ciemności i chaosu, próbujące zniszczyć jego ziomków.

Szpon uważał, że historia ta nadawałaby się znakomicie do opowiadania przy obozowych ogniskach, gdyby tylko więcej uwagi poświęcić biorącym w niej udział magom i wojownikom, a mniej chłopcu, który się wzbogacił. Szpon przechylił się z krzesłem do tyłu, opierając je o ścianę za sobą. Zaczął wreszcie rozumieć istotę bogactwa. Niektórzy ludzie wydawali się czerpać niewysłowioną przyjemność z gromadzenia pieniędzy. On jednak należał do ludu Orosinich i z jego punktu widzenia wszystko, co było jedzeniem, ubraniem czy narzędziem należało do kategorii luksusów. A kolekcjonowanie luksusów w ilości przekraczającej niezbędną było tylko i wyłącznie stratą energii i czasu.

Wraz ze zrozumieniem koncepcji bogactwa Szpon zaczął pojmować istotę władzy i potęgi. Z jakichś obcych mu powodów istnieli ludzie, którzy

pożądali władzy tak bardzo, jak Avery pragnął złota. Ludzie tacy jak książę Olasko, który za wszelką cenę dążył do tego, aby włożyć na głowę koronę Roldem i zostać królem, chociaż, jak mówili mu Kaleb i Magnus, mógł równie dobrze uczynić to teraz i kazać się nazywać królem Olasko i Aranoru.

Szpon ustawił krzesło w wyjściowej pozycji i położył księgę na stole. Był sam już trzy dni; Magnus wyjechał w jedną ze swoich tajemniczych podróży. Przed wyjazdem wyznaczył chłopcu szereg zadań: czytanie, które teraz dla Szpona było raczej przyjemnością, gdyż w przeciągu roku opanował doskonale tę sztukę, oraz ćwiczenie serii dziwnych ruchów, prawie tanecznych, które pokazał mu Magnus. Mag twierdził, że ten taniec był rodzajem walki bez użycia broni i nazywał się isalani. Gdyby Szpon opanował dobrze jego podstawy, każda inna sztuka walki byłaby dla niego łatwa i szybka do nauczenia. Miał także dbać o czystość w chacie i pamiętać o jedzeniu.

Zadania zajmowały mu większość dnia, ale pozostały czas przeznaczał na poznawanie otoczenia, chociaż Magnus kazał mu nie opuszczać północnego wybrzeża wyspy. Na południe linia pagórków wznosiła się. Dojście na szczyt wzniesień nie zajęłoby więcej jak pół dnia lekkiego marszu, ocenił chłopiec, ale mag zabronił mu wspinać się na te wzgórza, czy ominąć wzniesienia plażą. Magnus nie wytłumaczył, dlaczego nie można chodzić na południe, ani co się stanie, jeżeli chłopiec zignoruje zakazy, ale Szpon nie miał zamiaru się tego dowiadywać.

Większość życia Szpona obracała się teraz wokół czekania. Czekał, aż odkryje, jaki jest cel jego szkolenia, gdyż teraz był już pewien, że Robert i jego przyjaciele uczyli go z jakiegoś określonego powodu.

Jego nauka postępowała w szybkim tempie. Opanował już kilka języków. Królewskim, mową używaną w Królestwie Wysp, mówił prawie

płynnie, podobnie jak językiem roldem Teraz zaczynał uczyć się dialektów z Imperium Wielkiego Keshu. Poznawał także geografię, historię i muzykę.

Najbardziej podobała mu się muzyka. Magnus znał czar pozwalający mu na przywołanie muzyków wykonujących utwory, które słyszał na przestrzeni lat. Niektóre prostsze pieśni brzmiały dla Szpona prawie znajomo, ale bardziej wyrefinowana muzyka, grana dla szlachty przez doskonałych wykonawców, przykuwała uwagę chłopca. Aby mu pomóc zrozumieć muzykę, Magnus polecił Szponowi nauczyć się gry na jakimś instrumencie. Zaczęli od prostej fujarki, która teraz leżała na stole. Wyglądała jak długa, drewniana tuba, z sześcioma otworami wyciętymi wzdłuż po jednej stronie. Była bardzo podobna do tej, na której grał ojciec Szpona i chłopiec szybko się nauczył wygrywać na niej proste melodie.

Szpon potarł twarz dłonią. Oczy go piekły, a plecy miał zeszywniałe. Wstał i wyjrzał przez okno. Popołudniowe słońce chyliło się ku zachodowi. Chłopiec zdał sobie sprawę, że spędził nad książką całe popołudnie.

Spojrzał na palenisko, gdzie stał wielki kocioł do połowy wypełniony gulaszem, który ugotował dwa dni temu. Ciągłe nadawał się do jedzenia, ale Szponowi już się znudził ten monotony jadłospis. Oceniał, że pozostała mu godzina na upolowanie jakiejś zwierzyny albo na pójście na plażę i złowienie ryby. Zachód słońca był dobry w przypadku obu tych możliwości. Na wyspie znajdował się spory staw w niewielkiej odległości od chaty, gdzie o wschodzie i zachodzie słońca przychodziła dzika zwierzyna, aby napić się wody. Także ryby w morzu wydawały się bardziej aktywne tuż przed zapadnięciem wieczoru.

Wahał się przez chwilę, co wybrać, a potem zdecydował, że ma większą ochotę na łowienie ryb. Podchodzenie zwierzyny wymagało sporej koncentracji, a teraz był raczej w nastroju, żeby posiedzieć sobie na plaży,

poczuć wiatr na twarzy i zatopić wzrok w punkcie zlokalizowanym dalej niż koniec raki.

Szpon wziął wędkę i koszyk i wyszedł przez drzwi.



Słońce już zaszło, kiedy Szpon zaczął z powrotem wspinać się ścieżką w górę urwiska. W przeciągu kilku chwil udało mu się złapać dwie duże stynki, wystarczające mu w zupełności na kolację. Postanowił, że upiecze je nad ogniem w palenisku, na metalowym ruszcie i doda kilka przypraw, które Magnus trzymał w małej skrzynce. Marzył o odrobinie ryżu, aby go ugotować z rybą i zdał sobie sprawę, do jakiego luksusu przywykł w kuchni Lea u Kendrika. Jego matka często gotowała rybę i podawała ją z jakimiś jagodami i korzonkami, jakie znajdowała wspólnie z innymi kobietami. Czasem był do tego jeszcze kukurydziany placek, wyrabiany w ręku i pieczony nad ogniem, z dodatkiem miodu, jagód lub orzechów. Jedli go nawet do dziczyzny. Ale teraz Szpon doceniał dania, które wykraczały poza możliwości jego matki. Czasem myślał ze zdumieniem, że prawdopodobnie jest najlepszym kucharzem, jaki kiedykolwiek wyszedł spośród ludzi jego plemienia.

Kiedy wyszedł z za zakrętu ścieżki, która omijała tutaj wystający wierzchołek urwiska, zatrzymał się. Niebo ciągle jeszcze było jasne, gdyż słońce zaszło przed chwilą, ale mrok szybko gęstniał w załomach skał. Chłopiec coś wyczuł.

Nasłuchiwał. Lasy w pobliżu chatki były ciche. A powinny się w nich rozlegać hałasy, szelesty dziennych stworzeń szukających w pośpiechu kryjówek na noc, aby umknąć przed wzrokiem nocnych łowców. Ptaki powinny latać w chłodnym powietrzu, łopocąc cicho skrzydłami, w poszukiwaniu owadów.

Zamiast tego wszystko zamarło w bezruchu, który znamionował jedno: w pobliżu byli ludzie.

Przez chwilę Szpon myślał, że to może Magnus wrócił z podróży, ale w jakiś sposób wiedział, że się myli. Po prostu czuł coś złego.

Szpon podejrzewał, że na wyspie mogą mieszkać inni ludzie, prawdopodobnie na południu, gdzie Magnus nie pozwalał mu chodzić, a przynajmniej na razie nie chciał, aby chłopiec się z nimi spotykał. Ale Szpon nie sądził, żeby ci ludzie przybyli tutaj tak bez zapowiedzi. Odłożył na bok wędkę i koszyk, a potem uświadomił sobie, że zostawił swoją broń w chacie.

Wyjął z koszyka nóż do oprawiania ryb. Była to kiepska broń, ale zawsze lepsza niż żadna, i zaczął skradać się w kierunku chaty, wszystkimi zmysłami badając otoczenie. Słuchał, patrzył i węszył w powietrzu.

Wydawało mu się, że obok chaty czai się coś, coś bardzo nieprzyjaznego i wykraczającego poza jego dotychczasowe doświadczenia. Sądził wcześniej, że może ktoś jest w chacie albo obok niej, ale teraz zamiast „ktoś” myślał raczej „coś”.

Jakaś sylwetka ukazała się na progu chaty, poruszając się tak szybko, że z ledwością uchwycił rozmazany kształt. Natychmiast rozpoznał humanoidalne, ale pozbawione konturów kształty nieznajomego. Nieokreślona, czarna od stóp do głów forma była jedynie cieniem, który mignął mu na granicy realności i zniknął w ciemności nocy.

Zatrzymał się, próbując nie oddychać zbyt głośno i wszelkimi zmysłami starał się zlokalizować czarną istotę. Lekkie przesunięcie powietrza za jego plecami uświadomiło mu, że coś się za nim skrada. Upadł błyskawicznie na kolana i bez zastanowienia uderzył do tyłu nożem do ryb. Cios ten zraniłby każdego napastnika w okolicy od kolan do pachwiny.

Nieludzki, ćwierkający wrzask przerwał nocną ciszę, kiedy nóż w coś uderzył. Szpon upadł na ziemię, uderzony silnie w prawe ramię, kiedy wielkie cielsko zważyło się na niego.

Szpon wykorzystał moment upadku i przetoczył się na bok, podrywając się jednocześnie do góry. Obok niego przemknął cień, powodując zawirowania powietrza i chłopiec wiedział, że uniknął kolejnego ciosu od drugiego zabójcy. Instynktownie wyczuł, że dwaj napastnicy są za nim, więc skoczył naprzód, aby schronić się w chacie. Jeżeli chciał mieć jakąkolwiek nadzieję na pokonanie wroga, musiał dotrzeć do swojego miecza.

Włoski na karku chłopca podniosły się, kiedy dotarł do drzwi chaty i bez oglądania się za siebie zanurkował do środka, lądując twardo na podłodze. W miejscu, gdzie przed momentem znajdowała się jego klatka piersiowa, ze świstem przeciął powietrze nóż.

Pojechał na brzuchu pod stół i odwrócił się, już z mieczem w dłoni. Odrzucił na bok krzesło i kopnął mebel w kierunku drzwi, aby spowolnić nadejście tego czegoś, co się za nimi czaiło.

Stół uderzył w coś, co właśnie stawało w drzwiach i Szpon zauważył, jak na tle framugi porusza się skrawek ciemności. Na tle jaśniejszego prostokąta wejścia pojawiła się jakaś postać. Mógł ją zobaczyć tylko dzięki temu, że przeszkoda spowolniła jej ruchy. Gasnące światło zachodzącego słońca obrysowywało jaśniejszym cieniem liście i gałązki. Ale zarys sylwetki w drzwiach był pozbawiony wszelkich szczegółów.

A potem to coś weszło do chaty. Szpon zauważył tylko humanoidalny kształt tak czarny, jakby światło w całości odbijało się od jego powierzchni. Wiedział, że gdzieś czai się ten drugi, ciągle na zewnątrz. Chłopiec przysunął się do paleniska i instynktownie złapał płonąca szczapę, wyciągając ją przed siebie w wyprostowanej ręce.

Dłoń istoty skoczyła w jego kierunku i Szpon uskoczył naprawo. W lewym ramieniu poczuł nagle obezwładniający ból. Ręka napastnika cofnęła się szybkim ruchem i przez chwilę Szponowi wydawało się, że spostrzegł w powietrzu jakiś przedmiot, jakby coś niewidzialnego zakrzywiało przestrzeń. Szpon nie musiał się przyglądać, żeby wiedzieć, że zraniło go jakieś niewidzialne ostrze. Czuł palący ból w ramieniu i rozszerzającą się po ręku wilgoć, kiedy krew płynęła z rany.

W pobliżu drzwi dostrzegł jakiś ruch i chłopiec wiedział, że drugi z zabójców właśnie wszedł do chaty. Kolejne zawirowanie, jakie dostrzegł katem oka, ostrzegło go o zagrożeniu i rzucił się w prawo. Dostał kolejny cios w ramię, które paliło go żywym ogniem, ale wiedział, że gdyby nie odskoczył, krew płynęłaby z jego gardła, a nie z ręki.

Uderzył mocno w ramię stojaka podtrzymującego kociołek, kiedy upadł na podłogę, próbując odtoczyć się z miejsca, gdzie jego zdaniem znajdował się napastnik. Kocioł spadł z haka i wpadł z hukiem do paleniska, wylewając resztki gulaszu na płonące głownie. W pokoju poszarzało od dymu i sadzy.

Nagle Szpon zobaczył przed sobą nogę, wyraźną na tle dymu. Bez wahania ciął mieczem jedyny widoczny element przeciwnika. Świdrujący krzyk bólu, podobny do tego, jaki słyszał przed chatą, rozległ się teraz wewnątrz, zwielokrotniony jeszcze przez ciasnotę pomieszczenia.

Chata wypełniła się dymem i Szpon mógł teraz wyraźnie zobaczyć trzy sylwetki, odcinające się na szarym tle. Miały ludzki kształt i wydawały się nieuzbrojone, ale wiedział, że to wrażenie jest fałszywe. Odczołgał się pod ścianę.

Napastnicy wydawali się miotać bezładnie, jakby nie mogli go zobaczyć. Szpon złapał mocniej miecz, ignorując ból w lewym ramieniu i podniósł się na nogi, plecami opierając się o ścianę. Częściowo chował się za wysoką,

sięgającą sufitu półką, jaką zrobił mu Magnus, żeby mógł tam trzymać swoje książki do nauki.

Dwie istoty, które weszły do chaty przez drzwi, postąpiły krok naprzód. Jedna zablokowała wejście, a druga ruszyła w jego kierunku. Ta obok drzwi wyraźnie kulała i Szpon instynktownie wiedział, że to właśnie ją ugodził wcześniej nożem do oprawiania ryb.

Teraz, z mieczem w dłoni, Szpon potrzebował więcej miejsca do walki. Chciał wyjść na zewnątrz, tuż przed drzwi, żeby te istoty musiały wychodzić z chaty pojedynczo. Wtedy może by sobie z nimi poradził. Kształt, który stał najbliżej niego, ruszył, jakby chciał zająć chłopca od tyłu i uderzyć niewidzialną bronią. Szpon skoczył do przodu i zamachnął się mieczem, chcąc odepchnąć przeciwnika. Przeskoczył przez przewrócony stół, opuszczając zranione ramię i uderzając gdzieś w kierunku piersi napastnika czekającego przy drzwiach.

W boku eksplodował mu ból i rozprzestrzenił się aż na lewe biodro. Zachłysnął się w agonii. Istota po lewej zdołała go dosięgnąć swoim ostrzem i Szpon poczuł, jak słabną mu kolana.

Kiedy padał na ziemię, udało mu się jeszcze machnąć mieczem i z radością poczuł, jak ostrze zagłębia się w mięśnie, a z ust przeciwnika wydobywa się nieludzki wrzask. Skrzek zamilkł szybko, jakby ucięty nożem.

Chłopiec odturlał się na bok. Próbował wstać, kiedy zobaczył, że coś wślizguje się przez drzwi. Był jeszcze jeden zabójca! Zatoczył tuk mieczem w ogólnym kierunku drzwi i udało mu się prawie stanąć prosto, kiedy poczuł, jak ból zalewa płonącą falą jego lewy policzek, ramię i klatkę piersiową.

Krótki oddech, przesiąknięta krwią tunika, drżące kolana. Chłopiec tracił zbyt wiele krwi, zbyt szybko. Jego serce biło nierówno i Szpon wiedział, że

jeżeli w jakiś sposób nie pokona dwóch pozostałych przeciwników, zginie w tej walce.

W drzwiach dostrzegł kolejny ruch i wiedział, że teraz wraz z nim na zewnątrz są obaj napastnicy. Zamrugał oczami i obrócił kilkakrotnie głowę w różnych kierunkach, próbując dostrzec ciemne kształty w mroku nocy, ale mimo wysiłków i starań nie mógł nic zobaczyć.

Wyczuł jakiś ruch po prawej stronie, podobnie jak po lewej. Próbował wziąć się w garść i wstać, ale jego lewa noga nie usłuchała polecenia mózgu i chłopiec zwałił się ciężko na ziemię. W prawej nodze poczuł nagły, szarpiący ból. Wypuścił miecz z dłoni. Próbował zmusić swoje ciało do obrotu, aby zwiększyć odległość od dwóch czarnych istot, ale jego własne członki już go nie słuchały.

Na prawym ramieniu zapłonęła kolejna linia bólu i Szpon krzyknął głośno. Miał zaraz umrzeć.

Nikt nie pomści ludzi z jego plemienia, a on nigdy się nie dowie, kim są jego zabójcy i dlaczego został skazany na śmierć.

Ostatnie jego myśli były przesycone desperacją i głębokim żalem, a potem wokół niego wybuchła zamieć oślepiającego światła i chłopiec zapadł w ciemność.



Szpon żeglował po morzu bólu. Jego skóra płonęła żywym ogniem i cały kapał się w cierpieniu. A jednak nie mógł się ruszyć. Głosy i obrazy przychodziły do niego i odpływały w ciemność. Część z nich poznawał, inne były obce.

– ...zbyt wiele krwi. No nie wiem...

Ciemność zgęstniała ponad nim i poczuł kolejną falę bólu.

– ...nie jestem w stanie przewidzieć, czy to przetrwa...

Usłyszał tuż przy uchu dziwny dźwięk, który trwał nieskończenie długo. Nagle hałas przekształcił się w muzykę. Ktoś w pobliżu grał na flecie.

Zapadł się w ciemność.



Czas mijał w atakach i jękach, pamiętał jakieś obrazy, dźwięki, zapachy i dotyk materiału. Kilkakrotnie widział nad sobą kobiecą twarz. Miała piękne rysy, ale wyraz twarzy był surowy, a nawet ostry. Mówiła coś do ludzi zebranych wokół, ale często nie mógł usłyszeć ani zrozumieć słów.

Uwiązał w gorączkowych snach, pełnych przerażających istot i koszmarów. Niebieska istota ze srebrnymi rogami polatywała nad nim i mówiła w jakimś języku złożonym z jęków i pohukiwań. Widział jakieś inne twarze, pojawiające się i znikające. Niektóre były wyraźnie ludzkie, inne miały drobne różnice za długie uszy, brwi przypominające pióra, albo nosy z małym kolcem na koniuszku.

Śnił także inne sny, sny o dzieciństwie i wiosce Kulaam. Widział twarz Oka Niebieskoskrzydłej Cyraneczki, jej oczy koloru miodu patrzyły na niego z bezgranicznym smutkiem. Zobaczył dziadka, Śmiech W Jego Oczach, żywego i asystującego przy ceremonii nadawania imienia. Uśmiechał się z zaciekawieniem. Ujrzał matkę i siostrę, i inne kobiety, krzątające się przy domowych pracach.

Zobaczył siebie samego, schodzącego z góry, już zmęczonego, ale biegnącego tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu.

Zobaczył dym, śmierć i ogień. I zobaczył człowieka na czarnym koniu.

– Raven! – wykrzyknął i usiadł na posłaniu.

Kobieta ujęła go za ramiona uspokajającym gestem.

– Spokojnie. Odpręż się. Wszystko będzie dobrze.

Szpon zdał sobie sprawę, że jest mokry od potu. Wreszcie w pełni odzyskał przytomność. Okryte bandażami ciało chłopca drżało z zimna, gdyż we śnie zrzucił z siebie przykrycie. Rozejrzył się po pokoju.

Pomieszczenie, w którym się znajdował, miało pobielone ściany. Stało w nim zaledwie kilka mebli, doskonale wykonanych. Przez duże okno mógł dostrzec czyste, błękitne niebo, znamionujące ciepły dzień. Słodko pachnąca bryza wpadała do środka przez uchylone okienne skrzydło. Z oddalenia dochodziły do niego głosy.

– Gdzie ja jestem?

Kobieta wstała.

– Jesteś pośród przyjaciół. Pójdę po Magnusa.

Szpon opadł z powrotem na trzy wielkie poduchy wypchane mocno miękkim pierzem. Spoczywał nago, przykryty prześcieradłami z delikatnego białego materiału, niepodobnego do niczego, co widział w życiu. Pościel była mokra od potu i chłopiec wiedział, że właśnie przełamał wysoką gorączkę. Jego ramię okrywały bandaże, podobnie jak plecy, żebra po lewej stronie, oba uda i lewą łydkę.

Kilka minut później do pokoju wszedł Magnus, a krok za nim podążała kobieta.

– Jak się czujesz? – zapytał białowłosey mag.

– Nie dałbym sobie rady nawet z małym kociakiem – odparł Szpon, opierając się na poduszkach. Magnus siadł z boku łóżka i położył dłoń na czole chłopca.

– Nie masz już gorączki. – Położył kciuk na górnej powiece lewego oka Szpona i lekko ją odchylił. – Podobnie jak żółtaczkę.

– Co się stało? – spytał Szpon.

– To długa historia – odpowiedział Magnus. – W skróconej wersji wygląda to tak, że ktoś wysłał trzech tancerzy śmierci, aby mnie zabili.

Zamiast mnie znaleźli ciebie.

– Tancerze śmierci?

– Wszystko ci wyjaśnię ze szczegółami, obiecuję. Ale teraz potrzebujesz odpoczynku. Czy jesteś głodny?

Szpon skinął głową.

– Tak, chciałbym coś zjeść.

– Przyniosę trochę rosołu – powiedziała kobieta i wyszła z pokoju.

– Jak długo już tak leżę? – zapytał Szpon.

– Dziesięć dni.

– Jestem tutaj od dziesięciu dni?

Magnus przytaknął.

– Prawie umarłeś, Szponie. Gdybyś został zaatakowany w jakimkolwiek innym miejscu, a nie na tej wyspie, z pewnością byś tego nie przeżył. Może jakiś potężny kapłan świątynny mógłby ocalić ci życie, ale jedynie kilku na całym świecie, oprócz mieszkańców wyspy, posiadało takie tajemnice leczenia. Dotyk tancerza śmierci jest trujący, tak więc nawet jeżeli nie zabije cię od razu, umierasz w męczarniach.

– Jak się tutaj dostałem?

– Kiedy tylko tancerze śmierci postawili stopę na wybrzeżu tej wyspy, niektórzy z nas wiedzieli, że coś jest nie w porządku. Pospieszyliśmy do chaty w momencie, kiedy nabraliśmy pewności, że atak nie jest wymierzony w miejsce, w którym się teraz znajdujemy. Tancerze śmierci spodziewali się zastać samotnego maga, a zamiast tego znaleźli wojownika posługującego się mieczem. Gdyby polowali na ciebie, umarłbyś, nawet nie wiedząc, kto wymierzył cios. Ale przygotowali się raczej na magiczny opór, a nie na stal, i ta pomyłka dała nam kilka dodatkowych minut potrzebnych do uratowania twojej skóry.

– Dziękuję ci – odparł Szpon. – A kto to są ci „my”?

– Ja i inni – wyjaśnił Magnus. Wstał, kiedy w drzwiach pojawiła się kobieta niosąca na tacy dużą miskę z bulionem i pokrojony chleb.

Szpon podniósł się na łokciu, żeby móc jeść, ale ten wysiłek spowodował, że znów oblał się potem. Kobieta usiadła obok niego i ujęła w dłoń łyżkę. Chłopiec bez słowa protestu pozwolił się karmić. Kobieta była bardzo piękna, prawdopodobnie przekroczyła już trzydziestkę. Miała czarne włosy, uderzająco niebieskie oczy i twardo zaciskała usta, co nadawało jej twarzy surowy wyraz.

Szpon odwrócił wzrok i spojrzał na Magnusa.

– Widzę podobieństwo – powiedział pomiędzy jedną a drugą łyżką zupy.
– Nigdy mi nie mówiłeś, że masz siostrę.

Kobieta uśmiechnęła się, podobnie jak Magnus, i podobieństwo pomiędzy nimi jeszcze się pogłębiło.

– Pochlebiasz mi – odezwała się kobieta.

– Szponie, poznaj Mirandę, moją matkę.

Szpon przełknął głośno.

– Trudno mi w to uwierzyć – powiedział. Kobieta wyglądała nawet młodziej niż jej syn.

– Uwierz w to – zapewniła go Miranda. – Znajdujemy się w bardzo szczególnym miejscu.

Szpon nie odezwał się i powrócił do jedzenia. Kiedy skończył, Miranda odstawiła na bok miskę.

– Co... – zaczął natychmiast mówić chłopiec.

– Nie teraz – przerwała mu. – Będziesz miał wystarczająco dużo czasu, żeby zadawać pytania, ale teraz musisz odpocząć.

Ciekawość Szpona pokonało ogromne zmęczenie i zanim kobieta opuściła pokój, powieki mu opadły i zapadł w spokojny sen.



Dwa dni po tym, jak odzyskał przytomność, Szpon mógł wstać i wyjść na mały spacer. Magnus pożyczył mu laskę, na której chłopiec się wspierał, gdyż obie jego nogi były słabe i bolały od ran. Szpon kuśtykał obok maga.

– Witaj w Villa Beata – powiedział Magnus.

– Czy to jest nazwa tego miejsca?

– Tak. W starożytnym języku te słowa znaczą „błogosławione domostwo”.

Znajdowali się na dużym dziedzińcu otoczonym niskim murem. Wszystkie budynki, jakie ich otaczały, pomalowane były na biało, a dachy pokrywała czerwona dachówka.

– Nigdy sobie nawet nie wyobrażałem miejsca podobnego do tego.

– Ci, którzy je zbudowali, mniej obawiali się napaści, przykładając większą wagę do wygody i piękna. Jest wiele historii, które opowiadają o powstaniu tego domu.

– A czy ty znasz tę prawdziwą?

Magnus uśmiechnął się.

– Nie. Mój ojciec twierdzi, że zna prawdę o tym domostwie, ale człowiek, który opowiedział mu tę historię, był znany z mijania się z prawdą, kiedy akurat miał na to ochotę. Tak więc możemy się nigdy nie dowiedzieć, kto i po co zbudował ten dom.

– Czy to jest twój dom?

– Tak, tutaj dorastałem – odparł Magnus.

Szpon rozejrzał się dookoła. Jego oczy otworzyły się szeroko, kiedy dostrzegł istotę o niebieskiej skórze i srebrnych rożkach, dźwigającą kosz pełen mokrego prania. Znikała właśnie za rogami budynku.

– Co to było? – zapytał zdumiony.

– To Regar, Cahlozian. Spotkasz tutaj wiele istot, które zupełnie nie są podobne do nas, Szponie. Ale pamiętaj o jednym: oni są także ludźmi. W jego świecie byłbyś dla innych równie dziwaczny, jak on wydaje się tobie tutaj.

– Zanim cię spotkałem, Magnusie – wyznał chłopiec – myślałem, że takie istoty żyją tylko w opowieściach snutych przy obozowym ogniu. A kiedy go zobaczyłem podczas mojej choroby, wydawał mi się iluzją wywołaną gorączką. Teraz zaczynam myśleć, że niewiele rzeczy jest mnie w stanie zaskoczyć.

– Och, poczekaj trochę, mój młody przyjacielu. Czeka na ciebie mnóstwo niespodzianek. Ale teraz napawaj się ciepłym popołudniem i pospaceruj sobie trochę po okolicy. Musisz odzyskać stracone siły.

Kiedy tak spacerowali wolno po dziedzińcu, Szpon widział ludzkie sylwetki, biegające tam i siam, wypełniające ważne zadania. Większość wyglądała normalnie, jednak jedna czy dwie z pewnością nie pochodziły z tego świata. Spacer pozbawił go oddechu, więc nie marnował go na zadawanie pytań, które mógł odłożyć na później. Jedno wszakże musiał zadać.

– Magnusie, kto próbował cię zabić?

– To, mój młody przyjacielu – odparł mag – jest bardzo długa historia.

Szpon uśmiechnął się. Zbyt go bolało, żeby mógł śmiać się na głos.

– Nie wydaje mi się, żebym się w bliskiej przyszłości gdzieś wybierał.

– Ma poczucie humoru. To dobrze – usłyszał nagle obcy głos za sobą.

Szpon odwrócił się i zobaczył niskiego, wątłego człowieka. Mężczyzna był łysy i nosił na sobie prostą tunikę spiętą na lewym ramieniu. Prawe ramię było niczym nie okryte. Na nogach miał wiązane sandały; twarz mężczyzny emanowała starożytną wiedzą, ale w oczach migotały

ogniki, podobnie jak u dziecka. Ciemne oczy przyglądały się badawczo Szponowi. Miały obcy kształt, podobny do migdałów.

– Szponie, to jest Nakor – przedstawił mężczyznę Magnus. – Jest jednym z moich... nauczycieli – dodał z lekką zmianą tonu, której Szpon nie do końca zrozumiał.

Nakor skinął głową.

– Czasami tak. Jednak często czuję się jak więzienny strażnik. Magnus, kiedy był młodszy, potrafił sprawiać prawdziwe kłopoty.

Szpon zerknął na Magnusa, który zmarszczył brwi, ale nie zaprzeczył słowom wypowiedzianym przez Nakora. Magnus chciał właśnie coś powiedzieć, ale jego nauczyciel go uprzedził.

– A co do twojego pytania, młody przyjacielu, opowieść jest zaiste długa i będziesz musiał jej wysłuchać, ale nie teraz.

Szpon przenosił wzrok z jednej twarzy na drugą i zobaczył, że między mężczyznami zaistniało ciche porozumienie. Nakor w jakiś sposób prosił Magnusa, żeby nie mówił chłopcu o ataku.

– Magnusie, wydaje mi się, że twój ojciec chciał z tobą rozmawiać – powiedział Nakor.

– Nie wątpię – odparł mag, podnosząc lekko jedną brew do góry. – Zostawiam cię na łasce Nakora – zwrócił się do Szpona. – Doradzam ci, żebyś się zanadto nie zmęczył. Twoje rany były bardzo poważne i potrzebujesz jedzenia i odpoczynku bardziej niż czegokolwiek innego.

– Odprowadzę go do jego pokoju – obiecał Nakor.

Szpon życzył Magnusowi dobrego dnia i poszedł w kierunku swojego pokoju. Nogi drżały mu coraz mocniej, i kiedy w końcu dotarł do sypialni, Nakor pomógł mu wejść do łóżka.

W tym małym człowieczku tkwiło coś, co bardzo intrygowało Szpona. Chłopiec był pewien, że mężczyzna posiada niezmierzone pokłady sił, i coś

jeszcze. Jednak były nauczyciel Magnusa przez całą drogę powrotną nie odezwał się nawet słowem.

– Nakorze?

– Tak, Szponie?

– Kiedy się w końcu dowiem?

Nakor przyjrzał się twarzy chłopca i zobaczył, że Szpon z trudem utrzymuje otwarte oczy.

– Niebawem, Szponie, niebawem – odpowiedział, kiedy w końcu zmęczenie pokonało chłopca i jego powieki opadły.



Minął tydzień i Szpon odzyskał siły. Obserwował z zaciekawieniem, kiedy zdejmowano mu bandaż, i odkrył, że jego ciało pokrywa szereg blizn, które wbiłyby w dumę każdego starszego członka jego klanu. Nie miał jeszcze dwudziestu lat, a wyglądał jak weteran wielu bitew, jak mężczyzna dwukrotnie od niego starszy. Przez chwilę poczuł głęboki smutek, gdyż zdał sobie sprawę, że nie ma nikogo na tym świecie, komu mógłby pokazać te blizny wojownika. A kiedy jego dłoń przypadkowo dotykała twarzy, zdawał sobie sprawę, że nawet gdyby ktoś z jego plemienia przeżył tamtą masakrę, on nie ma na twarzy tatuaży, które wskazywałyby na jego przynależność do ludu Orosinich. Miranda zdjęła ostatni bandaż i zauważyła gest chłopca.

– o czym myślisz?

– o moich ludziach – odparł Szpon.

Miranda skinęła głową.

– Wielu z nas boryka się z czarną przeszłością, Szponie. Opowieści, które mógłbyś tutaj usłyszeć, nauczyłyby cię, że nie jesteś osamotniony w swoich odczuciach. – Usiadła na skraju łóżka i ujęła jego dłoń. – Niektórzy

tutaj to uchodźcy, uciekający przed zbrodnią i rozlewem krwi, podobnie jak ty. Inni to ci, którzy przeżyli i stracili wszystko – swoje domy i rodziny, również podobnie jak ty.

– Co to za miejsce, Mirando? Magnus wymijająco odpowiada na moje pytania, a Nakor zawsze wszystko obraca w...

– Żart?

Szpon uśmiechnął się.

– Czasami naprawdę jest zabawny.

– Niech ten uśmiech cię nie zmyli, chłopcze – ostrzegła go Miranda, poklepując jego dłoń. – To prawdopodobnie najniebezpieczniejszy człowiek, jakiego kiedykolwiek poznałam.

– Nakor?

– Nakor – powtórzyła, wstając. – A teraz poczekaj tutaj i odpoczywaj. Wkrótce ktoś do ciebie przyjdzie.

– Po co? – zapytał, czując zniecierpliwienie i chęć, by wyjść wreszcie z tego pokoju.

– Żeby cię dokądś zabrać.

– Dokąd?

– Zobaczysz – odparła, wychodząc z sypialni.

Szpon położył się z powrotem na łóżku. Jego ciało było sztywne, a rany ciągle bolały. Czuł jednak potrzebę wyjścia i zajęcia się czymś, żeby rozprostować kości i zaczerpnąć głęboko powietrza. Chciał biec, wspinać się, tropić jelenia w lesie. Zadowoliliby się nawet łowieniem ryb, gdyż przechadzka w dół i w górę urwiska byłaby dobrym ćwiczeniem.

Szpon zamknął oczy i odpłynął we wspomnienia o ludziach siedzących wokół jasnego ognia, opowiadających historie w długim domu. Myślał o oczyszczających rytuałach, które odbywały się w specjalnych budowlach. Kiedy śnieg topniał na zboczach gór, para bijąca z rozgrzanych kamieni

spowijała grupki dziesięciu albo więcej mężczyzn, kobiet, chłopców i dziewczynek. Wszyscy śpiewali, witając nadchodzącą wiosnę i oczyszczali się z nagromadzonego przez zimę brudu i potu.

Pomyślał o matce i ojcu i poczuł napływający smutek. Twarda gorycz, jaką czuł przez rok po tym, jak obcy zniszczyli jego wiosnę, została zastąpiona przez cichą tęsknotę i rezygnację. Był ostatnim z Orosinich i na nim spoczywał ciężar zemsty, ale poza tym punktem jego przyszłość ciągle pozostawała zagadką.

Dryfował, na wpół śpiąc, kiedy nagle poczuł, że ktoś wchodzi do pokoju.

Otworzył natychmiast oczy i jego serce zabiło żywiej. Patrzył na twarz młodej kobiety, którą spotkał tutaj po raz pierwszy. W jej obliczu dominowały najbardziej zniewalające niebieskie oczy, jakie kiedykolwiek widział. Były ogromne i miały kolor bławatków. Rysy twarzy dziewczyny były bardzo delikatne. Broda rysowała się wyraźnie, a pełne usta i prawie doskonale prosty nos dopełniały obrazu. Miała włosy w kolorze jasnego miodu, lekko rozjaśnione słońcem. Ubrana była w prostą, niebieską suknię z odkrytymi ramionami i owalnym dekoltem, podobną do tych, jakie nosiły wszystkie kobiety w tym miejscu, ale na niej ubiór ten prezentował się wspaniale, gdyż dziewczyna miała szczupłą sylwetkę i poruszała się jak prawdziwy łowca.

– Czy ty nazywasz się Szpon?

– Tak – odparł, zmuszając się do wypowiedzenia tego jednego słowa, gdyż widok dziewczyny zaparł mu dech w piersiach.

– Chodź ze mną – poleciła mu.

Wstał i poszedł za nią, kiedy opuściła pokój. Na zewnątrz chłopiec przyspieszył kroku i zrównał się ze swoją przewodniczką.

– Jak się nazywasz? – zapytał.

Odwróciła się i obrzuciła go poważnym spojrzeniem, unosząc lekko brodę, jakby chciała mu się lepiej przyjrzeć. A potem się uśmiechnęła i jej twarz jakby pojaśniała.

– Jestem Alysandra – przemówiła łagodnym głosem, który brzmiał prawie jak muzyka.

Szpon nie wiedział, co ma powiedzieć. Jej widok paraliżował mu umysł. A pamięć o Leli i Meggie odeszła, zdmuchnięta przez piękno tej kobiety. Szpon poczuł znajome ściskanie w żołądku.

Przecięli rozległy dziedziniec i skierowali się ku głównej części domostwa, gdzie Szpon nigdy jeszcze nie był.

– To tutaj – pokazała mu drzwi, odwracając się szybko. A potem bez słowa odeszła, zostawiając go przed drzwiami z otwartymi ustami. Patrzył, jak idzie przez dziedziniec, a jej widok powodował jeszcze mocniejszy skurcz żołądka. Wydawało mu się, że widzi ją zaledwie przez moment. Zniknęła nagle za drzwiami, a on został sam przed głównym budynkiem.

Po chwili zebrał się do kupy i przyjrzał się drzwiom. Były proste, zrobione z drewna i miały jedną klamkę. Złapał za nią i wszedł do środka.

W pustym pokoju stali trzej mężczyźni. Szpon rozpoznał dwóch z nich: Nakora i Roberta.

– Panie! – zawołał Szpon ze zdumieniem.

Robert skinął mu głową.

– Stań tam, Szponie – polecił chłopcu, pokazując na miejsce na środku pokoju.

Trzeci mężczyzna był niski, miał ciemne włosy i brodę. Przyglądał się chłopcu wzrokiem, który wprowadził Szpona w zakłopotanie. Nie było żadnych wątpliwości, że ten człowiek posiadał moc. Już sam jego wygląd na to wskazywał, ale rzecz dotyczyła raczej jego wnętrza. Podczas chwil spędzonych z Magnusem i Robertem Szpon nauczył się w jakiś sposób

wyczuwać u ludzi magiczne zdolności, a ten człowiek z pewnością był magiem.

– Nazywam się Pug – przemówił w końcu. – Nazywają mnie także Czarnym Czarnoksiężnikiem.

Szpon skinął głową, nie odzywając się.

– To jest moja wyspa – kontynuował Pug – i wszyscy, którzy na niej mieszkają, są moimi przyjaciółmi i uczniami.

– Pug był moim nauczycielem, podobnie jak Nakor – wtrącił się Robert.

Szpon dalej się nie odzywał.

– Atak tancerzy śmierci – włączył się do rozmowy Nakor – zmienił wiele rzeczy, chłopcze. Oceniliśmy twoje postępy i postanowiliśmy zastanowić się nad twoją przyszłością.

Szpon znów nic nie powiedział, ale w jego oczach można było dostrzec nieme pytanie.

– Próbowaliśmy ocenić – mówił dalej Robert – czy powinieneś zostać u mnie na służbie do czasu, aż zwolnię cię przysięgi krwi, Szponie. Albo może się okazać, że posiadasz dar, który zakwalifikuje cię do naszego stowarzyszenia, tutaj na tej wyspie.

– Do jakiego stowarzyszenia, panie? – zapytał w końcu Szpon.

Trzej mężczyźni wymienili spojrzenia.

– Nazywamy siebie Konklawe Cieni, Szponie – odpowiedział mu Robert. – Kim jesteśmy, dowiesz się w swoim czasie, o ile wejdiesz w nasze szeregi. To, czego od ciebie oczekujemy, także zostanie tobie wyjawione.

– Ale zanim ci opowiemy o tym i o wielu innych rzeczach – powiedział Pug – musisz do nas dołączyć. Twój dług względem Roberta zostanie spłacony i będziesz wolnym człowiekiem. Będziesz mógł robić to, co ci

podpowiada zdrowy rozsądek, ale oczywiście będziesz miał także zobowiązania względem Konklawe.

– Ale wraz z tymi zobowiązaniami zyskasz także wiele rzeczy. Jesteśmy zamożni, możemy zapewnić ci dostatek na resztę twojego życia. Mamy możliwych sprzymierzeńców, więc będziesz mógł z łatwością poruszać się wśród szlachty i ludzi władzy, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

– Ale marny także potężnych wrogów – mówił dalej Nakor. – Tancerze śmierci to tylko jedna z wielu prób usunięcia ważnych członków naszej organizacji. Gdyby im się udało zabić Magnusa, nasz związek zostałby osłabiony na wiele lat.

– A co będę musiał zrobić?

– Będziesz musiał złożyć przysięgę lojalności – odparł Robert. – Nie względem mnie, ale względem Konklawe, Szponie. Opuścisz ten pokój jako członek stowarzyszenia, a wraz z przysięgą przyjdą korzyści, ale też odpowiedzialność, której zaledwie cień poczułeś do tej pory.

– To brzmi trochę tak, jakbym w tej sprawie miał jakiś wybór – powiedział Szpon.

– Bo masz – zgodził się Nakor.

– Więc jaka jest ta druga możliwość?

Pug spojrzał na Nakora i Roberta.

– Śmierć – odpowiedział.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

DECYZJA

Szpon stał w milczeniu.

Wodził oczyma od jednego do drugiego oblicza, przyglądając się trzem mężczyznom i próbując wyczytać coś z wyrazów ich twarzy. Nie wiedział, czego od niego oczekują.

Wszyscy trzej czekali bez ruchu, z twarzami nie wyrażającymi absolutnie nic. Pug przyglądał się chłopcu, jakby próbował odczytywać jego myśli. Robert najwyraźniej po prostu czekał na to, co ma zamiar powiedzieć Szpon. Nakor próbował wyciągnąć jakieś wnioski co do decyzji chłopca, przypatrując się uważnie jego postawie, twarzy i szukając innych znaków, które mogłyby dać mu jakąś wskazówkę co do myśli szalejących pod czaszką Szpona.

– Najwyraźniej nie mam żadnego wyboru – powiedział chłopiec po długiej chwili milczenia.

– Nie – odparł Robert – zawsze jest jakieś wyjście. Oczywiście my stoimy przed bardzo trudnym wyborem. – Przerwał na chwilę. – Pug jest moim nauczycielem – mówił dalej – i przywódcą naszego stowarzyszenia.

Pug przez chwilę wpatrywał się w chłopca, a potem się uśmiechnął. Kiedy rysy jego twarzy złagodniały, wydał się o kilka lat młodszy od Roberta, jego ucznia.

– Miałeś tutaj nigdy nie dotrzeć, Szponie. Mój syn przyprowadził cię na północne wybrzeże tej wyspy, żeby cię odizolować od tego domu. Mógłbyś się wtedy skupić na nauce i odnieść z niej większe korzyści. – Mag skinął

dłonią i świece, umieszczone na metalowej obręczy podwieszanej pod sufitem, zapłonęły jasnym blaskiem. W pokoju zrobiło się widno. Robert i Nakor przynieśli cztery krzesła z kąta pomieszczenia. Robert postawił jedno koło Szpona, a drugie obok Puga i trzech magowie usiedli. Pug pokazał krzesło chłopcu, prosząc go gestem, żeby uczynił podobnie.

– Czy naprawdę zamierzacie mnie zabić, jeżeli się nie zgodzę? – zapytał Szpon, jak tylko usiadł.

– Nie – odparł Pug. – Ale w pewnym sensie byś umarł. Bylibyśmy zmuszeni do usunięcia twoich wspomnień. Ten proces nie jest bolesny. Po prostu byś zasnął, a kiedy byśmy cię obudzili, byłbyś kimś zupełnie innym. Młodym człowiekiem, który odniósł poważne obrażenia podczas wojny, albo może spadając z dachu swojego domu.

Ludzie, którzy twierdziliby, że znają cię od urodzenia, powitaliby z otwartymi ramionami twój powrót do zdrowych zmysłów i z wielką chęcią oświeciliby cię w sprawie twojej przeszłości. Możemy to tak zorganizować, że wersja przeszłości będzie bardzo przekonująca i po jakimś czasie uwierzyłbyś bez zastrzeżeń w to, kim jesteś.

– Ale, jeżeli rozumiem – zaniepokoił się Szpon – Szpon Srebrnego Jastrzębia byłby na zawsze martwy.

Robert skinął potakująco głową.

– Ostatni z Orosinich odszedłby w zapomnienie – dodał Nakor.

Szpon zamilkł, rozważając w duszy słowa, które właśnie usłyszał.

– Opowiedzcie mi więcej – powiedział w końcu – abym mógł wybrać mądrze i z sensem. Nie mam ochoty tracić wspomnień i wiedzy, kim jestem, chociaż zapomnienie o masakrze moich bliskich czasem mogłoby przynieść mi ulgę, ale mam pewne długi, które muszę spłacić i nie wolno mi o tym zapomnieć.

– Jeżeli złożysz przysięgę – zapewnił go Robert – twój dług względem mnie zostanie anulowany.

– Ale jest jeszcze jeden – odparł Szpon.

– Masz zobowiązania krwi – potwierdził Pug.

– Muszę pomścić moich bliskich. Nawet gdyby mordercy zabili tylko jednego członka mojej rodziny czy klanu, ścigałbym ich bez wytchnienia, aż każdy zapłaciłby za swoje czyny krwią. Ale ci ludzie zniszczyli całe moje plemię. Ja jestem ostatnim z Orosinich, chyba że ktoś jeszcze, o kim nie wiem, przeżył tę masakrę. – Kiwnął głową w kierunku Nakora. – Nie mogę jeszcze umrzeć, w żadnym tego słowa znaczeniu, ani na ciele, ani na umyśle, dopóki moi rodacy nie zostaną pomszczeni.

– W tej materii nasze cele może wcale nie są tak rozbieżne – powiedział Nakor. Spojrzał na Puga. – Czy mogę?

Pug przytaknął.

Nakor usiadł wygodnie na swoim krześle, sięgnął do torby, którą trzymał na kolanach i wyjął z niej pomarańczę. Następnie wbił w owoc kciuk. Popatrzył na dwóch pozostałych mężczyzn i podniósł brew. Obaj potrząsnęli przecząco głowami, tylko odrobinę, i Nakor z powrotem zwrócił swoją uwagę na Szpona.

– Widzisz przed sobą przywódców grupy ludzi – zaczął Nakor. – Ta wyspa była niegdyś schronieniem dla wielu wygnańców różnych ras, uciekających przed wojną, czy coś w tym rodzaju. Jeszcze wcześniej wyspa ta była domem pierwszego czarnego czarnoksiężnika o imieniu Macros. Miranda jest jego córką. I żoną Puga. Razem pełnią funkcję pana i pani tej wyspy, Szponie. Spotkałeś już ich dwóch synów.

Przez minione lata wielu ludzi przybyło tutaj i zostało z nami na tej wyspie. Uczniowie z... hm, z wielu miejsc, które są niewyobrażalne dla

większości ludzi. – Uśmiechnął się, szczerząc zęby. – Niektórych nawet ja sobie nie potrafię wyobrazić, a mam przecież całkiem niezłą wyobraźnię.

– Możemy odłożyć tę opowieść na później, Nakorze – przerwał mu Pug.
– Opowiedz mu, co go czeka.

Uśmiech Nakora zniknął z jego twarzy. Mężczyzna ugryzł pomarańczę i przez chwilę żuł owoc, głęboko pogrążony w myślach.

– Jak już powiedziałem, jesteśmy przywódcami pewnej grupy ludzi. Wielu z nich przybyło tutaj, aby się uczyć i służyć.

– Służyć? – zapytał Szpon.

Nakor ponownie się uśmiechnął.

– No, wiesz, nigdy jeszcze nie musiałem nikomu tłumaczyć, czym się tutaj zajmujemy, Pug.

Pug przytaknął.

– I teraz też nie musisz nic tłumaczyć. Po prostu przedstaw chłopcu ogólny opis tego, czym jesteśmy, i jeżeli Szpon zgodzi się nam służyć, nauczymy go wszystkiego z czasem, najlepiej jak się da.

Robert podniósł rękę.

– Czy mogę?

Pug skinął głową.

– Szponie, my trzej należymy do Konklawe Cieni. Konklawe składa się z mężczyzn i kobiet, którzy związali się ze sobą nie bez przyczyny. Ten powód stanie się dla ciebie jasny w miarę upływu czasu, ale w tej chwili są rzeczy, o których nie jesteś jeszcze gotów usłyszeć.

Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że służymy jednemu celowi. Sprzeciwiamy się złu panującemu w dzisiejszym świecie, włączając siły, które brały udział w spisku na rzecz zniszczenia twoich rodaków. Jeżeli masz zamiar pomścić ludzi swojego plemienia, najlepiej będzie, jeżeli dołączysz do nas i będziesz nam służył.

Szpon spojrział Robertowi w oczy.

– Zawdzięczam ci życie, panie, i spłacę ten dług, ale prosisz mnie, żebym zmierzył się z bardzo poważnym żądaniem. Nie widziałem nic, ani u Kendrika, ani tutaj, co mogło podważyć sens tego żądania, ani spowodować, że myślałbym o tobie albo o twoich przyjaciółach jako o złych ludziach. Ale mój dziadek powiedział mi raz, że ludzie, którzy popełniają złe czyny, często robią to w imieniu dobra ogółu. W historii Orosinich zdarzali się wodzowie i szamani, którzy sprowadzali naród na złą drogę, twierdząc, że czynią to dla ich dobra.

Widziałem na własne oczy zło, tamtego dnia, kiedy zabito moją rodzinę. Nie znam przyczyny, dla której wybito cały mój naród. Wiem tylko, że ci mężczyźni, którzy zabili kobiety i dzieci z mojego plemienia, czynili wielkie zło.

Robert ponownie podniósł dłoń.

– O jednym mogę cię zapewnić. Ci, którzy zniszczyli twój dom, nie pobłądzili na manowce w dążeniu do osiągnięcia dobra ogółu. Byli wynajętymi najemnikami, którzy zabijali dla złota, a pomagali im żołnierze księstwa Olasko. W przyszłości porozmawiamy o tym. W tej jednak chwili rozważ, że mamy swoje powody, aby ścigać tych, którym ty także chcesz wymierzyć sprawiedliwość.

– Robercie, ocaliłeś mi życie, a mogłeś po prostu zostawić mnie dla kruków i innych padlinożerców – powiedział Szpon.

– Nie zobaczyłem niczego w tobie ani w twoich przyjaciółach, co mogłoby przynieść im ujmę na honorze. Kaleb i Magnus – kiwnął głową w stronę Puga – nauczyli mnie bardzo wielu rzeczy i podczas gdy potrzebowałem pomocy, tutaj spotkałem się z łagodnością... – Pomyślał o Alysandrze. – Jest tutaj tak wiele istot, które przynoszą radość. – Wziął głęboki oddech i mówił dalej. – Bogowie postawili moją stopę na ścieżce,

która biegnie i dociera do celu, jakiego nawet nie mogę się domyślać. Ale od dnia, kiedy obudziłem się na twoim wozie, Robercie, ty zacząłeś dbać w całej pełni o moje życie. Powiedz mi więc teraz, co mam zrobić.

– Nie mogę, Szponie. Powinieneś wiedzieć jedną rzecz. Przysięga złożona Konklawe Cieni musi być wypowiedziana świadomie i z własnej woli, bez wahania. Gdyż kiedy już wejdiesz w nasze szeregi, nie ma odwrotu. Złamanie przysięgi oznacza śmierć.

– I to nie tylko śmierć wspomnień i osobowości – dodał Pug.

– Kiedy zostaniesz jednym z nas, zaczniesz się uczyć rzeczy, które nie mogą wyjść poza krąg wtajemniczonych. Rzeczy, za które może będziesz musiał umrzeć, byle tylko zachować je w tajemnicy. Nakor wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Ale złożenie przysięgi może także dać ci pewne korzyści. Pokażemy ci wiele niesamowitych rzeczy i cudów, których nigdy nie zapomnisz. Tutaj przez rok nauczysz się więcej niż przez dwanaście żyć w tych twoich górach, które uważałeś za dom.

– Już się wiele nauczyłem – stwierdził Szpon.

– Będziesz chciał wyrzucić zemstę na swoich wrogach – kontynuował Nakor. – Ale do tego celu potrzebujesz sprzymierzeńców i pieniędzy. Możemy ci zapewnić obie te rzeczy.

– A co muszę zrobić?

Pug wstał z krzesła i podszedł do chłopca. Stał przed nim, podczas gdy Robert i Nakor ustawili się po obu stronach krzesła, na którym siedział Szpon.

– Czy przysięgasz lojalność Konklawe Cieni, Szponie Srebrnego Jastrzębia? Czy wkraczasz w nasze szeregi z wolnej woli i świadomie? Czy obiecujesz, że będziesz słuchał poleceń tych, którzy stoją ponad tobą i ochraniają z narażeniem własnego życia tobie podległych? Odpowiedz na

nasze pytania z pewnością siebie albo milcz. Wszystko albo nic, Szponie. Jaka jest twoja odpowiedź?

Szpon milczał przez chwilę, a potem wziął głęboki oddech.

– Tak, będę służył Konklawe – powiedział wreszcie.

– Dobrze. Bardzo dobrze – westchnął Nakor. – Położył dłoń na ramieniu chłopca i wyjął z torby kolejną pomarańcz. – Chcesz jedną?

– Dziękuję ci. – Szpon wziął owoc z ręki starca.

– No więc – zaczął Robert – przypuszczam, że powinienem powiedzieć Magnusowi, żeby zamknął tę swoją małą chatkę i dołączył do nas. Edukacja Szpona musi się zacząć najszybciej, jak się da.

I z tymi słowami opuścił pomieszczenie.

– Nakorze – odezwał się Pug. – Pokaż Szponowi, gdzie ma się zatrzymać. Daj mu pokój z Rondarem i Demetriuszem.

Nakor skinął głową.

– Chodź ze mną, chłopcze.

Kiedy wyszli z pokoju, Pug stał sam przez dłuższą chwilę.

– Co o tym myślisz? – zapytał w końcu, adresując swoje pytanie do powietrza.

Z cienia w najdalszym kącie pokoju doszedł głos.

– Myślę, że nie daliśmy temu chłopcu wyboru – odparła Miranda, wychodząc z mroku.

– A co innego mogliśmy zrobić?

– Wyleczyć go, a potem pozwolić mi zabrać jego wspomnienia i zabrać go z powrotem do chaty Magnusa. Magnus mógłby opowiedzieć mi jakąś historyjkę o upadku z klifu albo o dzikim zwierzęciu. Sugestywna opowieść wystarczyłaby, żeby chłopiec w to uwierzył.

– Masz rację – przytaknął Pug.

– Ja mam zawsze rację – odparła z krzywym uśmieszkiem i ramieniem otoczyła męża w pasie.

– Oczywiście, kochanie – zgodził się Pug, odwzajemniając uśmiech.

– A więc pozostaje pytanie, dlaczego nie daliście mu wyboru?

Pug nie odzywał się przez moment.

– Nie wiem – powiedział z wahaniem. – Coś w nim wyczułem. Wydaje mi się, że ten chłopiec może być dla nas ważny.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Wiem tylko, że ostatnimi czasy nasz wróg urósł w siłę. Ci tancerze śmierci nadeszli tutaj nieoczekiwanie. Przypomnieli mi o czasach, które już dawno minęły.

– Obawiają się rosnącej mocy Magnusa.

– Cóż, powinni. Prawdopodobnie stanie się on najpotężniejszym magiem, jaki kiedykolwiek postawił stopę na tej planecie.

– Jeżeli uda nam się utrzymać go przy życiu – zatroskała się Miranda z matczynym zaniepokojeniem w głosie.

– Ci tancerze śmierci raczej kojarzą mi się z latami, kiedy walczyliśmy z armiami czy demonami.

– Coś najwidoczniej musiało ich zirytować.

Pug zaśmiał się.

– Magnus zniszczył im świątynię kultu śmierci gdzieś w południowym Keshu. Może to ich tak zezłościło, że poważyli się na akcję odwetową.

– Tancerze śmierci to nie są zwyczajni magicy, mój drogi. Jeżeli chciałabym stworzyć podobne kreatury i znalazłabym trzy istoty ludzkie gotowe oddać swoje dusze po dobroci, i tak stworzenie tancerzy zajęłoby mi długie miesiące. – Spojrzała na męża zagadkowo. – A przecież jestem lepsza w tych sprawach niż ty.

Pug uśmiechnął się.

– Wiem. I właśnie dlatego uważam, że Szpon może się nam przydać. –
Dlaczego?

– Gdyż, kiedy wilki walczą o padlinę jelenia, mysz może się prześlizgnąć i uszczknąć dla siebie kęs.

– Wilki też jedzą myszy – przypomniała mu.

– Ale tylko wtedy, kiedy potrafią je złapać. Kiedy nasi wrogowie próbują zniszczyć naszego syna, nie zauważą nadejścia Szpona.

Miranda przytuliła się mocniej do męża, jakby nagle ogarnął ją chłód.

– Ze względu na chłopca, mam nadzieję, że masz rację.

– Którego chłopca? Szpona czy Magnusa?

Miranda westchnęła.

– Obu.



Szpon poszedł za Nakorem wzdłuż korytarza. Przyciskał do piersi swoje małe zawiniątko z osobistymi rzeczami. Ciągłe czuł się słabo, ale sztywność powoli opuszczała jego członki. Przeszli obok szeregu drzwi, które w większości były zamknięte, jednak przez te kilka otwartych Szpon mógł zobaczyć pokoje umeblowane łózkami. W każdym stały cztery posłania.

W jednym z pokoi zobaczył siedzącą na łóżku Alysandrę, pogrążoną w rozmowie z rozchichotaną, ciemnowłosą dziewczyną. Zakrywała sobie usta dłonią. Obie dziewczyny podniosły wzrok, kiedy Szpon przechodził obok ich pokoju. Kiedy je minął, usłyszał, że się śmieją.

Szpon poczuł, że rośnie w nim irytacja, uczucie, którego pochodzenia chłopiec nie mógł się doszukać. W każdym razie wydało mu się, że chichotanie w momencie, kiedy on złożył tak poważną przysięgę, wstępując

do organizacji, której zamiarów i celów nie rozumiał ani trochę, jest cokolwiek nie na miejscu.

W końcu dotarli do drzwi, które prowadziły do sporego pokoju, większego nieco niż pozostałe. Tak jak w innych mijanych pomieszczeniach, stały tam cztery łóżka. Nakor ręką nakazał Szponowi usiąść na posłaniu po lewej stronie od wejścia, w głębi. Sam usiadł na łóżku naprzeciwko.

– Cóż, tutaj zaczyna się twoje nowe życie.

Szpon wzruszył ramionami.

– Moje nowe życie zaczęło się w momencie, kiedy znalazł mnie Robert. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Nakor potrząsnął przecząco głową.

– Nie, to twoje stare życie skończyło się tamtego dnia. Przez ostatnie dwa lata po prostu egzystowałeś, nie żyłeś. Leczyłeś się z ran i uczyłeś nowych rzeczy, ale nie miałeś przed sobą żadnego celu.

– A teraz mam jakiś cel?

– Daleko ważniejszy niż możesz sobie wyobrazić – odparł Nakor. – Musisz się jeszcze wiele nauczyć, ale masz czas. Pamiętam niecierpliwość młodości – dodał z uśmiechem. – Wydajesz mi się bardziej cierpliwy niż inni chłopcy w twoim wieku, ale jednakże wiem, że ciągle poszukujesz odpowiedzi na wiele pytań, rozwiązania zagadek i wytłumaczenia postępków. Wszystko w swoim czasie, chłopcze.

– Od kiedy dostałem się pod opiekę Roberta, czułem, jakbym poruszał się w nieznanym kierunku – powiedział Szpon. – Dorosłem, tak mi się wydaje...

– Bardzo, przynajmniej wedle opinii twoich nauczycieli.

– Czy teraz ty będziesz moim nauczycielem?

Nakor wzruszył ramionami i wstał.

– Zobaczymy. A teraz, słyszę, że twoi nowi przyjaciele wracają do swojej sypialni, więc zostawię was samych, żebyście się mogli poznać.

Kiedy dotarł do drzwi, dwaj młodzi mężczyźni mniej więcej w wieku Szpona weszli do pokoju. Widząc Nakora, odsunęli się, żeby go przepuścić, z szacunkiem skłaniając lekko głowy.

– Macie nowego chłopca, który będzie z wami mieszkał – powiedział do nich Nakor, kiedy się mijali.

– Tak, mistrzu Nakorze – odparł jeden z chłopców, jasnowłosy, barczysty młodzian z zielonymi oczyma i mnóstwem piegów na nosie.

Drugi młodzieniec miał ciemne włosy, ale jasną cerę. Szpon nie potrafił się zdecydować, czy chłopak zamierza zapuścić sobie brodę, czy po prostu kiepsko się ogolił poprzedniego dnia. Miał prawie czarne włosy, które zwęziły się lekko na widok Szpona. Rzucił się na łóżko stojące pod tą samą ścianą co poślanie Szpona, podczas gdy jasnowłosy usiadł naprzeciwko.

– Nazywam się Demetriusz – powiedział. Pokazał na czarnowłosego. – A to Rondar. On nie mówi zbyt wiele – dodał. Rozmawiali w języku królestwa, który wydawał się nieoficjalnie obowiązującym na wyspie.

Rondar pokiwał głową, ale się nie odezwał.

– Ja jestem Szpon – przedstawił się chłopiec.

Demetriusz w odpowiedzi skinął głową.

– Słyszeliśmy o tobie. Udało ci się przeżyć spotkanie z trzema tancerzami śmierci. Imponujące.

Szpon usiadł na łóżku, opierając się plecami o ścianę.

– Ja nawet nie wiem, kim są ci tancerze śmierci.

– Są źli – odezwał się Rondar.

– Bardzo źli – zgodził się Demetriusz. – Magiczne istoty używające dusz ludzi potępionych. Mają zawsze jedną misję – zabić konkretną osobę. Bardzo trudno jest umknąć jednemu, ale trzem...

– Imponujące – odezwał się Rondar.

– Jak długo już tutaj jesteście? – spytał Szpon.

– Pięć lat – odparł Demetriusz. – Mój ojciec zajmował się wyrobem mikstur i okładów w wiosce, w południowym Keshu, niedaleko miasta Anticostinas. Cóż, to miejsce trudno nawet nazwać miastem, raczej większa wioska. Kilku kapłanów boga Guis–Wa oskarżyło go o herezję, gdyż używał magii, chociaż, szczerze mówiąc, nie było w tym nic magicznego. Używał ziół, roślin i zdrowego rozsądku. Ale jednej nocy pijani mieszkańcy miasteczka przyszli do nas i spalili dom aż do fundamentów. Zabili moją rodzinę. Pętałem się tam i siam, aż trafiłem na Nakora, który pokazał mi kilka sztuczek. W każdym razie wyszło na to, że chociaż mój ojciec nie był magiem, może ja nim jestem. A więc jestem tutaj i się uczę.

– Ja też straciłem rodzinę – zwierzył się Szpon. Spojrzał na Rondara, który popatrzył na Demetriusza i kiwnął raz głową.

– Jego ojciec jest przywódcą jeźdźców Ashunta, w północnym Keshu. To doskonali znawcy koni...

– Najlepsi – dodał Rondar.

– ...dobrzy myśliwi...

– Najlepsi – powtórzył Rondar.

Szpon wyszczerzył zęby.

– Przekonamy się o tym!

– ...a poza tym gromada zadufanych w sobie, niedomytych barbarzyńców, traktujących kobiety jak bydło, a bydło jak domowe zwierzątka.

– Prawda. – Rondar wzruszył ramionami.

Szpon uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Jak on się w takim razie dogaduje z Mirandą?

Demetriusz wybuchnął śmiechem.

– Ona próbuje go nauczyć, w jaki sposób powinien okazywać szacunek kobiecie.

Twarz Rondara zasępiła się. Chłopak westchnął z rezygnacją i oparł brodę na splecionych dłoniach.

– Bolesna prawda – powiedział.

– Jak się i utaj znalazłeś? – zapytał Szpon.

Rondar przeturlał się na plecy. Przez chwilę nie odzywał się, a potem zaczął z mozołem wypowiadać słowa, jakby było to dla niego torturą.

– Moi ludzie są jeźdźcami. Jeżeli nie potrafisz jeździć konno ani polować, nie masz kobiety. Nie masz kobiety, nie masz dzieci. – Zasłonił sobie oczy ramieniem, jakby męczyło go przypominanie sobie rodzinnego domu. – Mężczyźni, którzy nie potrafią jeździć, są... gorsi. To nie mężczyźni. Zbierają drewno na opał, pomagają gotować, wychowują chłopców.

Szpon zerknął na Demetriusza.

– A co robią kobiety?

Demetriusz wykrzywił się.

– Są własnością.

– Rodzą dzieci. Mężczyźni wychowują chłopców.

– Trudno stwierdzić, co jest ważniejsze dla mężczyzny Ashunta – odezwał się Demetriusz. – Dobry koń czy kobieta.

– To zależy od tego – odparł Rondar – czy więcej jest kobiet, czy koni. – Znowu się przeturlał i oparł na łokciu. Jego czarne oczy wpatrywały się twardo w Szpona. – Mamy swoje zwyczaje – powiedział. – Ja nie jestem dobrym jeźdźcą, ale szaman stwierdził, że mam talent. Tak więc zamieszkałem z szamanem. – Wyglądało na to, że osiągnął już kres wytrzymałości. – Ty mu odpowiedz – rozkazał Demetriuszowi.

Demetriusz skrzywił się lekko.

– Ashunta żyją na zachodzie Imperium. Nikt inny nie chciałby się osiedlić na tych bezkresnych łąkach, ale handlarze niewolników wszelkiej maści i zbóje często poruszają się po tych terenach, aby ujść czujnemu oku armii Imperium. Nasz przyjaciel i jego pan zbierali sobie zioła na jakiś tam rytuał, kiedy dopadła ich banda handlarzy ludzkim towarem. Szaman był dla nich za stary i nic nie wart, ale nasz postawny kolega, który tutaj siedzi, uzyskałby niezłe ceny na targu niewolników.

– Nakor mnie kupił – przerwał Rondar. – On mówi zbyt dużo.

Szpon uśmiechnął się.

– Kto? Nakor czy Demetriusz?

– Tak – przytaknął Rondar.

Demetriusz wyciągnął rękę i po przyjacielsku klepnął Rondara w tył głowy.

– Nasz małomówny przyjaciel, który tutaj siedzi, to dobry chłop, mimo tej swojej manieri. Jest całkiem wygadany, kiedy w pobliżu pojawi się jakaś dziewczyna i ma ochotę wysłuchiwać tych jego nonsensów.

Rondar podniósł głowę i pokazał w uśmiechu zęby.

– Prawda.

– A jeżeli chodzi o dziewczyny... – podchwycił Szpon.

Rondar i Demetriusz wymienili spojrzenia.

– Alysandra! – wykrzyknęli jednym głosem i wybuchnęli śmiechem.

Szpon poczuł, jak krew uderza mu na policzki, ale uśmiech nie zszedł mu z twarzy.

– Co z nią?

– Słyszałem, że od czasu do czasu wpadała do ciebie, żeby cię pielęgnować – odezwał się niewinnie Demetriusz.

– Każdy chłopak jej pragnie – dodał Rondar.

– Wy dwaj także? – spytał Szpon.

– Każdy próbuje, kiedy ją pozna – powiedział Demetriusz. – Ona jest inna. Ale potrafi sprawić, że staniesz się jej przyjacielem i czujesz się jak idiota, próbując umówić się z nią sam na sam.

– Jest warta mnóstwa koni – westchnął Rondar.

– To brzmi, jakbyś się w niej zakochał – zaśmiał się Szpon.

– To prawda – zgodził się Rondar. – Każdy się w niej kocha.

– Kim ona jest?

– Tego nikt nie wie – wyjaśnił Demetriusz. – A przynajmniej nikt z tych, którzy wiedzą, nie mówi o tym. Jest tutaj dłużej niż każdy z nas i najwyraźniej należy do specjalnej kategorii. Słyszałem, jak rozmawia z wieloma obcymi przybyszami w ich ojczystych językach. Spędza mnóstwo czasu sam na sam z Mirandą.

– Dlaczego to jest niby takie dziwne? – zapytał Szpon.

Zabrzmiał dzwon i Demetriusz wstał z łóżka.

– Kolacja – oznajmił. – Porozmawiamy po drodze.

Wyszli przez drzwi, Rondar szedł krok za nimi. Szpon poruszał się z trudem, ale dotrzymywał kroku Demetriuszowi tak długo, jak chłopiec szedł wolnym krokiem.

– Wiesz, że Miranda jest żoną Puga? – zapytał Demetriusz.

Szpon przytaknął.

– Znam ich synów.

– Pug jest... rządzi na tej wyspie, z braku lepszego słowa na określenie jego obowiązków. Ale Miranda jest mu równa pod każdym względem. I niektórzy mówią, że ona jest potężniejszym magiem. Jedno co wiem, to to, że spędza niewiele czasu ze studentami, ale z Alysandrą przesiaduje godzinami.

– Ach, więc to dlatego jest taka wyjątkowa – zrozumiał Szpon.

– Potrzeba wiele słów, żebyś zrozumiał, Szponie – powiedział Rondar.

– Wiem – zaśmiał się chłopiec w odpowiedzi.

– Tak więc, jeżeli zamierzasz spróbować szczęścia z Alysandrą, nikt nie będzie cię o nic winił.

– Prawda – zgodził się Rondar.

– Ale nie spodziewaj się, że do czegoś dojdiesz.

Szpon dostrzegł przed nimi Alysandrę, rozmawiającą z dwoma innymi dziewczętami.

– Mój ojciec nauczył mnie jednej rzeczy – zwrócił się do nowych przyjaciół. – Bez ryzyka nie ma nagrody, a porażkę możesz odnieść tylko wtedy, jeżeli w ogóle nie próbujesz.

– Uścisk – zaopiniował Rondar.

– Co? – zdziwił się Szpon.

Demetriusz potrząsnął głową.

– Nie, pocałunek w policzek.

– O czym wy mówicie?

– Alysandrą pozwoli się kokietować, mój przyjacielu – wyjaśnił mu Demetriusz. – Wygląda na to, że lubi, kiedy zwraca się na nią uwagę. I jest bardzo miła. Nie wydaje mi się, żeby była wyrachowana, ale pod koniec pierwszego wieczora, podczas którego będziesz próbował ją zdobyć, każe ci przysiąc, że będziesz dla niej jak brat. I wtedy zrozumiesz, że już nigdy nie będziesz miał okazji otoczyć ramieniem jej smukłej talii, a zanim się odwróci, żeby odejść i zostawić cię samego, dostaniesz od niej lekki uścisk, tak lekki, że nawet nie poczujesz jej ciała przy sobie, albo przelotny pocałunek w policzek, lekkie muśnięcie warg. Pocałunek w policzek jest uważany pośród męskich przedstawicieli tej wyspy za spore osiągnięcie.

Jakby wyczuwając, że jest obiektem rozmowy, Alysandra obejrzała się przez ramię. Kiedy zobaczyła Szpona i innych, uśmiechnęła się.

Szpon zerknął na swoich towarzyszy, którzy skrzętnie unikali kontaktu wzrokowego z młodą kobietą. Z powrotem popatrzył na Alysandrę i uśmiechnął się do niej najszerzej, jak tylko potrafił. Przez dłuższą chwilę patrzyła mu w oczy, a potem odwróciła się z powrotem do swoich przyjaciółek.

– Założyłbym się o miedziaka, że będzie uścisk – powiedział Rondar.

– Zrobione – zgodził się Demetriusz. – Ja stawiam na pocałunek w policzek.

– Przyjmuję oba te zakłady – Szpon zniżył głos. – Bo dostanę od niej więcej niż tylko pocałunek w policzek.

– Determinacja – podsumował Demetriusz. – To mi się podoba!

– Hm – Rondar jako potwierdzenie wydał z siebie nieartykułowany dźwięk.

Szpon obserwował smukłą dziewczynę, kiedy wchodziła do wspólnego domu, gdzie uczniowie jedli swoje posiłki.

– Dostanę od niej znacznie więcej – wyszeptał cicho do siebie, tak żeby nikt go nie usłyszał.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

CEL

Konie ścigały się przez łąkę.

Nakor i Magnus patrzyli, jak Szpon nisko pochyla się nad szyją swojej klaczy, popychając ją do przodu bardziej siłą woli, niż wykorzystując umiejętności jeździeckie. Wałach Rondara powoli oddalał się od patrzących. Chłopiec swobodnie opierał się w strzemionach, siedząc z wyprostowanymi plecami, i delikatnie ścisnął wodze w dłoniach.

– Jak na kogoś, kto był uważany za kiepskiego jeźdźca wśród ludzi swego plemienia – odezwał się Nakor – Rondar wydaje się wiedzieć, o co biega w tym interesie.

Magnus przytaknął.

– Wiesz więcej o ludziach Ashunta niż ja – powiedział. – Ale czy nie są oni uważani za najlepszych znawców koni na całym świecie?

– Z pewnością mają najlepszą lekką kawalerię. Imperium musiało posłać aż piętnaście legionów do ich kraju, aby w końcu podporządkować sobie Ashuntów. Dwa stulecia temu stanowili największe zagrożenie dla Keshu od zachodniej strony, ale rewolucja przywódców Ashuntów zakończyła ten okres ich historii. – Nakor uważnie przyglądał się jeźdźcom, podczas gdy Demetriusz stał kilka kroków od niego, krzycząc i zachęcając przyjaciół do rywalizacji. – Szpon także niebawem będzie się doskonale czuł na końskim grzbiecie.

– To rozumiem, Nakorze. – Magnus machnął lekko ręką w kierunku dwóch ścigających się chłopców. – Szpon uczy się języków, jazdy konnej,

władania mieczem, całej tej reszty, ale dlaczego każesz mu także chodzić na zajęcia ze sztuki magicznej z innymi uczniami?

Nakor wyszczerzył zęby w uśmiechu, zwracając się do swego byłego studenta.

– Magia? Na moich lekcjach nie ma magii.

Magnus próbował się nie roześmiać, ale mu się nie udało.

– Możesz o tym dyskutować z moim ojcem aż do końca świata, ale my obaj wiemy, że te twoje lekcje to po prostu trochę inne ujęcie tego, co nazywamy magią i jej zastosowaniem.

– To więcej niż tylko magia. Wiesz o tym – odparł Nakor. – To sposób na uwolnienie umysłu z narzuconych mu pojęć i sposobów rozumowania. – Przerwał na chwilę. – Poza tym – dodał z chichotem – to przecież twój ojciec pierwszy powiedział, że w mojej nauce nie ma ani odrobiny magii.

– Czy ty albo ojciec zamierzacie mi kiedykolwiek powiedzieć, skąd on wiedział, że James powinien zabrać dla ciebie tamtą wiadomość, podczas pierwszej wyprawy do Keshu? Wy dwaj nawet się nie spotkaliście.

– Nigdy mi nie wyjaśnił, skąd to wiedział – odparł Nakor. – Są takie sprawy, w których twój ojciec nie ufa nikomu, nawet twojej matce.

– Czarny czarnoksiężnik – powiedział Magnus z westchnieniem. – Zbyt łatwo zapominam, że on nie został stworzony tylko po to, żeby odstraszać żeglarzy, którzy przepływają zbyt blisko tej wyspy.

– Nie, tutaj chodzi o coś więcej, o wiele więcej. Wiedział o tym już twój dziadek.

Dziadek Magnusa, Macros, był pierwszym mieszkającym na tej wyspie magiem, który wymyślił sobie czarnego czarnoksiężnika do strzeżenia prywatności. Macros okazał się także wyznawcą Sarig, zaginionej bogini magii, i oddał Wyspę Czarnoksiężnika pod władanie Puga i Mirandy.

Nakor i Magnus stali tak wysoko w hierarchii Konklawe Cienia, jak tylko było to możliwe, ale nawet oni nie zdawali sobie w pełni sprawy z wszystkich tajemnic tej organizacji. Magnus zapytał kiedyś swego ojca, kto przejmie kontrolę nad sprawami Konklawe, jeżeli coś mu się stanie, ale Pug odparł enigmatycznie, że kiedy to się stanie, wszyscy będą doskonale wiedzieli, co mają robić.

Magnus skierował swoje myśli z powrotem na bieżące sprawy.

– Ciągle jednak, czy to magia, czy tylko sztuczki, nie powiedziałeś mi, dlaczego Szpon uczęszcza na te twoje mistyczne zajęcia?

– Prawda, nie powiedziałem ci.

– Nakor, czy zamierzasz mnie irytować przez cały dzień?

Nakor roześmiał się.

– Nie, po prostu zapominam czasami, że ty nie masz poczucia humoru. – Pokazał na przeciwległy koniec łąki, gdzie właśnie zakończył się wyścig i trzech chłopcy stali, czekając na dalsze polecenia. – Szpon musi wiedzieć najwięcej, jak się da o przeciwniku, na jakiego może się natknąć. Nasi wrogowie korzystali z pomocy czarnej magii przez wiele lat, a zdolność Szpona do tak długiego opierania się tancerzom śmierci dała mi wiele do myślenia.

Magnus milczał. Wiedział, że gdyby był sam w chatce na wybrzeżu, trzech tancerze śmierci najprawdopodobniej by go zabili. Zastanawiał się z ojcem do późnej nocy, dlaczego wróg poważył się na tak zuchwały krok i dlaczego to on właśnie miał być celem zamachu, ale w końcu dali spokój, nie dochodząc do żadnych wniosków.

– Chcesz, żeby potrafił rozpoznawać magię? – zapytał Magnus.

– o ile to możliwe. Lata temu, pan James, książę Kronloru, powiedział mi, że zawsze czuł, jak podnoszą mu się włoski na karku, kiedy ktoś w pobliżu używał magii. Mówił także o swoim wyczuciu kłopotów. Potrafił

jakoś przewidywać, że zaraz wydarzy się coś złego. Ta specjalna intuicja ocaliła Jamesowi życie przy wielu okazjach.

– Myślisz, że Szpon także posiada podobne zdolności?

– Jeszcze tego nie wiem, ale posiadanie kogoś, kto w oczywisty sposób nie jest magiem, ale potrafi wyczuwać moc, mogłoby się okazać przydatne. Mógłby wchodzić do miejsc strzeżonych przed osobami o magicznej mocy i reagować na te zabezpieczenia jak ktoś obeznany nieco z magiczną sztuką.

– Cóż, twoje wyjaśnienia wydają się na tyle ważne, żeby usprawiedliwić te kilka dodatkowych godzin nauki chłopca, szczególnie że ta wiedza najprawdopodobniej nigdy mu sienie przyda i nie zostanie wykorzystana.

– Nie możesz tego wiedzieć – zaprotestował Nakor. – W każdym razie Szpon poszerzy swoją wiedzę, a to może mu tylko wyjść na dobre. – Patrzył, jak chłopcy zmieniają wierzchowce, tak że w następnym biegu udział biorą Demetriusz i Szpon. Rondar przyglądał się wyścigowi.

– Wydaje mi się, że powinniśmy także zastanowić się nad kolejną fazą nauki Szpona. Z zainteresowaniem przeczytałem twoje sprawozdanie z doświadczeń chłopca z dwoma dziewczynami u Kendrika. Myślę, że tutaj także powinien podtrzymywać kontakty z płcią przeciwną.

– Alysandra?

– Tak. Uważam, że nadszedł czas, aby zaczęła używać tych umiejętności, których ją nauczyliśmy.

– Dlaczego?

– Ponieważ Szpon będzie musiał poradzić sobie z daleko niebezpieczniejszymi rzeczami niż stal i czary.

Magnus odwrócił się, żeby popatrzeć na rozległe zabudowania należące do jego ojca.

– Jak do tego doszło, że staliśmy się takimi ludźmi, Nakorze? Dlaczego jesteście zdolni do tak złych postępów?

– Ironia bogów – odparł Nakor. – Czynimy zło w imieniu dobra, a nasi wrogowie nierzadko postępują dobrze w imieniu zła.

– Czy myślisz, że bogowie się z nas śmieją?

– Przez cały czas – zachichotał Nakor.

– Ale ty nie...

– Co nie?

– Kiedy byłem twoim uczniem. Ty nie... Helena... ona nie była jedną z twoich lekcji, prawda?

– Nie – odpowiedział Nakor. Rysy jego twarzy złagodniały. Położył dłoń na ramieniu Magnusa. – Ta gorzka lekcja to tylko i wyłącznie twój wynalazek. Życie czasami takie jest. – Odwrócił się z powrotem do trzech chłopców. Zaczynał się nowy wyścig. Szpon i Demetriusz dawali z siebie wszystko, wykorzystując umiejętności, jakie do tej pory nabyli, podczas gdy Rondar obrzucał ich ze swego miejsca obelgami.

Kiedy Nakor spojrział z powrotem na Magnusa, zauważył, że mag pogrążony jest w myślach. Nakor miał pewne podejrzenia, w jakim kierunku dryfują te marzenia.

– Powinieneś znaleźć sobie inną, Magnusie – powiedział.

Magnus popatrzył na swojego byłego nauczyciela.

– Niektóre rany nigdy się nie goją. Musisz je opatrzyć i dalej iść przez życie jako kaleka.

– Wiem, Magnusie – przytaknął Nakor.

Magnus uśmiechnął się. Wiedział, że Nakor go rozumie, gdyż stary nauczyciel był kiedyś mężem babki Magnusa i kochał ją bardzo do samego końca, kiedy został zmuszony do jej zabicia.

Magnus zaczerpnął głęboko powietrza.

– No dobrze. Kiedy zaczynamy?
– Możemy nawet zacząć dziś wieczorem – zaproponował Nakor.
– No to lepiej pójdę i powiem dziewczynie – powiedział Magnus i oddalił się.
– Po prostu powiedz jej, co ma robić! – zawołał za nim Magnus. – Będzie doskonale wiedziała, jak to zrobić.

Kiedy się odwrócił, zobaczył, jak Szpon finiszuje w wyścigu, nieznacznie wyprzedzając Demetriusza. Obaj chłopcy wesoło i głośno krzyczeli, zatrzymując konie przed Rondarem. Nakor nie po raz pierwszy pomyślał o umiejętności młodzieży do cieszenia się chwilą, jakby rozumieli bez dodatkowej nauki jej przelotność. Wiedzieli podświadomie, że nie należy myśleć zbyt wiele o przyszłości i kłopotach, jakie ze sobą niesie. Nie martwili się także dniem wczorajszym, bólem i poczuciem straty.

– Ciesz się chwilą, Szponie – Nakor szepnął miękko do siebie. – Delektuj się nią.

A potem z westchnieniem rezygnacji odwrócił się od trzech uczniów i zaczął powoli iść w kierunku pokoi zajmowanych przez Puga. Mieli wiele spraw do omówienia i wiele z nich nie będzie zbyt przyjemnych.



Szpon wytarł włosy szorstkim ręcznikiem. Kąpiel sprawiała mu wiele przyjemności, chociaż nie należała do typowych czynności jego dzieciństwa. Orosini musieli podgrzewać sobie wodę do kąpieli, gdyż ciec w rzekach przez cały rok pochodziła z topniejących czap lodowych i tylko w gorących letnich miesiącach można było pływać w górskich jeziorach i strumieniach. W zimie Orosini kąpali się w parowych łaźniach i zdrapywali z siebie brud za pomocą drewnianych patyczków.

Szpon po raz pierwszy zapoznał się z kąpielą u Kendrika, ale tam był zmuszony do korzystania z balii. Często mył się w wodzie pozostawionej przez innych, tak więc cały proces przypominał trochę zamianę własnego brudu na cudzy. Ale w Villa Beata znajdował się cały kompleks pokoi służących za łaźnie. Składał się z trzech basenów, w połączonych ze sobą pomieszczeniach. Zbiorniki zawierały zimną, ciepłą i gorącą wodę, z której o dowolnej porze dnia i nocy mógł skorzystać każdy z mieszkańców domostwa. Mniejsze wanny znajdowały się w niemal każdym rejonie zabudowań, w pobliżu części mieszkalnych.

Po pracy czy pojeździe konnej Szpon z przyjemnością zmywał z siebie pot i nakładał świeże ubranie. A każdego dnia w jego szafie pojawiały się czyste koszule i spodnie. Wiedział, że odpowiadali za to uczniowie przydzieleni aktualnie do pracy w pralni, ale ciągle wydawało mu się, że czyste, świeże ubranie trafia do jego szafy za pomocą jakiejś magicznej siły. Zostawiał brudną i przeпоconą odzież poza drzwiami swego pokoju, a kiedy wracał z zajęć czy z ćwiczeń, czekały na niego czyste koszule.

Kiedy wycierał twarz, wyczuł pod palcami, że na brodzie wyrasta mu szczeciniasty zarost. Zaczął się golić rok temu, w ten sam sposób, co Magnus, mimo tego, że Orosini stosowali inną metodę. Wrywali mianowicie włoski z brody jeden po drugim, pojedynczo. Szpon zdecydował, że bardziej mu odpowiada ostra brzytwa.

Szpon ostrzył właśnie brzytwę, kiedy Rondar i Demetriusz wrócili z kąpeli.

– Co robicie po kolacji? – spytał, namydlając sobie twarz. Rondar zamasyście rzucił się na łóżko, ubrany tylko w skąpy ręcznik, i wymamrotał coś niezrozumiale pod nosem.

– Ja dzisiaj pracuję w kuchni – odparł Demetriusz. – Będę podawał przy kolacji, a potem muszę zmywać. A ty?

– Ja mam wolne – powiedział Szpon, zaczynając się golić. – Pomyślałem sobie, że moglibyśmy zrobić ognisko w jarze nad jeziorem. Może ktoś wpadnie posiedzieć z nami.

– Możesz szepnąć parę słów przy kolacji, żeby inni wiedzieli, co zamierzasz robić wieczorem.

– Dziewczyny – odezwał się Rondar.

– Takie niezapowiedziane spotkanie to najlepszy sposób.

– Cóż, jutro mamy wolne, więc nie ma znaczenia, jak będziemy zmęczeni rano. Możemy przecież pospać do południa.

– Ja mogę – zgodził się Demetriusz. – I on też może – pokazał na Rondara. – Ale ty nie możesz. Nie sprawdzałeś terminarza?

– Nie.

– Pracujesz w kuchni przez cały dzień, od świtu aż do ostatniego posiłku. Szpon westchnął.

– A więc to tyle, jeżeli chodzi o rozrywkowy wieczór.

– Cóż, pomysł na spędzenie czasu jest całkiem niezły, nawet jeżeli ciebie tam nie będzie – powiedział Demetriusz.

– Tak – przytaknął Rondar.

– Dzięki. Myślałem nad tym i nie mogę iść.

– Ależ możesz – zaczął go przekonywać Demetriusz. – Po prostu nie zostawaj zbyt długo.

– Wino – odezwał się Rondar, siadając na łóżku i zaczynając się ubierać.

– Tak, będziemy potrzebować wina.

Demetriusz popatrzył na Szpona, który wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– To ty dzisiaj masz pracę w kuchni.

– Jeżeli Besalamo znowu złapie mnie w piwniczce, ugotuje i zje moje nędzne ciało.

– Taldaren – zgodził się Rondar, kiwając głową.

Szpon roześmiał się. Besalamo był magiem z innego świata, fakt ten z czasem stał się dla Szpona oczywistością, i wyglądał prawie jak człowiek, z wyjątkiem dwóch kościanych płetw, które przecinały jego łysą czaszkę w miejsce włosów. I miał jasne, czerwone oczy.

– Wydaje mi się, że on celowo rozpuscita te pogłoski o Taldarenach zjadających chłopców, żeby jakoś sobie z nami radzić.

– A chcesz się o tym przekonać? – zapytał Demetriusz.

– Nie, ale to przecież nie ja potrzebuję tego wina na dzisiejszy wieczór. Bez wina dziewczęta nie zechcą przyjść nad wodę, na ognisko.

– Może jednak przyjdą, jeżeli je poprosisz – zasugerował Demetriusz.

Szpon poczerwieniał na tę propozycję. Powoli stawało się jasne, że jako nowy chłopiec stanowił wysoce atrakcyjny i absorbujący obiekt dla dziewcząt mieszkających na wyspie.

Na wyspie znajdowało się pięćdziesięciu studentów. Po odliczeniu tych, którzy nie byli ludźmi, pozostawało szesnastu młodych mężczyzn, wahających się od wieku Szpona do dwudziestu pięciu lat, i czternaście dziewcząt od czternastu do dwudziestu dwóch lat.

– Alysandra – powiedział Rondar.

– Tak – zgodził się Demetriusz. – Zaproś ją. Jeżeli się zgodzi, przyjdą wszyscy chłopcy, a jeżeli wszyscy chłopcy znajdą się nad jeziorem, wtedy dziewczęta także zaszczycą nas swoją obecnością. Twarz i szyja Szpona przybrały kolor ciemnopurpurowy.

– Palisz się – zachichotał Rondar, wkładając spodnie.

– Zostaw go w spokoju, ty beużyteczny barbarzyńco. Jeżeli chcemy ściągnąć dziewczyny nad jezioro dzisiejszej nocy, potrzebujemy Szpona. Musi zaprosić Alysandrę.

Szpon popatrzył na Demetriusza z powątpiewaniem, ale się nie odezwał. Nie miał żadnych kłopotów w rozmowie z Alysandrą, jak inni chłopcy,

którzy jękali się co drugie słowo, ale doszedł właśnie do wniosku, że dziewczyna zupełnie nie jest nim zainteresowana. Biorąc pod uwagę jej grzeczne, ale pozbawione entuzjazmu odpowiedzi na pytania, jakie zadawał jej po wielekroć przez ostatnie tygodnie, kiedy tylko okoliczności pozwalały im na rozmowę, oraz gwałtowne uczucia, jakimi obdarzali ją inni chłopcy, Szpon dawno już zdecydował, że dalsze próby zbliżenia się do Alysandry są stratą czasu.

Jednak skoro Demetriusz miał zamiar zaryzykować gniew kucharza i podwędzić trochę wina, a Rondar był bardzo podekscytowany możliwością wieczornego spotkania nad jeziorem, Szpon czuł, że lepiej będzie, jeżeli zrobi to, czego oczekują od niego przyjaciele.

Skończył się ubierać i udał się na poszukiwanie Alysandry.



Ogień płonął jasno, a młodzi mężczyźni i kobiety siedzieli parami i trójkami, rozmawiając cicho ze sobą. Z wyjątkiem Rondara, który przycupnął w bliskości Demetriusza i dziewczyny o imieniu nie znanym Szponowi.

Szpon był zaskoczony, widząc wokół ogniska prawie pięćdziesiąt osób. Dwie butle wina zdobyte przez Demetriusza zostały uzupełnione przez sporą beczułkę piwa podwędzoną przez kogoś ze składu. Kilku chłopców wykazywało już niejakię symptomy nadmiernego spożycia alkoholu. Szpon nalał sobie odrobinę trunku do czarki i oddalił się nieznacznie od grupy.

Chłopiec rozkoszował się smakiem wina, ale piwo nie interesowało go wcale. Napoje robione na bazie miodu stanowiły jedynie mętne wspomnienie dzieciństwa w jego umyśle, a mocnych, alkoholowych miodów zarezerwowanych dla starszych nigdy nie próbował. Stał sam, na

osobności, trzymając w ustach cierpki płyn, czerpiąc przyjemność z jego smaku.

– Dlaczego stoisz tutaj sam?

Szpon obejrzał się i zobaczył szczupłą, ciemnowłosą dziewczynę o imieniu Gabriela. Ramiona otuliła szalem. Jej oczy miały przykuwający, niebieski odcień. Uśmiechała się ciepło.

– Wcale nie jestem sam.

Skinęła przytakująco głową.

– Ale jednak zawsze wydajesz się stać nieco... z boku. Szponie.

Szpon rozejrzał się dookoła i nic nie powiedział.

– Czekasz na Alysandrę?

Było tak, jakby dziewczyna czytała w jego myślach, a na tej wyspie należało poważnie liczyć się z taką możliwością. Gabriela uśmiechnęła się szerzej.

– Nie... Tak, tak mi się wydaje. Wspomniałem jej o tym spotkaniu przed kolacją i – machnął rękaw kierunku innych dziewcząt – najwyraźniej ona powiedziała o tym wszystkim swoim koleżankom.

Gabriela przez chwilę przyglądała się jego twarzy.

– Czy ty także jesteś jednym z tych, którzy ulegli działaniu jej zaklęć?

– Zaklęć? – zapytał Szpon. – Co masz na myśli?

– Ona jest moją przyjaciółką. Mieszkamy w jednym pokoju i bardzo ją lubię, ale ona jest inna. – Gabriela zapatrzyła się w ogień, jakby widziała coś w płomieniach. – Łatwo jest zapomnieć, że wszyscy bardzo się od siebie różnimy.

Szpon nie wiedział, w jakim kierunku zmierza ta rozmowa z Gabriellą, więc przezornie nie odzywał się.

– Mam wizje – powiedziała Gabriela po dłuższej przerwie. – Czasami to tylko przelotne błyski, obrazy, które widzę zaledwie przez ułamek sekundy.

Czasami wizje trwają długo, widzę wszystko z najdrobniejszymi szczegółami, jakbym była w pokoju i obserwowała przebywających tam ludzi, słyszała ich rozmowy.

Moja rodzina porzuciła mnie, gdy byłam mała. Bali się, gdyż przepowiedziałam śmierć ich sąsiada, farmera. Mieszkańcy wioski przewalili mnie dzieckiem czarownicą. – Jej oczy pociemniały. – Miałam tylko cztery lata.

Kiedy Szpon wyciągnął rękę, chcąc jej dotknąć, rzuciła się w tył i popatrzyła na niego z bolesnym uśmiechem.

– Nie lubię, gdy ktoś mnie dotyka.

– Przepraszam – powiedział, cofając dłoń. – Ja tylko...

– Wiem, że chciałeś dobrze. Pomimo bólu, który w tobie tkwi, masz dobre serce i litościwą duszę. Dlatego w przyszłości czeka cię jeszcze więcej nieszczęścia.

– Co masz na myśli?

– Alysandra. – Gabriela wstała. – Kocham ją jak siostrę, ale ona jest niebezpieczna, Szponie. Nie przyjdzie tutaj dziś w nocy. Ale wkrótce ją spotkasz. I zakochasz się w niej, a ona złamie ci serce.

Zanim zdążył zadać jej kolejne pytanie, Gabriela odwróciła się i zniknęła w ciemnościach, pozostawiając Szpona wpatrzonego w mrok z zamyślonym wyrazem twarzy. Chłopak zastanawiał się nad jej słowami i poczuł mieszaninę zdumienia i złości. Czyż nie wycierpiał już dostatecznie dużo w swoim życiu? Stracił wszystko, co było mu drogie, prawie zginął, zabierano go do dziwnych miejsc i kazano mu uczyć się rzeczy ciągle dla niego obcych i niezrozumiałych.

A teraz powiedziano mu, że nie ma żadnego wpływu na to, jak zachowa się jego serce. Wstał, odwrócił się tyłem do rozbawionej młodzieży i ruszył w kierunku swoich kwater. Jego umysł miotał się to w jedną, to w drugą

stronę, i zanim się spostrzegł, był już w swoim pokoju, leżąc na łóżku i wpatrując się w sufit. Wydawało mu się, że wirują nad nim dwie twarze: Alysandra, której radosny uśmiech zadawał kłam słowom Gabrieli, gdyż jak ktoś tak piękny i łagodny mógłby być niebezpieczny? Ale potem przypomniał sobie ból, jaki widział w oczach Gabrieli i wiedział, że dziewczyna nie udzieliła mu kłamliwych rad. Przewidywała niebezpieczeństwo i Szpon wiedział, że musi brać pod uwagę także to ostrzeżenie.

Drzemał, kiedy Rondar i Demetriusz wrócili ze spotkania. Obaj byli lekko podpici. Paplali coś do siebie. A raczej Demetriusz paplał za nich dwóch.

– Poszedłeś sobie – stwierdził Rondar.

– Tak – odparł Szpon. – Chyba pamiętasz, że jutro czeka mnie długi dzień w kuchni, a więc zrób nam obu uprzejmość i przestań wreszcie gadać.

Demetriusz popatrzył na Szpona, potem na Rondara i zaczął się śmiać.

– To cały Rondar. Ciągle tylko gada i gada.

Rondar zdjął buty, wymamrotał coś zrzędliwie pod nosem i padł na łóżko.

Szpon odwrócił się twarzą do ściany i zamknął oczy, ale długo jeszcze nie mógł zasnąć.



Mijały tygodnie i wydarzenia nocy, podczas której Gabriela podzieliła się z nim swoimi wizjami, powoli zatarły się w umyśle Szpona. Chłopiec powoli przyzwyczajał się do pracy i swoich obowiązków, uważając je za rutynę, ale mimo tego nowe lekcje nadal wzbudzały w nim zainteresowanie. Tak jak przewidział to Magnus, Rondar nauczył Szpona doskonale jeździć konno, a przez ostatnie kilka miesięcy Orosin stał się

jednym z najlepszych szermierzy na wyspie. Czasami jednakże czuł się z tym nieswojo, gdyż większość studentów na wyspie w ogóle nie poświęcała czasu na ćwiczenia z bronią lub traktowała je jako rozrywkę.

Zajęcia o magii były bardzo dziwne. Szpon ledwo rozumiał większość rzeczy, jakich tam uczono i najwyraźniej nie miał żadnego magicznego talentu. Raz czy dwa czuł coś dziwnego, tuż przed tym, jak rzucono czar. Kiedy opowiedział o tym Magnusowi i Nakorowi, spędzili razem z nim ponad godzinę, usiłując wyciągnąć z niego wszystkie szczegóły tego uczucia.

Sytuacja, która najbardziej zajmowała chłopców przez ostatnie tygodnie, dotyczyła Rondara. Chłopak zadurzył się w nowo przybyłej dziewczynie o imieniu Selena. Młoda kobieta pochodziła z Keshu, była szczupła i miała gorący temperament, a ponadto pogardzała wszystkimi jeźdźcami Ashunta, gdyż widziała, jak podchodzą do murów jej rodzinnego miasteczka, gdy była dzieckiem. Jej gniew, wywołany kulturowymi uwarunkowaniami, nakazującymi w taki, a nie inny sposób traktować kobiety Ashunta, skupiał się na Rondarze, jakby chłopiec sam jeden przyczynił się do powstania tych zwyczajów ze wszystkimi ich niesprawiedliwościami. Na początku Rondar w milczeniu znosił wybuchy gniewu, ignorując wyzwiska i zarzuty. Potem jednak sam wpadł w złość, odpowiadając dziewczynie pełnymi, sensownymi zdaniami, ku ogromnemu zdziwieniu Szpona i Demetriusza. A na końcu, wbrew wszelkim przewidywaniom i rozsądkowi, po prostu zakochał się w Selenie.

Jego determinacja i postanowienie zdobycia jej serca zaowocowało szeregiem spotkań, podczas których Szpon siedział cicho, zagryzając wargi, żeby się nie rozeźmiać, a Demetriusz wprowadzał Rondara w tajniki etykiety i sposoby podrywania dziewcząt. Szpon zdawał sobie sprawę, że sam nie jest ekspertem w tej materii i oceniał, że dziewczęta mają znacznie

więcej dopowiedzenia, jeżeli chodzi o flirt, ale przygoda z Lelą i Meggie sprawiła przynajmniej, że czuł się trochę pewniej z kobietami niż Rondar i Demetriusz. Ze wszystkimi kobietami, ale oczywiście nie z Alysandrą.

Pierwotne zainteresowanie młodą kobietą zostało znacznie osłabione przez ostrzeżenie, jakiego Gabriela udzieliła Szponowi podczas nocy nad jeziorem. Teraz chłopiec był nadal zainteresowany Alysandrą, ale niebezpieczeństwo z nią związane odstraszało go. Wyczuwał w niej jakieś zagrożenie i zastanawiał się, czy to tylko jego własne wymysły, czy rzeczywiście w kontaktach z nią kryło się prawdziwe ziarno ryzyka.

Zdecydował, że najlepszym wyjściem będzie unikanie spotkania z Alysandrą, a kiedy przypadek sprawiał, że musieli zamienić ze sobą parę słów, Szpon był zawsze grzeczny, ale zachowywał dystans. Wynajdywał setki wymówek, które pozwalały mu się z nią nie spotykać, zanim nie dojdzie do ładu ze swoimi uczuciami i przeczuciami.

Nakor i Magnus zapewniali mu mnóstwo nauki i nowych wrażeń przez cały czas, a jednego z wieczorów Szpon musiał się zmierzyć z najdziwniejszym zadaniem, z jakim miał do czynienia do tej pory. Nakor zaprowadził go na sam szczyt niewysokiego pagórka, na którym rosła karłowata brzoza, prawie uschnięta, zjedzona przez szkodniki. Drzewo miało powyginane gałęzie i kilka zaledwie liści. Nakor podał Szponowi duży kawałek pergaminu rozpięty na drewnianej ramie i patyczek z utwardzanego w ogniu drewna z węglem osadzonym na końcu.

– Narysuj drzewo – nakazał chłopcu, odchodząc szybko, nie czekając na pytania i uwagi Szpona.

Szpon długo patrzył na drzewo. A potem obszedł je dookoła dwukrotnie i przez pół godziny wpatrywał się w czysty, nie zapisany pergamin.

W końcu zauważył łagodne zaokrąglenie jednej z gałęzi drzewa, gdzie cień uformował kształt przypominający rybę. Spróbował to narysować.

Trzy godziny później spojrział na swój rysunek, a potem podniósł wzrok na drzewo. Sfrustrowany odrzucił pergamin na bok. Położył się na plecach i obserwował pędzące po niebie chmury, pozwalając swemu umysłowi wędrować w nieznane. Ogromne, białe obłoki miały różne kształty i Szpon widział w nich twarze, zwierzęta, zamkowe mury.

Jego myśli dryfowały swobodnie i zanim się spostrzegł, zapadł w sen. Nie był pewien, jak długo drzemał, zdawało mu się, że zaledwie kilka minut, ale nagle zrozumiał, o co w tym wszystkim chodzi. Usiadł i popatrzył na pergamin, na drzewo, i szybko, nerwowymi ruchami zaczął rysować od nowa, z lewej strony poprzedniego szkicu. Tym razem nie zwracał uwagi na detale, chciał tylko uchwycić sens i istotę tego drzewa, linie i cienie, które widział wyostrzonym wzrokiem myśliwego. Szczegóły nie były ważne, nagle zdał sobie z tego sprawę. Liczył się tylko ogólny widok, zarys brzozy.

Kiedy kończył rysować drzewo, przyszedł Nakor i spojrział mu przez ramię.

– Czy już skończyłeś?

– Tak – odparł Szpon.

Nakor popatrzył na dwa rysunki drzew.

– Ten narysowałeś jako pierwszy? – zapytał, pokazując palcem szkic po prawej stronie pergaminu.

– Tak.

– Ten jest lepszy – ocenił, pokazując na rysunek z lewej strony. – Tak.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Po prostu przestałem skupiać się na wszystkim naraz.

– Nie jest zły – podsumował Nakor, oddając chłopcu obrazek. – Masz dobre oko. Teraz musisz się nauczyć, aby rysować to, co jest ważne, a nie niepotrzebne szczegóły. Jutro zaczniesz się uczyć malować.

– Malować?

– Tak – przytaknął Nakor. Odwrócił się od chłopca w kierunku posiadłości. – Chodź ze mną – dodał.

Szpon poszedł za swoim nauczycielem i zastanawiał się, co Nakor miał na myśli, mówiąc, że jutro nauczy go malować.



Maceus nachmurzył się, patrząc na Szpona. Człowiek ten pojawił się w kwaterach Szpona jakby z pomocą magii, dzień po tym, jak Nakor kazał chłopcu szkicować drzewo. Pochodził z Queg, miał zadarty nos, mały, jakby grymaśny wąsik i denerwujący zwyczaj kląskania językiem o podniebienie, kiedy przyglądał się pracom Szpona. Uczył młodego człowieka malować już od miesiąca. Pracowali codziennie od świtu do zmierzchu.

Szpon uczył się szybko. Maceus twierdził, że jego obrazom brakuje wdzięku i Szpon nie ma daru do malowania, ale z niechęcią przyznawał, że chłopiec wykazuje pewien podstawowy talent i dobre, uważne oko.

Od czasu do czasu odwiedzał ich Nakor, aby popatrzeć, jak Szpon zмага się z pojęciem światła, kształtu, faktury i koloru. Chłopiec uczył się także, jak mieszać barwy akwarel i farb olejnych, aby osiągnąć pożądany efekt, oraz gruntować drewniane tablice i płótno rozpięte na drewnianych ramkach.

Szpon używał do tego wszystkich swoich umiejętności, nawet tych, które nabył w innych dyscyplinach, gdyż pośród wszystkich rzeczy, w jakich próbował osiągnąć mistrzostwo, malowanie właśnie sprawiało mu najwięcej trudności i wpędzało go we frustrację. Nic nie rozwijało się w taki sposób, jaki wyobrażał sobie, że będzie, kiedy zaczynał. Maceus zaczął od nauki malowania prostych rzeczy. Układał cztery owoce na stoliku,

pojedynczą skórzaną rękawicę, miecz i pochwę. Ale nawet uchwycenie tych obiektów wydawało się przekraczać możliwości Szpona.

Chłopiec studiował martwe natury i próbował je malować. Obrazy zwykle okazywały się całkowitym fiaskiem, ale powoli zaczynał rozumieć, jak powinien podchodzić do problemu interpretacji przedmiotu.

Pewnego ranka wstał z łóżka i po wypełnieniu obowiązków w kuchni, a malowanie sprawiało, że tęsknił za prostą przyjemnością gotowania, złapał się na wpatrywaniu w ostatnio namalowany obraz. Przedstawiał on porcelanowy dzban i miskę. Przedmioty były śnieżnobiałe, ozdobione lekkim, niebieskim wzorem, miska na krawędzi, a dzban w połowie wysokości, i wymagały dokładnego i delikatnego pociągnięcia pędzla.

Pojawił się Maceus, jakby wyczuwając, że chłopiec ukończył już obraz, i odsunął Szpona na bok. Nauczyciel zapatrzył się na obraz i przez długą chwilę nic nie mówił.

– To jest do przyjęcia – oznajmił w końcu.

– Podoba ci się? – zapytał Szpon.

– Nie powiedziałem, że mi się podoba. Powiedziałem, że jest do przyjęcia. Zwróciłeś uwagę na odpowiednie właściwości przedmiotów, Szponie. Zrozumiałeś potrzebę uwiecznienia istnienia wzoru, zamiast dokładnego jego odtworzenia. I użyłeś odpowiedniego koloru, zwłaszcza w interpretacji bieli.

Szpon z zachwytem wysłuchał nawet tak ostrożnej pochwały.

– Co mam namalować teraz?

– Teraz zajmijmy się portretami.

– Portretami?

– Będziesz malował obrazy ludzi.

– Och.

– Idź i zajmij się czymś innym – powiedział Maceus. – Wyjdź na zewnątrz i poobserwuj horyzont. Daj odpocząć oczom, zbyt długo musiały wpatrywać się w jeden, bliski punkt.

Szpon skinął głową i wyszedł z pokoju. Wszyscy inni wykonywali codzienne obowiązki, a nie chciał sam jechać na przejażdżkę ani iść nad jezioro i popływać. Więc powędrował przez łąkę rozciągającą się na północ od zabudowań i w końcu natknął się na grupę studentów pracujących w małym jabłoniowym sadzie, rozciągającym się na granicy lasu.

Znajoma figurka zawołała do niego i chłopiec poczuł, jak jego serce bije szybciej.

– Szponie! – usłyszał głos Alysandry. – Chodź do nas i pomóż!

Stała na szczycie drabiny, która opierała się o drzewo. Na dole drabinę podtrzymywał chłopiec o imieniu Jom. Szpon zauważył, że w sadzie było dwunastu studentów, sześć par. Szpon podszedł do drabiny i spojrzał w górę.

– Co mam robić? – zawołał.

Pochyliła się do przodu, ponad ostatnim szczeblem i podała mu wielki worek, pełen jabłek.

– Połóż go tam razem z innymi i podaj mi pusty worek. Nie będę wtedy musiała złązić na dół i wdrapywać się na drabinę z powrotem.

Szpon zrobił, co mu kazała i zaniósł jabłka na ogromną stertę pełnych worków. W pewnej odległości zobaczył innych uczniów, ciągnących powoli wózek w ich kierunku, doszedł więc do wniosku, że czas zbierania jabłek niedługo dobiegnie końca. Wziął pusty worek i podał go Alysandrze, wdrapując się kilka szczebli w górę drabiny.

Dziewczyna zebrała włosy do tyłu i ukryła je pod białym kapeluszem, ukazując zgrabną szyję i doskonałą linię ramion. Szpon zauważył, że ma lekko odstające uszy i, nie wiedzieć czemu, wydało mu się to urocze.

– Dlaczego się nie ruszysz i nie pomożesz innym? – zapytała go po chwili. – Już prawie skończyliśmy.

Szpon zeskoczył z drabiny i złapał naręczce worków. Zamieniał pełne jabłek na puste, i do czasu, kiedy przybył wóz, zbiór był już skończony.

Studenci szybko załadowali jabłka na wóz i zaczęli ciągnąć go z powrotem do posiadłości. Kiedy byli już prawie na miejscu, Alysandra podeszła do Szpona.

– Gdzie się chowałeś ostatnimi czasy? – zapytała. – Prawie wcale cię nie widuję.

– Malowałem – odparł Szpon. – Mistrz Maceus uczył mnie, jak się maluje.

– Cudownie! – zawołała i popatrzyła na Szpona swoimi ogromnymi i niesamowitymi oczyma. Wzięła go pod rękę i poczuł jej miękkie piersi opierające mu się na łokciu. Docierał do niego delikatny zapach, jaki z siebie wydzielała, wymieszany z obezwładniającym aromatem jabłek.

– Co malowałeś?

– Właściwie w większości coś, co mistrz nazywa martwą naturą. Rzeczy ustawione na stole albo krajobrazy. Jutro zacznę malować portrety.

– Cudownie! – powtórzyła. – Czy zechcesz namalować mój portret?

Szpon niemal się zająknął.

– Ach... oczywiście, o ile mistrz Maceus się na to zgodzi.

Stała z gracją tancerza na czubkach palców i pocałowała go lekko w policzek.

– Obiecałeś mi – powiedziała. – Będę cię pilnować, żebyś się wywiązał.

I z tymi słowami pospieszyła naprzód, zostawiając Szpona wmurowanego w ziemię, podczas gdy kilku innych chłopców zaśmiewało się z jego wyraźnie widocznego zmieszania.

Szpon powoli podniósł dłoń i delikatnie dotknął policzka, w miejscu, gdzie dziewczyna przyłożyła swoje usta i przez dłuższą chwilę nie myślał o niczym innym.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

MIŁOŚĆ

Szpon zmarszczył brwi.

– Nie ruszajcie się, proszę – powiedział błagalnym tonem.

Demetriusz i Rondar próbowali utrzymać przyjęte pozy jeszcze przez chwilę, ale w końcu Demetriusz nie wytrzymał.

– Nie mogę tak dłużej!

Szpon odrzucił pędzel z niezadowoleniem.

– No dobrze. Dam wam minutę odpoczynku.

Rondar podszedł do miejsca, gdzie Szpon rozstawił swoje sztalugi i oparł na nich zagruntowany kawałek deski. Przyjrzał się uważnie portretowi dwóch młodych mężczyzn, który malował właśnie Szpon.

– Całkiem niezłe – powiedział zrzędlawie.

Demetriusz wziął jabłko z małego stolika ustawionego w pobliżu drzwi i ugryzł soczysty owoc.

– Czy masz jakiś pomysł, dlaczego cię uczą tych rzeczy? – zapytał z ustami pełnymi soku.

– Jakich rzeczy?

– No, malowania.

Szpon wzruszył ramionami.

– Przez ostatnich kilka lat uczyli mnie wielu dziwnych rzeczy, które moim zdaniem nie układają się w żadną sensowną całość. Ale zawdzięczam życie Robertowi d’Lyis, a on oddał mnie na służbę mistrzowi Pugowi, więc robię, co mi każą.

– Ale czy nie jesteś chociaż odrobinę ciekawy? – drążył dalej Demetriusz.

– Oczywiście, że jestem, ale oni z pewnością powiedzą mi, o co w tym wszystkim chodzi w odpowiednim czasie.

– To proste – odezwał się Rondar, siadając na łożku.

– Co jest proste? – zapytał Demetriusz, w zadumie marszcząc swą usianą piegami twarz.

– To, dlaczego uczy się malować – odparł Rondar.

– Więc bądź tak dobry i wyjaśnij nam to, co jest według ciebie takie proste, dobrze? – Demetriusz spojrzał na Szpona, który się uśmiechnął.

Rondar ze smutkiem pokiwał głową, jakby znużony tłumaczeniem tak prostych spraw, zrozumiałych nawet dla głupca. Potem wstał, przeszedł przez pokój i położył ręce na ramionach Szpona.

– Szpon, chłopiec z gór.

– Zgadza się – przytaknął Demetriusz, chociaż wyraz jego twarzy wskazywał, że niezupełnie rozumie, do czego zmierza jego przyjaciel.

– Szpon, roldemski szlachcic. – Z tymi słowami Rondar usiadł na łożku.

Demetriusz pokiwał głową, jakby zrozumiał wreszcie, o co chodzi.

– Co? – zapytał Szpon ze zdziwieniem.

– Jak wieloma językami mówisz w danej chwili?

– Sześcioma, wliczając język ludu Orosinich. Mówię płynnie w roldemskim, królewskim, wspólnym i całkiem niezłe w języku Keshu. Radzę sobie dobrze z językiem queg, który jest bardzo podobny do starożytnego keshiańskiego. W najbliższej przyszłości mam się nauczyć yabońskiego.

– I jesteś najlepszy na wyspie we władaniu mieczem?

– Tak – powiedział Szpon bez odrobiny skromności.

– Grasz na jakimś instrumencie?

– Na flecie. Nakor pokazał mi, jak się robi taki instrument.

– I jak ci idzie?

– Całkiem nieźle.

– Grasz w szachy, karty, w kości, prawda?

– Tak.

– I jesteś w tym dobry, prawda?

– Tak – powtórzył Szpon.

Demetriusz wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Rondar ma rację. Mają zamiar wypuścić cię w świat jako roldemskiego szlachcica.

– Umiesz gotować? – zapytał Rondar.

– Lepiej niż Besalamo, jeżeli mam być szczery – odparł z szerokim uśmiechem Szpon.

– To nam zbyt wiele nie mówi – oświadczył Demetriusz. – Posłuchaj, jeżeli zaczną cię uczyć gry na innych instrumentach i tego wszystkiego, co musisz wiedzieć o winach i innych podobnych luksusach, wtedy Rondar będzie miał rację. Władcy tej wyspy próbują cię zmienić w roldemskiego szlachcica.

– Ale po co? – zapytał Szpon.

– Dowiesz się, kiedy ci powiedzą – odparł Demetriusz.

Szpon zastanawiał się nad tą możliwością przez chwilę.

– No dobrze – odezwał się w końcu. – Powiedziałem mistrzowi Maceusowi, że skończymy przed kolacją i będzie mógł obejrzeć obraz.

Dwaj młodzi mężczyźni zajęli z powrotem wyznaczone pozycje i Szpon odwrócił umysł od pytania, po co jest szkolony, i skupił się na wykonywanym zadaniu.



Mistrz Maceus patrzył z uwagą na portret.

– Ujdzie – ocenił dzieło po dłuższej chwili.

– Dziękuję ci – odparł Szpon bez przekonania. Denerwowały go defekty, jakie widział w swojej pracy. Postacie były sztywne, nienaturalne i ledwie tylko przypominały jego przyjaciół.

– Musisz popracować nad kształtem i strukturą ciała – stwierdził jego nauczyciel.

– Tak, panie.

– Myślę, że teraz powinienesz namalować akt, kogoś bez ubrania.

Szpon ze zdumieniem podniósł do góry brew. Wychował się wśród ludzi, dla których nagie ciało nie było niczym wstydlivym, jednak od kiedy przebywał wśród obcych, daleko od gór Orosinich, nauczył się, że wielu innych ludzi postrzega nagość na wiele sposobów. Niektórzy uczniowie pływali bez ubrań w jeziorze, podczas gdy inni unikali takich spotkań, preferując samotne kąpiele, albo nosząc ubiory specjalnie zaprojektowane do moczenia w wodzie. Jeszcze inni, jak Rondar, w ogóle unikali pływania.

Szpon rozmawiał nawet na ten temat z Nakorem, co prawdopodobnie nie było najszcześliwszym pomysłem, gdyż jego nauczyciel pozostawił go z jeszcze większą liczbą pytań. Mimo tego jednak, odważył się na zadanie pytania.

– Mistrzu Maceusie?

– Tak?

– Czy takie obrazy są ogólnie przyjęte?

– Raczej tak – odparł Maceus, z zakłopotanym kasznięciem.

– Chociaż nieczęsto są wystawiane dla publiczności – dodał. – Prywatne kolekcje i takie tam. Ale rzeźba, to co innego. Wielcy bohaterowie są z reguły przedstawiani w niekompletnym stroju, a na ich ciałach rzeźbi się potworne blizny i rany. Ale nie wydaje mi się, abyś mógł stworzyć jakies

dzieło, które podnieciłoby znudzonego arystokratę, ani nie sądzę, abyś miał zadatki na rzeźbiarza. To sprawa umiejętności patrzenia nieco głębiej niż powierzchnia skóry, Szponie. – Wskazał na dzieło stojące na sztalugach. – Uchwyciłeś tylko powierzchowność chłopców – kontynuował – ten ogólny sens płaszczyzn i załomów ich twarzy i ubrań, ale brakuje tutaj zarysu mięśni pod ubraniem, krzywizny ramion, klatki piersiowej, rąk, tego wszystkiego. Kiedy malujesz portret, musisz myśleć o ciele skrytym pod tkaniną, o umyśle i duszy modela. Dopiero potem ubieraj go za pomocą pędzla i łopatki. Kiedy patrzysz na nagie ciało, zwróć uwagę na kość, na mięśnie, na ścięgna, z jakich się składa, a dopiero potem ubierz je w skórę i włosy. Nauczysz się to dostrzegać. Jeszcze zrobimy z ciebie malarza – dodał z rzadkim u niego uśmiechem.

– Czy powinienem poszukać sobie innego modela? – zapytał Szpon, widząc siebie oczyma wyobraźni, próbującego przekonać Rondara, żeby się rozebrał i pozował mu na środku pokoju.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy. Jutro ci kogoś przyślę. Szpon kiwnął głową, myśląc o tym, co właśnie powiedział jego nauczyciel. Powoli zaczął czyścić swoje pędzle i paletę z farby.



Szpon wypadł w pośpiechu z kuchni. Przydzielono mu obowiązki przy przygotowywaniu śniadania i musiał wstać dwie godziny przed innymi mieszkańcami wyspy. Spędził cały ten czas w kuchni, aż przyszli ludzie z popołudniowej zmiany. Miał właśnie iść do swoich kwater, aby spotkać się z osobą, która będzie mu pozować do aktów, ale Nakor znalazł go pierwszy i wysłał go z jakimś zadaniem, mówiąc mu, że zobaczy się z modelem później.

Szpon wypełniał polecenia Nakora prawie przez całe popołudnie, a teraz wreszcie już skończył i biegł do swojego pokoju, żeby wziąć szybką kąpiel przed kolacją. Ale kiedy tam dotarł, znalazł Rondara i Demetriusza niosących gdzieś drewnianą skrzynię, w której mieściły się jego osobiste rzeczy.

– Co tu się dzieje? – zapytał Szpon.

– Przeprowadzka – odparł Rondar.

– Przenosimy się gdzieś?

– Nie, ty się przenosisz – wyjaśnił mu Demetriusz. – Nie wiem dlaczego, ale dostaliśmy polecenie, aby zanieść wszystkie twoje rzeczy do tej małej chatki nad jeziorem. Wiesz której.

Szpon uśmiechnął się szeroko. Chatka była często wykorzystywana przez studentów do rozmaitych celów po zajęciach. Szybko jednak uśmiech zszedł mu z twarzy. Jeżeli miał teraz mieszkać w tej chatce, wielu studentów z pewnością będzie bardzo niezadowolonych.

– Mogą używać stajni – powiedział Rondar, jakby czytając w jego myślach.

Demetriusz zaśmiał się.

– Ma rację. Jest wiele innych miejsc, gdzie można się w kimś zaprzyjaźnić. Ja chodzę po zmroku do łaźni. Woda jest ciągle ciepła, panuje tam spokój, cisza... – Zastękał teatralnie, dźwigając z ziemi skrzynię, ale Szpon wiedział, że wcale nie była ciężka, tylko nieporęcznie duża.

Pozwolił, aby go minęli i wyszli przez drzwi, a potem poszedł za nimi. – A moje łóżko?

– Wynieśliśmy je godzinę temu – odparł Demetriusz. – Razem z twoimi przyborami do malowania. Po prostu ta skrzynia nie zmieściła nam się do wozu z całą resztą.

– Dlaczego? – zdziwił się Szpon. – Ja nie mam wielu rzeczy, a już z pewnością nie tyle, żeby wypełniły cały wóz.

Demetriusz uśmiechnął się szeroko.

– Zdziwisz się.

Szli przez główny hol, gdzie czekał na nich opróżniony wóz. Załadowali na niego skrzynię. W przeciągu kilku minut znaleźli się na szlaku prowadzącym z willi wzdłuż jeziora do małej chaty.

Kiedyś budynek ten mógł być domem dla wypalaczy węgla drzewnego, albo może mieszkał tam zarządca albo odźwierny, ale z jakiejś przyczyny domostwo zostało opuszczone i przez lata nikt tam nie kwaterował na stałe. Kiedy dotarli na miejsce, Demetriusz zatrzymał konia i Szpon zeskoczył z tyłu wozu. On i Rondar zdjęli skrzynię i przenieśli w miejsce, gdzie czekał na nich Demetriusz, podtrzymując otwarte drzwi.

Kiedy wszedł do chaty, Szpon zatrzymał się zaskoczony.

– Niech mnie... – powiedział miękko.

– Dziewczęta posprzątały tutaj wczoraj, a potem Rondar i ja przenieśliśmy wszystkie meble – wyjaśnił Demetriusz.

– Ale skąd to wszystko się tutaj wzięło? – zapytał Szpon, zataczając łuk ramieniem.

Chatka była dość przestronna, większa od tej, którą swego czasu dzielił z Magnusem. Piec, wyposażony w rożen i kocioł do duszenia potraw i gotowania zup, czekał tylko na rozpalenie. Niewielka szafka na zapasy przycupnęła tuż obok, w zasięgu ręki. W rogu, pomiędzy kominkiem a szafką stał mały stolik. Jego łóżko zajęło miejsce pod przeciwległą ścianą. U jego stóp postawiono dużą, drewnianą szafę. Szpon i Rondar ustawili skrzynię tuż obok niej. Chłopiec otworzył drzwi od szafy i z jego ust wyrwał się okrzyk.

– Popatrzcie na to!

W środku porządnie wisiały przepiękne ubrania, uszyte z najlepszych, kolorowych tkanin.

– Szlachcic – powiedział Rondar.

Demetriusz przytaknął.

– Wydaje się, że o to właśnie chodzi. Ale dlaczego tutaj, nie mam najmniejszego pojęcia.

Patrząc na dublet, z taką mnogością zapięć i dziurek, Szponowi aż zakręciło się w głowie.

– Wydaje mi się, że są tutaj, abym poćwiczył ubieranie. Zobaczcie na te stroje.

Nogawice, getry, spodnie, singlety, dublety, kamizelki, wszystko to wisiało w nienagannym porządku na drewnianych wieszakach i uchwytach. Na spodzie szafy rzędami stało pół tuzina różnego rodzaju pantofli i kamaszy.

A potem Szpon dostrzegł coś znajomego w rogu pokoju.

– Książki! – zawołał z zadowoleniem. Przeszedł przez pokój i przyjrzał się tytułom zgromadzonych woluminów. – Wszystkie są dla mnie nowe – powiedział cicho.

– No więc – odezwał się Demetriusz. – My idziemy na kolację. Powiedziano mi, żebyś ci przekazał, że masz teraz chwilę dla siebie. Ktoś ci przyniesie twoją kolację wieczorem. I jakieś zapasy. A potem będziesz tutaj samowystarczalny przez jakiś czas.

Szpon wiedział, że lepiej nie pytać dlaczego. Demetriusz zapewne i tak nic nie wiedział.

– Ćwicz – powiedział Rondar, pokazując na sztalugi.

– Tak – odparł Szpon. – Wydaje mi się, że chcę, abym się skupił na malowaniu i na tych innych rzeczach.

– Będziemy się widywać, jestem pewien – pocieszył go Demetriusz. – Chodź, Rondar. Zaprowadźmy wóz z powrotem do stajni.

Dwaj przyjaciele wyszli i Szpon usiadł, rozkoszując się nowym otoczeniem. Myśl, że od teraz, chociażby tylko na krótką chwilę, to będzie jego dom, wydała mu się niesamowita. Wypełniła go dziwna melancholia. Nigdy jeszcze, od dnia swoich narodzin, nie mieszkał sam. Jedyne czasu, jaki spędził bez towarzystwa innych, to medytacje na szczycie góry Shatana Higo, kiedy czekał na swoje wizje.

Usiadł cicho, pozwalając, aby dziwny nastrój zalewał jego duszę. Przypomniawszy sobie, czego go nauczono i czekał cierpliwie, aż nostalgiczna tęsknota za dzieciństwem opuści jego serce. Teraz nie czuł już rozpacz. Pokonał ją i pewnego dnia wypełni dane sobie przyrzeczenie. Jego lud zostanie pomszczony, a wtedy smutek na zawsze opuści jego serce.

Zanim się spostrzegł, zapadł zmrok. Zapalał właśnie lampę, kiedy usłyszał, jak przed chatką zatrzymuje się wóz. Pomyślał sobie, że z pewnością przywieziono mu kolację.

Otworzył drzwi i prawie się przewrócił na plecy, uskakując w bok przed Alysandrą, która stanowczo wmaszerowała do chaty, niosąc garnek jakiejś parującej potrawy o smakowitym zapachu.

– Rozładuję – zawołał za nią jakiś głos.

– Dzięki, Jom – rzuciła przez ramię.

– Co ty tu robisz? – zapytał Szpon.

– Przywiozłam ci kolację – odparła. – Nic ci nie powiedzieli?

– Powiedzieli mi, że ktoś ją przyniesie, ale nie mówili kto wytłumaczył – Szpon, czując się głupio już w momencie wypowiedzenia tych słów.

Uśmiechnęła się, a potem zdjęła lekki płaszcz, który otulał jej ramiona. Pod nim miała na sobie prostą suknię z odkrytymi ramionami. Włosy

opadały długimi pasmami wokół jej twarzy. Szpon poczuł, że brakuje mu powietrza.

Stał na środku pokoju, nie mogąc wydobyć z siebie jednego słowa.

– Pomogę Jomowi – wydukał wreszcie.

Uśmiechnęła się i ruszyła na poszukiwanie talerzy i kubków. Jom podał Szponowi dwa duże worki. – W tej skrzynce mam jeszcze więcej – powiedział. – Więcej czego?

– Jedzenia. Będziesz sam dla siebie gotował, to miałem ci przekazać. Wykorzystaj to, czego nauczył cię Leo. Kimkolwiek on jest i czegokolwiek cię nauczył – dodał Jom. Podniósł trzeci worek i zeskoczył z wozu na ziemię.

Szpon podniósł jedzenie i wniósł je do środka.

– Lepiej wykop z tyłu domu piwniczkę – doradził mu Jom, stawiając worki na podłodze. – Jutro przywiozę ci kawałek szynki i ćwiartkę wołowiny, to też miałem ci przekazać. W szopie na zewnątrz jest łopata i inne narzędzia, jakbyś nie wiedział.

– Dzięki – powiedział Szpon, kiedy Jom zbliżał się do drzwi.

Szpon odwrócił się, oczekując, że Alysandra podąży za Jomem, ale zamiast tego dziewczyna stała przy stole, nakładając do dwóch misek porcje gulaszu.

– Ach... więc ty zostajesz? – zapytał Szpon.

Ręką kazała mu usiąść i wyjęła butelkę wina. Potem nalała dwa pełne kubki napoju, przysunęła do stołu jeden z dwóch małych stołków, które były za nim ukryte i usiadła.

– Tak, zamierzam zjeść z tobą kolację. Nie powiedzieli ci?

Szpon usiadł.

– Najwyraźniej wszystkim powiedzieli, tylko nie mnie. – Z trudem odrywał wzrok od dziewczyny, ale za każdym razem, kiedy patrzyła na

niego, odwracał oczy w bok.

– Czasami tak tutaj jest, nieprawdaż? – podsumowała ze śmiechem.

– Zawsze tak tutaj jest – odparł, a ona zaśmiała się znowu.

Jedli w milczeniu przez parę chwil.

– Cieszę się, że jesteś tutaj – odezwał się Szpon. – Naprawdę, ale... cóż... co ty tutaj robisz?

– Och, czy mistrz Maceus tego też ci nie powiedział? – Nie – odparł Szpon. – Jak już mówiłem, nikt tutaj nie dzieli się ze mną informacjami.

– Będę tutaj z tobą mieszkać. Jestem twoim nowym modelem.

Szpon odstawił kubek. Nie mógł wprost uwierzyć w to, co mu przed chwilą powiedziała.

– Ty jesteś modelem?

– Tak, będę ci pozować nago do tych anatomicznych szkiców, które masz teraz robić.

Szpon poczuł, jak płoną mu policzki, ale zmusił się do zachowania zimnej krwi. Najwyraźniej dziewczyna nie czuła zakłopotania związanego z pozowaniem nago, więc zdecydował, że on także nie musi się czuć nieswojo. Jednakże mimo tego, nie mógł zmusić się do jedzenia, więc wrzucił zawartość talerza z powrotem do kociołka.

– Nie jestem głodny – powiedział słabym głosem. – Pracowałem w kuchni przez cały dzień i, wiesz, jak to jest, złapałem kęs tego i owego.

Uśmiechnęła się, ale nic nie powiedziała.

– Przynies mi trochę wody z jeziora – powiedziała do Szpona, kiedy skończyła jeść kolację. – Pozmywam.

Zadowolony z wymówki pozwalającej mu na chwilę samotności, Szpon pospiesznie zabrał się do wykonywania polecenia. Wziął wielki cebrzyk stojący za drzwiami i pobiegł nad jezioro. Do zbiornika wpływał mały strumyczek i tam właśnie, w pobliżu jego ujścia, Szpon napełnił wiadro,

gdyż woda w tym miejscu była czysta. Przydźwigał ciężki cebrzyk z powrotem i zobaczył, że Alysandra prawie już skończyła sprzątać ze stołu i zaniósła talerze i kubki do stojaka ustawionego na zewnątrz, tuż przy drzwiach. Kiedy się pojawił, bez słowa wzięła od niego wodę i szybko pozmywała.

Szpon wszedł do chaty, zastanawiając się z przerażeniem, o czym ma z nią rozmawiać. Ale zanim zdołał wymyślić jakiś temat, dziewczyna weszła do środka i zatrzymała się w drzwiach, wkomponowując się w ciemny kwadrat wejścia.

– Mamy ciepłą noc – powiedziała.

– Tak – zgodził się Szpon, zdając sobie sprawę, że się poci, jednakże bynajmniej nie z powodu pogody. – Jest raczej gorąco.

Nagle zaczęła się rozbierać.

– Chodźmy popływać.

Szpon siedział w niemym zdumieniu, patrząc, jak szybko zdejmuje suknię. Widząc wyraz jego twarzy, zaśmiała się.

– Przyzwyczajaj się do mojego widoku, Szponie. Przecież musisz mnie malować bez ubrania, nie zapominaj o tym.

– Tak mi się wydaje – powiedział, patrząc, jak się odwraca i biegnie w kierunku wody.

– No chodź! – rozkazała mu, śmiejąc się z jego widocznego zakłopotania.

Szpon zdjął buty, tunikę i spodnie i pobiegł za nią. Kiedy dotarł na plażę, Alysandra już pluskała się w wodzie. Wbiegł do jeziora i zanurkował płytko. Wynurzając się, odgarnął do tyłu włosy.

– Cudowne uczucie – stwierdził.

Przypłynęła do niego.

– Tak, masz rację.

Szpon zanurzył twarz pod wodę i znów pokazał się ponad powierzchnią.

– Brakowało mi dzisiaj kąpieli. Wydaje mi się, że tego mi właśnie było trzeba.

– Nie pachniałeś wcale gorzej niż zwykle – zauważyła.

– Co? – zapytał zaskoczony jej uwagą. – Czyja źle pachnę?

Zaśmiała się.

– To był dowcip, ty prostaku.

Zaczęła ochlapywać go wodą.

On nie pozostał jej dłużny i szybko tonęli w strugach wody, chlapiąc się jak dzieci. Potem pływali prawie przez godzinę, aż większy księżyc ukazał się na wschodnim niebie.

– Czas wracać – powiedziała w końcu Alysandra.

– Nie wziąłem ze sobą ręczników ani ubrań – odezwał się Szpon, czując, że to on powinien myśleć o takich rzeczach.

– Jest ciepło. Wyschniemy po drodze do chaty.

Wyszli z wody i poszli w kierunku domu, ramię przy ramieniu. Szpon nie mógł oderwać wzroku od jej ciała skąpanego w poświacie księżyca. Była szczupła i zgrabna, jak się tego spodziewał, ale piersi miała większe, niż sobie wyobrażał. Usta za to były węższe, niż mu się wcześniej wydawało, prawie chłopięce w kształcie.

– Gapisz się na mnie.

Oblał się czerwienią.

– Przepraszam, ale zastanawiałem się właśnie, jak cię najlepiej upozować. Spojrzała w bok.

– Och. Oczywiście.

Zawstydzony, Szpon zdał sobie sprawę, że jego własne ciało budzi się na jej widok. Chciał schować się do mysiej dziury i tam umrzeć, ale na

szczęście dziewczyna zdawała się nie zauważać jego zakłopotania. Kiedy dotarli do chaty, Szpon zatrzymał się przy drzwiach.

– Właśnie zdałem sobie sprawę...

– Z czego? – zapytała, odwracając do niego twarz.

– Tu jest tylko jedno łóżko.

– Oczywiście – odparła, podchodząc do niego, aż jej ciało oparło się o jego pierś. Otoczyła ramionami jego szyję i nagle jej twarz znalazła się tuż przed jego twarzą, a jej usta spoczęły na jego wargach. Szpon wahał się tylko przez chwilę, a potem przyciągnął ją do siebie i wszystko inne na świecie zapadło się w otchłań zapomnienia.



– Co tam gwizdziesz? – zapytała.

– Nie ruszaj się – rozkazał jej Szpon z szerokim uśmiechem. – Taka tam melodyjka, nie wiem. Wymyśliłem ją.

– Podoba mi się. Umiesz ją zagrać na fujarce?

– Tak mi się wydaje – odparł, robiąc krok do tyłu, żeby lepiej się przyjrzeć obrazowi, który zaczął malować tego ranka, trzeciego odkąd Alysandra przybyła do chaty. Po raz pierwszy, od kiedy zaczął malować, ujął pędzel w dłoń z całkowitą pewnością tego, co czyni, a pierwszy szkic, który narysował, wymagał jedynie niewielkich poprawek. Teraz nakładał farbę szerokimi pociągnięciami pędzla, nadając kolor czarno-białemu obrazowi. Widział, jak dzieło nabiera faktury i kształtu.

Pierwszą noc spędził z Alysandra w stanie euforii. Nie wyobrażał sobie, że mógłby czuć tak głębokie przywiązanie do jakiegokolwiek innej kobiety. Dziewczyna była słodka, ciepła i namiętna. Dawała. Ale tak samo wymagała i rozkazywała w rozradowany i rozbudzony sposób.

Prawie nie spali, z wyjątkiem krótkich drzemek ucinanych w chwili odpoczynku od miłości. W końcu oznajmiła, że głód nie pozwala jej zasnąć i Szpon ugotował śniadanie, podczas gdy dziewczyna kąpała się w jeziorze. On też umył się szybko, kiedy Alysandra jadła, a potem wrócił i pochłonął z wilczym apetytem chleb i ser, przełknął dwa łyki wina i zaciągnął dziewczynę z powrotem do łóżka.

Gdzieś w przerwach pomiędzy kochaniem się, jedzeniem i spaniem, Szpon zdołał nawet wykopać piwniczkę na terenie posiadłości, w pobliżu opuszczonej szopy. Z zachwytem stwierdził, że ktoś przed nim, kilka lat temu zaczął podobny projekt i większość dziury była już wykopana. On musiał tylko wyczyścić dół ze zgniłych liści i gałęzi, które się tam nagromadziły przez lata, i wyrównać brzegi, wyciąć stopnie w ziemi i dopasować drzwi.

Skończył piwniczkę drugiego dnia. Mięso, piwo, wino i ser, wraz z koszem owoców spoczywały teraz w zimnym pomieszczeniu. Od tego czasu poświęcił się całko wicie jednej tylko rzeczy, Alysandrze.

Odsunął się od obrazu i zamruczał coś, rozważając jakieś tajemnicze sprawy.

– Hm...

Porzuciła przyjętą pozę i podeszła do niego, żeby popatrzeć.

– To mam być ja?

– Tak – odparł z udawaną powagą. – Będziesz bardziej do siebie podobna, kiedy popracuję trochę nad detalami.

– Skoro tak mówisz. – Stanęła za nim i objęła go mocno ramionami. A potem pozwoliła dłoniom opaść niżej, przesunęła je po jego brzuchu. – Ojej, a co to takiego? – powiedziała z udawanym zaskoczeniem.

Obrócił się w jej ramionach i pocałował ją.

– Zaraz ci pokażę – zażartował.



Przez całe lato żyli w całkowitej idylli. Okazjonalnie odwiedzał ich mistrz Maceus, chcąc ocenić postępy Szpona i dać mu wskazówki, jak ma usprawniać swe umiejętności. Nigdy jednak nauczyciel nie krytykował dzieł chłopca. Kiedy zbliżała się jesień, Szpon kończył właśnie dwunasty portret, na którym Alysandra spoczywała na łożku.

– Tak sobie myślałem... – powiedział, dodając kolejne szczegóły, które właśnie zauważył. Teraz przykładał większą wagę do doskonałości obrazów.

- O czym? – zapytała z uśmiechem.
- O tym, co się stanie w przyszłości.
- O nowym obrazie? – spytała z uśmiechem.
- Nie, miałem na myśli nas.

Nagle jej uśmiech zniknął z twarzy. Wstała i szybko podeszła do niego, stając tuż przed jego twarzą. Bez najmniejszego śladu ciepła podniosła prawą dłoń i położyła palec na jego ustach.

– Cicho – rozkazała mu. – Nie ma się nad czym zastanawiać. Jesteśmy tutaj, teraz, w tej chwili i tylko to się liczy.

– Ale...

Mocniej przycisnęła palec i zobaczył w jej oczach błysk, jakiego nie dostrzegł nigdy wcześniej.

– Powiedziałam, cicho. – A potem uśmiech wrócił na jej usta, ale w jej rysach pozostała pewna twardość, będąca nowością dla Szpona. Sięgnęła w dół i pogłaskała go.

– Wiem, jak powstrzymać cię od myślenia o rzeczach, które lepiej pozostawić swojemu biegowi – powiedziała.

Poczuł ukłucie zaniepokojenia, gdyż dostrzegł w niej coś, co było dla niego obce i trochę przerażające. Ale, jak zwykle, jej dotyk rozpałił w nim płomień i chwilę później wszystkie zmartwienia zmyła fala namiętności.



Następnego dnia padało. Obudzili się, słysząc bębnienie deszczu w dach chaty i Szpon szybko odkrył, że strop cieknie w kilku miejscach. Zatkanął dziury grubym materiałem. Dach był zrobiony ze słomy i musiał poczekać, aż wyschnie, zanim będzie w stanie naprawić go we właściwy sposób.

Po śniadaniu Alysandra wstała i zaczęła się ubierać.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytał.

– Wracam do willi – odparła płaskim głosem.

– Dlaczego? – zdziwił się. – Czy coś się stało?

– Nie, po prostu robię, co mi kazano.

– Kto ci kazał?

– Mistrz Maceus. Powiedział, że mam tu zostać przez całe lato, aż namalujesz dwanaście moich portretów, a potem mam wrócić do posiadłości i zająć się innymi obowiązkami.

– A co ze mną? – zapytał Szpon.

– Nie rozmawialiśmy o tym, co będziesz robił, jak odejdę. Powiem mu, że skończyłeś malować i jestem pewna, że wtedy tutaj przyjdzie, żeby obejrzeć ostatnie dwa, i z pewnością powie ci, co masz robić.

Szpon ustawił się przy drzwiach. – Poczekaj, aż przestanie padać.

– Nie mogę – odparła, próbując się przemknąć obok niego. – Poczekaj! – Złapał ją za ramię. – Poczekaj chwilę. Spojrzała na niego oczami pozbawionymi nawet odrobiny ciepła.

– O co chodzi?

– Ale co z nami?

– Co z nami? – powtórzyła.

– Mam na myśli to, że cię kocham.

– Szponie, jesteś słodkim chłopcem – odparła tonem, w którym czaiło się zniecierpliwienie. – I dobrze się bawiłam przez całe lato, ale miłość nie ma nic wspólnego z tym, co zaszło między nami. Lubię mężczyzn i gry z pięcią przeciwną sprawiają mi przyjemność. Myślę, że nauczyłam cię czegoś w tej materii, ale jeżeli sądzisz, że robiłam to z miłości, mylisz się. Grubo się mylisz.

Pałaca czerwień powoli wypełzała na policzki Szpona, a oczy piekły go, jakby zbierały się w nich łzy, ale wilgoć nie spłynęła po jego twarzy. Czuł się tak, jakby ktoś zdzielił go pałką w brzuch. Brakowało mu powietrza. Przez jego umysł przelatywały poszarpane myśli i z trudem rozumiał, co Alysandra przed chwilą do niego powiedziała. Nie był w stanie sklecić sensownego zdania.

– Poczekaj – powtórzył miękko.

– Na co? – zapytała, otwierając drzwi i dając krok w deszczowy poranek. – Aż dorosniesz? Nie wydaje mi się, chłopcze. Masz krzepę ogiera i nauczyłeś się mnie zaspokajać, ale gdy będę chciała się z kimś związać na stałe, będzie on musiał dla mnie znaczyć coś więcej. Szukam potężnego mężczyzny, który obsypie mnie bogactwem i będzie chronił mnie i moje dzieci. I nigdy nie będę się w tym wyborze kierować miłością.

Z tymi słowami odwróciła się i zniknęła na ścieżce biegnącej wzdłuż jeziora, podczas gdy Szpon stał, ściskając framugę tak mocno, że słyszał niemalże trzask łamanego drewna. Popatrzył w dół na swoją dłoń i zobaczył, że wbiły się w nią drzazgi, a potem z powrotem zatopił wzrok w burzowych chmurach.

Od czasu przebudzenia na wozie Roberta nie czuł się tak wyprany z wszelkiej radości. Po raz drugi w całym swoim życiu było tak, jakby

wszystkie dobre rzeczy, jakich doświadczał, zostały mu zabrane.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

REKONWALESCENCJA

Szpon jęknął.

Leżał na swoim łóżku od dwóch dni, wstając tylko za potrzebą i żeby się napić wody. Czuł się słaby i rozbity, jakby cierpiał z powodu gorączki. Jego myśli wędrowały swobodnie. Po wielekroć przeżywał w umyśle słowa, jakie usłyszał od Alysandry, kiedy dziewczyna opuszczała chatę.

Jakaś ręka znowu nim potrząsnęła.

– Co u diabła? – zapytał, wydobywając zamulony umysł z otchłani otepiałej drzemki. Zobaczył nad sobą Magnusa.

– Najwyższy czas, żebyś skończył z tym uzalaniem się nad sobą.

Szpon usiadł na łóżku. Głowa kiwała mu się na boki. Usiłował skupić swój wzrok na jednym punkcie.

– Kiedy jadłeś ostatni raz? – zapytał Magnus.

– Wczoraj, tak mi się wydaje.

– Na moje oko dawniej niż trzy dni temu – ocenił mag. Zaczął szukać czegoś na szafce w pobliżu pieca i po chwili wrócił z jabłkiem. – Masz tutaj, jedz.

Szpon ugryzł owoc i poczuł, jak po brodzie spływa mu sok. Przełknął kęs, ocierając usta wierzchem dłoni. Po krótkim poście jego żołądek zwinął się w węzeł, czując w sobie kawałek pożywienia.

– Źle się czujesz?

Magnus usiadł na łóżku obok chłopca. Szpon skinął tylko głową. Nie był w stanie wydobyć z siebie ani słowa.

– Złamała ci serce?

Szpon nie odezwał się, ale w kącikach jego oczu zebrały się łzy. Przytaknął ponownie.

– To dobrze – stwierdził Magnus, uderzając chłopca laską w kolano.

– Au! – wrzasnął Szpon, łapiąc się za kolano.

Magnus wstał i walnął chłopca w bok głowy, lekko, ale wystarczająco mocno, aby Szponowi zadzwoniło w uszach, a w oczach pojawiło się jeszcze więcej łez.

– Broń się! – zawołał Magnus, odsuwając się krok od łóżka.

Tym razem wyprowadził złośliwe uderzenie w lewy bok głowy chłopca i ten z ledwością uniknął wstrząsu mózgu. Szpon upadł na kolana i odtoczył się na bok, zdobywając kilka dodatkowych chwil, gdyż teraz Magnus, żeby go sięgnąć, musiał obejść łóżko. Kiedy to zrobił, znalazł Szpona stojącego za stołem, z wyciągniętym mieczem w dłoni.

– Mistrzu Magnusie! – zawołał. – O co ci chodzi?

Magnus nie odpowiedział, tylko pchnął mocno końcem laski w kierunku głowy Szpona, a potem zatoczył nią szeroki łuk. Szpon odbił ostrzem miecza koniec laski w samą porę, aby uniknąć morderczego uderzenia w ramię. Drewno ześliznęło się po ostrzu. Szpon postąpił krok naprzód i złapał swego nauczyciela za materiał sukni na piersi, wytrącając go z równowagi.

– Czy mam cię teraz zabić? – wysyczał, przykładając koniec miecza do gardła Magnusa.

– Nie – odparł Magnus z szerokim uśmiechem. Złapał za nadgarstek ręki, w której chłopiec ścisnął klingę i Szpon poczuł nagle, jak drętwieją mu palce.

– Dobrze, bardzo dobrze – usłyszał głos Magnusa, kiedy miecz wysunął się z jego zdrętwiałej nagle ręki.

– O co w tym wszystkim chodzi? – zapytał zdezorientowany Szpon, cofając się i pocierając dłoń.

– Czy wydaje ci się, że jeżeli twój wróg napadnie cię w niespodziewanym momencie, zatrzyma się i powie – och, biedny Szpon. Cierpi, bo się zakochał. Myślę, że poczekam na jakiś lepszy dzień, żeby go zabić.

Szpon ciągle pocierał bolące palce. – Nie.

– Właśnie. – Ruchem ręki nakazał Szponowi ponownie usiąść na łóżku. – Nasi wrogowie będą cię atakować w sposób, jakiego nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, Szponie. Kaleb i inni mogą cię nauczyć, jak posługiwać się bronią i szlifować twoje wrodzone talenty. Ja mogę otworzyć twój umysł i sprawić, że twoi wrogowie nie będą mogli cię z łatwością omamić ani zastraszyć. Ale sprawy serca... – Uderzył się w klatkę piersiową. – Człowiek jest najbardziej podatny na takie zranienia.

– A więc to była lekcja?

– Tak – przyznał Magnus z lekkim skrzywieniem ust. – Najtwardsza lekcja, jaką kiedykolwiek widziałem, ale niezbędna.

– Ona mnie nie kochała?

– Nigdy – odparł Magnus zimno. – To my ją stworzyliśmy i używamy jej, kiedy jest nam potrzebna, tak jak użyjemy kiedyś każdego ze studentów, których tutaj kształcimy.

Kiedyś w tym miejscu uczono, po prostu nauczano chętnych na ich własne życzenie i dla ich własnego dobra. Mój ojciec założył Akademię Magów na Stardock. Czy wiedziałeś o tym?

– Nie.

– Kiedy politycy przejęli kontrolę nad Akademią, założył kolejne miejsce nauczania na tej wyspie, dla studentów posiadających specjalne talenty. Ja się tutaj wychowałem.

Ale kiedy wybuchła wojna z Wężowym Ludem i zniszczono Krondor, mój ojciec zdał sobie sprawę, że nasi wrogowie są nieustępliwi i nigdy nie dadzą nam wytchnienia. Tak więc ta szkoła stała się miejscem treningu. Przybywali tutaj uczniowie z innych światów, ale było ich zaledwie kilku każdego roku. Ojciec przywozi czasem nauczycieli z innych krain, ale najczęściej uczymy sami, ja, matka, Nakor i inni, jak Robert.

– Nie pytałem, gdyż zakładałem, że kiedyś się dowiem, ale kto jest naszym wrogiem?

– Bardzo trudno jest to wytłumaczyć komuś tak młodemu jak ty. Kiedy będziesz gotów zrozumieć, wtedy mój ojciec i Nakor wszystko ci wytłumaczą.

Ale z pewnością spotkasz się ze sługami wroga, a jak się już zapewne przekonałeś w tę noc, kiedy napadli na ciebie tancerze śmierci, potrafią oni uderzać z zaskoczenia i w najbardziej nieoczekiwany sposób, w miejscach, które uważasz za bezpieczne.

– A więc muszę...?

– Musisz się uczyć, być ostrożny i ufać tylko niewielu osobom. – Przerwał, zastanawiając się, co teraz powiedzieć. – Gdybym rozkazał Demetriuszowi albo Rondarowi, żeby cię zabili, zrobiliby to. Założyliby, że moje powody są słuszne i że stanowisz dla nas zagrożenie. Jeżeli kazałbym Alysandrze zabić cię, zrobiłaby to. Różnica jest tylko jedna. Demetriusz i Rondar czułiby wyrzuty sumienia. Alysandra nie czułaby nic.

– Czy to wy ją taką uczyniliście? – zapytał Szpon, czując, jak wzrasta w nim gniew i odraza.

– Nie – zaprzeczył Magnus. – Już taka była, gdy ją znaleźliśmy. Ona jest... skażona. Tragiczna i okrutna. Alysandra nie myśli o ludziach w sposób, jaki robimy to ty czyja. Myśli o nich jak o kawałkach drewna albo... – pokazał na krzesło – ...o meblach. Są na tyle przydatni, że opłaca

się o nich dbać, żeby nie tracili tej przydatności, ale nie mają dla niej żadnej wartości ponad to.

Znaleźliśmy tą okrutnie okaleczoną osobowość i sprowadziliśmy ją tutaj. Nakor może ci o tym opowiedzieć. Ja wiem tylko to, że pewnego dnia ta śliczna dziewczyna po prostu znalazła się pośród nas i Nakor wyjaśniał nam, w jaki sposób powinniśmy jej użyć.

–Ale dlaczego? Po co ją tutaj sprowadziliście?

– Żeby ją wyszkolić. Żeby pracowała dla nas. Chcieliśmy wykorzystać jej bezlitosną naturę do własnych celów. W przeciwnym razie skończyłaby na jakiejś szubienicy w Krondorze. W ten sposób przynajmniej mogliśmy ją ukierunkować i kontrolować, kto zostanie zraniony.

Szpon siedział w milczeniu, patrząc przez otwarte drzwi. – Ale to było takie...

– Prawdziwe?

– Tak. Myślałem, że ona też się we mnie zakochała.

– To jeden z jej talentów. Jest taka, jaką wyobrażają ją sobie inni w danej chwili. To była okrutna lekcja, Szponie, ale potrzebowałeś jej. Nie mogę tego już lepiej ująć. Ona podcięłaby ci gardło we śnie, gdyby tak kazał jej Nakor, a potem wstałaby, ubrała się i, gwizdząc pod nosem wesołą piosenkę, powróciłaby do posiadłości.

– Ale dlaczego zrobiliście to właśnie mnie?

– Żebyś mógł wejrzeć w siebie i zrozumieć, jak słabe jest ludzkie serce. Żebyś mógł się uzbroić, opancerzyć przeciwko podobnym historiom, jakie mogą cię spotkać w przyszłości.

– Czy to oznacza, że już nigdy nie będę potrafił się zakochać?

Teraz to Magnus zamyślił się i utkwiał dalekie spojrzenie w krajobrazie rozciągającym się za drzwiami chaty.

– Może nie – powiedział w końcu. – Ale z pewnością nie w podobnej młodej dziewczynie, która przyciągnie twoją uwagę prostymi sztuczkami, zgrabną nóżką i wskakiwaniem do łóżka. Możesz sypiać z kobietami, Szponie, z tymi, które pod wpływem okoliczności zgodzą się dzielić z tobą łożo. Tylko nie myśl sobie, że powoduje nimi miłość ani się w nich nie zakochuj, Szponie.

– Wiem o tych sprawach tak niewiele.

– Teraz więc postąpiłeś o krok bliżej do odkrycia mądrości – odparł Magnus, podnosząc się z łóżka. Poszedł w kierunku drzwi. – Pomyśl o tym przez chwilę. Przypomnij sobie spokojne czasy, kiedy twoja matka i ojciec troszczyli się o ciebie i twoją rodzinę. To jest właśnie miłość. A nie namiętność chwili, osiągnana w ramionach kobiety chętnej ci się oddać. Szpon oparł się o ścianę.

– Mam wiele rzeczy do przemyślenia.

– Jutro powrócimy do twojego szkolenia. Zjedz coś i prześpij się, gdyż mamy wiele pracy.

Magnus wyszedł, a Szpon położył się w powrotem na łóżku, podłożywszy sobie łokieć pod głowę. Zapatrzył się na sufit, rozmyślając nad słowami maga. Czuł się tak, jakby Magnus oblał go lodowatą wodą. Było mu zimno i nieswojo. Obraz twarzy Alysandry wisiał nad nim w powietrzu, ale teraz oblicze to przybrało okrutny i kłamliwy wyraz. I zastanawiał się, czy kiedykolwiek będzie jeszcze mógł spojrzeć na kobietę w sposób, w jaki to robił do tej pory.



Szpon nie spał tej nocy, chociaż był tak zmęczony, jak tylko mógł sięgnąć pamięcią. Czuł się nawet bardziej wyczerpany niż wtedy, kiedy

leczył się z ran, które niemalże doprowadziły go do śmierci. Nie ciało, ale duszę miał zmęczoną. Zapadł w letarg wywołany przez rany serca.

Jednakże czuł w sobie odrobinę słabej energii. Przez jego umysł przemykały krótkie obrazy, wspomnienia, wyobrażenia; fantazje i fantasmagorie. Nie chciał przyjąć do wiadomości oceny Alysandry przedstawionej przez Magnusa. Szpon był przekonany, że mag nie ma pojęcia, co on czuje, ale jednocześnie wiedział, że się myli. Był wściekły i jego gniew szukał ujścia, obiektu, ale nie mógł znaleźć żadnego celu. Winił swoich nauczycieli, a jednak wiedział, że ta lekcja życia była mu potrzebna i pewnego dnia być może ocali go od śmierci. Szalał ze złości na Alysandrę, ale jednocześnie biorąc pod rozwagę słowa Magnusa, nie mógł jej winić za to, co zrobiła. Taką miała naturę. Nie mógł obwiniać żmii za to, że zatrąła go jadem.

Powoli nadszedł świt i niebo stało się różowe, a potem złotawe. Wstał rześki i czysty jesienny poranek. Pukanie do drzwi wyrwało Szpona z gorzkich rozważań. Chłopiec otworzył drzwi.

Za drzwiami stał Kaleb.

– Chodźmy zapolować – powiedział.

Szpon skinął potakująco głową, nie zastanawiając się nawet, w jaki sposób Kaleb tak szybko pojawił się na wyspie. Nikt nie przykładął specjalnej wagi do magii na Wyspie Czarnoksiężnika.

Szpon wziął swój hak z szafy, gdzie tkwił on, zapomniany i nieużywany. Spędził godziny na ubieraniu się i zdejmowaniu pięknych ubrań, kiedy on i Alysandra spędzali razem lato, zatopieni w grach pomiędzy mężczyzną i kobietą. Myślał o nich jako o grach miłości, ale teraz wiedział, że były to tylko zajęcia z pożądania.

Trzymał łuk, i było to coś realnego i solidnego, co mógł złapać i dotknąć, i zdał sobie sprawę, że podczas miesięcy spędzonych z

dziewczyną stracił bardzo wiele. Wyjął kołczan ze strzałami, a potem odwrócił się do starszego mężczyzny.

– Chodźmy – powiedział.

Kaleb szedł szybkim krokiem. Prowadził, nie oglądając się za siebie, spodziewając się, że Szpon zawsze będzie o krok za nim albo u jego boku.

Kierowali się na północ, daleko od zabudowań szkoły. Przez połowę czasu biegli. W samo południe Kaleb zatrzymał się i pokazał coś chłopcu wyciągniętą dłonią. Stali na szczycie grani, z której widać było prawie całą północną część wyspy. W pewnej odległości Szpon mógł zobaczyć małą chatkę, gdzie mieszkał z Magnusem, kiedy po raz pierwszy przybył na tę wyspę. Milczał.

– Ja też kiedyś myślałem, że Kocham – odezwał się w końcu Kaleb.

– Czy ktoś o tym wie?

– Tylko ci, którzy powinni o tym wiedzieć. To była lekcja.

– Tak mi wszyscy mówią. Ja jednak nie mogę przestać o tym myśleć jako o okrutnym żarcie.

– Okrutny, bez wątpienia. Ale nie żart. Wątpię, czy ktokolwiek ci powiedział, co cię czeka w przyszłości. Ja też nie wiem, chociaż mam pewne co do tego przeczucia. Zostaniesz wysłany w miejsca i zobaczysz rzeczy, o jakich nawet się nie śniło chłopcu z ludu Orosinich, Szponie. A w tych miejscach knowania pięknych kobiet mogą być tak samo niebezpieczne jak zatrute ostrze. – Oparł się na łuku. – Alysandra nie jest jedyną dziewczyną, która nic nie czuje. Nasi wrogowie mogą dysponować zastępami takich kobiet. Podobnie jak mają takich agentów jak ty.

– Agentów?

– Pracujesz dla Konklawe i w jego imieniu, to już wiesz. – Popatrzył na Szpona i chłopiec skinął głową. – Nakor i mój ojciec pewnego dnia powiedzą ci więcej, ale to jedno ja mogę ci zdradzić, nawet jeżeli oni

uwają, że nie jesteś jeszcze gotów, aby się dowiedzieć: jesteśmy agentami dobra. To gorzka ironia, że czasem musimy uciekać się do czynów, które mają znamiona zła, aby sprawić, żeby dobro zatriumfowało.

– Ja nie jestem uczonym człowiekiem – odezwał się Szpon. – Przeczytałem wiele książek, wystarczająco dużo, aby się przekonać, jak mało wiem. Ale przeczytałem ich na tyle dużo, żeby się zorientować, że większość ludzi myśli o sobie jako o bohaterach, a przynajmniej o bohaterach swego małego życia. I że żaden człowiek czyniący zło nie myślał o tym, że kogoś krzywdzi.

– W pewnym sensie masz rację. – Kaleb zatrzymał się na chwilę, jakby chciał się rozkoszować delikatnym, jesiennym wietrzykiem. – Z drugiej jednak strony, musisz wiedzieć, że się mylisz. Są ludzie, którzy świadomie służą złu, którzy je czczą i chcą wiele zyskać na jego triumfie. Niektórzy poszukują władzy. Inni pragną bogactwa. A jeszcze inni mroku i cienia. Ale ich działania prowadzą do jednego. Przynoszą cierpienie i śmierć niewinnym.

– Co próbujesz mi powiedzieć?

– Tylko to, że masz właśnie rozpocząć następny etap nauki i musisz być gotowy na akceptację wielu rzeczy, które wydają się okropne i nie do zaakceptowania. To jest niezbędne.

Szpon kiwnął głową.

– Kiedy zacznie się ten nowy etap?

– Jutro. Jutro wyruszamy do Rrondoru. Ale teraz skupmy się na polowaniu.

Kaleb złapał za łuk i pobiegł w dół wąską ścieżką wydeptaną przez zwierzyń, nie patrząc za siebie, czy chłopiec podąża za nim.

Szpon zatrzymał się na chwilę, a potem pobiegł za Kalebem, wiedząc, że podobnie jak wszystkie inne rany, ta, którą czuł w głębi serca, pewnego

dnia także się zagoi. Ale podejrzewał także, że podobnie jak większość, ta rana pozostawi po sobie bliznę, która będzie go szpeciła przez całe życie.



Statek pędził na zachód, pchany silnym, niemalże burzowym wiatrem, ślizgając się po falach niczym żywe zwierzę. Szpon stał na dziobie, tak daleko w przód, jak tylko się dało, ukryty za bukszprytem, ciągle zachwycony i podniecony morską podróżą, chociaż płynęli już od tygodnia. Około południa lub wczesnym wieczorem mieli dotrzeć do celu podróży, do Kronodoru, stolicy Zachodu, czyli zachodniego obszaru Królestwa Wysp.

Z nieznanych mu powodów jego zwierzchnicy zdecydowali, że powinien popłynąć do Kronodoru, a potem wraz z karawaną udać się do Saladoru. Dalszego etapu podróży nie znał. Robił to, co mu kazano. Spodziewał się, że Magnus użyje magii, aby przenieść go do celu podróży, ale zamiast tego płynął na pokładzie statku, w konwencjonalny sposób, wraz z Kalebem.

Kaleb był uspokajającym towarzyszem podróży i Szpon cieszył się, że właśnie on został wybrany do tej roli. Rozmawiał z chłopcem, kiedy ten zadawał mu pytania, ale długie okresy ciszy nie stanowiły dla niego ciężaru. Obaj myśleli podobnie, jak myśliwi. Od czasu zniszczenia wioski Szpon nikogo nie darzył tak wielką sympatią i przyjaźnią jak właśnie Kaleba.

Morze, podobnie jak wybrzeże, było dla Szpona obce jednakże od pierwszej chwili, gdy je ujrzał, czuł do niego silny pociąg, jak do gór swego rodzinnego kraju. Morze było nieskończone, ciągle w ruchu, tajemnicze. Powietrze pachniało świeżością, chociaż był to inny jej rodzaj, i nawet utrzymująca się brzydka pogoda w jakiś sposób wydawała się Szponowi piękna.

Statek nazywał się Pani Zachodu i pływał pod banderą Imperium Wielkiego Keshu. Szpon słyszał wystarczająco dużo rozmów, szeptanych pomiędzy członkami załogi, żeby się zorientować, że ta przynależność jest jedynie fikcją. Statek należał do Puga. Chłopiec wielokrotnie zastanawiał się nad tym człowiekiem. Pug wydawał się być młody, albo raczej wchodzić dopiero w wiek średni, i ciągle cechował go wigor i młodzieńczy charakter. Miranda najwyraźniej była w podobnym wieku, jednakże ona i Pug mieli dorosłe dzieci, na przykład Magnusa, który na oko miał tyle samo lat co oni.

Pug był cichym człowiekiem i rzadko odzywał się do studentów, ale kiedy już do tego doszło, okazywał się przyjazny i otwarty. Jednak tkwiło w nim coś, co sprawiało, że Szpon czuł się nieswojo w jego towarzystwie. Pug miał wielką moc, to było oczywiste nawet dla chłopca z gór na wschodzie. Robert, Nakor, Magnus i Miranda także byli magami, Szpon wiedział o tym. Ale w Pugu wyczuwał coś znacznie potężniejszego. To było coś, co jego dziadek nazwałby „dotknięciem przez bogów”.

Szpon zastanawiał się, jakie było dzieciństwo człowieka takiego jak Pug. Kim byli jego rodzice i czego się uczył, żeby zostać tak potężnym magiem. Może pewnego dnia odważy się zapytać, ale w danej chwili wolał napawać się podróżą, pozostawić pytania samym sobie.

Ból w jego sercu przeminął i teraz mógł już patrzeć wstecz, na dni spędzone z Alysandrą, i czuć tylko gorzko-słodką ironię zaistniałej sytuacji. Tego ostatniego dnia myślał o małżeństwie, o spędzeniu z nią całego życia, a teraz postrzegał Alysandrę jedynie jako obiekt, nad którym należy się litować albo nim gardzić. Albo obie te rzeczy naraz. Dziewczyna była tylko kukłą bez serca i Szpon, w jakiś sposób, musi się nauczyć, jak być takim jak ona. Gdyż od tego dnia, kiedy go zostawiła i usłyszał prawdę

o niej, zrozumiał, że Alysandrą jest znacznie bardziej niebezpieczna, niż jest to sobie w stanie wyobrazić.

Na pokładzie pojawił się Kaleb, ubrany w impregnowany płaszcz z płótna, podobny do okrycia Szpona. Zimne bryzgi morskiej wody pryskały zza burty, ale Kaleb nie zwracał na nie uwagi. Podszedł do Szpona i stał w milczeniu, napawając się widokiem.

Wielkie morskie bałwany, udekorowane kłaczkami piany, powoli znikwały w zapadającym zmroku, pogłębionym jeszcze przez pędzące po niebie czarno–sine chmury. W pewnej odległości widzieli błyski światła.

– Dotrzemy do Krondoru przed burzą, ale zdążyliśmy w ostatniej chwili – odezwał się Kaleb po dłuższym czasie.

Szpon kiwnął głową.

– Myślę, że mógłbym być żeglarzem – powiedział chłopiec w zamyśleniu.

– Morze wzywa do siebie wielu mężczyzn – zauważył Kaleb.

Przez resztę popołudnia aż do wieczora nie odzywali się do siebie. Godzinę przed zapadnięciem wzroku usłyszeli wołanie z bocianiego gniazda.

– Ziemia, ziemia!

Kapitan statku wyszedł z kajuty, aby oznajmić im przybycie na miejsce.

– Panowie, dotrzemy do Krondoru tuż po zapadnięciu zmroku. Schronimy się przed sztormową falą za falochronem, a o pierwszym brzasku dnia zawiadomię kapitanat o naszym przybyciu i wpłyniemy do portu. Noc spędzimy bezpiecznie, ale będzie trochę hałasu.

Szpon skinął głową. Nie mógł się już doczekać, żeby zobaczyć miasto. Czytał o nim w historiach Ruperta Avery’ego i w innych książkach.

Kaleb położył dłoń na ramieniu chłopca, dając mu tym samym znak, że powinni zejść pod pokład. Szpon odwrócił się i poszedł pierwszy.

Kiedy dotarli do swojej kajuty, która z ledwością mieściła w sobie dwie koje, zawieszono jedną nad drugą, zdjęli przemoczone ubrania i usiedli, Szpon na wyższym łóżku, a Kaleb na niższym.

– Mamy jeszcze trochę czasu do kolacji – powiedział Kaleb. – Czy powtórzyłeś już sobie swoją zmyśloną historię?

– Tak – odparł Szpon. Miał mówić każdemu, kto go spyta, że jest myśliwym ze wzgórz w okolicach Crydee, co tłumaczyłoby jego lekki, obcy akcent. Jako że pomiędzy miastami na Dalekim Wybrzeżu a Kondorem nie podróżowało zbyt wielu ludzi, istniała mała szansa, że spotkają kogoś z tamtych odległych stron. A jeżeli już tak by się stało, rozmowę miał poprowadzić Kaleb, gdyż on dosyć dobrze znał miasto Crydee i okolice.

– Kalebie?

– Tak, Szponie?

– Dlaczego podróżujemy w ten sposób? – Chciał o to zapytać od czasu, kiedy tylko opuścili wyspę.

– Żeby poszerzyć twoje horyzonty – odparł Kaleb. – Z podróżowaniem jest podobnie jak z innymi rzeczami. Mogą ci mówić to i tamto o obcych stronach, ale zobaczenie ich na własne oczy to zupełnie inna sprawa. Ty dostrzeżesz miliony szczegółów i będą one zupełnie inne od tego, co ja widzę.

– A dokąd się wybieramy?

– W Krondorze przyłączymy się do jakiejś karawany idącej do Krzyża Malaka. To granica pomiędzy ziemiami zachodu i wschodu tego królestwa. Tam postaramy się o konie i pojedziemy do Saladoru. W obu tych miastach jest wiele rzeczy, które powinieneś poznać.

– To daleko, ale co zrobimy, jak już dotrzemy do Saladoru?

– Będziesz się uczył – krótko odpowiedział Kaleb, kładąc się na koi. – A teraz bądź cicho, to się jeszcze zdrzemnę przed kolacją.

– Będziesz się uczył – wymamrotał pod nosem Szpon. – Tak wygląda całe moje życie.

– I jako takie, chyba jest nienajgorsze. Siedź cicho.



Łódź przybiła do kei, a jakiś uczynny majtek przyciągnął ją za burtę do kamiennego nabrzeża i przycumował do wystających słupków. Szpon zszedł na brzeg, tuż za nim podążał Kaleb. Podeszedł do nich mężczyzna, na którego ramieniu tkwiła opaska z emblematem orła szybującego nad wierzchołkami gór.

– Skąd jesteście? – zapytał znudzonym tonem.

– Z Crydee.

– Przybyliście na keshiańskim statku.

– To był pierwszy statek, jaki odpływał z Dalekiego Wybrzeża, kiedy się zdecydowaliśmy na podróż tutaj – wyjaśnił Kaleb w przyjazny sposób.

– Cóż, jeżeli jesteście obywatelami Królestwa, droga wolna. – Mężczyzna odszedł, pozostawiając Szpona i Kaleba samych.

– I to wszystko? – zdziwił się Szpon.

– Żyjemy w latach pokoju, tak przynajmniej mówią. – Kaleb gestem nakazał Szponowi iść za sobą. – A przynajmniej tutaj na zachodzie. Król Ryan obiecał rękę swej córki bratankowi imperatorowej Wielkiego Keshu, a imperator Queg ma kuzynkę, która jest żoną młodszego syna króla Ryana. Nic nie zakłóca handlu z Wolnymi Miastami, a gubernator Durbinu trzyma tę swoją niby prywatną straż na krótkiej smyczy. Przez ostatnie siedem lat nie doszło do żadnego konfliktu zbrojnego.

Wspinali się po schodach prowadzących z nabrzeża na ulice miasta.

– To na wschodzie sprawy balansują na ostrzu noża – dodał Kaleb. – I dlatego tam poddano by cię daleko bardziej szczegółowemu śledztwu niż tutaj.

Szli ulicą w kierunku centrum miasta. Kiedy Szpon zadzierał głowę, mógł zobaczyć zamek wznoszący się na południe od portu.

– To tam mieszka księżę?

– Księżę Matthew, syn króla Ryana. Król Patryk zmarł zaledwie dwa lata temu i Matthew ciągle jest młodym, niedoświadczonym chłopcem. Ma niecałe czternaście lat – powiedział Kaleb. – Ale i tak to nie on ma władzę w tym mieście.

– A kto?

– Dwaj bracia Jamisonowie. James jest księciem Kronloru, podobnie jak jego dziadek przed nim, i mówią, że chytryścią dorównuje swemu legendarnemu dziadziusiowi. Jego młodszy brat, Dasher, jest bogatym przedsiębiorcą. Mówi się w każdym razie, że to, czego nie kontroluje James, podlega wpływom Dashela. Jak by nie patrzeć, bracia są bardzo niebezpiecznymi ludźmi.

– Będę o tym pamiętał – zapewnił Szpon.

– Cóż, raczej nie będziesz miał okazji spotkać się w braćmi oko w oko, ale kto wie. Zdarzały się już dziwniejsze rzeczy. No to jesteśmy na miejscu.

Szpon spojrział w górę i zobaczył, że stoją przed gospodą. Znak nad drzwiami pokazywał wyblakłą, szeroko uśmiechniętą twarz mężczyzny z czarną brodą, noszącego na głowie kapelusz z piórami. Pod obrazkiem widniał napis „Admirał Trask”.

Kaleb pchnął drzwi i weszli do zadymionego pomieszczenia. Powietrze było przesycone wonią pieczonego mięsa, tytoniowego dymu i rozlanego wina i piwa. Właściciel gospody popatrzył na nich i rozpromienił się.

– Kaleb! Dawno cię tu nie było, stary przyjacielu!

– Randolph – odpowiedział Kaleb, ujmując dłoń mężczyzny. – To jest Szpon. Czy masz dla nas pokój?

– Tak – powiedział gospodarz. – Możecie sobie nawet wybrać, który chcecie. Ten od zaplecza?

– Dobrze – zgodził się Kaleb, najwyraźniej rozumiejąc pytanie.

– Jesteście głodni?

– Zawsze – uśmiechnął się Kaleb.

– A więc usiądźcie; przyślę dziewczynę z kolacją. Macie jakiś bagaż?

– Wiesz, że podróżuję bez obciążenia. – Szpon i Kaleb mieli wszystkie swoje rzeczy zwinięte w lekkie pakunki, które nosili przewieszane przez ramię.

Gospodarz rzucił Kalebowi ciężki, żelazny klucz. Myśliwy złapał go zręcznie.

– Usiądźcie – powiedział. – Możecie udać się na spoczynek, kiedy tylko poczujecie się zmęczeni.

Usiedli i chwilę później z kuchni wybiegła dziewczyna, niosąc tacę, na której znajdowała się góra parującego jedzenia gorący kurczak, pieczona kaczka, kotlet jagnięcy i gotowane warzywa.

Kiedy postawiła tacę na stole, Szpon spojrzał na nią i zamarł z otwartymi ustami. Zaczął się podnosić, ale mocny uścisk Kaleba usadził go z powrotem na krześle. Lela popatrzyła na chłopca z przyjaznym uśmiechem, ale w jej oczach nie było najślabszego błysku rozpoznania.

– Napijcie się czegoś, przyjaciele?

– Piwa – poprosił Kaleb i dziewczyna pobiegła z powrotem do kuchni.

– Co...?

– Ona nie jest tym, kim myślisz, że jest – powiedział Kaleb ściszonego głosem.

Po niecałej minucie dziewczyna wróciła z dwoma dużymi, cynowymi kuflami, napełnionymi pienistym piwem.

– Jak się nazywasz? – zapytał ją Kaleb.

– Roxana, panie – odparła. – Czy podać coś jeszcze?

– Nie – powiedział Kaleb i dziewczyna odeszła.

– To była Lela – stwierdził Szpon miękko.

– Nie – zaprzeczył Kaleb. – Z pewnością się mylisz.

Szpon popatrzył na przyjaciela i kiwnął szorstko głową.

– Tak, masz rację, musiałem się pomylić.

Jedli dalej w milczeniu.



Spędzili w Krondorze trzy dni, dogadując się z karawaną w sprawie wspólnej podróży. Kaleb i Szpon mieli pełnić funkcję strażników, w zamian za transport i jedzenie podczas drogi. Właściciel karawany z zadowoleniem powitał fakt, że nie musi im płacić dodatkowych pieniędzy za ochronę, jak to zwykle bywa z najemnikami, i uznał, że zarobił na tej umowie.

Nie rozmawiali więcej o tajemnicy Leli, pracującej jako Roxana w karczmie. Szpon pogodził się z tym, że jest to kolejna sprawa z długiego szeregu niewyjaśnionych, o których nigdy nie dowie się prawdy. Jednakże czuł się dziwnie, rozpoznając znajomą twarz w takim obcym otoczeniu, nawet w okolicznościach, których nie można było nazwać inaczej jak dziwaczne.

Szpon zachwycił się Kondorem. Latagore, które wyglądało dla jego niedoświadczonych oczu jak miasto z bajki, kiedy je po raz pierwszy zobaczył, było w porównaniu do stolicy Zachodu Królestwa jak prowincjonalna miejscina. Miasto tętniło życiem tysięcy ludzi, pochodzących nawet z tak odległych krain jak Konfederacja Keshu i

południowe krańce Imperium. Dialekty i języki, dziwnie brzmiące dla ucha, przeplatały się w tłumie na każdym bazarze i w karczmach.

Kaleb pokazał mu najświetniejsze miejsca w mieście. Poszli zobaczyć pozostałości po morskim murze, który został zburzony podczas wojen z Wężowym Ludem, kiedy, zgodnie z legendą, wojska Szmaragdowej Królowej zaatakowały od morza i prawie całe miasto uległo zniszczeniu. Szpon aż się zatrzymał ze zdumienia, kiedy Kaleb opowiadał tę historię, gdyż przypomniał sobie, że przecież jego przyjaciel mówi o własnej babce, opętanej przez demona. Szpon ocenił, że większość z opowieści, jakie słyszał przy obozowym ogniu, musi zostać ponownie rozważona, gdyż najwyraźniej były one czymś więcej niż tylko ludowym bajaniem.

Odwiedzili Dom Kawowy Barretta, gdzie przeprowadzano finansowe operacje, tak samo skomplikowane i tajemnicze jak magia. Szpon miał niejakie pojęcie, jakie znaczenie ma dla ekonomii Królestwa to miejsce. Wiedzę czerpał z książki Ruperta Avery'ego, który był przedsiębiorcą tak samo znanym jak Barrett. Poszli także do pałacu, chociaż przyjrzeni mu się raczej ze sporej odległości. Chociaż Kaleb zaznaczył delikatnie, że łączy go jakieś odległe pokrewieństwo z domem panującym i koroną, jednak nie chcieli zwracać na siebie uwagi i oficjalnie ujawniać się na dworze. Nie mieli powodu, może z wyjątkiem ciekawości. Szpon nie wydawał się zainteresowany sprawami arystokracji, jak było z większością rzeczy zupełnie mu obcych i nieznanych. Teraz, kiedy zastanawiał się nad swoim dzieciństwem, zdawał sobie sprawę, jak mało znał świat, będąc małym chłopcem. Ale nawet mimo tego pamiętał, że rozumiał ten świat, w którym żył. Taka była natura jego ludu, zadowolonego z własnego życia, wysoko w górach, żyjącego tak, jak czynili to ich przodkowie przed nimi. Całe pokolenia egzystowały w ten sam sposób, z małymi jedynie zmianami, i to wydawało się dobrym sposobem na życie. Szpon rozglądał się po mieście,

przypatrując się tłumom wypełniającym ulice, i doszedł do wniosku, że jego rodacy potrafili przynajmniej jedną rzecz – cieszyć się życiem. Ludzie pędzący po ulicach miasta z pewnością nie mieli na twarzach radości. Większość z nich zajmowała się ulicznymi interesami albo biegła gdzieś w wielkim pośpiechu. Na ulicach bawiło się niewiele dzieci, a i te były bardzo młode. Starsi najwyraźniej organizowali się w grupki dziesięcio–i więcej osobowe, które często widział umykające w popłochu przed miejskimi strażnikami.

Potem podróżowali z karawaną przez ziemie Zachodu, przez łagodne pagórki i niskie góry, niepodobne do tych, jakie znał z kraju dzieciństwa. Jego góry zamieszkiwali ludzie budujący wioski składające się z drewnianych chat i szałasów, a w tych górach napotykali liczne miasteczka i kamienne zamki. W Ravensburgu pili najlepsze wino, jakie zdarzyło się próbować Szponowi. Chłopiec dokładnie wypytał karczmarza o ten napój. Potem stracił godzinę na poszukiwaniu wytwórcy wina i jego też znękał pytaniami.

Demetriusz powiedział mu kiedyś, że pewnego dnia jego zwierzchnicy zaczną uczyć Szpona o rodzajach wina, więc chłopiec doszedł do wniosku, że przyda mu się samodzielna edukacja.

Podróż trwała dalej, aż przybyli do Krzyża Malaka i pożegnali się z właścicielem karawany. Po nocy spędzonej w relatywnie czystym pokoju, Kaleb kupił dwa doskonałe konie i wyruszyli na wschód.

– Kalebie, czy dowiem się wreszcie, dokąd jedziemy? – zapytał Szpon, kiedy kłusowali w stronę wschodzącego słońca.

Kaleb zaśmiał się.

– Wydaje mi się, że nie ma znaczenia, czy powiem ci teraz, czy jak dotrzemy do Saladoru.

– A więc powiedz mi teraz. Jestem strasznie ciekawy.

– W Saladorze – odparł Kaleb – skończymy twoją naukę manier i dobrego wychowania. Przez następny rok będziesz uczył się grać na co najmniej dwóch instrumentach muzycznych, na lutni i może na waltorni albo na dudach. Doksztalcisz się trochę w sztuce gotowania, chociaż i tak nieźle sobie radzisz. Leo całkiem dobrze cię wyszkolił. I nauczysz się więcej o zwyczajach panujących na dworze, ubiorach odpowiednich na konkretne okazje i jak się odzywać do osób na różnych stanowiskach i szczeblach hierarchii. Poznasz, jak oceniać smak wina i nauczysz się śpiewać, chociaż to ostatnie może się okazać nie do nauczenia.

– Przecież ja potrafię śpiewać – oburzył się ze śmiechem Szpon.

– Taa, słyszałem. Trudno to nazwać śpiewem.

– Ale jaki jest cel tego całego szkolenia? Po co mam umieć zachowywać się jak człowiek wysoko urodzony?

Kaleb przeszedł z królewskiego języka, jakim się posługiwali od czasu przybycia do Krondoru, na roldemski.

– Ponieważ za rok, mój młody przyjacielu, wyruszysz do wyspiarskiego królestwa Roldem i tam zamieszkasz na królewskim dworze. I jeżeli dopisze nam szczęście, staniesz się jednym z bardziej znaczących szlachciców, może kuzynem jakiejś rodziny, z którą należy się liczyć, ważnej ze względu na pochodzenie, ale ubogą w dobra materialne i dlatego łatwą do skorumpowania.

– Dwór królewski? Kendrik mało mi o nim opowiadał. Powiedział, że uczą się tam najlepsi szermierze na całym świecie.

– I to, mój przyjacielu, jest nasz cel. Kiedy opuścisz Roldem, będziesz najlepszym z nich. Będziesz znany jako największy szermierz na świecie.

Szpon zagapił się na swego towarzysza w milczeniu, zupełnie ogłuszony; a potem pojechali dalej.

CZEŚĆ DRUGA

Zemsta jest słodka, ale nie przynosi korzyści.

Mason Cooley

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

AKADEMIA MISTRZÓW

Tal zamrugał oczami. Ostrze miecza, które mignęło mu przed nosem, umknęło na prawo. Zawahał się, a potem przeniósł ciężar ciała w tym samym kierunku. Tak jak zakładał, jego przeciwnik pozorował jedynie uderzenie na prawą stronę, a zamiast tego rzucił się w lewo. Przemknął się przez obronę szermierza tak szybko, że tamten nawet nie zdążył zareagować w odpowiednim czasie. Ostrze Tala dotarło do celu.

– Trafione! – zawołał mistrz Akademii.

Tal cofnął się o krok, stanął na baczność i zasalutował swemu rywalowi, młodemu szlachcicowi z nadmorskiego miasta Shalan. Nazywał się Duzan czy Dusan. Tal nie mógł sobie przypomnieć jego imienia. Widzowie zaklaskali uprzejmie, gdyż pojedynek dostępny był dla szerszej publiczności i miał pewne cechy otwartej rywalizacji.

Mistrz Akademii ponownie wystąpił na środek.

– Punkt i zwycięstwo dla lorda Hawkinsa – oznajmił.

Talwin Hawkins, pomniejszy szlachcic z Ylith, daleki kuzyn lorda Seljana Hawkinsa, barona na książęcym dworze w Krondorze, uklonił się najpierw mistrzowi Akademii, a potem swemu przeciwnikowi. Dwaj mężczyźni zdjęli siatkowe maski ochronne, które mieli na twarzach, i podeszli do siebie, żeby uścisnąć sobie dłonie.

– Pewnego dnia twoje przewidywania okażą się błędne, Talu, i wtedy wreszcie cię złapię.

Tal uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Prawdopodobnie masz rację. Ale, jak mawia mój sługa Pasko, lepiej być szczęściarzem niż tylko mistrzem. Prawda, Pasko?

Niedźwiedziowaty sługa, który pojawił się u boku Tala i właśnie odbierał od niego maskę i miecz, uśmiechnął się.

– Jak powiedział mój pan, gdybym miał jakiś wybór, przy każdej okazji wybierałbym szczęście.

Dwaj rywale wymienili ukłony i oddalili się do przeciwległych rogów wielkiego pomieszczenia, gdzie odbywały się pojedynki. Miejsce to było sercem Akademii Mistrzów w mieście Roldem. Wielkie, zrobione z rzeźbionego drewna kolumny otaczały ogromną drewnianą posadzkę, wypolerowaną tak doskonale, że lśniła jak czysta miedź. Na podłodze umieszczono zawile wzory i kiedy tylko Tal został przedstawiony nauczycielom, zorientował się, że ornamenty te pełnią nie tylko estetyczną funkcję. Każdy wzór wyznaczał obszar walki, od delikatnych, długich i wąskich ścieżek dla posługujących się rapierami, do większych i oktagonalnych, wyznaczających sekwencje ruchów dla władających dłuższym ostrzem.

Gdyż powodem istnienia Akademii Mistrzów były właśnie rozmaite ostrza. Ponad dwieście lat temu król Roldem ogłosił turniej, którego zwycięzca miał być okrzyknięty największym szermierzem świata. Szlachcice, plebejusze, żołnierze i najemnicy podróżowali z najdalszych krańców, z ziem położonych poza Imperium Wielkiego Keshu, z gór rozdzielających północ i południe Imperium, z Dalekiego Wybrzeża i wszystkich innych miejsc leżących pomiędzy. Nagroda w turnieju była wspaniała – ogromny miecz, wykonany ze złota i inkrustowany drogimi kamieniami, rzecz warta królewskich podatków z wielu lat.

Turniej trwał dwa tygodnie, aż miejscowy arystokrata, hrabia Versi Dango, pokonał wszystkich innych szermierzy. Ku wielkiemu zaskoczeniu

króla, zwycięzca oznajmił, że zrzeka się nagrody. Wartość miecza miała zostać przekazana królowi z poleceniem, aby ten spożytkował pieniądze na założenie szkoły poświęconej w całości sztuce władania mieczem. Od tej pory turniej o miano najlepszego szermierza miał się odbywać cyklicznie, właśnie tutaj, w nowo założonej Akademii Mistrzów.

Król rozkazał zbudować szkołę, która zajmowała cały kwartał w samym sercu miasta będącego stolicą wyspiarskiego królestwa. W ciągu swego trwania akademia była przebudowywana i uzupełniana wielokrotnie i teraz przypominała bardziej pałac niż szkołę. Z okazji jej ukończenia rozegrano kolejny turniej i hrabia Dango z łatwością obronił swój tytuł największego szermierza świata.

Zawody odbywały się co pięć lat. W czwartym turnieju książę Dango został zraniony przez zwycięzcę i musiał wycofać się z walki.

Od tego czasu zwycięzcami turnieju zostało trzydziestu jeden różnych mężczyzn. Szpon Srebrnego Jastrzębia, znany obecnie jako Tal Hawkins, zamierzał właśnie zostać tym trzydziestym drugim.

Do Tala podszedł mistrz pojedynku.

– Mistrzu Dubkov – powiedział Tal z szacunkiem, kłaniając się lekko.

– To była piękna walka, ale zbyt wielką pokładasz wiarę w postępkach swego przeciwnika. Gdybyś walczył z bardziej doświadczonym szermierzem, mogłoby się okazać, że sam siebie przechytryłeś, mój młody przyjacielu.

Tal skłonił głowę, dziękując mistrzowi pojedynku za tak przychylną ocenę i dobrą radę. A potem uśmiechnął się szeroko.

– Jeżeli nigdy nie daję słabszym i mniej doświadczonym szansy na zwycięstwo, dlaczego oni tak bardzo chcą ze mną właśnie się pojedynkować?

Mistrz Dubkov zaśmiał się.

– A ci bardziej doświadczeni, powiedzmy, ci, którzy zamierzają wziąć udział w turnieju, nie pojedynkują się z tobą, bo nie chcą się odsłonić i pokazać swoich słabych punktów, które potem możesz wykorzystać podczas zawodów, prawda?

– Dokładnie tak – przytaknął Tal.

– Cóż – powiedział mistrz pojedynku, zniżając głos – nie mam pojęcia, jak wiele dają ci te ćwiczenia, ale wiem, że tłum je uwielbia, a już szczególnie młode damy. – Kiwnął głową w kierunku galeryjki, gdzie siedział tuzin córek roldemskich szlachciców, przyglądając się pojedynkom.

Kilka z nich uśmiechało się i kiwało główkami w kierunku Tala. Uśmiechnął się w odpowiedzi i skinął głową w ich stronę, nie nawiązując kontaktu wzrokowego z żadną z dziewcząt. Master Dubkov, widząc to, podniósł ze zdziwienia brew.

– Cóż, muszę wracać do swoich obowiązków – powiedział. – Życzę ci dobrego dnia, młody Talwinie.

– Ja tobie też, mistrzu, – Tak ukłonił się, jakby robił to od urodzenia.

Zdjął z pomocą Paska watowany kubrak i sługa podał mu ręcznik. Tal otarł z potu szyję i włosy, które ciasno przylegały mu do głowy. Potem włożył piękny, brokatowy żupan, właściwy do noszenia popołudniami, i stał cierpliwie, czekając, aż Pasko pozapina wszystkie guziki i pętelki.

– Czy są jakieś zaproszenia na obiad? – zapytał.

– Cztery, milordzie. Pani Sabrina prosi, abyś zechciał spożyć posiłek z nią i jej ojcem. Panie Jessica i Matylda także pragną, abyś zasiadł przy stole z nimi i ich rodzinami. A pani Melinda chce, żebyś jadł z nią dziś obiad, zaznaczając jakby mimochodem, że jej ojciec akurat wyjechał w interesach.

– A więc zjem z Melindą – zdecydował Tal z szerokim uśmiechem.

– Wydajesz się dzisiaj nadzwyczaj wesoły – zauważył Pasko. Były sługa Roberta pojawił się w pierwszym miesiącu bytności Tala i Kaleba w

Saladorze. Grał rolę pokojowego z taką łatwością i przekonaniem, że Tal z łatwością uwierzyłby, gdyby okazało się, że Pasko w swej burzliwej przeszłości służył jakiemuś wysoko urodzonemu arystokracie. Z pewnością bardzo pomógł Szponowi Srebrnego Jastrzębia, zwracając jego uwagę na wszystkie niuanse szlacheckich manier i doprowadził szczęśliwie do jego transformacji w Talwina Hawkinsa. Szpon przytaknął głową i oddał uśmiech.

– Plotki, pogłoski i źródła o niepotwierdzonej wiarygodności utwierdzają mnie w być może złudnym przekonaniu, że przed turniejem dostąpię zaszczytu odwiedzin w pałacu i zostanę przedstawiony królowi, a przynajmniej znajdę się na liście zaproszonych na następną oficjalną audiencję.

– Wcale mnie to nie zaskakuje, panie – skomentował Pasko. Położył płaszcz na ramionach młodzieńca. – Jedno, co mnie dziwi – dodał ściszym głosem, tak żeby jego słowa nie dotarły do niepowołanych uszu – to tak długi czas oczekiwania na zaproszenie.

– W rzeczy samej – zaśmiał się Tal.

Opuścili salę treningów, przeszli przez korytarz i weszli do wielkiego hallu prowadzącego na główny dziedziniec, gdzie kilka sług wetknęło Paskowi w rękę kartki z wiadomościami. Na ścianach hallu wisiały portrety poprzednich zwycięzców turnieju, a na środku, tuż przy wejściu, odlana z brązu monstrualnej wielkości statua Versiego Dango witała wchodzących do Akademii Mistrzów. Zeszli szybko po schodach do czekającego na nich powozu. Woźnica przytrzymał im drzwi, kiedy wsiadali.

– Jestem jednym z dwóch szermierzy praktykujących w Akademii Mistrzów – odezwał się Tal, kiedy już siedzieli w powozie – który nigdy nie przegrał żadnego pojedynku.

– Hm – mruknął Pasko w odpowiedzi. – O ile sobie przypominam, dostałeś pewnego razu baty od mistrza Dubkova, milordzie.

– Ale to nie był pojedynek – zaprotestował Tal. – To była nauka. I dostałem wtedy od niego baty, bo w dużej mierze mu na to pozwoliłem.

– Pozwoliłeś mu?

– Tak, z dwóch powodów – odparł Tal, podczas gdy powóz wytoczył się z dziedzińca i wjechał na ulicę Roldem, – Po pierwsze, on jest mistrzem Akademii, a ja potrzebuję tutaj przyjaciół, a po drugie, nauczyłem się więcej, przegrywając tę walkę, niż gdybym za wszelką cenę chciał ją wygrać.

– Ach, więc to dlatego pozwoliłeś się pokonać w tych kilkunastu pojedynkach?

– Tak – przyznał Tal. – Ale zauważ, że tylko podczas ćwiczeń. Nie przegrałem nigdy w zawodach i nie zamierzam rezygnować z tej linii postępowania w najbliższym czasie.

– Szermierze z całego świata przybywają na ten turniej, przypominam ci, milordzie.

– Tak, wiem, że mogę przegrać, ale nie zamierzam się od razu poddawać.

– To dobrze – podsumował Pasko.

Powóz podskakiwał na brukowanej nawierzchni ulicy. Tal usiadł wygodnie i rozkoszował się widokiem za oknem, podczas gdy Pasko szybko przejrzał, a potem wyrzucił notatki, jakie mu wręczono w hallu. Wszystkie były takie same; młode kobiety pytały Tala, dlaczego ostatnimi czasy do nich nie zagląda.

Tal siedział i napawał się świeżym morskim powietrzem, które napływało stale i nieprzerwanie z zachodu. Podziwiał widoki miasta. Widział już w swoim życiu trzy duże metropolie – Kronodor, Salador i

Roldem, i jak do tej pory najbardziej lubił właśnie to ostatnie miasto. Kronдор wydawał się grubo ciosany i niemal prymitywny w porównaniu do dwóch pozostałych; może w wyniku pospiesznej odbudowy z gruzów po zniszczeniu przed trzydziestu laty. Kaleb opowiedział Talowi historię Szmaragdowej Królowej i dzieje zburzenia miasta przez jej wojska, a także o walecznym oporze, jaki stawiało jej siłom wojsko Królestwa na Przełęczy Grozy.

Salador, z drugiej strony, był miastem antycznym, tętniącym światowym życiem. Dzielnice położone na obrzeżach aż roiły się od małych, lokalnych bazarów i ulicznych interesów, a wewnętrzne miasto w niewielkim tylko stopniu przypominało starożytną, potężną fortecę, jaką było w odległej przeszłości. Tal przypominał sobie, jak przejeżdżali przez bramę z jednego do drugiego miasta, ale nie zauważył żadnej innej pozostałości po wielkim murze, jaki dawno temu stanowił jedyną, ale potężną fortyfikację osady.

Salador miał oczywiście swoje uroki, i dwa lata, jakie Szpon Srebrnego Jastrzębia spędził w tym mieście, stając się Talwinem Hawkinsem, były najlepszymi latami jego życia, do czasu, aż przybył do Roldem. Nauczył się grać na lutni, na rogu i licznych instrumentach perkusyjnych. Stracił cały swój obcy akcent, zarówno w języku królestwa, jak i roldem, tak więc mógł uchodzić za szlachcica obu tych nacji. Udoskonalił sztukę malarską, nauczył się odróżniać dobre wino od sikacza, zresztą znajomość win okazała się jego prawdziwą pasją, oraz poznał tajniki dworskich tańców.

Czytał księgi i zwoje i uczył się wszystkiego, co tylko było dostępne o historii narodów zamieszkujących kontynent Triagia. Poznał inne nacje, z którymi nie miał do tej pory styczności, i po pewnym czasie stał się gorliwym studentem historii.

Spotkał i poznał wiele kobiet. Na początku leczył rany serca zadane mu przez Alysandrę, ale jednej nocy Kaleb zmusił go do wycieczki po mieście,

połączonej z piciem w każdej z napotkanych gospód, aż trafili do bardzo znanego i poważanego domu publicznego. Tam Kaleb pozostawił Tala pod troskliwą opieką wyszkolonych i entuzjastycznie nastawionych do życia młodych kobiet, które znalazły sposób, żeby obudzić w Talu zainteresowanie płcią przeciwną. Po tym wydarzeniu Tal przeżył serię przygód z pokojówkami, córkami kupców i od czasu do czasu z jakąś szlachcianką.

Kiedy nadszedł dzień jego dwudziestych urodzin, przychylił się do zwyczaju Królestwa i obrał dzień Przesilenia Letniego jako rocznicę swoich narodzin. Teraz był gotów wkroczyć w podwoje Akademii Mistrzów.

Pewnej nocy pojawił się Robert wraz z kompletem dokumentów, które opiewały na niejakiego Talwina Hawkinsa, dalekiego kuzyna pomniejszego szlachcica z prowincji Yabon w zachodnich ziemiach Królestwa Wysp. Tak więc Szpon Srebrnego Jastrzębia stał się Talwinem Hawkinsem, dziedzicem ziem nad rzeką Morgan i Bellcastle, baronetem Srebrnego Jeziora, wasalem barona Ylith, który opuścił rodzinny dom, aby służyć w północnym garnizonie przez pewien czas jako porucznik straży pałacowej pod dowództwem księcia Yabonu, i dobrowolnie zrezygnował z tej służby, aby szukać szczęścia na własną rękę; młody człowiek dobrego pochodzenia, ale bez bogactw.

Gdzieś po drodze zdołał zebrać wystarczającą ilość pieniędzy, żeby wynająć skromny, ale urządzone z wielki gustem apartament w lepszej dzielnicy, gdzie zapraszał niewielką gromadkę młodych szlachciców. Pokazał się jako najlepszy szermierz i najbardziej interesujący zagraniczny kawaler, jakiego widziano w tym mieście od lat.

Tal był pod wrażeniem ilości pracy i wysiłku włożonego w osiągnięcie efektu, jakim było wprowadzenie go do roldemskiego społeczeństwa. Listy zaufania, prezentacje i referencje przygotowano już zawczasu. Niektórzy

miejscowi okazali się ku zdumieniu Tala jego znajomymi, posuwając się nawet do tego, że przywoływali szczegóły z ich ostatnich spotkań.

Ku zadowoleniu Paska i Roberta, Tal okazał się utalentowanym graczem, zawdzięczając tę umiejętność grom logicznym, jakich uczyli go Robert i Magnus podczas długiego szkolenia. Opierał się pokusom stawiania dużych sum, preferując niewielkie, ale stałe wygrane. Aby zapewnić sobie powtórne zaproszenie do stolika graczy, czasami specjalnie przegrywał, ale zawsze z gracją i uśmiechem na twarzy.

Wszyscy, którzy go znali, uważali go za czarującego młodego człowieka. Bezpośredni, dobrze wychowany i zajmujący, był uważany za ozdobę każdego obiadu, więc rzadko jadł posiłki samotnie w swoim apartamencie. Jego płynna znajomość języków, gracja tancerza, umiejętność śpiewania i gry na wielu instrumentach czyniła z niego jednego z najpopularniejszych młodzieńców w mieście. Brakowało mu jedynie zaproszenia na jedną z wielkich gal w pałacu królewskim. A teraz pogłoski dały mu nadzieję, że i to może niebawem się spełni.

Jedynie słowa krytyki Tala Hawkinsa pochodziły z ust młodych dam roldemskiego światka. Prawda, młodzieniec był przystojny, uroczy, miał poczucie humoru i czasem, we właściwych momentach, wykazywał się odpowiednią żarliwością. Ale więcej niż jedna młoda kobieta oskarżała go o brak serca, gdyż nigdy nie rozmawiał z nimi o miłości. Pożądanie i przyjemności ciała, tak. Bezpośredniość i śmiałość pozwoliły mu na zerwanie niejednego roldemskiego kwiatuszka, który, zdeterminowany, postanowił opierać się temu niemożliwemu szlachcicowi z zachodu. Łoże Tala było puste tylko wtedy, gdy on tego chciał, ale często młodzieniec nie czuł radości w kobietach, które z nim sypiały. Przyjemność, wyzwolenie, zaciekawienie, ale nigdy radość. Jego umysł od czasu do czasu wracał do Alysandry i Tal zastanawiał się, czy stał się taki jak ona, ale potem

zdecydował, że jeszcze nie. Ciągłe czuł przyjaźń do swoich nauczycieli i pamiętał miłość, jaką pielęgnował w sercu ku pamięci swej rodziny i zamordowanych mieszkańców wioski. Ale kiedy chodziło o młode kobiety, traktował je jedynie jak przedmioty służące do zaspokojenia pożądania, albo otwierające drzwi do towarzystwa albo po prostu jako rozrywkę.

Powóz zatrzymał się przed jego trzypokojowym apartamentem położonym na parterze budynku. Pierwsze piętro zamieszkiwał lichwiarz wraz z rodziną. Mężczyzna miał córkę, którą trudno było nazwać nieatrakcyjną, ale Pasko zaproponował, a Szpon uznał za słuszne, aby pozostawić tę jedną młodą kobietę w spokoju. Posiadanie rozżłoszczonego, a w dodatku bogatego ojca nad głową mogłoby się okazać niebezpieczne. Chociaż ojciec nie był groźny jako szermierz i nie mógłby zrobić Talowi krzywdy, jego pieniądze miary moc wielu ostrzy. Więc Tal był grzeczny dla lichwiarza i jego żony, braterski dla syna i lekko zalotny, ale zawsze poprawny, w stosunku do córki.

Woźnica otworzył drzwi i Tal wysiadł. Pasko poszedł przodem w kierunku schodów, żeby otworzyć drzwi prowadzące do apartamentu, podczas gdy powóz odjechał w kierunku miejskich stajni mieszczących się ulicę dalej. Woźnica mieszkał w tym samym domu co Tal i młodzieniec miał go do dyspozycji o każdej porze dnia i nocy.

Tal wspiął się po schodach i wszedł do apartamentu.

– Czy mam przygotować kąpiel? – zapytał Pasko.

– Nie – odparł Tal. – Nie mam ochoty na zimną wodę akurat w tej chwili. Myślę, że zdrzemnę się trochę, a za godzinę pójdę do publicznej łaźni Remargi i tam przygotuję się na kolację z Melindą. Kiedy będę spał, proszę, wyślij jej liścik, że będę więcej niż zachwycony, jedząc z nią obiad oraz przekaz innym paniom moje przeprosiny, że ich dzisiaj nie odwiedzę.

– Tak, milordzie – powiedział Pasko. Od samego początku, ku niezmiennemu zdumieniu Tala, Pasko traktował go, jakby z urodzenia należał do szlachty. Nigdy nie nawiązywał do przeszłego życia Tala ani nie zwracał się do niego poufale, nawet kiedy byli sami. I przez cały czas, od przybycia do Roldem, Talwin Hawkins starał się odgrywać rolę szlachcica z Królestwa w pogoni za przygodami, i wychodziło mu to tak dobrze i realistycznie, że jego przeszłe życie, zanim trafił do Saladoru, stanowiło nie więcej jak tylko mgliste wspomnienie, jakby należało do kogoś innego.

Kiedy Pasko wyszedł, aby dostarczyć wiadomości, Tal rozebrał się. Zdjął płaszcz, kubrak, tunikę i buty, a potem rzucił się na łóżko, ubrany jedynie w spodnie. Był zmęczony ćwiczeniami, jednakże sen nie nadchodził, gdyż umysł Tala miotał się niespokojnie, spięty w oczekiwaniu na zaproszenie z pałacu. I, dodatkowo, czas turnieju zbliżał się szybko; został niecały miesiąc. Mężczyzna zaczynał się czuć jak linoskoczek balansujący nad przepaścią. Musiał być ostrożny, nie mógł się tak denerwować. Nerwy nie pomogą mu w zwycięstwie, a tylko utrudnią koncentrację podczas walki.

I wiedział także, że kiedy już będzie miał turniej za sobą, czeka go nowe zadanie, którego nie znał. Stając się szlachcicem z Królestwa, wypełnił przewidywania Rondara, ale cel jego wieloletniego szkolenia musiał leżeć znacznie dalej, a nikt nie chciał mu wyjaśnić, po co go uczono.

Jego osobiste sprawy i przyrzeczenia nie uległy zmianie. Dalej miał zamiar ścigać i zabijać tych, którzy przyczynili się do zniszczenia jego rodziny i wioski, ale zanim będzie mógł wyrzucić na nich zemstę, musi najpierw wypełnić obowiązki względem Konklawe, nałożone na niego przez mistrza Puga i jego towarzyszy.

Mimo to, przez ostatnie kilka miesięcy zaczął trawić go jeden, niepokojący problem. A jeżeli nigdy nie zostanie zwolniony z obowiązków

względem Konklawe, to co wtedy? A jeżeli umrze, zostanie zabity, zanim dokona zemsty? Ta druga opcja nie przysparzała mu tak wielkiej zgryzoty, gdyż skoro los zadecyduje, że ostatni z Orosinich ma umrzeć, zanim pomści swój lud, tak widocznie musi być. Ale pierwsza możliwość przerażała go. Który z obowiązków jest ważniejszy? Orosini przykładali wielką wagę do długów związanych z ocaleniem życia, gdyż ten, kto łamał takie obietnice, był na wieki pozbawiany honoru, a wraz z nim jego rodzina i przodkowie. Ale zemsta krwi w jego kulturze była tak samo ważna. Może bogowie zwrócą na niego swe dobrotliwe oko i wskażą mu drogę, jak z honorem wybrnąć z obu przysięg.

Przetoczył się na brzuch i pomyślał, że może jednak bogowie nie będą tak łaskawi. Takie sprawy nie leżały w jego rękach, więc lepiej się nimi nie zamartwiać.

Leżał spokojnie przez prawie pół godziny, ale ciągle nie mógł zasnąć. W końcu zdecydował, że będzie potrzebował dłuższej kąpieli, aby odgonić ponury nastrój, niż wcześniej zakładał. Wstał i zawołał Paska, który, jak się spodziewał, już wrócił, wykonawszy zadania wyznaczone mu przez jego pana.

– Przynieś mi ubrania – powiedział Tal, kiedy sługa pojawił się w drzwiach pokoju. – Idę do Remargi. Dogonisz mnie, kiedy już wybierzesz odpowiedni strój dla mnie na dzisiejszy wieczór. I niech powóz czeka na nas u Remargi godzinę po zachodzie słońca.

– Tak, milordzie – odparł Pasko.

Tal ubrał się i opuścił apartament, podążając szybkim krokiem przez ulice Roldem. Nigdy się nie nudził wspaniałą przygodą, jaką było poruszanie się po mieście na własnych nogach. Wzdłuż każdej ulicy ciągnęły się tętniące życiem sklepy; musiał przeciskać się przez cizbę najrozmaitszych ludzi – mężczyzn i kobiet, starców, młodzików, żeglarzy,

kupców, szlachciców i plebejuszy. Wszędzie docierał zapach morza i woń ta w kombinacji z hałasem i zamieszaniem wprost odurzała chłopaka, który wyrósł w prawie niezamieszkałych górach.

Tal zastanawiał się, czy gdyby los dał mu możliwość powrotu do dzieciństwa, zdecydowałby się znów na spokojne życie w wiosce Orosinich. Po momencie zawahania sam sobie odpowiedział, że tak; oczywiście, że tak. Gdyż nieważne jak piękne były rzeczy, które ujrzał w wielkim świecie, jak potężna wiedza, którą zdobył, doświadczenie i bogactwo, wszystkie one blakły w porównaniu z tym, co utracił, z domem, rodziną i życiem na łonie natury.

Gdyby miał jedno życzenie, oddałby wszystko, żeby odzyskać matkę, ojca, siostrę i resztę członków klanu, żywych i zdrowych, znów wesoło żyjących w rodzinnych górach. Myśl, że żaden, nawet najpotężniejszy mag, nawet z pomocą sił swoich potężnych uczniów, nie będzie w stanie wrócić jego rodziny do życia, goryczą napełniała serce Tala.

Dotarł do skrzyżowania, skręcił w prawo i powoli zaczął torować sobie drogę przez popołudniowy uliczny tłum. Po zaledwie kilku sekundach poczuł, że jest śledzony. Jego łowiecki instynkt albo wyczucie kłopotów, jak nazywał to Nakor, mówiły mu, że coś jest nie tak; nieco zbyt natarczywy wzrok obcego, odbicie w szybie sklepu. W jakiś sposób wiedział, że około dziesięciu metrów za nim idzie człowiek, który śledzi go od momentu wyjścia z apartamentu.

Tal zatrzymał się i popatrzył na sklepową witrynę, jakby podziwiał towary wystawione na sprzedaż. Osobnik, którego dojrzał wcześniej kącikiem oka, ukazał mu się teraz jako człowiek stojący na ulicy i szukający czegoś, czego prawdopodobnie zapomniał. Z wyraźnym niesmakiem na twarzy mężczyzna odwrócił się i odszedł, ale Tal zdążył go sobie dobrze zapamiętać.

Człowiek ten był niski i dobrze zbudowany, ale odszedł szybko i poruszał się z wielką gracją, co zaniepokoiło Tala. Ten mężczyzna był niebezpieczny.

Tal wiedział, że z pewnością jego prześladowca zniknie bez śladu w tłumie, dlatego nie zamierzał za nim iść. Mogłoby się to okazać bezsensowne, a co więcej mężczyzna zorientowałby się, że Tal zdaje sobie sprawę z jego obecności. Ten człowiek, albo inny, na pewno niebawem znów będzie szedł za Talem. Ktoś próbował go szpiegować i Tal musiał się dowiedzieć, kim jest jego przeciwnik i dlaczego się nim interesuje.

Z jednej strony mógł to być zabójca, wynajęty przez jedną z rozzłoszczonych młodych kobiet albo jej ojca. Ale z drugiej strony ta sprawa mogła mieć związek z Konklawe Cieni. Może będzie musiał wysłać Paska z wiadomością, żeby zaalarmować Roberta i pozostałych.

Tal wolnym krokiem podążył w kierunku łaźni, unikając swej zwyczajowej trasy, i zatrzymując się kilkakrotnie, aby się upewnić, że nikt za nim nie idzie.

U Remargi powitał go jeden z wielu mężczyzn obsługujących gości. Tego akurat Tal znał bardzo dobrze.

- Dzień dobry, milordzie – pozdrowił go posługacz.
- Dzień dobry, Svenie – odpowiedział Tal. – Czy Salmina jest wolna?
- Zobaczę, panie. Chciałbyś skorzystać z jej usług?
- Tak – odparł Tal i wszedł do przebieralni.

Sven stał tuż obok Tala, pomagając mu zdjąć ubranie i pilnując, żeby zostało odpowiednio ułożone. Na początek Tal dostał wielki, bawełniany ręcznik, którym dokładnie się owinął. Kiedy wyszedł z przebieralni, Sven odłożył w bezpieczne miejsce jego ubranie i miecz. Tal znalazł sobie mały, drewniany stołeczek, tuż obok wielkiej kadzi z gorącą wodą. Obok balii leżała kostka pachnącego mydła i szczotka. W pobliżu stołka ustawiono

tacę, na której stały małe, delikatnie wykonane gliniane miseczki, ozdobione wzorem z roślinnymi motywami. Tal podniósł cebrzyk i wylał sobie jego zawartość na głowę. Kiedy tylko odstawił puste naczynie, natychmiast do pomieszczenia wpadł młody chłopiec z wiadrem pełnym czystej, ciepłej wody i zabrał pusty cebrzyk do napełnienia.

Najpierw Tal wmasował we włosy pachnący olejek i zastanowił się, nie po raz pierwszy, co by na to powiedział jego dziadek. Stary człowiek miał swój sposób nabranie kąpieli. Mianowicie zanurzał się w najzimniejszych nawet strumieniach i jeziorach i pluskał się w nich radośnie. Ale gdyby miał możliwość korzystania z tak komfortowych warunków, Tal pomyślał, że dziadek szybko by je zaakceptował. Zaraz po tym pojawiła się młoda kobieta, ubrana w luźną suknię z białego lnu, która oblepiała ciasno jej ciało, wilgotna od pary w ciepłej łaźni. Tal wiedział, że jego dziadek zaakceptowałby jeszcze prędzej ten aspekt kąpieli, gdyż staruszek nigdy nie ukrywał swej sympatii do kobiet, co zresztą podkreślał przy wielu okazjach, ku wielkiej irytacji babki Szpona.

Przez moment poczuł tęsknotę za dawnym życiem. Nie odezwał się do dziewczyny, tylko pozwolił, aby namydliła mu plecy. Remarga dobrze szkolił swoich pracowników, nie odzywali się do klientów, aż tamci przemówili pierwsi. Niektórzy korzystający z kąpieli życzyli sobie, aby dziewczyny z nimi flirtowały, kilku wymagało znacznie bardziej osobistych kontaktów, które wymagały niewielkiej dopłaty, uiszczanej w małym kantorku na zapleczu budynku. Jeszcze inni preferowali spokój i ciszę i chcieli tylko, aby nie przeszkadzano im marzyć i rozmyślać podczas kąpieli.

Tal wstał i dziewczyna dokończyła mycie jego pleców i ramion, a potem przeszła do klatki piersiowej. Tal łagodnie wyjął z jej dłoni mydło i odprawił ją, samodzielnie kończąc rozpoczęte mycie. Wiedział, że gdyby

stał dalej nieruchomo, dziewczyna umyłaaby każdy centymetr kwadratowy jego ciała, ale jego umysł był zajęty czymś innym i nie miał ochoty na zabawy z łaźiebnią dziewczką. Powinien skupić się na kolacji z Melindą, która więcej niż chętnie powita jego zaloty po posiłku.

Tal podniósł kolejne wiadro i zmył z siebie mydło. Potem przeszedł do następnego pokoju, w którym aż kłębiło się od pary. Kąpiel była bardzo gorąca i Tal wchodził do wody powoli, czując, jak podnoszą się włoski na jego szyi i ramionach, kiedy zmuszał ciało, aby przemieściło się w głębszy kąt basenu. Znajdowała się tam podwodna ławka, na której można było usiąść, opierając plecy o cembrowinę biegnącą wzdłuż krawędzi zbiornika.

Weszła pulchna matrona, podała swój ręcznik kąpielowemu i wstąpiła do wody. Tal podróżował na tyle dużo po świecie, po tym, jak Robert uratował mu życie, aby wyrobić sobie zdanie na temat tego, jak odmienne jest postrzeganie nagości, odsłanianie części ciała i granica prywatności i wstydu w różnych kulturach i nacjach. Ale Roldemczycy wydawali mu się pod tym względem najdziwniejsi. Moda damska skłaniała się raczej ku konserwatyzmowi, z wyjątkiem wielkich okazji, kiedy kobiece stroje stawały się bardzo wyzywające, żeby nie powiedzieć mocno skandaliczne. Księżna Amandi, na przykład, przybyła w zeszłym tygodniu na przyjęcie barona Grudera w przepysznej keshiańskiej sukni, która w całości odkrywała piersi. Ten niedobór stroju kompensował skomplikowany naszyjnik z pereł, opadający jej na biust. Perełki poruszały się nieustannie, co, delikatnie mówiąc, miało nieco prowokujący wygląd. Odkryte plecy, głębokie dekolty przy takich okazjach były czymś zwyczajnym u kobiet, które w ciągu dnia poruszały się po mieście owinięte w materiał od stóp do głów. Jeszcze dziwniejszy dla Tala był fakt, że chociaż mężczyźni i kobiety przebierali się w oddzielnych pokojach, publicznie kąpali się razem. Tal doszedł do wniosku, że kiedyś w odległej przeszłości Roldem ktoś o dużym

autorytecie orzekł, że nagość jest dopuszczalna, ale ubieranie się i rozbieranie na oczach wszystkich to zła rzecz.

Tal złapał się na tym, że chichocze pod nosem ze swoich przemyśleń. Matrona w kąpielu podniosła na to pytająco brew. Uśmiechnął się do niej.

– Przypomniałem sobie właśnie żart, milady – powiedział.

Skinęła głową, wyraźnie nie przekonana.

Tal poczuł się odprężony i jego myśli zaczęły wędrować swobodnie. Gdyby zapadł w drzemkę, pracownicy łaźni zadbałyby o jego rzeczy i, biorąc pod uwagę nikły odsetek topielców wyławianych z kąpielowych basenów, dopilnowaliby, żeby nie wpadł twarzą do wody i utopił się podczas snu.

Pasko dopilnuje, aby nie siedział w łaźni zbyt długo. Sługa miał niebawem pojawić się na miejscu z ubraniami, które wybrał na dzisiejszy wieczór. Tak więc Tal zdrzemnął się w wodzie w poczuciu bezpieczeństwa, a jego ponure myśli szybko opuściły jego umysł.

Jakiś czas później przyszedł do niego Sven.

– Salmina już jest wolna, panie.

Tal wstał i wziął duży ręcznik podany mu przez jednego z usługujących chłopców. Poszedł za Svenem do małego pokoju; oddzielonego zasłoną od przebieralni. Salmina pochodziła z Rodezji i wzrostem niemal dorównywała Talowi, mierząc prawie sto osiemdziesiąt centymetrów. Była silna, miała mocne dłonie, ale zachowała dosyć zaskakującą przy tej budowie smukłość sylwetki. Tal wiedział na podstawie osobistych doświadczeń, że pod krótką tuniką, w jaką była ubrana, kryje się muskularne i sprężyste ciało.

Jak tylko Sven odszedł, zasuwając za sobą zasłonę, kobieta zdjęła suknię i zaczęła polewać sobie dłonie pachnącym olejkiem.

– Czy dzisiaj kompletny masaż, milordzie? – zapytała z filuternym błyskiem w oku.

Tal położył się, opierając brodę na dłoniach.

– Nie dzisiaj, moja droga. Muszę oszczędzać swoją energię na noc, dla innej.

Nałożyła olejek na jego nagie pośladki z żartobliwym plaśnięciem, na tyle mocnym, żeby zdawał sobie sprawę z jej złości wywołanej odpowiedzią. Mimo tego, że przekroczyła czterdziestkę, Salmina była piękną kobietą, a lata doświadczeń uczyniły z niej doświadczoną kochankę. Tal opuścił ten pokój na drżących nogach, kiedy po raz pierwszy zapoznała go z kompletnym masażem w swoim wykonaniu.

– Taki tygrys jak ty? Powinieneś być w stanie zaspokoić moje potrzeby, a potem okazać gotowość jeszcze w stosunku do pół tuzina innych dziewczyn w przeciągu zaledwie pół godziny.

Tal nie mógł powstrzymać śmiechu.

– Nie mogłem sobie przypomnieć swojego imienia ani drogi do domu, kiedy skończyłaś ze mną ostatnim razem. – Podchodzę serio do swojej pracy.

– Już bardziej się nie da – odparł ze szczerym zapalem.

– Kim jest ta szczęśliwa dziewczyna? – zapytała, pochylając się nad nim i zaczynając ugniatać mu ramiona.

– Czy mógłbym nazwać siebie dżentelmenem, gdybym wymienił imię tej kobiety?

– Wielu tak robi, ale podejrzewam, że ty jesteś odrobinę bardziej dyskretny niż reszta.

– Dziękuję ci.

Jak zwykle klasnęła kilkakrotnie językiem o podniebienie, kiedy przejeżdżała palcami po rozlicznych bliznach szpecących ciało Tala.

– Jesteś taki młody, a tak wiele odniosłeś ran – zauważyła, nie po raz pierwszy. – Czy masz pewność, że jesteś w pełni przygotowany na ten turniej?

Westchnął, kiedy zaczęła masować mu szyję.

– Gdybym nie był, przekonamy się o tym, jak tylko turniej się rozpocznie, nieprawdaż?

– Tak jest – odparła z chichotem.

Przekomarzali się jeszcze przez chwilę, a potem Salmina odwróciła się, żeby wziąć kolejny flakon z olejem ze stolika stojącego przy ścianie.

Nagle Tal poczuł ukłucie niepokoju i odwrócił się szybko w lewą stronę.

W jego ramieniu eksplodował ból, kiedy ostrze przecięło skórę w połowie odległości od łokcia. Stoczył się ze stołu i upadł na podłogę, natychmiast przyjmując pozycję na klęczkach, pomimo palącego bólu w ramieniu.

Salmina stała przy ścianie, jedną ręką opierając się mocno o cegły. W jej oczach dostrzegł zdziwienie, kiedy podniosła prawą dłoń, próbując w jakiś sposób zatrzymać strugę krwi płynącą z przeciętej tętnicy szyjnej. Przez jeden groteskowy moment wydawała się zastanawiać nad czerwoną rzeką płynącą pomiędzy jej piersiami w dół brzucha, jakby taka szpetota nie przystawała kobiecie o jej urodzie. Potem jej gałki oczne wywróciły się do góry i zemdlą.

To był mężczyzna, który śledził go wcześniej na ulicy. W dłoni trzymał śmiertcionośne ostrze, cienkie i ostre jak brzytwa. Sądząc po jego szybkich ruchach i błyskawicznej reakcji na poruszenia Tala, musiał być ekspertem w użyciu takiej broni. W dodatku nie próbował podążać za Talem, kiedy ten przetoczył się po podłodze, ale odsuwał się w przeciwnym kierunku, blokując wyjście własnym ciałem.

Tal wiedział, że mężczyzna ma niewiele czasu na zabicie go. Musiał się liczyć z tym, że jego ofiara zacznie krzyczeć i ktoś szybko nadbiegnie, żeby zobaczyć, co się dzieje. Ten zamach już został mocno sknocony. Napastnik musiał natychmiast zrobić jakiś ruch.

Tal ruszył się pierwszy. Morderca mógł się spodziewać, że młody człowiek będzie uciekał, prawdopodobnie z celu zyskania większej przestrzeni, aby rzucić się jednym susem w kierunku zasłony odgradzającej wyjście, ale zamiast tego Tal opuścił szybko dłonie, złapał za skraj stołu i przewrócił mebel. Nie dawało to realnego zagrożenia, ale zaskoczony napastnik dał krok do tyłu, aby uniknąć uderzenia i na to właśnie liczył Tal.

Młodzieniec przeskoczył nad przewróconym stołem, ignorując broń przeciwnika. Już dostał jedno cięcie, a na jego ciele widniały ślady wielu innych ran, więc kolejna nie miała znaczenia. Nie mógł jednak pozwolić, aby ten człowiek go zabił.

Morderca wycelował zabójczy cios w gardło Tala. Młodzieniec zanurkował pod ostrzem i uderzył ramieniem w żołądek napastnika. Tak jak się tego spodziewał, Tal otrzymał piekące cięcie przez plecy, ale nie ucierpiał przy podstawie szyi, którego to ciosu obawiał się najbardziej.

Pchnął mocno i przeturlał się, rozbryzgując swoją krew na całej podłodze. Klienci, wchodzący do przebieralni, zaczęli krzyczeć i pisać na widok krwi i dwóch mężczyzn walczących na podłogowych płytkach.

Tal wstał na nogi, nagi i pozbawiony broni. Stał lekko pochylony, krwawiąc z dwóch poważnych ran, ale gotowy bronić się najlepiej, jak tylko potrafi. Morderca zawahał się, niepewny, czy powinien zaatakować jeszcze raz, czy raczej torować sobie drogę ucieczki.

To wahanie kosztowało go życie. Nagle jego oczy rozszerzyły się, a nóż wypadł mu ze słabnącej dłoni. Tal zobaczył wychylającego się zza pleców

mężczyzny Paska. Sługa ścisnął w dłoni sztylet, który właśnie wyszarpnął z pleców zabójcy.

Mężczyzna popatrzył w dół, żeby się upewnić, czy mężczyzna na podłodze nie stanowi już zagrożenia, a potem szybko podszedł i ukląkł przy Talu, który upadł wcześniej na podłogę.

– Paskudnie wyglądasz, milordzie.

– Bez wątpienia – odparł Tal, czując, że głowa opada mu do tyłu. – Myślę, że powinieneś przesłać lady Melindzie przeprosiny i odmowę. Nie będę u niej na kolacji – dodał, zanim jego oczy umknęły gdzieś do góry i stracił przytomność.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

TAJEMNICA

Tal obudził się.

– To już trzeci raz – odezwał się Pasko. Tal jęknął cicho, próbując przesunąć lekko obolałe, słabe ciało.

– Co trzeci raz? – zdołał zapytać słabym głosem. Czuł, jakby jego powieki zrobiono z ołowiu, a w ustach zaschło mu z pragnienia. – Czy mogę dostać trochę wody?

Pasko pomógł mu podnieść głowę i przytknął miseczkę wody do ust rannego. Szpon siorbał chłodny płyn, kiedy usłyszał inny głos.

– To już trzeci raz, kiedy musieliśmy walczyć o twoje życie, Szponie.

Robert d’Lyis wszedł w pole widzenia Tala, potrząsając głową.

– I zawdzięczasz nam już trzy życia.

Tal pił nadal, aż jego gardło zwilżyło się na tyle, że mógł przemówić głosem nie przypominającym skrzeku żaby.

– Przykro mi, ale niestety mam tylko jedno, żeby je wam zwrócić. I proszę, nazywaj mnie Tal, gdyż teraz moje imię brzmi Talwin.

– Wczoraj o mało nie straciłeś życia, Talu – powiedział Robert.

Tal spojrział na swoje lewe ramię i oczy otworzyły mu się szerzej. Całe jego ciało bolało i było sztywne, ale rana na ramieniu zniknęła bez śladu, podobnie jak szerokie cięcie przez plecy.

– Jak...?

– Magia – odparł krótko Robert.

– Do turnieju zostało mniej niż dwa tygodnie, milordzie – dodał Pasko. – A rana była na tyle głęboka i upływ krwi tak duży, że nie dałbyś rady wziąć udziału w walkach. To było jasne dla wszystkich.

– To jeden z powodów, dla których mogłeś zostać zaatakowany – wyjaśnił Robert. – Chociaż nie wydaje mi się, żeby akurat ten powód był najważniejszy.

– Ale jak...?

– W Roldem jest kilku wielce utalentowanych kapłanów zajmujących się leczeniem – mówił dalej Robert. – A niektórzy z nich współpracują owocnie z Konklawe.

– I to dlatego jesteś tutaj? – zapytał Tal. Spróbował delikatnie poruszyć ramionami i przekonał się, że sztywność powoli ustępuje.

– Ja po niego posłałem, mój panie – wtrącił Pasko.

– Pasko zauważył coś, co skłoniło go do natychmiastowego zawiadomienia Konklawe i sprowadzenia kogoś o magicznych umiejętnościach. Przekazał nam, że nie było żadnego sposobu, aby morderca dostał się niezauważony do pomieszczenia, gdzie zostałeś zaatakowany podczas masażu. Chyba że używał magii.

Tal zastanowił się nad tym. Stół był na tyle duży, że ktoś mógł się pod nim wcześniej schować, ale pierwsza wchodząca osoba z pewnością by go zauważyła. W pomieszczeniu nie było żadnej szafy ani dodatkowych drzwi.

– Powinienem sam zdać sobie z tego sprawę – powiedział Tal.

– Byłeś zbyt osłabiony – pocieszył go Robert. – Pasko rozniósł już odpowiednie płatki w towarzystwie. Według nich większość krwi plamiącej podłogę pochodziła z ciała tej nieszczęsnej młodej kobiety, która została zabita przez zamachowca, i że ty ucierpiełeś niewiele. Tylko kilka siniaków i mała rana, która zagoi się niebawem. Do czasu turnieju w pełni odzyskasz siły.

Tal usiadł i odkrył, że sztywność ciała ustąpiła już prawie całkowicie.

– Umieram z głodu – oznajmił.

– To skutek uboczny czaru, jakiego użyli nasi kapłani od leczenia. Jesteś znacznie chudszy, o ile dokładnie się sobie przyjrzysz. Twoje ciało potrzebowało energii, żeby zagoić uszkodzone tkanki, więc spaliło wszystkie te niewielkie zapasy tłuszczu, jakie posiadałeś, Talu. Teraz wyglądasz jak szkielet.

Tal wstał i zakręciło mu się w głowie.

– I czuję się tak słabo jak jednodniowe kocię.

Pasko podał mu rękę i pomógł ubrać się w luźną szatę, a potem poprowadził go pod ramię do stołu ustawionego na środku głównego pokoju w apartamencie. Tam czekało na nich jedzenie i Tal z wigorem złapał za sztucce. Kiedy jadł, poczuł, jak szybko wracają mu siły.

– Przez resztę dnia powinieneś odpoczywać, Talu – powiedział Robert. – Ale musisz także pokazać się gdzieś publicznie, aby rozwiać wszelkie wątpliwości i zaprzeczyć plotkom na temat swoich ran.

– Dlaczego? – zapytał Tal. – Jakie plotki?

– Ludzie zapewne już zaczęli spekulować, dlaczego zostałeś zaatakowany i jak poważne są twoje rany – wyjaśnił mu Robert. – Nie powinniśmy pozostawiać ich na łasce domysłów, gdyż, jak zdążyłem się zorientować, w tym mieście jest tak samo wielu zainteresowanych wyeliminowaniem cię z turnieju, jak ochronieniem przed tobą swoich córek.

Tal skinął głową, nie zmieniając wyrazu twarzy.

– A jeżeli chodzi o twoje rany, musimy pokazać temu, kto nasłał na ciebie zabójcę, że jego zamiar się nie powiódł. Wkrótce powinien się zdecydować na ponowny atak.

– Ach, więc mam zostać przynętą?

Robert wzruszył ramionami.

– Ktoś próbuje cię zabić. Myśl o tym jak o polowaniu. Gdybyś był ścigany przez drapieżnika, co byś zrobił?

– Nie uciekałbym – odparł Szpon. – Spróbowałbym zastawić pułapkę na swego prześladowcę.

– I my też tak właśnie zrobimy. Tal dokończył posiłek.

– Jaka jest pora dnia? – zapytał. Wyjrzał przez okno i ocenił, że właśnie nastąpiło południe.

– Dwie godziny po południu.

– Więc najlepiej będzie, jak wrócę do Akademii Mistrzów i zajmę się sprawą tej biednej dziewczyny, która została zabita. – Pomyślał nagle o Salminie i zdał sobie sprawę, że nigdy już jej nie zobaczy ani nie będzie już więcej uprawiał z nią miłości i przez chwilę poczuł głęboki żal. – A potem wrócę do Remargi, wziąć kąpiel i masaż. – Spojrzał na Paska? – Czy są jakieś nowe zaproszenia?

– Trzy.

– Odmów wszystkim. Jeżeli mam pokazać się publicznie, lepiej pójdę na obiad do Dawsona.

Robert kiwnął głową.

– A potem?

– Pogram trochę w Kole Fortuny.

– Dobrze, to przekona wszystkich, że jesteś w dobrej formie.

Tal wstał i przeciągnął się.

– Czuję się całkiem nieźle, jak na kogoś, kto wczoraj został pokiereszowany jak tusza wołowa.

Na twarz Roberta wypełził drwiący uśmiezek.

– Ten czar wcale nie był tani.

Tal uśmiechnął się.

– A więc całe szczęście, że wybraliśmy służbę u mistrza, który nie szczędzi pieniędzy.

Drwina na twarzy Roberta zamieniła się w ponurość.

– Te pieniądze nie przychodzą łatwo, młody Talu. Zdobycie funduszy może się wydawać łatwe komuś, kto nie wie nic o sztuce magicznej, ale ty znasz nas już wystarczająco długo, żeby mieć pewne rozeznanie w działaniu czarów. Widziałeś wyspę i to, jak wielu uchodźców ubieramy i karmimy, a teraz zdobywasz wiedzę, jak wielu ludziom pomagamy w innych miejscach.

– Jego dłoń zatoczyła łuk, obejmując apartament, ubrania i inne przedmioty, które tam się znajdowały. – Żadna z tych rzeczy nie przyszła bez wysiłku i żadna nie pojawiła się tutaj za pomocą magii po prostu na życzenie.

Talu nie wiedział, do czego zmierza Robert, mówiąc te słowa.

– Wcale nie jestem niewdzięczny – powiedział z wahaniem – i doceniam to, co zrobił dla mnie mój mistrz. Ale boli mnie świadomość, że jestem przynętą, że stanowią cel dla zabójcy. Więc chciałbym poczuć, że mam za plecami możnych i potężnych sprzymierzeńców, przynajmniej w takim momencie. – Twarz mu spoważniała. – Ale jeżeli pamiętasz, obiecałeś mi, że powiesz, jaki jest cel mojego szkolenia i jakie jest moje zadanie, poza wygraniem tego szermierczego turnieju.

Robert nie odzywał się przez chwilę.

– Prawda – powiedział w końcu. – Prawda. Nie powiedzieliśmy ci zbyt wiele i dalej będziemy trzymać cię w nieświadomości tak długo, jak to jest zgodne z naszymi potrzebami. Jeżeli teraz wpadłbyś przypadkiem w niepowołane ręce... zawsze znajdzie się jakiś utalentowany mag, który potrafi zajrzeć ci do głowy i wyciągnąć stamtąd wspomnienia tak łatwo, jak ty robisz ogryzek z jabłka, Talu. Ci ludzie nie będą się przejmować twoim

życiem i zdrowiem. Skończą z tobą w jeden dzień i zostawicie czołgającego się przed drzwiami karczmy i nikt się tobą nie zainteresuje, myśląc, że jesteś pijany albo niespełna rozumu. Ale zanim cię zostawią, wyciągną z ciebie każdy sekret.

Pasko skinął potakująco głową.

– I będzie to także bardzo bolesne, o ile się orientuję.

– Zabiorą go gdzieś na ubocze – zgodził się Robert. – Tak, żeby jego wrzaski nie zaalarmowały przypadkowych ludzi.

Tal przeciągnął się po raz kolejny.

– Więc będę liczył na swoich nauczycieli, że w razie czego użyją swoich magicznych zdolności, żeby uchronić mnie przed taką ewentualnością. Ale czy wiecie, kim był tamten morderca?

– Pasko nie miał czasu się zorientować, gdyż zajął się natychmiast wyniesieniem ciebie z łaźni. – Robert kiwnął głową w kierunku sługi z aprobującym wyrazem twarzy. – Udało mu się całkiem niezłe; zatamował krwawienie ręcznikami i zaniósł cię do powozu, zanim ktokolwiek zobaczył, jak wiele z rozlanej krwi należało do ciebie, a jak wiele wypłynęło z podciętego gardła kobiety.

Pasko wzruszył ramionami.

– Zbytnio przeceniasz moje zasługi, Robercie. Większość ludzi i tak biegła w odwrotnym kierunku albo kręciła się w kółko, przerażona krzykami i krwią. Łaźnia nie jest najlepiej oświetlona... cóż, wiedziałem po prostu, że lepiej będzie, jak ludzie nie zobaczą Tala leżącego na ziemi jak kawałek surowego mięsa.

– Dobrze zrobiłeś. – Robert popatrzył na Tala. – Poznasz cel naszej misji, kiedy nadejdzie odpowiedni czas, mój młody przyjacielu. Odpoczywaj. Jesteśmy zadowoleni z twoich osiągnięć do tej pory i niech to ci wystarczy. Teraz skoncentruj się tylko i wyłącznie na wygraniu turnieju.

- Dlaczego?
- Kiedy go już wygrasz, wtedy się dowiesz.
- A jeżeli nie wygram?
- Wtedy nie będziesz potrzebował tej wiedzy. Nie będziesz musiał wiedzieć, co stanie się później, nieprawdaż?

Na twarzy Tala pojawiło się ponure zamyślenie.

- Wydaje mi się, że masz rację, mistrzu.
- Szpon nazywał mnie mistrzem, ale kawaler Talwin Hawkins może mówić do mnie po imieniu.
- Tak, Robercie – odparł Tal. – Pasko! – zawołał, wpadając z powrotem w swoją rolę. – Zanieś mi ubranie do Remargi i zamów powóz. Niech czeka tam na mnie o odpowiedniej godzinie.

– Zwrócił się do drugiego mężczyzny. – Robercie, czy zechcesz mi towarzyszyć w łaźni? Kąpiel jest bardzo odświeżająca. Robert pochylił lekko głowę.

– Myślę, że towarzyszenie ci mogłoby okazać się sensownym pomysłem. Ten zabójca może nie posiadał magicznych zdolności, ale ktoś dostarczył go do tego pokoju, używając jakiegoś czaru, albo transportującego, albo czyniącego niewidzialnym. Jeżeli od teraz aż do turnieju znów wydarzy się coś podobnego, a już szczególnie magicznego, lepiej żebym był w pobliżu.

– Czy masz pomysł, kto mógł być tym zabójcą? – zapytał Tal po raz kolejny.

– To był człowiek – odparł Pasko. – Nikt go nie rozpoznał. Strażnicy miejscy zabrali ciało.

– Czy znamy kogoś w strażnicy na tyle dobrze, żeby móc go dokładnie wypytać na temat tego napastnika? – zainteresował się Tal.

– Grałeś raz w karty z kapitanem dziennej zmiany, Droganem – przypomniał mu Pasko. – Możesz go zapytać bez wzbudzania zbyt wielkiego zainteresowania.

– Więc pójdę do niego jutro – zdecydował Tal. Zwrócił się do Roberta. – Chodźmy do Remargi. Przespacerujemy się i spróbujemy zapomnieć o nieprzyjemnościach dnia poprzedniego.

– Lepiej udawajmy, że już zapomnieliśmy – – odparł z naciskiem Robert. – Chcę, żebyś zawsze pamiętał, jak niewiele brakowało, żeby ci ludzie cię zabili.

– Jacy ludzie?

Robert uśmiechnął się lekko.

– Myślę, że niedługo się dowiemy.

Dwaj mężczyźni wyszli, a Pasko zaczął przygotowywać ubranie dla swego pana na dzisiejszy wieczór.



Ranek był pochmurny, co odpowiadało nastrojowi Tala. Mężczyzna podążał wąskimi uliczkami w stronę kwater zajmowanych przez straż miejską. Znajdowały się one niedaleko starego rynku w centrum miasta. Poprzedniej nocy nie wydarzyło się nic niespodziewanego, ale Tal spędził cały ten czas w pełnej gotowości, spodziewając się nowego ataku, i bez zdziwienia stwierdził, że drobne czynności, tak dla niego zazwyczaj miłe, teraz nie sprawiają mu przyjemności. Obiad u Dawsona, w byłej karczmie teraz serwującej eleganckie posiłki dla szlachty i bogatych kupców, którzy akurat mieli ochotę zjeść coś na mieście, gdzie mogli zaszyć się w niewielkich prywatnych salonikach na piętrze, jak zawsze był doskonały. Mięso i warzywa przyrządzano w perfekcyjny sposób, sosy i dodatki dorównywały w pełni tym, do jakich Tal był przyzwyczajony, obsługa była

bez zarzutu, jednakże on i Robert jedli w milczeniu. Nawet doskonałe królewskie wina, sprowadzane aż z Ravensburga, nie rozwiązały im języków.

Gra w karczmie znanej pod nazwą Koło Fortuny także nie przyniosła Talowi radości. Mężczyzna grał obojętnie, najwyraźniej zatopiony w myślach. Nawet lady Thornhill zauważyła, że Tal wydaje jej się nieobecny duchem. W odpowiedzi młodzieniec uśmiechnął się i zapewnił ją, że zły humor nie ma nic wspólnego z tą drobną nieprzyjemnością, jaka go spotkała u Remargi dzień wcześniej i że wcale nie, nie został poważnie ranny, tylko tak wyglądał, obłany krwią tej biednej dziewczyny z łaźni i uderzył się mocno głową w twarde płytki podłogowe, i tak, rozważa po prostu, jak najlepiej się przygotować do zbliżającego się turnieju.

Szybko opuścił grę, przeprasząc za nagłe odejście i tłumacząc się drobnymi przegrany. On i Robert powrócili do apartamentu, gdzie Tal położył się do łóżka, podczas gdy Robert i Pasko przez wiele godzin rozmawiali przyciszonymi głosami w pokoju obok.

Teraz zamierzał znaleźć odpowiedzi na kilka nurtujących go pytań. Dotarł do biura konstabla, Dennisa Drogana, siostrzeńca mniej ważnego pracownika w pałacu, który zyskał stanowisko z pomocą politycznych koneksji, ale z czasem okazał się kompetentnym i wartościowym funkcjonariuszem.

Wprowadzono go do biura Drogana, które składało się zaledwie z prostego stołu i krzesła ustawionego w rogu zatłoczonego pomieszczenia, oddzielonego przepierzeniem z desek, aby dać konstablowi chociażby złudne poczucie prywatności. Tala powitał grzeczny uśmiech kapitana.

– Tal. Właśnie planowałem, że cię odwiedzę dzisiaj po południu.

Drogan był mocno zbudowanym mężczyzną w średnim wieku. Tal nigdy w życiu nie widział nikogo, kto miałby tak kulistą głowę, co dodatkowo

pogłębiała fryzura konstabla. Mężczyzna nosił krótko przycięte włosy, które ciasno przylegały mu do czaszki. Dokładnie golił policzki i brodę, dzięki czemu wyglądał jak księżyc w pełni. W miejsce nosa z twarzy wystawał mu nieforemny gruzeł, łamany wielokrotnie w ostatnich latach. Połowa jednego ucha została odgryziona przez oprycha w jakiejś ulicznej bójce, ale oczy konstabla zawsze ze skupieniem wpatrywały się w otoczenie i nie umykał im żaden szczegół.

– Zakładam, że chciałeś porozmawiać ze mną o morderstwie.

Konstabl podniósł brwi.

– Tak. Kto mógłby chcieć twojej śmierci, Talu?

– Mojej? – zapytał Tal, udając zdziwienie. – Wydawało mi się, że to był jakiś zazdrosny kochanek, który polował na tę dziewczynę, Salminę. To przecież ona została zamordowana. Myślę, że rzucił się na mnie, żeby wyeliminować świadka zabójstwa.

Drogan zastanawiał się nad tym przez chwilę.

– Czy spotkałeś już kiedyś tego człowieka? – zapytał w końcu.

– Nie. Jeżeli już o to chodzi, ciekawy jestem, czy to ktoś dla ciebie znany.

– Nie. Żaden z moich chłopców nigdy go tu nie widział. Przeszukaliśmy ciało, zanim wrzuciliśmy je do dołu z wapnem, ale nie znaleźliśmy nic, co mogłoby nam cokolwiek o nim powiedzieć. Z wyjątkiem tego, że musiał przybyć całkiem niedawno z Wysp, gdyż miał przy sobie monety bite w Królestwie.

Tal usiadł wygodnie na krześle i udał, że się głęboko zastanawia.

– Cóż, to prawdziwa zagadka, nieprawdaż? Może to jej kochanek. Wrócił z podróży i zdenerwował się, zastawszy Salminę pracującą w łaźni.

– Pracowała tam więcej niż dziesięć lat, mój przyjacielu. Jeżeli to był kochanek, który odkrył właśnie tak zaskakującą nowinę, to musiał przez

pewien czas bywać dość daleko stąd.

– Cóż, to była pierwsza myśl, jaka przyszła mi do głowy – usprawiedliwił się Tal.

– To najoczywistsze wyjaśnienie i na ogół ono właśnie okazuje się prawdziwe. Ale nie sądzę, by tak było też i tym razem. Jeżeli ktoś chciał zabić dziewczynę, dlaczego nie zaczekał, aż skończy pracę i pójdzie do swojego mieszkania? Nie, bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że ktoś chciał pozbyć się najlepszego szermierza w Roldem, kiedy ten nie miał się jak bronić, co najmniej o pokój oddalony od swojego miecza. Ja tak uważam.

– Ale kto chciałby wysłać za mną zabójcę?

– A kto twierdzi, że ten człowiek to był właśnie zabójca?

– Nigdy go wcześniej nie widziałem, Dennisie. Może jest w Roldem jeden albo dwaj ludzie, którzy mnie nienawidzą, ale z pewnością bym ich rozpoznał, bo ich po prostu znam. Jeżeli ktoś chciał mojej śmierci, to najlogiczniejszym byłoby wynajęcie płatnego mordercy. Chociaż nie wydaje mi się to prawdopodobne.

– A dlaczego nie? – zapytał konstabl.

– Ponieważ znam kilku ojców, którzy chcieliby, żebym nie zbliżał się zanadto do ich córek. Bo są w tym mieście damy, które życzą mi śmierci. Ale jestem pewien, że nie ma tu nikogo, kto poważnie myślałby o mojej śmierci i wynajął zbira, aby te myśli urzeczywistnić.

– Czy wiesz, co jest w tej sprawie najdziwniejsze?

– Co?

– Nikt nie widział, jak ten człowiek wchodzi do łaźni. Aby dostać się do pomieszczenia, gdzie zostałeś zaatakowany, musiałby przemknąć obok pół tuzina portierów, odźwiernych, łaźiebnych, pokojowych i tym podobnych.

Od świtu, kiedy otwierają łaźnię, aż do zmierzchu, kiedy jej podwoje się zamykają, nie ma tam żadnego niestrzeżonego wejścia.

– Tak, to bardzo dziwne, nieprawdaż?

– Czy masz pomysł, w jaki inny sposób on się tam znalazł, jeżeli nie używał magii?

Tal odchylił się na krześle ze smutnym uśmiechem. – Magia? To z pewnością czyni tę sprawę jeszcze bardziej... dziwną, zgadzasz się?

– To może znaczyć, że jeżeli ktoś chce twojej śmierci, nie liczy się z żadnymi kosztami, żeby tego dopiąć. Nie tylko zapłacił komuś, żeby cię zabił, ale też wydał kupę pieniędzy na opłacenie kogoś o magicznych zdolnościach, żeby dostarczyć zamachowca niepostrzeżenie wprost do budynku.

– Czar niewidzialności?

– Coś w tym guście. Mój wuj ma przyjaciela, który zna maga. Zadałem mu kilka pytań i on twierdzi, że taki czar byłby w tej sytuacji najlepszym rozwiązaniem. Wysłanie kogoś z jednego miejsca bezpośrednio w drugie... to bardzo trudne i tylko kilku magów potrafi to zrobić.

Tal pomyślał sobie, że lepiej nie wspominać nic o tym, że zna co najmniej trzech magów, którzy umieją osiągnąć podobne rezultaty. Wolał pozostawić odkrywanie tych faktów konstablowi.

– Więc nikt nic nie wie o tym mężczyźnie?

– Nie. Przykro mi, ale nie.

– Więc nie możesz być nawet pewien, na kogo z nas on polował?

– Nie, niestety. Mam po prostu problem z tym całym zamieszaniem wokół trupa kobiety, która była tylko zwykłą dziwką.

Tal zeszywniał.

– Salmina nie była zwykłą dziwką.

– Tak, też to słyszałem – odparł Dennis.

Tal wstał.

– Cóż, nie będę ci przeszkadzał w twoich obowiązkach. Jeżeli dowiesz się czegoś nowego, proszę, daj mi znać.

– Możesz być pewien, że tak zrobię.

Wymienili uścisk ręki i Tal opuścił biuro, kierując się z powrotem w stronę swojego apartamentu. Był zawiedziony, że nie uzyskał żadnej informacji na temat zabójcy, nawet jeżeli niespecjalnie się spodziewał jakichś rewelacji.

Ciągle musiał się pilnować, żeby nie rozmyślać o zaułkach życia i skupić całą swoją uwagę na zbliżającym się turnieju. Zostało mu mniej niż dwa tygodnie i jeżeli miał wygrać, musiał się skoncentrować.



Turniej zbliżał się wielkimi krokami i Tal niecierpliwił się coraz bardziej. Nieważne ilu uspokajających umysł ćwiczeń nauczyli go Magnus, Nakor i Robert, nieważne, jak bardzo starał się unikać myślenia o turnieju, zajmując sobie czas grą w kości, karty, czy bawiąc się w miłym towarzystwie. Cały czas nawiedzały go myśli o zbliżających się zmaganiach.

Nawet zaproszenie do pałacu, które dostał na dwa dni przed turniejem, nie złagodziło jego zdenerwowania. Zabijał czas u krawca, zamawiając sobie najmodniejszy ubiór noszony obecnie z wielkim zapalem na dworze. Strój ten, skądinąd bardzo krzykliwy, składał się z obcisłych spodni, wpuszczanych w błyszczące, wypolerowane czarne buty, zupełnie niepraktyczne i nieprzydatne nawet do krótkich przechadzek. Miały zbyt niskie podbicie i za mały obcas, aby nadawać się do jazdy konnej, ozdoby szybko pozbawiłyby jeźdźca skóry na łydkach, gdyż obcierały się o pułsisko. Do marszu buty także się nie nadawały – były zbyt wysokie. Ale

za to na cholewach miały śliczne srebrne sprzączki, a z boku cienki pas z farbowanej na czerwono skóry. Spodnie były natomiast tak wąskie, że aż uciskały nogi i tamowały krążenie, ale krawiec zapewnił Tala, że na dworze to ostatni krzyk mody. Nie zdecydował się na kamizelkę, która ponoć także była bardzo modna. Doszedł do wniosku, że są rzeczy, których nigdy na siebie nie założy, bo wyglądałby w nich głupio, nawet gdyby miał się okazać prostakiem z prowincji nie znającym niuansów dworskiego szyku. Koszula do kompletu była małym dziełem sztuki; rozpięta przy szyli, zebrana poniżej mostka nadmierną ilością perłowych guzów, z koronkowym kołnierzem i jeszcze grubszą warstwą koronek na rękawach. Kubrak wprost oszałamiał ilością ozdób. Wykonano go z czerwonego brokatu przetykanego wyszywanym złotą nicią wzorem, i był tak zaprojektowany, aby dało się go nosić tylko na jednym, lewym ramieniu, podtrzymywany złotym łańcuszkiem biegnącym przez prawy obojczyk. Na kołnierzu i mankietach naszyto mrowie pereł. Ale jednak ukoronowaniem stroju był kapelusz, o szerokim rondzie, zrobiony ze śnieżnobiałego, mięsistego filcu, z ręcznie wykonaną srebrną opaską wokół ronda, za którą zatknięto wielkie, farbowane pióro. Pióro na kapeluszu Tala miało czarny kolor, tak więc osiągnięty efekt był wielce dramatyczny. Krawiec zapewnił go, że wygląda równie szykownie jak każdy dworzanin obcujący z królem, ale Tal nie mógł się pozbyć myśli, że ktoś opłacił krawca, każąc mu uszyć taki strój, żeby wszyscy na dworze pokładali się ze śmiechu, kiedy go w nim ujrzą na oficjalnej audiencji.

Ale kiedy jego powóz zajechał przed pałacową bramę w wieczór audiencji, Tal zobaczył wielu młodych mężczyzn z miasta ubranych w podobne, równie absurdalne stroje. Przypomniał sobie z rozrzewnieniem proste skórzane i futrzane kaftany, jakie nosili członkowie jego rodziny i klanu w górach podczas zimy, i to, że w gorące, letnie dni chodzili prawie

nago. Kiedy wchodził na pałacowe stopnie, Tal doszedł do wniosku, że moda dworska jest rezultatem tajnego porozumienia krawców, chcących oskubać próżnych szlachciców ze złota. Z wielu zebrań i towarzyskich wydarzeń, w jakich brał udział, wywnioskował, że w Saladorze i w Roldem za rok o tej samej porze ubiór, który miał na sobie, nie będzie już modny i wszyscy na gwałt zapragną mieć nowe stroje.

Tal podał swoje zaproszenie portierowi, pilnującemu, aby nikt bez oficjalnego zaproszenia nie dostał się do pałacu. Za portierem stał oddziałek pałacowej straży, a jego członkowie, pomimo zabawnych i dość niepoważnych, żółto-czerwonych liberii, wyglądali na gotowych do odparcia inwazji, a co dopiero do usuwania niepożądanych gości. Po okazaniu dokumentów dostał pazia, który miał go zaprowadzić do głównej sali.

– Panie, król rozkazał, że dzisiejszego wieczora goście nie muszą siadać wedle oficjalnego protokołu – oznajmił paź, kiedy szli korytarzem. – Wszyscy będą korzystać z bufetu.

Tal nie znał tego słowa i zaczął przeszukiwać swoją pamięć, próbując znaleźć jakieś skojarzenia.

– Bufet – powiedział miękko do siebie.

Chłopiec skierował się ku długim stołom w kącie sali, suto zastawionych jedzeniem. Wokół biegali służący, szybko przemierzając pomieszczenie z dzbanami piwa i wina w dłoniach, napełniając na żądanie czary i pucharki. Wszędzie gdzie spojrzał, Tal widział ludzi w strojach o jaskrawych barwach, pogrążonych w rozmowach. Niektórzy trzymali talerze w jednej ręce, a drugą podawali sobie jedzenie do ust.

Tal wreszcie sobie przypomniał. Bufet to było słowo w języku królestwa, pochodzące z dialektu bastyrańskiego. I znaczyło jedzenie z wolnostojącego stołu bez zasiadania. Czasami tylko ci się wydaje, że

mówisz dobrze w obcym języku, przypomniał sobie Tal, karcąc się pod nosem.

Przechadzał się w tłumie, zauważając pół tuzina czy więcej znajomych twarzy, do których uśmiechnął się i uklonił. Doszedł wreszcie do stołu z jedzeniem. Wszystko, co tylko mógł sobie wyobrazić, leżało przed nim zgrabnie poukładane na półmiskach, poczynając od wędzonego dzikiego ptactwa i jaj gotowanych na twardo, poprzez warzywa przygotowane w bardzo różnorodny sposób, od blanszowanych prosto z wody, do kwaszonych, konserwowanych i specjalnie przyprawianych. Były tam sery i owoce, niektóre bardzo drogie, gdyż sezon na nie dawno już minął, oraz słodycze. Wziął talerz i ze zdziwieniem zauważył, że naczynie jest lżejsze, niż się spodziewał. Szybka inspekcja wykazała, że talerz był zrobiony z jakiegoś rodzaju twardej ceramiki, a nie kamionki czy metalu. Na białej powierzchni lśnił ręcznie malowany królewski herb Roldem – delfin wyskakujący z morskich fal na tle gwiazdy. Całość robiła wrażenie.

– Tak, imponujące, nieprawdaż? – usłyszał głos z prawej strony.

Tal odwrócił się i ujrzał Quincy’ego de Castle, kupca z Bas–Tyry, z którym grał w karty kilka razy.

– Umiesz czytać w myślach? – zapytał go z uśmiechem.

– Nie – odparł kupiec. – Gdybym umiał, nie przegrałbym tak wielu pieniędzy, grając z tobą w karty, Talu. Nie, po prostu zobaczyłem, jak podziwiasz ten talerz i odgadłem, o czym myślisz.

– Bo to naprawdę imponujące – powtórzył Tal.

– Cóż, jak to się mówi? Dobrze jest być królem. Można się wtedy otaczać całym mrowiem zbędnych, ale ślicznych drobiazgów.

W tej chwili mistrz ceremonii zastukał w podłogę okutą metalem laską, symbolem swego urzędu.

– Panie, panowie, dworzanie, król idzie!

Wszystkie oczy zwróciły się w kierunku kolumnady, która prowadziła z królewskich apartamentów. U jej wylotu ukazał się właśnie król Karol VI. Król był w średnim wieku, ale ciągle wyglądał młodo, jak wtedy, kiedy miał dwadzieścia pięć lat. Prowadził pod rękę pulchną, ale miło wyglądającą kobietę, noszącą na głowie małą koronę.

– Królowa i królewska rodzina! – oznajmił mistrz ceremonii.

Wszyscy uklonili się głęboko.

– Sprawi nam przyjemność, jeżeli powrócicie do zabawy. Dzisiejszego wieczora nie trzymamy się formalności.

Zebrani podziękowali królowi za łaskawość dyskretnymi oklaskami i wszyscy powrócili do czynności, jakie porzucili na wejście króla.

– Czy byłeś już kiedyś na audiencji? – zapytał Tal Quincy’ego.

– Tak, ale nie na tak nieformalnym przyjęciu. Słyszałem, że w tym roku przybyło tak wielu chętnych do wzięcia udziału w turnieju, że nie starczyło krzeseł w pałacu na normalną kolację, nawet jeżeli znaleziono by stół na tyle duży, żeby zmieścić przy nim wszystkich gości. Tak więc zamiast tego mamy bufet, a także dwa inne w sąsiednich pomieszczeniach.

Tal kiwnął głową.

– Czuję się mniej uhonorowany zaproszeniem na audiencję niż godzinę temu, mój przyjacielu Quincy.

Mężczyzna zaśmiał się.

– Nie czuj się zlekceważony. Bo na każdego z nas, który dostał zaproszenie na dzisiejszy wieczór, przypada trzech tam na zewnątrz, rozżalonych, że go nie dostali. Ja sam jestem tutaj tylko dlatego, że handlowałem z królewskim dostawcą przez dwadzieścia lat i startowałem już kiedyś w turnieju. To będzie mój trzeci raz. Ty jesteś jednym z faworytów, który ma szansę zdobyć złoty miecz, Talu, i jako taki na pewno

zostaniesz zaszczycony rozmową z królem. Oczekuj krótkiej pogawędki, zanim ta noc się skończy.

– Nie wiem, co mam mu powiedzieć – zatroskał się Tal.

– Mów mało, śmiej się z jego dowcipów i zgódź się na wszystko, co ci zaproponuje. To sposób na radzenie sobie z królami.

– Dzięki za radę.

Rozdzielili się i Tal przespacerował się przez trzy wielkie sale, witając się ze znajomymi i kłaniając się tym, którzy pierwsi skinęli mu głową. Po dwóch godzinach odnalazł go paż.

– Panie, czy ty jesteś kawalerem Talwinem Hawkinsem? – zapytał go.

– Tak – odparł Tal.

– Król pragnie z tobą porozmawiać, panie. Pójdź za mną, proszę.

Chłopiec zaprowadził go do centralnego punktu trzech sal, gdzie w kącie stał król wraz z królową Gertrudą i innymi członkami rodziny – chłopcem na oko trzynastoletnim, który musiał być księciem Konstantym, dwoma innymi chłopcami i dziewczynką. Młodsze dzieci wydawały się znudzone, ale stały spokojnie, najwyraźniej doskonale wychowane i pomimo młodego wieku znające obowiązki władców.

Paż powiedział coś po cichu prosto do ucha sługi, który z kolei przekazał tę informację, również szeptem, mistrzowi ceremonii. Mistrz ceremonii skinął grzecznie głową w kierunku Tala.

– Wasza wysokość – odezwał się. – Pragnę przedstawić wam Talwina Hawkinsa, dziedzica ziem nad rzeką Morgan i Bellcastle, baroneta Srebrnego Jeziora.

Tal wykonał swój najlepszy i najgłębszy ukłon i nie odezwał się. Wiedział, że lepiej nic nie mówić, zanim król pierwszy nie zacznie rozmowy.

Król Karol uśmiechnął się.

– Słyszałem o tobie, młody panie. Mówią, że sprytni stawiają na ciebie pieniądze, gdyż ty zwyciężysz w turnieju.

– Wasza wysokość jest bardzo miły – odparł Tal. – Musiałbym mieć naprawdę wiele szczęścia, żeby pokonać tych wszystkich doskonałych szermierzy, którzy chcą zmierzyć się w turnieju.

– Jesteś bardzo skromny – powiedział król z uśmiechem. – Ja wiem wiele. Nie ma dla mnie sekretów w Akademii Mistrzów.

– Wasza wysokość – odezwał się Tal. – W to mogę z czystym sumieniem uwierzyć.

Uśmiech na twarzy króla zrobił się jeszcze szerszy.

– Ach, nadchodzi ten, który będzie za wszelką cenę próbował ci przeszkodzić w zdobyciu złotego ostrza.

Tal odwrócił się i zobaczył grupkę mężczyzn podchodzących właśnie do króla. Uśmiech na twarzy Tala zamarł, kiedy usłyszał słowa monarchy.

– Kawalerze Talwinie, czy mogę cię przedstawić naszemu kuzynowi Kasparowi, księciu Olasko.

Mężczyzna na czele grupy był szeroki w ramionach, ale cienki w pasie, i Tal od razu się zorientował, że jest on potężnym i niebezpiecznym przeciwnikiem. Twarz miał okrągłą jak księżyc w pełni, ale zadzierał wysoko brodę, a jego oczy były wąskie jak szparki i świdrujące niczym szpileczki, jakby wietrzył zwierzynę. Brodę porastała mu czarna szczecina, ale górną wargę pozostawił gładko ogoloną. Na ustach tkwił uśmieszek, który można było uznać za uśmiech wyższości.

– Więc to jest ten młodzian, który chce pokonać mego człowieka? – Zwrócił się do mężczyzny po swojej lewej stronie, ubranego w uniform. – Wasza wysokość, przedstawiam wam porucznika Campaneala, najlepszego szermierza w moim księstwie i, mam nadzieję, zwycięzcę tego turnieju. I

muszę dodać, że moja nadzieja opiera się na poważnych przesłankach – dodał ze śmiechem.

Król także się roześmiał. Tal skinął głową księciu i porucznikowi na powitanie.

– Kawalerze, patrzysz na mojego towarzysza. Czy może się znacie? – zapytał po chwili księżę Olasko.

– Nie – skłamał Tal. – Przez chwilę wydawało mi się, że chyba rozpoznaję porucznika Campaneala, ale się myliłem. – Odwrócił się. – To wielki zaszczyt, poznać cię, księżę Kasparze. – Ukłonił się.

Tal pozwolił księciu przejąć główny nurt rozmowy i wtopił się w tło. Wiele wysiłku kosztowało go utrzymanie obojętnego wyrazu twarzy, gdyż już raz w swoim życiu spotkał porucznika Campaneala. To on właśnie wykonywał rozkazy kapitana Quentina Havrevulena, który siedział na koniu u boku mężczyzny o imieniu Raven. Porucznik Campaneal był jednym z tych, którzy zniszczyli wioskę Tala. Był jednym z tych, którym Tal poprzysiągł śmierć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

TURNIEJ

Tal roześmiał się.

Turniej mistrzów szermierczych rozpoczął się w końcu i ku wielkiemu zachwytowi Tala okazało się, że jego ogromny sukces, jaki odniósł w ostatnim roku w Akademii Mistrzów, od razu popchnął go na poczesne miejsce wśród zawodników. Do miasta Roldem przybyło ponad czterystu szermierzy pragnących zdobyć złoty miecz i tytuł największego mistrza na świecie. Najlepszych trzydziestu dwóch zawodników, zarówno pod względem sławy, jak i umiejętności, pokazanych w Akademii Mistrzów, zwolniono z rund kwalifikujących do turnieju. Oczywiście w samej Akademii nie spekulowano na temat możliwości zajęcia odpowiednich miejsc przez tych najlepszych, jednakże w całym mieście przyjmowano zakłady i istniał nieoficjalny ranking zwycięzców. W większości Tal plasował się nie dalej niż na trzecim miejscu. Często uważano, że to on wygra turniej. Tylko jeden człowiek, oprócz Tala, legendarny Versi Dango, nie dał się ani razu pokonać przez cały rok pojedynków w Akademii Mistrzów. Gdyby Tal również po trzykroć zwyciężył w turnieju, mówiono, że jego posąg także stanie w głównym hallu Akademii tuż przy założycielu szkoły.

Tal otrzymał specjalne miejsce do siedzenia na głównej galerii, na podwyższeniu wśród pozostałych trzydziestu jeden faworytów i ich przyjaciół, sług, rodzin i towarzyszy. W chwili obecnej na galeryjce stało

bądź siedziało ponad siedemdziesiąt osób. Gorliwi słudzy rozdawali przekąski i uzupełniali wypite napoje.

Tal siedział tuż obok Paska.

– Czy to nie Kendrik stoi tam w cieniu kolumny? Tam w rogu? – zapytał.

– Tak, to on, milordzie.

– Czy on też bierze udział w turnieju?

– Nie, on nie ma w sobie na tyle próżności, żeby wmawiać sobie, że jest najlepszy – odparł sucho Pasko. – Milordzie – dodał po chwili.

– A co on tutaj robi?

– Pilnuje twoich pleców – powiedział Kaleb, opadając na krzesło ustawione obok siedziska Tala.

– Więc obaj ich pilnujecie?

– I Magnus też. Nie dasz rady go zauważyć, ale on jest w pobliżu – dodał młodszy syn Puga. Tal wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Kaleb, nie sądziłem, że zobaczę cię kiedykolwiek w tak modnym stroju.

Kaleb uśmiechnął się w odpowiedzi, chociaż nie wyglądał nawet w połowie na tak rozbawionego jak Tal.

– Kamuflaż – odparł zwięźle.

Wyglądał jak bogaty kupiec albo pomniejszy szlachcic z królestwa Roldem. Jedynym elementem jego stroju, jaki rozpoznawał Tal, był miecz, rzecz niezmienna w wyglądzie Kaleba. Co do innych szczegółów, mężczyzna od stóp do głów odziany był w strój zgodny z najnowszą modą, chociaż wybrał ubranie zdecydowanie mniej krzykliwe niż większość Roldemczyków.

Nosił ciemnoczekoladowy kubrak, bładożółtą koszulę oraz czarne spodnie i buty. Zamiast bardzo kolorowych kapeluszy noszonych przez

miejskich dandysów Kaleb zdecydował się na prosty czarny beret ze złotą spinką i pojedynczym jastrzębim piórem.

Tal roześmiał się.

– Wyglądasz jak prawdziwy roldemski szlachcic, naprawdę.

– Czy spotkałeś już księcia Kaspara z Olasko? – zapytał Kaleb. – Był dwie noce temu na audiencji.

Tal zasepił się. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. Zniżył głos tak, że tylko Kaleb mógł usłyszeć jego słowa.

– Tak, spotkałem go i kilku członków jego rodziny. Ale rozpoznałem też jednego człowieka, porucznika o imieniu Campanaal. To on dowodził żołnierzami księcia, kiedy pomagali Ravenowi i jego mordercom zniszczyć moją wioskę.

– Wiem. On też bierze udział w turnieju. Jest jednym z trzydziestu dwóch faworytów, więc masz realną szansę się na niego natknąć.

– Wolałbym raczej spotkać go w innych okolicznościach, najlepiej bez świadków – odparł Tal.

– W turnieju zdarzały się wypadki. Niektóre nawet kończyły się tragicznie.

Tal spojrzał na Kaleba.

– Czy ty sugerujesz, że powinienem zabić tego człowieka na oczach króla i tysięcy widzów?

Kaleb potrząsnął głową ze smutnym uśmiechem.

– Próżność młodości. Nie, mówię ci, żebyś był ostrożny, gdyż, jeżeli w sercu Campaneala zakiełkuje chociażby ziarno podejrzeń, kim możesz być, to ty zostaniesz ofiarą wypadku.

– Ale skąd miałby się dowiedzieć? – zapytał Tal. – Nie mam tatuaży, które wskazywałyby na moją przynależność do ludu Orosinich. Wydaje mi

się, że całkiem nieźle odgrywam rolę syna drobnego szlachetki. Dlaczego miałby mnie podejrzewać?

– Ponieważ gapiłeś się na niego w pewien charakterystyczny sposób, bez wątpienia. Człowiek jego rodzaju przez lata robi sobie licznych wrogów i nawet nie jest w stanie ich wszystkich zapamiętać. Po prostu bądź ostrożny.

– Będę.

– Ciekaw jestem, czy zauważyłeś kogoś w towarzystwie księcia, kogoś, kto wyglądałby jak człowiek... nie pasujący do reszty.

– Nie – odparł Tal. – Księżciu towarzyszyli jacyś krewni, wydaje mi się, że także syn, chłopiec był bardzo podobny do Kaspara. Ale księżę nas nie przedstawił. Widocznie nie wydałem mu się na tyle ważnym, żeby miał się kłopotać prezentacją. A kogo szukasz?

– Nie wiem – powiedział Kaleb. – Jest taki człowiek... mag. On i mój ojciec zmierzyli się ze sobą, lata temu. Mamy pewne wieści, że on mógł wrócić. Myśleliśmy, że umarł, ale może się myliliśmy... – Twarz Kaleba przez moment przybrała roztargniony wyraz. – Z tego, co mi powiedziano – dodał – tego mężczyznę jest trudniej zabić niż karalucha.

– Jak się nazywa?

– Używał wielu imion, więc wątpię, żeby akurat teraz nazywał się tak samo albo podobnie jak wcześniej.

– A jak wygląda?

– Potrafi zmieniać wygląd.

Oczy Tala rozszerzyły się lekko.

– Człowiek nie wiadomo jak wyglądający, którego imienia nikt nie zna – podsumował ironicznie. – Obiecuję ci, Kalebie, że będę go usilnie wypatrywał.

– Z tego, co mówił mi ojciec, wyczujesz w nim coś dziwnego, gdy go spotkasz, o ile to się stanie. To mag, bardzo potężny, a jego serce jest

ciemne jak najgłębszy loch.

Tal nie odezwał się, obserwując zmagania walczących na parkiecie poniżej. Aktualnie odbywały się cztery pojedynki w czterech narożach sali.

– W jakimś momencie będę musiał zabić księcia Olasko – odezwał się w końcu.

– Wiem. To on stał za masakrą ludzi twego plemienia, Talu.

– Dlaczego?

– Gdyż byli niewygodni. Przeszkadzali w realizacji jego planów, nic więcej. Potrzebował wolnej drogi do północnych granic księstwa Farinda, a twoi ludzie stali mu na drodze. Łatwiej było ich wyeliminować, niż negocjować warunki przemarszu wojsk przez góry. Obawiał się, że Orosini mogą donieść królowi Farindy o tym, co się dzieje.

– Więc zabił wszystkich mężczyzn, kobiety i dzieci na Pustkowiach.

– Tak. – Kaleb pochylił się do przodu, opierając dłonie na poręczy galerii. – Pracuje nad inwazją na Farindę już od pięciu lat. Przekupił Latagore, żeby podpisało traktat o założeniu garnizonu w mieście. Mówią, że na wiosnę zamierza zaatakować lud Orodonów.

– Po co? – zdziwił się Tal. – Przecież oni nie mieszkają na ziemiach sąsiadujących z Farindą?

– Bo chce czegoś, co oni mają. Kopalni złota. Wojna jest droga, a Orodoni nie wydobywają zbyt wiele złota w tej części gór, gdzie mieszkają. Mógłby opłacić wojsko na dziesięć lat naprzód ze złota, które wydobywałyby w kopalniach zaledwie przez rok.

Umysł Tala zwrócił się w kierunku Orodonów. Byli oni dalekimi krewnymi jego ludu, i jako tacy zaliczali się do jedynych członków dalekiej rodziny, jacy mu jeszcze pozostali na tym świecie.

– Na wiosnę?

– Tak. Takie chodzą plotki.

Tal wstał.

– Kalebie, wróćmy do mojego apartamentu. Muszę porozmawiać z Robertem i Magnusem.

Kaleb również się podniósł.

– A o czym?

– O tym, co zamierzacie ze mną zrobić po tym, jak wygram ten cholerny turniej.

Nie oglądając się za siebie, żeby zobaczyć, czy Kaleb idzie za nim, Tal szybko opuścił galerię i pospieszył w dół po schodach zbiegających do głównego hallu.



Robert i Magnus siedli przy stole, podczas gdy Pasko parzył dzbanek kesliiańskiej kawy. Kaleb oparł się o ścianę, a Tal stał na środku pokoju, spoglądając na dwóch magów.

– No więc? Wygram ten turniej i co potem?

Magnus spojrzał na Roberta, a ten skinął potakująco głową.

– Będziemy mieć dla ciebie nowe zadanie.

– Tego się domyślałem, ale na czym ono będzie polegać?

Długo tłumione zdenerwowanie Tala wyszło wreszcie na światło dzienne.

– Przez całe lata robiłem, co mi kazaliście. Zawdzięczam wam życie, kilka razy je uratowaliście, ale przynajmniej pod pewnymi względami powinniście mi ufać. To mnie doprowadza do szału. Wszystko wskazuje na to, że ktoś chce mnie zabić, a ja nie wiem dlaczego. Nie wiem, czy to przez waszą organizację – w tym momencie pokazał palcem na zebrane w pokoju osoby – czy naraziłem się komuś, grając rolę, którą mi narzuciliście.

– To ty stworzyłeś Tala – z naciskiem powiedział Robert. – My tylko powiedzieliśmy ci, kim masz się stać. Ale jak tego dokonałeś, to była tylko i wyłącznie twoja zasługa. Nikt ci nie kazał zostać hazardowym graczem, kobieciarzem ani hulaką. Mogłeś udawać uczonego albo kupca, ale ty wybrałeś takie właśnie życie.

– I wygląda na to – dodał Magnus – że to życie ci odpowiada, Talu. Tal nie mógł już dłużej powstrzymać złości.

– Ale tu chodzi o moje życie. To moje życie. Zaciągnąłem u Roberta dług. Przez ostatnie pięć lat wiele się nauczyłem, a najważniejsza dla mnie lekcja mówiła, że powinienem badać swoje decyzje, spoglądając na nie z różnych punktów widzenia. Należę do ludu Orosinich i spłacę dług. Żaden człowiek na całym świecie nigdy nie będzie mógł powiedzieć, że zlekceważyłem zobowiązania czy złamałem przysięgę. Ale to nie znaczy, że będę na ślepo wypełniał twoje rozkazy, Robercie. Jeżeli mam służyć ci dobrze, muszę wiedzieć o pewnych rzeczach.

Robert westchnął.

– Teraz mogę powiedzieć ci tylko jedno, Talu. Wrogowie podejmują liczne tajne działania, żeby udaremnić nam osiągnięcie naszych celów. Ten człowiek, przed którym cię ostrzegaliśmy, wkrótce zostanie prawą ręką księcia, jeżeli nie tutaj w Roldem, to z pewnością z powrotem w domu, w Oparдум. Książę Kaspar ma duże ambicje.

– Najwyraźniej – zgodził się Tal. – To samo wiedziałem już wtedy, kiedy zauważyłem jego kapitana, Havrevulena, w Latagore, spiskującego w celu obalenia tamtejszych władz. Wiem, że chce zagarnąć Farinę. Ale nie wiem dlaczego.

– Na południe od ziem Kaspara leżą kraje kontrolowane przez Księstwa Pogranicza – zaczął wyjaśniać Robert. – Książęta ci nieustannie skaczą sobie do gardeł: Miskalon, Roskalon, Księstwo Maladon i Semrick,

Salmater i Far Lorm. Jedyny skuteczny podbój tego wiecznie nękanego wojną regionu miał miejsce dwieście lat temu, kiedy Maladon podporządkowało sobie Semrick. Wszyscy oni walczą o kontrolę nad Spornymi Ziemiemi i Olasko dba o to, żeby ten obszar nikomu nie wpadł w ręce. Zależy mu na tym, żeby wszystkie księstwa były słabe i nie znające stabilizacji. Na zachód od siebie ma Księstwo Aranoru. Księciem Aranoru jest kuzyn Kaspara ze strony matki, który ze strony ojca jest spokrewniony z domem królewskim Roldem, więc Kaspar i jego przodkowie nie śmieli położyć łap na Aranorze od wielu lat. Jednakże książę to słaby idiota i Kaspar z łatwością może przejąć kontrolę nad tym księstwem. Za Aranorem leży Far Lorm i Opast. Oba te księstwa mają ściśle kontakty z Królestwem Wysp, chociaż oba w swojej przeszłości z nim walczyły. Królestwo zareaguje szybko, jeżeli Olasko zechce zająć te tereny.

Na północ leży Przyczółek Bardaka, który w zasadzie trudno nazwać krajem. Władca–założyciel tam panujący, Bardakl, był piratem z manią wielkości i jego potomkowie różnią się od niego bardzo niewiele. Większość arystokracji z tamtych terenów to zbójcy mieniący siebie baronami i król Haloren radzi sobie z nimi w ten sposób, że po prostu ich nie rusza. Dla Olasko atak na Przyczółek byłby jak marsz w głąb bagna. Hrabstwo Conar wcale nie jest lepsze, chociaż przywódcy plemion są przynajmniej honorowymi barbarzyńcami, podobnie jak bagienny lud na północ od nich.

I dlatego właśnie Kaspar chce zająć Farinę. Musi zebrać swoją armię na granicy z Królestwem Wysp, bez zbytniego niepokojenia swoich sąsiadów.

– Dlaczego? Czy on ma zamiar prowadzić wojnę z Królestwem? – Tal wzruszył ramionami. – Moja pamięć do geografii nie jest być może zbyt dobra, ale zgromadzenie całej armii w Ran nie zbliży go zanadto do

żadnego z miast Królestwa. To kilkaset kilometrów od nawet najmniejszej wioski Królestwa Wysp.

– Zgadza się. Nie mamy pojęcia, dlaczego chce tam założyć garnizon, ale mamy parę hipotez. Ale zostawmy spekulacje na później. Jedno wiemy na pewno, księżę Kaspar z Olasko jest prawdopodobnie najniebezpieczniejszym człowiekiem żyjącym obecnie na tym terenie, jeżeli chodzi o zburzenie pokoju. Chce przejąć kontrolę nad Królestwami Wschodu i podejrzewamy, że pragnie wywołać wojnę pomiędzy Roldem a Królestwem Wysp.

– Ach – powiedział Tal. – A jeżeli Roldem wystąpi przeciwko Królestwu, w konflikt włączy się także Kesh.

– I regionalna wojna zamieni się w znacznie szerszy konflikt. Wojna obejmie zarówno wschód, jak i zachód Królestwa – dopowiedział Magnus.

– Przeczytałem wystarczająco dużo historycznych księzek, aby wiedzieć, co to jest ambicja – odezwał się Tal. – Ale wydaje mi się, że Kaspar przecenia nieco swoje możliwości.

– Nie byłby pierwszym władcą, który chce skorzystać na sporach innych księstw – powiedział Magnus. – Już teraz mógłby połączyć Księstwa Pogranicza, gdyby tylko przyszła mu na to ochota. Nie ma zamiaru podporządkowywać sobie niesfornych władców na północy, ale w przyszłości z pewnością zdecyduje się na zagarnięcie tych terenów.

Teraz musi tylko zapewnić sobie kontrolę nad Farindą i przygotować się na wojnę z Królestwem. Więc, po pierwsze, musi podbić Farinę. Aby zapewnić sobie powodzenie tej operacji, powinien zniszczyć Orodonów i Latagore, i Dorzecze.

Tal podniósł brwi.

– A więc wszystko zaczyna do siebie pasować. Najpierw pozbył się mojego ludu, otwierając sobie drogę do Farindy. A teraz zabezpiecza prawą

flankę, upewniając się, że żadna pomoc dla Farindy nie przybędzie od Dorzecza i Latagore.

– Tak, jeżeli Królestwo wcześniej się zorientuje, do czego dąży Kaspar, i jeżeli król Ryan jest sprytniejszy, niż mówią, zareaguje tak szybko, jak tylko zauważy coś podejrzanego. Nie może zaatakować Olasko bezpośrednio, bez wciągania w wojnę Aranoru i Roldem, ale oczywiście może wynająć najemników i wysłać ich na statkach do Przybrzeżnej Warty, a stamtąd do Latagore albo do Dorzecza. Kaspar nie może sobie pozwolić na takie ryzyko. Nie może dopuścić, żeby jakaś armia zaszła go od tyłu.

– Dlaczego nikt nigdy wcześniej nie zastanowił się nad tym problemem?
– zapytał Tal.

Robert popatrzył na Magnusa.

– Mógłbym wrzucić kulę ognistą do leża Kaspara i po zniszczeniu króla, jego rodziny i połowy arystokracji Roldem księżę wyszedłby nietknięty ze zgliszczy. Ten człowiek, o którym wcześniej rozmawialiśmy, jest bardzo potężny i Kaspar jest bardziej chroniony przed magicznym atakiem niż jakikolwiek inny człowiek na ziemi, tego jestem pewien. Jego strażnicy są bardzo oddani swej pracy. Nigdy nie zostaje sam. Zabicie go to nie jest łatwa sprawa.

– I tu właśnie zaczyna się moja rola?

– Może – odparł Robert. – Tego jeszcze nie wiemy. Jeżeli wygrasz ten turniej, istnieje szansa, że Kaspar się tobą zainteresuje. Lubi otaczać się ludźmi o imponujących umiejętnościach, muzykami, śpiewakami, malarzami, kucharzami, magami i wielkimi szermierzami.

– No cóż – westchnął Tal. – Teraz już wiem, dlaczego jest dla was takie ważne, żebym wygrał ten turniej. Wygląda na to, że nasze cele przynajmniej w jednym punkcie są zbieżne. Chcemy, żeby księżę Olasko postradał życie. Robert usiadł i popatrzył prosto na swego byłego ucznia.

- Tak, na to wygląda, nieprawdaż?
- Więc mam jeden warunek – powiedział ponuro Tal. – Kaspar umrze na końcu.
- Dlaczego? – zapytał Magnus.
- Gdyż, wnioskując z tego, co właśnie powiedzieliście, zabicie go nie jest sprawą łatwą i mogę podczas próby postradać życie, a jeżeli mam nie wypełnić do końca zemsty mego ludu, raczej umrę, pozostawiwszy przy życiu jednego tylko mordercę, zamiast całego tuzina. Kaspar umrze po Ravenie i jego ludziach, ale najpierw pozbędę się porucznika Campaneala.
- Popatrzył na Roberta, Magnusa, Kaleba i Paska. – On nie wyjdzie żywy z tego turnieju.



Wyniki pierwszych pojedynków nie były dla nikogo zaskoczeniem. Nieoczekiwanie dla wszystkich nieznany nikomu młody szermierz z Keshu o imieniu Kakama z łatwością pokonał wszystkich swoich przeciwników. Dość szybko wszelkiej maści hazardziści zaczęli stawiać na niego wielkie sumy.

Pierwszy pojedynek Tala odbył się czwartego dnia turnieju, kiedy to sześćdziesięciu czterech finalistów rozpoczęło zmagania. Do końca pozostały jeszcze trzy dni. Ponad czterystu szermierzy potykało się w co najmniej trzech pojedynkach dziennie, aby wyłonić trzydziestu dwóch zawodników, którzy mieli dołączyć do takiej samej liczby zakwalifikowanych już wcześniej. Pojedyunki zaplanowano na rano i na późne popołudnie, a finałowa walka miała się odbyć szóstego dnia przed wieczorem w pałacu, w obecności króla i całego dworu.

Pierwszym przeciwnikiem Tala był kapitan z osobistej straży jednego z roldemskich baronów. Człowiek ten brał udział w turnieju już trzeci raz i po

raz pierwszy wszedł do finałowej sześćdziesiątki czwórki zawodników.

Pojedynki rozgrywano ostrą bronią do pierwszej krwi, poddania się albo upuszczenia broni. Zawodnik mógł zrezygnować z walki w dowolnym momencie i zazwyczaj uciekał się do tego rozwiązania ze strachu przed zranieniem albo przez skromność, uznając, że jego umiejętności nie dostają do sztuki przeciwnika. Szermierz mógł oddać walkę, po prostu nie przychodząc na miejsce pojedynku, albo zostać zdyskwalifikowanym przez jednego z sędziów zwanych mistrzami akademii, którzy oceniali każdą walkę. Ignorowanie instrukcji sędziów, celowe i zamierzone dążenie do zranienia przeciwnika albo wykraczanie poza obręb wyznaczonego miejsca do walki mogło spowodować wykluczenie szermierza z zawodów.

Tal pozwolił kapitanowi na kilka minut zadowolenia z walki i nie chciał zawstydząć go po dwunastu latach, przez które jego przeciwnik dążył do zdobycia jak najlepszych umiejętności szermierczych. Ale ta walka nie była dla Tala wyzwaniem. Po wymianie kilku ciosów, pchnięć i zasłon, co trwało trzy minuty, Tal z łatwością znalazł sobie kilka luk w obronie przeciwnika. Zauważył, że młody kapitan przed walką rozmawiał z młodą kobietą, która zdaniem Tala była jego żoną albo przyjaciółką, więc postanowił pozwolić przeciwnikowi przegrać z klasą. Prowadził walkę jeszcze przez dwie minuty, zanim lekko zaciął kapitana w ramię, zadając pierwszą ranę i tym samym wygrywając pojedynek.

Młody kapitan formalnie pozdrowił przeciwnika, podobnie jak Tal, który oddał mu salut, a potem oddał się delikatnej opiece młodej damy, z którą przyszedł.

Kolejne pojedynki nie były tak wdzięczne. Kilku przeciwników należało do kategorii puszących się, głośnych bufonów, którzy posiadali jeden tylko dar: talent do miecza. W pierwszych porannych zmaganiach doszło do trzech poważnych zranień, jeden z szermierzy walczył o życie. Tal

obserwował wszystkich z uwagą, próbując odgadnąć, kto może stawić mu czoła w następnych pojedynkach.

Jego kolejny przeciwnik był potężnym, szerokim w ramionach szermierzem z królewskiego miasta Rodez. Miał na imię Raimundo Velasquez. Walczył cicho i efektywnie. Był szybki jak kot i bardzo dokładnie wypatrywał wszelkich luk w osłonie przeciwnika. Tal od razu doszedł do wniosku, że będzie musiał na niego uważać w popołudniowym pojedynku.

Tal udał się do przebieralni, gdzie wyłożono wspaniałe przekąski i napoje dla zmęczonych szermierzy. Młodzieniec jednakże zlekceważył jedzenie, które mogło go uczynić ociężałym i śpiącym. Zjadł trochę lekkich potraw, unikając wina i piwa. Napił się zimnej wody i powrócił na galerię, aby dalej oglądać zmagania szermierzy.

Starał się z nikim nie rozmawiać, z wyjątkiem Kaleba, który trzymał się blisko niego. Tal wiedział, że Magnus i Robert są w pobliżu, aby chronić go przed magicznym zagrożeniem, ale nie miał ochoty na pogawędki o niczym. Brał udział w turnieju i za wszelką cenę musiał go wygrać.

Kiedy skończył się ostatni z porannych pojedynków, Tal udał się do Remargi, wziąć kąpiel i masaż, żeby być świeżym i wypoczętym, kiedy zacznie się kolejna popołudniowa runda zmagania.



Kolejne dwa pojedynki były dla Tala wyzwaniem, chociaż bez większych trudności poradził sobie z oboma przeciwnikami – rodezyjskim szermierzem, a potem z kapitanem straży z pałacu królewskiego. Popołudniem drugiego dnia publika dusiła się w zatłoczonej do granic niemożliwości sali. Każdy szlachcic i bogaty kupiec, który zdołał dostać się do Akademii Mistrzów, tłoczył się, próbując zająć jak najlepsze miejsca,

żeby dobrze widzieć ośmiu rywali zmagających się w celu wyłonienia czterech finalistów turnieju.

Pierwszym przeciwnikiem Tala tego dnia był najemny żołnierz z Królestwa, pochodzący z Sokolej Kotliny mężczyzna o imieniu Bartlet. Wypytywał on Tala o stopień pokrewieństwa z bardziej znanymi Hawkinsami i młodzieniec opowiedział mu swoją zmyśloną historyjkę, jakby była najprawdziwsza na świecie. Bartlet zauważył, że nigdy nie słyszał o ziemiach należących do kawalera Hawkinsa, mimo tego że urodził się właśnie w tamtych rejonach.

Tal lekceważąco machnął dłonią, zauważając mimochodem, że włości jego ojca leżą w znacznej odległości od głównych ziem rodziny Hawkinsów i od tamtej pory unikał rozmów z Bartletem, usprawiedliwiając się tym, że musi przygotować się do nadchodzącego pojedynku.

Tal pokonał najemnika w rekordowym czasie, w przeciągu kilku sekund od chwili, kiedy sędzia ogłosił początek walki. Postąpił dwa kroki naprzód i zamiast zaatakować, udał pchnięcie, prowadząc ostrze kombinacją ruchów. Zmyliwszy przeciwnika, rzucił się naprzód i uderzył Bartleta w lewe ramię powyżej łokcia, raniąc go do krwi.

Galeria wybuchła oklaskami, a najemnik stał, zaskoczony i zdezorientowany, zarówno szybkością ataku, jaki swoim własnym brakiem przebiegłości, który pozwolił mu się podejść w tak zaskakujący sposób. Wyglądał na rozzłoszczonego, bardziej na siebie samego, gdyż zrobił z siebie głupca, niż na Tala. Zasalutował zwycięzcy.

– Mam nadzieję, że wygrasz ten turniej, kawalerze – odezwał się do Tala, kiedy opuszczali parkiet. – Postarasz się, prawda? To sprawi, że nie będę wyglądał jak bufon, tylko jak szermierz pokonany przez mistrza.

– Zrobię co w mojej mocy – obiecał Tal z uśmiechem.

Kiedy pozostałe trzy pojedynki już się skończyły, Tal odkrył, że jego przeciwnikiem ma być młody szermierz z Keshu, Kakama, który zaskoczył wszystkich swoimi umiejętnościami. Kapitan Campaneal miał się zmierzyć z hrabią Jango Vahardakiem, człowiekiem, który w poprzednim turnieju zajął drugie miejsce.

Tal spędził bezsenłą noc, bardziej obawiając się, że Vahardak pokona Campaneala niż o własną przegraną w walce z Kakamą. Obserwował młodego Keshiańczyka i wiedział, że jego zwycięstwa opierają się w dużej mierze na szybkości, może nawet większej niż jego, zuchwałości i gotowości do zaniedbania własnej obrony, kiedy nadarza się okazja do zadania pchnięcia przeciwnikowi. Tal już wymyślił sobie sposób na pokonanie młodego szermierza.

Obudził się wcześniej i szybko ubrał, a potem poderwał Paska i innych. W Akademii Mistrzów wykonał szybką serię rozciągających ćwiczeń. Kiedy skończył, zjadł lekki posiłek, złożony z owoców i soków, a potem przywołał powóz i udał się do łaźni.

Dwa pojedynki mające wyłonić dwójkę finałowych szermierzy miały odbyć się w południe. Pojedynkę finałową zaplanowano na wieczór w pałacu królewskim. Tal próbował skupić cały umysł na nadchodzącej walce, ale jedyne, o czym mógł myśleć, to była zemsta i ostateczne pokonanie porucznika Campaneala.

Na dwie godziny przed południem Tal powrócił do Akademii Mistrzów i schronił się w pomieszczeniu przygotowanym dla zawodników pragnących odpocząć. Nie był tam sam, gdyż młody szermierz z Keshu zdążył już zająć fotel w kącie pokoju. Kiedy rozgrywano pojedynki w pierwszym dniu turnieju, pokój dla zawodników tętnił życiem i wszędzie było słychać przytłumione rozmowy szermierzy i ich sług. Dzisiaj było tam cicho jak w

krypcie. Tal usiadł w przeciwległym rogu i uprzejmie skinął głową Kakamie.

– Wydaje mi się, że ten chłopak należy do ludu Isalani, podobnie jak Nakor – powiedział cicho Pasko, nachylając się do ucha Tala.

– I co z tego?

– Po prostu, jeżeli on chociaż odrobinę przypomina Nakora, licz się z tym, że nie widziałeś nawet w połowie jego możliwości. Pamiętaj o tym.

– Wydaje ci się, że on planuje aż z takim wyprzedzeniem?

– Zauważyłem, jak on przyglądał ci się wtedy, kiedy ty się na niego patrzyłeś, tuż przed tym, jak wygrał trzeci pojedynek. Wydaje mi się, że chciał, żebyś dojrzał ten jego cios i odsłonę.

– Dlaczego ja?

– Bo ty byłeś faworytem.

– Jednym z faworytów.

– Nie dla kogoś, kto się choć trochę zna na szermierce. Jesteś próżny, Talu, i pokazujesz w całości swoje umiejętności, kiedy zamierzasz wygrać pojedynek. Nie zatajasz żadnego ciosu. Ten chłopak doskonale zna wszystkie twoje ataki i odsłony. A ty nie masz pojęcia, do czego on jest zdolny. Uważaj.

Tal odchylił się na oparcie krzesła.

– Dziękuję ci – powiedział. – Być może po raz kolejny przyczyniasz się do uratowania mi życia.

– Cóż, tym razem może raczej oszczędzam ci zakłopotania, a nie ratuję od śmierci.

– Nie, nie wydaje mi się.

– Co?

– Spójrz na niego.

Pasko odwrócił się i popatrzył na młodego Keshiańczyka, który siedział cicho, przypatrując się Talowi spod opuszczonych powiek.

– Nazwij to intuicją albo moim wyczuciem kłopotów, ale o ile się nie mylę, on zamierza mnie dzisiaj zabić – wymamrotał Tal.



Walki półfinałowe przeprowadzono z większą pompą i oficjalnym ceremoniałem niż poprzednie pojedynki. Obecni byli liczni członkowie rodziny królewskiej i śmietanka arystokracji.

Kiedy zaprezentowano walczących w pierwszym pojedynku, Tal poczuł, jak jego żołądek zwija się w kulę. Campanéal i Vahardak mieli walczyć pierwsi, a Tal i Keshiańczyk w drugiej turze. Młodzieniec zdał sobie sprawę, że mistrzowie akademii zostawiają sobie jego walkę na deser, gdyż uważano go za faworyta. Nawet mimo tego, Tal wolałby mieć już ten pojedynek za sobą.

Ani on, ani Keshiańczyk nie oglądali pierwszego pojedynku, każdy zadowolony z miejsca zajmowanego w przeciwległych rogach pokoju dla zawodników. Vahardak i Campanéal, podobnie jak Tal i Kakama, zajęli przeciwległe naroża pomieszczenia, otoczeni wianuszkami pomocników. Hrabiemu towarzyszyło co najmniej pięciu służących, podczas gdy z porucznikiem Campanéalem siedział tylko adiutant i sierżant ze straży przybocznej Olasko. Tal miał tylko Paska za towarzysza, a Keshiańczyk był sam.

Na podstawie hałasów dobiegających z oddali Tal wywnioskował, że mistrz, zapowiadający finałowe walki mające odbyć się w Akademii, wzbija się na szczyty elokwencji i z wielką werwą oddaje się bogatej prezentacji kandydatów. Gromkie oklaski wskazywały na to, że tłum jest zachwycony jego przemową.

– Pytałem się tu i tam – odezwał się Pasko. – Ten chłopak właściwie pochodzi znikąd. Żaden Keshiańczyk, z jakim do tej pory rozmawiałem, go nie zna ani o nim nie słyszał. Dziwne, że taki młodzik z takimi umiejętnościami nie jest popularny w Keshu.

– Tak, to dziwne, nieprawdaż?

– Nie wiem, czy on zamierza cię zabić, milordzie, czy nie, ale z pewnością jest w nim coś dziwnego. Od godziny już się nie poruszył.

– Może śpi?

– W takim razie musi mieć nerwy ze stali – podsumował Pasko.

Krzyk z korytarza poinformował Tala, że pojedynek już się skończył, więc młodzieniec uważnie obserwował drzwi, żeby zobaczyć, kto wejdzie pierwszy i w jakim stanie ducha. Minutę później drzwi otworzyły się z impetem i do pomieszczenia wszedł hrabia Vahardak, ściskając się za lewe ramię. Przez palce przeciekała mu krew. Jeden z jego przybocznych próbował mu pomóc i pocieszyć.

– ...było blisko, mój panie. Wszystko mogło się zdarzyć, jestem pewien. Po prostu... miał szczęście, nic więcej.

Hrabia najwyraźniej nie potrzebował pocieszenia.

– Zamknij się – warknął. – I opatrz mi to cholerne ramię.

Do pokoju wszedł porucznik Campanaal. Na jego twarzy malował się lekki uśmiezek satysfakcji. Mężczyzna najpierw spojrział na Tala, a potem na Keshiańczyka, jakby mówił sobie cicho pod nosem: dzisiaj wieczorem zmierzę się z jednym z was, ale nic nie powiedział. Skinął tylko lekko głową, a potem podszedł do hrabiego Vahardaka, żeby mu coś powiedzieć.

Do pomieszczenia wszedł mistrz akademii.

– Talwin Hawkins i Kakama z Keshu – oznajmił. – Proszę za mną.

Keshiańczyk niósł swój miecz, owinięty w czarny woal raczej, niż zabezpieczony w pochwie. Ukłąkł i rozwinął materiał. Oczy Tala

rozszerzyły się lekko na widok broni chłopaka.

– To nie jest długi miecz. Czego on będzie używał?

Pasko zaklął brzydtko.

– To katana. Używa się jej jedną albo dwiema rękami i jest ostrzejsza od brzytwy. Nie widuje się ich zbyt wiele, gdyż takie miecze złej jakości nie są w stanie przebić zbroi, a dobre egzemplarze są strasznie drogie. Tylko najbogatsza szlachta może sobie na nie pozwolić. Ale są zabójcze w walce. On zamierza pokazać ci taki styl walki, jakiego jeszcze nigdy nie widziałeś.

– Pasko, powiedź mi. Co mam robić?

– Pomyśl o tym, co widziałeś u Nakora, kiedy walczyliście na gołe pięści – powiedział Pasko, kiedy się podnosili na wezwanie mistrza akademii. – Nagłe zwody i szybkie uderzenia. Prawdopodobnie nawet nie da ci się zorientować w czym rzecz, tylko od razu uderzy pełną parą. Jeżeli zamierzałeś zachować swoje szczęście na inne okazje, radzę ci, wykorzystaj je teraz.

Tal wziął głęboki, powolny wdech. Wypuszczał powietrze partiami, kiedy szli w kierunku drzwi prowadzących do głównej sali.

Weszli, powitani głośnymi oklaskami i krzykami, i każdy z przeciwników został skierowany do przeciwległych końców sali. W rogach parkietu, na którym miała się odbywać walka, postawiono znaczniki. Parkiet był znacznie większy niż w czasie poprzednich pojedynków, więc Tal wiedział, że będzie miał dużo wolnego miejsca.

Kiedy gwar sali ucichł, na środek wystąpił mistrz akademii.

– Panowie, panie, kawalerowie. To jest ostatni półfinałowy pojedynek tegorocznego Turnieju Mistrzów Akademii. Zwycięzca tej walki będzie się pojedynkował tej nocy w pałacu, aby zdobyć złoty miecz i mistrzostwo turnieju, i będzie zaliczony do największych szermierzy, jacy żyli, żyją i

będą żyli na tym świecie. Po mojej lewej stronie widzicie Kakamę z miasteczka Li–Pe w Imperium Wielkiego Keshu.

Aplauz niemalże ogłuszał, gdyż Kakama zyskał popularność, pokonując większość zawodników jako nikomu nie znany szermierz, i wielu, którzy nie mieli innego powodu, żeby go pozdrawiać, czyniło to właśnie z tej przyczyny.

– Po prawej stronie stoi Talwin Hawkins, dziedzic posiadłości nad rzeką Morgan i Bellcastle, baronet Srebrnego Jeziora w Królestwie Wysp.

Gestem nakazał obu zawodnikom wejść na środek parkietu i ustawić się wedle znaków ułożonych na podłodze, które wyznaczały pozycje, z których mieli zaczynać walkę.

– Panie Kakama, to jest walka do pierwszej krwi – powiedział. – Przestrzegaj rozkazów sędziów i zawsze staraj się chronić przed ciosem przeciwnika. Na moją komendę... zaczynajcie!

Tal zobaczył, jak Kakama postąpił krok do tyłu, wznosząc miecz w prawej dłoni, lewą wyciągając w bok, nadgarstkiem na zewnątrz. A potem mężczyzna nagle skoczył do przodu. Krok przypominał kopniaka w powietrzu, jaki kilkakrotnie pokazywał Talowi Nakor. Lewa dłoń Kakamy dołączyła do prawej, a miecz z sykiem zatoczył łuk z niewyobrażalną prędkością, mierząc w głowę Tala.

Tal zanurkował i przetoczył się po podłodze. Takiego ruchu nie widziano jeszcze w tegorocznym turnieju, ale niektórzy znali go z bójek w karczmach dla plebsu. Kilku mężczyzn na widowni zawyło i zaśmiało się, ale większość odniosła się przychylnie, gdyż każdy zdołał zauważyć, że cios Keshiańczyka najwyraźniej miał na celu zdjęcie głowy Tala z jego ramion.

– Kakama! – zawołał mistrz akademii. – Pamiętaj, tylko do pierwszej krwi!

Keshiańczyk zignorował napomnienie i trzema krótkimi kroczkami natarł ponownie na Tala. Tal tym razem nie cofnął się, ale sam skoczył naprzód, prowadząc ostrze tak szybko, jak tylko potrafił, wyprowadzając cios.

Stal uderzyła o stal, a tłum westchnął, ponieważ nawet najbardziej wolno myślący z widowni zorientowali się już, że ta walka nie jest na pokaz, ale patrzą na dwóch mężczyzn chcących pozbawić się nawzajem życia.

– Stop! – usłyszeli komendę od starszego sędziego, ale żaden z mężczyzn nie usłuchał. Kakama obrócił się znowu i wyprowadził cios, który z pewnością przebiłby brzuch Tala, gdyby ten usłuchał komendy sędziego.

– Pasko, sztylet! – zawołał Tal.

Pasko wyjął sztylet zza pasa i kiedy Kakama zaatakował znów, a Tal odskoczył, sługa rzucił broń swemu panu. Tal złapał sztylet lewą ręką i półobrotem uniknął kolejnego ciosu Kakamy.

Sposób walki prezentowany przez Kakamę był zupełnie Talowi obcy, ale młodzieniec miał nadzieję, że użycie sztyletu do pojedynków lewą ręką pozwoli zyskać mu przewagę. Będzie mógł blokować ostrze przeciwnika albo użyć sztyletu w bezpośrednim zwarciu, aby przełamać obronę Kakamy.

Mistrzowie wołali do mężczyzn na widowni, aby zeszli na dół i pomogli przerwać ten pojedynek, który teraz z pewnością wybiegał już poważnie poza reguły konkursu. Nikt jednak nie zszedł. Pomysł rozdzielania dwóch najbardziej zabójczych szermierzy na wyspie do nikogo jakoś nie przemawiał.

Talowi wydawało się, że słyszał, jak ktoś prosi o przyniesienie kuszy, ale nie mógł zbyt uważnie słuchać głosów z widowni, aby nie stracić

koncentracji. Kakama atakował go uparcie, ponawiał ciosy, i za którymś razem Tal zorientował się, że brakuje mu miejsca na robienie uników.

Ledwo uratował życie, parując cios Kakamy sztyletem. Keshiańczyk uderzył mieczem znad głowy i nagle jego cios zamienił się w poziome cięcie na szyję; Kakama zaledwie niezauważalnie skręcił nadgarstek. Ręka Tala podniosła się niemalże bez zaangażowania jego woli i młodzieniec zablokował ostrze tuż przed dotarciem do celu. To dało mu możliwość zaatakowania, więc pchnął mieczem, uderzając Keshiańczyka w ramię.

– Pierwsza krew! – zawołał mistrz akademii, ale Kakama zignorował sędziego i dalej nacierał na Tala, z wyraźnym zamiarem zabicia młodzieńca.

Tal cofał się, jakby chciał zwiększyć dystans od przeciwnika. Nagle zatrzymał się, lekko rozstawiając stopy i rzucił sztyletem, mierząc w brzuch Kakamy.

Keshiańczyk odwrócił ostrze, używając obu rąk, tak że mierzyło w ziemię, i odtrącił nadlatującą broń, ale kiedy to robił, Tal skoczył na niego i z wysoka zamierzył się mieczem. Kakama próbował podnieść własny miecz, żeby zablokować kolejny cios, ale Tal był szybszy i jego ostrze zagłębiło się w szyi przeciwnika.

Tal nie rzucił się w tył, ryzykując cios od umierającego Keshiańczyka. Zamiast tego uderzył w padające ciało, tak mocno, jak tylko mógł. Keshiańczyk upadł na plecy, upuszczając miecz, który wyslizgiwał mu się ze słabnących palców. Z rozciętej arterii bryzgała rzeka krwi.

Tal ukląkł obok umierającego i spojrzał mu w oczy.

– Kto cię przysłał? – zapytał, ale Keshiańczyk nie odezwał się.

Podszedł Pasko i stanął obok Tala. W sali panowała martwa cisza. Nikt nie zamierzał oklaskiwać zwycięzcy, gdyż było jasne, że pojedynek nie miał nic wspólnego z czystą grą.

Sędzia przeszedł przez parkiet w kierunku Tala.

– Kawalerze Talwinie, dla wszystkich było jasne, że bronisz swojego życia, dlatego nie zostaniesz zdyskwalifikowany za nieusłuchanie komendy wydanej przez sędziego.

Tal spojrzął do góry, z miejsca, gdzie klęczał, a potem powoli się podniósł.

– Nie możemy zepsuć królewskiej zabawy dziś wieczorem – powiedział z gorzkim uśmiechem.

Sędzia spojrzął na Tala, ale nie odpowiedział.

– Kawalerze Talwinie, jesteś oczekiwany w pałacu o zapadnięciu zmroku – oznajmił w końcu.

Ludzie nie schodzili z galerii, jakby chcieli się przed wyjściem dowiedzieć, o co naprawdę chodziło dwóm szermierzom. W końcu pojawili się odźwierni i zabrali leżące na podłodze ciało, podczas gdy słudzy ścierali plamy krwi.

– Naprawdę potrzebuję kąpieli – zwrócił się Tal do Paska.

– A my potrzebujemy odpowiedzi na parę pytań – odparł Pasko.

Tal skinął głową. Pasko zarzucił mu płaszcz na ramiona i wziął miecz Tala.

– Wiem, kogo zamierzam zabić, ale muszę się raczej martwić o to, kto mnie zamierza zabić.

– I dlaczego – dodał Pasko ponuro.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

ATAK

Tal czekał.

Mistrz akademii, mistrz ceremonii z pałacu i kapitan Królewskiej Straży Pałacowej zebrali się wokół Tala i porucznika Campaneala. Dalej stało pół tuzina gwardzistów i oficerów dworu królewskiego.

Mistrz Dubkov z Akademii Mistrzów dreptał wokoło, wyraźnie podrażniony i zdenerwowany.

– Nigdy jeszcze nie było u nas podobnego wypadku, przez całe dwieście lat trwania turnieju. Owszem, zdarzały się nieszczęścia, i mieliśmy dwa zejścia śmiertelne, ale nigdy jeden z uczestników nie próbował z zimną krwią zabić drugiego. I do tego ze świadomością, że nie ma sposobu, żeby uniknąć kary i wymknąć się po zabiciu przeciwnika z Akademii.

Tal przyznawał, że Keshiańczyk najwyraźniej nie dbał o to, co wydarzy się po tym, jak już wykona powierzone zadanie i zabije przeciwnika.

– Najbardziej jednak martwi nas to – powiedział kapitan straży, wymizerowany człowieczek o imieniu Talinko – że nie wiemy, jakie powinniśmy wyciągnąć konsekwencje i co mogłoby się wydarzyć, gdyby wynik pojedynku był inny. I co by się stało, gdyby walka miała miejsce w pałacu.

– Panowie – odezwał się kapitan Campaneal. – Obserwowałem przebieg turnieju jak większość z was. Kawaler Talwin po prostu bronił się i dodam, że czynił to w imponujący sposób, przed atakami człowieka, który

najwyraźniej zamierzał go zabić. Gdybym był na jego miejscu, zrobiłbym to samo.

– My tylko chcemy być pewni, że poranna sytuacja więcej się nie powtórzy, a już na pewno nie przed obliczem króla na wieczornym pojedynku – oznajmił kapitan Talinko z mocą.

Porucznik Campanaal rozłożył ręce.

– Panowie, służę memu panu, Kasparowi, i jestem pewien, że jego zapewnienie o moim poprawnym zachowaniu powinno wystarczyć. Kawaler Talwin mieszka już w Roldem od pewnego czasu, jak mi mówiono, i jest regularnym gościem Akademii Mistrzów. Biorąc pod uwagę jego pozycję i rangę społeczną, czy ktoś ma co do jego osoby jakieś wątpliwości? – Popatrzył na mistrza Dubkova, który skinął potakująco głową. – Myślę, że możemy być pewni wieczornego pojedynku. Nic nieprzewidzianego nie powinno się wydarzyć.

Kapitan Talinko kiwnął głową.

– Mamy taką nadzieję, ale bezpieczeństwo królewskiej rodziny jest najważniejsze, podobnie jak bezpieczeństwo naszych czcigodnych gości. – Skinienie głowy w kierunku porucznika Campanaala pokazało wszystkim, kogo tak naprawdę ma na myśli Talinko, mówiąc te słowa. Wyraźnie mówił o księciu i innych dygnitarzach. – Dlatego podejmiemy pewne środki. Na galerii, ponad lożą królewską, będą ukryci łucznicy. Dam im rozkaz, żeby strzelali w jednej z trzech sytuacji: albo na mój rozkaz, albo jeżeli sędzia każe przerwać walkę, a szermierze go nie usłuchają, albo jeżeli któryś z walczących przekroczy linię, którą wyznaczymy pomiędzy polem walki a królewskim tronem.

I pamiętajcie, panowie, to jest ostatnie ostrzeżenie. Jeżeli z jakiegokolwiek powodu któryś z was przekroczy tę linię, zanim skończy się walka, a zwycięzca zostanie zaprezentowany królowi, umrze od strzały,

zanim zdąży zrobić chociaż dwa kroki w kierunku królewskiej osoby. Czy to jasne?

Obaj mężczyźni skinęli potakująco głowami.

– Więc dobrze – powiedział kapitan. – Przygotujemy te haniebne zabezpieczenia w przeciągu popołudnia. To już wszystko. – Kiedy wszyscy zaczęli zbierać się do wyjścia, kapitan skinął na Tala. – Kawalerze Talwinie, proszę chwilę zaczekać.

Tal poczekał chwilę, aż zostali w pokoju sami z kapitanem Talinko.

– Czy masz jakikolwiek pomysł, dlaczego ten Keshiańczyk chciał cię zabić? – zapytał kapitan.

Tal powoli wypuścił powietrze z płuc i przecząco potrząsnął głową.

– Tak szczerze mówiąc, to nie. Mogę sobie wyobrazić wiele powodów, ale żaden z nich nie ma sensu.

– A więc rozbaw mnie kilkoma z nich – powiedział głos z cienia.

Tal uśmiechnął się, ale w jego uśmiechu nie było radości. – Ach, konstablu. Zastanawiałem się właśnie, kiedy cię znów zobaczę.

– To już drugi raz, kiedy stoisz obok okrwawionych zwłok, kawalerze, i tym razem nie wmówisz mi, że to nie ty byłeś celem napaści. Zechciej zauważyć, że tym razem mamy paru świadków zamachu.

– Wliczając w to mnie i kilku członków królewskiej rodziny – dodał kapitan Talinko.

– Talwinie – powiedział poważnie Drogan. – Podaj mi powód, jeżeli możesz.

– Miałem kilka nieprzyjemności z pewnymi młodymi kobietami, które źle przyjęły wiadomość, że nie jestem zainteresowany poważniejszym związkiem tak bardzo jak one.

– Myślą sobie, że się z nimi ożenisz, a kiedy okazuje się, że tak nie będzie, reagują w sposób gwałtowny – dopowiedział Drogan. – Mów dalej.

– Dobrze sobie radzę przy grze w karty. Na pieniądze.

– Już się temu przyjrzałem, i z tego, co słyszałem od wielu właścicieli lokali, gdzie zwykłeś grywać, twoje wygrane są stałe i pewne, ale na tyle skromne, że nikt nie zamierza się na tobie mścić za ruinę finansową albo za niezapłacone długi.

– Nigdy nie przegrałem żadnego pojedynku w Akademii Mistrzów.

– To kiepski powód, żeby od razu płacić gildii śmierci.

– Gildia śmierci?

Drogan popatrzył na Tala, jakby był on wyjątkowo mało pojętym uczniem na jego wykładzie. Tal widywał już taki wyraz twarzy u Roberta, Nakora i Magnusa przez kilka ostatnich lat.

– Ten człowiek został przygotowany do śmierci, oczekiwał jej. Mógł dodać truciznę do twojego kubka, wbić ci nóż w plecy ciemną nocą, podciąć ci gardło we śnie, albo zabić cię w tuzin innych sposobów, ale zamiast tego postanowił cię zamordować podczas pojedynku w turnieju otwartym dla publiczności. Podczas walki szermierczej, twojej wizytówki, umiejętności, z powodu której jesteś sławny. Innymi słowy, on świadomie dał ci szansę uratowania życia, podczas gdy sam był pewien, że czeka go śmierć.

Był albo szalony, albo należał do gildii zabójców. To był keshiański izmalita i umarł dlatego, że taki dostał rozkaz.

– To nie ma sensu – powiedział Tal.

– Zgadza się, a co więcej, to jest bardzo kosztowne. Pytałem się trochę tu i tam i dowiedziałem się, że taki samobójczy kontrakt kosztuje coś koło dziesięciu tysięcy złotych delfinów. – Delfin był odrobinę cięższą monetą niż keshiański imperiał albo królewski suveren, więc kapitan mówił o niebagatelnej sumie około jedenastu tysięcy złotych monet waluty

międzynarodowej. – Cały ten powód wydaje się coraz mniej sensowny, im dłużej o tym myślę.

– Ktoś zapłacił równowartość dziesięcioletnich zarobków, żeby dać mi szansę przeżycia?

– Nienawidzę, kiedy mam do czynienia ze skomplikowanymi sprawami – powiedział konstabl. Kapitan Talinko zmarszczył brwi.

– Rozumiem to, że macie zbrodnię, z której musicie wytłumaczyć się przed królem, nawet jeżeli jej wyjaśnienie narazi was na śmieszność, ale ja mam swoje obowiązki, które muszę wykonać. Panowie – dodał, lekko skłaniając głowę, i wyszedł.

– Talu – powiedział konstabl Drogan – widziałem cię, jak grasz w karty i wiem, że potrafisz dobrze blefować, ale jestem konstablem przez większą i lepszą część mojego życia i wiem, kiedy ktoś kłamie. Czy ty naprawdę nie masz pomysłu, kto się kryje za tymi zamachami?

– Na bogów, Dennis, nie wiem. Mam dopiero dwadzieścia lat i zaledwie trochę podróżowałem, więc trudno mi sobie wyr obrazić, że zrobiłem sobie gdzieś takiego wroga, który nienawidzi mnie tak bardzo, żeby wydawać kupę pieniędzy na tak wyrafinowane metody zabijania.

– Nie wydaje mi się, że ten zamach był tym, czym naprawdę miał być – powiedział Drogan. – Po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że to mógł być swego rodzaju test.

– Test?

– Ktoś chciał sprawdzić, jak dobry naprawdę jesteś, i wysłał kogoś lepszego niż ci, z którymi miałeś okazję spotkać się na turnieju.

– Lepszego? – zapytał Tal. – Przecież zwycięzca tego turnieju jest uważany za największego szermierza na świecie.

– Nie pozwól, żeby próżność odebrała ci rozum, kiedy wygrasz turniej, Talu. – Drogan położył rękę na ramieniu młodzieńca i zaczął popychać go

lekką w kierunku drzwi. – Teraz musisz się przygotować na dzisiejszy wieczór. Porozmawiamy po drodze.

Posłuchaj, możesz być lepszy od gromady tych, którzy zdecydowali się wejść do tego budynku i zacząć walczyć z innymi, ale izmalici są po prostu grupą ludzi, która spędza całe życie na uczeniu się, jak najlepiej zabijać innych ludzi. – Odsunęli się na bok, żeby przepuścić grupę służących, którzy nieśli długi stół z powrotem do pokoju odpraw kapitana. – Jest może pół tuzina żołnierzy, rozproszonych po świecie stąd aż do Wysp Zachodzącego Słońca, którzy są lepsi niż ktokolwiek na tej wyspie. Ale ich nie stać na opuszczenie swoich panów i lordów, żeby wziąć udział w turnieju. Są prawdopodobnie ludzie o równych tobie umiejętnościach, którzy nie mogą i nie chcą marnować czasu na wzięcie udziału w turnieju, nieważne jaka jest w nim nagroda. Jestem pewien, że na świecie są doskonali szermierze, którzy nawet nie słyszeli o Roldem, a co dopiero o Akademii Mistrzów albo o turnieju.

Jeżeli wygrasz, nie bierz poważnie tytułu największego szermierza na świecie. To może cię zabić.

Dotarli do dalszego końca hallu.

– Idź tędy – powiedział Drogon, pokazując na drzwi naprzeciwko. – Tam znajdziesz salonik, gdzie będziesz mógł odpocząć, wziąć masaż, zjeść, przespać się, i co tam chcesz, zanim cię nie zawołają. – Wyciągnął dłoń i potrząsnął ręką Tala. – Powodzenia dziś wieczorem.

– Dennis?! – zawołał Tal, kiedy konstabl się odwrócił, chcąc odejść.

– Tak? – konstabl zatrzymał się.

– Czy ja jestem o coś podejrzany?

Dennis uśmiechnął się.

– O ile nie płacisz książęcego okupu jakimś mordercom, żeby próbowali cię zabić w celu zaimponowania paniom, nie widzą możliwości, w jaki

sposób mógłbyś być zamieszany w ten krwawy nonsens. – Potem uśmiech zniknął z jego twarzy. – A tak na poważnie, ja jestem zawsze podejrzliwy, mój przyjacielu. Podejrzewam wszystkich o wszystko.

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając Tala samego w hallu. Tal pomyślał chwilę nad słowami konstabla i doszedł do wniosku, że przez następne dwie godziny, albo nawet dłużej, musi wyrzucić ten nonsens ze swojej głowy. Bo i tak cała ta sytuacja nie miała sensu, nawet jeżeli Tal nie widział w niej nic dziwnego.



Tal czekał na wezwanie do finałowego pojedynku. Przydzielono mu wspaniałą pokój, ze stołem uginającym się od przekąsek, poczynając od lekkiego bulionu, na wspaniałej szynce kończąc. Były tam także świeże owoce, ciasta i inne słodczy. W dzbankach stała woda, wino i piwo, a dwaj służący czekali w pobliżu, żeby spełnić wszelkie życzenia zawodnika. W pokoju stało nawet łóżko, gdyby Tal zapragnął się zdrzemnąć.

Tal usiadł na łóżku, podczas gdy Pasko myszkował wśród zakąsek, skubiąc kęs to tu, to tam. W drzwiach prowadzących do pokoi dla służby pojawił się nagle Magnus i popatrzył na służących.

– Niech zostawią nas na chwilę samych, proszę – powiedział do Paska. – Tylko na parę minut.

Dwaj służący popatrzyli na Tala, który kiwnął głową, a potem szybko się oddalili.

– Jak ci się udało wejść do pałacu? – zapytał Tal Magnusa, kiedy zostali sami.

Magnus uśmiechnął się, z lekkim wyrazem satysfakcji na twarzy.

– Jeżeli mam ochotę gdzieś wejść, potrzeba czegoś znacznie lepszego niż garstka strażników przy drzwiach, żeby mnie powstrzymać.

Tal wzruszył ramionami, dając za wygraną.

– Więc, przypuszczam, że odpowiednim pytaniem w tej sytuacji byłoby, co cię tu sprowadza tak nieoczekiwanie?

– Właśnie rozmawiałem z naszymi współpracownikami w Keshu. Morderca był członkiem wyjątkowo mało znanej sekty izmalitów, ale próbujemy się o niej dowiedzieć czegoś więcej.

Tal nie zapytał Magnusa, w jaki sposób mag porozumiał się ze współpracownikami z Keshu, tysiące kilometrów stąd, zakładając, że po prostu użył on swoich mocy, żeby się tam przenieść i wrócić w jednej chwili.

– Teraz najważniejszą rzeczą do ustalenia jest to, czy zamachowcy spróbują uderzyć po raz kolejny, czy może ta walka była jakimś testem, który zdałem.

– Nie dowiemy się, dopóki nie zaatakują znowu – odparł Magnus.

– Wydaje mi się, że to był rodzaj testu – odezwał się Pasko. – Gdyby chcieli twojej śmierci, milordzie, wykorzystaliby jeden z wielu prostszych sposobów, jak powiedziałem już wcześniej. Myślę, że ktoś z naszego otoczenia chce cię wypróbować.

Tal rozsiadł się na łóżku, opierając plecy o ścianę. Wziął poduszkę i podłożył sobie pod plecy, żeby mu było wygodniej.

– A więc pojawia się pytanie, kto chce mnie wypróbować i po co?

– Przychodzą mi do głowy dwie możliwości – powiedział Magnus. – Ten, kto wysłał tancerzy śmierci, żeby mnie zabili, chce się przekonać, kto był w stanie tak długo im się opierać.

– Ale skąd mieliby wiedzieć, że to byłem ja? – zapytał Tal. – To znaczy, przecież wszyscy byliśmy na wyspie. Zabraliście mnie do posiadłości Puga od razu po ataku. Przecież ktokolwiek z będących akurat na wyspie mógł walczyć z tancerzami śmierci i dobrze sobie poradzić.

– Najszybszy i najłatwiejszy sposób, żeby umrzeć, to niedocenianie możliwości przeciwnika, milordzie. On jest przebiegły i sprytny poza wszelkim wyobrażeniem i jestem pewien, że ma wielu popleczników śledzących nasze poczynania, o ile nie coś więcej.

– Czy ty chcesz powiedzieć, że na Wyspie Czarnoksiężnika są szpiedzy?

– Nie, tam nie, ale w innych miejscach, z których można wybadać, co dzieje się na wyspie, tak – odparł Magnus. – Im dalej jesteśmy od moich rodziców, tym bardziej narażamy się na inwigilację. Na tym właśnie bazują ci, którzy służą złu i dostarczają informacje naszym wrogom.

Ty, Talu, już od trzech lat, a nawet więcej, nie jesteś pod bezpośrednią opieką moich rodziców. Przez ten czas ktoś mógł odkryć wystarczająco wiele tropów i śladów, aby wyciągnąć z nich odpowiednie wnioski. Na przykład to, że to ty byłeś przeciwnikiem, który udaremnił zamach na moje życie.

– Zemsta nie jest raczej powodem zamachu, o ile dobrze zrozumiałem naturę konfliktu, którego zarys przekazał mi Magnus.

– Prawda – zgodził się Magnus. – Ale usunięcie groźnego przeciwnika ma sens. Talu, oni przez cały czas próbują nas osłabić, zniszczyć każdą szansą, dzięki której moglibyśmy zyskać przewagę. My czynimy podobnie, więc jeżeli oni zdołaliby zidentyfikować jednego z naszych agentów, zrobią wszystko, żeby go zlikwidować.

– To jednak ciągle nie tłumaczy, dlaczego próbowali mnie zabić w momencie, kiedy byłem dobrze chroniony, na oczach setek świadków... – Tal machnął ręką, zniechęcony. – To po prostu nie ma sensu.

– To ma sens, jeżeli ktoś chciałby w ten sposób przesłać wiadomość mojemu ojcu.

– Jaką wiadomość? – zapytał Tal.

– Że żaden z jego agentów nie jest bezpieczny, w żadnym miejscu i w żadnej chwili.

Tal zastanowił się chwilę.

– Powiedziałeś, że są dwie możliwości – powiedział w końcu. – Jaka jest ta druga?

– Ktoś chce cię sprawdzić, żeby cię zatrudnić.

– Ale kto?

– Dowiemy się, kiedy ten ktoś zaoferuje ci jakąś pracę albo stanowisko, nieprawdaż?

– Myślisz, że ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby po prostu sprawdzić, czy warto mnie zatrudniać?

– Niektórzy ludzie, których na pewno spotkasz w swoim życiu, milordzie – powiedział Pasko, dogryzając ostatki ostrego sera pokrojonego na plasterki, wziętego z półmiska – są zdolni do wszystkiego. – Sługa usiadł na krześle za stołem i wziął plasterki cebuli, dekorując go obficie musztardą i nie przerywając mówienia. – Jesteś niebezpiecznym człowiekiem, co do tego nie ma wątpliwości. Ktoś może chcieć zatrudnić wielkiego szermierza, ale tylko wtedy, gdy ten jest zarówno mistrzem pojedynków, jak i śmiercionośnym narzędziem. Ten wypadek dzisiejszego popołudnia pokazał wszystkim, że jesteś jednym i drugim.

– Prawda – zgodził się Magnus. – Konklawe i nasi wrogowie nie są jedynymi ludźmi na świecie, którzy mają wystarczająco dużo pieniędzy, kontaktów i chęci, żeby zatrudniać prawdziwie utalentowanych agentów. – Magnus obejrzał się za siebie, gdzie Pasko zjadał właśnie cebulę, obficie udekorowaną musztardą. – Jak ty możesz to jeść? – zapytał.

– Wspaniale smakuje, szczególnie po serze – odparł Pasko z pełnymi ustami. – Spłucz to jeszcze kilkoma łykami dobrego białego wina... –

Wykonał gest, zamykając kółko z kciuka i palca wskazującego. – Po prostu doskonale – dodał.

– Lubię dobre jedzenie, podobnie jak osobnik stojący obok mnie, ale tym razem, Pasko, z przykrością muszę się zgodzić z Magnusem.

– Tylko spróbuj, milordzie. – Pasko złapał talerz, położył na nim plasterk cebuli i sera obok siebie, a potem posmarował cebulę grubą warstwą musztardy. Wziął kielich z winem i podszedł do Tala. – Najpierw kęs sera, potem cebula, a na koniec wino.

Tal ugryzł ser, który miał ostry smak i był bardzo twardy. Potem zjadł cebulę, przy czym okazało się, że musztarda nie należała do najłagodniejszych. W oczach stanęły mu łzy, więc złapał za kielich i wypił wino duszkiem.

– Nienajgorsze – powiedział w końcu, kiedy już mógł wykrztusić z siebie choć słowo. – Ale myślę, że najpierw trzeba się do tego przyzwyczaić.

Magnus wybuchnął krótkim, szczekliwym śmiechem.

– Muszę lecieć. Porozmawiam z ojcem i wrócę z powrotem, żeby oglądać turniej.

– Zacznie się za niecałą godzinę – przypomniał mu Pasko.

– Zdamę wrócić. – Magnus złapał swoją laskę i nagle zniknął. Powietrze lekko zadygotało i usłyszeli cichy dźwięk, jakby coś pękło, a potem zapanowała cisza.

– Bardzo dramatyczne – zauważył Tal.

– To bardzo niebezpieczny młody człowiek – powiedział Pasko. – Nikt o tym nie mówi, ale on już teraz jest prawdopodobnie lepszy od swojego ojca. A już pewnością prześcignie go w przyszłości.

– Przy jakiejś okazji ktoś będzie musiał opowiedzieć mi parę szczegółów o życiu tej rodziny – oznajmił Tal. Pasko chciał coś powiedzieć, ale

młodzieniec podniósł rękę, udaremniając komentarz. – Ale nie dzisiaj. Teraz muszę odpocząć przez co najmniej pół godziny i się skoncentrować. Miałem dzisiaj już dosyć atrakcji. Wypełniłyby całe życie, a mi się przytrafiły w jeden dzień. Za mniej niż godzinę muszę stawić czoła doskonałemu szermierzowi i zdobyć mistrzostwo turnieju.

Położył się wygodnie na łóżku.

– I muszę jeszcze coś wykombinować – dodał, przykładając głowę do poduszki – żeby zabić tego drania na oczach widzów, nie narażając się na strzałę albo bełt z kuszy w plecy.

Pasko zatrzymał dłoń z kolejnym plasterkiem sera, którą właśnie podnosił do ust i popatrzył na Tala, właśnie zamykającego oczy. Potem powoli włożył jedzenie do ust i zaczął je gryźć. Kiwając głową, pomyślał sobie, że musztarda w rzeczy samej jest nieco za ostra.



Tal stał przed królem, wpatrując się w jakiś punkt za plecami monarchy. Mistrz ceremonii brzęczał zapamiętałe, najwyraźniej pragnąc wykorzystać sytuację, aby zanudzić zebraną szlachtę i wpływowych bogaczy pełną wersją opowieści, jak doszło do pierwszego turnieju i jak powstała Akademia Mistrzów.

Tal z trudem się powstrzymywał, aby nie rzucić spojrzenia w bok na Campaneala. Spodziewał się, że oficer straży księcia Olasko wpatruje się bez ruchu przed siebie, podobnie jak Tal.

Wreszcie lekcja historii dobiegła końca.

– Wasza królewska mość – powiedział mistrz ceremonii – przed tobą stoją dwaj najznamienitsi wojownicy na świecie. Każdy z nich pragnie udowodnić swą wartość w twojej obecności. Pozwolę sobie zaprezentować

porucznika Jerzego Campaneala, obecnie w służbie twego kuzyna, księcia Olasko.

Porucznik skłonił się przed królem.

– Pozwolę sobie przedstawić – kontynuował urzędnik – Talwina Hawkinsa, dziedzica ziem nad rzeką Morgan i Bellcastle, baroneta Srebrnego Jeziora, obecnie w służbie łaskawego księcia Yabonu.

Tal ukłonił się królowi.

– Panowie – powiedział mistrz ceremonii – spisaliście się doskonale, osiągając wspaniałe sukcesy w jednym z najbardziej wymagających turniejów broni białej, a teraz jeden z was zyska miano największego szermierza na świecie. Zostaliście poinformowani o zasadach i jeżeli któryś z was postanowi zrezygnować teraz z pojedynku, nie będzie w tym żadnej winy ani hańby. – Spojrzał na obu mężczyzn, aby zobaczyć, czy któryś chce zrezygnować. Żaden jednak nie wykazał takiego zamiaru.

– Dobrze więc. Niech pojedynek się rozpocznie.

Główny mistrz z Akademii Mistrzów, który pełnił już tę funkcję prawie od trzydziestu lat, wyszedł powoli na środek parkietu, gdzie miał się odbyć pojedynek. Kiwnął ręką, żeby dwaj zawodnicy się do niego zbliżyli. Złapał Tala lekko za nadgarstek i skierował na swoją lewą stronę, a potem podobnie postąpił z Campanealem, ustawiając go sobie po prawicy.

– Odwróćcie się w moją stronę! – rozkazał zwięźle, ciągle mocnym głosem. – Nie przynieście sobie ujmy na honorze wobec władcy tego kraju – pouczył ich.

Tal dostrzegł jakiś błysk na galerijce ponad miejscami dla dworzan i zobaczył, że stoją tam uzbrojeni łucznicy i kusznicy, gotowi do strzału.

Mistrz miał choć odrobinę wrażliwości i poczucia taktu i nie wspomniał o zabezpieczeniach walki.

– Na moją komendę rozpocznijcie pojedynki i niech bogowie dadzą wam siłę i honor.

Tal odwrócił się do Campaneala, który mu się skłonił. Młodzieniec odpowiedział mu najłżejszym i graniczącym z niegrzecznym zachowaniem skinieniem głowy, zdecydowany nie oddawać honorów mordercy.

Nagle padła komenda i Campaneal ruszył prosto na Tala. Szeroki miecz trzymał wysoko w górze, a potem nagle przesunął go błyskawicznym cięciem, mierząc prosto w bok przeciwnika. Tal skręcił nadgarstek, kierując koniec ostrza miecza w dół, w lewo, żeby zablokować cios; szybko obrócił się w prawo. To był nieoczekiwany ruch i przez ułamek sekundy plecy młodzieńca wystawione były na cios przeciwnika, ale zanim Campaneal zdołał wyprowadzić pchnięcie, Tal sam zatoczył łuk mieczem, celując z lewe ramię porucznika.

Ale doświadczony szermierz z Olasko nie dał się zaskoczyć. Przykucnął lekko i ostrze Tala przeszło obok ramienia, nie czyniąc mu krzywdy. Brakowało niewiele, zaledwie kilka milimetrów. Tal musiał cofnąć się o krok, gdyż tempo tego uderzenia mogło go znów pchnąć w złą stronę, tak że jego plecy wystawiłyby się na cios przeciwnika.

Teraz, kiedy już wymienili pierwsze ciosy, dwaj szermierze zaczęli krążyć wokół siebie. Obaj poruszali się w lewo, poza zasięgiem ostrza przeciwnika. Tal mierzył wzrokiem swego wroga: Campaneal nie był aż tak szybki jak keshiański morderca, ale brak szybkości rekompensowało jego wspaniałe doświadczenie w posługiwaniu się długim mieczem. Posiadał doskonale wyważoną broń i wiedział, jak się nią posługiwać, wykorzystując całe skomplikowane kombinacje ciosów, ripost i parad.

Każdy atak Tala napotykał na zasłonę i kilkakroć jedynie prawie nadnaturalna szybkość młodzieńca ocaliła go od przegranej. W przeciągu kilku minut szermierze dyszeli ze zmęczenia i ociekali potem.

Krzyki publiczności, pozdrowienia dla walczących i wszystkie uwagi wyrzaskiwane przez widzów powoli cichły, aż w końcu umilkły zupełnie, w miarę czasu trwania pojedynku. W końcu wszyscy siedzieli w głębokim milczeniu, nie słychać było nawet najlżejszego szeptu czy pomruku. Zebrani z napięciem wpatrywali się w każdy ruch walczących. Ludzie wstrzymali oddech i nawet usiłowali powstrzymać się od mrugania, aby nie przegapić nagłego ciosu, który wkrótce musiał zakończyć starcie.

Tal czuł, jak wzrasta napięcie. Campanaal był w rzeczy samej najlepszym szermierzem, z jakim się do tej pory zmierzył. Posiadał doskonałe umiejętności i nie dawał się wciągnąć w żaden z wzorów ciosów, jakimi próbował go omamić Tal. Młodzieniec w miarę upływu czasu czuł, jak jego szansę na zwycięstwo drastycznie maleją. Ponadto Tal musiał znaleźć jakiś sposób, aby atak na porucznika przeprowadzić po mistrzowsku, żeby cios śmiertelny wyglądał na zadany przypadkiem. Ale kiedy mijały kolejne minuty i czuł, że jego ciało słabnie, Tal zdał sobie sprawę, że raczej nie uda mu się zabić tego człowieka, a nawet może zostać pozbawiony przyjemności zwyciężenia w tym pojedynku.

A potem Tal dostrzegł jedną rzecz. Obserwował, jak porucznik obraca miecz, celując w lewy bok przeciwnika, a potem zatacza ostrzem łuk i próbuje uderzyć z przeciwnej strony, kiedy broń Tala zatacza łuk, żeby zablokować pierwsze pchnięcie. Tal widział już ten cios kilka minut temu.

Mijał czas, i na długie momenty przeciwnicy odsuwali się od siebie, kołując i próbując złapać stracone oddechy. Wpatrywali łuk w zasłonie, możliwości zadania ciosu. Tal zdecydował się podjąć ryzyko, zanim będzie tak zmęczony, że nie uda mu się zrealizować skomplikowanej sekwencji ruchów.

Wyprowadził raczej niezdarny cios znad głowy, skręcając nadgarstek tak, że ostrze przeszło nad jego lewym ramieniem i szerokim łukiem

przesunęło się w dół w kierunku prawego ramienia Campaneala. Potem powoli obrócił rękę, zamierzając ciąć porucznika rękę ponad łokciem, w odsłonięte na krótko żebra, kiedy Campaneal podniósł miecz, aby zablokować cios z góry.

Campaneal zorientował się, o co chodzi, i zamiast zablokować cios z nadgarstka, pchnął mieczem do przodu, zamierzając ugodzić Tala w nieosłonięte prawe ramię.

Tal pozwolił, aby impet pchnięcia pociągnął go do przodu, aż cały zgiął się w pół, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, z ciałem skręconym na lewo; końcówka miecza spoczywała na podłodze, celując w prawy but młodzieńca. Zamiast odskoczyć do tyłu, pochylił się, aż prawym kolaniem dotknął ziemi. W tym samym momencie ostrze miecza Campaneala przecięło powietrze nad jego głową. Zanim porucznik zdał sobie sprawę, że chybił i zdążył uciec do tyłu, Tal skręcił nadgarstek i pchnął do góry, czubkiem miecza mierząc w nieosłoniętą grdykę przeciwnika.

Campaneal wrzasnął z bólu i upadł na podłogę, ściskając się za gardło. Krew ściekała mu między palcami. Tal wstał i odstąpił krok do tyłu, podczas gdy tłum milczał, kompletnie zaskoczony.

To był głupi i niebezpieczny cios. Ale udało się. Widzowie wybuchnęli krzykami i oklaskami, pozdrawiając zwycięzcę, gdy Tal odsunął się o kolejny krok od powalonego przeciwnika.

Pojawił się główny sędzia i położył rękę na ramieniu Tala, oficjalnie uznając go za zwycięzcę. Tal ostentacyjnie przeszedł obok sędziego i podszedł do Campaneala, oferując mu dłoń, żeby mógł wstać. Porucznik leżał w agonii, na twarzy zastygła mu maska bólu i Tal zatrzymał się, a potem odwrócił do mistrza ceremonii.

– Ktoś powinien posłać po uzdrowiacza. Obawiam się, że rana jest głębsza, niż zamierzałem zadać.

Dwaj żołnierze w barwach księcia Olasko podbiegli do Campaneala i próbowali jakoś mu pomóc. W końcu pojawił się królewski medyk. Szybko obejrzał ranę, a potem rozkazał zanieść porucznika do pokoju obok, gdzie miano opatrzyć cięcie.

Nadbiegli służący i zmyli krew z podłogi. W przeciągu kilku minut wszystko w sali wróciło do normy.

Tal nieuważnie słuchał pochwał, jakich nie szczędził mu król i mistrz Akademii. Kiwał głową i uśmiechał się w odpowiedzi na komplementy, przyjmując gratulacje. Kiedy w końcu król wręczył mu złoty miecz, małą replikę oryginalnej nagrody wręczonej hrabiemu Versiemu Dango dwieście lat temu, Tal uklonił się i wypowiedział kilka słów podziękowań.

Ale przez cały czas zastanawiał się, jak głębokie było cięcie, które zadał Campanealowi.

Pasko towarzyszył mu w drodze do pokoju, gdzie wcześniej czekał na finałowy pojedynek. Tal znalazł tam wannę z gorącą wodą i pozwolił sobie na luksus bezwładnego padnięcia na łóżko i poddania się zabiegom ściągnięcia butów.

– Prawie przegrałem – powiedział Tal.

– Tak – odparł Pasko. – Ale nie przegrałeś. Próbował cię zmęczyć. Ty jesteś w dobrej kondycji i masz dużo siły, ale on jest doświadczonym żołnierzem i stwardniał przez lata wojennych kampanii i prawdziwych walk, podczas gdy ty nie miałeś takiej okazji. To była jego przewaga. A twoja przewaga to gotowość na szalone ryzyko, żeby tylko mieć tę jedną szansę. Ale zadziałało.

– Tak, udało się – odparł Tal. – Prawie przegrałem, bo próbowałem znaleźć sposób, żeby go zabić, i prawie zbyt późno zdałem sobie sprawę, że moje szansę na zwycięstwo zmalowały prawie do zera.

– Cóż, było, minęło. – Pasko odstawił buty. – A teraz umyj się, bo przyjęcie już się rozpoczęło, a ty jesteś przecież honorowym gościem.

Tal wlażł do wanny i poczuł, jak ciepło rozlewa się po całym jego ciele.

– Kto by pomyślał, że jako chłopiec uważałem, że kąpiel w zimnym jeziorze to wielka przyjemność – wymamrotał.

Usłyszeli pukanie do drzwi. Pasko przeszedł przez pokój, żeby je otworzyć. Rozmawiał krótko, a potem wpuścił przybyłych. Do pokoju weszło pół tuzina paziów niosących strój godny samego króla.

– Jego wysokość przesyła ci pozdrowienia, kawalerze – odezwał się najstarszy rangą paź. – I pragnie, żebyś przyjął ten ubiór jako wyraz jego uznania dla twych umiejętności szermierczych i radości ze zwycięstwa. Jego wysokość oczekuje ciebie w głównej sali.

– Dziękuję – odparł Tal, wstając i biorąc ręcznik od Paska. – Powiedz jego wysokości, że przytłacza mnie jego hojność i że wkrótce zjawię się w wielkiej sali.

Paziowie uklonili się i odeszli. Pasko szybko pomógł Talowi się ubrać. Ubranie było wykonane z najpiękniejszych tkanin i leżało na Talu jak ulał, jakby miarę wziął najlepszy w mieście krawiec.

– Zastanawiam się, czy zrobili też drugie ubranie dla Campaneala – zastanowił się Pasko.

– Bez wątplenia – odparł Tal. – Myślisz, że to perły?

– Tak – ocenił Pasko. – Ten dublet jest obszyty perłami wielkimi jak ziarna grochu. Ma wartość prawie taką samą, jak ten filigranowy złoty mieczyk, który wygrałeś.

Kiedy skończył się ubierać, młody zwycięzca stanął przed rzadkim i drogim lustrem z polerowanego szkła i dokładnie się sobie przyjrzał. Żółty kubrak i czarne bryczesy komponowały się doskonale z białą koszulą i czerwonym kapeluszem. W lustrze zobaczył obcą osobę. Przez chwilę nie

mógł rozpoznać siebie w odbitym obrazie. Nie pozostało w nim nic z chłopca z gór, który trząśł się z zimna na szczycie Shatana Higo w oczekiwaniu na wizje. Stał przed nim obcy, ubrany w drogi i bardzo modny w Roldem strój, człowiek miasta, uczony młodzian, który zna wiele języków i gra na kilku instrumentach, potrafi gotować, malować, komponować proste poematy i uwodzić kobiety wysokiego rodu. Przez gorzki moment Tal zastanawiał się, czy chłopiec jest na zawsze stracony. A potem wyrzucił z głowy czarne myśli i odwrócił się do Paska.

– Chodźmy, król nie powinien na nas czekać.

Pospieżyli do głównej sali, gdzie mistrz ceremonii ogłosił ich przybycie. Tal wszedł do środka i przeszedł przez salę, aby stanąć przed królem, podczas gdy zebrani wiwatowali głośno i entuzjastycznie.

Obok królowej stał książę Olasko, a kiedy wymieniono już zwyczajowe grzeczności, książę wystąpił krok naprzód z lekkim uśmiechem na ustach.

– Czy mogę porozmawiać z tobą chwilę, młody panie? – zapytał.

Tal pozwolił księciu porwać się w ustronne miejsce, oddalone o kilka metrów od zgiełku panującego wokół królewskiego tronu. Książę Kaspar mówił równo, miał głęboki i kojący głos, ukrywający niebezpieczną naturę, jaką Tal w nim widział.

– Czy masz jakieś plany, teraz, kiedy turniej się już skończył, mój młody przyjacielu?

– Ma pewne sprawy rodzinne – odparł Tal – którymi muszę się zająć, ale szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się zbyt wiele nad tym, co będę robił po turnieju, wasza miłość.

– Zawsze szukam ludzi o wielkich talentach, młody Hawkinsie, a ty takim właśnie jesteś człowiekiem. Sposób, w jaki poradziłeś sobie z tym keshiańskim izmalitą, wskazuje, że jesteś doskonałym szermierzem, a to, że

pokonałeś dzisiaj mojego mistrza... cóż, powiedzmy po prostu, że w Olasko nie ma takiego drugiego, który dałby radę Campanealowi.

– Pochlebiasz mi, wasza miłość.

– Nie – zaprzeczył ksiązę miękko. – Puste pochlebstwa to strata czasu. Ci, którzy mi służą, dostają nagrodę, kiedy na to zasłużą, podobnie jak spotyka ich kara, gdy zawiodą. Z przyjemnością muszę zaznaczyć, że nagroda znacznie przewyższa karę na moim dworze, gdyż, jak już mówiłem, poszukuję niezwykłych mężczyzn. – Uśmiechnął się szerzej. – I kobiet także – dodał.

Ksiązę spojrzał ponad ramieniem Tala i kiedy młodzieniec się odwrócił, spostrzegł szczupłą kobietę o złotych włosach, zbliżającą się z małym uśmiechem na ustach. Wyraz twarzy Tala pozostał obojętny, kiedy ją zobaczył.

– Moja droga, pozwól, że ci przedstawię kawalera Talwina Hawkinsa, ostatnio z Królestwa. Kawalerze, to moja towarzyszką, pani Rowena z Talsin – zwrócił się do Tala.

– Pani – powiedział Tal z ukłonem.

– Przyjemność po mojej stronie, kawalerze. Przybyłam do miasta późno, ale zdołałam dotrzeć do pałacu na czas, żeby obejrzeć pojedynek. Byłeś wspaniały.

– Przecenisz mnie, pani – odparł Tal.

– Strasznie mi żal tego porucznika – zwróciła się do księcia.

– Tak, nieprawdaż? – odrzekł Kaspar. – Ach, ty jeszcze o tym nie słyszałeś, prawda? – Odwrócił się do Tala. – Twój cios przeciął arterie szyjne. Gardło to niewdzięczny obiekt, każdy cios przy odrobinie nieostrożności może się okazać śmiertelny. Obawiam się, że mój porucznik wykrwawił się na śmierć, kiedy posłano po kapłana uzdrawiacza.

Tal poczuł, jak jego serce zatrzymuje się na chwilę.

– To naprawdę wielka strata, wasza miłość – odezwał się w końcu Tal.

– Wiesz, że to jeden z czterech przypadków śmiertelnego zranienia w turnieju na przestrzeni dwustu lat, a ty jesteś odpowiedzialny aż za dwa z nich, tego samego dnia. Popołudniowy wypadek z pewnością był uzasadniony, biorąc pod uwagę okoliczności, ale wieczorny... nieszczęśliwe cięcie. Morderczy cios.

Tal zeszywniał.

– Co za nieszczęśliwy dobór słów, mój młody przyjacielu – dodał hrabia.
– Przyglądałem się walce bardzo uważnie i wiem, że twój cios zadany był na ślepo. Nie wydaje mi się, żebyś wiedział, gdzie kierujesz czubek miecza. To z pewnością wypadek.

– Bardzo mi przykro, że moje zwycięstwo kosztowało cię życie najlepszemu oficerowi – powiedział Tal.

– No cóż – westchnął książę. – Wynagrodź mi to, jadąc ze mną do Oparum i wstępując do mnie na służbę.

Serce Tala zabiło żywiej.

– Rozważę to, wasza miłość. Jak powiedziałem, mam pewne sprawy rodzinne do załatwienia, ale kiedy już się z nimi uporam... może wtedy.

– Bardzo dobrze. A teraz, jeżeli mi wybaczysz... – powiedział książę, wyciągnął ramię w kierunku pani Roweny i odszedł.

Tal poszedł w kierunku Paska, który czekał na niego pod ścianą, przyjmując po drodze kilka miłych komplementów.

– Co się stało? – zapytał Pasko, kiedy zobaczył wyraz twarzy Tala.

– Musimy natychmiast stąd odejść i odnaleźć Magnusa. Wiem, że gdzieś się tu kręci. – Tal rozejrzał się wokoło po wielkiej sali. – Jestem tego pewien.

– A potem?

– Powiem mu, że wiem, kto wysłał morderców, żeby mnie zabili. To był książę Olasko.

– A skąd to wiesz?

– On wiedział, że zabójca był izmalitą. Tylko Magnus był tego pewien, ponieważ sprawdził to w Keshu. Olasko mógł się o tym dowiedzieć tylko w jeden sposób. On sam wynajął tego człowieka, żeby mnie zabił.

Pasko zmienił się na twarzy.

– Znajdę go – powiedział w końcu.

Kiedy postąpił krok naprzód, poczuł, jak Tal chwyta go za ramię.

– Jest jeszcze jedna rzecz – odezwał się młodzieniec.

– Co takiego?

– Ta kobieta z Olasko.

– Tak, co z nią?

– To Alysandra.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

DECYZJE

Magnus dreptał po pokoju.

– Wysłałem wiadomość o Alysandrze mojemu ojcu.

Czekam na odpowiedź.

– Nie wiedzieliście, że jest z księciem? – zapytał Tal.

– Nie – odparł Magnus. – Nie jestem wtajemniczany w każdy szczegół planu, jaki snuje mój ojciec. Wszystko co wiem, to że dziewczyna opuściła wyspę mniej niż rok po twoim wyjeździe.

– Nikt mi nie powiedział.

Kaleb siedział cicho w rogu pokoju. Byli w apartamencie Tala.

– Wydawało nam się, że nie ma takiej potrzeby, Talu. Dostałeś od nas ciężką lekcję, ale założyliśmy, że ją zdałeś. Poza tym, większość z tych, którzy mieszkali z tobą na wyspie, jest wysyłana z różnymi misjami w służbie mojego ojca.

– Więc zakładam, że ona pracuje dla... – Miał właśnie powiedzieć „Konklawe”, ale ostrzeżono go wcześniej, żeby nie wymawiał tej nazwy wszędzie tam, gdzie mógłby być podsłuchiwany, a cała sprawa z księciem Olasko sprawiła, że teraz był szczególnie ostrożny.

– ...dla nas – powiedział zamiast tego.

– Gdyby tak nie było – odparł Magnus – byłbyś już martwy. Kaspar nas nie zna i nikogo nie złapał za rękę, ale wie, że gdzieś wokół niego kręci się ktoś, kto mu przeszkadza, podobnie jak przeszkadza tym, z którymi wdał się w podejrzanе interesy. Gdyby nawiedził go chociaż cień podejrzenia, że

jesteś częścią tej opozycji... – Wzruszył ramionami, pozostawiając zdanie niedokończonym.

– Mogłem coś do niej powiedzieć. Po prostu nie myśląc – jęknął Tal.

– Gdybyś posiadał aż takie luki w wychowaniu – odparował Kaleb – nigdy nie pozwolilibyśmy ci zejść aż tak daleko, Talu. – Wstał i podszedł do brata. – Kto zajmuje się tą dziewczyną?

– Matka.

Kaleb potrząsnął głową i uśmiechnął się smutno.

– A więc wszystko jest możliwe. To dlatego nikt nam nie powiedział, że Alysandra jest teraz tutaj, na wschodzie. – Zwrócił się do Tala. – Matka z wielką niechęcią dzieli się z nami informacjami. To ma wiele wspólnego z jej przeszłością, ale cokolwiek by nie mówić, to nie jest pierwszy raz, kiedy postanowiła wziąć sprawę w swoje ręce, dochodząc do wniosku, że ojca nie trzeba kłopotać tą sprawą.

Magnus przewrócił oczyma.

– Ach te sprzeczki... Kaleb ma rację – dodał. – Porozmawiam z matką dzisiejszej nocy i zobaczymy, czy wyciągnę z niej informacje, po co Alysandra przebywa teraz z księciem.

Ktoś zapukał do drzwi na dole. Pasko gestem dał do zrozumienia, że pójdzie otworzyć, a pozostali przestali rozmawiać.

– Prawdopodobnie to zaproszenie – powiedział Pasko, wychodząc z pokoju i schodząc w dół po schodach.

– Wygrana sprawia, że zyskujesz wielu nowych przyjaciół. – Głos Tala był suchy; młodzieniec zrobił zrezygnowaną minę. Dostałem już tuzin zaproszeń na kolację w przeciągu ostatnich czterech godzin.

Wrócił Pasko i podał Talowi karteczkę. Pieczętował ją znak, jakiego nie widzieli nigdy wcześniej.

– To od pani Roweny z Talsin – powiedział Pasko.

Tal zerwał pieczęć i przeczytał notatkę.

– Ona pisze, że za dwa dni wyjeżdża z księciem i może nie będzie miała okazji się ze mną zobaczyć, więc wysłała mi ten liścik. Olasko zamierza zająć Dorzecze, zanim skończy się lato.

– Zamierza odciąć drogę ze wschodu, kiedy jego armia uderzy na Farinę – zawyrokował Kaleb.

– Co oznacza, że przyszłej wiosny będzie musiał zająć ziemie Orodonów – powiedział Tal. Młodzieniec jeszcze raz popatrzył na wiadomość, a potem zwrócił się do braci. – Przynajmniej wygląda na to, że Alysandra ciągle pracuje dla waszej matki.

– Najwyraźniej – odparł Kaleb.

– Co zamierzasz teraz zrobić, Talu? – zapytał Magnus.

– Myślałem, że wy mi powiecie.

Magnus oparł się na swojej lasce.

– Nie możemy pilnować na każdym kroku tych, których wysyłamy w świat, żeby dla nas pracowali. Przybyłeś tutaj, do Roldem, żeby stworzyć siebie, zdobyć imię, pozycję oraz dostęp do sił i wpływów. Posiadamy wiele takich osób w Królestwie, podobnie jak w Keshu, ale teraz mamy zamiar ukryć naszych agentów we Wschodnich Królestwach.

Ale kiedy dochodzimy do wniosku, że nasz agent jest już gotowy, pozwalamy mu samemu decydować, co powinien zrobić, żeby najlepiej służyć naszej sprawie.

– Wiedziałbym lepiej, jak służyć naszej sprawie, gdybym wiedział, o co w tym wszystkim chodzi, Magnusie.

Magnus podniósł dłonie do góry i poruszył ustami. Przez moment Tal pomyślał sobie, że w pokoju zrobiło się ciemniej.

– Otoczyłem nas czarem i nikt nie będzie mógł nas zobaczyć przez minutę czy dwie. – Podszedł do stołu i usiadł. – Talu, my jesteśmy

agentami dobra. Wiem, że już to wcześniej słyszałeś i większość zdarzeń, jakich doświadczyłeś w naszym towarzystwie, przeczy temu stwierdzeniu, ale uwierz, że to prawda. Ciągłe jeszcze nie mogę ci wiele o nas powiedzieć, ale skoro już przybyłeś do Roldem, aby nam służyć, musisz wiedzieć choć trochę.

W służbie u księcia Olasko jest pewien człowiek. On nie przybył tutaj, do Roldem, wraz z Kasparem, co raczej mnie nie zaskakuje. Ten człowiek rzadko wyjeżdża z Oparum, szczególnie ostatnimi czasy. Możliwe, że matka umieściła Alysandrę w Olasko, żeby przez nią wpływać na księcia, ale bardziej prawdopodobna wersja jest inna. Matka chce mieć oko na tego właśnie człowieka.

Teraz używa imienia Leso Varen, ale ono nie należy do niego, podobnie jak tuzin innych, których używał w przeszłości. Mój ojciec zetknął się już kiedyś z tym człowiekiem. To odpowiednik mojego ojca w rękach wroga, gdyż jest on także potężnym magiem o wielkich zdolnościach. Jest szalony, ale nie głupi. Stanowi zagrożenie ponad wszelkie wyobrażenia, i stoi za plecami Kaspara jak zły duch, sącząc mu w serce czarne myśli.

– To nie jest przesada, Talu – dodał Kaleb. – Ten człowiek to wcielenie zła.

– Musisz także wiedzieć jeszcze jedno – mówił dalej Magnus. – My, którzy służymy moim rodzicom, i ci, którzy nas prowadzą, nie będziemy świadkami zwycięstwa nad wrogiem ani nie doświadczą tego nasze dzieci, ani wnuki, ani ich dzieci.

Zmagamy się ze złem, gdyż takie jest nasze zadanie. Zło ma nad nami przewagę, gdyż posługuje się chaosem i zamieszaniem. Może niszczyć i plugawić, podczas gdy my musimy chronić i budować. Nasze zadanie jest o niebo trudniejsze.

– Nakor powiedział raz mi i Magnusowi – odezwał się Kaleb – że zło jest z samej swojej natury szaleństwem, i jeżeli zastanowisz się nad zniszczeniem swojej wioski, będziesz musiał się z tym zgodzić.

Tal kiwnął głową.

– To, że Kaspar zniszczył cały mój lud, powodując się tylko i wyłącznie ambicjami... masz rację, to szaleństwo.

– Więc do rzeczy – przerwał Magnus. – Nigdy nie pokonamy zła całkowicie, ale pracujemy, aby je stłumić, aby chronić tak wielu niewinnych, jak tylko się da, przed siłami, które zniszczyły wszystko, co znałeś jako dziecko. Co do tego wszyscy w radzie jesteśmy zgodni, ale każdy z nas działa na swój własny sposób i gra inną rolę w tym, co zamierzamy osiągnąć wspólnymi siłami.

– A więc waszym celem jest zabicie Kaspara? – zapytał Tal.

– Może – odparł Kaleb. – Prawie na pewno w końcu do tego dojdzie, ale w tej chwili musimy poświęcić nasz czas i spróbować wyeliminować Lesa Varena. Gdyby się nam udało w jakiś sposób go zniszczyć, opóźnilibyśmy naszych wrogów o... stulecia.

– Mówisz teraz o rzeczach, których nawet nie potrafię sobie wyobrazić, Kalebie – powiedział Tal. – Nie będzie mnie tutaj, kiedy miną setki lat od dzisiejszego dnia.

– To przyzwyczajenie ludzi, którzy żyją znacznie dłużej od innych – usprawiedliwił brata Magnus. – Nie, nie oczekujemy, że od razu pojmiesz wszystko, Talu, ale jeżeli wyobrazisz sobie, że pewnego dnia zostaniesz ojcem, wtedy zrozumiesz, że będziesz w stanie zrobić wszystko, żeby zapewnić swoim dzieciom bezpieczną przyszłość.

Tal milczał przez chwilę. Tak dalece odsunął się od swojej przeszłości, od tego, kim był, i zagubił się całkowicie w roli Tala Hawkinsa, że myślenie o jakimkolwiek rodzaju osobistego życia, w którym pewnego dnia zostałyby

mężem i ojcem dzieciom, nie miało dla niego żadnego znaczenia. A potem przypomniał sobie ekscytujące tygodnie spędzone z Alysandrą, kiedy wyobrażał sobie, że będą już na zawsze razem; dziewczyna mogła go zwodzić, mniejsza o powody, a on teraz ją za to nienawidził, ale wtedy jego uczucia były prawdziwe. Chciał ją poślubić i zostać ojcem.

– Rozumiem, o co ci chodzi – powiedział w końcu.

– To dobrze – podsumował Magnus. – A teraz, czy zastanawiałeś się już nad propozycją, którą złożył ci Kaspar?

– Ciągle się zastanawiam – odparł Tal. – Prawie na pewno pojedę do Oparum i się z nim zobaczę. Wysłucham, co ma do powiedzenia i jakie są jego propozycje, ale nie mogę sobie wyobrazić służby dla tego człowieka.

– Ale to cię do niego zbliży, Talu – powiedział Kaleb. – Możesz bardzo pomóc naszej sprawie, dogadując się z Kasparem. Może nawet udałoby ci się zbliżyć do Lesa Varena.

– Jestem Orosinim – odpowiedział Tal. – Może wyglądam jak roldemski pan albo szlachcic z Królestwa, ale ciągle pozostaję Orosinim. – Dotknął policzków. – Może nie mam klanowych tatuaży, ale jestem Orosinim.

Kaleb nie odezwał się, tylko patrzył na Tala, czekając na dalsze słowa młodzieńca. Magnus podniósł brew, ale także siedział w milczeniu.

– Jeżeli złożę przysięgę Kasparowi, będę musiał jej dotrzymać. Nie mogę złożyć fałszywej przysięgi. To niemożliwe. Nie mogę służyć Konklawe i Kasparowi jednocześnie. Rozumiem, że Alysandra i inni mogą, ale ja nie. – Jego głos zadrżał. – Może jestem ostatnim z mojego ludu, ale my tak właśnie postępujemy i ja nie odejdę od tego zwyczaju.

– A więc nie musisz – powiedział Kaleb.

– Poza tym – dodał Magnus – Kaspar może mieć swoje sposoby, żeby sprawdzić, czy aby nie składasz fałszywej przysięgi. Leso Varen

prawdopodobnie nie potrafi czytać myśli, ale podejrzewam, że jest w stanie stwierdzić, czy kłamiesz.

– Więc? – zapytał Kaleb. – Co zamierzasz zrobić w związku z tym?

– Powiedziałem Kasparowi, że przyjadę do Oparum, jak tylko załatwię jakieś tam rodzinne sprawy.

– A co to za rodzinne sprawy? – zapytał Magnus.

– Zemsta – odparł Tal z głębokim westchnieniem, jakby z jego piersi chciało wydostać się coś umęczonego i bardzo złego.

Mężczyzna upadł do tyłu, przewracając stół. Ludzie rozbiegli się, gdyż najwyraźniej żaden z nich nie miał zamiaru stawać twarzą w twarz z rozzłoszczonym młodym człowiekiem, stojącym nad jęczącym i czołgającym się łachmanem, który właśnie rozwalił stół.

Młodzieniec był duży i barczysty, z wyglądu dopiero co przekroczył dwudziestkę. Twarz wygolił gładko, a jego oczy miały czyste spojrzenie. Długie włosy zebrał na karku i owinął czarną chustą, podobnie jak piraci z Queg. Ale z pewnością nie był piratem, gdyż nosił buty jeźdźca, a przy pasie wisiał mu długi, doskonały miecz, a nie ciężki rapier. Ale wyglądał tak samo niebezpiecznie i groźnie jak każdy z opryszków wdzierających się na pokład statku. Jego gniew był widoczny dla wszystkich zebranych.

Młodzieniec popatrzył na powalonego mężczyznę, który ocierał właśnie usta wierzchem dłoni.

– Gdzie jest Raven? – zapytał.

Człowiek poruszył się, jakby próbował wstać. Tal kopnął go w rękę, z powrotem posyłając na ziemię.

– Gdzie jest Raven? – zapytał ponownie.

Tal pozostał w Roldem aż do święta przesilenia zimowego, a potem udał się do Kendrika. Mieszkał tam jakiś czas, rozkoszując się niektórymi z przyjemności, jakich tam wcześniej zaznał. Większość czasu spędził z

Leem w kuchni, wymyślając coraz to nowe pyszności. Zaimponował staremu kucharzowi postęпами w sprawach podawania posiłków i znajomości win, ale Leo ciągle traktował go, jakby był uciążliwym, psocącym w kuchni dzieckiem.

Z wyjątkiem Lea i jego żony, Gibbsa i Kendrika, w zajeździe roiło się od osób zupełnie nie znanych Talowi. Meggie odeszła, nikt nie wiedział dokąd, a Gibbs bardzo się zdziwił, kiedy Tal powiedział mu, że widział Lelę w Krondorze. Tal zasmucił się, kiedy usłyszał, że Lars utopił się w jeziorze, gdy załamał się pod nim łód, wczesną zimą tego roku.

Po pobycie u Kendrika Tal udał się do Latagore i zastał miasto niemal nie zmienione od czasu, kiedy był tutaj z Kalebem wiele lat temu, mimo że teraz rządził tutaj nowy dominar, będący jednym ze sługusów Kaspara. Wydawało mu się, że w mieście jest więcej straży, ale ludzie jak dawniej biegali za swoimi sprawami, a słońce świeciło i nic nie wskazywało na to, że ciemne siły wdarły się do tej ostoji normalności.

Tal pytał dyskretnie to tu, to tam, czy w okolicy nie widać jakiś znamion nadchodzącego konfliktu. W Dorzeczu toczyły się jakieś walki, gdyż Olasko przemieścił tam swoje wojska, ale bandy najemników, które zwykle ciągnęły do podobnych konfliktów jak muchy do miodu, nie były specjalnie liczne w mieście.

Człowiek leżący na podłodze miał na imię Zemos i chciał porozmawiać z Talem o cenie, zakładając, że młodzieniec jest najemnikiem i chce znaleźć jakąś pracę. Wnioskując ze słów kilku szynkarzy, Zemos był pewnego rodzaju pośrednikiem, który zatrudniał na prośbę dowódców najemników za określoną ceną. Ale kiedy w rozmowie padło imię Ravena, najwyraźniej Zemos w jednym momencie zapomniał o tym, co wiedział o zatrudnianiu najemników i pośrednictwie pracy.

Tal zdecydował, że musi odświeżyć mu pamięć.

– Ciągłe nękaś ludzi, jak widzę – powiedział jakiś głos z drugiego końca szynkwasu.

Tal obejrzał się przez ramię i zobaczył twarz wyglądającą znajomo. Przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, kim jest ten człowiek.

– Jan Creed – powiedział w końcu i skinął głową. – Nękam ich tylko wtedy, gdy nagle tracą pamięć i zapominają o informacjach, za które zapłaciłem.

– Oddam ci twoje złoto – odezwał się Zemos. – Po prostu myślałem, że szukasz zatrudnienia.

Creed podszedł do Tala i stanął obok.

– Wybacz mi, ale nie mogę sobie przypomnieć twojego imienia.

– Tal Hawkins.

Przez chwilę w oczach mężczyzny zabłysnęły iskierki rozpoznania, a potem kiwnął głową.

– Do niczego nie dojdiesz z tym głupcem. – Trącił Zemosa czubkiem buta. – Wstawaj, kanalio.

– Oddaj mu jego złoto – rozkazał Creed, kiedy Zemos stał już na nogach. – I nie składaj obietnic, których nie jesteś w stanie dotrzymać.

Złoto zostało zwrócone i Zemos wybiegł z karczmy, ściskając się za rozciętą wargę. Creed rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Może się przejdziemy i znajdziemy przyjemniejsze miejsce?

Tal kiwnął głową, zgadzając się, i poszedł za nim.

– Co się stało z tym człowiekiem, z którym podróżowałeś, z tym, który przygniół cię krzesłem, żebym cię nie zabił? – zapytał Creed, szczerząc zęby.

– Dlaczego pytasz?

– Bo powinienem mu podziękować. Na początku nie skojarzyłem, ale to ty jesteś chłopakiem, który wygrał turniej Akademii Mistrzów zeszłego

lata, nieprawdaż?

Tal skinął potakująco głową.

– Nie zdawałem sobie sprawy, że wieści tego rodzaju trafiają tak daleko.

– Och trafiają, trafiają, mój młody czempionie – odparł Creed. – Więc sądzę, że twój przyjaciel prawdopodobnie zasługuje na podziękowania, ponieważ, skoro jesteś taki dobry, nieźle byś mnie poharatał.

Tal uśmiechnął się szeroko.

– Sporo ćwiczyłem między naszym pierwszym spotkaniem a zwycięstwem w turnieju. Prawdopodobnie rozplątałbyś mi brzuch w pierwszej minucie starcia.

– W każdym razie próbowałbym i wcale prawdopodobne, że bym się ośmieszył. W każdym razie, po co ci ta świnia Raven?

– Mam do niego interes – odparł Tal.

– Z rodzaju morderczych, nie wątpię.

– Tak.

Szli dalej ulicą.

– Krążą plotki, że obozuje gdzieś w okolicy Przybrzeżnej Warty i szykuje się do marszu na północ w najbliższych kilku tygodniach – powiedział Creed.

– Ma zamiar zacząć niszczyć wioski Orodonów – odparł Tal. – To samo, co zrobił kilka lat temu z Orosinami.

– Paskudna sprawa – skrzywił się Creed. – Nie mam nic przeciwko walczeniu w zamian za pieniądze, a z pewnością nie mam problemów z patroszeniem ludzi trzymających w rękach miecze, ale zabijanie kobiet i dzieci to nie to, co lubię najbardziej. Większość chłopaków uważa podobnie, więc Raven płaci najemnikom naprawdę dobrze. Ale dzieje się tutaj coś dziwnego.

– Co?

– Zemos i inni, którzy na ogół chętnie kontaktują cię z pracodawcami, żeby zyskać swoją działkę, w przypadku Ravena nie zachowują się jak zwykle.

– Co masz na myśli? – Dotarli do innej karczmy i Creed, wskazując na nią podbródkiem, zauważył, że tutaj powinni wejść.

W środku było cicho. Przy stolikach siedziało najwyżej tuzin gości, pogrążonych w cichej rozmowie. Jeden z nich kiwnął Creedowi głową, a najemnik oddał pozdrowienie. On i Tal przysunęli sobie krzesła i usiedli.

– Mam na myśli to, że nagle wszyscy zapomnieli, gdzie jest Raven, podobnie jak kilku innych dowódców, którzy prawdopodobnie także pracują dla Olasko.

– To ludzie wiedzą, że Kaspar stoi za całą tą sprawą?

– Jeżeli żyjesz z zabijania innych ludzi, starasz się ustalić najpierw, kto ci za to płaci – wyjaśnił Creed. – Raven nie wynajmie dobrych ludzi, obiecując im wysokie zarobki. Ci górale i rybacy nie posiadają zbyt wielu kosztowności, które można zrabować i się wzbogacić. Raven musi dać najemnikom gwarancję zapłaty i ludzie muszą wiedzieć, skąd pochodzi złoto, żeby się upewnić, że obietnice nie okażą się mrzonką, kiedy skończy się kampania. – Przerwał i przez chwilę przyglądał się otoczeniu z uwagą.

– Prawda jest taka – Creed kontynuował po chwili – że niektórzy najemnicy czekają, aż druga strona też zacznie rekrutować.

– Druga strona?

– Orodoni. Oni nie są bogatym ludem, ale mają trochę złota i innych dóbr na wymianę.

Tal skinął na szynkarza, żeby przyniósł im dwa piwa.

– Dlaczego masz zamiar stawić czoła nacierającej armii?

– To nie będzie armia – odparł Creed. Pochylił się do przodu, opierając łokcie na stole. Kudłate jasnobrązowe włosy opadły mu na oczy, ocieniając

jego twarz niczym kaptur. – To będą dwie, może trzy kompanie najemników. Zamierzają uderzać kolejno na wioski w dół i w górę wybrzeża. Liczą na zaskoczenie. Zamierzają wykonać swoją brudną robotę, zanim rozejdzie się informacja o ich napaści.

Tal skinął głową. Działali teraz dokładnie tak samo jak wtedy, kiedy niszczyli wioski Orosinich.

– Więc jeżeli jedna z wiosek będzie gotowa na przyjęcie Ravena i jego ludzi – dokończył za Creeda Tal – może ich zatrzymać na jakiś czas, a tym samym cała kampania weźmie w łeb.

– Właśnie. Jedna dobra bitwa i wygralesz, a Kaspar musi od nowa układać plan, jak pokonać Orodonów. Może wtedy zechce z nimi negocjować, żeby pozostawili w spokoju flankę jego armii, kiedy zaatakuje Dorzecze. Wiem, że on nie ma zamiaru walczyć na dwa fronty. Żaden dowódca tego nie lubi.

Talon ponownie skinął głową.

– Czego potrzebujesz, żeby zebrać do kupy kompanię najemników.

– Ja? – Creed uśmiechnął się. – Ja nie jestem kapitanem. Mogę znaleźć chłopaków, powiedzmy pięćdziesięciu w przeciągu tygodnia, ale nie będę nimi dowodził. A dlaczego pytasz?

– Myślę sobie, że zebranie gromady najemników i udanie się na granicę ziem Orodonów byłoby niezłym posunięciem. Moglibyśmy rozejrzeć się w sytuacji.

– My?

– No my. Szukam Ravena, bo chcę wypruć mu flaki i jestem gotów to zrobić w otwartej walce albo przemykając się przez gęstwiny, aby ominąć jego ludzi.

– To będzie trudny orzech do zgryzienia, chłopcze.

– Wiem, ale to sprawa osobista.

– A więc powiem ci, czego potrzebujesz – powiedział Creed, kiedy szynkarz przyniósł im dwa piwa. Tal zapłacił mu, a Creed mówił dalej. – Potrzebujesz takiej ilości złota, żeby zapłacić pięćdziesięciu ludziom za trzy miesiące pracy i dodać jeszcze parę groszy jako ekstra wynagrodzenie.

– Mogę to zrobić.

– Oprócz tego potrzebujesz zapasów, wozów, co najmniej dwóch, i mułów. Jeżeli znajdziesz jakiś inżynierów, będą cię sporo kosztowali, ale pozwolą ocalić parę żyć i sprawią, że Raven i jego towarzysze nie będą mieć łatwej podróży.

– Mów dalej – zachęcił go Tal.

Creed wymieniał dalej, co należy zrobić, a Tal spijał każde słowo z jego ust. Planowali kampanię przez całe popołudnie. O zachodzie słońca karczmarz przyniósł im kolację, a dwaj mężczyźni rozmawiali jeszcze długo po zapadnięciu zmroku.



Kiedy nastał świt, kolumna jeźdźców poruszała się wolno w dół przełęczy. Creed skulił się pod ciężką, wełnianą peleryną, którą miał na sobie.

– Jesteśmy obserwowani, Tal – powiedział.

– Wiem. Już od pół godziny, od kiedy przebyliśmy grań.

Tydzień temu opuścili Latagore z czterema dziesiątkami zbrojnych i łuczników, tuzinem inżynierów, pół tuzinem tragarzy i dwoma wozami. Poruszali się wolno, a Tal trzymał swoich żołnierzy w zwartym szyku, gdyż nie chciał, aby wyglądali zbyt groźnie, wjeżdżając do kraju Orodonów.

Na granicy pomiędzy Latagore a ziemiami Orodonów zatrzymali się na noc w pobliżu małej karczmy i tam Tal zdobył tyle informacji, ile tylko się dało, o kraju leżącym po drugiej stronie gór. Trzy dni zajęło im dotarcie do

łąki, gdzie obozowali poprzedniej nocy. Na godzinę przed zachodem słońca rozbili tam obóz.

– Jeżeli ten karczmarz wiedział, co mówi – powiedział Creed – pierwsza wioska Orodonów powinna znajdować się z pięć kilometrów przed nami.

– Nawet bliżej, jak mi się wydaje – odparł Tal. – Nie wystawialiby straży tak daleko od domu.

– Chyba że spodziewają się kłopotów – stwierdził Creed.

Kontynuowali jazdę, aż weszło słońce, a kiedy dotarli do podnóża wzgórz, Tal poczuł znajome ukłucie w sercu. W pewnej odległości mógł widzieć mgiełkę unoszącą się nad oceanem, ale pomiędzy wodą a miejscem, gdzie się znajdowali, leżała kraina, która przypominała mu boleśnie jego utracone dzieciństwo. Daleko przed sobą zobaczył dym.

– Ogniska – wymamrotał do siebie. – Odpocznijcie tutaj – zwrócił się do swoich ludzi. – Czekajcie, aż wrócę, ale nie rozsiadajcie się za bardzo.

Najemnicy zamruczeli coś pod nosem, a kilku zażartowało sobie, ale Tal był ich dowódcą i płacił im, więc bez szemrania posłuchali jego rozkazu. Creed przekonał Tala, że to on powinien być dowódcą, gdyż w przeciwnym razie doczeka się buntu. Najemnicy, którzy walczyli razem albo przeciwko sobie, nie czuli się dobrze, gdy któryś z nich nagle stawał się dowódcą. Ale przyjmowanie rozkazów od młodego kapitana, najwyraźniej dobrze urodzonego, to było coś innego, a już szczególnie wtedy, kiedy płacił ciężkie pieniądze.

Tal pojechał naprzód, poruszając się wolno. Nie chciał pojawić się nagle i w pośpiechu. Wyczuwał, że jest obserwowany i w miarę zbliżania się do wioski Orodonów wiedział, że patrzy na niego coraz więcej oczu, a dłonie zaciskają się na mieczach i łukach.

Dostrzegł palisadę. Brama była zamknięta. Chociaż nie widział żadnych postaci na ścianach z bali, wiedział, że tam są, podobnie jak w lesie za nim

znajdowało się wielu zbrojnych. Wjechał na polanę.

Znalazł się w odległości strzału z łuku od bramy i zsiadł z konia. Nie odezwał się, tylko przycupnął na ziemi, przenosząc ciężar ciała na prawą nogę, wyciągając lewą lekko do przodu, aby utrzymać równowagę, podobnie jak czynili jego rodacy. Czekał.

Upłynęła prawie godzina, zanim brama otworzyła się i z wioski wyszedł pojedynczy człowiek. Na oko dobiegał sześćdziesiątki, jego włosy były całkowicie pokryte siwizną, ale nosił się jak ktoś, w kim ciągle drzemie dużo siły i mocy. Mężczyzna stanął przed Talem. Przysiadł w podobny sposób jak młodzieniec i nie odezwał się.

– Szukam przymierza z Orodunami – powiedział Tal powoli, w języku swojego ludu.

– Mówisz językiem Orosinich – odparł człowiek z ciężkim akcentem. – To mowa, której nie słyszałem od lat mego dzieciństwa.

– Ja jestem Orosinem.

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Nie jesteś. Nie masz tatuaży.

– Ja jestem Szpon Srebrnego Jastrzębia, z wioski Kulaam, jako chłopiec zwany Kielianapuna. Moja wioska została zniszczona w dniu, kiedy nadano mi imię, kiedy czekałem na wizje na szczycie Shatana Higo. Ci, którzy zabili moich rodaków, myśleli, że ja także jestem martwy. Ja jestem ostatnim z ludu Orosinich.

– Kim byli twoi rodzice?

– Jestem synem Wołania Jelenia O Świcie i Szeptu Nocnego Wiatru, wnukiem Śmiechu W Jego Oczach. Moim bratem był Dłoń Słońca, a moja siostra miała na imię Miliana. Wszyscy zostali zabici, a jestem tutaj, żeby ich pomścić.

– Dlaczego przybywasz do nas, żeby się mścić, Szponie Srebrnego Jastrzębia?

– Nadchodzą ludzie, którzy chcą spalić wasze wioski, zabić waszych ludzi i rozwiać popioły spalonych kości na cztery wiatry. To ci sami ludzie, którzy zniszczyli lud Orosinich.

– Mam na imię Jasquenel – powiedział stary wódz. – W naszym języku słowo to oznacza fale przyboju na skałach. Jeżeli masz porachunki z naszymi wrogami, jesteś naszym przyjacielem i witamy cię z otwartymi ramionami. Ale kim są ci inni, których pozostawiłeś na wzgórzach.

– To moi ludzie – wyjaśnił Tal. – Słuchają moich rozkazów i będą walczyć ramię w ramię z twoimi wojownikami. Na wozach mam broń i przywiodłem ze sobą inżynierów. Jeżeli zatrzymamy napastników wystarczająco długo, zdążysz zawiadomić inne wioski i uratujesz swoich ludzi.

Starzec skinął głową i wstał.

– Możesz wejść do wioski. Wyślę kogoś, kto mówi we wspólnej mowie, żeby przyprowadził tutaj twoich ludzi. Dzisiaj w nocy będziemy świętować razem i zastanowimy się wspólnie, co trzeba zrobić, żeby odeprzeć wroga.

Tal również się podniósł. Wyciągnął rękę i wódz Orodonów złapał go za przedramię, w taki sam sposób, w jaki Orosini witali się i pozdrawiali.

– Witam cię w naszej wiosce – powiedział Jasquenel – Szponie Srebrnego Jastrzębia.

Tal uśmiechnął się.

– Pomędzy moimi ludźmi jestem znany jako Tal Hawkins. Nie wiedzą, że należę do Orosinich i myślą, że jestem szlachcicem z Królestwa Wysp.

– Więc my także będziemy cię nazywać Talem Hawkinsem. Chodź. Wejdźmy do środka i porozmawiajmy z innymi mężczyznami z wioski.

Prowadząc konia, Tal podążył za starcem. Kiedy wszedł w obręb palisady, poczuł, jak emocje burzą mu krew. Wioska była tak bardzo podobna do miejsca, gdzie dorastał, jednak widział wystarczająco wiele różnic, aby wiedzieć, że nie jest w domu.

Nigdy już nie odzyska straconego domu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

OBRONA

Tal czekał.

Jasquenel stał obok niego na palisadzie, wypatrując pierwszego znaku nieprzyjaciela. Po raz setny Tal przebiegał umysłem wszystkie przygotowania, jakich dokonali w ciągu ostatnich dziesięciu dni. Do wszystkich pobliskich wiosek wysłano biegaczy z informacjami, a z kolei zawiadomione wioski posłały kolejnych gońców dalej na pomoc. Gdyby Raven i jego ludzie w jakiś sposób zdołali zdobyć wioskę Queala i poszli dalej, w każdej kolejnej osadzie napotkaliby na opór, aż musieliby zawrócić z obranej drogi.

Przez te dziesięć dni, odkąd przybył tutaj wraz ze swoimi najemnikami, Tal odczuwał nagłe ukłucia bólu i tęsknoty, gdyż żadne inne miejsce, jakie odwiedził od czasów dzieciństwa, nie przypominało mu tak bardzo rodzinnych stron jak wioska Queala. Orodonowie nie byli Orosinimi, ale wszystko wskazywało na to, że dawno temu blisko się ze sobą trzymali, gdyż wiele czynności Orodonów przypominało działania Orosinich. W wiosce był znajomo wyglądający długi dom, gdzie zbierały się rady mężczyzn, i okrągły dom, gdzie pracowały kobiety. Także ubiory i zwyczaje Orodonów bardzo przypominały ubiory i zwyczaje jego rodaków. Ale pomiędzy tymi plemionami były również różnice, i tak samo jak podobieństwa przypomniały Talowi utracone dzieciństwo i to, jak wiele zostało mu zabrane.

Wioska Queala była większa od jego domu. Mieszkało tutaj trzydzieści rodzin skrytych za drewnianą palisadą, a w Kulaam przebywało zaledwie około tuzina. Mieściły się tutaj cztery wspólne budynki: długi dom dla mężczyzn, okrągły dom dla kobiet, wspólna kuchnia i łaźnia. Mniejsze domy tuliły się do palisady, a na środku znajdował się pusty plac.

Spojrzał ponownie ponad palisadą, na przecinkę biegnącą od głównej bramy. Inżynierowie wykopali pułapki i przykryli je płótnem, na które narzucili cienką warstwę ziemi, żeby je zamaskować. Wiatr i drobny śnieżek, jaki spadł dwa dni temu, przyczyniły się do całkowitego ukrycia wilczych dołów. Sto metrów na prawo i pięćdziesiąt metrów od palisady z ziemi wystawała niepozorna gałązka, a na granicy polany leżał wielki głaz. Od głazu do gałązki, a od gałązki do bramy biegła bezpieczna ścieżka. Kto z niej zszedł, narażał się na przebicie ostrymi palami wbitymi w dno dołów.

Tal pomyślał o obronie wioski i zdał sobie sprawę, że ma szczęście. Wioska miała tylko dwa miejsca, w których palisada mogła zostać sforsowana – od południa i od zachodu, gdzie przebito główną bramę. Północna ściana górowała nad bardzo stromym stokiem pagórka. Wspinaczka dla większej liczby atakujących była tam niemożliwością. Zaledwie dwaj łucznicy, siedząc na szczycie palisady, byłiby w stanie wystrzelać atakujących, głupich na tyle, żeby decydować się na natarcie z tamtej strony. Wschodnia ściana graniczyła z głębokim wąwozem, opadającym dwadzieścia metrów w dół pionową ścianą.

Inżynierowie ustawili dwie masywne katapulty. Ci ludzie fascynowali Tala swoimi umiejętnościami. Weszli do lasu, mając w rękach zaledwie podstawowy zestaw narzędzi, trochę sznurów, kilka gwoździ i kołków, i pojawili się trzy dni później z tymi imponującymi maszynami. Przywódca inżynierów, człowiek o imieniu Gaskle, powiedział, że gdyby mieli pod ręką dobrą kuźnię, trochę rady żelaza i kowadło do kucia, mogliby mu

zbudować trebusz w tydzień. Tal odparł na to, że katapulty w zupełności mu wystarczą, zresztą i tak prawdopodobnie będą miały okazję wystrzelić swój kamienny ładunek tylko raz, zanim Raven i jego ludzie rzucą się do ucieczki.

Patrząc w dół na ściany palisady, Tal widział miejsca, gdzie inżynierowie wzmocnili umocnienia, w razie gdyby atakujący zdecydowali się użyć tarana. Było raczej mało prawdopodobne, że będą mieli ze sobą ciężki, okuty żelazem taran, ale mogło im przyjść na myśl użycie zwykłego wielkiego drewnianego bala, toczzonego na drewnianych kołach, który mogliby spuścić w dół drogą prosto w kierunku bramy. Taran raczej by się odbił od wrót, o ile nie wpadłby wcześniej do któregoś z wilczych dołów wykopanych wzdłuż drogi. Tal z satysfakcją pomyślał sobie, że zrobił już wszystko, co powinno być zrobione.

A teraz czekali. Wartownicy dwa dni temu złożyli raport o gromadach uzbrojonych ludzi, kręcących się po południowych przełęczach i popasających na łąkach, zaledwie o pół dnia drogi od wioski na południe. Tal popatrzył na niebo. Był środek poranka, więc atak mógł nastąpić w każdej chwili. Spojrzał przez wioskę w kierunku południowej palisady. Jan Creed napotkał jego spojrzenie i kiwnął głową. W lasach panował spokój.

Tal zamyślił się. Nie był ekspertem w sprawach taktyki ani strategii. Podczas pobytu w Saladorze przeczytał co prawda kilka książek traktujących o tych zagadnieniach, ale nie posiadał żadnego praktycznego doświadczenia. Wszelkie umiejętności władania mieczem zdobył w pojedynkach i turniejach i nie wiedział, jak się nim posługiwać na polu bitwy. I dlatego właśnie musiał polegać na Janie Creedzie i jego doświadczeniu. W oddziale nie było takiego oficjalnego stanowiska, ale wszyscy wiedzieli, że Creed jest zastępcą dowódcy.

Trzydziestu najemników z oddziału Tala w obecnej chwili odpoczywało na progach domostw albo opierało się o palisadę, oszczędzając siły na nadchodzącą bitwę. Tal wysłał dwie dziesiątki mężczyzn do pobliskich wiosek, po dziesięciu do każdej, wraz z inżynierami, aby wzmocnić ich obronę.

Wszelkie doniesienia wskazywały na to, że na północ podąża więcej niż jeden oddział najemników. Było ich dwa, a może nawet trzy. Okazjonalnie Tala nawiedzał niepokój, że może Raven i jego banda zaatakują inną wioskę, pozostawiając Queala na pastwę innego oddziału i pozbawiając młodzieńca szansy na zemstę. Młody Orosin próbował wyrzucić te troski z umysłu i pozwolić przeznaczeniu kierować jego losem. W każdym razie ocali Orodonów przed klęską, jaka spotkała Orosinich. W końcu odnajdzie Ravana i pozostałych, którzy skrzywdzili jego rodaków, jeżeli nie w tej bitwie, to w następnej, jeżeli nie w następnej, to w jeszcze innej.

– Sygnał – odezwał się nagle Jasquenel.

Tal spojrział w kierunku, który wskazywał starzec, i zobaczył promienie słońca odbite od lusterka. Czekał i liczył błyski.

– Dwie setki konnych przejeżdżają przez południową przełęcz – powiedział, kiedy sygnał zaczął się powtarzać od początku. Szybko obliczył coś w myślach. – Będą tutaj za mniej niż godzinę. Creed! – zawołał.

– Tak, kapitanie?

– Dwustu jeźdźców zbliża się od południa!

Creed kiwnął głową, wiedząc, że każdy mężczyzna w wiosce usłyszał te wieści.

– Jesteśmy gotowi.

Tal przytaknął gestem. Byli gotowi. Wojownicy Orodonów ustawiali się wzdłuż palisady, ściskając w dłoniach zarówno swoją starą broń, jak i nowe miecze i łuki, które Tal przywiózł ze sobą na jednym z dwóch wozów. Jak

się domyślał, podobnie jak jego rodacy, Orodoni posiadali imponującą kolekcję własnej broni, która pod względem użyteczności wahała się od zdatnej do całkowicie bezużytecznej. Wiele mieczy stanowiło rodzinny skarb i pamiątkę przekazywaną z ojca na syna, wraz z towarzyszącą historią opisującą powstanie każdej rysy i wgłębienia na ostrzu. Miecze miały wielką wartość pamiątkową, ale rozpadłyby się wraz z pierwszym uderzeniem wrogiego oręża.

I podczas gdy Orodoni posiadali najlepsze łuki do polowań, broń bitewna była znacznie wydajniejsza. Ludzie z Queala nie byli głupcami. Odrzucili na bok własne krótkie łuki i z zapalem pochwycili refleksyjne łuki kompozytowe, które Tal zakupił w Roldem od pewnego kupca z Keshu. Pierwszy raz widział taki łuk w rękach Rondara, gdyż jeźdźcy Ashuntów właśnie z tej broni korzystali najchętniej, kiedy siedzieli na grzbiecie konia. Ramiona łuku wykonano ze zgrzewanych warstw kości i drewna. Końcówki ramion zakrzywiano mocno względem majdanu, a po nałożeniu cięciwy łuk przyjmował charakterystyczny, wygięty kształt. Mimo tego, że ramiona były dość krótkie, łuk dzięki wygięciu nabierał niewiarygodnej wprost siły. W rękach mocnego łucznika strzała wystrzelona z takiej broni mogła z łatwością przebić lekką zbroję, niczym bełt z kuszy. A Tal miał ze sobą także kusze. Kobiety Orodonów w ilości około tuzina stały w drzwiach budynków, uzbrojone właśnie w kusze. Gdyby brama została wyważona i jeźdźcy wdarliby się w obręb palisady, czekał na nich grad strzał i bełtów, nadlatujący w każdego zakamarka i zaułka.

Starsze dzieci również ścisnęły broń w rękach. Każde dziecko, które skończyło dziesięć lat, dostało krótki sztylet, a starsi chłopcy i dziewczęta zostali nauczeni, jak się naciąga, ładuje i strzela z kuszy. Tal musiał opowiadać tylko raz, pierwszej nocy przy ogniu, co się stało z kobietami i

dziećmi z jego wioski, aby przekonać mężczyzn, żeby odstąpili od tradycji zamykania rodzin w okrągłym domu podczas walki. Mężczyźni Orodonów byli kochającymi ojcami i mężami i szybko nauczyli swoje żony i dzieci, jak się walczy i broni swego życia.

Creed opuścił południową palisadę, przeszedł przez wioskę i wdrapał się po drabinie, żeby stanąć obok Tala.

– Chciałbym, żebyś pozwolił mi zebrać oddziałek dwunastu chłopów i wypuścić się do lasu, kapitanie.

– Wiem, i gdybym nie wysłał już dwudziestu ludzi do sąsiednich wiosek, z chęcią bym ci na to pozwolił.

– To ich załamię, jeżeli skopimy im tyłki, gdy będą właśnie zastanawiać się, czy aby nie zrezygnować. Znam najemników, i podczas gdy Raven jest może szalonym mordercą, niektórzy z jego chłopów zrezygnują, jeżeli się przekonają, że idą prosto w krwawą pułapkę. Nie każdy z nich myśli o sobie jako o nieśmiertelnym wojowniku.

– Możemy ich zniechęcić stąd.

– Cóż, powiem to po raz kolejny – westchnął Creed. – Te doły, które im zagradzają drogę, nas trzymają w środku. – Pokazał rękaw kierunku palika wyznaczającego bezpieczne przejście. – Musimy iść w kierunku tej gałęzi, a potem do głazu, żeby się wydostać. Po tym, jak już kilku z nich wpadnie do dołu, zorientują się, gdzie jest bezpieczna droga. Raven może ustawić trzech łuczników, o tam – pokazał miejsce pomiędzy drzewami o względnie bezpiecznym położeniu – i całkowicie nas uwięzi, a sam będzie miał czas na przegrupowanie. Jeżeli nie zabijemy co najmniej połowy jego ludzi, dojdzie do masakry i ten krwawy bękart szybko się zorientuje w sytuacji. – Nagle przerwał i przez chwilę węszył w powietrzu. – Dym!

– Tak! – przytaknął Jasquenel. – Dym smolny.

– Mają zamiar nas spalić – powiedział ponuro Tal. – Moją wioskę także spalili, kiedy dostali się do środka. – Odwrócił się do wojowników. – Łucznicy! – zawołał w języku Orodonów. – Strzelajcie najpierw do jeźdźców z pochodniami! – Potem powtórzył rozkaz we wspólnej mowie. Łucznicy stojący na palisadzie odkrzyknęli mu na znak, że zrozumieli komendę. Tal zwrócił się do Creeda.

– Wróć lepiej na południową ścianę. Mają zamiar uderzyć na nas tam i tutaj, jestem tego pewien.

Creed kiwnął głową i powrócił na swój posterunek. Chwilę później wartownik stojący na południowym rogu palisady pokazał ręką między drzewa.

– Widzę ruch w lesie! – zawołał.

Nagle spomiędzy drzew wypadli jeźdźcy, pędząc przez polanę.

– Celujcie dokładnie i nie marnujcie strzał! – zawołał Creed.

Tal patrzył zafascynowany, jak jeźdźcy zbliżają się szybko do pierwszej linii pułapek. Przypatrywał się twarzom, szukając Ravena albo jakiegoś innego mężczyzny, który wyglądałby podobnie do morderców jego rodziny. Ale nadjeżdżający byli zwykłymi najemnikami i Tal poczuł, jak jego serce kurczy się na myśl, że zabójcy z jego wioski mogliby pozostać bezkarni. A potem pierwszy jeździec dotarł do linii pułapek. Przez krótką chwilę Tal zastanawiał się, czy płótno przykryte ziemią nie jest za mocne, gdyż kopyta konia uderzyły w nie i nic się nie stało. Ale moment później płótno i podtrzymujące je paliki runęły, a koń wpadł do dołu. Krzyk mężczyzny połączył się z kwikiem konia, kiedy upadli jednocześnie i nadziali się na zastrzone pale wbite w dno pułapki. Pęd koni był zbyt duży, aby jeźdźcy z pierwszej i drugiej linii zdołali wyhamować, zanim sami wpadliby do dołów. Kilku miało na tyle szczęścia, że udało im się zmusić konie do

skoku nad jamami i wylądować na twardym gruncie mniej niż metr za pułapką, ale dwa skoki dalej napotkali kolejną linię wykopanych przeszkód.

Kiedy czwarta linia napastników zdołała wreszcie wyhamować, Tal podniósł rękę.

– Katapulty! – zawołał.

Dwóch chłopców, którzy zostali obarczeni obowiązkiem strzelania z machin wojennych, napało mocno na dźwignię zwalniającą potężne ramię katapulty, miotając w powietrze wielkie kosze wypełnione kamieniami wielkości pięści. Pociski pomknęły w kierunku tuzina jeźdźców, zrzucając wielu z nich z koni, raniąc i zabijając wielu napastników. Tal szybko policzył nacierających i doszedł do wniosku, że trzydziestu albo więcej jeźdźców zostało wyeliminowanych z walki na skutek ran albo śmierci. Jego ludzie nie odnieśli na razie żadnych ran. Wiedział, że to się wkrótce zmieni. A potem dostrzegł Ravena. Przywódca najemników wyłonił się spod osłony drzew, nawołując swoich ludzi i nakazując im przegrupować szyki. Ci, którzy podjechali blisko do palisady, zostali zabici przez łuczników i każdy z jeźdźców niosących pochodnie stracił życie, przebity pół tuzinem strzał, zanim zdołał rzucić swój ognisty pocisk. Nawet ze swoim doskonałym wzrokiem, Tal nie mógł wyraźnie zobaczyć rysów twarzy Ravena, ale mógł sobie wyobrazić, że kapitan najemników szaleje z gniewu, wyrzaskując rozkazy swoim przerażonym i spanikowanym ludziom. Oczekiwali oni łatwego zarobku. Palenie i niszczenie śpiącej wioski, okupione kilkoma zaledwie ofiarami, w przeciągu pierwszych pięciu minut zamieniło się z coś w rodzaju pogromu, z prawie jedną czwartą oddziału wybitą albo ciężko ranioną i niezdolną do dalszej walki.

Nagle Tal zdał sobie sprawę, że był zbyt ostrożny. Gdyby pozwolił Creedowi poprowadzić pół tuzina łuczników i ukryć ich w lesie za plecami ludzi Ravena, jedna czy dwie salwy strzał kompletnie złamałyby ducha w

najemnikach. Uciekaliby teraz jak spłoszone zające, zamiast przegrupowywać się w celu podjęcia nowego ataku. Raven nie zamierzał pozostawić wioski w spokoju, ale knuł jakiś mroczny plan. Tal obserwował, jak napastnicy zsiadają z koni i znikają w lesie. W przeciągu kilku minut obrońcy mogli usłyszeć uderzenia siekier i odgłos walących się drzew.

– I co teraz?! – zawołał Tal do Creeda.

– Wydaje mi się, że ma zamiar zrobić coś z wilczymi dołami! – odkrzyknął Creed, machając rękaw kierunku odkrytych pułapek i zrytej ziemi wokół nich.

Tal rozejrzał się dookoła i zobaczył, że wszyscy stoją ciągle na swoich pozycjach. Zbiegł w dół po drabinie, przeszedł przez placyk i wdrapał się na palisadę obok Creeda.

– Miałeś rację co do tych łuczników w lesie, więc od tej pory będę uważniej słuchał twoich rad.

– Ciągle jeszcze mogę wyprowadzić paru mężczyzn przez północną ścianę – odparł Creed. – Ale to już nie będzie zaskoczeniem. Myślę, że powinniśmy teraz siedzieć spokojnie i czekać, aż Raven pokaże nam, co tam dla nas przygotował.

– A ty co byś zrobił, gdybyś był Ravenem?

– Podkuliłbym ogon i zmykałbym przez te góry na południe, ale w końcu ja nie jestem takim mordercą fanatykiem, który boi się przyznać swemu panu do klęski. Nie, sądzę, że on buduje zasłony dla swoich ludzi, żeby mogli bezpiecznie podejść pod bramę. I robi rampy, żeby przerzucić je nad dołami. Potem spróbuje wysłać swoich ludzi pod palisadą na tyle blisko, żeby udało im się podłożyć ogień. I wtedy albo spali się brama i wejdzie do wioski, albo sami obrońcy wyjdą mu na spotkanie i wtedy ich załatwi.

– Jak sobie poradzimy z tymi osłonami?

Creed zaklął.

– Gdyby to było zwyczajne oblężenie, te osłony wykonaliby fachowcy. Byłyby wielkie, toczne na kołach, z półeczką ukrytą pod dachem albo z pomieszczeniem dla wojowników, gdzie mogliby ukryć się przed strzałami. Potem wystarczyłoby podjechać pod bramę albo w pobliże murów, gdzie inżynierowie podkopaliby fundamenty i zawaliliby całe fortyfikacje. My z kolei lalibyśmy wrzący olej albo rzucalibyśmy haki i liny, żeby przewrócić takiego żółwia...

– Ale my nie jesteśmy w zamku, a oni nie budują niczego tak skomplikowanego. Jak myślisz, co oni robią?

– Wydaje mi się, że zrobią coś na kształt skorupy, pod którą ukryje się pół tuzina albo coś koło tego mężczyzn i zasłonięci przed naszymi strzałami podejną na tyle blisko do palisady, żeby coś zrobić. Jeżeli mają odpowiedni rodzaj oleju, mogą podpalić cały fragment palisady, a tym samym zrobić w niej wyłom.

Tal obejrzał się do tyłu na chłopców stojących obok katapulty.

– Czy możecie naładować to znowu?! – zawołał do nich.

Jeden ze starszych chłopców pokiwał entuzjastycznie głową.

– Widziałem, jak się je ładuje! – zawołał.

Złapał za długą tyczkę i wsunął ją w otwór na czubku ramienia katapulty.

– Chodźcie, potrzebuję waszej masy! – zawołał do przyglądających się chłopców.

Chłopcy uwiesili się na końcu tyczki i przygięli wyprostowane ramię katapulty z powrotem do wyjściowej pozycji. Jedna z kryjących się w pobliskim budynku kobiet podbiegła, żeby im pomóc. Nagle w pobliżu katapult znalazły się wszystkie kobiety i dzieci z okolicy, naginając ramiona i ładując kosze.

– Włóżcie do koszy wszystko, co waszym zdaniem może zrobić krzywdę! – zawołał Tal. – Chciałbym, żebyśmy mieli już drugą rundę za sobą – powiedział do Creeda. – Mogłem rozkazać, żeby wnieść do środka więcej kamieni.

– Nie ma sensu martwić się tym, co powinno być zrobione – pocieszył go Creed. – Lepiej zastanów się, co Raven może teraz wymyślić.

– Jak uważasz, kiedy wykona następny ruch?

Creed rozejrzał się dookoła i zamyślił się, rozważając przez dłuższą chwilę posunięcia Ravena.

– Myślę, że będzie czekał na zapadnięcie zmroku – odezwał się w końcu. – Jeżeli zaatakuje nas w ciemnościach, stracimy tę odrobinę przewagi, jaką mamy nad nim teraz. Będzie mógł przerzucić rampy ponad dołami a nasi łucznicy o zmroku nie będą mieli tak doskonałej celności jak za dnia. Może także wysłać mały oddziałek na wschodnie zbocze i przemycić do wnętrza paru ludzi, kiedy reszta zajmie nas przy zachodniej bramie.

Przewidywania Creeda okazały się trafne. Przez całe popołudnie obrońcy słyszeli dźwięk uderzeń siekier i młotów, ale napastnicy nie zaatakowali. A potem, o zachodzie słońca, kiedy ostatnie promyki światła odbijały się od brzuchatych chmur na wysokim zachodnim niebie, odgłosy budowy umilkły. Przez długie minuty mieszkańcy wioski wyglądali, jakby wstrzymali oddech. Lekki wietrzyk poruszał gałęziami, a ptaki ćwierkały swoje wieczorne pieśni, ale poza tym panowała cisza. Potem obrońcy usłyszeli niski, dudniący dźwięk, odgłos butów miażdżących cienkie patyki i parskanie koni. Chwilę później spomiędzy drzew wyłonił się długi drewniany pomost, a po nim zółw. Wyglądał jak płaskodenna łódź o kanciastych kształtach, o długości około sześciu metrów. Nieśli ją mężczyźni idący w równej linii, podtrzymujący drewno w rękach

wyciągniętych nad głową. Tal złapał za swój hak, chociaż odległość od napastników ciągle wydawała mu się zbyt duża na pewny strzał w tak niekorzystnym oświetleniu. Nagle ludzie niosący żółwia zawrócili pod drewnianą osłoną i zaczęli iść w kierunku palisady, a za nimi ruszyli najemnicy ciągnący drewniany pomost.

– Czy strzelanie do nich coś da? – zapytał Tal Creeda.

– To świeżo cięte drewno. Cholernie surowe. Gdybyśmy mieli olej naftowy, który przylepia się do drewna, może... – Creed wzruszył ramionami. – Możemy to osmalić w paru miejscach, ale z pewnością nie zajmie się ogniem.

Z palisady po drugiej stronie bramy wystrzelono strzałę. Uderzyła w ziemię kilka metrów przed nadciągającym żółwiem.

– Oszczędzajcie strzały! – zawołał Tal. Potem zwrócił się z powrotem do Creeda. – Mam plan – powiedział.

– To dobrze – odparł Creed. – Zawsze lubię, kiedy mój kapitan ma plan. To sprawia, że śmierć staje się mniej przypadkowa.

– Weź paru mężczyzn i zdejmijcie zapory z bramy.

Creed zmarszczył czoło.

– Chcesz, żeby sforsowali bramę?

– W odpowiednim czasie.

Creed kiwnął potakująco głową.

– Chodźcie za mną! – odwrócił się i zawołał do gromadki mężczyzn zebranych w pobliżu.

Szybko zabrali się do usuwania kłód i zapór, które wcześniej położono pod bramą, żeby uczynić ją mocniejszą i trudniejszą do sforsowania. Tal wodził wzrokiem od mężczyzn gwałtownie rozbierających barykadę, do żółwia nadciągającego przez pole na zewnątrz palisady. Żółw dotarł do

pierwszej linii pułapek i tam się zatrzymał. Ludzie niosący osłonę czekali na idących z tyłu, którzy mieli ze sobą pomosty.

– Strzały! – zawołał Tal.

Stojący na palisadzie łucznicy wycelowali i strzelili w kierunku napastników, wypuszczając strzały w ciemniejące niebo. Większość z pocisków wylądowała na ziemi, nie czyniąc nikomu szkody, chociaż kilka wrzasków wskazywało na to, że niektóre musiały osiągnąć cel. Tal nie sądził, że strzelanie cokolwiek pomoże, ale wiedział, że Raven zacznie coś podejrzewać, jeżeli obrońcy nie będą nękać atakujących, gdy ci zaczną przeprawiać się przez pułapki.

Ludnie Ravena, stękając z wysiłku, przerzucili pomost ponad pierwszą linią pułapek. Mężczyźni niosący żółwia cofnęli się lekko, a potem równo, noga za nogą, przymierzyli się do wejścia na mostek. Kiedy już poczuli drewno pod stopami, szybko przebiegli po pomoście na drugą stronę wilczego dołu. Kiedy dotarli na skraj drugiej linii pułapek, znów ustawili zasłonę bokiem, żeby jak najdokładniej ubezpieczać swoich towarzyszy niosących za nimi pomosty. Z lasu wyłoniła się druga grupa, niosąca drewniany mostek.

Tal mógł widzieć Ravena zwołującego swoich ludzi w zapadającym zmroku, chociaż nie potrafił rozróżnić słów dolatujących ze zbyt wielkiej odległości. W obrębie palisady zapalono pochodnie i Tal wpadł na pomysł udoskonalenia swojego planu. Odwrócił się i wyszukał na placu syna Jasquenela o imieniu Tansa.

– Zbierz tak dużo łatwopalnego materiału wokół katapult, jak tylko zdołasz! – zawołał do niego. – Bądź gotów je podpalić na mój sygnał.

Młody człowiek nie zawahał się, tylko przekazał polecenie innym. W przeciągu krótkiej chwili kobiety, dzieci i kilku starszych mężczyzn zniosło

naręcza osobistych przedmiotów powyciąganych z różnych domostw i poukładało je w stertach wokół katapult.

– Już skończyliśmy! – zawołał z dołu Creed.

– Zostańcie na swoich miejscach! – odkrzyknął Tal. Zbiegł z drabiny. – Powiem wam, co macie robić. Weź tuzin swoich ludzi i konie i ukryj ich pod wschodnią palisadą. Bądźcie gotowi do jazdy na mój rozkaz. Chcę, żebyś pozostałych mężczyzn ukrył za tym budynkiem, o tam – pokazał na pierwszy dom po prawej, zaraz przy wejściu do wioski. – Mają zejść z widoku, kiedy brama padnie. Chcę, żeby Raven myślał, że ma drogę wolną i może wreszcie dobrać się do mieszkańców. Modlę się, żeby tutaj wpadł, wściekły jak wszyscy diabli i nieświadomy, że oprócz gromadki orodońskich górali czeka go coś jeszcze.

– Co zamierzasz zrobić?

– Zamierzam wejść na palisadę i siedzieć tam z największą liczą Orodonów, jaka się tam ze mną zmieści.

– Człowieku, spalisz się.

– Nie, jeżeli zejdem w odpowiednim czasie.

Creed wzruszył ramionami.

– No cóż, jaki będzie sygnał do ataku?

– Ode mnie się go nie spodziewajcie. Nie ma takiej możliwości. Będzie zbyt głośno. Powiedz komukolwiek, kogo uważasz za wystarczająco rozgarniętego, żeby wrzasnął, kiedy Raven i jego ludzie znajdą się w obrębie palisady, a potem sam krzyknij do ludzi ukrytych z tyłu budynku, żeby natarli na wroga od drugiej strony. Kiedy dojdiesz do wniosku, że ta chwila nadeszła, sam wypadnij na nich konno, a wtedy przejedziemy się po nich ostro.

– Kapitanie, to szaleństwo. Mamy zaledwie dwa tuziny ludzi, podczas gdy Raven wpadnie tutaj z ponad setką najemników.

– Ta różnica się zmniejszy, kiedy na nich uderzymy. A poza tym Raven nie wie, ilu mamy konnych. Postaraj się robić tak dużo hałasu, jak tylko możesz. Przez ten dym on nie będzie w stanie was policzyć.

– Dym?

Tal pokazał na katapulty, gdzie mieszkańcy wioski z wielkim zapalem układali sterty łatwopalnych materiałów i szmat. Creed potrząsnął głową.

– Ten morderca przybywa, żeby spalić to miejsce do gołej ziemi, a ty zamierzasz go w tym wyręczyć?

Tal zaśmiał się.

– Ci ludzie zawsze mogą odbudować swoją wioskę, ale muszą żyć, żeby to zrobić. – Zastanowił się przez chwilę. Miał pod sobą trzydziestu najemnych żołnierzy i kolejnych dwudziestu pięciu wojowników Orodonów. Ponadto do walki nadawało się kilkunastu wyrośniętych chłopców, podobnie jak około trzydzieści silnych kobiet, które także mogły się na coś przydać. – Jeżeli uda mi się obniżyć liczbę żołnierzy Ravena do około siedemdziesięciu, zanim ty na nich wypadniesz, nasze i ich siły będą w miarę równe.

– To będzie rzeź – podsumował Creed.

– Ci ludzie walczą o życie, Janie. A ludzie Ravena? O co oni się biją?

– O złoto, ale oni są twardymi, doświadczonymi wojownikami i... – Creed potrząsnął głową, zrezygnowany. – Ty jesteś dowódcą i niech mnie diabli, jeżeli mam lepszy plan od ciebie, więc lepiej zróbmy to po twojemu.

Krzyk z palisady poinformował Tala, że przerzucono mostki ponad drugą linią pułapek.

– Wybierz najlepszych jeźdźców, Janie – powiedział do Creeda. – I niech bogowie będą z nami dzisiejszej nocy. – Potem odwrócił się i pobiegł do drabiny, wspiął się szybko na umocnienia i zaczął wydawać ludziom rozkazy, co mają dalej robić.

Wszyscy najemnicy zeszli z palisady, część udała się pod południową ścianę, inni schowali się za budynkiem, jak im kazano.

– Potrzebuję odważnych mężczyzn – zwrócił się do Jasquenela, którzy będą tutaj ze mną stać i strzelać do ludzi Ravena, kiedy tamci znajdą się w obrębie palisady.

– Zostaną tutaj wszyscy nasi mężczyźni, jeżeli sobie tego życzysz.

– Potrzebuję tylko dziesięciu – odparł Tal. – Pięciu po tej stronie bramy ze mną i kolejnych pięciu po drugiej stronie. Wybierz najlepszych myśliwych. Ale muszą zachowywać się tak, żeby najeźdźcy pomyśleli, że jest nas na palisadzie więcej niż dziesięciu, więc powiedz im, żeby wrzeszczeli i poruszali się ciągle po pomostach.

– Tak zrobią.

– Powiedz innym, żeby poszli do tego budynku pod nami – pokazał na dom położony naprzeciwko tego, za którym właśnie Creed ustawiał osiemnastu najemników. – Niech tam czekają. Kiedy zobaczysz, że moi ludzie wybiegają zza tamtego budynku i atakują wroga, ty także rozkaż swoim zaatakować. Poślij do walki wszystkich, którzy są do tego zdolni. – Przerwał na chwilę. – I powiedz kobietom, żeby zaczęły krzyczeć, jakby patrzyły na śmierć swoich dzieci, kiedy podłożę ogień w tamtym miejscu. – Pokazał na katapulty. – Powiedz im, żeby zawodziły, jakby już wszystko było stracone, ale chcę, żeby kobiety także dostały broń i były gotowe stanąć w obronie swoich dzieci.

– Będą gotowe, Szponie Srebrnego Jastrzębia – obiecał Jasquenel, lekko skłaniając głowę. – Nieważne, co wydarzy się tej nocy, Orodoni będą śpiewać z szacunkiem pieśni o tobie, ostatni z Orosinich.

Tal uścisnął jego ramię.

– Niech nasi przodkowie obserwują nasze poczynania i uśmiechają się, dumni z naszej odwagi.

– Niech tak będzie – powtórzył wódz i zaczął wydawać rozkazy swoim ludziom.

Patrząc w dół z pomostu na którym stał, Tal zobaczył, że żółw jest już prawie pod ścianą. Strzały wbijały się w drewno i osłona wyglądała jak kolczasty jeżozwierz. Inne po prostu odbijały się od żółwia, nie czyniąc mu żadnej szkody.

– Oszczędzajcie strzały! – zawołał.

Żółw tkwił pod bramą prawie przez pół godziny. Tal zastanawiał się, co napastnicy tam robią, a potem zobaczył, jak najemnicy odsuwają się od bramy. Patrząc w dół, dostrzegł jakiś przedmiot leżący tuż pod wrotami, chociaż z powodu ciemności nie wiedział, co to jest takiego. Pobiegnął na dół i przebił się do miejsca, gdzie ukrył się Creed i jego ludzie. Opisał mu obcy przedmiot.

– To skóry, pełne czegoś obrzydliwego, czegoś, co się pali – powiedział Creed. – Poczekaj, aż ich łucznicy wystrzelą w to płonąca strzały.

Tal kiwnął głową.

– Dzięki. Powodzenia.

Pobiegnął z powrotem i dotarł na szczyt palisady w tym samym momencie, w którym stojący u boku Ravena łucznicy zaczęli właśnie zapalać strzały. Tal nałożył cięciwę na swój własny łuk i wbił wzrok w ciemność. Jeżeli łucznicy wroga stali na tyle blisko, żeby trafić w zawiniątko ze skór, oznaczało to, że oni także są łatwym celem. Kiedy tylko wystrzelono pierwszą płonąca strzałę, Tal wymierzył i strzelił w kierunku wroga. Łucznik wrzasnął. Tal wyciągał strzały z kołczana i strzelał tak szybko, jak tylko był w stanie. Pięciu z łuczników Ravena zostało zabitych albo ciężko rannych, z daleka trudno było to stwierdzić, zanim wreszcie jakaś strzała uderzyła w stojący przed bramą worek z olejem i zapaliła go.

Tak jak przewidział to Creed, w skórach było coś okropnego, czyli śmierdzący olej, który palił się mocno i dawał dużo ciepła. Podniósł się czarny dym i wypełnił płuca obrońców stojących na palisadzie. Tal i inni zaczęli gwałtownie kaszleć, ale nie zeszli z posterunku. Mrugając powiekami, żeby strącić łzy wywołane dymem, Tal czekał.

Brama paliła się przez dziesięć minut, a Tal kulił się nisko poza górną krawędzią palisady. Słyszał trzaskanie drewnianych bali i omywały go fale gorąca. Wiedział, że wiązania pomiędzy balami wkrótce się przepalą i brama się rozpadnie.

Chwilę później drewniane belki puściły i wejście do wioski stanęło otworem. W pewnej odległości Tal usłyszał głos wołający najemników, a potem zagrzmiały kopyta i setka mężczyzn pogalopowała w kierunku pierwszego mostka.

Tal podniósł tuk.

– Przygotujcie się! – rozkazał i czekał, aż pierwszy jeździec znajdzie się w zasięgu strzały z tuku.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

BITWA

Tal wycelował.

Pierwszy z jeźdźców znalazł się w zasięgu i spadł z konia, przeszyty strzałą łucznika, któremu dopisało szczęście. Tal przyłączył się do strzelających chwilę później i kolejny z najemników Ravena z wrzaskiem stoczył się z siodła.

Tal odwrócił się i zamachał do chłopców zebranych przy katapultach.

– Ognia! – zawołał.

Chłopcy, trzymający dźwignie zwalniające ramiona katapult, szarpnęli za nie, i kamienie, połupane garnki, meble i nawet kuchenne utensylia poleciały w kierunku wroga.

– Podpalcie je!

Nasączone olejem kupy szmat zapalono od pochodni i od strony katapult podniósł się czarny dym. Chłopcy rozbiegli się w kierunku swoich pozycji. Starsi wzięli łuki, które dla nich przygotowano i przygotowali się, aby ustrzelić każdego jeźdźca, który znajdzie się w zasięgu ich strzału.

Tal ponownie zwrócił swoją uwagę na atakujących i zaczął strzelać. Zabił co najmniej dwóch, zanim gromada jeźdźców wpadła na główny plac w wioski. Dym z płonącej bramy znacznie ograniczył widoczność, ale ogień z katapult nagle oświetlił napastników.

– Powiedźcie innym, żeby zaczęli krzyczeć! – zawołał Tal do kobiety stojącej poniżej.

Kiwnęła głową i natychmiast powietrze wypełniło się wrzaskami strachu, jękami kobiet i wyciem, jakby na oczach matek zabijano niemowlęta i dzieci.

Jeźdźcy, którzy właśnie wpadli przez bramę, zaczęli rozglądać się dookoła, zdziwieni i dezorientowani. Słyszeli wrzaski, ale nie widzieli żadnej kobiety. Nikt ich nie atakował. Zamiast tego spadał na nich grad strzał wypuszczanych przez ludzi na palisadzie. Wkrótce jeźdźcy rozpierchli się, żeby szukać schronienia pod ścianami domów.

– Zsiadajcie z koni! – zawołał jeden z napastników, zeskakując z konia i chowając się za jego szyją. – Są tam wysoko, na palisadzie! – Pokazał ręką.

Tal i inni wypuszczali strzały tak szybko, jak tylko potrafili, trzymając napastników skupionych na placu.

– Zostańcie na pozycjach i strzelajcie! – zawołał Tal w języku Orodonów.

Ignorując drabinę, zeskoczył na dach pobliskiego budynku. Potem, kolejnym skokiem, znalazł się na skraju dachu i rzucił się na najbliższego jeźdźcę, który mimo rozkazu pozostał w siodle. Ściągnął najemnika na ziemię i wyjął miecz z pochwy, przetaczając się na bok i wstając. Jeździec także zdołał już wyciągnąć miecz i nawet przyjął pozycję, ale umarł, zanim zdołał się zorientować, gdzie stoi jego przeciwnik.

Tal tkwił teraz w środku zamieszania czynionego przez ponad setkę mężczyzn. Próbowali oni utrzymać się na oszalałych ze strachu i oślepionych dymem koniach. Tal słyszał wrzaski umierających i świst strzał przecinających powietrze. Czasami strzała uderzała w konia, który wspinał się albo kopał jak oszalały, a zwierzęta w jego pobliżu wpadały w panikę i ponosiły wraz z jeźdźcami. Więcej niż jeden z napastników nagle upadał, powalony przez oszalałego konia, albo był wleczony kilka metrów za wierzgającym zwierzęciem.

Tal nurkował pod końskimi szyjami, zabijając każdego człowieka, jaki się znalazł w zasięgu jego miecza. Sześciu ludzi leżało na ziemi martwych albo umierających, zanim najemnicy zorientowali się, że ich wróg jest pomiędzy nimi, w środku szeregów. Kiedy tylko zaczęli wydawać rozkazy, Jan Creed wypuścił na nich swoich ludzi.

Najemnicy Creeda wypadli zza budynku, gdzie się chowali, a chwilę później na zaskoczonych najemników natarli z przeciwnej strony wojownicy Jasquenela. Najeźdźcy ciągle przewyższali obrońców liczbowo, ale zaskoczenie i zaciekłość obrońców sprawiła, że siły Tala nie ustępowały pola.

Przez chwilę wydawało się, że walka jest dosyć wyrównana, gdyż przeważające siły wroga zostały zamknięte przez obrońców, a Tal poruszał się między nimi jak wcielona śmierć, zabijając z krwawą skutecznością. Jego przeciwnicy widzieli go tylko przez moment, a potem zniknął za szalejącym koniem, pokazując się na chwilę to tu, to tam, przestępując właśnie nad ciałem zabitego wroga.

Ale napastnicy powoli odzyskiwali kontrolę nad sytuacją i szybko zaczęli odpierać atak Orodonów i najemników.

– Atakujcie! – wołał Tal w języku Orodonów, a potem powtarzał komendę we wspólnej mowie.

Konie galopowały przez wioskę, wypadając pojedynczo przez otwartą bramę. Bitwa zaczęła przybierać niedobry obrót. Tal znalazł się nagle w otoczeniu sześciu mężczyzn i w tym momencie poczuł na sobie tchnienie śmierci.

A potem człowiek stojący naprzeciwko niego dostał strzałę prosto w szyję, a inny, odcinający mu drogę ucieczki, upadł z niewidzącym wzrokiem wbitym w Tala, uderzony od tyłu mieczem przez Jana Creeda. Tal obrócił się i uderzył mieczem z całą siłą, jaką posiadał, zdejmując

głowę z ramion kolejnego napastnika i tym samym cięciem raniąc w ramię mężczyznę stojącego obok.

Tuzin ukrytych pod wschodnią palisadą jeźdźców zaatakował.

Napastnicy obrócili się i zobaczyli konnych wynurzających się z dymu, wrzeszczących i napierających na nich, i wielu najemników zaczęło uciekać z pola walki. Większość podążyła za nimi i bitwa przerodziła się w pościg.

Ci, którzy byli w stanie, dosiadali koni i uciekali przez polanę w kierunku lasu, podczas gdy inni biegli na własnych nogach. Wielu zginęło od strzał wypuszczanych przez ciągle stojących na palisadzie łuczników.

– Stójcie! – zawołał Tal.

Orodoni i najemnicy zatrzymali się i zaprzestali pościgu.

– Nie chcemy się tam z nimi ganiać w ciemnościach! – krzyknął Tal. – Stracimy wszystko, co zyskaliśmy!

Orodoni zaczęli się cieszyć. A potem ludzie ruszyli do gaszenia pożarów, czerpiąc wodę z wioskowej studni i atakując mniejsze płomienie kocami i przysypując je ziemią.

Przez całą minutę mieszkańcy i najemnicy uderzali się po plecach, gratulując sobie zwycięstwa i ciesząc się. Niebawem jednak poczęli odkrywać porozrzucane po całej wiosce i pod palisadą zwłoki swoich towarzyszy, którzy nie mieli tyle szczęścia. Tal właśnie miał rozkazać Orodonom przeszukać wioskę w celu odnalezienia zabitych i rannych, którym można jeszcze pomóc, kiedy z palisady dobiegł go okrzyk.

– Zatrzymali się!

Tal pobiegł szybko do bramy, która teraz przypominała raczej wyrwę w palisadzie z tłącą się kupą drewna po obu stronach przejścia, i popatrzył na las. Płonący za nim ogień oślepił go, tak że niewiele widział w ciemnościach nocy i prawie minutę zajęło, zanim wzrok przyzwyczyił mu

się do zmiany oświetlenia. Wreszcie mógł zobaczyć, co się dzieje po drugiej stronie polany.

Raven nadciągał na czele ocalałych najemników!

Tal nie mógł sobie pozwolić na wahanie.

– Wszyscy na miejsca! – zawołał. – Wracają. – Zwrócił się do kilku pozostałych przy życiu łuczników. – Właźcie na palisadę! Celujcie dokładnie. – Położył lewą rękę na ramieniu Jasquenela. – Powiedz starszym dzieciom, żeby zabrały młodsze do lasu. Teraz. Ale niech kobiety zostaną w wiosce i walczą, dopóki się da.

– Masz lepszy wzrok niż ja – odezwał się Creed. – Ja widzę tylko jakieś poruszenie.

Ogień za ich plecami oświetlał przestrzeń przed bramą mniej więcej do połowy długości polany i większość mężczyzn zebranych wokół Tala mogła zobaczyć tylko jakieś zamieszanie na skraju ciemności.

– Nadchodzą – powiedział im, co widzi. – Większość idzie pieszo, ale wydaje mi się, że widzę około dwunastu koni wyłaniających się z lasu. Stoimy tutaj! – wrzasnął nagle.

– Cóż, zawsze wolałem walkę na stojąco od bitwy w biegu czy rzezi uciekających – powiedział filozoficznie Creed. – Ilu ich jest? – zapytał Tala ściszym głosem.

– Więcej niż nas – odparł Tal.

– Cóż, to nie pierwszy raz.

Tal podbiegł do resztek bramy, mrugając powiekami, żeby oczyścić oczy z gryzącego dymu, i ponownie zaczął wpatrywać się w mrok.

Kiedy tylko cienie zaczęły wyłaniać się z mroku, Tal zorientował się, że Raven zdołał zebrać swoich ludzi i ustawić ich w coś na kształt zorganizowanej formacji. Nacierali w trzech szeregach, w każdym około dwudziestu mężczyzn. Pierwsza linia trzymała w dłoniach przed sobą duże

tarcze. Najemnicy drugiej linii uzbrojeni byli we wszelkiego rodzaju broń drugą, którą wyciągali przed sobą. Mieli halabardy do zrzucania jeźdźców z koni, włócznie, nawet dwie lance. W trzeciej linii szli łucznicy.

– Zostawcie w spokoju ludzi w pierwszych szeregach! – zawołał Tal do mężczyzn stojących na palisadzie. – Zabijajcie łuczników, jeżeli dacie radę!

– Przygotował się na wypadek szarży konnej – zauważył Creed.

Tal kiwnął głową.

– Straszna szkoda, że nie możemy mu jej zapewnić. On nie ma pojęcia, że nasza kawaleria składała się z tuzina najemników, którzy obecnie stoją tutaj z nami.

Dwa tuziny dzieci – najstarsze niosły niemowlęta i te, które słabo chodziły – przebiegły obok nich, wymykając się przez bramę. Kryjąc się w cieniu palisady, popędziły na południe do lasu.

Na placu pojawiły się kobiety, większość uzbrojona w przedmioty, które kiedyś należały do ludzi Ravena. Tal rozmieścił je za budynkami po prawej i lewej stronie od bramy, każąc im natrzeć na napastników od tyłu, kiedy tylko trzecia linia łuczników znajdzie się w obrębie palisady.

Tal umieścił resztę swoich sił tak blisko płonących katapult, jak tylko było to możliwe. Płomienie znacznie się już zmniejszyły, ale ciągle było tam strasznie gorąco, co mogło zniechęcić każdego do podchodzenia bliżej. Ponadto obrońcy będą jedynie cieniami na tle płomieni, a napastnicy, kiedy już znajdą się na placu, zostaną doskonale oświetleni przez ogień.

Kiedy atakujący dotarli do pierwszego mostka, pierwsza linia ustawiła się w pary i zaczęła przechodzić, trzymając tarcze wysoko nad głowami dla ochrony przed łucznikami. Oczekiwana chmara strzał nie pojawiła się jednak, gdyż obrońcy czekali, aż łucznicy Ravena znajdą się w zasięgu strzału.

– Gotuj się! – zawołał Tal i nagle pierwsza linia napastników zaatakowała. – Trzymajcie pozycje!

Wznosząc bojowe okrzyki, dwudziestu mężczyzn z pierwszej linii wpadło do środka wioski i rozpoczęła się bitwa. Tal pożałował, że nie poświęcił więcej czasu na ćwiczenia walki z przeciwnikiem posługującym się tarczą, kiedy trenował w Saladorze. Może i był najszybszym szermierzem, jaki walczył kiedykolwiek w Akademii Mistrzów, ale człowiek z tarczą stanowił dla niego trudny orzech do zgryzienia.

Odgłos zwalnianych cięciw powiedział Talowi, że łucznicy po obu stronach wreszcie mają zajęcie. Słyszał w pobliżu wrzaski i okrzyki bólu i wywnioskował z nich, że łucznicy Ravena strzelają do obrońców na ziemi, ignorując garstkę strzelców stojących na palisadzie, która zasypuje ich gradem strzał. Miał nadzieję, że jego własni łucznicy szybko zredukują liczbę wrogich najemników.

Tal ciął i pchał mieczem tak szybko, jak jeszcze nigdy w życiu, próbując zarówno ochraniać towarzyszy walczących u jego boku, jak i bronić samego siebie. Napastnicy padali tylko po to, żeby zostać zastąpionymi kolejnymi najemnikami.

Talowi wydawało się, że czas płynie wolniej niż zwykle. Zadawał ciosy i parował pchnięcia prawie się nie zastanawiając, pozwalając swemu instynktowi szermierza przejąć kontrolę nad ruchami. Część jego umysłu próbowała przeniknąć panujący wokół chaos, ale najwyraźniej nie potrafił się uporać z tym, co widziały jego oczy.

Wielki najemnik z blizną na twarzy wrzasnął gniewnie i skoczył, uderzając go w twarz katem tarczy. Tal zatoczył się do tyłu i upadł, czując nagły ból w plecach. Przetoczył się na prawy bok i zdał sobie sprawę, że upadł na tłący się drewniany kloc, ciągle rozpalony do czerwoności, i poparzył sobie lewe ramię. Skoczył na nogi, podnosząc do góry miecz i

zobaczył, że najemnik z oszpeconą twarzą leży na ziemi, ściskając się za brzuch, a Jan Creed wyciąga właśnie ostrze miecza z jego ciała.

– Janie! – zawołał Tal i najemnik zanurkował w samą porę, żeby uniknąć ostrza w ręku kolejnego napastnika.

Tal wepchnął się pomiędzy Creeda i wojownika Orodonów i zabił najemnika, który prawie przeszył mieczem Creeda.

A potem po raz kolejny otoczył go bitewny zgiełk – uderzenia metalu o metal, zmęczone oddechy, okrzyki bólu i przerażenia, klątwy i nieartykułowane wrzaski wściekłości. Powietrze było gęste od smrodu krwi, kału, moczu, dymu i potu.

Nagle szaleństwo bitwy jeszcze się wzmoгло, kiedy ukryte kobiety wypadły nagle zza domostw i spadły na łuczników wroga, kiedy ci weszli do wioski. Łucznicy zostali zmuszeni do porzucenia łuków i wyciągnięcia mieczy, i w tym właśnie momencie kobiety zyskały nad nimi przewagę. Ignorując brak umiejętności posługiwania się bronią, rzuciły się na łuczników, zabijając około pół tuzina w pierwszej szarzy za pomocą sztyletów, kuchennych noży, pogrzebaczy i innych nietypowych rodzajów broni, jakie tylko wpadły im w ręce. Jedna z kobiet zabiła najemnika pchnięciem kościanej igły w oko. Potem wyłuskała nóż z jego stygnących palców i skoczyła na kolejnego mężczyznę.

Układ sił odwrócił się. Tal odstąpił na bok i przez chwilę widział wszystko bardzo wyraźnie, jakby oczyma malarza, który przypatruje się szczegółom. Czterech łuczników Orodonów ciągle pozostawało przy życiu; szyli nieprzerwanie w kierunku wroga kłębiącego się na placu wioski, celując dokładnie w najemników znajdujących się na obrzeżach tłumu walczących, żeby nie zranić nikogo ze swoich. Główne siły Ravena chwiały się, z jednej strony blokowane przez mężczyzn z wioski i najemników Tala, a z drugiej szarpane przez kobiety. Po raz pierwszy obrońcy mieli nad

wrogiem przewagę liczebną. Poza tym wszystkim Tal zobaczył coś, co sprawiło, że otworzył szeroko oczy ze zdumienia. Dwaj chłopcy, których wysłał do lasu z małymi dziećmi, wrócili, po cichu zebrali tuki porzucone przez napastników i zaczęli strzelać w stronę mężczyzn zaangażowanych w walkę z kobietami.

Tal wyczuł, że nadeszła właśnie chwila, na którą czekał.

– Wykończyć ich! – zawołał i skoczył prosto w wir walki. Zabił dwóch mężczyzn w pojedynczych walkach i nagle zauważył, że napastnicy zamierzają uciekać.

– Zabić ich wszystkich! – wrzasnął, żeby wystraszyć ludzi Ravena, ale także żeby wyzwolić gniew i nienawiść, jakie tkwiły w jego sercu od chwili, kiedy wymordowano całą jego rodzinę i przyjaciół.

Skacząc do przodu, odciął dłoń mężczyzny, który właśnie zamierzał zabić kobietę atakującą innego napastnika. Najemnik patrzył ze zdumieniem na kikut ręki, z którego sikała fontanna krwi, a potem do jego mózgu dotarł ból i szok i upadł na kolana, ściskając się za zranione przedramię. Tal przeciął mu gardło szybkim ruchem ostrza i mężczyzna upadł niczym szmaciana lalka. Życie uszło z jego ciała w jednym momencie.

Tal kopnął mocno pod kolano mężczyznę, który stał do niego tyłem, zrywając mu więzadła i wytrącając go z równowagi. Najemnik wypuścił tarczę z rąk, co pozwoliło orodońskiemu wojownikowi na pchnięcie mieczem i pozbawienie wroga życia.

Przez chwilę Tal prawie uległ przeważającym siłom trzech napastników, którzy postanowili go zaatakować wszyscy jednocześnie. Musiał nagle szaleńczo odparowywać potrójne ciosy ostrz, uderzające z oślepiającą prędkością. Na szczęście jednak mężczyzna po lewej stronie został uderzony od tyłu, a napastnik z prawej dostał strzałę w ramię, więc kiedy

już pozostał mu tylko środkowy najemnik, Tal poradził sobie z nim w jednym momencie.

Przedzierając się przez walczący tłum, zabił jeszcze dwóch napastników, jednego ominął i zawrócił gwałtownie w kierunku, z którego przyszedł. Zaczął poruszać się w lewo, gdy nagle stracił równowagę i poczuł obecność wroga za plecami.

Widząc ruch kątem oka, obrócił się. Coś wybuchło mu na twarzy i świat zamienił się w oślepiającą żółć, a potem w czerwień. Nagle wszystko załała czerń.



Tal odzyskał przytomność, kiedy poczuł, jak woda spływa mu po twarzy. Mrugnął powiekami i zobaczył Creeda klęczącego obok niego z chochlą wody w ręce. Nie słyszał odgłosów bitwy. Dochodziły do niego krzyki i inne hałasy, ale nie było to szczękanie metalu o metal, okrzyki bólu i klątwy.

– Co się stało? – zapytał, próbując usiąść. Zakręciło mu się w głowie z wysiłku.

– Spokojnie – powiedział Creed, kiedy jedna z kobiet Orodonów pomagała Talowi usiąść. – Ogłuszyli cię uderzeniem miecza. Ten najemnik chciał trafić mnie i właśnie brał zamach, kiedy mu się nawinałeś. Uderzył cię niechcący płazem, w przeciwnym bowiem razie siedziałbyś już w komnatach Lims Kragmy.

Na wzmiankę o nie cieszącej się dobrą sławą bogini, kobieta Orodonów wypowiedziała krótką modlitwę, żeby przebłagać mroczną panią za zuchwalstwo najemnika.

– Jak długo byłem nieprzytomny?

– Tylko kilka minut – odparł Creed, pomagając Talowi podnieść się na nogi. – Powoli.

Tal kiwnął głową i przyłożył dłoń do czoła. Mógł wyczuć pod palcami rosnący guz, a ból podpowiadał mu, że naprawdę ma szczęście nie straciwszy życia.

– Wolę być szczęściarzem niż dobrym fachowcem – powiedział, myśląc o Pasku po raz pierwszy od miesiący. Rozejrzał się dookoła. – Już po wszystkim?

– Tym razem uciekli naprawdę. Większość porzuciła broń i poddała się. Reszta wypadła za bramę i została zabita przez łuczników. Zaledwie kilku dopadło do drzew i uciekło.

– A Raven?

– Podejrzewam, że właśnie ucieka na południe, tak szybko, jak tylko jego koń potrafi biec.

Tal rozejrzał się dookoła i zaczął dostrzegać pewne szczegóły. Tuzin wrogów klęczał na ziemi z rękoma związanymi na plecach. Trupy najeźdźców zniesiono w pobliże bramy i zrzucano na kupę.

Kilka kobiet tonęło we łzach, odnalazłszy ciała mężów, a więcej niż jeden mężczyzna opłakiwał śmierć swojej żony.

Do Tala i Creeda zbliżył się z szacunkiem Jasquenel.

– Ocaliłeś moich ludzi, Szponie Srebrnego Jastrzębia.

Mówił w języku Orodonów, więc Creed nie mógł zrozumieć słów, ale wyczuł szacunek i wdzięczność w głosie starca.

– Pomagałem, żeby pomścić moich rodaków – odparł Tal w języku Orosinich. A potem przeszedł na wspólną mowę. – Potrzebuję konia.

– Dostaniesz go – powiedział Jasquenel. Zawołał chłopca, żeby podprowadził wierzchowca dla Tala.

– Co ty robisz? – zapytał Creed.

– Jadę za Ravenem – odparł Tal.

– Chyba ten cios w głowę pomieszał ci rozum. Jest noc. On wyruszył na pół godziny przed tobą i zanim stąd ruszysz, on będzie już daleko. I prawdopodobnie jest z nim kilku jego najemników.

Tal skinął potakująco głową.

– Wiem, ale mogę go śledzić.

– Śledzić go? W nocy, w tych górach?

Jasquenel popatrzył na Creeda.

– Jeżeli mówi, że potrafi go śledzić, to tak jest.

– Może powinienem z tobą pojechać? – zapytał Jan Creed.

– Nie. Tylko będziesz mnie opóźniał. – Tal położył rękę na ramieniu Creeda. – Dziękuję ci za wszystko, Janie. Nie potrafiłbym pomóc tym ludziom bez twojej rady.

– Nie ma za co, Talu. Masz zadatki na dobrego dowódcę. Jeżeli się zdecydujesz i znów będziesz chciał poprowadzić jakiś oddział, daj mi znać. Zawsze będę chętnie służył pod dowódcą, który się nie boi wskoczyć w wir walki.

– Moja przygoda z najemnikami dobiega końca. To była jednorazowa robota. W wozie z bagażami znajdziesz mały mieszek ze złotem. Rozdziel je pomiędzy ludzi, jak uważasz za stosowne i zostaw trochę dla siebie. I bądź ich kapitanem, aż doprowadzisz ich bezpiecznie do Latagore, dobra?

– Zrobię to – Creed kiwnął ręką w kierunku jeńców. – A co zrobimy z tymi tam?

– Co zazwyczaj robicie, kiedy najemnicy z wrogich sił poddają się wam?

– Jeżeli chodzi o mnie, to pozwalam im odejść wolno, jeżeli przysięgną, że nie będą walczyć przeciwko nam, ale zazwyczaj te sprawy rozwiązują za nas nasi pracodawcy.

Tal zwrócił się do Jasquenela.

– Ci ludzie są odpowiedzialni za zniszczenie mojej wioski. Mieli zamiar spalić wasze domy i bez litości zabić wasze kobiety i dzieci. Ty zadecyduj o ich losie.

Jasqueneł nie zawahał się. Popatrzył po prostu na strażników, którzy pilnowali najeźdźców i wydał komendę.

– Zabijcie ich.

Zanim więźniowie zdążyli wstać, każdy z nich został złapany za włosy i podcięto im gardła.

Jasqueneł popatrzył na Creeda i Tala.

– To jest sprawiedliwość – oznajmił. – Nie byli miłosierni, więc im także miłosierdzie się nie należy.

Creed miał dziwną minę, ale po chwili kiwnął głową.

– Nikt tutaj nie żywi sympatii do ludzi Ravena, ale niektórym chłopcom może się to nie spodobać. Lepiej ruszemy na południe, kiedy tylko się rozjaśni.

Przyprowadzono konia.

– Potrzebuję bukłaka z wodą – poprosił Tal.

Kobieta pobiegła do chaty i wróciła po chwili z wodą. Przyniosła także małe zawiniątko.

– Jedzenie. Wystarczy na kilka dni.

Tal skinął głową. Zebrał swoją broń – miecz i łuk, i pozbierał z pola bitwy strzały do kołczana. Wsiadł na konia, pomachał ręką i wbił łydki w boki zwierzęcia. Wierzchowiec wypadł przez bramę i zniknął w mroku nocy.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

POLOWANIE

Tal zatrzymał się.

Popędzał konia przez całą noc, zmuszając zwierzę do szybkiego biegu, więc teraz postanowił dać mu trochę odpocząć. Od czasu, kiedy opuścił wioskę Queala, trzykrotnie zsiadał z konia, żeby się upewnić, czy wciąż podąża tropem Ravena.

Tak jak podejrzewał, Raven wybrał prędkość, zaniedbując ostrożność, i trzymał się głównego szlaku wiodącego na południe – najbardziej uczęszczanej drogi do Przybrzeżnej Warty. Tal popatrzył na wschód, gdzie wschodzące słońce powoli barwiło horyzont na złocistą szarość i wiedział, że za kilka minut nadejdzie świt. Zgadywał, że Raven zatrzyma się na popas i wystawi strażę, żeby odpocząć przed wyruszeniem w dalszą drogę. Prawdopodobnie ruszy około południa. W każdym razie Tal by tak zrobił, gdyby spodziewał się, że nikt go nie śledzi.

Zdecydował się na krótki odpoczynek, zanim ruszy dalej szlakiem, powoli i ostrożnie wypatrując wartowników i zasadzek.

Znalazł małą, trawiastą polankę, zaledwie na kilkanaście metrów szeroką i może dwa razy tak długą, rozsiadł konia i przywiązał go do palika na długiej linie, żeby zwierzę mogło się swobodnie paść. A potem użył siodła jako poduszki i położył się pod drzewem.

Zapamiętał położenie słońca, a potem zamknął oczy i zapadł w głęboki, pogrzipiający sen.

Dwie godziny później obudził się, tak jak to sobie zaplanował. Słońce prażyło mocno z niespotykaną jak na tę porę roku intensywnością. Tal czuł, jak gorące powietrze pozbawia jego skórę wilgoci, zanim nawet skropił się na niej pot. Wyglądało na to, że nadeszły gorące i suche dni, o ile te góry były choć trochę podobne do jego ojczyzny.

Osiadł konia i wyruszył z powrotem na szlak. Po chwili napotkał na mały strumyk i pozwolił się napić wierzchowcowi, podczas gdy sam napełnił bukłak. Potem pojechał dalej. Pół godziny później poczuł dym unoszący się znad obozowego ogniska.

Tal zsiadł z konia, spętał go i poszedł dalej pieszo. Poruszał się pod osłoną drzew, zaledwie kilka metrów od głównego szlaku. Szedł wolno, ale wiedział, że pomiędzy drzewami znajdzie lepszą kryjówkę niż na drodze i lepiej podejdzie ściganą zwierzynę.

Szybko i cicho wyszukiwał sobie drogę pomiędzy zaroślami, zatrzymując się i nasłuchując co kilkanaście metrów. Za czwartym razem poczuł końskie odchody i usłyszał bardzo cichy odgłos poruszających się po łące i skubiących trawę koni.

Powoli przedzierał się pomiędzy drzewami, każdy ostrożny krok przybliżał go do jego wrogów. Przed sobą zobaczył, że las rzednie i prawdopodobnie drzewa rozstępują się, aby zrobić miejsce małej łączce albo polance, gdzie Raven i jego ludzie, którzy ocaleli z bitwy, odpoczywają po wrażeniach nocy.

Podszedł ostrożnie, przekradając się od drzewa do drzewa, ściskając w lewej dłoni łuk i strzałę złożoną wzdłuż majdanu, tak że mógł wystrzelić w jednej chwili. Każdy nerw Tala był napięty do granic możliwości, gdyż mężczyzna spodziewał się, że najemnicy lada moment zorientują się o jego obecności. W końcu mógł zobaczyć konie, przywiązane linką do palika w pewnej odległości od drzew, w pobliżu małego źródła, które bulgotało w

niewielkim zagłębieniu gruntu. Konie podniosły łby, kiedy się zbliżył, więc zatrzymał się i poczekał, aż wróca do skubania trawy.

Ognisko wygasło, bo nikt nie dokładał do niego drewna, ale zapach dymu ciągle wisiał nad okolicą. Obok wypalonego kręgu trawy leżało pięć sylwetek, ale koni było sześć. Tal rozejrzał się dookoła, próbując wypatrzeć wartownika.

Czołgał się dookoła polanki wzdłuż linii drzew, chowając się za grubymi gałęziami. Dostrzegł nagły ruch w miejscu, gdzie ścieżka zanurzała się w cienistej dolince i zamarł.

Ktoś stał tak blisko drzewa, że był tylko niewidocznym cieniem pod nawisem gałęzi rzucających mrok na poszycie. Tal wiedział, że musi być zmęczony, w przeciwnym bowiem razie zauważyłby wartownika już kilka sekund wcześniej. Wziął głęboki oddech i czołgał się dalej.

Wartownik obserwował trakt, stojąc do Tala tyłem. Młodzieniec rzucił spojrzenie na obozowisko, upewniając się, czy pozostałych pięciu mężczyzn dalej leży bez ruchu.

Zastanowił się, co może teraz zrobić. Mógł zabić wartownika, ale jak to zrobić po cichu? Powoli założył strzałę na cięciwę i napiął łuk. Wartownik oparł się o drzewo, ale Tal nadal czekał.

A potem wartownik przeciągnął się, rozkładając ramiona i Tal wypuścił strzałę. Grot uderzył mężczyznę w podstawę szyi i najemnik upadł na ziemię, nie wydając z siebie nawet jęknięcia. Ale uderzył w poszycie z głuchym hukiem, co wystarczyło, żeby jeden z koni kwiknął ze strachu. Kiedy pozostałe zwierzęta poczuły zapach krwi, zaczęły tańczyć w miejscu i chrapać.

Dwóch spośród pięciu najemników miało lekki sen. Poderwali się natychmiast na nogi z bronią w dłoniach.

– Garth! – zawołał jeden z nich. – Co się dzieje?

Tal domyślił się, że imię to należało do zabitego mężczyzny, więc zaszył się głębiej w lesie. Kiedy stracił obóz z widoku, usłyszał krzyki mężczyzny.

– Raven!

Tal przyspieszył kroku, pędząc przez las, kiedy usłyszał głos Ravena, po raz pierwszy czysto i wyraźnie.

– Otoczcie go! Znajdźcie go!

Tal wiedział, że nie może z nimi walczyć. Był zbyt zmęczony i nie myślał jasno. Przegapił okazję wyeliminowania dwóch mężczyzn, którzy obudzili się wcześniej i może nawet dałby wtedy radę zabić pozostałych, zanim zdolaliby się schować w lesie. Zrobił błąd i ta pomyłka mogła go kosztować życie.

Usłyszał jakiś ruch za sobą i wiedział, że przynajmniej jeden z najemników jest w stanie go zaatakować. Dostrzegł wystającą z ziemi skałkę, uformowaną w kształcie wału ciągnącego się na przestrzeni kilkunastu metrów. Skała wznosiła się, aż w końcu była zbyt wysoka, żeby na nią wskoczyć. Tal wszedł na nią od strony niższego końca i balansując na krawędzi, pobiegł wzdłuż do miejsca, gdzie skała była nie do przebycia. Tam zeskoczył, kryjąc się za nią.

Wyjął strzałę z kołczana i czekał.

Ktokolwiek za nim szedł, był dobry, musiał to przyznać po kilku minutach czekania. Nic nie słyszał i nic nie widział.

Czekał dalej.

Kiedy minęło kilka kolejnych minut, coś się zmieniło. Nie mógł dokładnie określić, co to było, ale w jednej chwili odgłosy lasu, poszum wiatru w gałęziach, prawie na granicy słyszalności, opadające liście i igły, to wszystko się zmieniło.

Tal wiedział, że nieistotny był rodzaj zmiany, ale to, na co ona wskazywała. Nie był w lesie sam. Wychylił się zza zasłony skały i

powąchał powietrze, wypatrywał cieni, które nie należą do lasu, nasłuchiwał dźwięków mogących wskazać mu miejsce, gdzie kryje się jego prześladowca.

Czas płynął, ale Tal wiedział, że kimkolwiek był ścigający go człowiek, gra w tę samą grę, czekając, aż ścigany popełni jakiś błąd.

A potem usłyszał delikatny dźwięk, cichutkie brzęknięcie podkutego buta o kamień i skoczył do góry, obracając się wokół własnej osi. Przez krótką chwilę mógł dostrzec twarz swego prześladowcy. Czas jakby się zatrzymał, kiedy Tal rozkazał swoim palcom zwolnić cięciwę, a kiedy to zrobiły, młodzieniec mógł wreszcie przyjrzeć się szczegółom sceny, której nie był sobie w stanie wyobrazić aż do tej chwili. Włosy mężczyzny były czarne, zakurzone od ziemi, po której się czołgał, prawdopodobnie starając się uniknąć strzał Tala, który zdołał już zabić z łuku wartownika. Miał ciemną skórę; widocznie wśród jego przodków zaplątało się kilku Keshiańczyków, gdyż jego oczy były prawie czarne. W tych oczach błysnęła iskierka rozpoznania, mieszanina strachu i rezygnacji, kiedy strzała Tala zsunęła się z cięciwy łuku. Mężczyzna napiął mięśnie, jakby chciał krzyknąć albo zrobić unik, ale zanim zdołał cokolwiek uczynić, strzała przeszła mu gardło.

Oczy mężczyzny otworzyły się szeroko z przerażenia, a potem straciły cały blask, zanim jeszcze ciało uderzyło o ziemię pod skałą i zniknęło z oczu Tala.

Tal wspiął się na skałkę i szybko przyjrzał się mężczyźnie. Miał ze sobą tylko swoją broń. Tal zatrzymał własny łuk, ale wziął trochę strzał z kołczana trupa, aby uzupełnić swoje własne zapasy.

Rozejrzał się dookoła, żeby się upewnić, czy inni najemnicy nie podążają jego śladem, ale nie zobaczył i nie usłyszał niczego.

Pozostawiając trupa na pożarcie ścierwojadom, Tal pobiegł w kierunku polanki, gdzie zostawił konia.

Pozostało mu już tylko czterech przeciwników.



Tal spał. Znalazł mały, wycięty w skałach przez strumień wąwóz i tam przywiązał konia. Znaleźć zwierzę mógł tylko ktoś, komu dopisałoby wielkie szczęście albo kto byłby doskonałym tropicielem. Tal ufał szczęściu, zabił w końcu ich najlepszego tropiciela, tego był pewien.

Poza tym podejrzewał, że Raven będzie czekał tylko godzinę albo dwie, a potem zbierze pozostałych trzech towarzyszy i zacznie uciekać na południe. Bo wszystko wskazywało na to, że Tal był tylko zwiadowcą, a dwa tuziny orodońskich wojowników mogą już podążać jego tropem.

Młodzieniec przeszukał torbę z jedzeniem, którą dostał poprzedniej nocy, i znalazł tam twardy ser, chleb prawie tak twardy jak ser i trochę suszonych owoców. Jedzenie go pokrzepiło, chociaż nie miało smaku. Zjadł wszystko, wiedząc, że oszczędzanie byłoby błędem. Jak już zabije Ravena, może umrzeć z głodu.

Wtoczył się pod skalny nawis i ułożył najwygodniej, jak się dało, ignorując chłód i wilgoć, zdecydowany odpocząć chociaż kilka godzin. Gdy spał, miał sen. W tym śnie znów stał na szczycie Shatana Higo, czekając na wizje, przepełniony oczekiwaniem i drżący z niecierpliwości na myśl o ceremonii nadawania imienia. Kiedy się obudził, wstał i przygotował się do dalszego pościgu, chociaż w kościach ciągle czuł zmęczenie. Stawy zeszywniały mu z zimna i musiał poruszać się trochę wokoło, żeby ciepło znów powróciło do jego ciała. Zdecydował, że do zachodu słońca brakuje jeszcze dwóch godzin, czyli spał przez około trzy.

Dał Ravenowi przewagę, ale wiedział, że może to nadrobić. Najemnicy potrzebowali jeszcze trzech dni ostrej jazdy, zanim dotrą do równin, przez które biegnie szlak do Przybrzeżnej Warty. Tal wiedział, że jeżeli po drodze odpocznie trochę i odzyska stracone siły, dopadnie ich, zanim jeszcze wjadą do miasta.

A gdyby okazało się, że nie da rady i będzie musiał szukać ich w mieście, z pewnością to zrobi.

Tal osiodłał zmęczonego konia i poprowadził go w kierunku strumienia. Wspiął się na grzbiet zwierzęcia i pojechał wzdłuż brzegu rzeczki i przez przecinkę prowadzącą do głównego szlaku. Na trakcie skręcił na południe i ruszył wolnym krokiem. Wiedział, gdzie ostatnio obozował Raven i był prawie pewien, że najemnicy już opuścili miejsce popasu, więc w obecnej chwili nie musiał się śpieszyć. Pozwolił koniowi rozgrzać się przez kilka minut, a potem przyspieszył do wygodnego kłusa.

Kiedy zbliżył się do obozowiska Ravena, wprowadził konia pomiędzy drzewa i zsiadł. Gdyby Raven ciągle był w tym miejscu ze swoimi ludźmi, Tal bardzo by się zdziwił, ale wolał raczej się zdziwić, niż być martwym.

Szybko podszedł do miejsca, gdzie zabił wartownika i odkrył, że ciało ciągle leży tak, jak je zostawił. Tal ukląkł nad trupem, ale nie znalazł nic, co mogłoby wskazać na pochodzenie i ród wojownika. Kolejny bezimienny żołnierz zabijający za pieniądze. Tal sprawdził osobiste przedmioty zabitego, ale znalazł tylko przypięty do pasa sztylet. Najwyraźniej sakiewkę odcięto, zresztą jaki pożytek miałyby trup ze złota?

Tal wyszedł na polankę i rozejrzał się. Ślad po ognisku był w tym samym miejscu, w którym go zapamiętał, ale po najemnikach nie pozostało nic innego. Zabrali ze sobą wolne konie, co było raczej rozsądnym posunięciem. Raven nie miał zamiaru ryzykować życiem z tak błahego powodu, że jego koń nagle okulał.

Tal przyjrzał się śladom i zorientował się, że ścigani nawet nie zastanawiali się nad kierunkiem dalszej jazdy i nie starali się go zamaskować. Trop wiódł szlakiem, prosto na południe.

Tal pospieszył do swojego własnego konia, wskoczył na siodło i znów podążył tropem najemników.

Dzień się kończył i odgłosy lasu zmieniały się jak co noc, kiedyienne istoty, zamieszkujące górskie ostępy, ustępują pola swoim żerującym wieczorem braciom i siostrom. Tal wiedział, że zmierzch to chwila, kiedy przenikają się dwa światy, kiedy nocni łowcy wyruszają ze swoich kryjówek i czasem polują na dzienną zwierzynę, która zbyt wolno szuka sobie leża na noc.

Tal spojrzał w dół na szlak i spróbował przewidzieć, co Raven teraz zrobi. Po zaskoczeniu, jakim była strata dwóch najemników, Tal wątpił, żeby jego zwierzyna była dalej tak beztroska i obozowała na otwartej przestrzeni, wystawiając tylko jednego wartownika. Raven raczej zapadł w jakąś dziurę, w jaskinie albo pod skalny nawis, rezygnując z ognia i ciepłej kolacji i wystawiając dwóch wartowników.

O zachodzie słońca Tal ponownie napotkał ślad ściganych i trzymał się go, aż zapadły zupełne ciemności. Potem znalazł sobie najbardziej wygodną kryjówkę, na jaką mógł liczyć i tam zdecydował się przeczekać noc, wiedząc, że Raven nie obozuje w warunkach przyjemniejszych od niego.

Obudził się na kilka minut przed wschodem słońca i spróbował się rozgrzać, poruszając zmarzniętymi rękoma i nogami. Czuł sztywność w karku i plecach, a z nosa ciekł mu katar. Wiedział, że powoli robi się chory od zmęczenia i głodu. Od czasu opuszczenia wioski nie jadł zbyt wiele. Wiedząc, że brak wody jest bardziej niebezpieczny od kilkudniowego postu, Tal wypił resztkę płynu z bukłaka i poszedł na poszukiwanie źródła.

Przypatrzył się dobrze ukształtowaniu terenu i podążył w dół zboczem, aż dotarł do jednej z obfitych rzeczek, jakich było pełno w tych górach. Z zadowoleniem zobaczył, że na brzegu strumienia rosną krzaki obsypane jagodami i podszedł, żeby zobaczyć, czy nadają się do jedzenia. Większość owoców była niestety niedojrzała, ale kilka dało się zjeść, co znacznie podniosło go na duchu i na chwilę uspokoiło jego pusty żołądek. Spędził nad rzeczką godzinę, napełniając puste worki po prowiancie dojrzałymi jagodami.

Ciągle głodny, ale czując się znacznie lepiej po posiłku złożonym z jagód i wody, Tal wyruszył tropem swojej zwierzyny.



W połowie poranka Tal poczuł, że coś jest nie tak. Wnioskując po odległościach pomiędzy odciskami kopyt, Raven i jego ludzie wcale sienie spieszyli. Coś zaniepokoiło Tala, kiedy tak wpatrywał się w tropy na ziemi.

Minął kupkę końskich odchodów jakieś pół godziny temu i nie były jeszcze suche, więc musiał trzymać się blisko za Ravenem. Ale coś w tropach nie dawało mu spokoju.

Zatrzymał się i zsiadł. Raven i jego towarzysze zabrali ze sobą wolne konie. Wreszcie Tal odgadł, o co chodzi. Brakowało jednego konia! Przebiegł wzrokiem trop, żeby się upewnić, czy aby na pewno ma rację. Tak, patrzył na cztery końskie ślady, a nie na pięć. I tylko trzy z nich były głębsze od reszty, co wskazywało na konie z jeźdźcami.

Ktoś się wymknął po drodze.

Tal wskoczył z powrotem na konia i poczuł świst strzały przelatującej mu koło ucha. Położył się na końskiej szyi i zawołał, poganiając zwierzę do szybszego biegu. Pozwolił klaczy wbiec pomiędzy drzewa. Potem zatrzymał się i czekał.

Ktokolwiek do niego strzelał, nie puścił się za nim w pogoń. Tal siedział cicho z dłońmi na końskiej szyi, próbując uspokoić zmęczoną i przerażoną klacz. Czekał.

Czas płynął wolno. Możliwe, że ten, który do niego strzelał, nie zachekał, żeby sprawdzić, czy trafił w cel i jak poważne zadał rany, ale zamiast tego pomknął szlakiem, żeby zaalarmować Ravena. Albo może ukrył się w lesie po drugiej stronie traktu, czekając, aż Tal wyjdzie z kryjówki.

W końcu Tal zmęczył się czekaniem, więc zsunął się z konia, przywiązał go do gałęzi i ruszył wzdłuż szlaku, trzymając się pod osłoną drzew. Poruszał się na południe i w najwęższym odcinku traktu prześlizgnął się na drugą stronę, a potem zawrócił na północ. Gdyby najemnik Ravena uciekł na południe, zobaczyłby jego ślady. Ale jeżeli ciągle czekał na Tala, młodzieniec musiał się prędzej czy później na niego natknąć.

Tal przemykał się cicho pomiędzy drzewami. Nasłuchiwał uważnie i rozglądał się dookoła, żeby nie przegapić żadnego znaku wskazującego miejsce, gdzie krył się morderca.

Usłyszał nagle, jak mężczyzna kaszle. Tal zamarł. Dźwięk nadbiegł z odległości mniejszej niż kilka metrów. Tal wiedział, że kichnięcie albo kaszel były przyczyną śmierci wielu ludzi. Czekał, nasłuchując jakiegoś innego dźwięku zdradzającego położenie mężczyzny.

Tal poruszał się wolno. Stawiał stopę ostrożnie na ziemi i przenosił na nią ciężar ciała, zanim podniósł drugą nogę. Nie chciał potrącić liści ani stąpnąć na gałązkę, a tym samym ujawnić swojej obecności.

A potem poczuł zapach. Wietrzyk wiał z północnego zachodu, nadlatując przez górskie przełęcz, i nagle Tal poczuł smród bijący od mężczyzny. Człowiek nie kapał się od tygodni, a wczorajszej nocy musiał walczyć w samym środku dymu, gdyż jego zapach był bardzo ostry.

Tal wyteńczył zmysły jeszcze bardziej, nasłuchiwał i patrzył, aż wreszcie udało mu się dostrzec sylwetkę napastnika.

Mężczyzna opierał się o drzewo, przyciskając ciało do pnia i trzymając w dłoniach w gotowości strzałę. Jego oczy przebiegały szlak. Czekał niecierpliwie na ukazanie się Tala. Młodzieniec doszedł do wniosku, że Raven rozkazał swojemu człowiekowi nie wracać do obozowiska, o ile nie przyniesie ze sobą głowy Tala.

Tal namierzył mężczyznę i ostrożnie ustawił się w miejscu, z którego miał czyste pole ostrzału.

– Odłóż łuk – powiedział cicho.

Mężczyzna zamarł. Nie obrócił się, ale poruszył głową tak, że mógł widzieć Tala kątem oka. Otworzył dłoń i pozwolił, żeby łuk upadł na ziemię.

– Odwróć się. Powoli – rozkazał Tal.

Mężczyzna posłuchał i poruszył się, aż plecami dotknął drzewa. Tal wycelował w klatkę piersiową najemnika.

– Gdzie jest Raven?

– Na południu, może trzy kilometry stąd, czeka, aż przyniosę mu twoją głowę albo ty nadjedziesz, wpadając w jego pułapkę.

– Jak się nazywasz?

– Killgore.

– Jak długo już służysz pod Ravenem?

– Dziesięć lat.

Cięciwa brzęknęła i nagle mężczyzna o imieniu Killgore został przyszpilony do drzewa. Jego oczy otworzyły się szeroko i spojrzął w dół, a potem jego głowa opadła, a całe ciało zwiotczało i zawisło na strzale.

– Dziesięć lat. To oznacza, że byłeś w mojej wiosce, morderco – powiedział cicho Tal.

Zostawił Killgore'a przyszpilonego do drzewa i pobiegł szybko traktem do miejsca, gdzie zostawił konia.

Teraz zostało mu już tylko trzech najemników i czekały na niego trzy kilometry w dół traktu.



Tal zaklął. To była duża łąka i zrozumiał natychmiast, dlaczego Raven wybrał to miejsce. Była zbyt duża, żeby Tal mógł się ukryć pomiędzy drzewami i zabić kogoś z zaskoczenia z łuku.

Raven i jego dwaj pozostali przy życiu najemnicy siedzieli na koniach na samym środku polany. Czekali, opierając wygodnie ręce na przednich łękach siodeł.

Albo ich towarzysz pojawi się na trakcie, a wtedy pojedą dalej na południe, albo nadjedzie Tal i będą musieli skończyć wreszcie tę pogoń, w taki albo inny sposób. Tal zastanowił się, jakie ma możliwości. Mógł schować się pomiędzy drzewami i poczekać, aż Raven znudzi się postojem i niszy na południe albo na północ, żeby zobaczyć, co stało się z Killgore'em. Ale miał tylko zawiniątko pełne jagód i bukłak z wodą, i był bardzo zmęczony. Czekanie tylko by go osłabiło.

Raven także był zmęczony, bez wątplenia, ale miał ze sobą dwóch uzbrojonych w miecze najemników.

Tal zdobył tytuł największego szermierza na świecie, ale przeciwników było trzech i będzie musiał stawić im czoła, siedząc na grzbiecie konia. Tal nie radził się, że najemnicy zsiądą z wierzchowców i będą z nim walczyć pieszo i w dodatku pojedynczo, jeden po drugim.

Wziął głęboki oddech. Nadszedł czas, żeby to skończyć.

Wziął do ręki krótki łuk, włożył sobie jedną strzałę pomiędzy zęby, a drugą ścisnął dłonią trzymającą majdan. Zmuszając konia do biegu tylko za

pomocą łydek i ściskając wodze jedną ręką, Tal wjechał na polanę.

Trzech najemników zobaczyło go natychmiast i bez wahania wyciągnęło broń. Tal poczuł nagły przypływ nadziei. Wyglądało na to, że żaden z nich nie ma łuku.

Dziękując bogom za tak doskonałego instruktora jazdy konnej, jakim był Rondar, Tal krzyknął i pchnął konia w galop. Jechał prosto na trzech mężczyzn, nie spuszczać oka z Ravena, który znajdował się w środku grupy.

Raven nie poruszył się, ale jego dwaj towarzysze tak, zmuszając konie do okrężnego ruchu, tak że Tal musiałby skrócić, zęby natrzeć na któregoś z nich. Tal wypuścił wodze, pozwalając im opaść na końską szyję i stanął w strzemionach, ściskając wierzchowca mocno kolanami.

Naciągnął łuk i wypuścił pierwszą strzałę. Jeździec po prawej stronie Tala pochylał się, tak jak młodzieniec się spodziewał, więc celował nisko. Strzała uderzyła go w biodro, niedaleko stawu biodrowego. Mężczyzna krzyknął i spadł z siodła. Rana nie była śmiertelna, ale dość skutecznie i na długi czas wyeliminowała najemnika z walki.

Tal ścisnął łydkami konia i gwałtownie skrzywił, żeby nie wpaść na Ravena i drugiego najemnika, nakładając jednocześnie kolejną strzałę na cięciwę. Jeździec, który próbował zająć Tala z lewej strony, był teraz za jego plecami, pędząc prosto na niego.

Ciągle stojąc wysoko w siodle, Tal obrócił się w prawo i zmusił konia do zatoczenia koła. Obrócił ciało tak mocno, jak tylko mógł, aż prawie zwracając się tyłem do końskiego łba. Mógł zobaczyć zdumienie w oczach nadjeżdżającego najemnika, kiedy wypuszczał strzałę z łuku.

Pocisk uderzył najemnika prosto w miejsce u podstawy szyi, od strony ramienia, gdzie ciała nie chroniła kolczuga. Mężczyzna wypadł z siodła,

przelatując przez koński zad i upadając za koniem. Był martwy, zanim uderzył o ziemię.

Raven zaatakował.

Przywódcą najemników nie mógł pozwolić, żeby Tal sięgnął za siebie i wyjął kolejną strzałę z kołczana, widząc, do czego był zdolny młodzieniec z tukiem. Raven wiedział, że umrze, jeżeli da Talowi czas na wycelowanie i strzał.

Tal odrzucił tuk i wyjął miecz, odwracając się w ostatnim momencie, żeby odeprzeć atak. Koń Ravena wpadł na klacz Tala i wierzchowiec młodzieńca prawie upadł. Próbując zachować równowagę, klacz odskoczyła na bok, unikając ciosu.

Tal szarpnął za wodze, a czubek jego miecza przeszył powietrze w miejscu, gdzie młodzieniec spodziewał się napotkać na głowę Ravena. Tal zauważył swoją pomyłkę i próbował uniknąć ciosu przeciwnika. Wysiłek został niestety podjęty moment za późno i Tal poczuł, jak ból eksploduje w jego prawym ramieniu. Ostrze Ravena przecięło skórę i zatrzymało się dopiero na kości.

Tal skrzywił się z bólu, ale nie rezygnował z walki. Pchnął konia do przodu, opierając się pokusie, żeby zacisnąć prawą dłoń na krwawiącym lewym ramieniu i zamiast tego podniósł miecz do góry, żeby zablokować kolejne uderzenie Ravena.

Tal zamrugał, żeby oczyścić oczy z łez i spróbował odgrodzić się jakoś od palącego bólu w ramieniu. Powoli stawało się jasne, że na końskim grzbiecie Raven jest bardziej doświadczonym szermierzem od niego. Ciągle jednak szermierka pozostawała szermierką, a Tal zdawał sobie sprawę, że w całym swoim życiu nie brał udziału w ważniejszym pojedynku.

Rondar nauczył go, jak kierować koniem jedną ręką albo w ogóle bez pomocy rąk, polegając tylko i wyłącznie na nogach, którymi wydawało się

polecenia zwierzęciu, więc Tal próbował stopić się z klaczą w jedno, sprawić, żeby stała się przedłużeniem jego ciała. Próbował myśleć, że nogi konia są jego własnymi nogami.

Zablokował jakoś ból w lewym ramieniu, chociaż zdawał sobie sprawę, że byłby już martwy, gdyby ostrze Ravena przeszło kilka centymetrów niżej. Wtedy miecz przeciąłby ścięgna, a cięcie nawet mogłoby pozbawić go ręki i Tal umarłby z upływu krwi. Nawet teraz rana powodowała, że koszula na ramieniu szybko nasiąkała krwią, ale Tal wiedział, że będzie żył przynajmniej tak długo, że zdąży dokończyć tę walkę.

Tal krążył wokół Ravena, próbując trzymać przeciwnika ze swojej prawej strony, nie chcąc ryzykować dalszych uszkodzeń i tak już ранego ramienia. Raven atakował koniem, chcąc wytrącić Tala z równowagi, a nawet zrzucić go z siodła. Poruszał się blisko i Tal po raz pierwszy od czasu zniszczenia wioski Kulaam mógł dobrze się przyjrzeć swemu wrogowi.

Broda najemnika, kiedyś elegancko przycięta i ufryzowana, była teraz brudna i w nieładzie. Na kanciastej twarzy malowało się zmęczenie i wyczerpanie. Skóra Ravena miała szarawy odcień, a jego ciemne, głęboko osadzone oczy były mocno przekrwione i otoczone ciemnymi obwódkami.

Mimo tego jego twarz była jak wykuta z żelaza i to właśnie utrzymywało Tala w przekonaniu, że Raven jest najniebezpieczniejszym człowiekiem, jakiego kiedykolwiek spotkał. Człowiek nie decyduje się na wykonywanie tak niecznych czynów, jeżeli nie jest z gruntu zły. Tal wiedział, że będzie się musiał zmierzyć z tym złem sam. Nie miało znaczenia czy umrze, musi tylko zabić Ravena. Musi go ukarać za zło, jakie uczynił rodakom Tala.

Tańczyli wokół siebie i wymieniali ciosy, stal dźwięczała o stal, ale żaden z nich nie zyskiwał nad drugim przewagi. Raven z większą precyzją kierował koniem, ale Tal był lepszym szermierzem.

Przez długie minuty krążyli wokół siebie, wymieniając ciosy i blokując cięcia, ale żaden z nich nie przejął inicjatywy i nie zaatakował. Raven trzykrotnie próbował natrzeć na Tala, ale oba konie były już u kresu sił i za trzecim razem Raven zrezygnował, odskakując w tył z paskudnym cięciem na policzku. Krew płynęła po prawej stronie jego twarzy i Tal dostrzegł w tym momencie coś jeszcze. Determinacja zniknęła wreszcie z twarzy Ravena! Nagle wyglądał jak człowiek, który panicznie boi się umrzeć.

Tal zaatakował. Krzyknął najgłośniejszym głosem, jaki potrafił i podniósł się w strzemionach, tnąc w dół z całą siłą, jaka mu jeszcze pozostała. Lata praktyki szermierki w siodle i tym razem posłużyły Ravenowi dobrze. Zamiast tego, czego się Tal spodziewał, czyli uchylenia się i podniesienia miecza, żeby sparować jego cios, Raven pochylił się mocno do przodu i zawisł w siodle, przytrzymując się lewą dłonią lęku, a prawą wyciągając daleko i tnąc Tala w prawą nogę.

Tal poczuł ból, kiedy ostrze Ravena przecięło mu mięśnie na prawej łydce i noga nagle osłabła. Pęd jego własnego ciosu przerzucił Tala przez koński łeb i młodzieniec poleciał na ziemię.

Tal, chcąc oszczędzić zranione ramię, próbował się przetoczyć po trawie, ale siła upadku ogłuszyła go. Jego zmęczony i przerażony koń pokłusował na bok, pozostawiając Tala bezbronny na ziemi. Dowódca najemników zawrócił swojego wierzchowca i zmusił go do jeszcze jednego ataku, chcąc stratować leżącego młodzieńca.

Tal przetoczył się, z ledwością unikając końskich kopyt, i poczuł, jak miecz Ravena przelatuje mu nad głową, mijając ją o nie więcej niż kilka centymetrów; najemnik nie wychylił się z siodła na tyle mocno, żeby zadać śmiertelny cios.

Tal podniósł się, opierając ciężar ciała na zdrowej nodze i przygotowując się do dalszej walki. Ale zamiast oczekiwanego ataku mężczyzna zobaczył,

jak Raven odjeżdża na południe.

Morderca najwyraźniej miał już dosyć i uciekał. Jego zmęczony koń z ledwością poruszał się wolnym kłusem. Tal zawołał na swoją klacz, ale wierzchowiec nie usłuchał polecenia. Był zbyt daleko i Tal ze zranioną nogą nie dałby rady do niego dojść. Młodzieniec musiał opatrzyć swoje rany, w przeciwnym bowiem razie zemdleje z upływu krwi. Już teraz czuł, jak kręci mu się w głowie ze zmęczenia i od upadku z konia.

Poczuł nagle rozpacz i zaczął na oślep szukać haku i strzał, które porzucił kilka metrów stąd na początku walki. Tak szybko, jak tylko mógł, przykuśtykał do miejsca, gdzie leżała broń i podniósł łuk. Wyjął jedną strzałę z kołczana, założył ją na cięciwę i naciągnął łuk. Oceniał siłę wiatru i wpływ wznoszącego się terenu, a potem strzelił.

Wiedział, że ma tylko ten jeden strzał.

Raven nie usłyszał nadlatującej strzały. Uderzyła go w plecy, pomiędzy łopatki, przebijając się przez skórzany kaftan, który miał na sobie.

Tal zobaczył jak najemnik prostuje się i zsiada z konia. Bezwład ciała powiedział młodzieńcowi, że nie musi podchodzić do najemnika i że Raven w końcu i nieodwołalnie jest martwy.

Nogi ugięły się pod Talem. Upadł, jakby nagle uciekła z niego cała siła i wola walki. Jego koń nerwowo skubał trawę kilka metrów dalej. Za chwilę spróbuje do niego podejść. Najpierw trochę odpocznie. Po prostu usiądzie i złapie oddech. A potem zajmie się ranną nogą i ramieniem.

Zanim stracił przytomność, pomyślał sobie, że to był najlepszy strzał w całym jego życiu.



Obudził się, czując zapach jedzenia i kawy. Leżał pod kocem obok wozu. Ktoś opatrzył jego nogę i ramię. Była noc.

– Kawy?

Tal odwrócił głowę i zobaczył siedzącego przy ognisku Jana Creeda. Pół tuzina mężczyzn, najwyraźniej jego towarzyszy, zebrało się wokół większego ogniska kilka metrów dalej.

Tal oparł się na swoim zdrowym ramieniu i podniósł głowę. Usiadł i wsparł się plecami o koło wozu.

– Dzięki – powiedział.

Creed podał mu gliniany kubek i Tal zaczął powoli sączyć gorący, gorzki napój.

– Całe szczęście, że akurat tędy przejeżdżaliśmy – odezwał się Creed. – Prawie się wykrwawiłeś na śmierć, niech cię diabli.

– Jak mnie znalazłeś?

Creed zaśmiał się.

– To nie było trudne. – Podał Talowi ciepły plaster mięsa zawinięty w kromkę chleba i młodzieniec odkrył nagle, że jest strasznie głodny. Zaczął więc pożerać jedzenie, a Creed mówił dalej. – Znaczyłeś swój trop martwymi najemnikami. – Pokazał na północ. – Opuściliśmy wioskę o wschodzie słońca, jakieś siedem godzin po tym, jak ty wyruszyłeś w pościg za Ravenem. – Potarł brodę. – Tak naprawdę, sądziłem, że prędzej znajdziemy twojego trupa, ale dobrze sobie poradziłeś, Talwinie Hawkinsie. Kiedy zobaczyliśmy pierwsze ciało, ja i kilku chłopaków popędziliśmy naprzód, żeby sprawdzić, czy nie potrzebujesz pomocy. Nie potrzebowałeś. – Znowu zachichotał. – W żadnym razie nie potrzebowałeś.

Szkoda, że nie widziałeś wyrazu twarzy Ravena, kiedy odwróciłem jego martwe ciało. Umarł strasznie zdziwiony. – Creed zaśmiał się pod nosem. – Twoja strzała przebiła go na wylot i miał opuszczoną brodę, jakby patrzył, co tam z niego wystaje. Drań nigdy nie miał poczucia humoru, jeżeli rozumiesz, o co mi chodzi. – Wstał i pokazał coś w pewnej odległości. –

Znaleźliśmy cię tam, kiedy już było po wszystkim. Opatrzyłem cię, a reszta chłopaków dotarła tu w dwie godziny później. Możesz jechać na wozie, zanim nie dotrzemy do Przybrzeżnej Warty. Rana na nodze jest paskudna, ale jeżeli nie wda się zakażenie, wszystko będzie w porządku.

– A gdzie jest drugi wóz? – zapytał Tal, kiedy przeżuł ostatni kęs pożywienia.

– Zostawiłem go w wiosce. Nie potrzebowaliśmy dwóch i pomyślałem sobie, że nie będziesz miał nic przeciwko temu, że bym go oddał Orodonom.

– Nie, nie mam nic przeciwko.

– Śpiewają o tobie jakieś tam pieśni przy obozowych ogniskach, Talu. Dla tych ludzi jesteś jakimś cholernym bohaterem.

Tal nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć. Pomyślał o swoich rodakach i zastanawiał się, jak by potoczyło się jego życie, gdyby i do jego wioski na dziesięć dni przed ludźmi Ravena i Olasko przybył podobny oddział najemników i zorganizował obronę. Usiadł wygodnie i zamknął oczy.

– Nie jestem bohaterem. Po prostu musiałem zadbać o pewne sprawy.

– Cóż, i właśnie zadbałeś – powiedział Creed.

– Dziękuję ci, Janie, że się mną zająłeś.

– Masz zadatki na świetnego dowódcę, Talu. Jeżeli będziesz potrzebował ludzi, bez problemu ich znajdziesz. Jesteś uczciwy, dbasz o wszystko i płacisz lepiej niż większość.

– Gdybym kiedykolwiek potrzebował dobrego zastępcy i prawej ręki, Janie Creedzie, ty będziesz pierwszym, który się dowie. – Tal odstawił kubek i położył się na kocu. Czuł, że znów chce mu się spać. Jego ciało potrzebowało odpoczynku, żeby wyzdrowieć.

– Poproś mnie, a przyjadę – powiedział najemnik z szerokim uśmiechem. – A co będzie dalej? – zapytał, patrząc się w ciemności nocy.

Tal popatrzył na świecące na niebie nad jego głową gwiazdy. Odpocznę. A potem mam inne sprawy.

– Cóż – odparł Creed. – Sprawy mogą poczekać, przynajmniej przez kilka dni. Odpoczywaj, póki możesz, zawsze to powtarzam.

Tal ułożył się wygodnie na posłaniu i poczuł, jak senność powoli ogarnia jego ciało. Pomyślał o swojej rodzinie i miał nadzieję, że teraz wreszcie jego bliscy zaznają spokoju.

A potem pomyślał o księciu Olasko i jego kapitanie, Quenti – nie Havrevulenie. Ci dwaj także muszą dołączyć do Ravena, dopiero potem rodzina Szpona zazna ukojenia. I z takimi właśnie nieprzyjemnymi myślami Szpon Srebrnego Jastrzębia zapadł w głęboki sen bez snów.

EPILOG

Skorpion Tal sącył powoli wino.

– To, co zrobiłeś, było dość skuteczne, ale ograniczone – odezwał się Nakor.

– Ale nie dla Orodonów – zaprzeczył Tal.

Znajdował się w gabinecie Puga na Wyspie Czarnoksiężnika. Magnus, Kaleb i Robert siedzieli wokół stołu. W kominku wesoło trzaskał ogień. Nie było z nimi Puga i Mirandy, gdyż wyjechali gdzieś, zajęci tajemniczymi sprawami, przynajmniej tak twierdził Nakor.

Tal dotarł, do Przybrzeżnej Warty, gdzie nabył kajutę na statku płynącym do Saladoru. Tam odświeżył pewne stare znajomości, jakie zawiązał podczas pobytu w mieście z Kalebem i wysłał wiadomość do Magnusa, że skończył już swoje interesy na północy.

Magnus pojawił się w Saladorze i zabrał Tala na wyspę, używając swoich mocy, podobnie jak wtedy, kiedy zabrał chłopca od Kendrika do posiadłości Puga. Tal marzył więcej niż raz, że znów będzie tak podróżował. Miał dosyć koni, statków i powozów.

Był na wyspie dopiero jeden dzień, a wydarzenia poprzedniego miesiąca już zacierały się za mgłą niepamięci. Jego rany się zagoiły, chociaż czuł jeszcze sztywność w ramieniu i nodze, ale uzdrowiacze na wyspie zapewnili go, że nie będzie cierpieł na żadne chroniczne uszkodzenie, po prostu doda do swojej kolekcji kolejne dwie imponujące blizny.

– Dobrze się spisałeś, Szponie – powiedział Nakor.

– Talu, jeżeli możesz – upomniał go po raz kolejny młodzieniec. – Przywykłem myśleć o sobie jako o Talu Hawkinsie.

– A więc Talu – zgodził się Nakor.

– Twoja obrona wioski Orodonów była całkiem skuteczna, jak na kogoś bez formalnego treningu wojskowego – pochwalił Magnus. – Poradziłeś sobie jak najlepiej z tym, co miałeś pod ręką, chociaż przyznaję, że nie jestem do końca przekonany, po co spaliłeś te katapulty.

– Nigdy o tym nie wspominałem – Tal aż usiadł ze zdumienia.

– Nie, nie wspominałeś – uśmiechnął się lekko Magnus. – Obserwowałem cię.

– Gdzie?

– W wiosce Queala, ze wzgórza w pobliżu.

– Byłeś tam! – Tal pochylił się do przodu na swoim krześle. – Byłeś tam i nie zrobiłeś nic, żeby mi pomóc? – zapytał oskarżycielskim tonem.

– Nie mógł nic zrobić, Talu – wtrącił się Kaleb.

– Jest jeszcze bardzo wiele rzeczy, o których nie masz pojęcia – dodał Nakor. – Ale chociaż to powinieneś zrozumieć. Ten mag, o którym mówiliśmy, Leso Varen, musi pozostać nieświadom naszego udziału w tych sprawach, jakimi się zajmujesz. Gdyby mag o mocy Magnusa pojawił się w wiosce i zniszczył Ravena, Leso natychmiast by się o tym dowiedział. Nigdy byś się nie uwolnił od tego skojarzenia w umyśle Varena.

Tal skinął głową.

– Nie podoba mi się to, ale rozumiem.

– Co sprowadza nas z powrotem do pytania, co dalej – powiedział Nakor.

– Jeżeli nie macie innych planów co do mojej osoby, muszę zdecydować, czy przyjąć służbę u Kaspara z Olasko.

– Nie musisz podejmować żadnej decyzji – oznajmił Nakor. – Po prostu podejmiesz tę służbę.

Oczy Tala otworzyły się szeroko.

– Ale ja nie mogę!

– Dlaczego nie? – zapytał Kaleb. – Matka już ma tę „panią Rowenę” na dworze księcia. Lepiej jest mieć więcej niż jednego agenta.

– Nie mogę złożyć fałszywej przysięgi, więc tym samym nie mogę przyjąć służby i złożyć obietnicy, której nie będę mógł dotrzymać.

– Musi być tak, jak być musi – powiedział Nakor.

– Nie mogę służyć takiemu człowiekowi jak Kaspar, nawet jeżeli macie jakiś tam plan, który pozwoli uchronić mnie przed magiem, kiedy będę kłamał. Bo nie będę kłamał i nie złożę fałszywej przysięgi – kontynuował Tal, mocno rozzłoszczony.

– Nie – odparł Nakor. – Rozumiesz mnie źle. Kiedy powiedziałem, że tak być musi, miałem na myśli, że nie musisz składać fałszywej przysięgi. Musisz przysiąc Kasparowi całym sercem i służyć mu najlepiej, jak się da, ryzykując nawet własnym życiem. Jeżeli rozkaże ci ścigać i zabić jednego z nas, musisz to robić, wkładając w to polowanie całe swoje serce i wykorzystując wszystkie swoje umiejętności, aby się nas pozbyć.

Tal zmarszczył brwi.

– Chcecie, żebym uczciwie służył naszemu wrogowi? – zapytał, bezmiernie zdumiony.

– Tak – zgodził się Nakor. – Bo tylko w ten sposób zbliżysz się na tyle do Kaspara, że będziesz mógł go zabić, kiedy nadejdzie odpowiedni czas.

Tal opadł na oparcie krzesła.

– Nie rozumiem. Jak mam mu służyć, nie składając fałszywej przysięgi i ciągle planować jego śmierć?

– Twoja przysięga wiąże cię tak długo, jak obietnica Kaspara pozostaje w mocy – powiedział Nakor.

– Ach! – zawołał Tal, uśmiechając się lekko. – To odpowiedzialność honorowa pana jest częścią umowy, podobnie jak honor sługi jest podstawą

jego przysięgi.

– Czy słyszałeś przypowieść o skorpionie? – zapytał Nakor.

– Nie.

– „Pewnego dnia skorpion siedział na brzegu rzeki, która była zbyt głęboka i bystra, aby mógł ją sam przebyć. Zobaczył nagle przepływającą żabę.

– Żabo, zanieś mnie na swoim grzbiecie na drugi brzeg! – zawołał do niej.

– Nie zrobię tego, bo wbijesz w mą skórę swe żądło i umrę – odparła żaba.

– Ale dlaczego miałbym to zrobić? – zapytał skorpion zdziwiony. – Gdybym cię uządlił, utonęlibyśmy oboje.

Żaba zastanowiła się chwilę nad tym argumentem.

– No dobrze – powiedziała w końcu – przeniosę cię przez rzekę.

Więc żaba podpłynęła do brzegu i skorpion wlaź jej na grzbiet. Kiedy byli już na środku rzeki, skorpion wbił żądło w skórę żaby.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zawołała żaba ostatkiem tchu. – Przecież teraz oboje zginiemy.

– Bo taka jest moja natura – odparł skorpion zamierającym głosem.”

Nakor popatrzył na Tala.

– W końcu, jeżeli będziesz żył wystarczająco długo, Kaspar z Olasko cię zdradzi, Talu, bo taka jest jego natura. A kiedy to zrobi, będziesz wolny od swojej przysięgi i wtedy go zabijesz.

Tal oparł się plecami o krzesło, niepewny, co powinien teraz powiedzieć. Przez długi, bardzo długi czas zastanawiał się nad tym, co powiedział mu Nakor. A potem wziął głęboki oddech i kiwnął potakująco głową.

– Pojadę do Oparum. Wstąpię na służbę do księcia Olasko.